

Autor EWANGELII KRWI i EKSPEDYCJI

# JAMES ROLLINS



# LINIA KRWI

## O książce

### **Galilea, rok 1134.**

Rycerz zakonu templariuszy odkrywa w lochach starej cytadeli święty skarb – łaskę Jezusa o tajemniczej mocy.

### **Niemal tysiąc lat później.**

U wybrzeży Szeszeli somalijscy piraci porywają młodą Amerykankę. Akcją jej odbicia dowodzi komandor Gray Pierce z rządowej agencji Sigma. I nie chodzi o bogatą turystkę, lecz o Amandę Gant-Bennett, córkę prezydenta USA. Dramatyzmu całej sprawie dodaje fakt, że uprowadzona kobieta jest w zaawansowanej ciąży.

Gray, ścigając porywaczy w afrykańskiej dżungli i Dubaju, szybko zyskuje pewność, że za ich działaniami kryje się coś więcej niż tylko chęć otrzymania okupu. Nie wie jednak, że będzie musiał stawić czoło tajemniczej organizacji, która od wieków wpływa na bieg historii.

# JAMES ROLLINS LINIA KRWI

Z angielskiego przełożył

JERZY ŻEBROWSKI

Wydanie elektroniczne



## JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne – **Mapa Trzech Mędrców**, **Czarny zakon**, **Wirus Judasza**, **Klucz zagłady**, **Ołtarz Edenu**, **Kolonia Diabła** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

[www.jamesrollins.com](http://www.jamesrollins.com)

*Tego autora*

LODOWA PUŁAPKA  
BURZA PIASKOWA  
AMAZONIA  
OŁTARZ EDENU  
EKSPEDYCJA  
PODZIEMNY LABIRYNT  
OKO BOGA

**Sigma**

MAPA TRZECH MĘDRCÓW  
CZARNY ZAKON  
WIRUS JUDASZA  
KLUCZ ZAGŁADY  
OSTATNIA WYROCNIA  
KOLONIA DIABŁA  
LINIA KRWI

**James Rollins, Rebecca Cantrell**

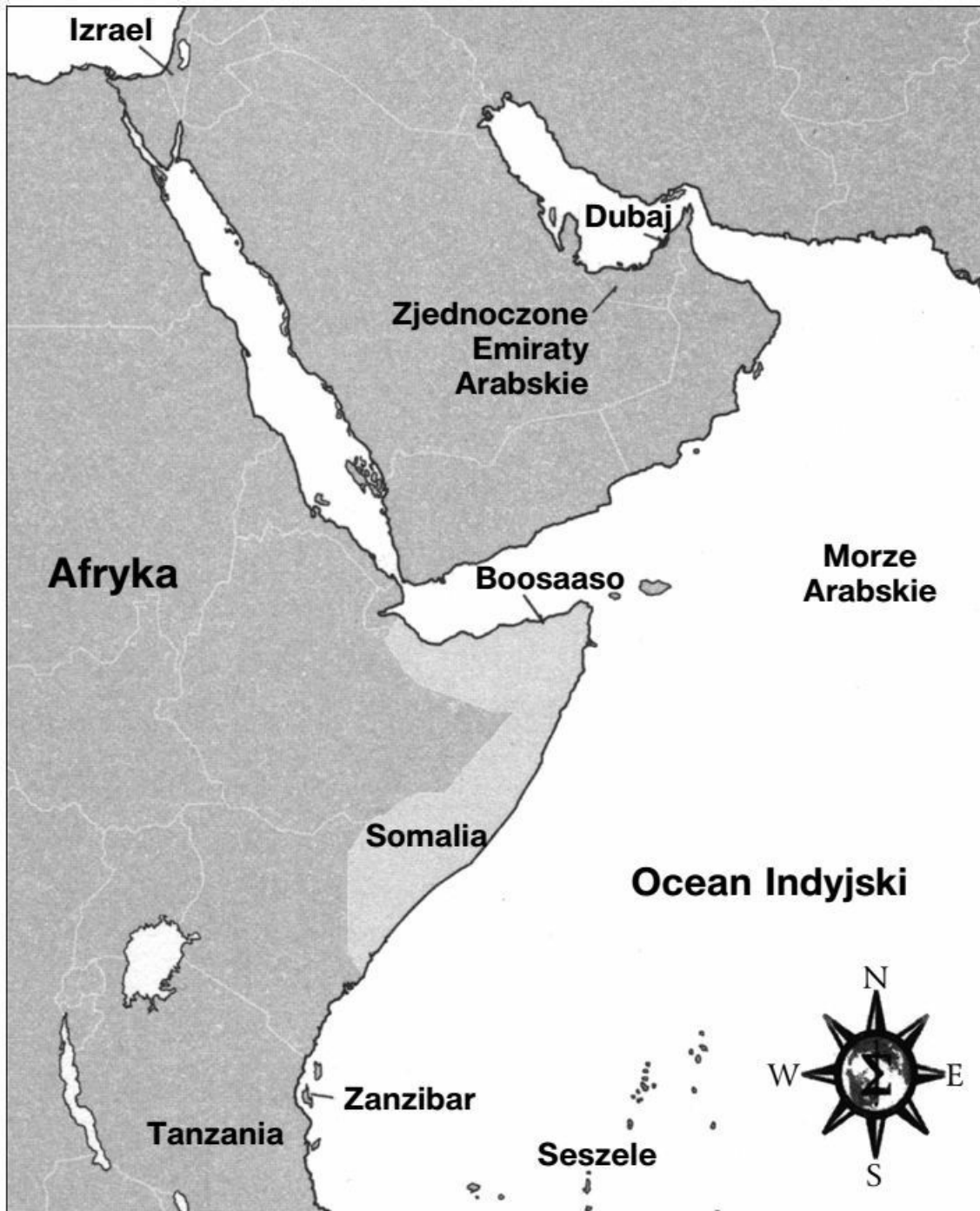
EWANGELIA KRWI

*Trzem moim braciom i trzem siostram,  
Cheryl, Dougowi, Laurie, Chuckowi, Billy'emu i Carrie.  
Skoro miniony rok spędziłyśmy ze sobą w okopach,  
to chyba stosowne, byśmy i tutaj byli razem.  
Kocham Was wszystkich.*

## Podziękowania

Podobno zbyt wielu kucharzy w kuchni to nic dobrego. Może to dotyczyć sztuki kulinarnej, ale z pewnością nie literatury. Każdej z poniżej wymienionych osób ta książka coś zawdzięcza. Z niechęcią wyliczam na początku hurtem całą grupę nazwisk, ale skoro pojawiliście się wszyscy razem, co mogę na to poradzić? Są na tej liście moi pierwsi czytelnicy, pierwsi wydawcy i najlepsi przyjaciele: Sally Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O’Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Scott Smith, Penny Hill, Judy Prey, Dave Murray, Will Murray, Caroline Williams, John Keese, Christian Riley i Amy Rogers. Jak zawsze, szczególnie podziękowania dla Steve’a Preya za piękne mapy i ilustracje... i dla Cherei McCarter za pomysły do wspaniałych opowieści! Dla Scotta Browna — za pomoc medyczną (widzisz, jesteś w tej książce!) i dla Mihir Wanchoo za to, że była od początku powstawania tej książki. Dla Carolyn McCray, której gwiazda wreszcie zajaśniała... i dla Davida Sylviana, za zebranie wszystkiego do kupy i sprawienie, że zaistniałem w końcu w sieci. Za nieustanne wsparcie otrzymuje podziękowania cała ekipa z wydawnictwa HarperCollins: Michael Morrison, Liate Stehlik, Seale Ballenger, Danielle Bartlett, Josh Marwell, Lynn Grady, Adrienne di Pietro, Richard Aquan, Tom Egner, Shawn Nicholls, Ana Maria Allessi, Olga Gardner i Wendy Lee (brak mi Ciebie!) Na koniec, oczywiście, specjalne podziękowania dla czterech osób, które odegrały kluczową rolę na wszystkich etapach produkcji książki. Są to: moja wydawczyni Lyssa Keusch i jej koleżanka Amanda Bergeron oraz moi agenci, Russ Galen i Danny Baror. Jak zawsze muszę też podkreślić, że wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność za wszelkie błędy merytoryczne w tej książce.

## Róg Afryki





## **Słowa zamordowanych prezydentów**

### **O istnieniu współczesnych tajnych stowarzyszeń i zagrożenia z ich strony:**

Na całym świecie mamy do czynienia z monolitycznym i bezwzględny spiskiem, który rozszerza strefę swoich wpływów głównie za pomocą tajnych metod... budując precyzyjnie skonstruowaną i wysoce wydajną maszynę, łączącą działania militarne, dyplomatyczne, wywiadowcze, ekonomiczne, naukowe i polityczne.

JOHN F. KENNEDY, Z PRZEMÓWIENIA WYGŁOSZONEGO  
W HOTELU WALDORF-ASTORIA 27 KWIECZNIA 1961 ROKU

### **O życiu i śmierci:**

Bóg nie stworzyłby z pewnością takiej istoty jak człowiek, zdolnej ogarnąć nieskończoność, by egzystowała tylko przez jeden dzień! Nie, nie, człowiek został stworzony do nieśmiertelności.

ABRAHAM LINCOLN

## Z zapisków historycznych

Teorii spiskowych nigdy nie brakowało. Taka już jest ludzka natura. Poszukujemy wciąż porządku w chaosie, znaków obecności niewidzialnego animatora marionetek, który manipuluje wielkim spektaklem życia, rządami i losami ludzkości. Niektórzy z tych tajemniczych konspiratorów uchodzą za czarne charaktery, inni za wielkich dobroczyńców. Istnienie części tajnych koterii potwierdzają fakty historyczne, inne są jedynie wytworem wyobraźni, a jeszcze więcej spośród nich to węzeł gordyjski obu kategorii tych opowieści, splecionych w sposób tak niewytłumaczalny, że obszar między faktem i fikcją staje się splątany gobelinem zafałszowanej historii.

A żadnej organizacji w dziejach ludzkości nie dotyczy to bardziej niż cieszących się niesławą templariuszy.

Zakon założyło na początku XII wieku dziewięciu rycerzy, którzy przysięgali bronić pielgrzymów wędrujących do Ziemi Świętej. Skromne początkowo zgromadzenie rosło w bogactwo i siłę i rozprzestrzeniało się po całej Europie, aż zaczęli się go obawiać nawet papież i królowie. W końcu 13 października 1307 roku król Francji i ówczesny papież uknuli spisek, rozwiązali zakon i aresztowali jego członków, zarzucając im poważne przestępstwa, w tym herezję. W następstwie tej czystki pojawiły się legendy i mity zamazujące prawdziwy obraz dziejów zakonu: opowieści o zaginionych skarbach, rycerzach uciekających przed prześladowaniami na wybrzeża Nowego Świata, a nawet doniesienia, że zakon nadal istnieje, potajemnie i pod strażą, strzegąc mocy, która mogłaby przemienić świat.

Pozostawmy jednak na boku takie spekulacje i mity i powróćmy do pierwotnych dziewięciu rycerzy. Wiele osób nie wie, że wszyscy ci członkowie — założyciele zakonu — byli ze sobą związani poprzez więzy krwi lub małżeństwa i pochodzili z jednego rodu. Ośmiu z nich jest wymienionych z nazwiska w dokumentach historycznych. Dziewiąty pozostaje zagadką i źródłem wielu dociekań współczesnych historyków. Kim był ów tajemniczy członek założyciel zakonu, który osiągnął taki rozgłos w historii i legendach? Dlaczego ten ostatni z rycerzy nie został nigdy wymieniony z nazwiska jak pozostali?

Rozwiązanie tej zagadki to początek wielkiej przygody.

## Z zapisków naukowych

Dwudziestego pierwszego lutego 2011 roku na okładce czasopisma „Time” pojawił się tytuł: *W roku 2045 człowiek stanie się nieśmiertelny*. Mogło się to wydawać przesadą, ale naukowcy wygłaszali już podobne teorie. W swojej książce *Postępy medycyny w zwalczaniu procesów starzenia się* doktor Ronald Klatz napisał:

Jest całkowicie możliwe, że za jakieś pięćdziesiąt lat człowiek, który nie padnie ofiarą poważnego wypadku ani zabójstwa, będzie w stanie żyć praktycznie wiecznie.

Żyjemy w ekscytujących czasach, gdy postępy w medycynie, genetyce, technologii i całej gamie innych dziedzin nauki otwierają przed ludzkością nowe perspektywy: WIECZNOŚĆ.

W czym to się będzie przejawiało, jakie przybierze formy? Odpowiedź znajdziecie na tych stronach. Przedstawione w tej powieści koncepcje oparte są na faktach, na dogłębnych badaniach prowadzonych jeszcze przez radzieckich naukowców podczas zimnej wojny. Ale zanim przeczytacie pierwszą stronę, muszę skorygować nieco zacytowane powyżej zaskakujące prognozy. Tak naprawdę są zdecydowanie konserwatywne.

Nieśmiertelność jest nie tylko w naszym zasięgu — jest już faktem.

## PROLOG

### Ziemia Święta

Lato 1134 roku

Nazywali ją kiedyś czarownicą i dziwką.

Ale teraz już nie.

Siedziała okrakiem na siwym rumaku, ubranym w czarną zbroję, który stąpał ostrożnie po polu bitwy, po ziemi zasłanej ciałami muzułmanów i chrześcijan. Płoszyła ucztujące kruki i wrony, które krążyły nad nią jak wielkie czarne chmury. Inni, dwunożni padlinożercy, penetrowali pobojowisko, ściągając poległym buty i wrywając z ich ciał strzały, by odzyskać groty i pióra. Kilku ludzi spojrzało w jej kierunku, ale szybko odwrócili wzrok.

Wiedziała, co zobaczyli — jednego z wielu rycerzy biorących udział w walce. Jej piersi były niewidoczne pod wyściełaną kolczugą i pancerzem. Ciemne włosy, sięgające do ramion i krótsze niż u większości mężczyzn, ukrywał stożkowaty hełm, a delikatne rysy — osłona nosa. O lewe kolano objął się przytroczony do siodła obosieczny miecz, brzęcząc, gdy uderzał nagolenniki kolczugi chroniące jej długie nogi.

Tylko nieliczni wiedzieli, że nie jest mężczyzną — a nikt nie miał pojęcia, że ukrywa tajemnice o wiele mroczniejsze niż sekret jej płci.

Giermek czekał na nią na skraju zrytej drogi. Ścieżka wiała się stromo w górę do samotnej kamiennej baszty. Masywna budowla, ukryta głęboko w górach Naftali w Galilei, nie miała nazwy i wyglądała tak, jakby wyrzeźbiono ją ze zbroczy. Czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem za jej blankami, przesłonięte dymem ognisk z obozowisk i podpalonych pól.

Młody giermek przyklęknął na kolano, gdy zatrzymała przy nim konia.

— Czy on nadal tam jest? — spytała.

Skinął głową. Przestraszony.

— Lord Godefroy oczekuje cię.

Nie chciał spojrzeć w kierunku zwieńczonej kamieniami baszty. Ona nie miała takich oporów. Uniosła hełm, by lepiej widzieć.

Nareszcie...

Przez szesnaście lat — od czasu, gdy jej wuj założył Zakon Ubogich Rycerzy Świętyńi Jerozolimskiej — próbowała dokonać rzeczy niemożliwej. Nawet on nie rozumiał, dlaczego chce wstąpić do templariuszy, ale ze względu na pokrewieństwo nie mógł jej odmówić. Dostała więc biały zakonny płaszcz i dołączyła do grona dziewięciu członków założycieli; ukrywała się i zasłaniała twarz hełmem, podczas gdy zgromadzenie rosło w siłę i nabierało znaczenia.

Jej krewni nadal manipulowali rycerskim zakonem od wewnątrz i z zewnątrz: gromadzili majątek i wiedzę, poszukiwali potężnych relikwii z zaginionych krypt i starożytnych wykopalisk w Egipcie i Ziemi Świętej. Mimo doskonałego planowania spotykały ich niepowodzenia. Zaledwie przed rokiem nie udało im się zdobyć kości mędrców — relikwii trzech biblijnych królów, które podobno były kluczem do tajemnic alchemii.

Nie pozwoli, by dziś doszło do kolejnej porażki.

Szarpnąwszy cugle, skierowała konia na skalistą ścieżkę. Z każdym krokiem mijała coraz więcej zwłok, gdyż strażnicy wieży podjęli ostateczną — daremną — walkę, by powstrzymać atak. Dotarłszy na szczyt wzgórza, zastała tam rozbite w drzazgi wrota baszty, wyłamane potężnym wzmocnionym stałą taranem.

Wejścia strzegli dwaj rycerze. Obaj skinęli do niej głowami. Młodszy z nich, nowy w zakonie, miał przyszyty na piersi szkarłatny krzyż. Inni templariusze zaczęli naśladować ten zwyczaj, symbolizujący gotowość przelania własnej krwi za sprawę. Starszy rycerz, szpakowaty i z ospowatą twarzą, nosił po prostu na zbroi tradycyjny biały płaszcz, podobnie jak ona. Jediną ozdobą ich okryć były szkarłatne ślady krwi zabitych.

— Godefroy oczekuje cię w krypcie — oznajmił starszy rycerz, wskazując wewnętrzną cytadelę za wrotami.

Przejechała na rumaku przez ruiny wrót i szybko z niego zsiadła, powiewając płaszczem. Zostawiła miecz u boku wierzchowca, wiedząc, że nie musi się obawiać zasadzki ze strony jakiegoś ocalałego samotnego obrońcy baszty. Lord Godefroy, choć sprawiał kłopoty, był skrupulatny. O jego gorliwości świadczyły stojące na dziedzińcu drewniane pale z głowami ostatnich obrońców. Ich ciała leżały pod tylną ścianą jak sterta drewna na opał.

Bitwa była skończona.

Pozostały tylko łupy.

Dotarła do drzwi prowadzących w mrok. Wąskie schody wykute w skalnym zboczu wiodły w dół za basztę. U ich wylotu migotało w oddali pomarańczowoczerwone światelko pochodni. Zeszła, przyspieszając dopiero na końcu.

Czy to możliwe? Po tylu latach...

Wpadła do długiej krypty, w której wzdłuż obu ścian stało ponad dwadzieścia kamiennych sarkofagów. W pośpiechu nie zauważyła niemal egipskich napisów, symboli nawiązujących do mrocznych tajemnic z czasów przed Chrystusem. W głębi zobaczyła w blasku pochodni dwie postacie: jedna stała, druga klęczała, wspierając się na kiju.

Gdy do nich podeszła, zauważyła, że ostatni sarkofag został otwarty, a jego kamienna pokrywa leży pęknięta na podłodze. Wyglądało na to, że ktoś zaczął już szukać ukrytego tu skarbu. Ale sprofanowany sarkofag krył tylko prochy i jakieś fragmenty suchych liści i łodyg.

Na twarzy lorda Godefroya malowało się rozczarowanie.

— A więc w końcu się zjawiasz — rzucił z fałszywym uśmiechem.

Zignorowała go. Był od niej o głowę wyższy, lecz miał takie same czarne włosy i orli nos, bo oboje pochodzili z południa Francji, a ich rody łączyło dalekie pokrewieństwo.

Opadła na kolana i spojrzała na twarz jeńca. Miał ogorzałą, połyskującą i gładką skórę. Spod kaskady ciemnych włosów wpatrywały się w nią czarne oczy, lśniące w blasku pochodni. Choć klęczał, nie okazywał strachu, tylko głęboki smutek, za co miała ochotę go spoliczkować.

Godefroy przykucnął obok niej, zamierzając się wtrącić, by mieć swój udział w tym, co — jak z pewnością wyczuwał — było sprawą ogromnej wagi. I choć należał do tych nielicznych osób, które wiedziały, kim ta kobieta naprawdę jest, nie znał jej głębszych sekretów.

— Pani... — zaczął.

Oczy jeńca zwęziły się, gdy to usłyszał. Utkwił w niej przenikliwe spojrzenie. Nie było w nim już ani śladu smutku, tylko cień lęku, który jednak szybko zniknął.

Ciekawe... czy wie o naszej linii krwi, naszych tajemnicach?

Godefroy przerwał jej rozmyślenia i kontynuował:

— Na twój rozkaz straciliśmy wielu ludzi i przelaliśmy wiele krwi, aby odszukać to

miejsce, ukryte w gąszczu legend i strzeżone w równym stopniu przez zaklęcia, co niewiernych, a znaleźliśmy tylko tego człowieka i skarb, którego pilnuje. Kim on jest? Dowiaduję się takich rzeczy, posługując się mieczem.

Nie traciła słów na rozmowę z głupcami. Zwróciła się do jeńca w dawnym arabskim dialekcie.

— Kiedy się urodziłeś?

Wbił w nią wzrok, niemal odpychając ją siłą woli jak potężnym podmuchem wiatru. Chyba się zastanawiał, czy ją okłamać, ale spojrzawszy jej w oczy, uznał, że to bezcelowe.

Gdy się odezwał, jego słowa zabrzmiały miękko, ale miały swoją wagę.

— Urodziłem się w Muharram w Hijri w roku dziewięćdziesiątym piątym.

Godefroy rozumiał arabski na tyle, by powiedzieć drwiąco:

— W dziewięćdziesiątym piątym? To znaczy, że ma ponad tysiąc lat.

— Nie — powiedziała, bardziej do siebie niż do niego, obliczając w myślach. — Jego lud stosuje inny system liczenia lat niż my. Zaczynają od roku, gdy ich prorok Mahomet przybył do Mekki.

— A więc ten człowiek nie ma tysiąca lat?

— Bynajmniej — odparła, kończąc wyliczenia. — Przeżył zaledwie pięćset dwadzieścia lat. — Kątem oka dostrzegła, że Godefroy spojrział na nią zdumiony.

— To niemożliwe — rzekł drżącym głosem, który zdradzał jego prostackie niedowierzanie.

Wytrzymała spojrzenie jeńca. Wyczuwała w tych oczach niezgłębioną, przerażającą wiedzę. Próbowала sobie wyobrazić wszystko, czego był świadkiem w ciągu stuleci: powstające i upadające potężne imperia, miasta wyłaniające się z piasków, by z czasem popaść w ruinę. Ile mógłby jej wyjawić starożytnych tajemnic i zapomnianych historii?

Ale nie przybyła tu po to, by nękać go pytaniami.

Wątpiła zresztą, by na nie odpowiedział.

Nie ten człowiek — jeśli można było jeszcze nazywać go człowiekiem.

Gdy ponownie się odezwał, oznajmił tonem ostrzeżenia, zaciskając palce na swoim kiju:

— Świat nie jest jeszcze gotowy na posiadanie tego, czego poszukujesz. To zakazane.

Nie dawała za wygraną.

— Nie ty o tym decydujesz. Jeśli człowiek jest dość zawzięty, by to zdobyć, ma również prawo to posiadać.

Spojrzał na nią ponownie, przenosząc wzrok na jej piersi ukryte pod twardą zbroją.

— Tak samo uważała Ewa w rajskim ogrodzie, kiedy posłuchała węża i skradła owoc z Drzewa Wiedzy.

— Ach — westchnęła, pochylając się ku niemu. — Mylisz się. Nie jestem Ewą. I nie poszukuję Drzewa Wiedzy, tylko Drzewa Życia.

Wydobywszy zza paska sztylet, stanęła szybko na nogi i wbiła ostrze po rękojeść pod szczękę jeńca, podnosząc go z kolan całą siłą woli. Za sprawą tego pojedynczego pchnięcia został krwawo przerwany nieskończony marsz stuleci — wraz z zagrożeniem, które stanowił ten człowiek.

Godefroy cofnął się o krok zaszokowany.

— Czy to nie po niego przybyłaś z tak daleka?

Wyszarpnęła sztylet, rozpryskując krew, i kopnęła ciało na bok. Chwyciła kij, zanim wypadł z bezwładnych palców jeńca.

— Nie jego szukałam, lecz tego, co nosił przy sobie.

Godefroy wpatrywał się w kostur z oliwnego drzewa, który trzymała w ręce. Świeża krew spływała strużkami po jego powierzchni, ukazując wyrzeźbione spiralnie delikatne sploty węży i winorośli.

— Co to jest? — spytał rycerz, szeroko otwierając oczy.

Po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzała — i wbiła mu ostrze sztyletu w lewe oko. Widział zbyt wiele, by żyć. Gdy padł na kolana, wstrząsany straszliwymi śmiertelnymi konwulsjami, odpowiedziała na jego ostatnie pytanie, zaciskając palce na antycznej drewnianej różdżce.

— Oto Bachal Isu — szepnęła do przyszłych wieków. — Dzierżył ją Mojżesz, nosił Dawid i trzymał w dłoniach Król Królów. Oto laska Jezusa Chrystusa.

## Czwarty lipca: Pięć dni od dziś

*Zamachowiec, wpatrując się w lunetę broni, nastawił celownik na profil prezydenta Jamesa T. Ganta. Sprawdził ponownie odległość — sześćset pięćdziesiąt metrów — i wymierzył lufę snajperskiego karabinu USMC M40A3 w kość potyliczną za lewym uchem ofiary, wiedząc, że tam strzał wyrządzi najwięcej szkód. Przez słuchawkę przenikały mu do ucha odgłosy muzyki i beztroskiego śmiechu uczestników świątecznego pikniku. Skoncentrowany na swoim celu, na swojej misji, nie zwracał na to uwagi.*

*W historii Stanów Zjednoczonych trzech prezydenci zmarli dokładnie tego samego dnia, 4 lipca, w dniu urodzin ich kraju. Nie zakrawało to na zwykły przypadek.*

*Thomas Jefferson, John Adams i James Monroe.*

*Dziś umrze czwarty.*

*Wstrzymując oddech, komandor Gray Pierce nacisnął spust.*



**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**WSPÓLCZEŚNIE**

Takoma Park, Maryland

30 czerwca, godz. 11.44 czasu miejscowego

Gray Pierce wjechał na podjazd z głuchym warkotem silnika V8 swego thunderbirda rocznik 1960.

Sam też miał ochotę warczeć.

— Myślałem, że zamierzali sprzedać tę posiadłość? — powiedział Kenny.

Młodszy brat Graya siedział na fotelu pasażera, wychylając głowę przez okno i wpatrując się w parterowy budynek z drewnianą werandą i dwuspadowym dachem. Był to ich rodzinny dom.

— Już nie — odparł Gray. — I nie wspominaj o tym tacie. I tak jest paranoikiem z powodu swojej demencji.

— Więc nic się nie zmieniło... — mruknął z przekąsem Kenny.

Gray spojrział wilkiem na brata. Zabrał go z lotniska Dulles, po jego podróży przez cały kraj z północnej Kalifornii. Kenny miał zaczerwienione oczy z powodu długiego lotu — a może zbyt wielu butelek ginu, które serwowano w pierwszej klasie. W tym momencie przypominał Grayowi ich ojca, zwłaszcza z powodu cuchnącego alkoholem oddechu.

Wjeżdżając starym thunderbirdem do garażu w rodzinnym domu, dostrzegł w lusterku wstecznym swoje odbicie. Obaj bracia odziedziczyli po ojcu rumianą walijską cerę i ciemne włosy, ale on miał krótko przystrzyżone włosy, podczas gdy Kenny wiązał swoje, co wyglądało zbyt infantylnie nawet u kogoś, kto dobiegał trzydziestki. Co gorsza, był ubrany w krótkie bojówki i luźną podkoszulkę z logo firmy surfingowej. Pracował jako programista dla spółki w Palo Alto i najwyraźniej był to jego zdaniem strój służbowy.

Gray wysiadł z samochodu, starając się nie okazywać rozdrażnienia zachowaniem brata. Podczas jazdy Kenny cały czas rozmawiał przez komórkę, załatwiając interesy na Zachodnim Wybrzeżu. Nie zamienił z nim niemal słowa, traktując go jak szofera.

Ja też mam swoje obowiązki, którymi muszę się zająć.

W ciągu ostatniego miesiąca Gray zrezygnował z normalnego życia, zaabsorbowany tym, co trzeba było załatwić po śmierci matki, i coraz gorszym stanem psychicznym ojca. Kenny zjawił się na pogrzebie, obiecując, że przez tydzień będzie pomagał porządkować rodzinne sprawy, ale po dwóch dniach musiał pilnie służbowo wyjechać i wszystko spadło znów na barki Graya. Pod wieloma względami byłoby prościej, gdyby Kenny w ogóle się nie zjawił. Pozostawił po sobie chaotyczną stertę polis i wierzytelności, z którymi Gray musiał zrobić porządek.

Dziś się to zmieniło.

Po długiej burzliwej rozmowie Kenny zgodził się przyjechać w tym krytycznym momencie. Ich ojciec cierpiał na postępującą chorobę Alzheimera i nagła śmierć żony jeszcze bardziej go pogrzyżyła. Spędził ostatnie trzy tygodnie na oddziale leczenia zaburzeń pamięci, ale wczoraj wrócił do domu. Gray potrzebował dodatkowej pary rąk. Kenny miał wystarczająco dużo urlopu,

by móc przyjechać na całe dwa tygodnie. Tym razem Gray nie zamierzał wypuścić go wcześniej.

Sam wziął miesiąc wolnego i miał wrócić do centrali Sigmy za tydzień. Przedtem potrzebował kilku dni, by zrobić porządki w domu. Kenny miał mu w tym pomóc.

Brat wyciągnął torbę z bagażnika kabrioletu i zatrzasnął klapę, ale dotknął dłonią chromowanego zderzaka.

— A co z samochodem taty? Moglibyśmy go sprzedać. Chyba nie może prowadzić.

Gray schował kluczyki do kieszeni. Klasyczny thunderbird — kruczo czarny, z wnętrzem obitym czerwoną skórą — był dumą i radością ojca, który robił wszystko, by go odrestaurować i podrasować: zainstalował nowy gaźnik marki Holly, cewkę zapłonową, dławik elektryczny.

— Auto zostaje — oznajmił Gray. — Zdaniem neurologa, środowisko, w którym tata przebywa, powinno być możliwie stabilne i niezmienne, trzeba zachować rutynę, do której przywykł. Poza tym, nawet jeśli nie może prowadzić, będzie miał przy czym pomajstrować.

Zanim Kenny zdążył pomyśleć, co jeszcze można by sprzedać z dobytku ojca, Gray skierował się do drzwi. Nie fatygował się, żeby pomóc bratu nieść bagaż. Ostatnio zbyt wiele miał do dźwigania.

Ale Kenny jeszcze nie skończył.

— Skoro zamierzamy pozostawić wszystko po staremu, udawać, że nic się nie zmieniło, to co ja tu właściwie robię?

Gray odwrócił się na pięcie, zaciskając pięść i mając ochotę jej użyć.

— Jesteś wciąż jego synem, i najwyższa pora, żebyś to okazał.

Kenny zmierzył go wzrokiem. Jego oczy płonęły gniewem, przez co jeszcze bardziej przypominał ojca. Gray widywał wściekłość taty aż za często, zwłaszcza ostatnio, gdy jego agresję wywoływała demencja i strach. Ta złość nie była zresztą niczym nowym. Ojciec zawsze był twardym człowiekiem. Pracował przy wydobywaniu ropy w Teksasie, dopóki wypadek na platformie nie pozbawił go większej części lewej nogi i całej dumy, zamieniając nafciarza w gospodynię domową. Wychowywanie dwóch chłopców, podczas gdy jego żona podjęła pracę, przychodziło mu z trudem. Aby sobie to zrekompensować, prowadził dom niczym obóz dla rekrutów. A Gray — uparty jak ojciec, urodzony buntownik — zawsze stawiał opór. Aż w końcu, w wieku osiemnastu lat, po prostu spakował rzeczy i wstąpił do wojska.

To dzięki matce, która była spoiwem rodziny, znów się wszyscy połączyli.

A teraz ona odeszła.

Co zrobią bez niej?

Kenny przytargał w końcu swoją torbę i mijając brata, wymamrotał słowa, które — jak wiedział — zranią go jak zardzewiały drut kolczasty:

— To nie ja zabiłem mamę.

Miesiąc temu taki cios w brzuch powaliłby Graya na kolana. Ale po obowiązkowych sesjach u psychiatry — których kilka opuścił — oskarżenie brata sprawiło jedynie, że znieruchomiał i na chwilę stanął w miejscu. Matka zginęła w wybuchu miny pułapki przeznaczonej dla Graya. Psychiatra, starając się pozbawić go poczucia winy, użył określenia: „przypadkowa strata”.

Podczas pogrzebu nie otwarto trumny.

Nadal nie potrafił zmierzyć się wprost ze swoim bólem. Szedł przed siebie jedynie dzięki determinacji, że ujawni i zniszczy tajną organizację, która stała za tą bezduszną zbrodnią.

I właśnie to zrobił w tym momencie: odwrócił się i postąpił krok naprzód, a potem następny.

Tylko tyle mógł na razie zrobić.

W rejonie Seszeli

Godzina 22.58 czasu miejscowego

Coś obudziło ją w nocy na pokładzie zakotwiczzonego jachtu.

Amanda instynktownie wsunęła rękę pod swój nabrzmiący brzuch, natychmiast kontrolując sytuację. Czy to był skurcz? W trzecim trymestrze ciąży instynkt macierzyński kazał jej przede wszystkim chronić nienarodzone dziecko.

Nie czuła żadnego bólu w brzuchu, tylko zwykły nacisk na pęcherz, ale była po dwóch poronieniach i paniczne trzepotanie serca nie chciało ustąpić. Próbowwała sobie tłumaczyć, że pozostała dwójka dzieci — chłopca i dziewczynkę — straciła w pierwszym trymestrze.

Mija już trzydziesty szósty tydzień. Wszystko jest w porządku.

Uniosła łokieć. Mąż chrapał cicho obok niej na łóżku w głównej kabinie jachtu, a jego ciemna skóra odznaczała się wyraźnie na tle białej satynowej poduszki. Umięśnione ciało Macka i jego męski czarny zarost na policzkach i podbródku dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Był jej Dawidem Michała Anioła, wyrzeźbionym z czarnego granitu. A jednak nie potrafiła pozbyć się niepokoju, przesuając palcem po jego nagim torsie i wahając się, czy go obudzić, choć pragnęła, by objął ją swymi silnymi ramionami.

Jej rodzice — których arystokratyczne rody żyły od pokoleń na Starym Południu — zgodzili się nie bez zastrzeżeń na to nowoczesne małżeństwo. Ale w sumie związek Amandy i Macka dobrze służył rodzinie. Ona była niebieskooką blondynką wychowaną w świecie kotyliionów i przywilejów, on miał czarne włosy, ciemną skórę i oczy i zahartowało go trudne dzieciństwo na ulicach Atlanty. Nietypowa para stała się sztandarem rodzinnej tolerancji, po który sięgano w razie potrzeby. Ale w tym wzorcu szczęśliwej rodziny brakowało jednego kluczowego elementu: dziecka.

Gdy w ciągu roku nie zaszła w ciążę — z powodu problemów z płodnością męża — postanowili skorzystać z zapłodnienia in vitro, korzystając ze spermy dawcy. Za trzecim razem, po dwóch poronieniach, odnieśli w końcu sukces.

Położyła znów dłoń na brzuchu, jakby chcąc go osłonić.

To był chłopiec.

I nagle zaczęły się kłopoty. Tydzień temu dostała tajemniczą wiadomość z ostrzeżeniem, by uciekała, nie informując rodziny. List zawierał tylko ogólne wyjaśnienia, wystarczające jednak, żeby przekonać ją do ucieczki.

Z górnego pokładu dobiegł głośny łoskot. Usiadła wyprostowana, wyęzając słuch.

Jej mąż przewrócił się na plecy, przecierając sennie oczy.

— Co się dzieje, kochanie?

Pokręciła głową i uniosła dłoń, by go uciszyć. Zachowali wszelkie środki ostrożności, niczego nie zaniedbując. Wynajęli kilka prywatnych samolotów, fałszowali dokumenty i trasy przelotów i przed tygodniem wylądowali po drugiej stronie świata, na lotnisku na wysepce Assumption w archipelagu Seszeli. Kilka godzin później wypłynęli prywatnym jachtem między łańcuch wysp rozciągających się szmaragdowym łukiem na lazurowym morzu. Amanda chciała być odizolowana, z dala od wścibskich oczu — a jednocześnie dość blisko stolicy Seszeli, Victorii, na wypadek gdyby pojawił się jakiś problem z ciążą.

Odkąd tam przybyli, tylko kapitan i dwaj członkowie jego załogi widzieli ich twarze, lecz żaden nie znał ich prawdziwych nazwisk.

Plan wydawał się doskonały.

Dotarły do niej przytłumione głosy. Nie mogła rozróżnić słów, ale usłyszała ostre groźby, a potem strzał, dźwięczny i głośny jak brzęk czyneli.

Serce zaczęło jej walić jak młotem.

Nie teraz, nie, kiedy jesteście tak blisko.

Mack wyskoczył z pościeli w samych bokserkach.

— Zostań tutaj, Amando! — Otworzył górną szufladę szafki nocnej i wyciągnął duży czarny automatyczny pistolet, służbową broń z czasów, gdy był policjantem w Charlestonie. Wskazał w głąb kabiny. — Schowaj się w łazience.

Nogi ugięły się pod nią ze strachu. Brzuch utrudniał jej ruchy.

Mack rzucił się do drzwi i zajrzał przez wizjer. Po chwili otworzył je na tyle, by wyslizgnąć się na zewnątrz, i zamknął bezgłośnie za sobą, rzuciwszy przedtem:

— Przekręć klucz!

Wykonała jego polecenie, po czym rozejrzała się po kabinie za jakąkolwiek bronią. Znalazła nożyk używany do krojenia świeżych owoców, które dostarczano co rano do kabiny. Trzonek był nadal lepki od soku z papai. Ściskając go w rękę, podeszła do łazienki, ale przystanęła w progu. Nie mogła wejść do środka. Nie chciała być uwięziona w tak ciasnej przestrzeni. Niewielkie pomieszczenie nie pomieściłoby ogromu jej strachu.

Rozległy się kolejne strzały, krzyki i przekleństwa.

Osunęła się na kolana, zaciskając w jednej ręce nożyk, a drugą podtrzymując brzuch. Dziecko w jej łonie też się niepokoiło. Poczowała lekkie kopnięcie.

— Nie pozwolę im cię skrzywdzić — szepnęła do swego chłopca.

Z góry dochodził tupot nóg.

Podniosła głowę, jakby chciała dostrzec przez sufit oświetlony gwiazdami pokład. Co się tam działo? Ilu ich było?

Potem usłyszała ciche drapanie o drzwi... i delikatne pukanie.

Podeszła szybko i przytknęła oko do wizjera. Mack skinął do niej głową, po czym odwrócił wzrok w kierunku korytarza. Czyżby znalazł drogę ucieczki z jachtu — czy w desperacji po prostu wrócił, by jej bronić?

Zdrętwiałymi palcami przekręciła klucz w zamku i gdy zaczęła uchylać drzwi, ktoś otworzył je na oścież kopniakiem. Cofnęła się zaszokowana. Do kajuty wtargnął wysoki czarny mężczyzna z nagim torsem — ale nie był to Mack.

Trzymał w prawej ręce odciętą głowę Macka, z której spływała mu po ramieniu lśniąca krew. W drugiej ręce miał równie zakrwawioną maczetę. Uśmiechał się szeroko, pokazując białe zęby jak rekin, najwyraźniej rozbawiony swoim żartem.

Amanda cofnęła się przerażona, zapominając o nożyku.

Zza potwora wyłoniła się kolejna postać. Błady mężczyzna w idealnie skrojonym białym garniturze. Jedyne barwne akcenty stanowiły jego czarne włosy i cienki wąs nad jeszcze cieńszymi wargami. Był na tyle wysoki, że musiał się pochylić, by wejść do kajuty. On również się uśmiechnął, ale przepraszająco, jakby zakłopotany obcesowością swego towarzysza.

Wypowiedział kilka ostrych słów w jakimś afrykańskim dialekcie, najwyraźniej go besztając.

Ten drugi, wzruszywszy ramionami, cisnął głowę jej męża na łóżko.

— Pora już iść — rozkazał jej z wytwornym brytyjskim akcentem mężczyzna w garniturze, jakby zapraszał ją na przyjęcie.

Nie ruszyła się z miejsca. Nie potrafiła.

Brytyjczyk westchnął i dał znak swemu towarzyszowi.

Ten podszedł do niej, chwycił ją brutalnie za łokieć i wyciągnął za drzwi. Brytyjczyk podążył za nimi przez krótki korytarz i po schodkach na pokład rufowy.

Zobaczyła tam obraz jeszcze większej grozy i chaosu.

Kapitan i jego dwaj ludzie, wraz z dwoma napastnikami, leżeli w kałużach krwi. Atakujący zginęli od kul. Załogę jachtu brutalnie poćwiartowano.

Ocalali napastnicy zgromadzili się na pokładzie lub w pokiereszowanej łodzi, przywiązanej do relingu sterburty. Kilku przeczesywało jacht, wyciągając skrzynki z winem, torby z zapasami i to, co miało jakąkolwiek wartość. Wszyscy byli czarnoskórcy, niektórzy nosili plemienne tatuaże, wielu było jeszcze dziećmi. Mieli cały arsenał broni: zardzewiałe maczety, starego typu automatyczne karabiny i pistolety.

Piraci.

W blasku księżyca, przy świeżym podmuchu wieczornego południowo-wschodniego wiatru, rozjaśniło jej się w głowie na tyle, że dopadła ją rozpacz i gorzkie poczucie winy. Sądziła, że na Szeszelach są dostatecznie daleko od Rogu Afryki, aby nie zagrażali im współcześni piraci grasujący na tych wodach.

Fatalny błąd.

Popchnięto ją w kierunku zakotwiczonej łodzi. Towarzyszył jej Brytyjczyk. Czytała gdzieś w raportach ojca, jak kilku europejskich ekspatriantów zajęło się wspieraniem i finansowaniem nowego intratnego przemysłu — piractwa.

Spojrzała na Brytyjczyka, zastanawiając się, jakim cudem podczas tej rzezi nie zaplamiał sobie nieskazitelnego garnituru ani jedną kroplą krwi.

Musiał dostrzec jej spojrzenie i gdy dotarli do relingu sterburty, odwrócił się do Amandy.

— Czego ode mnie chcecie? — spytała, wpatrując się w niego przenikliwie i czując nagle ulgę, że żadne dokumenty na pokładzie nie ujawniają jej prawdziwej tożsamości. — Jestem nikim.

W obliczu jej stalowej determinacji Brytyjczyk opuścił wzrok — ale nie z powodu wstydu czy wyrzutów sumienia.

— Nie potrzebujemy ciebie tylko twojego dziecka — odparł, spoglądając na jej brzuch.

Takoma Park, Maryland

Godzina 19.00 czasu miejscowego

Opierając o biodro torbę z prowiantem, Gray otworzył zaopatrzone w siatkę tylne drzwi rodzinnego domu. Uderzył go w nozdrza zapach cynamonu z pieczonego ciasta. Wracając z siłowni, dostał wiadomość od Kenny'ego, żeby przywiózł francuskie waniliowe lody i parę innych specjałów potrzebnych na dzisiejszą rodzinną kolację — pierwszą od tragicznej śmierci matki.

Rzuciwszy okiem na kuchenkę, zobaczył duży garnek z bulgoczącym sosem bolońskim. Obok zlewu ociekało w sicie spaghetti. Syczenie pary skierowało jego uwagę z powrotem na garnek. Dopiero teraz spostrzegł, że czerwony sos gwałtownie wrze. Niepilnowany i zapomniany, wykypiał spod pokrywki, wylał się z garnka i skwierczał na kuchence gazowej.

Coś było nie w porządku.

Potwierdził to wrzask dobiegający z sąsiedniego pokoju:

— GDZIE SĄ MOJE KLUCZE?!

Gray rzucił torbę z prowiantem na blat, wyłączył palnik i ruszył do salonu.

— KTOŚ KRADNIE MÓJ SAMOCHÓD!

Minąwszy jadalnię, Gray trafił na awanturę w salonie. Stojący na środku kamienny kominek, zimny teraz i ciemny, otaczały wyściełane meble. Ojciec wyglądał jak szkielet w odchylanym fotelu obok panoramicznego okna. Kiedyś wypełniał ten fotel, dominując w całym salonie. Teraz był kruchym cieniem dawnego siebie.

A jednak pozostał silny. Próbował podźwignąć się z fotela, ale Kenny zacisnął mu dłonie na ramionach. Pomagała mu drobna kobieta o krótko przyciętych kasztanowo-siwych włosach, ubrana w błękitny fartuch. Przyklękąwszy na jedno kolano, trzymała jego ojca za rękę i uspokajała go.

Mary Benning była dyplomowaną pielęgniarką szpitalnego oddziału zaburzeń pamięci. Przebywając tam, ojciec zapałał do niej sympatią. Gray zdołał ją wynająć, by pełniła przy nim nocne dyżury w domu i była pod ręką, gdy ojciec najbardziej potrzebował pomocy. Kenny miał go pilnować w ciągu dnia, aż Gray i Mary zatrudnią drugą pielęgniarkę, by zapewnić mu całodobową opiekę. Był to duży wydatek, ale dyrektor Crowe, szef Graya, załatwił stosowną rekompensatę, aby pokryć koszty i umożliwić ojcu Graya pobyt w domu.

— Harriet! Puść mnie! — Ojciec uwolnił rękę z uścisku Mary, niemal uderzając Kenny'ego łokciem w nos.

Pielęgniarka trzymała nadal rękę na jego kolanie, ściskając je uspokajająco.

— Jack, to ja, Mary.

Spojrzał jej w oczy zdezorientowany i opadł na fotel, gdy nagle wróciła mu pamięć.

Mary zerknęła na Graya.

— Pański ojciec widział, jak przyjechał pan z zakupami. Zobaczył thunderbirda. Trochę spanikował i nie wiedział, co się dzieje. Zaraz się pozbiera.

Kenny wyprostował się, wyraźnie wstrząśnięty. Nigdy przedtem nie widział ojca w takim stanie. Cofnął się zaszokowany.

W tym momencie ojciec zwrócił na niego uwagę. Zrobił wielkie oczy.

— Kenny, skąd się tu wzięłeś?

Kenny nie wiedział, co odpowiedzieć, wciąż zdumiony faktem, że pamięć ojca przypomina ser szwajcarski.

Mary przyszła mu w sukurs, nie ukrywając prawdy, tylko klepiąc ojca po kolanie.

— Jack, on jest tu przez cały dzień.

Ojciec rozejrzał się po ich twarzach, po czym opadł na fotel.

— O tak, słusznie... pamiętam...

Ale czy tak było? Czy tylko przytakiwał, próbując udawać normalność?

Kenny rzucił bratu przerażone, lodowate spojrzenie.

Witaj w moim świecie, pomyślał Gray.

— Lepiej skończę szykować kolację — oznajmiła Mary, wstając i otrzepując z kurzu kolano.

— A ja się rozpakuję. — Kenny chciał jak najszybciej wyjść.

— Dobry pomysł. I umyj ręce — rozkazał ojciec takim tonem jak kiedyś. — Twój pokój jest...

— Nie zapomniałem, gdzie jest — przerwał mu Kenny, nie bacząc na niestosowność tej uwagi wobec człowieka z chorobą Alzheimera.

Ale tata tylko skinął głową z zadowoleniem.

Gdy Kenny wychodził, ojciec zauważył w końcu obecność Graya. Wyraz dezorientacji na jego twarzy zastąpił dawny gniew. Ojciec potrzebował niemal dwóch tygodni, by przyjąć do wiadomości i zapamiętać, że żona nie żyje, więc w jego umyśle była to nadal świeża rana. Znał również przyczynę tej straty. To zawsze pamiętał. W ciągu minionych tygodni było wiele złych dni, ale co obaj mogli na to poradzić? Żadne słowa nie mogły jej przywrócić.

Wszyscy w pokoju drgnęli, słysząc pukanie do drzwi. Gray w napięciu oczekiwał najgorszego.

Kenny, który był najbliżej drzwi, otworzył je.

Na ganku stała gibka dziewczyna w rdzawoczerwonej bluzce i luźnej czarnej skórzanej kurtce motocyklowej. Pod ręką trzymała kask.

Gray podszedł do drzwi. Na jej widok dzień przestał nagle być ponury.

— Seichan, co tu robisz?

— Nie pozwól damie stać na progu, Kenny! — wtrącił ojciec, zapraszając ją gestem do środka. Może tracił pamięć, ale potrafił rozpoznać atrakcyjną kobietę, gdy zjawiała się w jego domu.

— Dziękuję, panie Pierce. — Seichan wślizgnęła się do środka, poruszając się z gracją dzikiej kocicy, smukłej, zwinnej i umięśnionej. Mijając Kenny'ego oszacowała go spojrzeniem; najwyraźniej nie zrobił na niej wrażenia.

Potem przeniosła wzrok na twarz Graya i jej oczy spochmurniały — nie ze złości, bardziej z z troskania. Prawie ze sobą nie rozmawiali, odkąd trzy tygodnie temu połączył ich pocałunek i obietnica. Nie było to romantyczne ślubowanie, tylko przyrzeczenie, że będzie z nim współpracować, żeby zdemaskować tych, którzy przyczynili się do zabójstwa jego matki.

Gray zapamiętał jednak miękkość tych warg.

Czy za obietnicą kryło się coś więcej, coś jeszcze niewypowiedzianego?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, ojciec wskazał na stół.

— Właśnie siadamy do kolacji. Może pani do nas dołączy?

— Bardzo dziękuję — odparła oficjalnie. — Ale nie zostanę długo. Muszę tylko zamienić słowo z pana synem.

Jej oczy w kształcie migdałów — świadczące o euroazjatyckim pochodzeniu — wpatrywały się intensywnie w Graya.

Coś się wydarzyło.

Seichan była kiedyś zabójczynią w tej samej tajnej organizacji, która odpowiadała za śmierć jego matki — międzynarodowej grupie przestępczej nazywanej Gildią. Jej prawdziwa tożsamość i cele pozostawały nieznane nawet zatrudnionym w niej agentom. Organizacja działała za pośrednictwem indywidualnych komórek na całym świecie, funkcjonujących niezależnie, bez wiedzy o pozostałych. Seichan zwróciła się w końcu przeciw Gildii, zwerbowana przez dyrektora Crowe'a, aby służyć jako podwójny agent, dopóki podstęp się nie wydał. Teraz — ścigana zarówno przez byłych pracodawców, jak i zagraniczny wywiad za dawne zbrodnie — była partnerką Graya i jego podopieczną.

A może kimś więcej.

Podszedł do niej.

— Co się dzieje?

— Miałam telefon od dyrektora Crowe'a — odparła, zniżając głos. — Od razu tu przyjechałam. Somalijscy piraci porwali na Seszelach jakąś amerykańską szybę. Painter chciał wiedzieć, czy weźmiesz udział w misji.



Gray uniósł brwi. Dlaczego Sigmę angażowano do sprawy zwykłego porwania? Takim przestępstwem mogła się zająć policja albo marynarka. Jednostka Sigma — złożona z żołnierzy sił specjalnych, których przeszkolono dodatkowo w różnych dziedzinach nauki — była tajnym oddziałem DARPA, Agencji do spraw Zaawansowanych Badań w Dziedzinie Obronności. Grupy Sigmy wysyłano w różne rejony świata dla obrony przed globalnymi zagrożeniami, a nie w przypadku porwania pojedynczego Amerykanina.

Seichan, która musiała wyczytać podejrzliwość w twarzy Graya, wbiła w niego wzrok. Najwyraźniej wiedziała więcej, ale nie mogła mówić swobodnie w obecności pozostałych. Działo się coś poważnego. Uświadomiwszy to sobie, poczuł szybsze bicie serca.

— Nie ma czasu do stracenia — dodała. — Jeśli jedziesz, odrzutowiec tankuje już paliwo, a Kowalski jest w drodze, żeby nas zabrać. Możemy wpaść po drodze do twojego mieszkania. Instrukcje otrzymamy na trasie.

Zerknął na fotel obok zimnego kominka. Ojciec słyszał ich rozmowę i patrzył synowi prosto w oczy.

— Jedź — powiedział. — Wykonuj swoją pracę. Mam tu wystarczającą pomoc.

Gray poczuł ulgę, słysząc to szorstkie przyzwolenie. Modlił się, by oznaczało ono, że ojciec choć trochę mu wybaczył. Ale jego następne słowa, wypowiedziane z goryczą, rozwiały te nadzieje.

— Poza tym, im mniej cię teraz widuję... tym lepiej...

Gray cofnął się o krok. Seichan chwyciła go za łokieć, jakby gotowa go podtrzymać. Ale bardziej niż cokolwiek uspokoiło go ciepło jej dłoni, bliskość drugiego człowieka — podobnie jak ten pocałunek sprzed tygodni.

Mary weszła do pokoju, wycierając ręce w ręcznik. Ona również słyszała te szorstkie słowa i spojrzała na Graya ze współczuciem.

— Mam tu wszystko pod kontrolą. Jest pan wolny.

Podziękował jej w milczeniu i pozwolił Seichan poprowadzić się do drzwi. Czuł potrzebę, by pożegnać się jakoś z ojcem. To pragnienie paliło go boleśnie w piersiach, ale nie znajdował słów, by je wyrazić.

Nim się zorientował, był już na werandzie. Przystanął na górnym schodku i zaczerpnął głęboko powietrza, oddychając nierównomiernie.

— Dajesz radę? — spytała Seichan.

Przejechał palcami włosy.

— Będę musiał.

Wpatrywała się jednak nadal w jego twarz, jakby poszukując prawdziwszej odpowiedzi.

Nim zdołała ją odnaleźć, pisk opon na jezdni obwieścił przybycie jego środka transportu. Oboje odwrócili się, gdy czarny SUV zatrzymał się raptownie. Przez opuszczoną szybę uleciała na zewnątrz chmura dymu z cygara. Za nią ukazała się ogolona głowa goryla żującego tytoniowy ogarek.

— Idziesz czy nie?! — zawołał szorstko Kowalski.

Choć ten facet go wkurzał, Gray nigdy nie czuł się szczęśliwszy na widok swego prymitywnego kompana. Gdy schodził z ganku, Kenny wybiegł za nim i zastąpił mu drogę.

— Nie możesz teraz wyjechać. Co ja zrobię?

Gray wskazał na dom.

— Teraz twoja kolej. A co ja robiłem przez cały czas?

Przecisnął się obok prychnącego brata i ruszył w kierunku czekającego SUV-a

i zaparkowanego motocykla Seichan.

Właśnie wkładała kask.

— Kogo jeszcze nam przydzielono? — zapytał.

— Dostaliśmy rozkaz, żeby zabrać dwie osoby, które są już na miejscu i których niezwykle umiejętności mają nam pomóc w tej misji.

— Kim oni są?

Uśmiechnęła się lekko, opuszczając pokrywę kasku. W jej słowach dochodzących z zamkniętej przestrzeni brzmiało rozbawienie.

— Mam nadzieję, że zaszczepiłeś się przeciw wściekliźnie.

## Republika Tanzanii

1 lipca, godzina 18.32 czasu miejscowego

Ostrzegło go ciche warczenie.

Tucker Wayne, zachowując czujność, przylgnął do ceglanego muru na wąskiej ulicy i wślizgnął się w mroczną niszę przy drzwiach. Godzinę temu zauważył, że ktoś go śledzi i obserwuje z daleka. Zdołał zgubić szybko ogon w labiryncie alejek i splątanych uliczek tworzących tę zrujnowaną dzielnicę miasta Zanzibar.

Kto go odnalazł?

Przywarł plecami do rzeźbionych drewnianych drzwi. Chciał pozostać w ukryciu. Od trzech lat błąkał się po świecie, a za rok kończył trzydziestkę. Przed dwoma tygodniami dotarł do archipelagu Zanzibaru, łańcucha skąpanych w słońcu wysp przy wschodnim wybrzeżu Afryki. Sama nazwa Zanzibar przywodziła na myśl inne czasy, krainę tajemnic i mitów. W takim miejscu można było zniknąć, być niewidzialnym, bo nie zadawano tu wielu pytań.

Ludzie wiedzieli, że nie należy być wścibskim.

Mimo wszystko często oglądał się za siebie, wcale nie dlatego, że był biały. Stare portowe miasto Zanzibar pozostawało mekką ludzi wszelkich ras i kolorów. A po roku podróży po Afryce skóra tak mu ogorzała jak miejscowym kupcom handlującym przyprawami na targowiskach w Kamiennym Mieście. Wysoki, muskularny — bardziej jak rozgrywający niż wspomagający gracz futbolu — spojrzenie miał tak przenikliwe, że ciekawscy szybko odwracali wzrok.

Najbardziej przyciągał jednak uwagę z innego powodu. Kain ocierał mu się o udo — milczący teraz, z wciąż zjezoną sierścią. Tucker położył rękę na boku psa, nie po to, by go uspokoić, lecz by w razie potrzeby dać sygnał swemu partnerowi. Bo byli właśnie partnerami. Kain stanowił jego część, jakby dodatkową kończynę.

Choć miał krępa posturę owczarka niemieckiego, był belgijskim psem pasterskim rasy malinois. Jego czarna sierść, miejscami jasnobrązowa, pasowała do ciemnych oczu. Tucker czuł pod ręką, jak Kain napina mięśnie.

Pół przecznicy dalej wypadł zza rogu szczupły mężczyzna, zataczając się w panice. W pośpiechu zderzył się z przeciwległą ścianą i pognął ulicą, ciągle oglądając się przez ramię. Tucker błyskawicznie ocenił, na ile ten człowiek mu zagraża.

Dwadzieścia parę lat, może mniej, mieszanka krwi azjatyckiej i hinduskiej, oczy szeroko otwarte z przerażenia, kończyny i twarz niezdrowo wychudzone — z powodu narkotyków albo niedożywienia...

Uciekający zaciskał rękę na prawym boku, ale nie udawało mu się zatamować krwawienia, na białej podkoszulce rosła szkarłatna plama. Zapach świeżej krwi musiał zaalarmować Kaina, podobnie jak paniczny tupot bosych stóp.

Tucker był gotów wyjść z cienia i pospieszyć chłopakowi z pomocą, ale powstrzymał go nacisk, który poczuł na nogach.

Chwilę później powód stał się jasny. Zza tego samego rogu wyłonili się trzej potężni mężczyźni, Afrykanie, z plemiennymi tatuażami na twarzach. Nieśli maczety i szli całą szerokością pustej ulicy; najwyraźniej byli doświadczonymi łowcami.

Chłopak również ich dostrzegł — jego i tak już paniczna ucieczka zmieniła się w pełen przerażenia sprint — ale utrata krwi i wyczerpanie zrobiły swoje. Po kilku krokach potknął się i wyciągnął jak długi na ulicy. Choć uderzył mocno o bruk, nie wydał żadnego jęku czy krzyku, po prostu uznał swoją porażkę.

To bardziej niż cokolwiek skłoniło Tuckera do wyjścia z ukrycia.

To — i coś, co wpoił mu dziadek: *W obliczu nieludzkiego postępowania dobry człowiek reaguje, ale wielki człowiek działa!*

Tucker postukał psa w bok trzema palcami, dając mu wyraźny sygnał.

Obrona.

Kain przeskoczył przez leżącego na brzuchu chłopaka i wylądował w przysiadzie po drugiej stronie, warcząc, z uniesionym ogonem i wyszczerzonymi kłami. Nagłe pojawienie się psa sprawiło, że wszyscy trzej napastnicy zamarli zaszokowani, jakby zmaterializował się przed nimi jakiś demoniczny dzin.

Tucker skorzystał z zamieszania, by wyłonić się z cienia i zaatakować najbliższego z trzech mężczyzn. Złapawszy go zręcznie za nadgarstek i uderzywszy łokciem w podbródek, przejął jego maczetę. Odepchnął go na bok, gdy drugi napastnik zakręcił w powietrzu swoją bronią. Zamiast odskoczyć, Tucker rzucił się naprzód, chwycił za śmiercionośne ramię, opasał je ręką i unieruchomił, po czym grzmotnął napastnika w nos trzonkiem trzymanej w drugiej ręce stalowej maczety.

Trzasnęła kość, chlusnęła krew.

Mężczyzna zwiotczał, ale Tucker utrzymywał go nadal w pionie za uwięzione w uścisku ramię.

Kątem oka zauważył, że trzeci i najroślejszy z napastników cofa się dwa kroki i wyciąga pistolet. Nim padły strzały, Tucker obrócił się, wykorzystując ciało schwytanego mężczyzny jako tarczę. Przy tak małej odległości okazało się to kiepską obroną. Jeden z pocisków przebił szyję mężczyzny i drasnął Tuckera w ramię.

Potem rozległ się krzyk.

Tucker odepchnął ciało na bok i zobaczył, jak Kain chwyta strzelca za rękę, wbijając mu zęby głęboko w nadgarstek. Pistolet upadł z brzękiem na bruk. Oczy mężczyzny były okrągłe z przerażenia, gdy próbował uwolnić się od psa. Krew płynęła obficie.

Dopiero po chwili potężny Afrykanin przypomniał sobie, że w drugiej ręce ma maczetę. Uniósł ją wysoko, gotowy zarąbać nią psa.

— Puść! — krzyknął Tucker.

Ledwie wydał tę komendę, Kain natychmiast jej posłuchał, uwalniając przegub mężczyzny i opadając na bruk. Ale napastnik z dzikim okrzykiem zamachiwał się już maczetą w kierunku jego szyi. Kain nie miał szans.

Tucker ruszył mu z pomocą.

Z sercem dudniącym jak młot rzucił się po porzucony pistolet i zacisnął na nim dłoń. Okręcił się na ramieniu, by unieść lufę — ale był zbyt powolny.

Maczeta załśniła w słońcu.

Huknął strzał.

Napastnik runął na plecy z roztrzaskaną połową czaszki, a maczeta wypadła mu z ręki.

Tucker spojrział na pistolet, strzał nie padł z jego broni.

W głębi ulicy pojawiły się trzy nowe postacie. Dwaj mężczyźni i kobieta. Choć byli zwyczajnie ubrani, wyglądali na wojskowych. Ich lider trzymał w ręce SIG sauera z dymiącą lufą.

— Zajmijcie się nim — powiedział, wskazując na krwawiącego chłopca na ziemi. Miał lekki teksaski akcent. — Zabierzcie go do miejscowego szpitala. Spotkamy się w punkcie ewakuacyjnym.

Mimo troski o rannego przywódcę grupy nie spuszczał z oka Tuckera. Sądząc z ostrych rysów jego twarzy, krótko przystrzyżonych czarnych włosów, nieco już przerzedzonych, i kamiennego wyrazu stalowych oczu, był niewątpliwie wojskowym.

Prawdopodobnie byłym wojskowym.

Niedobrze.

Podszedł do Tuckera, ignorując ostrzegawcze warczenie Kaina, i wyciągnął do niego rękę, by pomóc mu się podnieść.

— Trudno pana znaleźć, kapitanie Wayne.

Tucker ukrył zdziwienie, nie przyjmując wyciągniętej ręki. Wstał samodzielnie.

— To wy mnie śledziliście. Dziś rano.

— I zgubił nas pan. — W oczach nieznanego rozbłysła iskra rozbawienia. — Niełatwo tego dokonać. Już samo to świadczy, że jest pan człowiekiem, którego potrzebujemy.

— Nie jestem zainteresowany.

Tucker odwrócił się, ale tamten stanął przed nim i zastąpił mu drogę. Przytknął mu palec do piersi, co tylko jeszcze bardziej go rozdrażniło.

— Proszę posłuchać mnie przez minutę, a potem może pan odejść.

Tucker spojrział na jego palec. Nie złamał mu go tylko dlatego, że przed chwilą ten człowiek ocalił Kaina. Był mu coś winien — może nawet minutę swego czasu.

— Kim pan jest? — spytał.

Mężczyzna rozprostował dłoń, chcąc ucisnąć mu rękę.

— Komandor Gray Pierce. Pracuję dla organizacji o nazwie Sigma.

Tucker skrzywił się.

— Nigdy o niej nie słyszałem. To znaczy, że kim jesteście? Dostawcami broni, najemnikami? — Ostatnie słowo wymówił z wyraźną pogardą.

Mężczyzna opuścił rękę. Jego wzrok pojaśniał.

— Nie. Pracujemy dla DARPA.

Tucker zmarszczył brwi, ale ciekawość skłoniła go do słuchania. DARPA była agencją do spraw badań i rozwoju przy Ministerstwie Obrony. Co się tu działo, do cholery?

— Może pomówimy w spokojniejszym miejscu — zaproponował komandor.

Jego towarzysze podnieśli tymczasem rannego chłopaka, wzięli go między siebie i poprowadzili ulicą. Z okien i zza uchylonych drzwi zaczęły wyglądać ciekawskie twarze. Na rogach zamajaczyły jakieś sylwetki. W Zanzibarze przymykano oko na większość przestępstw, ale strzały i rozlew krwi nie pozostawały długo bez echa. Gdy tylko odejdą, zwłoki zostaną ograbione ze wszystkiego, co wartościowe, a wszelkie pytania spotkają się z milczeniem.

— Znam odpowiednie miejsce — rzucił Tucker i ruszył przodem.

Godzina 18.44

Gray popijał gorącą herbatę przyprawioną kardamonem. Siedział z Tuckerem Wayne'em na

tarasie dachu z widokiem na Ocean Indyjski, na trójkątne żagle starych drewnianych *dau*, sylwetki statków handlowych i turystyczne jachty. Chwilowo mieli hotelową restauracyjkę dla siebie.

U stóp budynku rozbrzmiewało gwarem niewielkie targowisko, roztaczając woń gałki muszkatołowej, cynamonu, wanilii, goździków i niezliczonych innych przypraw, które kiedyś zwabiały na tę wyspę sułtanów i napędzały handel niewolnikami. Wyspa wiele razy przechodziła z rąk do rąk, czego oczywistym dowodem była unikatowa mieszanka tradycji mauretańskich, bliskowschodnich, hinduskich i afrykańskich. Za każdym rogiem miasto zmieniało twarz i nie dawało się skategoryzować.

To samo można było powiedzieć o nieznanym, który siedział naprzeciwko niego przy wąskim stole. Gray odstawił filiżankę na pęknięty spodek. Wielka mucha, zwabiona słodką herbatą, zatoczyła krąg nad stołem, przysiadła na blacie i zmierzała w kierunku filiżanki.

Gray zamierzył się na nią, ale nim zdążył uderzyć ręką w stół, Tucker powstrzymał cios, chwytając go za nadgarstek.

— Nie trzeba — powiedział, po czym odpędził łagodnie muchę i wpatrzył się ponownie w odległe o prawie tysiąc metrów morze.

Gray potarł przegub, obserwując, jak mucha — nieświadoma, że ocalono jej życie — odleciała leniwie z głośnym brzęczeniem.

Tucker odchrząknął w końcu i spytał:

— Czego ode mnie chcesz?

Gray skoncentrował się ponownie na sprawie, którą mieli omówić. W drodze do Afryki zapoznał się z dossier byłego komandosa. Tucker był doskonałym treserem psów i cechowała go niezwykła empatia, co pomagało mu nawiązywać emocjonalny kontakt z podwładnymi, czasem nawet zbyt bliski. Badania psychologiczne przypisywały te jego zdolności traumie z wczesnego dzieciństwa. Wychowywany w Dakocie Północnej, został sierotą, gdy rodzice zginęli w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę. Zajął się nim dziadek, który zmarł na atak serca, gdy Tucker miał trzynaście lat. Potem oddawano go rodzinom zastępczym, aż w wieku siedemnastu lat uzyskał prawo do decydowania o swoim losie i wstąpił do wojska. Najwyraźniej z powodu tak powikłanego dzieciństwa przywiązywał się do zwierząt bardziej niż do ludzi.

A jednak Gray wyczuwał, że wyniki badań psychiatrycznych i testów nie mówią o tym człowieku wszystkiego. Pozostawał zagadką. Dlaczego, na przykład, zrezygnował nagle ze służby i zniknął, choć miał całą kolekcję odznaczeń, w tym Purpurowe Serce zdobyte podczas jednej z najkrwawszych bitew w Afganistanie — Operacji Anakonda w Takur Ghar.

Mijał czas, więc Gray przeszedł do rzeczy.

— Kapitanie Wayne, w czasie swojej kariery wojskowej specjalizował się pan w uwalnianiu i ratowaniu ludzi. Pański dowódca twierdzi, że nikt nie był w tym lepszy.

Tucker wzruszył ramionami.

— Pan i pański pies...

— Kain — przerwał mu Tucker. — Ma na imię Kain.

Słyszac słowa swojego pana, pies uniósł kudłate lewe ucho. Leżał rozciągnięty na podłodze, sprawiając wrażenie sennego i mało czujnego, ale Gray wiedział, jak jest naprawdę. Pysk Kaina spoczywał na czubku buta Tuckera. Był gotowy na każdy sygnał swego partnera. Gray czytał również dossier Kaina. Ten szkolony wojskowy pies rozpoznawał tysiąc słów i sto gestów. Łączyły ich bardziej intymne więzi niż męża i żonę, a przy wyostrzonych zmysłach Kaina i jego umiejętności poruszania się w miejscach, gdzie człowiek nie mógł dotrzeć, obaj byli

zastraszająco skuteczni.

Gray potrzebował ich doświadczenia.

— Jest do wykonania misja — oznajmił. — Otrzyma pan wysokie wynagrodzenie.

— Przykro mi. Nie wystarczy nawet złota z Fort Knox.

Gray był przygotowany na taką odpowiedź.

— Może i nie, ale odchodząc ze służby, ukradł pan własność rządową.

Tucker wbił w niego wzrok, twardy jak diament. W tym spojrzeniu Gray wyczytał, że rozgrywając swą atutową kartę, musi być bardzo ostrożny.

— Wyszkolenie wojskowego psa — kontynuował — kosztuje setki tysięcy dolarów i wiele godzin pracy. — Nie odważył się nawet spojrzeć w kierunku Kaina. Wpatrywał się tylko w Tuckera.

— To były godziny mojej pracy — odparł ponuro Tucker. — Wyszkoliłem zarówno Kaina, jak i Abła. I niech pan zobaczy, co się stało z Ablem. Tym razem to nie Kain go zabił.

Gray znał z akt brutalne szczegóły tego wydarzenia i starał się unikać drażliwego tematu.

— Mimo wszystko Kain jest własnością rządu, bezcenną bronią i wyszkolonym tropicielem. Proszę wypełnić tę misję, a będzie pan go mógł zatrzymać, za darmo i legalnie.

Tucker wykrzywił z odrazą kącik ust.

— Kain nie jest niczyją własnością, komandorze. Ani amerykańskiego rządu, ani sił specjalnych, ani nawet moją.

— Rozumiem, ale tak brzmi nasza propozycja.

Tucker przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym nagle oparł się plecami o krzesło, prostując się i krzyżując ręce na piersi. Nie wyrażał na nic zgody, gotów był jedynie słuchać.

— Więc raz jeszcze: do czego mnie potrzebujecie?

— Chodzi o odbicie kogoś. O akcję ratunkową.

— Gdzie?

— W Somalii.

— Kto to jest?

Gray zmierzył wzrokiem swego rozmówcę. Szczegół, który zamierzał ujawnić, znała tylko garstka ludzi zajmujących najwyższe stanowiska w rządzie. Był zaszokowany, gdy przekazano mu tę informację. Gdyby porywacze się o tym jakoś dowiedzieli...

— Kto to jest? — naciskał Tucker.

Kain musiał wyczuć rosnący niepokój partnera, bo warknął cicho, wyrażając swój protest.

Gray odpowiedział im obu:

— Potrzebujemy pańskiej pomocy, by uwolnić córkę prezydenta.

Waszyngton, D.C.

1 lipca, godzina 11.55 czasu miejscowego

Teraz można było naprawdę zabrać się do pracy.

Dyrektor Painter Crowe czekał na najniższym piętrze Zachodniego Skrzydła, aż opustoszeje Pokój Dowodzenia. Cała procedura była starannie wyreżyserowanym teatrem władzy: kto pierwszy wychodzi, kto komu podlega, kto komu towarzyszy.

Kręciło mu się od tego w głowie.

Painter spędził całe trzy godziny na strategicznej naradzie z ludźmi prezydenta z Białego Domu. Najwyższej rangi urzędnicy zajmowali miejsca w skórzanych fotelach, rozstawionych wokół głównego stołu konferencyjnego. Byli wśród nich: szef sztabu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, szef Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sekretarz obrony i kilku innych. Było to zamknięte posiedzenie: żadnych asystentów, zastępców, sekretarek, tylko szefostwo. Nie wpuszczono nawet całodobowej ochrony Pokoju Dowodzenia.

Omawiane tam tajemnice miało znać jak najmniej osób.

Na początku spotkania przedstawiono Paintera jako reprezentanta DARPA, na co kilku ludzi zareagowało uniesieniem brwi, zwłaszcza sekretarz obrony. Painter, ubrany w tradycyjny garnitur, był o dziesięć lat młodszy niż wszyscy pozostali i w jego ciemnych włosach widniał tylko pojedynczy siwy kosmyk, zaczesany za ucho i wyglądający jak ptasie pióro, co podkreślało jego indiański rodowód.

Nikt nie pytał, dlaczego prezydent wezwał Paintera na to zamknięte zebranie. Niewielu z nich wiedziało w ogóle o istnieniu Sigmy, a co dopiero o jej zaangażowaniu w tę sprawę.

I właśnie tego prezydent sobie życzył.

Tak więc Painter siedział w milczeniu na jednym z krzeseł przeznaczonych dla osób niższych rangą, z dala od prezydenta, obserwując i odnotowując to i owo, zarówno w myślach, jak i w swoim laptopie.

Prezydent James T. Gant wezwał ich wszystkich na poranną odprawę, aby uzyskać aktualne informacje na temat porwania swojej dwudziestopięcioletniej córki, Amandy Gant-Bennett. Minęło dwadzieścia godzin od chwili, gdy o północy zaatakowano jej jacht. Kapitan łodzi zdołał wysłać przez radio sygnał SOS, a nawet unieruchomił silniki, zanim napastnicy wtargnęli na pokład i zabili wszystkich, w tym męża Amandy. Na ściennych ekranach pojawiały się ponure zdjęcia tej masakry.

Painter obserwował wyraz twarzy prezydenta, gdy pokazywano te fotografie: bolesny skurcz kącików oczu, zaciśnięte szczęki, bladość cery. Wszystko to wydawało się prawdziwe, stanowiło naturalną reakcję przerażonego ojca, któremu zaginęło dziecko.

Ale pewne szczegóły nie miały sensu.

Na przykład, dlaczego jego córka podróżowała z fałszywym paszportem?

Już z powodu tej tajemniczej okoliczności stracili kilka kluczowych godzin podczas poszukiwań zaginionej dziewczyny. W odpowiedzi na sygnał SOS straż przybrzeżna Seszeli



poinformowała natychmiast o ataku piratów, precyzując, że chodzi o amerykańskich obywateli, ale dopiero wówczas, gdy w kabinie jachtu zdjęto odciski palców i zidentyfikowano ofiary jako córkę prezydenta i jej męża, w Stanach wszczęto alarm.

Z powodu tego zamieszania stracili kilka cennych godzin.

Dziewczyna mogła zapłacić za to życiem.

James Gant stał w drzwiach Pokoju Dowodzenia i ścisnął dłoń ostatniemu z wychodzących mężczyzn. Obejmował ją dwiema rękami z wyjątkową serdecznością.

— Dzięki, Bobby, że przycisnąłeś NRO, żeby zmienili tak szybko kurs tego satelity.

Bobby, czyli sekretarz stanu Robert Lee Gant, był starszym bratem prezydenta i zasłużonym politykiem. Gładko ogolony, siwowłosy, o orzechowozielonych oczach, miał sześćdziesiąt sześć lat. Nikt nie wątpił, że zasłużył na swoje stanowisko — nawet członkowie opozycyjnej partii nie zarzucali prezydentowi nepotyzmu, gdy go mianował. Robert Gant służył trzem rządóm, obu politycznych opcji. Pod koniec lat osiemdziesiątych był ambasadorem w Laosie, a w latach dziewięćdziesiątych odegrał kluczową rolę w przywróceniu relacji dyplomatycznych z Kambodżą i Wietnamem.

A teraz z równą gorliwością pomagał młodszemu bratu.

— Nie martw się, Jimmy. NRO w ciągu godziny umieści satelitę na orbicie okołoziemskiej nad wybrzeżem Somalii. Zadbam, żeby zajrzeli pod każdy kamień. Znajdziemy ją.

Prezydent skinął głową, ale nie wydawał się przekonany obietnicą brata.

Gdy sekretarz stanu wyszedł, Painter został sam z przywódcą wolnego świata. Prezydent przecesał ręką szpakowate włosy, po czym potarł dłonią szczeciniasty zarost na podbródku. Nie spał, odkąd dotarła do niego tragiczna wiadomość. Miał na sobie wciąż to samo ubranie, zdjął tylko marynarkę i podwinął rękawy koszuli. Stał przez chwilę wyprostowany, pogrążony w myślach, potem opuścił ramiona i wskazał na drugie drzwi.

— Wyjdźmy z tej cholernej szopy — powiedział, używając potocznego określenia Pokoju Dowodzenia. Pod nieobecność swojej ekipy mówił z wyraźnie karolińskim akcentem. — Mój gabinet jest obok.

Painter podążył za nim do bardziej kameralnego pomieszczenia. Był tam również stół konferencyjny, ale mniejszy, ustawiony przy ścianie z dwoma monitorami.

Prezydent opadł z ciężkim westchnieniem na jeden z foteli, jakby dźwigał na swoich barkach cały świat. Painter wyobrażał sobie, że czasem tak jest. Ale ten dzień był gorszy.

— Proszę usiąść, panie dyrektorze.

— Dziękuję, panie prezydencie.

— Proszę mi mówić Jimmy. Jak wszyscy moi przyjaciele. A od tej chwili jest pan moim najlepszym przyjacielem, bo ma pan największe szanse, by odnaleźć moją córkę i wnuka.

Painter usiadł powoli, ostrożnie, czując, jak ciężar świata obarcza częściowo jego ramiona. To stanowiło osobny problem. Amanda była w trzecim trymestrze ciąży.

Co więc robiła na Szeszelach, podróżując z fałszywymi dokumentami?

Prezydent przenikał go błękitnymi jak lód oczami. Siła jego charyzmy była jak podmuch wiatru w twarz.

— Sigma ocaliła mi kiedyś życie — powiedział. Rzeczywiście tak było. Między innymi dlatego wezwał Paintera, by wziął udział w poszukiwaniach. — Potrzebuję kolejnego cudu, panie dyrektorze.

Ten człowiek rozumiał przynajmniej powagę sytuacji. Na razie somalijscy piraci nie mieli pojęcia, kogo porwali. Amanda była dla nich tylko kolejnym amerykańskim zakładnikiem.

Gdyby jednak poznali jej prawdziwą tożsamość, mogli wpaść w panikę i zamordować ją, wrzucić jej ciało do najbliższej wypełnionej krokodylami rzeki i pozbyć się problemu. Albo ukryliby ją tak dobrze na jakimś zapomnianym przez Boga odludziu, że nie byłoby nadziei na żadną akcję ratunkową, dopóki nie spełniono by ich żądań. A nawet wtedy mogłaby zginąć. Szef Departamentu Bezpieczeństwa wspomniał dziś rano o trzeciej — mrożącej krew w żyłach — opcji: mogłaby zostać sprzedana rządowi jakiegoś wrogiego kraju i wykorzystana jako karta przetargowa, aby wymusić ustępstwa na amerykańskich władzach.

Cel był więc jasny: odnaleźć Amandę, zanim porywacze dowiedzą się prawdy.

— Jakie wnioski po porannej naradzie? — spytał prezydent.

— Pańscy ludzie mają pełniejszy obraz sytuacji. Niczego bym nie zmieniał. Trzeba wysłać w ten region zespół szybkiego reagowania i być gotowym do natychmiastowego uderzenia, koordynując z CIA zasoby ludzkie będące do dyspozycji w Rogu Afryki. Ale dopóki nie dostaniemy nowych zdjęć satelitarnych z wybrzeży Somalii, działamy w ciemno.

Dzięki fotografiom z satelitów przelatujących w czasie ataku piratów nad Oceanem Indyjskim zdołali uzyskać obraz samego momentu porwania. Ostrość była kiepska, ale dało się odróżnić jacht i statek napastników. Odpłynął na wschód, ku wybrzeżom Afryki. Niestety, po godzinie znalazł się poza zasięgiem satelity, nie wiedzieli więc, gdzie dokładnie przybił do lądu. Mógł znajdować się gdziekolwiek na wschodnioafrykańskim wybrzeżu, ale jego najbardziej prawdopodobną bazą była Somalia — kolebka piratów. Narodowe Biuro Rozpoznania (NRO) wysłało nowego satelitę, by pomógł w poszukiwaniach zaginionego statku wzdłuż skalistego brzegu.

Ale nie z tym wiązali największe nadzieje.

— Panie prezydencie, potrzebujemy akcji na lądzie — kontynuował Painter. — Najlepsze szanse na sukces daje chirurgiczna operacja, wysłanie w teren niewielkiej ekipy poszukiwawczo-ratunkowej.

— Rozumiem. Jeśli dobierzemy im się do tyłków zbyt brutalnie, zorientują się, że ich zakładniczka jest kimś ważnym.

— I zapadnie się pod ziemię. — Painter pożałował doboru słów, zaledwie je wypowiedział.

Twarz Jamesa Ganta poszarzała, ale okazał się silny i ruchem ręki nakazał Painterowi mówić dalej.

— Zespół, o którym panu mówiłem, jest już na miejscu. Będę nadal współpracował z NSA, NRO i moimi przełożonymi z DARPA. Jeśli baza piratów zostanie zlokalizowana, moi ludzie mają ścisłe rozkazy, by próbować akcji ratunkowej tylko przy pełnej gwarancji powodzenia. W przeciwnym razie prześlemy współrzędne marynarce i wezwiemy na pomoc ekipę szybkiego reagowania SEAL.

Prezydent przytaknął zatroskany.

— Porywacze przewiozą pańską córkę w bezpieczne miejsce — mówił dalej Painter — a potem ją przesłuchają. Muszą zdobyć jakiś kontaktowy numer telefonu w Stanach, by móc przekazać żądanie okupu. Jeśli pana córka jest bystra...

— Owszem.

— Zachowa swoją tożsamość w tajemnicy. Miejmy nadzieję, że poda im numer kogoś spoza otoczenia prezydenta. Jakiegoś krewnego albo bliskiego przyjaciela. Musimy być na to przygotowani. Zadbać, by ta osoba zachowała milczenie, nie zawiadomiła policji ani prasy.

— Dopilnuję tego.

— Jest pan pewien, że wszyscy pańscy krewni będą milczeć? — spytał z naciskiem Painter.

— Nie pisną ani słowa. Klan Gantów potrafi dochowywać tajemnicy.

To z pewnością prawda, pomyślał Painter.

W ciągu minionego miesiąca prowadził dyskretne dochodzenie w sprawie rodziny Gantów. Podczas ostatniej misji Sigmy wyszły na jaw pewne informacje, które wzbudziły podejrzenia. Już zresztą wcześniej krążyły pogłoski o tym sławnym rodzie. Nazywano ich dynastią Kennedych z Południa. Korzenie rodu sięgały czasów odkrycia Ameryki. I rozrastał się on wraz z rozwojem kraju, ogarniając swymi wpływami wiele gałęzi przemysłu, korporacje, urzędy administracji państwowej, a teraz także drugą kadencję prezydentury.

W zeszłym miesiącu jednak na światło dzienne wyszły niepokojące doniesienia na temat tej dynastii z Południa. Przed wiekami mieli podobno powiązania z tajemniczą koterią starych arystokratycznych klanów. Nazywano je różnie: Gildią, Eszelonem, *les familles de l'étoile*, czyli gwiazdnymi rodami. Wiedzano o tej organizacji tylko tyle, że od stuleci manipulowała wydarzeniami, gromadziła władzę, majątek i wiedzę, osiągając to często poprzez zaangażowanie w działalność tajnych stowarzyszeń, bractw i łóz.

Mówiono, że stanowi ona największą tajemnicę wśród wszystkich tajnych organizacji.

Ale mijające wieki nie były dla niej łaskawe; pozostała tylko jedna linia rodu: klan Gantów.

Nie oznaczało to jednak, że prezydent — albo jego najbliżsi krewni — wiedzieli cokolwiek o tej organizacji. Korzenie i gałęzie drzewa genealogicznego Gantów sięgały głęboko i daleko, wykraczając poza Wschodnie Wybrzeże. Nie sposób było powiedzieć, czy którykolwiek z członków rodziny był uwikłany w działalność współczesnej wersji tej przestępczej organizacji.

Mogło się okazać, że to szukanie wiatru w polu, gdyż prawdziwi przywódcy Gildii — czy jak ich tam nazwać — pozostawali jak zawsze nieuchwytni. Wiedzano jednak na pewno, że organizacja jest śmiertelnie niebezpieczna, operatywna i odpowiada za niezliczone akty terroryzmu, zbrodnie o globalnym charakterze i niemożliwą do oszacowania liczbę międzynarodowych przestępstw. Wydawało się nieprawdopodobne, by prezydent — człowiek siedzący teraz naprzeciw niego, zboląły i drżący ze strachu o córkę — należał do takiej organizacji.

Między innymi z braku solidnych dowodów Painter zachował dla siebie podejrzenia na temat rodu Gantów, nie powierzając nikomu tych informacji, nawet kolegom z Sigmy. Zwłaszcza komandorowi Grayowi Pierce'owi, którego matkę zabił niedawno bezwzględny agent Gildii. Gdyby Pierce dowiedział się, że prezydent miał cokolwiek wspólnego z tym dokonaniem z zimną krwią zabójstwem, trudno przewidzieć, co by zrobił. Był tak wściekły, że najpierw by strzelał, a potem zadawał pytania.

Więc to Painter musiał je zadawać. Spojrzał ponownie na Jamesa Ganta.

— Nie chcę być niedelikatny — zaczął — ale nadal nie rozumiem, co pana ciężarna córka robiła na wodach terytorialnych Seszeli. I dlaczego podróżowała z fałszywymi dokumentami?

Było w tej sytuacji coś podejrzanego.

Naciskał, wiedząc, że ta sprawa daje mu największą szansę na zdobycie nowych informacji dotyczących klanu — a konkretniej: rodziny prezydenta.

— Czy jest coś, czego mi pan nie mówi, panie prezydencie? Coś pan przede mną ukrywa? Każdy szczegół może przesądzić o sukcesie lub niepowodzeniu tej misji.

Tym razem celowo nie powiedział: życiu i śmierci.

James Gant spoglądał na swoje dłonie, jakby próbował odczytać znaczenie linii papilarnych.

— Amanda była zawsze niesfornym dzieckiem. — Uśmiechnął się do Paintera smętnie. —

Zupełnie jak jej ojciec. Miała dziewiętnaście lat, gdy po raz pierwszy trafiłem do Białego Domu, a nawet jeszcze mniej, kiedy ubiegałem się o pierwszą kadencję. Nie znosiła świateł jupiterów, irytowała ją rola córki prezydenta.

— Pamiętam, że przyłożyła kiedyś agentowi służby ochrony.

Gant zaśmiał się, odchylając się do tyłu i zakrywając usta, jakby zdziwiony, że jeszcze potrafi się śmiać.

— To cała Amanda. Gdy kandydowałem po raz drugi, miała dwadzieścia trzy lata, właśnie skończyła studia i zaczęła samodzielne życie. Muszę powiedzieć, że wyszła z mojego cienia. Potem spotkała Macka Bennetta, policjanta z Charlestonu. Myślałem, że po ślubie się ustatkuje.

Painter skierował go delikatnie z powrotem na temat zagadki, którą mieli do rozwiązania.

— A ta podróż na Seszele?

Gant podniósł ręce i pokręcił głową.

— Nawet tajne służby nie wiedziały o tej niezaplanowanej podróży. Wymknęła nam się, cholera, sprzed nosa. Mogę się jedynie domyślać, że chciała pobyć trochę sama z mężem, z dala od paparazzich i tabloidów, przed narodzinami mojego wnuka. Potem obydwójce nie mogliby już liczyć na chwilę prywatności.

Painter obserwował twarz prezydenta, próbując dostrzec w niej cokolwiek, co by wskazywało, że oszukuje. Ale widział tylko człowieka pogrążonego w rozpacz i przerażonego.

— Jeśli to już wszystko... — powiedział Gant.

Painter wstał.

— Mam to, czego potrzebuję. Mój zespół powinien lecieć właśnie do Somalii, a ja muszę wracać do dowództwa Sigmy.

— Bardzo dobrze. — Gant podźwignął się z fotela. Zawsze był dżentelmenem z Południa. — Odprowadzę pana.

Wyszli obaj z prywatnego gabinetu prezydenta i zatrzymali się tylko na chwilę, żeby Painter zabrał BlackBerry z ołowianego pojemnika obok Pokoju Dowodzenia. Gdy wyprostował się i włożył telefon do kieszeni, w głębi korytarza pojawiła się znajoma postać w towarzystwie agentów ochrony.

Ubrana była w szafirową sukienkę, którą przewiązała ciasno na brzuchu ażurowym sweterkiem. Painter zauważył jej zaciśnięte pięści i strach w oczach, gdy zobaczyła męża.

Pierwsza Dama, Teresa Gant, pospieszyła ku niemu, balansując między próbą zachowania profesjonalnej godności i totalną paniką.

— Jimmy... Usłyszałam od twojej sekretarki, że skończyła się narada. Czekałam, jak długo...

— Terry, przepraszam. — Prezydent przytulił żonę i odgarnął jej z policzka kilka luźnych jasnych włosów. — Musiałem zająć się jeszcze kilkoma sprawami. Już się do ciebie wybierałem.

Spojrzała mu w oczy, próbując dociec, czy ma dla niej jakieś nowiny, i najwyraźniej bojąc się zadawać mu pytania w obecności ochroniarzy. Nikt nie powinien wiedzieć, co przydarzyło się Amandzie.

— Chodź, wróćmy do domu. — Prezydent zdawał się gotowy wziąć ją na ręce i zanieść w bezpieczne miejsce. — Tam ci wszystko powiem.

Spojrzał na Paintera. Ten zrozumiał. Teresa potrzebowała męża. W tym momencie nie byli prezydencką parą, lecz po prostu rodzicami przerażonymi losem swego dziecka i szukającymi pocieszenia w swych ramionach.

Painter zostawił tych ludzi pogrążonych w rozpacz, zdeterminowany bardziej niż

kiedykolwiek, by odnaleźć ich córkę. Ale idąc korytarzem, nie mógł pozbyć się uczucia, że za wydarzeniami w Rogu Afryki kryje się coś więcej — coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Spojrzał na zegarek. Gray i jego ludzie mieli wylądować w Somalii w ciągu godziny. Nikt lepiej niż komandor Pierce nie potrafił wywęszyć, jaki był prawdziwy powód porwania tej młodej kobiety. A jednak Painter miał wyrzuty sumienia, że wysłał tam Graya w ciemno, nie wspominając mu o swoich podejrzeniach na temat rodziny prezydenta.

Modlił się, by jego milczenie nie stało się powodem czyjejs śmierci.

Zwłaszcza córki prezydenta i jej nienarodzonego dziecka.

## Góry Cal Madow, Somalia

1 lipca, godzina 20.02 czasu miejscowego

Cieżarówka wlokła się powoli przez spowitą mgłą dżunglę.

Amanda Gant-Bennett jechała na tylnym siedzeniu starego modelu land rovera. Miał otwierany dach i musiał kiedyś służyć jako pojazd do wypraw na safari. Jego przód chroniła potężna krata, a do nadwozia przymocowane były u góry cztery duże reflektory. Zauważyła też dwie wciągarki — przednią i tylną — oraz łopatę i topór, przywiązane do zderzaka i gotowe do użycia, gdyby pojazd gdzieś ugrzązł albo utknął.

Zważywszy na teren, przez który przejeżdżali, rozumiała potrzebę takich modyfikacji. Droga była błotnistym traktem w mrocznej dżungli. Somalia miała suchy klimat, ale skończyła się właśnie pora deszczowa — nazywana tam, jak podśluchała, *gu*. Padało głównie w tych górach, graniczących z Zatoką Adeńską. A po deszczu utrzymywała się gęsta mgła.

Podskoczyła wysoko na wyboju. Tylko dzięki pasowi bezpieczeństwa nie wypadła z ciężarówki. Początkowo myślała nawet, żeby wyskoczyć i zaszyć się w dżungli. Ale obok niej siedział potężny strażnik, uzbrojony i ociekający potem. Żuł *khat*, miejscowy środek pobudzający, którego używali niemal wszyscy. Za nimi jechała druga, większa ciężarówka, uniemożliwiając ucieczkę.

Wiedziała poza tym, że ryzykowałyby nie tylko własne życie.

Przesunęła pas bezpieczeństwa niżej, pod brzuch. Musiała chronić swoje dziecko. Chłopiec rosnący w jej łonie był ważniejszy niż ona. To z jego powodu zaryzykowali z mężem ucieczkę na drugi koniec świata.

Żeby zapewnić ci bezpieczeństwo...

A teraz jej dziecko wpadło w ręce ludzi, dla których stało się narzędziem do zdobycia jeszcze większego okupu. Pamiętała, jak Brytyjczyk spoglądał chciwie na jej brzuch, gdy zabierali ją z jachtu. Życie było tutaj towarem, który się kupowało i sprzedawało, nawet nowe życie, rozwijające się w jej łonie.

Och, Mack, potrzebuję cię.

Przymknęła powieki, czując skurcz serca na wspomnienie ostatnich chwil męża, strachu i miłości w jego oczach. Odpędziła od siebie obraz koszmaru, który potem nastąpił, jego odciętej głowy rzuconej na łóżko, gdzie zaledwie kilka godzin wcześniej tak ostrożnie się kochali. Nie miała czasu opłakiwać męża.

Wciągnęła głęboko powietrze, by się uspokoić. Czuła wilgoć i przyjemny zapach jałowców i dzikiej lawendy z gęstego lasu. Była odrętwiała z rozpacz i strachu, ale musiała pozostać silna. Na Południu było rzeczą niestosowną publicznie się pocić. Towarzysząc ojcu na trasie kampanii wyborczej, nauczyła się okazywać na zewnątrz tylko spokój i przyjacielskie uczucia — nawet jeśli w środku wszystko w niej krzyczało. Należało się uśmiechać, ścisnąć dłonie, poklepywać przyjaźnie po plecach — nawet wrogów... zwłaszcza wrogów.

Współpracowała więc ze swoimi porywaczami. Zeskakiwała na ziemię, kiedy jej kazali,

zawsze uległa i posłuszna. Ale cały czas pilnie wszystko obserwowała. To była kolejna lekcja, którą otrzymała od ojca. Brzmiały jej w uszach jego słowa wyjaśniające, jak najlepiej zyskać przewagę.

Miej oczy szeroko otwarte, a usta zamknięte.

Tak właśnie zamierzała postępować. Na razie nic nie wskazywało, by piraci wiedzieli, że jest córką prezydenta. Nawet jej jeszcze nie przesłuchali. Właściwie prawie się nie odzywali. Czasem coś mruknęli, pokazywali jej na migi, co ma robić, wydali parę zwięzłych poleceń. Głównie na temat picia wody.

„Nie chcemy, żeby coś przydarzyło się twojemu dziecku”.

To ostrzeżenie pochodziło z ust człowieka, który siedział obok kierowcy z przodu, Brytyjczyka z cienkim wąsikiem, o nieskazitelnym ubiorze. Tylko on cały czas jej towarzyszył — choć przez większość czasu ignorował jej obecność, pochylony nad laptopem podłączonym do telefonu satelitarnego i systemu nawigacji GPS.

Wpatrywała się w tył jego głowy, próbując go rozgryźć, znaleźć jego słaby punkt. Wystukał coś na klawiaturze laptopa i na ekranie pojawiła się mapa topograficzna. Udając, że bołą ją plecy, Amanda przesunęła się do przodu, by zerknąć na ekran i zorientować się, gdzie są i dokąd zmierzają. Ale strażnik pchnął ją z powrotem na siedzenie, zatrzymując przez chwilę rękę na jej lewej piersi, miękkiej i nabrziałej. Trzepnęła go po palcach, na co zareagował tylko lubieżnym spojrzeniem.

Pokonana, wpatrywała się posepnie w spowitą mgłą dżunglę.

Z powodu wyczerpania i strachu czuła się odurzona całodzienną podróżą. O świcie przybyli do niewielkiego miasteczka na wybrzeżu, z prosperującymi świetnie dzięki pirackiemu biznesowi barami, hotelami, restauracjami i burdelami. Sądząc po liczbie drogich samochodów stojących wzdłuż świeżo wyasfaltowanych ulic i budowanych wzdłuż plaży rezydencji, był to najwyraźniej lukratywny i kwitnący biznes. Aby go chronić, po ulicach kręciły się patrole w mercedesach SUV-ach, z bronią połyskującą zza opuszczonych szyb; dbali o to, by nikt nie próbował odbić któregokolwiek z zakładników.

Musiało być tam wielu takich jak ona.

Gdy łódź wpłynęła do portu, Amanda zauważyła liczne porwane statki: trawlerzy rybackie, żaglowce, elegancki jacht i zakotwiczony na głębszych wodach tankowiec. Pozostali w mieście niecałą godzinę. Potem została przekazana innej grupie piratów i wsadzona do nagrzanego, dusznego volkswagena busa.

Jechali pół dnia przez niziny, wypalone bezlitosnym słońcem. Monotonny pejzaż urozmaicały czasem jedynie wioski ze słomianymi chatami. Zatrzymywali się tylko na krótko, by mogła oddać mocz, co zdarzało się dość często i za każdym razem było upokarzające. W oddali majaczyły góry, które z każdym pokonywanym kilometrem wydawały się wyższe.

Wkrótce stało się jasne, że cel ich podróży stanowi poszarpany grzbiet skalistych szczytów. Gdy dotarli do wioski przycupniętej u podnóża porośniętych krzakami zboczy, grupę piratów zastąpiła nowa ekipa, ale przedtem doszło do ostrej kłótni, której towarzyszyło demonstracyjne potrząsanie bronią i groźby. W końcu Brytyjczyk załatwił wypłatę dodatkowych funduszy, grubych plików banknotów, i Amanda przesiadła się do starego land rovera, który wyruszył w spowite mgłą góry.

Jej uwagę zwrócił metaliczny trzask, gdy Brytyjczyk zamknął laptopa, jakby na dobre skończył z niego korzystać. Powód stał się po chwili oczywisty. W lesie przed nimi pojawiła się ognista łuna, zamieniając pasemka mgły w szkarłatne smugi przenikające ciemnozieloną

dżunglę. Poczwała zapach pieczonego mięsa i dymu palonego drewna.

Mając jeszcze do pokonania pięćdziesiąt metrów, land rover wjechał na otwartą przestrzeń. Obozowisko, zasłonięte od góry maskującą siatką, wyglądało jak wnętrze jaskini. Ukrytą polaną oświetlały trzy niewielkie ogniska i kilka zawieszonych na słupach lamp elektrycznych.

Land rover zjechał na bok i zaparkował obok kilku innych pojazdów. Trzy wielbłądy, szykujące się już do snu, uniosły łby, by przyjrzeć się przybyszom.

Amanda, szeroko otwierając oczy, próbowała się zorientować, co to za obozowisko. Krąg wojskowych namiotów otaczał większą budowlę, która wyglądała jak malowniczy dom z dwuspadowym dachem, wzniesiony na palach metr nad ziemią. Od frontu na stylowej drewnianej werandzie stały dwa leżaki osłonięte moskitierą. Dom wyglądał jak zbudowana w dżungli rezydencja afrykańskiego misjonarza. Wrażenie to pogłębiał jeszcze duży czerwony krzyż zdobiący jedną ze ścian budynku.

Ale gdy land rover stanął, czarujące złudzenie się ulotniło. Dom okazał się prowizorycznym namiotem z białego brezentu rozciągniętego na drewnianym szkielecie. A szkarłatny krzyż stanowił raczej symbol medyczny, a nie religijny, jakby został zapożyczony z amerykańskiej organizacji Czerwonego Krzyża. Tyle tylko, że miał na brzegach dziwne oznakowanie, spiralny wzór, który wyglądał jakoś znajomo.

Zanim zrozumiała, co jej przypomina, Brytyjczyk otworzył drzwi samochodu i wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść.

— Nie ma to jak w domu — powiedział bez cienia sarkazmu w głosie.

Wysiadła niepewnie, podtrzymując brzuch, i rozejrzała się. Równomierny warkot spalinowego generatora zdawał się przedrzeźniać dzikie łomotanie jej serca.

Z namiotów wyłonili się mężczyźni i kobiety, by zobaczyć nowo przybyłych. Mieli w większości czarne twarze Afrykanów, ale nie wyglądali na wygłodzonych i zdesperowanych piratów. Nawet ich broń wydawała się nowoczesna i zadbana.

Co się tutaj dzieje?

Inni mieli twarze jak Brytyjczyk: byli białymi Europejczykami, profesjonalistami. Odniosła takie wrażenie, gdyż wielu z nich nosiło błękitne fartuchy, jakby wyszli właśnie z nowoczesnego szpitala na przerwę na papierosa.

Brytyjczyk poprowadził ją między kręgiem namiotów w kierunku prowizorycznej budowli. Strażnik podązał za nią. Wspięła się po schodach na niewielki ganek.

Gdy dotarli do budynku, otworzyły się sprężynowe drzwi. Dołączyła do nich wysoka kobieta, z przyciętymi równo jasnymi włosami. Była młoda i ładna, jakby wyskoczyła właśnie z reklamy kostiumu kąpielowego i przebrała się w fartuch chirurgiczny. Nie pasował do tego wizerunku surowy wyraz jej twarzy, zwłaszcza zmrużonych oczu. Zmierzyła wszystkich lodowatym spojrzeniem, prawie nie zauważając Amandy. Skupiła wzrok na Brytyjczyku.

— Wszystko gotowe, doktorze Blake.

Amanda odwróciła się zaskoczona w jego kierunku.

Doktorze...?

Mężczyzna dostrzegł jej zdziwienie.

— Przepraszam. Nawet się należycie nie przedstawiłem. — Wyciągnął do niej rękę. — Edward Blake. Ginekolog.

Nie uściśnęła mu dłoni. Spoglądała przez ramię blondynki w głąb pomieszczenia. Pod ścianą stało szpitalne łóżko. Obok był stojak z kroplówką i sprzęt do monitorowania. Po drugiej stronie technik nawilżał dopochwowy wziernik ultrasonografu.



Doktor Blake najwyraźniej się nie obraził, że Amanda nie podała mu ręki.

— No dobrze, pani Gant-Bennett — powiedział, zacierając dłonie. — Może wejdziemy do środka?

Amanda starała się nie okazać szoku, usłyszawszy swoje nazwisko.

On wie, kim jestem...

Blake zaprosił ją gestem ręki.

— Powinniśmy sprawdzić, jak pani chłopczyk czuje się po długiej podróży. Nie możemy pozwolić, żeby coś mu się stało, prawda? Jest zbyt ważny.

Amanda cofnęła się z przerażeniem. Jej najgorszy koszmar stawał się rzeczywistością.

Wiedzieli nie tylko, kim jest, ale także co nosi w łonie.

— Nie...

Czyjeś ręce chwyciły ją od tyłu za ramiona i pchnęły w kierunku otwartych drzwi.

Błagam, modliła się w duchu. Niech ktoś mi pomoże.

## Boosaaso, Somalia

1 lipca, godzina 20.34 czasu miejscowego

— Zatrzeszczą się o nią — obiecał Amur Mahdi. — Przynajmniej na razie.

— Dlaczego pan tak mówi? — spytał Gray.

Seichan też miała wątpliwości. Wyglądała atrakcyjnie w dzinsach i miejscowym *guntiino*, jaskrawej szacie ze szkarłatnego sukna, zawiązanego w węzeł na jednym ramieniu i udrapowanego w pasie. Musiało to robić wrażenie, bo Amur stale rzucał w jej kierunku ukradkowe spojrzenia.

Obok niej siedział ubrany zwyczajnie Kowalski, mieszając herbatę i nie zwracając na nic uwagi.

Zajmowali we czworo stolik w nadmorskiej restauracji z widokiem na somalijskie portowe miasto Boosaaso. Z dziedzińca widzieli panoramę Zatoki Adeńskiej, lśniący w blasku księżyca port zatłoczony wielkimi statkami z flagami różnych krajów arabskich, a także setkami mniejszych łodzi *dau* z trójkątnymi żaglami i drewnianymi kilami.

Ludzie Graya dotarli na międzynarodowe lotnisko Bender Qassim pod Boosaaso przed czterdziestoma minutami, podróżując pod przykrywką UNHCR, agencji ONZ do spraw uchodźców. Miała ona bazę w prowincji Puntland, na północnym wschodzie Somalii, gdzie działała większość wyjętych spod prawa piratów. Boosaaso stanowiło centrum tego regionu i najlepiej było właśnie tam zacząć zbierać informacje.

Spotkali się najpierw z Amurem Mahdim — byłym piratem zwerbowanym przez CIA. Był starszym mężczyzną ubranym w regionalny strój, na który składały się luźne spodnie i przypominająca sarong szata, zwana *macawiis*. Na czubku siwej głowy nosił tradycyjną haftowaną czapkę. Przed kilku laty stracił nogę — amputowano mu ją na wysokości kolana — i w tym momencie skończył z piractwem.

Widok protezy przypomniał Grayowi ojca, którego dotknęło podobne kalectwo. Przez chwilę poczuł się winny, że jest od niego tak daleko, ale odpędził od siebie tę myśl i skoncentrował się na rozmowie.

Ich spotkanie zaaranżował dyrektor Crowe za pośrednictwem kilku agencji wywiadowczych. Mieli ocenić bieżącą sytuację w Somalii. W oczekiwaniu na informacje z satelity na temat statku napastników Painter chciał mieć obserwatorów na ziemi.

Tymczasem para śmigłowców Black Hawk stała bezczynnie w amerykańskiej bazie na północy, w sąsiednim wschodnioafrykańskim państewku Dżibuti. Szósty Oddział SEAL, pod rozkazami Połączonego Dowództwa Sił Specjalnych, czekał na wezwanie, gotów ruszyć do akcji natychmiast po ustaleniu miejsca pobytu Amandy.

Ale gdzie była córka prezydenta?

Amur wyjaśnił, dlaczego jest spokojny o bezpieczeństwo zakładniczki. Nie wiedział, że to córka prezydenta — była dla niego po prostu Amerykanką.

— Somalijscy piraci na ogół dobrze traktują zakładników. Rzadko ich biją, choć to się

zdarza. Zwykle ich chronią i dobrze żywią. Nikt nie korzysta na śmierci zakładnika. Tak naprawdę żywienie i kwaterowanie porwanych załóg pobudza gospodarkę prowincji Puntland.

Gray wiedział, jak lukratywny jest piracki biznes. Tylko w minionym roku somalijscy piraci zgromadzili z okupów sto sześćdziesiąt milionów dolarów. A to był jedynie ułamek prawdziwych kosztów piractwa w tym regionie. Wydatki przemysłu okrętowego i rządów państw wyniosły w tym samym czasie siedem miliardów dolarów, obejmując dodatkowo wypłaty ubezpieczeń, wzmocnioną ochronę, a nawet akcje ratunkowe, takie jak ta niedawna, która umożliwiła bezpieczny powrót do domu Amerykanki i Duńczyka.

— A rząd Somalii? — spytała Seichan. — Co robi w sprawie szerzącego się piractwa?

Amur oparł się plecami o krzesło i bezradnie uniósł ręce.

— Jaki rząd? Centralny rząd upadł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, pogrążając kraj w chaosie. Skoro nikt nie patrolował naszych wód terytorialnych, bogate w ławice tuńczyka morza były grabione przez zagraniczne floty rybackie i mieszkańców pozbawiano żywności i środków do życia. Czy można się dziwić, że miejscowi rybacy uzbili się, zorganizowali własną milicję i stawili opór załogom nielegalnych łodzi?

Gray podczas lotu czytał raporty na ten temat.

— Z powodu tych konfliktów rybacy zaczęli konfiskować statki, więzić załogi i domagać się okupu...

— Raczej myta — poprawił go Amur, na co Kowalski zareagował drwiącym pomrukiem. Ich informator poczerwieniał i dumnie się wyprostował. Był teraz agentem, ale jak mówiło stare porzekadło: pirat zawsze pozostanie piratem. A może to, że usprawiedliwiał rodaków, stanowiło jedynie przejaw narodowej dumy?

— Zastępowaliśmy na jakąś rekompensatę za ograbione morza — kontynuował Amur. — Kto inny się o nas zatroszczy? Proszę spojrzeć na ten port. — Skinął głową, wskazując tętniące życiem nabrzeża. — To miejsce było czarną dziurą, bez infrastruktury, bez nadziei, wszystko się tam rozpadało.

Kowalski spojrzał sceptycznie na zakurzone miasto, sądząc najwyraźniej, że nadal przypomina czarną dziurę.

— Po upadku rządu — ciągnął Amur — zajęliśmy się sobą wzajemnie. Miejscowy biznesmen założył sieć telefoniczną. Nauczyciele pracowali za darmo. Wszyscy policjanci są także ochotnikami. Jesteśmy teraz jednym z najprężniej działających portów w regionie. Miastem, które przeżywa boom, jak to mówicie. Eksportujemy dziesiątki tysięcy kóz, owiec i wielbłądów do całego świata arabskiego.

Kowalski nadal sceptycznie unosił brew. Gray rozumiał dlaczego. Patrząc na budowane w mieście nowe domy i wznoszone za wysokimi murami okazałe rezydencje, podejrzewał, że nie cały ten dobrobyt Boosaaso zawdzięcza importowi i eksportowi.

Czytał, że miasto było nadal w czołówce listy miejsc najbardziej zagrożonych porwaniami. Z pewnością nie przynosiło mu to zaszczytu. Lokalny rząd próbował to zmienić. Więzienia były pełne piratów, ale w jakim stopniu chodziło jedynie o wykazanie się wobec międzynarodowej opinii? Piractwo stanowiło nadal podstawę gospodarki Puntlandu.

Jak w tych warunkach mieli odnieść sukces w poszukiwaniu córki prezydenta? Pieniądze rozwiązywały języki — jak w przypadku Amura Mahdiego — ale kupowały również milczenie.

— A teraz ryby wracają na nasze wody — oznajmił Amur jakby na podsumowanie swoich słów. — Obce statki boją się tu przyplýwać, w naszych morzach znów jest pełno tuńczyków i ludzie już nie głodują.

Gray musiał przyznać, że to prawda. Somalijscy piraci zapobiegli rabunkowym połowom na wodach terytorialnych kraju. Ale za jaką cenę?

Amur podniósł się z krzesła.

— Robi się późno. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć na temat tej porwanej Amerykanki. Ale jak wiecie, w ostatnich latach próby odbijania zakładników kończyły się śmiercią piratów. Niełatwo mi będzie zdobyć informacje.

Gray wstał i uściśnął mu rękę. Czytał między wierszami. Żeby przełamać to milczenie, będą potrzebne dodatkowe fundusze. Obawiał się jednak, że jeśli przeznaczą na poszukiwania zbyt dużo pieniędzy, może to wzbudzić podejrzenia porywaczy Amandy. Musieli zachować delikatną równowagę — ale na razie nie mieli wyboru.

— Rozumiem. Niech pan robi, co trzeba — powiedział. Ponownie uściśnął dłoń Amurowi, życząc mu dobrej nocy w jego ojczystym języku, na co Somalijszyk uśmiechnął się z zadowoleniem. — *Haben wanaagsan*.

Gray zaczął, aż Amur wyjdzie z restauracji, po czym zwrócił się do pozostałych:

— Powinniśmy wracać do hotelu.

Wyszli całą grupą. Nawet o tej porze ulice były zapchane ciężarówkami, ludźmi i wózkami. Chodniki po obu stronach wypełniały budki ze skwierczącymi na paleniskach potrawami, niewielkie herbaciarnie i prowizoryczne sklepiki. Boosaaso rozbrzmiewało odgłosami krzątający, młotków, dzwonek i krzyków.

Trzymali się razem, idąc przez zatłoczone ulice w kierunku hotelu.

— Miałeś rację — powiedziała Seichan Grayowi do ucha, muskając mu policzek gorącym oddechem. — Śledzą nas.

Stanął przy straganie, przyglądając się egzotycznym owocom i równocześnie obserwując ulicę za sobą. Zauważył dwie ubrane zwyczajnie postacie, które zaszyły się gdzieś, gdy się zatrzymał.

— Dwie osoby?

— Trzy — poprawiła go Seichan. — Jeszcze kobieta w zielonym sarongu przy drzwiach kafejki internetowej.

Gray nie dostrzegł niczego niezwykłego w jej wyglądzie, ale ufał ocenie Seichan.

Kowalski nie zauważył, co się dzieje. Wziął do ręki banana i powąchał go.

— Kupujemy coś czy nie?

Gray poszedł dalej w kierunku hotelu, ciągnąc za sobą intruzów.

— A więc Amur nie jest tak lojalny, jak twierdziła CIA — szepnęła Seichan.

Pochyliła się ku niemu jak kochanka. Fizyczny kontakt między kobietą i mężczyzną nie był w tym kraju dobrze widziany, ale to zbliżenie bez dotyku miało dziwnie intensywny, intymny charakter.

— Painter podejrzewał, że tak będzie — mruknął Gray.

Dyrektor przejrzał różne potencjalne kandydaty i wybrał Amura z powodu jego przeszłości. Wyglądało na to, że ten człowiek nie cofał się przed działaniem na dwa fronty, zwłaszcza gdy w grę wchodziły duże pieniądze.

Pirat zawsze pozostanie piratem.

Gray szedł powoli ulicą ze swymi towarzyszami, nie starając się pozbyć ogona. Chciał, żeby ich śledzono. Amur prowadził niebezpieczną grę, ale odpowiadała ona ich celom.

Ponieważ oni też mogli w niej uczestniczyć.

## Godzina 21.01

Tucker Wayne zachowywał bezpieczny dystans za Amurem Mahdim, trzymając się od niego w odległości jednej przecznicy.

— Ma pan go? — zabrzmiał głos w słuchawce osadzonej w uchu.

Był to komandor Pierce. Tucker dotknął mikrofonu przy szyi i odpowiedział niemal bezgłośnie:

— Potwierdzam.

Żeby wtopić się w tłum tubylców, włożył na cienką kuloodporną kamizelkę luźną tartanową tunikę *macawiis*, a na głowę regionalny turban, aby ukryć włosy i zasłonić jeszcze bardziej twarz. Nie brakowało tam, co prawda, ludzi białej rasy. Miasto przyciągało kombinatorów z całego świata. Obok różnych afrykańskich dialektów słyszał niemiecki, hiszpański i francuski.

Mimo to trzymał się niemal całkowicie poza zasięgiem wzroku śledzonego mężczyzny, zakładając, że tamten może mieć lepszy wzrok.

Kain szedł kilka metrów przed nim, kryjąc się w cieniu jak duch, sunąc wzdłuż niszczonego muru okazałej rezydencji i omijając przeszkody. Mało kto zwracał na niego uwagę. Po ulicach włóczyło się wiele psów — wygłodzonych, bezdomnych zwierząt o wystających żebach i kościstych łapach.

Przecznicę dalej Amur skręcił za róg i oddalił się od bardziej ruchliwej strefy nowszych hoteli i większych posiadłości. Podążał żwawo do wyburzanej właśnie części miasta, pełnej dźwigów, stert gruzu i metalowych przyczep, w oczekiwaniu na ekspansję sąsiedniej dzielnicy biznesu.

Tucker przekazał przez radio informację o zmianie kierunku marszu.

— Opuszcza Nowe Boosaaso, zmierza do slumsów. Zdecydowanie nie idzie do domu.

Tucker zapamiętał wszystko, co mógł, na temat mężczyzny, którego śledził; miał w głowie mapę jego środowiska: gdzie mieszkał, gdzie spotykał się z przyjaciółmi na drinka, gdzie zaszyła się jego kochanka. Amur nie szedł w kierunku żadnego z miejsc, w których zwykle bywał.

— Proszę iść za nim, ale zachować odległość — ostrzegł Gray. — Nie chcemy, żeby się spłoszył.

Znam się na swojej pracy, pomyślał cierpko Tucker, dochodząc do rogu. Po to mnie wynajęliście... a właściwie nas.

Kain zatrzymał się już na rogu i obejrzał. Tucker pokazał mu otwartą dłoń.

Zostań.

Zlustrował teren przed sobą. Wysokie ogrodzenie po obu stronach ulicy zabezpieczało przed intruzami plac budowy. O tej porze nie było tam żywej duszy. Pozostawało tylko czekać.

Jeśli pójdę dalej, natychmiast mnie zauważy i zostanę zdemaskowany.

Na razie mieli niewielką przewagę. Gray robił wszystko, by udział Tuckera w tej misji pozostał tajemnicą. Lecieli nawet z Tanzanii do Somalii osobnymi samolotami. Komandor chciał skupić uwagę wszystkich na swoim zespole, by Tucker miał swobodę ruchów.

U wylotu ulicy Amur zatrzymał się przy wmontowanej w ogrodzenie zamkniętej bramie. Powitał go uzbrojony w AK-47 znudzony strażnik. Zamienili parę słów, po czym strażnik skinął głową, otworzył bramę i Amur zniknął wewnątrz.

Co on kombinuje?

Przeszedłszy parę metrów, Tucker odkrył prześwit między krawędzią płotu a piaszczystym gruntem. Był zasłonięty wysokim metalowym pojemnikiem na śmieci. Przyciągnął tam Kaina,

wskazał na dziurę, zakreślił w powietrzu palcem i dotknął psiego nosa.

Przezołgaj się i szukaj zapachu tego człowieka.

Wiedział, że Kain poradzi sobie z takim zadaniem. Ludzie mają w nosach po sześć milionów receptorów węchowych, a psy myśliwskie po trzysta milionów, co oznacza tysiąc razy czulszy węch i pozwala wywęszyć cel z odległości dwóch boisk piłkarskich.

Po udzieleniu psu pierwszej instrukcji Tucker odwrócił dłoń, pokazując mu, że ma pozostać w ukryciu, gdy odnajdzie cel.

Skończywszy, dotknął boku Kaina, przesuając palcami po czarnej kamizelce, pasującej idealnie kolorem do jego sierści. Była to taktyczna kamizelka szturmowa K9, wodoodporna. Sprawdził, czy pies ma słuchawkę, która pozwalała im porozumiewać się w terenie, po czym włączył obiektyw przymocowanej do obroży miniaturowej noktowizyjnej kamery i umieścił ją między jego sterczącymi uszami.

Potrzebowali tam oczu i uszu.

Wyjął telefon komórkowy, wystukał kod i na niewielkim ekranie pojawił się ziarnisty obraz jego postaci. Pochylił się i poczochnął partnera po karku. Potrząsnął też kamizelką, by się upewnić, że żaden hałas nie zdradzi obecności psa w terenie.

Kiedy sprawdził wszystko, przyklęknął i ujął łeb Kaina. Drżenie mięśni psa zdradzało jego zdenerwowanie. Sapał cicho z wywieszonym językiem. Wpatrywał się w Tuckera ciemnymi oczami. To była jedna ze specyficznych cech udomowionych psów: przyglądają się nam tak samo jak my im.

— Dobry pies? — wyszeptał do swego przyjaciela, zgodnie z ich rytuałem.

Kain dotknął nosem jego twarzy, potwierdzając więź.

Tucker w końcu wstał i gestem ręki wskazał na dziurę w ogrodzeniu.

Ruszaj.

Kain przecisnął się zręcznie pod płótnem i jego ogon zniknął w ciągu paru sekund. Tucker sprawdził telefon. Na niewielkim ekranie pojawił się widok zaparkowanych buldożerów i stert pokruszonych żelbetowych płyt. Obraz chwiał się i falował jak w źle wyreżyserowanym horrorze.

Tucker dotknął mikrofonu przy szyi.

— Włączyłem kamerę, komandorze. Może chce pan obejrzeć show.

Czekając na odpowiedź, wsunął do wolnego ucha słuchawkę Bluetooth. Usłyszał w niej ciche dyszenie Kaina.

W drugim uchu rozległ się głos Graya:

— Mam odbiór. Zobaczmy, co knuje nasz przyjaciel Amur.

Tucker, ukryty w cieniu pojemnika na śmieci, obserwował ruchy partnera. Przechodziły go ciarki.

Uważaj tam na siebie, kolego.

*Kain pędzi, przywierając do ziemi, wyęzając wszystkie zmysły i polując na swą ofiarę. Wokół niego zapada szary zmrok, przybrany stonowanymi barwami. Sterty kamieni po obu stronach wytyczają osłonięte ścieżki. Podmucha wiatru porusza zgnieciony papierowy kubek, zwracając uwagę psa, ale tylko przez chwilę.*

*Kiedy zawodzi wzrok, włącza się węch, kolejne warstwy zapachów, znacząc przeszłość i przyszłość, tworząc wokół niego sieć dawnych tropów.*

*Gorzka woń piżma...*

*Gryzący odór moczu...*

*Spalony olej z niemych maszyn...*

*Wędruje przez ten labirynt, wdychając kolejne zapachy, wchłaniając je przez wilgotny język w głębi gardła i zatok. Nadstawia uszu na najbliższy szmer piasku, spowodowany przez wiatr lub ruch jego łap.*

*Naprzód... zawsze naprzód...  
Na zakręcie trzyma wysoko nos, wężąc.  
Nagle... znajomy zapach potu, ostry i gryzący, dolatuje ku niemu, unosząc się w ślad za zdobywcą.  
Spowalnia krok.  
Przyczają się, trzymając się w cieniu.  
Zmusza się, by opanować zadyszkę.  
Zdobycy podchodzi do innych. Nie widać ich, ale zdradza ich zapach. Są ukryci za stertą metalu, która pachnie rdzą i rumowiskiem. Zapach mężczyzny przebija wszystkie pozostałe, niemożliwy do zignorowania, intensywny i nieprzyjemny.  
Zdobycy idzie naprzód, a w ślad za nią człowiek z bronią.  
Kain wie, co to broń. Wie, jak pachnie, jak wygląda i jaki wydaje odgłos. Już tego doświadczył.  
Ukryci mężczyźni wreszcie się pokazują, wychodząc na otwartą przestrzeń. Zdobycy cofa się, zapach strachu staje się intensywniejszy — a potem szybko się rozwiewa.  
Czterej mężczyźni poruszają wargami, odsłaniając zęby, ale nie jest to groźba. Mówią coś głośno.  
Kain podczołguje się bliżej, by obserwować ich z ukrycia. Leży nieruchomo na brzuchu, ale mięśnie nóg ma napięte, gotowe do ucieczki lub ataku.  
Na razie nie rusza się z miejsca.  
Skoncentrowany, posłuszny.  
Bo on o to prosił.  
Obserwuje ciemność, zawsze czujny, malując obraz otaczającego go świata z zapachów i dźwięków. Czuje znów zapach, którego szuka, zmieszany z wieloma innymi. Ale przebija przez nie wszystkie jeden, który lśni jak słońce w mroku nocy i kojarzy mu się z jeszcze innym.  
Zna tę osobę.  
Rozpoznaje jej zapach, głos, wygląd.  
Zna ją.*

## Godzina 21.12

Tucker podsłuchiwał spotkanie Amura z jego trzema rodakami, najprawdopodobniej również piratami, sądząc z ich plemiennych tatuaży i prostackiego zachowania. Zebrali się przy stercie zardzewiałych żelaznych belek i potłuczonych cementowych płyt. Słyszał w słuchawce ich szorstki śmiech i słowa wypowiedane w miejscowym somalijskim dialekcie. Program translacyjny zapewniał komputerowe tłumaczenie rozmowy.

— *Jak długo możesz ich zwodzić?* — spytał jeden.

— *Ile forsy możesz dostać?* — zapytał drugi.

— *Hassan, Habib, zaufajcie mi.* — Amur uśmiechnął się, podnosząc ręce. — *Chodzi o coś więcej, niż mi mówią. Będą tańczyć, jak im zagram.*

— *To twoje zdanie* — wtrącił trzeci z powątpiewaniem.

Na potwierdzenie swoich słów Amur wyjął plik banknotów i dał każdemu z nich po kilka.

— *Ale najpierw muszę dać tym Amerykanom coś na przynętę, żeby dalej mnie słuchali, no nie?* — oznajmił.

Pozostali zignorowali go, licząc banknoty i upychając je po kieszeniach.

— *Co słyszeliście o tej Amerykance?* — spytał Amur, skupiając znów ich uwagę.

— *Tylko pogłoski.* — Wszyscy trzej pokiwali głowami.

Tucker usłyszał w drugiej słuchawce jeszcze jeden głos.

— *W tym momencie wystarczą mi nawet pogłoski.*

Ta uwaga pochodziła od komandora Pierce'a. Wyglądało na to, że dowódca grupy podsłuchiwał rozmowę z takim samym zainteresowaniem jak Tucker.

— *A więc co mówią?* — nalegał Amur.

— *Przyjaciel wuja mojego brata, który mieszka koło Eil, mówi, że przez jego wioskę przejeżdżała biała kobieta. Mówi, że przewozili ją w góry.*

— *Góry Cal Madow?*

Tamten odpowiedział wzruszeniem ramion.

— *To duży obszar* — odparł Amur, ale nie wydawał się rozczarowany. Potarł z namysłem podbródek. — *Jeśli jest w tych górach, nigdy jej nie znajdą. Mogę śmiało przekazać tę informację Amerykanom, niczego naprawdę im nie mówiąc. A jeśli Allah nas oświeci, powinienem być w stanie jeszcze przez kilka dni ich wykorzystywać.*

— *A potem?*

— *Potem nie będą mi już potrzebni. Byłoby rzeczą niefortunną, gdyby coś im się przydarzyło. Niefortunną, ale bynajmniej nie niezwykłą w tej niebezpiecznej krainie, prawda?*

Wszyscy uśmiechnęli się szeroko.

— Wygląda na to, że Amur nie jest tym gościnnym gospodarzem, którego udaje — rozległ się w słuchawce głos Graya. — Chyba będziemy musieli...

Słowa komandora przerwało głucho warczenie.

Obraz na niewielkim ekranie zmienił się, partner Tuckera się wycofał, najwyraźniej coś wyczuwając.

— Co robi pański pies? — spytał Gray, który również zauważył nagły ruch.

— Chwileczkę. Coś go spłoszyło.

Ziarnisty obraz skakał i falował, gdy pies okrążył wysoką stertę gruzu. Wyglądało na to, że próbuje zająć Amura i jego kompanów z drugiej strony.

Potem obraz znów się ustabilizował.

W głębi placu budowy pojawiło się sześciu ludzi, którzy szli w kierunku grupy Amura. Byli w czarnych kamizelkach bojowych i hełmach wyposażonych w noktowizory. Na ramionach nieśli karabiny szturmowe. Nie byli to zwykli piraci. Najwyraźniej przeszli szkolenie wojskowe. I nie mieli przyjaznych zamiarów.

Pytania Amura musiały dotrzeć do niewłaściwych uszu.

Niedobrze. Zły moment.

Tucker obserwował, jak na sygnał dowódcy grupy jego ludzie się rozdzielili. Rozeszli się w dwie strony, chcąc zamknąć Amura i jego towarzyszy w kleszcze.

Niestety, w pułapce znalazł się nie tylko były pirat. Serce podeszło Tuckerowi do gardła.



## Boosaaso, Somalia

1 lipca, godzina 21.15 czasu miejscowego

— Niech pan zostanie na miejscu! — rozkazał Gray.

Seichan stała przy nim z jednej strony, Kowalski z drugiej. Zatrzymali się u wylotu alei, kilka przecznic od hotelu, obserwując obraz z kamery psa. Uzbrojony oddział otoczył szerokim kołem grupę Amura, najwyraźniej zamierzając nie pozwolić nikomu uciec.

— Nie mogę tego zrobić, komandorze — odparł kapitan Wayne. — Kain jest w niebezpieczeństwie.

Gray wiedział, że nie powstrzyma Tuckera. Nie miał nad nim władzy. A jeśli tamci zauważą Tuckera — albo, co gorsza, złapią — zagrozi to całej misji.

— Więc proszę przynajmniej poczekać na mnie — nalegał. — Zrobimy to razem.

Nastąpiła chwila ciszy, na tyle długa, że Gray zaczął się martwić, czy Tucker jeszcze tam jest.

Potem nadeszła odpowiedź.

— Zaczekam. Na razie. Ale niczego nie obiecuję.

To było jedyne ustępstwo, na jakie Gray mógł liczyć.

— Ruszam — rzucił do mikrofonu, po czym spojrzał na pozostałych i wskazał w głąb ulicy.

— Idźcie oboje do hotelu. Niech was śledzą. Przekonajcie ich, że już idziemy spać.

Seichan podeszła bliżej.

— Nie powinieneś iść sam. Prawie nie znasz miasta.

Wystukał na telefonie mapę Boosaaso.

— Dam sobie radę. Poza tym nie mamy wyboru. Amur z pewnością ma w mieście innych przyjaciół. Musimy mieć alibi, jeśli spotka go coś złego na tym placu budowy. Nie chcemy, żeby obarczono nas winą, kiedy zginie.

— Co zamierzasz zrobić? — spytała Seichan.

Gray dostrzegł kątem oka trzyosobową grupę, która miała ich śledzić. Wszyscy troje stanęli przy straganie z materiałami, udając zainteresowanie belami tkanin.

— Na następnym rogu, gdy przez chwilę stracą nas z oczu, skręć w boczną uliczkę. Wybiegnijcie przed hotel. Niech zobaczą, jak wchodzić do środka. Zróbcie trochę zamieszania. Może uwierzą, że ja wszedłem wcześniej.

Zmarszczone brwi Seichan świadczyły o tym, że nie ma przekonania do jego planu.

Wyciągnął rękę i uściśnął krótko jej dłoń. Był to odruchowy gest, bardziej intymny, niż zamierzał.

— Nic mi nie będzie — mruknął.

Ten przelotny i zaskakujący dotyk sprawił, że oboje zamilkli.

— Chodźmy — powiedział po chwili Gray, nie dopuszczając do dalszej dyskusji.

Poszli dalej powolnym krokiem. Znalazłszy się za rogiem, skręcił błyskawicznie w najbliższą alejkę. Według mapy powinien zatoczyć koło, żeby dołączyć do kapitana Wayne'a.

Gdy skręcał, nie widział pożegnalnego spojrzenia Seichan.

Kowalski był bardziej szczery.

— Pilnuj swojego tyłka.

Właśnie taki Gray miał plan. Za jego plecami Seichan i Kowalski ruszyli biegiem w kierunku szerokich schodów hotelu Jubba na końcu przecznicy.

Przynajmniej wykonywali rozkazy. Modlił się, by Tucker Wayne robił to samo. Ale, przyspieszając coraz bardziej kroku, wiedział, że to mało prawdopodobne. Tucker kierował się instynktem w takim samym stopniu jak jego kudłaty partner. Zareaguje, zanim pomyśli.

Zwłaszcza gdy jego pies jest w niebezpieczeństwie.

*Kain czai się w cieniu pod wystającą betonową płytą. Jego kryjówkę otacza mroczna pajęczyna zapachów, dźwięków i ruchów. Wpatruje się w to wszystko bez zmużenia oka, pozwalając, by skryzalizował się obraz, zarówno teraźniejszości, jak i przeszłości.*

*Cichy chrzęst kamienia pod butem...*

*Smer skózanego paska karabinu, który ociera się o tkaninę...*

*Zdyszany oddech drapieżnika osaczającego ofiarę...*

*Jego zdobycz jest nadal ze swoją grupą, nieświadoma nadciągającego zagrożenia. Kain śledzi nowo przybyłych. Wraz z nimi pojawia się zapach innego człowieka, który okrąży teraz pozostałych.*

*Zbliża się, gdy tamci podchodzą do ofiary.*

*Kain pozostaje w ukryciu, nieruchomy, pokładając zaufanie w cieniu.*

*I w tym drugim człowieku.*

## Godzina 21.22

Tucker przykucnął przy ogrodzeniu, ukryty za pojemnikiem na śmieci, koncentrując uwagę na obrazie z kamery Kaina. Zgodnie z jego instrukcjami pies obserwował nadal ludzi Amura, którzy dyskutowali, gdzie wydać otrzymane pieniądze, gdzie zjeść kolację i jak wyciągnąć więcej forsy z komandora Pierce'a.

A w tym czasie zaciskała się wokół nich śmiertelna pętla.

Zagrażała także Kainowi.

Tucker nie chciał ryzykować przywoływania partnera. Jego ruch zwróciłby uwagę komandosów.

Kain jakby wyczuł troskę Tuckera, bo odwrócił łeb, oglądając się za siebie i obraz na ekranie nagle się zmienił. Widać było teraz zbliżających się do niego ludzi w czarnych kamizelkach. Pies, zgodnie z rozkazem, pozostał na miejscu.

Myśli, że jest dobrze ukryty, uświadomił sobie Tucker.

Ale Kain się mylił.

Nadchodzący komandosi mieli noktowizory. Kryjówka Kaina nie zapewniała ochrony przed taką technologią. Za chwilę z łatwością zauważą psa w kuloodpornej kamizelce i rozpęta się piekło.

Tucker rozejrzał się po ulicy. Komandora Pierce'a nie było nigdzie widać, a on musiał coś zrobić.

Natychmiast.

Rzucił się do szczeliny pod ogrodzeniem, przez którą przepęłznął Kain. Była dla niego za mała, ale zwoje drutu kolczastego blokowały przejście górą. Nie mając wyboru, położył na ziemi telefon i zaczął odgarniać obiema rękami zbity piasek.

Zerkał co chwila na ekran telefonu, patrząc, jak komandosi zbliżają się do Kaina. Kopał coraz szybciej, wygrzebując piasek i pogłębiając dziurę zakrwawionymi palcami.

W końcu, nie mogąc już czekać dłużej, przecisnął się pod ogrodzeniem. Luźna tunika rozdarła się o metalowe pręty, odsłaniając kuloodporną kamizelkę.

Sięgnął po telefon.

Na widok ziarnistego obrazu na ekranie serce zamarło mu w piersi.

Komandos wpatrywał się w obiektyw, wyraźnie zaskoczony. Powód był oczywisty. Żołnierz wymierzył karabin wprost w kamerę.

Prosto w Kaina.

Godzina 21.23

Przeklęty głupiec...

Seichan weszła energicznie, ze złością, do wyłożonego kafelkami lobby hotelu Jubba.

Kowalski podązał za nią. Była wściekła, że musieli zostawić Graya samego i że tak bardzo ją to martwiło, ale rozumiała również, że to konieczne. Udało im się zwabić trójkę tajniaków do schodów przed budynkiem. Najprawdopodobniej nie byli świadomi zniknięcia Graya.

Mimo to nie potrafiła pozbyć się napięcia. Gray nie powinien iść tam sam. Gdyby chwilę pomyśleli, mogliby znaleźć inny sposób, by pozbyć się intruzów. Tymczasem jego działanie było niezwykle pochopne, nawet lekkomyślne. Nie pierwszy raz. W Zanzibarze omal nie stracili Tuckera i jego psa. Zazwyczaj Gray nie popełniał takich błędów.

Domyślała się przyczyny. Kipiał nadal wściekłością i frustracją. Dostrzegła to w jego chmurnym wzroku, zaciśniętych szczękach, lakonicznych wypowiedziach. Było w nim jakieś szaleństwo, którego wcześniej nie widziała. I to ją niepokoiło.

Może za wcześnie wrócił do służby.

Ale mieli zadanie i nie można się już było wycofać.

Kowalski wyjął cygaro i zaczął je zapalać. Gęsta chmura dymu wypełniła lobby, gryząc ją w oczy. Mecz piłkarski transmitowany na dużym ekranie telewizora w hotelowej restauracji przyciągnął hałaśliwy tłum, który wlał się do holu i zagroził drogę do schodów.

Jej partner skinął głową w kierunku wejścia.

— Wygląda na to, że nasi przyjaciele rozkładają tam obóz. Chcą mieć pewność, że nie wyjdziemy.

Seichan spojrzała na ludzi, którzy ich śledzili. Wszyscy troje siedzieli w kawiarni z widokiem na frontowe drzwi hotelu. Najwyraźniej Amur zamierzał strzec swojej inwestycji, dbając o to, by żaden inny informator nie wkraczał na jego terytorium.

Głośne owacje skupiły jej uwagę ponownie na restauracji. Mecz Brazylii z Niemcami zrobił się emocjonujący. Grupa niemieckich klientów zaczęła śpiewać hymn narodowy.

— Chodźmy stąd — powiedziała Seichan; chciała, by wrócili do swoich pokoi.

Kowalski zwlekał, paląc cygaro i powodując jeszcze większe zadymienie lobby. Obrócił wzrok w kierunku ekranu telewizora i po chwili ruszył, by dołączyć do męskiej widowni transmitowanego na żywo meczu.

Przynajmniej tej nocy nie będzie sprawiał kłopotów, pomyślała.

Myliła się.

Przeszedłszy kilka kroków, wpadł na kelnera niosącego dużą tacę z filiżankami i dzbankami z gorącą wodą. Taca pofrunęła w powietrzu, lądując na grupie mężczyzn stłoczonych przy wejściu do restauracji. Rozległy się krzyki i przekleństwa, gdy wrzątek chlusnął na stojące najbliższej osoby.

Potem ktoś kogoś pchnął, szturchnął i uderzył pięścią w nos. W ciągu paru sekund zaczęła się awantura. Wszyscy wypadli z restauracji do lobby, gdzie rozgorzała regularna bitwa.

Kowalski zasłonił Seichan w kącie, gdy obok jego nosa przeleciała butelka, rozbijając się

o ścianę.

— Co zrobiłeś?! — skarciła go.

— Z kuchni jest tylne wyjście — odparł z szerokim uśmiechem, przygryzając zębami niedopałek cygara. — Rozkręć jeszcze tę imprezę, a ty wymknij się niepostrzeżenie na ulicę. — Spojrzał jej w oczy. Pod maską obojętności kryły się jego intensywne uczucia. A więc nie tylko ona martwiła się o Graya. — Jesteś gotowa? — spytał.

Skinęła głową, na co uśmiechnął się jeszcze szerzej. I był to przerażający widok.

Odwrócił się i z dzikim wraskiem rzucił w wir walki jak rozjuszony byk. Po chwili bójka rozprzestrzeniła się jak fala przyływu w kierunku frontowych drzwi hotelu i rozlała na ulicę, szerząc zamieszanie i chaos.

Seichan wyślizgnęła się w przeciwną stronę, wyciągając chustę i owijając nią głowę i większość twarzy. Kowalski wrzeszczał za jej plecami — brzmiał niepokojąco radośnie i wreszcie był w swoim żywiole.

Teraz musiała odnaleźć Graya.

Miała sygnał wywoławczy Tuckera Wayne'a i jego ostatnią pozycję odnotowaną w swoim systemie nawigacji. Gray będzie się tam kierował.

Wypadła przez tylne drzwi na pogrążoną w ciszy i mroku uliczkę na zapleczu kuchni, pozostawiając za sobą brzęk garnków i patelni.

Zanim zdążyła zrobić krok, oślepił ją snop jaskrawego światła.

Usłyszała szorstki głos z wyraźnym brytyjskim akcentem i odgłos odbezpieczanego pistoletu:

— Jeszcze krok, a wpakuję kulkę w twoją piękną czaszkę.

## Boosaaso, Somalia

1 lipca, godzina 21.24 czasu miejscowego

Stojąc przy ogrodzeniu, Tucker przyglądał się, jak żołnierz wymierza lufę karabinu w Kaina. Na widok ziarnistego obrazu na ekranie telefonu serce waliło mu jak młotem. Nie miał szans dotrzeć na czas do partnera.

Reagując instynktownie, wyszarpnął pistolet, czarnego SIG sauera, wycelował go w powietrze i strzelił dwa razy. Huk wystrzałów zagrział mu w uszach i odbił się echem po pustym placu budowy.

Widoczny na ekranie żołnierz opuścił broń, przykucając na odgłos strzałów.

Tucker pędził już w kierunku kryjóWKi Kaina. Wcisnął w telefonie zieloną ikonkę w kształcie niewielkiego ucha i przytknął aparat do ust. Wypowiedział dwie komendy, które zabrzmiały w odbiorniku za lewym uchem Kaina.

ATAKUJ! ZABIERZ BROŃ!

Obraz na ekranie całkiem się zamazał.

Tucker nadal biegł, nisko pochylony.

Spieszę z pomocą, kolego.

*Kain czuje smak krwi. Jego potężne szczęki miażdżą kość. Zaciska je mocno, gdy okrzyk bólu przesywa mrok. Potem ofiara się uwalnia, kopiąc go butem w żebra.*

*Noc wiruje, ale wszystko wraca do normy, gdy Kain staje na nogi.*

*Jego ofiara przykuca, przytykając do piersi zmiądzoną rękę. Broń leży na ziemi. Obaj myśliwi przyglądają się sobie — ale tylko przez ułamek sekundy.*

*Kain rzuca się na mężczyznę, chwytając go za kostkę i powalając na ziemię. Komandos uderza głową w kawałek betonu. Spadają mu gogle, ukazując zmrużone oczy. Kain wyczuwa strach mężczyzny, na języku nadal ma smak jego krwi.*

*Ale przeciwnik jest również myśliwym.*

*W jego drugiej ręce lśni ostrze noża. Próbuje ugodzić Kaina — tyle że psa już nie ma. Ucieka, kryjąc się w mroku.*

*I trzymając w zębach cenną zdobycz.*

Godzina 21.25

Gray pędził wzdłuż ogrodzenia, gdy na placu budowy rozległa się kanonada: głuchoe serie z broni automatycznej i głośniejsze pojedyncze strzały.

Chwilę wcześniej, gdy dotarł do ulicy, usłyszał, jak ktoś strzela z pistoletu.

Dwa razy.

Strzały pochodziły z innej, odległej części placu.

To musiał być kapitan Wayne.

Potwierdziło się to, gdy usłyszał, jak Tucker przekazuje przez radio rozkazy swojemu partnerowi. Gray nie widział go na ulicy, pobiegł zatem w kierunku bramy na następnym rogu. Nie było tam strażnika, wcisnął się więc do środka, z bronią w ręce.

Wyrównana przez buldożery droga prowadziła wprost do miejsca, gdzie rozegrała się walka.

Spostrzegł leżące na ziemi ciała.

Ludzie Amura.

Uskoczył na bok, kryjąc się za stertą połamanych betonowych płyt. Zobaczył, jak komandos kopie jedno z ciał. Ręka uniosła się nad ziemią w błagalnym geście. Żołnierz wycelował w dół pistolet. Rozległ się suchy strzał i ręka bezwładnie opadła.

Zabijali wszystkich.

Strzelanina skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Echa ostatnich kilku serii z broni maszynowej natychmiast ucichły.

Gray szepnął do mikrofonu przy szyi:

— Tucker, zgłoś się.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Po lewej stronie, z dala od zwłok, wybuchła nowa strzelanina. Komandosi rzucili się w tamtym kierunku.

Tłumiąc przekleństwo, Gray wyskoczył zza sterty betonu i również tam pognał. Świszczały kule, gdy Tucker bawił się w kotka i myszkę z myśliwymi.

Gray kluczył w labiryncie gruzu, nasłuchując, skąd dolatują odgłosy strzałów i czujnie się rozglądając. W końcu spostrzegł Tuckera biegnącego z pistoletem w ręku wzdłuż rzędu wywrotek zaparkowanych na skraju gruzowiska i starającego się pozostać niewidocznym.

Ruszył w jego kierunku, ale nim zdążył zrobić więcej niż trzy kroki, kilka metrów przed nim pojawiła się mroczna postać. Stała tyłem do niego, zasłaniając mu widok. Był to ten sam komandos, który zabił ostatniego z ludzi Amura. Zauważył Tuckera i wystrzelił serię pocisków w jego kierunku.

Odbiły się rykoszetem od jednej z wywrotek.

Tucker, nie mając żadnej osłony, próbował uciekać, ale pocisk trafił go prosto w pierś. Siła uderzenia cisnęła nim o platformę ciężarówki. Upadł ciężko na ziemię, wypuszczając z ręki pistolet.

Gray uniósł broń, przeszedł szybko dwa kroki i strzelił komandosowi w kark. Żołnierz osunął się na kolana, a potem upadł na twarz i skonał, bulgocząc krwią. Gray ominął go, odkopując na bok jego szturmowy karabin.

Tucker próbował tymczasem się podźwignąć, z ręką przytkniętą do piersi.

Co za cholerne szczęście, że miał kamizelkę kuloodporną.

Ale szczęście trwało tylko chwilę.

Z prawej strony, spoza pola widzenia Graya, rozległ się kolejny strzał z pistoletu. Tucker przykucnął, pocisk bzyknął mu koło ucha i utkwiał w wielkiej oponie wywrotki. Następne strzały trafiły w piasek między jego nogami i obok lewej dłoni. Tucker odczołgał się na bok, znikając komandorowi z oczu.

Gray pobiegł naprzód, ale strzelec był nadal niewidoczny.

Gdzie...?

Wówczas komandos wypadł na otwartą przestrzeń. Biegł pochylony z uniesionym pistoletem, kierując się tam, gdzie zniknął Tucker. Drugą rękę zaciskał na piersi, a spod wygiętego pod dziwnym kątem nadgarstka kapała krew. Strzelał jak opętany, najwyraźniej powodowany wściekłością.

Gray starał się go namierzyć, ale tamten poruszał się zbyt szybko i był dobrze uzbrojony. Komandor mimo wszystko strzelił, opróżniając magazynek. Tamten był jednak tak skoncentrowany na swym celu, że nie wzdrygnął się nawet na odgłos pocisków odbijających się rykoszetem od boku ciężarówki ani nie spostrzegł, że kula drasnęła jego hełm.

Potem znów zniknął, ścigając Tuckera.

Gray pobiegł dalej, wyrzucając pusty magazynek i zakładając kolejny. Po kilku krokach spostrzegł komandosa, który pochylał się obok kabiny ciężarówki nad Tuckerem leżącym na plecach z zakrwawionym ramieniem. Uzbrojony żołnierz przyłożył mu pistolet do twarzy, gotów strzelić do niego z bliska.

Gray nie mógł go powstrzymać. Ale wtedy zdarzył się cud.

Godzina 21.26

Dymiąca lufa pistoletu była wycelowana między oczy Tuckera. Paliło go ramię, ale jeszcze intensywniej odczuwał pulsowanie krwi. Widział zza broni wzrok zabójcy, który kipiał wściekłością.

Podobnie jak on.

Gdy komandos podbiegł do niego, Tucker zauważył jego złamany nadgarstek i poszarpaną, krwawiącą ranę. Rozpoznał robotę Kaina. To ten człowiek zagrażał jego partnerowi.

Wyczytał w oczach żołnierza satysfakcję, że za chwilę uśmierci przeciwnika.

On również ją odczuwał.

I ktoś jeszcze.

Z mroku dobiegło nagle groźne warczenie, odwracając uwagę komandosa. Skierował raptownie broń w tamtą stronę.

Korzystając z tego, Tucker wyciągnął ukryty pod ciężarówką karabin przeciwnika, obrócił lufę i strzelił mu prosto w twarz. Żołnierz runął na plecy.

Gdy upadł, zjawił się za nim Gray. Przybiegł zdyszany — i nagle stanął jak wryty.

— Jak.. skąd pan wziął...?

Tucker, leżąc nadal na plecach, odwrócił się w kierunku wywrotki. Siedział pod nią skulony Kain, sapiąc i błyszcząc ślepiami w ciemności. Zgodnie z poleceniem, jego partner nie tylko powalił przeciwnika, ale również go rozbroił. Tucker wyobrażał sobie, jak Kain ciągnie po ziemi karabin, trzymając w zębach skórzany pas, zawsze posłuszny, wykonujący każdy rozkaz.

— Dobry pies — powiedział, patrząc w jego mądre oczy. — Dobry pies.

Godzina 21.35

Gray szedł ulicą w kierunku hotelu Jubba. Gdy odnalazł Tuckera, obaj opuścili szybko plac budowy. Nie napotkali już oporu. Wypełniwszy swą misję, pozostali komandosi — prawdopodobnie najemnicy — wycofali się i zniknęli w ciemnościach.

Ktokolwiek wynajął tych zabójców, najwyraźniej chciał uciszyć Amura. Jego pytania musiały zaniepokoić piratów zaangażowanych w porwanie Amandy i wywołały błyskawiczną reakcję.

Teraz Gray i Tucker znaleźli się znów na zatłoczonej ulicy w nowej dzielnicy miasta i zatrzymali się tylko na chwilę, by obandażować Tuckerowi ramię. Na szczęście pocisk tylko je drasnął.

Tucker skończył wyjaśniać, co się stało.

— Zobaczyłem na ekranie, że Kain ukrył się gdzieś między tymi wywrotkami, i poszedłem go szukać.

— I wpadł pan w zasadzkę.

Tucker zmarszczył brwi i spojrzął na idącego przy nim psa. Zdjął mu wcześniej kamizelkę i trzymał ją zwiniętą pod zdrowym ramieniem.

— Nie zostawiłbym go na pastwę losu, komandorze. Nigdy tego nie zrobię. Kain opiekuje się mną równie troskliwie. Gdyby nie on, już bym nie żył.

Gdybyś słuchał rozkazów, nie groziłoby ci niebezpieczeństwo.

Ale Gray nie powiedział tego głośno.

— Kain musiał wywęszyć mnie przy wywrotkach — kontynuował Tucker — ale pozostał w ukryciu.

— I przyniósł panu ten karabin. — Gray nie potrafił ukryć podziwu.

— Kazałem mu rozbroić przeciwnika. Został dobrze wyszkolony.

Gray podejrzewał, że ich znakomita współpraca nie wynikała jedynie z wyszkolenia, że była raczej efektem niewytłumaczalnej więzi łączącej psa i jego tresera, opartej na czymś głębszym niż tylko gesty i komendy.

Tak czy inaczej, udało im się wyjść z opresji z kilkoma tylko draśnięciami i zadrapaniami. Co prawda ludzie Amura zginęli — uciszeni przez wynajętych zabójców — ale dzięki pomocy Kaina wiedzieli teraz, że córkę prezydenta przetrzymywano gdzieś w górach Cal Madow na zachodzie.

Zanim Gray zdążył przemyśleć dalszy plan akcji, zauważył jakieś zamieszanie przed hotelem Jubba. Zobaczył przewracane stoliki, rozbite lady, powybijane szyby. Ludzie siedzieli na ulicy, opatrując rany. Wyglądało to jak pobojuwisko.

— Co się stało? — spytał Tucker.

— Nie wiem. — Gray pospieszył w kierunku wejścia do hotelu. Lobby było zdewastowane. W restauracji transmitowano w telewizji mecz. Kilku mężczyzn stało tam spokojnie wśród połamanych stołów i krzeseł, popijając herbatę, jakby nic się nie wydarzyło.

Gray dotknął mikrofonu przy szyi, próbując wywołać Kowalskiego i Seichan.

Nie odpowiadali.

Wymienili z Tuckerem zaniepokojone spojrzenia.

Weszli razem na schody. Ich dwupokojowy apartament był na drugim piętrze. Gray poszedł pierwszy korytarzem, którego wyłożoną płytkami posadzkę pokrywał wytarty perski chodnik. Starał się bezgłośnie podejść do drzwi. Z wnętrza docierały owacje z telewizora nadającego prawdopodobnie ten sam mecz piłkarski.

Gray wyciągnął pistolet i chwycił za klamkę.

Tucker dał ręką sygnał Kainowi, by był w gotowości.

Gray wpadł do pokoju — i zobaczył tam Kowalskiego, rozciągniętego na sofie w salonie w samych bokserkach, z przytkniętą do prawego oka ścierką z kostkami lodu.

Kowalski, skoncentrowany na meczu, niemal ich nie zauważył.

Gray rozejrzał się po pokoju. Wszystko wydawało się w porządku.

— Dlaczego nie odpowiedziałeś na moje wezwanie? — spytał.

Kowalski spojrzał zmieszany w kierunku stołu, gdzie leżał jego odbiornik i słuchawka. Przeczesał ręką mokre włosy.

— Brałem prysznic i zapomniałem...

— Nieważne — przerwał mu Gray. — Co się stało na dole?

Kowalski z jękiem opuścił nogi na podłogę.

— Kazałeś zrobić zamieszanie, kiedy tu dotrzemy.

— Ale nie rozpętywać trzecią wojnę światową!

Kowalski wzruszył ramionami.

— Sprawy trochę wymknęły się z rąk. Trzeba przyznać, że ci muzułmanie, pozbawieni seksu i alkoholu, z pewnością musieli wypuścić trochę pary.

Gray odprężył się i schował broń do kabury.



— Gdzie jest Seichan?

Kowalski zdjął lód z twarzy, odsłaniając zapuchnięte i nabiegłe krwią oko.

— Myślałem, że jest z wami.

— Z nami? Dlaczego? — Mięśnie klatki piersiowej Graya napięły się boleśnie. Następne słowa Kowalskiego tylko pogorszyły sprawę.

Boosaaso, Somalia

1 lipca, godzina 22.22 czasu miejscowego

Seichan siedziała w cementowej piwnicy bez okien. Nad jej głową wisiała pojedyncza żarówka. Powietrze przenikał zapach środka dezynfekującego. Na podłodze, w centralnym punkcie, odpływ kanalizacji.

To nigdy nie jest dobry znak, pomyślała.

Lewa ręka bolała ją w miejscu, gdzie zraniła się w kciuk o kawałek szkła, gdy kazano jej położyć się na brzuchu w uliczce na tyłach budynku. Pozbawili ją natychmiast całego sprzętu łączności i założyli na głowę kaptur. Trzymana na muszce, przeszła kilka przecznic pieszo, potykając się co chwila, a potem wieziono ją odkrytą ciężarówką — co wnioskowała z podmuchów wiatru, odgłosu silnika i wstrząsów zawieszenia. Musiała uchwycić się ramy drzwi, by utrzymać się na siedzeniu. Przecięta ręka sprawiała ból przy każdym podskoku. Przytknięty do żeber pistolet zniechęcał do jakiegokolwiek próby ucieczki. Zatrzymali się po nie więcej niż dziesięciu minutach, nie była więc daleko od hotelu, ale ulice miasta tworzyły tak zagmatwany labirynt, że mogli równie dobrze zabrać ją na inną planetę.

Gdy dotarli na miejsce, zdjęto jej kaptur, kazano się rozebrać do stanika i majtek i ponownie dokładnie ją przeszukano. Potem opatrzono jej zranioną rękę. Krew nadal spływała między palcami i kapłała na podłogę. Pozwolili jej włożyć z powrotem ubranie, ale nadal czuła się na pół naga.

Szarpnęła plastikowe taśmy, którymi przywiązano ją do metalowego krzesła. Próbowwała poruszyć krzesło, ale było przytwierdzone do betonowej posadzki.

Zrezygnowana, przeklęła w duchu swoją nieostrożność — nie mniejszą winę przypisując Grayowi.

Gdyby ten łajdak tak lekkomyślnie się nie odłączył...

Wiedziała jednak, że jest równie winna. Zachowała się tak samo nierozważnie jak on. I to ją martwiło, zwłaszcza że zdawała sobie sprawę, dlaczego tak postąpiła. Pamiętała ten pocałunek w szpitalu. Oboje siebie potrzebowali, choć z bardzo różnych powodów. Jej nieostrożność tego wieczoru była efektem ich pocałunku. Obawa o jego bezpieczeństwo, lęk, że może go stracić, zaślepiły ją i pozbawiły czujności.

Nie powinna wybiegać sama w tę ciemną uliczkę. Czyż nie ostrzegano ich przed misją, że w mieście szerzy się plaga porwań? Pocieszało ją jedynie to, że porywacze nie byli piratami.

Drzwi do piwnicy w końcu się otworzyły i do środka weszły dwie osoby. Jedna niosła gruby skoroszyt, druga krzesło, takie samo jak to, na którym siedziała Seichan. Ustawiono je naprzeciwko niej i mężczyzna, który ją porwał, usiadł, kładąc sobie skoroszyt na kolana. Miał krótkie włosy piaskowego koloru, przerzedzone u góry głowy, i był na swój sposób arogancko przystojny.

Jego towarzyszką — szczupłą Hinduska o śniadej skórze i ciemnych oczach — zajęła miejsce za oparciem krzesła. Stała wyprostowana, trzymając jedną rękę na kaburze przy boku.

Podobnie jak mężczyzna, była w spodniach khaki i zapinanej na guziki niebieskiej bluzie. Wszystko miała nienagannie wyprasowane, co nadawało zwykłemu ubiorowi wygląd munduru.

Seichan spojrzała jej głęboko w oczy.

— Byłaś jedną z tych trzech osób, które śledziły nas dziś wieczorem. Miałaś na sobie zielony sarong.

Kobieta nie zareagowała.

Rozglądając się, Seichan zauważyła swoje stare zdjęcie wpięte w skoroszyt, niewyraźne, ale z pewnością przedstawiające ją.

— Niech zgadnę, na pewno nie macie zupełnie nic wspólnego z Amurem Mahdim.

Mężczyzna mówiący z brytyjskim akcentem odpowiedział uprzejmie, ale stanowczo:

— Myślę, że to ja będę zadawał pytania. — Otworzył skoroszyt i przejrzał kilka pierwszych stron. — Zważywszy na liczbę pani wcieleń, nie wiem nawet, jak panią nazywać.

— Może najgorszym wrogiem? — odparła z przekąsem.

Jej słowa wywołały ledwie widoczne drgnięcie ust Hinduski — nie był to wyraz rozbawienia, lecz pogardy.

Mężczyzna zignorował uwagę Seichan.

— Pani pracodawca zorganizował kilka lat temu na naszym terytorium, w Muzeum Brytyjskim, zamach terrorystyczny, którego dokonała niejaka... — przerzucił papiery — Cassandra Sanchez. Paskudna sprawa.

Seichan przeniknął zimny dreszcz. Cassandra była, podobnie jak ona, agentką Gildii współpracującą z Painterem Crowe'em, zanim został on dyrektorem Sigmy. Seichan wiedziała tylko tyle, że ta kobieta nie żyje.

Odkąd ją schwytano, Seichan starała się ustalić, kto zastawił na nią pułapkę. Przychodziły jej do głowy różne możliwości. Z powodu swoich dawnych powiązań z Gildią była na liście podejrzanych wielu zagranicznych agencji wywiadowczych. Akcent tego mężczyzny pozwalał zawęzić opcje. Mogli być z SIS — brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej, znanej także jako MI6 — ale wyczuwała w nich wojskowych.

— Jesteście z SRR — wywnioskowała.

Mężczyzna wyprostował się, wpatrując się w nią.

— Imponuje mi pani.

Specjalny Oddział Zwiadowczy (SRR) był nowszą sekcją Brytyjskich Sił Specjalnych, utworzoną niedawno do przeprowadzania tajnych operacji szpiegowskich, zwłaszcza akcji antyterrorystycznych. Dobierali starannie personel, działali w ścisłej tajemnicy — i byli jedyną jednostką rekrutującą kobiety.

Seichan spojrzała na Hinduskę.

Niewiele osób wiedziało cokolwiek istotnego o działalności SRR. Ale nic dziwnego, że zatrudniali agentów w Somalii. W ciągu ostatniej dekady piraci porwali tam kilku brytyjskich obywateli, a wyjęte spod prawa wiejskie obszary kraju stanowiły poligon dla kilku islamskich organizacji terrorystycznych.

SRR musiało wytropić ją przypadkiem.

Mężczyzna potwierdził to.

— Mamy tu zainstalowany w systemie monitoringu na lotnisku program rozpoznawania twarzy. Miała pani szczęście, że to my panią znaleźliśmy. O ile wiem, Mossad wydał rozkaz, by natychmiast panią zlikwidować.

Seichan próbowała nadal ułożyć sobie wszystko w głowie.

— Celowo śledziliście nas tak niezdarnie, żebyśmy to zauważyli...

— Spodziewaliśmy się, że spróbuje pani nas zgubić i uciec tylnymi drzwiami... wprost w nasze ręce. — Mężczyzna pochylił się naprzód. — Ale z kim pani podróżuje? Kim są ci dwaj mężczyźni? Zidentyfikowaliśmy ich jako byłych amerykańskich żołnierzy, ale nie wiemy nic poza tym. Mają podejrzenie czyste konta. To agenci Gildii, zwykli najemnicy czy też wykorzystujecie ich w jakiś sposób?

Seichan zawahała się, nie mając pewności, co odpowiedzieć. Nikt nie wiedział, że zdradziła Gildię i pracowała teraz dla Sigmy. Tylko grupka osób w amerykańskim rządzie była o tym poinformowana. Z powodu popełnionych w przeszłości przestępstw nie mogła zostać oficjalnie zatrudniona. Gdyby więc kiedykolwiek ją schwytano — jak teraz — nie przyznają się do niej. Była zdana na siebie i musiałaby zniknąć na zawsze w jakiejś czarnej dziurze.

— Jeśli nadal będzie pani odmawiała współpracy... — zaczął mężczyzna i w tym momencie drzwi za jego plecami eksplodowały wyrwane z zawiasów.

Do pomieszczenia wpadł srebrny przedmiot.

Seichan zamknęła oczy, żałując, że nie może zasłonić uszu.

Błysk eksplozji, która nastąpiła w ograniczonej przestrzeni, przeniknął przez jej powieki, a huk ogłuszył ją tak, że poczuła mdłości. Gdy hałas ucichł, odetchnęła i otworzyła oczy. Zobaczyła jak przez mgłę, że coś porusza się tuż przy ziemi. Poczuła dotyk sierści na nagiej łydce i zimny nos na zakrwawionych palcach.

— Najwyższy czas, żebyście się zjawili — wychrypiała, nie słysząc własnych słów.

Gray i Tucker wpadli do piwnicy z pistoletami w rękach. Para agentów SRR leżała na podłodze. Byli ogłuszeni, bo wzięli na siebie cały impet eksplozji. Kobieta miała jednak jeszcze dość sił, by wycelować broń w Seichan. Choć oślepiąca wybuchem, była na tyle przytomna, że wydobyla broń i strzeliła po omacku w kierunku jej krzesła.

Z lufy błysnął płomień i pocisk odbił się rykoszetem od betonowej podłogi, krzesząc iskry i kłując stopy Seichan odpryskami kamienia. Pies odskoczył przestraszony od krzesła.

Gray obrócił broń w kierunku Hinduski.

— Nie! Nie strzelaj! — krzyknęła Seichan.

Tucker, który był bliżej, uderzył kobietę pistoletem i powalił ją na podłogę, po czym zabrał jej broń.

— Oni są z Brytyjskich Sił Specjalnych! — krzyknęła Seichan, zaczynając wreszcie słyszeć własne słowa, gdy odetkały jej się uszy.

Gray wskazał na parę agentów.

— Niech pan nie pozwala im wstać — rozkazał Tuckerowi. — Dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy.

Potem odwrócił się do Seichan, wyjmując niewielki wojskowy sztylet. Podszedł do niej i przeciął więzy, uważając na zakrwawioną rękę. Przykucnąwszy, położył dłoń na jej nagim kolanie. Poczuła dreszcz.

— Wszystko w porządku?

Choć dzwoniło jej w uszach, zrozumiała go na tyle, by skinąć głową.

— Nic mi nie jest. Celowo się zraniłam. I starałam się, żeby rana krwawiła, gdy trzymałam rękę na ramie drzwi w drodze tutaj. Uznałam, że już pora, żeby ten cholerny pies zarobił na swoją miche.

Tucker usłyszał jej słowa.

— Zostawiła pani ślad krwi, żeby Kain złapał trop. Sprytne.

Podczas lotu do Afryki zapoznała się z dossier ich nowego potencjalnego partnera, tak jak zrobiłaby to również w przypadku każdego innego, oceniając jego mocne i słabe strony. Z raportu, który przeczytała, wynikało, że wyszkolony pies potrafi wywęszyć pojedynczą kroplę krwi w basenie o olimpijskich rozmiarach. Nie zamierzała sprawdzać, ale dobrze, że okazało się to prawdą.

Stała się chwiejnie na nogi. Była nadal nieco ogłuszona, ale przynajmniej odzyskała już słuch.

— Co z pozostałymi agentami SRR?

— Jednego zdjęliśmy obok hotelu — odparł Gray, wyraźnie zmartwiony. — Leży związany i nieprzytomny w uliczce na tyłach. Drugiego Kowalski unieszkodliwił na górze. Powalił go jak taran, gdy wpadliśmy do pokoju. Chyba złamał mu nogę.

— Z całą pewnością — odezwał się szorstki głos przy drzwiach. Kowalski stanął na progu i wskazał kciukiem w kierunku schodów wychodzących z piwnicy. — Zakneblowałem go i związałem. Więc w jakie wpadliśmy tarapaty za skopanie tyłków brytyjskim żołnierzom?

Odpowiedział mu głos z podłogi. Leżący tam mężczyzna również odzyskał już przytomność na tyle, że wpatrywał się w nich zażawionymi oczami.

— Chyba w waszym amerykańskim slangu mówi się, że wdepnęliście w gówno. — Przyglądał się całej grupie. — Kim wy wszyscy jesteście, do cholery?

Gray schował broń do kabury i wyciągnął rękę, by pomóc mu się podnieść.

— Jesteśmy ludźmi, którzy potrzebują waszej pomocy.

Mężczyzna chwycił podejrzliwie jego dłoń, ale pozwolił, by Gray podźwignął go z podłogi.

— Proście o nią w dość szczególny sposób.

Kowalski wyjaśnił mu to w jedyny możliwy sposób.

— Jesteśmy Amerykanami. Tak działamy.

Godzina 23.34

Godzinę później Gray zebrał wszystkich w apartamencie hotelu Jubba. Siedzieli w salonie. Telefon do dyrektora Crowe'a, po którym nastąpiła cała seria kontaktów między agencjami wywiadowczymi obu krajów, umożliwił im szczerą rozmowę.

— Ta porwana na Seszelach kobieta — odezwał się kapitan Trevor Alden, trzymając w dłoni filiżankę z gorącą herbatą — jest córką prezydenta?

— Zgadza się — potwierdził Gray. — To Amanda Gant-Bennett.

Obie grupy siedziały na kanapach naprzeciw siebie, Amerykanie z jednej strony, Brytyjczycy z drugiej. Taca z herbatą stała na stoliku między nimi. Tucker przysiadł na oparciu kanapy. Kain trzymał się blisko swego tresera, ale wciąż wyciągał nos w kierunku sterty herbatników.

Kapitan Alden przeniósł wzrok na Seichan siedzącą obok Graya.

— A więc ona pracuje teraz dla was, koledzy.

Gray skinął tylko głową, nie wdając się w skomplikowane szczegóły ich profesjonalnej współpracy.

Alden oparł się plecami o kanapę.

— Ktoś mógł nas o tym poinformować, zanim tu dotarliście. Oszczędziłoby to majorowi Patelowi wielu cierpień.

Kowalski przechadzał się za kanapą, w pobliżu drzwi balkonowych, gdzie dym z jego cygara mniej przeszkadzał pozostałym.

— Przykro mi. Może trochę za mocno mu przyłożyłem, ale wszedł mi w drogę. — Wzruszył ramionami, nie okazując szczególnej skruchy. — Ale czy wy, panowie, nie powinniście nosić jakichś beretów czy czegoś takiego?

— Nie podczas misji. Jesteśmy tajną jednostką — wyjaśnił Alden. — Jest nas tylko czterech. A teraz trzech, jak sądzę.

Patel dostał zastrzyk morfiny i spał w sąsiednim pokoju, czekając na ewakuację z powodu złamanej nogi. Obok kapitana siedziało na sofie dwoje jego towarzyszy: Hinduska, major Bela Jain, i czarnoskóry muskularny żołnierz, major Stuart Butler.

Gray skierował rozmowę na problem, który mieli do omówienia.

— Kapitanie Alden, bylibyśmy wdzięczni za jakikolwiek kontakt z miejscowym wywiadem, żeby ustalić, dokąd mogła zostać zabrana córka prezydenta.

— Wasza wdzięczność jest zbędna. Dostaliśmy rozkaz, żeby zaoferować nasze usługi. — Alden skrzywił się, po czym ostrożnie odstawił filiżankę na tacę. — Proszę wybaczyć. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Sam mam nastoletnią córkę. Gdyby została porwana...

Alden pochylił się naprzód i wyciągnął rękę.

Uścisnęli sobie dłonie, mocno i po męsku.

— Ma pan naszą pełną współpracę — obiecał Alden.

Gray poczuł, że nabiera do niego sympatii. Pozbywszy się typowo brytyjskiego dystansu, wydawał się całkiem miły. Poza tym udało mu się schwytać Seichan, co nie było łatwym zadaniem.

Sądząc jednak z postawy Seichan, siedzącej z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i przesuwającej między palcami obandażowanej ręki srebrny wisiołek w kształcie smoka, który miała na szyi, nie podzielała ona opinii Graya na temat kapitana SRR. Również major Jain niemal się nie odzywała; jej twarz była surowa i nieprzenikniona, a sylwetka sztywna. Gray przypuszczał, że nadal boli ją głowa po eksplozji, nie wspominając już o tym, że Tucker grzmotnął ją pistoletem.

Nie było to zbyt fortunne spotkanie sojuszników.

Musieli jednak znaleźć sposób, by wspólnie działać.

— Czy macie jakiegokolwiek informacje na temat miejsca pobytu tej młodej kobiety? — spytał Alden, przechodząc do rzeczy. — Gdzie wyszła na brzeg? Kto ją porwał?

— Niewiele wiemy.

Gray zrelacjonował pokrótce ich spotkanie z Amurem Mahdim i akcję szwadronu śmierci na placu budowy. Kapitan nic o tym nie wiedział, więc otrzymał zwięzły raport.

Potem Gray rozwinął na stole topograficzną mapę kraju. Alden pochylił się, gdy komandor przesunął palcem wzdłuż pasma górskiego na zachód od miasta. Przecinało ono całą północną Somalię.

— Wiemy jedynie, że zabrano ją prawdopodobnie gdzieś w te góry — oznajmił Gray.

— To rozległy i dziki teren. Dżungle, przepaście, jaskinie. Można by prowadzić tam poszukiwania całymi latami i przeczesać tylko jedną dziesiątą tych szczytów. Macie jakieś inne wtyczki?

— Czekamy nadal, aż satelita NRO wyśledzi na wybrzeżu statek piratów.

— To szukanie igły w stogu siana — stwierdził ponuro Alden, kręcąc głową. — Poza tym te statki regularnie zmieniają pozycje. Nawet gdybyście go znaleźli, nie będzie pewności, czy właśnie w tym miejscu wysadzono kobietę na brzeg.

Gray musiał się z nim zgodzić. Zamknął oczy i odtworzył w myślach rozmowę między

Amurem i jego ludźmi. Uciszone ich nie bez powodu. Musiał znaleźć w ich słowach jakąś wskazówkę, użyteczną informację.

Wyprostował się nagle, coś sobie przypominając. Fragment rozmowy rozbrzmiewał mu echem w głowie.

*Przyjaciel wuja mojego brata, który mieszka koło Eil, mówi, że przez jego wioskę przejeżdżała biała kobieta. Mówi, że przewozili ją w góry.*

Otworzył oczy i spojrzał na mapę.

— Znacie miasto o nazwie Eil?

Alden skinął głową, przyglądając się wybrzeżu.

— To małe zakazane miasteczko rządzone przez piratów. — Postukał w końcu palcem w mapę. — Tutaj, nad tą zatoką.

— Jeden z ludzi Amura powiedział, że słyszeli o białej kobiecie, zakładniczce, którą przewożono przez tę osadę. Gdybyśmy tam pojechali...

— Natychmiast was zastrzelą — przerwał mu Alden. — A nawet jeśli jakimś cudem przeżyjecie, niczego wam nie powiedzą. Kiedy ktoś piśnie tam słówko, wydaje na siebie wyrok śmierci.

Gray przypomniał sobie, jak zastrzelono ostatniego z ludzi Amura.

Mimo wszystko Brytyjczyk nie wydawał się zrezygnowany.

— Jeśli pojechali prosto z Eil w góry, może to zawęzić obszar waszych poszukiwań. — Przesunął palcem po mapie w głąb łądu. — Zadzwońcie do waszego dyrektora i poproście go, żeby satelita NRO przestał poszukiwać statku i skoncentrował się na tym rejonie gór. — Zaznaczył palcem prostokąt na mapie.

— To nadal setki kilometrów kwadratowych — zauważył Gray.

— Owszem.

— A może przeczesać teren detektorem podczerwieni? — zaproponował Tucker. — Gdyby satelita wychwycił różnice temperatur i zawęził parametry poszukiwań...

— Możliwe. Ale latem jest tam tak gorąco, że skaliste szczyty zatrzymują nocą mnóstwo ciepła. — Alden pochylił się nad mapą. — Mam chyba lepszy pomysł.

— Jaki?

Brytyjczyk uśmiechnął się i spojrzał na zamknięte drzwi sypialni.

— Myślę, że wykorzystamy naszego biednego majora Patela.

Waszyngton, D.C.

1 lipca, godzina 16.55 czasu miejscowego

Painter siedział w swoim gabinecie, próbując rozwikłać zagadkę, która przyprawiała go o ból zębów. Od porannej narady u prezydenta tkwił w biurze bez okien w centrali Sigmy, kilka pięter poniżej Zamku Smithsonian, a jednak zaledwie parę kroków od ośrodków władzy i siedzib wielu najlepszych w kraju instytucji naukowych i komitetów doradczych.

Wcześniej przejrzał wideo z Somalii i posłuchał nagrań. Bez wątplenia Amura Mahdiego zamordowano, aby go uciszyć. Mimo że Amur najwyraźniej grał na dwie strony, CIA protestowała już z powodu zabójstwa ich miejscowego agenta. W tym przypadku zdrajca padł ofiarą własnych intryg.

Zabójstwo Amura potwierdzało tylko hipotezę, że porwanie Amandy Gant-Bennett nie stanowiło zwykłego aktu piractwa.

Painter był tego pewien.

Ale o co chodziło?

Na razie nie zażądano okupu. Do porwania nie przyznała się żadna z wielu lokalnych grup terrorystycznych. Gdyby córka prezydenta była w ich rękach, trąbiliby o tym na wszystkie strony.

Jaką więc prowadzili grę?

Painter nie mógł się pozbyć uczucia, że porwanie Amandy miało coś wspólnego z Gildią. Może jakaś konkurencyjna organizacja przestępcza chciała wykorzystać córkę prezydenta jako kartę przetargową, żeby wywrzeć nacisk na Gantów — jeśli to oni rzeczywiście zarządzili tym tajemniczym stowarzyszeniem.

Trudno mu było pogodzić własne podejrzenia z ewidentnym przerażeniem, które widział w oczach prezydenta i rozpaczą Pierwszej Damy, gdy obejmowała męża w korytarzu. Nawet starszy brat Ganta, sekretarz stanu, wydawał się szczerze zainteresowany odnalezieniem Amandy.

Nie oznaczało to jednak, że inni członkowie rodziny nie są zamieszani w tę sprawę.

Skupił ponownie uwagę na stojącym na biurku dużym monitorze z ciekłokrystalicznym ekranem. Używając myszy, przewinął długą listę nazwisk powiązanych ze sobą siecią rodzinnych koligacji. Zawierała informacje na temat małżeństw, urodzin, a nawet zrad i nieślubnych dzieci. Była to sięgająca dwóch wieków wstecz historia rodu Gantów. Bardziej niż drzewo genealogiczne przypominała macierz, tak skomplikowaną, że wymagała prezentacji w trzech wymiarach.

Klikając myszką i przeciągając obraz, wprawił macierz w powolny obrót. Spiralna galaktyka władzy i wpływów sięgała do czasów sprzed założenia kraju. I była nadal niekompletna. Zaangażował historyków i genealogów z całego świata do odtwarzania fragmentów łamigłówek, by stworzyć obraz rzeczywistego zakresu działania tego starodawnego klanu. Wątpił, by ktokolwiek dokonał kiedyś równie dogłębnej analizy historii rodu Gantów.



Zauważył też linie prowadzące do macierzy lub z niej wychodzące — oznaczały dalekich kuzynów, którzy wżeniali się ponownie w rodzinę, co zdarzało się w tak potężnych arystokratycznych rodach. Wyglądało na to, że nikt w kolejnych pokoleniach nie chciał się za bardzo oddalać od źródła władzy i dobrobytu.

I jakież to było źródło!

Painter stracił już rachubę, ilu było w tym rodzie przydających mu splendoru wynalazców, naukowców, mężów stanu i przemysłowców. Nie wspominając o łajdakach i kilku osobach o fatalnej reputacji.

Ale w każdej rodzinie są czarne owce.

Uniósł brwi, gdy zobaczył na ekranie swoje odbicie. Czy ta macierz kryła prawdę o Gildii, czy szukał wiatru w polu?

Żeby przypomnieć sobie, kim są naprawdę jego przeciwnicy, Painter kliknął ikonę pliku obrazów i wyświetlił na ekranie symbol — a raczej cały zestaw symboli.



Był to znak Gildii.

Na środku widniał niewielki półksiężyc i gwiazda — jeden z najstarszych symboli na świecie, sięgający czasów tajemnego bractwa ze starożytnego Egiptu. Otaczały go bardziej już znajome cyrkiel i węgielnica, reprezentujące kolejne tajne stowarzyszenie — masonerię. Wszystko to znajdowało się w centrum tarczy templariuszy, średniowiecznego zakonu ukrywającego podejrzaną tajemnicę.

— Największy sekret wszystkich tajnych stowarzyszeń — wyszeptał, powtarzając słowa, które wypowiedział przed śmiercią jeden z członków Gildii. Takie było znaczenie tej symboliki. Podobno przedstawiała historię Gildii, wskazując ślady jej podstępnych działań w odległej przeszłości.

Ten umierający człowiek podejrzewał również, że oprócz tajnych bractw, których istnienie ujawniały stare symbole, działały również inne, na różnych poziomach hierarchii. Przetrwały one do dziś, doprowadzając w końcu do powstania organizacji, którą nazwał Prawdziwą Linią Krwi, stojącej na czele tajemniczej Gildii.

— Jeden ród — mruknął Painter, przyglądając się rozległym koligacjom klanu Gantów.

Gildia ukrywała się przez wieki pod maskami różnych tajnych stowarzyszeń. Czy tu użyto tego samego podstępu? Czy majestat tej rozległej dynastii stanowił przykrywkę dla tajnej organizacji?

Jeśli tak, to ile osób było w tę sprawę zamieszanych?

Wpatrywał się w trójwymiarowy schemat, czując, że coś umyka jego uwadze, choć ma to przed oczami. Nie mógł jednak dojść, co to takiego.

Przerwało mu pukanie do drzwi. W progu stała ubrana w wojskowy mundur wysoka

kobieta o kasztanowych włosach. Painter postukał w klawiaturę i usunął z ekranu drzewo genealogiczne Gantów.

Było przeznaczone wyłącznie dla jego oczu.

— Kat — powiedział, dając kobiecie znak ręką, by weszła.

Kapitan Kathryn Bryant była jego zastępczynią, specjalistką od wywiadu w Sigmie.

Painter skupił całą uwagę na aktualnej sytuacji, na tym, co działo się w Somalii.

— Czy Brytyjczycy uspokoili się po tej awanturze w Boosaaso?

— Nie do końca. Ale SRR zgodziło się utrzymać wszystko w tajemnicy i zaoferować na miejscu swoją pomoc.

— Świetnie.

— Ale to nie jest jedyny powód mojej wizyty — oznajmiła Kat. — Kogoś panu przyprowadziłam.

Przesunęła się na bok i zza framugi wyjrzała nieśmiało znajoma twarz okolona blond włosami.

— Lisa! — zawołał Painter z zachwytem w głosie. Wstał i obszedł biurko. — Sądziłem, że wrócisz dopiero wieczorem.

Lisa Cummings wślizgnęła się do środka, ubrana w dzinsy i luźną jasnoniebieską bluzkę. Postukała palcem w nadgarstek.

— A jak myślisz, która jest godzina?

Jak zwykle pozwolił, by uciekł mu cały dzień. Ale nie zamierzał dopuścić, by uciekła mu jego dziewczyna. Uścisnął ją mocno i pocałował w policzek.

Przytuliła się do niego, dając wyraz podobnym odczuciom.

— Dobrze jest być w domu.

Przez chwilę trwali w uścisku, aż w końcu odsunęli się od siebie, trzymając się tylko za ręce. Lisa była przez tydzień na sympozjum medycznym. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nią tęsknił.

Podprowadził ją do jednego z krzeseł i dopiero gdy usiadła, puścił jej rękę.

— Słyszałam o córce prezydenta — powiedziała posepnie. — Pamiętam ją z jednego z tych oficjalnych przyjęć w Białym Domu sprzed kilku miesięcy. Dowiedziała się wtedy właśnie, że jest w ciąży.

— Skoro o tym mowa... — Kat zajęła drugie krzesło. — Panie dyrektorze, prosił mnie pan o zebranie informacji dotyczących ciąży Amandy.

Painter oparł się o biurko. Miał pełne dossier na temat córki prezydenta, ale nie wiedział niemal nic o dziecku, które nosiła w łonie. Nie chciał niczego przeoczyć. Wszystko było w tej sprawie dziwne — od fałszywych dokumentów po wyprawę na Seszele. A teraz jeszcze to porwanie.

Chciał zajrzeć pod każdy kamień.

— Przed wszystkim nie jest to dziecko jej męża — zaczęła Kat.

Painter uniósł brwi ze zdziwieniem. To była dla niego nowina.

— Najwyraźniej Mack Bennett miał problemy z płodnością, które wymagały użycia spermy dawcy i zapłodnienia in vitro.

— Ciekawe. — Painter dołączył tę informację do sprawy, zastanawiając się, co może z tego wynikać.

Może w tym jest jakiś motyw? Kwestia opieki nad dzieckiem?

— Gdzie przeprowadzono zabieg? — spytał w końcu.

— W klinice leczenia bezpłodności w Karolinie Południowej, w pobliżu Charlestonu. Sprawdziłam to miejsce. Bardzo nowoczesne. Dysponują najnowszą technologią. Mają listę klientów z całego świata.

— A kto był dawcą spermy?

Kat pokręciła głową.

— Tego nie ujawniają.

Painter nie znosił niewiadomych. Zwykle prowadziły do chaosu.

— Mogę zadzwonić w parę miejsc, ale bez nakazu sądowego... — powiedziała Kat, która dostrzegła wyraz jego twarzy.

Pokręcił głową.

— Podjęcie kroków prawnych wywoła zbyt wiele szumu, inni także zaczną się interesować, gdzie jest Amanda. Nie możemy podejmować takiego ryzyka.

— Nie wspominając o tym, że byłoby to istotne naruszenie prywatności — przypomniała mu Lisa.

— A w końcu dziecko może nie mieć z tą sprawą nic wspólnego — dodała Kat.

Painter skrzyżował ramiona na piersi; nie podzielał jej zdania.

— Amanda uciekła na Seszele zaledwie kilka tygodni przed planowanym terminem porodu. Podróżowała z fałszywymi dokumentami, jakby przed kimś się ukrywała... albo kogoś chroniła.

— I pan myśli, że chodzi o dziecko — powiedziała Kat. — Ale dlaczego?

— Nie wiem. Ale może znaleźlibyśmy odpowiedź w tej klinice.

— Mogę posłać tam grupę dochodzeniową.

— Albo ja pojadę — zaproponowała Lisa. — Jestem lekarką. Zwykła zawodowa uprzejmość może łatwiej otworzyć drzwi niż nalot komandosów.

Painter zacisnął usta. Lisa wiele razy pomagała Sigmie. Jej medyczne doświadczenie mogło okazać się przydatne, zwłaszcza w odniesieniu do ciąży Amandy — i prawdopodobnie właśnie dlatego Kat ją dziś przyprowadziła. Musiał więc przyznać, że propozycja Lisy ma sens i zapewnia ich akcji większą dyskrecję, ale nie chciał narażać swojej dziewczyny na niebezpieczeństwo.

— Mogę jej towarzyszyć — zasugerowała Kat. — Na przykład udając potencjalną klientkę.

— Ale masz w domu niemowlę i malutkie dziecko.

— Oraz męża, który nie ma co robić — odparła. — Monk może przez dwa dni zaopiekować się Harriet i Penelope.

Monk Kokkalis, jej mąż, był dawnym agentem Sigmy, który postanowił zrezygnować z pracy, aby móc spędzać więcej czasu z żoną i rodziną. Podczas jednej z wcześniejszych misji o jeden raz za dużo otarł się o śmierć i uznał, że ma już dość.

— Nie sądzę, żeby twój mąż chciał puścić cię w teren — ostrzegł Painter.

— Nie wyruszam w podróż przez pół świata. To tylko jednodniowa wyprawa.

Kat zdradzał wyraz twarzy. Na myśl, że znów weźmie udział, jej oczy zaiskrzyły się. Po dwóch ciążach potrzebowała najwyraźniej świeżego powietrza i rozprostowania nóg w terenie. Choć w centrali Sigmy pracowała bardzo efektywnie, w głębi duszy pozostała żołnierzem. Nie po to ukończyła Akademię Marynarki Wojennej, uzyskując stopień kapitana, żeby przez cały dzień tkwić w biurze.

Painter czasem o tym zapominał. Teraz skinął głową.

— Mogę wam załatwić lot wczesnym rankiem.

Uśmiechnęła się, zerkając na Lisę, która zareagowała tak samo.

Uświadomił sobie w tym momencie, że obie nim manipulowały i od początku to zaplanowały. Zamiast robić im wyrzuty, pogodził się po prostu z tym, co nieuniknione.

— Powinnyśmy iść do mojego biura — zwróciła się Kat do Lisy. — I przygotować wszystko przed porannym lotem.

Lisa wstała, pocałowała Paintera pospiesznie w policzek i poszła za Kat. Przedtem jednak przystanęła w drzwiach z kuszącym uśmiechem.

— Do zobaczenia wieczorem.

Painter przyglądał się, jak kobiety idą korytarzem. Był to całkiem przyjemny widok. Gdy zniknęły za rogiem, znów poczuł na ramionach ciężar trosk.

Sięgnął po teczkę na biurku i wyciągnął zdjęcie, które leżało na wierzchu. Była to ostatnia fotografia Amandy. Dziewczyna uśmiechała się, stojąc obok męża i jedną ręką trzymając się za brzuch, opiekuńcza i dumna.

Painter przyjrzał się uważniej i po raz pierwszy zauważył cień lęku w jej oczach. Przywieriała do męża, niemal się za nim chowając. Nawet ręka, którą obejmowała go w pasie, była trochę zbyt mocno zaciśnięta.

Czego tak się bałaś, Amando?

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 23.59 czasu miejscowego

Amanda poczuła ukłucie igły, gdy wstrzykiwano jej w brzuch środek znieczulający. Wpiła palce w cienką pościel szpitalnego łóżka. Obserwowała wszystko, nie chcąc odwracać głowy.

Jej szpitalną koszulę podciągnięto do góry, odsłaniając nabrzmiały brzuch i sterczący pępek. Od pasa w dół była przykryta prześcieradłem, co nie znaczy, że wcześniej oszczędzono jej upokorzeń.

— To powinno wystarczająco ją znieczulić, doktorze Blake — powiedziała wysoka blondynka, wyrzucając zużytą strzykawkę do czerwonego pojemnika na odpadki. Mówiła z lekkim niemieckim akcentem, może szwajcarskim.

— Dziękuję, Petro.

Brytyjski lekarz poklepał Amandę po ramieniu. Podobnie jak pielęgniarka, miał na sobie fartuch lekarski, ale nie błękitny, tylko tradycyjny, biały.

— Za kilka minut skończymy i będzie pani mogła odpocząć. Wiem, że to był długi dzień.

Oboje wyszli, by skończyć przygotowania do zabiegu.

Amanda była skazana na czekanie w łóżku. Pomasowała brzuch, by uspokoić siebie i dziecko. Zauważyła zwisające z poręczy skórzane pasy. Poczuła strach, że nie widzieli potrzeby, aby ją przywiązywać. Musieli być absolutnie pewni swojego systemu ochrony.

Spojrzała na monitor ultrasonografu, wyłączony w tym momencie, ale gotowy do użycia. Zrobili jej już USG brzucha, gdy tylko przyjechała; sprawdzili pozycję płodu, zmierzili wielkość czaszki i przybliżoną długość ciała. Nie protestowała przeciw temu badaniu. Pragnęła wiedzieć, tak samo jak lekarz, w jakim stanie jest jej dziecko.

Poczuła w końcu ogromną ulgę, widząc bicie jego serca, zaciśnięte piąstki i powolne ruchy. Obejrzawszy dokładnie sonogram, lekarz stwierdził, że chłopiec jest całkowicie zdrowy.

Ale wyglądało na to, że jeszcze nie skończyli się nią zajmować.

Doktor Blake wrócił. Petra niosła tacę z dużą strzykawką wyposażoną w kilkunastocentymetrową igłę. Amandzie robiono już amniopunkcję, gdy była w osiemnastym tygodniu ciąży, wiedziała więc, czego się spodziewać.

Petra posmarowała jej brzuch świeżym środkiem antyseptycznym, po czym włączyła ultrasonograf i podała doktorowi Blake'owi nawilżony cewnik. Obserwując monitor, lekarz wprowadził igłę głęboko w brzuch. Ból był niewielki, jak przy skurczu menstrualnym.

Odwróciła wzrok od monitora, gdy czubek igły zbliżał się do uśpionego płodu. Nie chciała na to patrzeć. Jeden nieostrożny ruch mógł spowodować niewyobrażalne szkody.

Wszystko dobrze się jednak skończyło.

Ściągnięto z ręcznie płyn z worka owodniowego wokół płodu i wysunięto igłę. Amanda przestała w końcu wstrzymywać oddech. Oczy zaszyły jej nagle łzami.

— Proszę monitorować temperaturę — polecił lekarz pielęgniarce. — I obserwować, czy nie ma krwawienia z pochwy. — Gdy Petra skinęła głową, zwrócił się do Amandy: — Nie ma powodu do płaczu. Przynajmniej na razie. Wyniki testu genetycznego będą dopiero rano.

Jej pierwsza amniopunkcja była rutynowa. Chodziło o wykluczenie różnych aberracji chromosomowych, takich jak syndrom Downa, lub wad genetycznych, na przykład mukowiscydozy. Wiedziała jednak, że tym razem lekarzom chodzi o coś innego.

List, który spowodował ucieczkę Amandy ze Stanów, zawierał ostrzeżenie, że w genach jej dziecka jest coś szczególnego, czym interesują się jacyś ludzie. Niewiele z tego rozumiała, ale to wystarczyło, by wyjechać, zanim po nią przyjdą.

— Jeśli geny okażą się stabilne, pani dziecko będzie żyło — ciągnął Blake. — Byłby to pierwszy taki przypadek. Jeśli nie... cóż, pomartwimy się tym później, prawda?

Znów poklepał ją ojcowsko po ramieniu.

Wiedziała, że nawet przy dobrych wynikach badań jej chłopczyka czeka straszna przyszłość. A gdyby nie były dobre, lekarze prawdopodobnie go zabiją.

Odwróciła głowę na bok, nie wiedząc, jakiego wyniku testu powinna pragnąć. Gdy dotknęła rękami brzucha, do oczu znów napłynęły jej łzy. Ale jednego była pewna: do ostatniego tchu, choćby miała umrzeć, będzie broniła swego dziecka.

Nie pozwolę im cię skrzywdzić.

Blask ogniska płonącego za brezentową ścianą oświetlał szkarłatny krzyż, który wcześniej zauważyła. Zobaczyła znów dziwne, wymyślne wzory opasujące jego ramiona. Tyle że teraz — po amniopunkcji i rozmyślaniach na temat aberracji chromosomowych — rozpoznała, co przedstawiają.

Były to spirale DNA.

Kod genetyczny.

Patrzyła z niedowierzaniem. Przeniknął ją chłód. Choć nigdy wcześniej nie widziała takiego krzyża, słyszała pogłoski, że symbolizuje on tajemnicę sięgającą początków jej rodu.

Zawsze sądziła, że to tylko legenda, historia, którą straszono dzieci.

Teraz nie mogła już jednak zaprzeczyć straszliwej prawdzie. To właśnie przed tym ostrzegął ją tajemniczy list. Z tego powodu uciekała w panice na Seszele.

Linia krwi.

Dopadli mnie.

Przestrzeń powietrzna nad Somalią  
2 lipca, godzina 10.12 czasu miejscowego

Gray poprawił pokaźne słuchawki chroniące przed rykiem podwójnych silników śmigłowca. Wyrzął przez okno kabiny w kierunku, który wskazywał kapitan Alden.

— To tam! — wrzasnął brytyjski oficer SRR.

Śmigłowiec leciał nisko nad szachownicą spalonych słońcem pól, nad pokruszonymi czerwonymi skałami i pojedynczymi kępami rachitycznych drzew. Stada kóz uciekały przed podmuchem powietrza wzniecany przez huczące wirniki. W oddali, na tle porannego nieba, wznosił się nad horyzontem poszarpany łańcuch gór. Ale śmigłowiec transportu medycznego nie leciał aż tak daleko.

Alden wskazywał na złożony z namiotów i chat duży obóz rozciągający się na skrzyżowaniu dwóch zwirowych dróg. Wiele namiotów miało u góry czerwone krzyże. Na okolicznych polach widać było zaparkowane pojazdy — cywilne samochody i ciężarówki ONZ — oraz wielbłądy.

Był to obóz pomocy humanitarnej zorganizowany przez UNICEF i prowadzony przez francuską organizację Médecins sans Frontières, znaną w Stanach jako Lekarze bez Granic. Leżał na wzgórzach, w połowie drogi między górami a oceanem, i trafiali do niego ci, którzy mieszkali w głębi lądu i na wybrzeżu.

Usłyszawszy jęk, Gray spojrział w głąb kabiny na tyłach śmigłowca. Major Patel leżał przywiązany do noszy na podłodze. Po godzinnym locie z lotniska Boosaaso do ośrodka medycznego morfina przestawała działać. Tutejsi francuscy lekarze nastawią bez problemu jego złamaną kość piszczelową i ustabilizują go wystarczająco, by mógł wrócić do Europy.

Ale nie po to naprawdę przylecieli w to miejsce.

Stan zdrowia Patela stanowił tylko alibi dla ich wyprawy w głąb lądu.

Alden pochylił się, ale skorzystał z wbudowanego w słuchawki mikrofonu, mówiąc:

— Mam tu kogoś, kto powinien na nas czekać, gdy wylądujemy. Jeśli w obozie słyszano o porwanej kobiecie, on na pewno to wywęszy.

Gray skinął głową i spojrział na Tuckera i Seichan. Kowalski siedział z przodu z majorem Butlerem, który zajmował miejsce za sterami śmigłowca.

Mieli niezły plan. Obóz leżał w cieniu gór Cal Madow. Jako jedyny w promieniu setek kilometrów ośrodek pomocy humanitarnej stanowił centralny punkt dla całego regionu. Z tego powodu było to również strategiczne miejsce wymiany informacji. Nic dziwnego, że SRR miało tu swojego człowieka.

Zachowując ostrożność, ekipa komandora Graya mogła dowiedzieć się czegoś istotnego na temat Amandy — albo przynajmniej zawęzić obszar poszukiwań. Painter śledził w Waszyngtonie przekaz satelitarny z sąsiednich gór. Stąpając po ziemi i patrząc z nieba, mieli nadzieję ustalić przez zmierzchem miejsce pobytu córki prezydenta.

Gdy śmigłowiec lądował, za szybami zawirował nagle tuman piasku. Maszyna opadła

raptownie i płozy dotknęły w końcu gruntu.

Alden otworzył drzwi kabiny. Zanim ucichł huk silników, do wnętrza śmigłowca wdarł się piasek i fala gorąca. Kiedy wysiedli, powitało ich czterech sanitariuszy, którzy pospieszyli, by pomóc odebrać z pokładu majora Patela. Przeniesiono go na noszach do czekającego jeepa. Major Butler towarzyszył swemu rannemu partnerowi, żeby upewnić się, że ma właściwą opiekę, i rozpuścić pogłoski, że są grupą cudzoziemców pracujących dla organizacji humanitarnej.

Tucker poklepał po boku psa, by uspokoić go po długim hałaśliwym locie.

Kowalski patrzył tylko posepnie na ponure otoczenie.

— Czy nie moglibyśmy chociaż raz... jeden raz... wylądować na jakiejś plaży, gdzie kobiety noszą bikini, a drinki podaje się w orzechach kokosowych?

Seichan zignorowała go i stanęła obok Graya.

— Co teraz?

— Tędy! — odparł Alden, ruszając naprzód w towarzystwie ostatniego członka brytyjskiego zespołu SRR, major Beli Jain. Kapitan wskazał na skupisko krytych słomą chat.

Poszli całą grupą przez parking pełen zardzewiałych ciężarówek, pustynnych buggy i zdezelowanych motocykli. Na ich straży stał stary daimler ferret scout, pomalowany na biało i ozdobiony błękitnym godłem ONZ. Wyglądał jak miniaturowy czołg z całkowicie osłoniętą opancerzoną kabiną i wieżyczką z zamontowanym belgijskim karabinem maszynowym L7. O pojazd opierał się żołnierz sił pokojowych ONZ, przyglądając się podejrzliwie przechodzącym przybyszom.

Alden spostrzegł, że komandor zwrócił uwagę na tego żołnierza.

— Tego typu obozy muszą być strzeżone. Często są atakowane, dla zdobycia lekarstw, albo nawet wody. Susza zniszczyła znaczną część tego obszaru, powodując głód i śmierć, zmuszając ludzi do emigracji na wybrzeża albo w góry.

Gdy dotarli do kręgu chat, zobaczyli francuskiego lekarza, który klęczał obok czekających w długiej kolejce somalijskich dzieci. Pielęgniarka przygotowała strzykawkę i podała ją lekarzowi, a ten wbił igłę w kościste ramię stojącego najbliżej chłopca.

Gray czytał, że wojna domowa prowadzona w południowej części kraju spowodowała exodus setek tysięcy cywilów i ich dzieci, powodując epidemie cholery, czerwonki i zapalenia wątroby. Ale program szczepień przeciw odrze i polio, wraz z podawaniem zwykłych tabletek odrobaczających i witamin, ratował życie wielu dzieciom.

— Oto kontakt, o którym wam mówiłem — powiedział Alden, wskazując ręką. — Słyszysz wszystko, co dzieje się w obozie. Niczego nie przeoczy. To bezcenny agent.

Komandor przyjrzał się francuskiemu lekarzowi, mężczyźnie w średnim wieku, w dużych okularach, z ogorzałą twarzą. Ale to nie o niego chodziło.

— Baashi! — zawołał Alden i pomachał ręką, robiąc krok do przodu.

Obozowy szpieg — ciemnoskóry chłopak — skrzywił się, gdy robiono mu zastrzyk, po czym podziękował lekarzowi po francusku:

— *Merci*. — Ściągając rękaw tuniki, ruszył w ich kierunku. — A, panie Trevor. Pan przyjechał!

— To jest ten wasz kontakt? — mruknął pod nosem Kowalski, najwyraźniej niezadowolony. — Ile on ma lat, czternaście?

— Właściwie trzynaście — odparła cicho major Jain, patrząc z niekłamanym podziwem na swego zwierzchnika. — Kapitan Alden uwolnił tego chłopca z rąk muzułmańskich rebeliantów

pod Mogadiszu. Był nieletnim żołnierzem. Miał wtedy zaledwie jedenaście lat. Faszrowali go cholerną amfetaminą, bili i przypalali papierosami.

Gray poczuł skurcz serca na widok szerokiego uśmiechu chłopca, gdy ten podbiegł i uściśnął kapitana Aldena, który przyklęknął na jedno kolano. Jego szczerą radość wydawała się nie do pogodzenia z koszmarami, które opisała major Jain.

Alden objął szczupłe ramiona chłopca i poprowadził go w kierunku całej ekipy.

— Oto ludzie, których chciałem ci przedstawić, Baashi.

Chłopiec zmierzył ich wzrokiem, uśmiechając się, ale Gray dostrzegł w jego oczach cień strachu, lęk przed obcymi. Baashi przylgnął mocniej do Aldena. Traумы z przeszłości dawały o sobie znać.

Pies Tuckera wysunął się naprzód, węsząc i chcąc poznać zapach nowego członka zespołu.

Baashi zrobił wielkie oczy i pisnął cicho z przerażenia:

— Ajjj...

— Kain, chodź tutaj — rozkazał Tucker, słysząc, że chłopiec się boi.

Pies wrócił do boku tresera.

— Leżeć. — Tucker wzmocnił rozkaz gestem dłoni. Przyklęknął obok psa i zwrócił się do chłopca: — Nie robi ci krzywdy. Obiecuję. To dobry pies. — Wyciągnął rękę, zapraszając chłopca, by do niego podszedł.

Baashi tkwił nieruchomo u boku kapitana Aldena.

— Niech pan go zostawi w spokoju — ostrzegła Seichan. — Najwyraźniej boi się psów.

Kowalski odchrząknął, zgadzając się z nią, nawet Jain zmrużyła oczy z niepokojem.

Tucker zignorował ich wszystkich, trzymając nadal wyciągniętą dłoń.

Seichan wzrokiem dała znak Grayowi, by zareagował, ale on pokręcił tylko głową, przypominając sobie, jakie Tucker miał wyniki testów na empatię. Najlepsze z możliwych. Wykazywał nadnaturalne zdolności wyczuwania stanów emocjonalnych. Chyba nie tylko u zwierząt.

Alden, najwyraźniej przywiązany do chłopca i dobrze go znający, chyba podzielał podejście Tuckera.

— W porządku, Baashi. Jeśli chcesz...

Chłopiec wpatrywał się w psa przez dłuższą chwilę, przekrzywiając głowę; być może próbował odnaleźć w sobie tę zagubioną więź, jaka łączy zwykle dzieci ze wszystkim, co puchate i ciepłe. W końcu, drżąc lekko, odsunął się od Aldena. Nie odrywał wzroku od Kaina.

— On dobry pies? — zapytał.

Tucker skinął głową.

Baashi ruszył powoli, jakby podchodził do niebezpiecznego urwiska.

Kain pozostał czujny, poruszając z podekscytowania tylko końcem ogona. Baashi wyciągnął ku niemu wierzch dłoni. Pies nadstawił nos, rozszerzając nozdrza, węsząc.

Chłopiec przysunął się parę centymetrów bliżej — to wystarczyło.

Kain wysunął długi różowy język i polizał palce chłopca, machając radośnie ogonem.

— Lubi cię — powiedział cicho Tucker.

Baashi znów się uśmiechnął, najpierw nieśmiało, potem szerzej. Przysunął się wystarczająco blisko, by dotknąć czubka łba Kaina. Pies obwąchał mu całą rękę. Chłopiec zachichotał i powiedział coś w somalijskim dialekcie.

— To łaskocze — przetłumaczył Alden.

Chwilę później chłopiec siedział na ziemi, czochrając sierść psa i próbując uniknąć jego



liźnięć. Gray przyglądał się im, wspominając, jak poprzedniego dnia Kain zaatakował z furją komandosa. Próbował zarazem wyobrazić sobie tego chłopca z karabinem na ramieniu. Obaj byli w jakimś sensie wojownikami i może Tucker rozumiał, że takim twardzielom potrzebna jest czasem niewinna zabawa — i wzajemne zaufanie.

Alden podszedł do komandora.

— Baashi powoli wraca do równowagi. Pracują tutaj z takimi dziećmi. Starają się je rehabilitować, wyzwolić z koszmarów przeszłości. — Spojrzał na chłopca i psa, a potem na Tuckera. — Macie tu dobrego człowieka.

Gray musiał się z nim zgodzić.

Tucker stał z boku, przyglądając się odległym górcom. Zobaczywszy, jak on i jego pies wykazali się w Boosaaso i jak Kain wytropił ślady krwi Seichan wśród tysięcy zapachów miasta, Gray zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej wysłać ich po prostu w góry, pozwolić, by samodzielnie wysledzili Amandę i powiadomili przez radio, gdzie się znajduje.

Ale to mogłoby zająć wiele dni... a był pewien, że córce prezydenta nie pozostało aż tyle czasu.

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 10.34 czasu miejscowego

Słyszac krzyki i nawoływania za ścianą namiotu, Amanda zorientowała się, że coś się dzieje. Kasłaniu uruchamianych silników ciężarówek towarzyszyły szczekliwe rozkazy.

Jeden z czarnoskórych żołnierzy wpadł do namiotu, powiedział coś do doktora Blake'a, po czym obrócił się na pięcie i wybiegł na zewnątrz. Lekarz przeszedł przez salę i zniknął za parawanem, który zasłaniał drugie łóżko. Widać było za nim cień pielęgniarki. Pochylili ku sobie głowy i cicho rozmawiali.

Amanda wytężyła słuch. Gdyby mogła wymknąć się bezszelestnie z łóżka, by podsłuchać, co mówią, zrobiłaby to. Ale w tym stanie raczej nie potrafiłaby się skradać. A miała jeszcze jeden powód, by chcieć zajrzeć za parawan. Na tym drugim łóżku najwyraźniej ktoś leżał.

Nie miała pojęcia, kto to jest. Ranny żołnierz? Ktoś z personelu medycznego? Ktokolwiek to był, przywieziono go w środku nocy, gdy spała. Kiedy się obudziła, parawan był rozstawiony, a lekarz i pielęgniarka krzatali się przy nowym pacjencie.

Teraz wiedziała już, że to kobieta, bo w pewnym momencie usłyszała jej cichy krzyk. Ale od tamtej pory nowa pacjentka milczała. Pewnie ją uśpiono.

Blake zjawił się w końcu ponownie i podszedł do Amandy z kartą w ręce. Musiał zauważyć jej niepokój.

— Nie ma się czym przejmować, moja droga. — Machnął lekceważąco ręką na dochodzące z zewnątrz odgłosy zamieszania. — Wygląda na to, że ktoś się o panią dopytywał. I to niemal u naszych drzwi.

Słyszac te słowa, Amanda poczuła przypływ nadziei i dziecko poruszyło się w jej łonie.

— Ciii... — szepnęła, masując brzuch.

Obawiała się, że skoro podróżowała z fałszywymi dokumentami, nikt nie wiedział o tym, że to ona była rzeczywistym celem nocnego ataku na Seszelach. Unikała spoglądania na krzyż z kodem genetycznym, gdyż znała prawdę. Porwanie na morzu nie było pechowym zbiegiem okoliczności. Zostało zaplanowane i przeprowadzone celowo.

Ale teraz... czyżby ktoś próbował mnie ocalić?

Płomień nadziei natychmiast jednak przygasł.

— Szybko się z nimi rozprawimy — rzucił Blake i skupił na niej wzrok. — Nie chcemy, żeby nam przeszkadzano. Zwłaszcza gdy mamy takie dobre nowiny.

Zrozumiała, patrząc na kartę, którą przyniósł.

— Ma pan wyniki amniopunkcji.

Przerzucił kilka kartek.

— Test wypadł idealnie. Geny są stabilne. Jest lepiej, niż oczekiwaliśmy. — Uśmiechnął się. — Urodzi pani cudowne dziecko.

Obóz UNICEF-u, Somalia

Godzina 11.42 czasu miejscowego

Seichan siedziała z Grayem w jednej z ciasnych chat na skraju szpitalnego obozowiska. Kowalski i major Jain trzymali straż na zewnątrz, starając się, by nikt nie podsłuchał ich rozmowy — co nie byłoby trudne, zważywszy, jak głośno się sprzeciali.

— Jedzenie wołowiny to zbrodnia! — przekonywała Jain. — Hindusi wierzą, że Bóg...

— Gdyby Bóg nie chciał, żebyśmy zjadali krowy, nie dopuściłby, żeby były tak cholernie smaczne, zwłaszcza w sosie barbecue!

— To żaden argument. Zjadłbyś pewnie nawet własny but, gdyby był polany tym sosem. Spójrz tylko na swój tyłek.

— Co ci się w nim nie podoba?

— Widziałam krowy z mniejszymi zadami.

Rozległo się prychnięcie, a potem słowa:

— Przestań się gapić na mój tyłek!

Tucker spojrział w kierunku drzwi.

— Dyplomacja na najwyższym poziomie — mruknął. — Wasz przyjaciel naprawdę potrafi łagodzić konflikty.

Został zaproszony na rozmowę w chacie — nie dlatego, że potrzebowali jego wiedzy. Powodem był fakt, że szyję jego psa obejmowała cały czas koścista czarna ręka. Baashi naprawdę polubił Kaina i choć pies początkowo go przerażał, teraz najwyraźniej dodawał mu sił.

— Nie, powtarzam wam — powiedział z naciskiem chłopiec. — Nie słyszałem, żeby ktoś mówił o białej kobiecie w górach. Ani tutaj, ani w ogóle.

Na klepisku leżała rozłożona mapa.

Kapitan Alden siedział w kucki po jej drugiej stronie, obok chłopca.

— W porządku, Baashi. — Wyprostował się i westchnął. — Przykro mi, komandorze. Może niepotrzebnie zboczyliście taki kawał drogi. Mogły nie dotrzeć tu żadne informacje.

Komandor spojrział na mapę.

— Zaryzykowaliśmy — przyznał.

Seichan wyczuła w jego głosie determinację. Nie widząc nawet jego oczu, wyobrażała sobie, jak intensywnie myśli. Nie poddawał się.

I nie tylko on.

— Mogę pójść jeszcze raz — zaproponował Baashi. — Do obozu. Zadawać pytania. Nie tylko słuchać.

— Nie! — rzuciła Seichan. Była zaskoczona gwałtownością swojej reakcji.

Ale Gray ją poparł.

— Ona ma rację. Przekazywanie zasłyszanych informacji to nie to samo co zadawanie pytań. Chłopiec znalazłby się na celowniku naszych wrogów. Pamiętajcie, co się stało

w Boosaaso z Amurem Mahdim.

— I nie chodzi tylko o to, że chłopiec ryzykuje. Chodzi o coś więcej — powiedziała Seichan.

Gray spojrział na nią z niepokojem, być może wyczuwając nagle napięcie w jej głosie. Machnęła ręką, nie chcąc kontynuować, nie ufając sobie. Chłopca wykorzystywano już i traktowano brutalnie jako nieletniego żołnierza. Czy oni nie postępowaliby podobnie, gdyby uczynili go swoim szpiegiem? Niedobre było już to, że pracował jako informator dla brytyjskiego SRR.

Popatrzyła na swoje dłonie i zauważyła, że ma zaciśnięte palce. Wiedziała, jak łatwo jest wykorzystać niewinną istotę do niegodziwych celów, gdy silni żerują na słabych, zamieniając dzieci w potwory, w żołnierzy albo zwiadowców, czy nawet wysyłając je przed maszerującą armią jako żywe wykrywacze min.

Rozplotła dłonie i dotknęła palcami srebrnego smoka u szyi. Uświadomiła sobie nagle, dlaczego sytuacja chłopca tak głęboko i tak osobiście ją poruszyła. Poczwała złość i wstyd.

Niewiele pamiętała ze swojego dzieciństwa w Wietnamie. W okrucieństwach wspomnień nie pojawiał się ojciec. A wspomnienie matki wolałaby wymazać. Mężczyźni w wojskowych mundurach wyciągnęli matkę za drzwi, krzyczącą i zakrwawioną, wydzierając jej z rąk Seichan. Potem Seichan spędziła dzieciństwo w kilku nędznych sierocińcach w południowo-wschodniej Azji, głodzona i maltretowana, aż w końcu trafiła na ulicę. To tam, gdy była nieco starsza niż Baashi, odnalazła ją i zwerbowała Gildia. W ciągu kolejnego roku trenerzy pozbawili ją nie tylko resztek dziecięcej wrażliwości, ale także większości ludzkich uczuć, czyniąc z niej zabójczynię.

Byłam jak ten chłopiec, pomyślała, wyzyskiwana i zmuszana torturami do krwawej służby.

Wiedziała też jednak, że jest między nimi pewna istotna różnica. Widziała, jak Baashi bawił się z psem, bez troski i szczęśliwy. W przeciwieństwie do niej nadal był dzieckiem dającym się kształtować na tyle, by odzyskać swoje człowieczeństwo.

Przestała obracać w palcach wisiołek w kształcie smoka. Obraz matki był już tylko mglistym wspomnieniem cichych szeptów i delikatnych pocałunków na dobranoc — nawet wtedy miała łzy w oczach, jakby wiedziała, że straci swoje dziecko.

Nagle Seichan uświadomiła sobie coś, co dotyczyło ich aktualnej misji.

— Ona też jest matką — powiedziała, przyciągając uwagę Graya. — Córnka prezydenta...

Spojrział na nią zmrużonymi oczami, ale po chwili otworzył je szerzej, wszystko rozumiejąc. Uścisnął z wdzięcznością jej dłoń.

W tym momencie dotkliwie odczuwała żal po tym, co utraciła — swoje dzieciństwo, matkę, nawet Graya. Jak mogła oczekiwać od niego więcej serca, skoro nie była nawet pewna, ile zostało z jej własnego?

— Amanda rzuca się w oczy nie tylko dlatego, że jest biała — wyjaśnił komandor pozostałym. — Także z powodu swojej ciąży.

Alden przytaknął.

— To rzadkość w przypadku ofiary porwania. Ktoś mógł zwrócić na to uwagę.

— I rozmawiać na ten temat. — Gray zwrócił się do Baashiego: — Słyszałeś coś o kobiecie w ciąży, którą przewożono tędy w góry? Kobiecie z dużym brzuchem?

Zademonstrował to pantomimicznym gestem.

Chłopiec wykrzywił usta w zamyśleniu i przez chwilę milczał, po czym powoli opuścił ramiona.

— Nie. Ja nic nie słyszę o kobiecie z dużym brzuchem z piratami.

Seichan przyglądała się chłopcu. Wpatrywał się zbyt intensywnie w mapę, miał rozproszoną uwagę. Nie obejmował już nawet ręką szyi Kaina.

— On coś wie — stwierdziła. Nie tylko Tucker potrafił odczytywać ukryte emocje. Zwłaszcza gdy chodziło o tego chłopca.

Byłam taka jak on, pomyślała.

— Nie okłamałby mnie — powiedział Alden.

— On nie kłamie — przyznała Seichan gniewnym tonem. — Po prostu zadajemy mu niewłaściwe pytanie.

Baashi spojrzał jej w oczy. Był w nich strach... i sprzeciw.

Ile razy kotłowały się w niej takie same emocje?

Tucker usiadł obok chłopca.

— Spokojnie, Baashi. Kain i ja nie pozwolimy nikomu cię skrzywdzić. — Dyskretnie dał psu sygnał, wskazując palcem na chłopca.

Baashi tego nie widział, ale Kain posłuchał. Podeszedł do niego i położył mu pysk na kolanie. Chłopiec przytknął dłoń do grzbietu psa, czerpiąc z tego siłę.

— Możesz nam powiedzieć — odezwał się cicho Alden. — Nikt nie jest na ciebie zły.

Baashi spojrzał zmieszany na jego ojcowską postać.

— Ja nie kłamać. Nie słyszeć historii o kobiecie z dużym brzuchem.

— Nie twierdę, że słyszałeś, mój drogi. Ale co cię tak przeraża? Co boisz się nam powiedzieć?

Chłopak w końcu się przełamał.

— Ja słyszeć inne historie. O człowieku-demonie w górach. On robić miejsce takie jak to. — Baashi zatoczył ręką koło.

— Jak ten szpital.

Chłopiec skinął głową.

— Ale on zajmować się tylko kobiety z wielkim brzuchem.

— Opiekuje się ciężarnymi kobietami? — spytał Alden, powtarzając pantomimiczny gest Graya.

— Tak, ale mówią złe rzeczy. Idą tam matki. Nigdy nie wracają. Bardzo złe miejsce.

Tucker poklepał chłopca po ramieniu.

— Świetnie się spisałeś, Baashi.

Chłopiec spuścił wzrok, nie okazując ulgi.

— Czy z tych opowieści wynika, w którym miejscu w górach pracuje ten lekarz? — spytał Gray, patrząc na mapę.

— Tak — odparł Baashi, ale nawet nie zerknął na mapę.

— Możesz pokazać Kainowi? — spytał Tucker.

Chłopiec zmierzył wzrokiem jego i psa, po czym powoli skinął głową.

— Pokażę panu. Ale to złe miejsce.

Gdy Baashi sięgał po mapę, do chaty wpadł Kowalski.

— Nadlatuje śmigłowiec.

Alden wydawał się niewzruszony.

— Mają tu cały czas jakieś dostawy. To może być kolejny pacjent, zaopatrzenie albo...

— Leci! Wszyscy na ziemię! — krzyknęła major Jain, która przecisnęła się obok Kowalskiego.

Gray przewrócił Seichan na podłogę. Tucker i Alden osłonili chłopca własnymi ciałami.

Baashi przylgnął do Kaina.

Nad dachem chaty rozległ się ostry świst, a potem potężna eksplozja, która zerwała strzechę.

Jain wróciła do drzwi.

Znów usłyszeli ostry świst rakiety.

Jain przybiegła z powrotem z jeszcze gorszymi nowinami.

— Ta leci wprost na nas!

## Waszyngton

2 lipca, godzina 5.04 czasu miejscowego

Painter obudził sygnał telefonu komórkowego, crescendo coraz głośniejszych dźwięków, które przyprawiły go o gwałtowne bicie serca. Leżał w łóżku obok Lisy, ich nagie kończyny były splątane, a jego ręka spoczywała na jej biodrze.

Zerwała się razem z nim, natychmiast przytomniejąc, przyzwyczajona od lat do pełnienia szpitalnych dyżurów pod telefonem. Pościel zsunęła jej się z piersi, oczy błyszczały w ciemnościach poprzedzających świt. Ona także rozpoznawała ten szczególny sygnał zwiastujący nadzwyczaj pilne wezwania.

Painter chwycił komórkę z nocnej szafki i odebrał telefon.

— Panie dyrektorze, mamy problem. — Dzwoniła Kat Bryant z centrali Sigmy.

Zerknął na zegar. Minęła właśnie piąta rano. Kiedy wychodził z Lisą wieczorem, Kat siedziała jeszcze w biurze, pracując nad logistyką operacji Graya i koordynując współdziałanie różnych działów wywiadu. Czyżby nadal tam tkwiła?

— Co się stało? — spytał.

— Otrzymuję jakieś rozpaczliwe sygnały SOS z obozu UNICEF-u w Somalii, do którego wybierał się Gray. Doniesienia o ataku raketowym.

— Mamy obraz satelitarny?

— Jeszcze nie. Skontaktowałam się już z NRO. Próbowałam wywołać przez radio Graya, ale na razie nie odpowiada.

Pewnie jest trochę zajęty, pomyślał Painter.

— A co ze wsparciem? Grupa komandosów z Navy SEAL czeka w pogotowiu w sąsiednim Dżibuti.

— Mogę ich wezwać, ale i tak potrzebują czterdziestu, pięćdziesięciu minut, żeby dotrzeć do tego obozu.

Zamknął oczy i analizował pospiesznie różne opcje i scenariusze. Gdyby wezwał grupę SEAL, mogłoby to zagrozić całej misji, przedwcześnie go zdemaskować. Szósty Oddział miał uwolnić córkę prezydenta, a nie odgrywać rolę sił pokojowych ONZ.

— Czy mamy jakiegokolwiek pojęcie, kto ich atakuje? — spytał.

— W ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni napadano na ten obóz dwukrotnie. W obu przypadkach chodziło o leki. A dwa miesiące temu na rozkaz jednego z lokalnych kacyków porwano lekarza. Ten atak może nie mieć nic wspólnego z komandorem Grayem i poszukiwaniami Amandy.

Painter w to nie wierzył. Przypomniawszy sobie zabójstwo Amura Mahdiego. Wróg najwyraźniej znał każdy ich krok. Przy tak wielu zaangażowanych w tę misję agencjach wywiadowczych — teraz łącznie z brytyjskim SRR — gdzieś doszło do przecieku.

Ufał własnej organizacji, ale w tej międzynarodowej kuchni było zbyt wielu kucharzy — nie wspominając już o rodzinie prezydenta. Przecieki mógł być gdziekolwiek.

Painter musiał podjąć trudną decyzję. Nie mógł tracić z oczu głównego celu. Musiał utrzymać oddział SEAL w gotowości bojowej na wypadek konieczności szybkiej interwencji.

— Panie dyrektorze? — odezwała się Kat.

— Załatw mi jak najszybciej przekaz satelitarny na tym obszarze, ale na razie ekipa Graya musi sobie radzić samodzielnie — odpowiedział stanowczym głosem.

Nastąpiła chwila przerwy, po czym Kat odparła:

— Zrozumiałam.

Lisa wsunęła rękę w jego dłoń. Nie powiedziała ani słowa, oferując mu tylko ciepło swego ciała.

— Mam odłożyć wyjazd do Karoliny Południowej? — spytała.

Painter przypomniał sobie o planowanym dochodzeniu w klinice, gdzie Amanda miała zabieg zapłodnienia in vitro. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że jej nagła ucieczka na Seszele miała coś wspólnego z nienarodzonym dzieckiem. Najpierw zabójstwo Amura, a teraz ten atak na szpital polowy... Ktoś się starał, żeby córki prezydenta nigdy nie odnaleziono.

— Nie — oznajmił, patrząc na Lisę. — Pojedziemy od razu do centrali Sigmy. Chcę, żebyście obie wyleciały pierwszym samolotem do Charlestonu.

Nastąpiła dłuższa pauza. Painter zastanawiał się, czy połączenie z Kat nie zostało przerwane, ale po chwili znów się odezwała.

— Panie dyrektorze, mam kilka fotografii obozu. Z francuskiego satelity meteorologicznego. Nie są najlepsze, ale wysyłam je na pański telefon.

Odsunął komórkę od ucha i włączył zewnętrzny głośnik, czekając, aż na niewielkim ekranie pojawi się obraz. Stopniowo jego oczom ukazywał się koszmar, który rozegrał się w Somalii.

Na zdjęciu zrobionym z dużej wysokości trudno było rozróżnić szczegóły, zwłaszcza że większość obozu przesłaniał gęsty dym. Ludzi próbujących uciec przed atakiem, a także pojazdy, widać było jako niewielkie punkciki. Nad nimi widniała rozmyta sylwetka śmigłowca, który wisiał w powietrzu jak drapieżny ptak czekający na bezbronną zdobycz.

Z głośnika dobiegł cichy głos Kat.

— Dostał pan zdjęcie?

— Dostałem.

Lisa zajrzała mu przez ramię, zakrywając usta ręką.

Painter zawahał się, czy trzymać się pierwotnego planu. Łatwiej mu było zostawić ekipę Graya w tarapatkach, gdy nie miał przed oczami obrazu sytuacji. Wiedział jednak, że jego decyzja, choć twarda i bezduszna, jest właściwa.

Udzielił Kat kilku ostatnich instrukcji, zakończył rozmowę i odłożył telefon, wpatrując się w ciemność.

Ktoś rozpaczliwie starał się nie dopuścić, by znaleźli Amandę.

Ale kto?

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 12.12 czasu miejscowego

Doktor Edward Blake trzymał przy uchu słuchawkę radionadajnika. Stał w namiocie łączności, wypełnionym sprzętem i przystrojonym czaszami anten satelitarnych. Po czole spływały mu krople potu.

Wiedział, że nie tylko z powodu upału.

Zdjął z głowy biały hełm tropikalny — nie dlatego, że znajdował się w pomieszczeniu, ale

ze względu na osobę po drugiej stronie linii. Mało kto wzbudzał w nim kiedykolwiek strach. Wychował się w arystokratycznej rodzinie w Leeds, do której należeli hrabiowie i książęta skoligaceni z rodziną królewską. W ciągu wieków gościły w ich domu na oficjalnych przyjęciach sławne osobistości, od generała George'a Pattona, dowódcy z czasów wojny, po przedstawicieli show-biznesu, którym królowa nadała szlacheckie tytuły. W Oksfordzie dzielił z nim pokój syn miliardera, książę z Arabii Saudyjskiej, niebezpieczny człowiek, który przewodził potem grupie muzułmańskich fundamentalistów, aż schwytano go i powieszono.

Nic jednak nie robiło na nim dotąd takiego wrażenia, jak to, co działo się teraz.

Zacisnął palce na słuchawce.

Głos po drugiej stronie linii był zmieniony komputerowo, by ukryć tożsamość rozmówcy. Blake nie miał pojęcia, z kim rozmawia — ale zdawał sobie sprawę, jak wielką władzę posiada ten człowiek. Za tym zniekształconym głosem kryła się potężna machina funkcjonująca od stuleci, niszcząca wszystko na swej drodze i wywołująca chaos dla swoich celów.

Blake chciał być czymś więcej niż tylko trybem w tej machinie. Pragnął nią kierować. Miał szczęście, że Amanda trafiła do niego — jego klinika, specjalizująca się w hodowli komórek jajowych, jedna z wielu w tym rejonie, została wybrana do wykonania zabiegu — ale teraz musiał wykazać się umiejętnością wykorzystania tego sprzyjającego mu zbiegu okoliczności, by awansować na wyższy szczebel.

Aby to osiągnąć, potrzebował sukcesu.

— Zajęliśmy się tym problemem — zapewnił. — Amerykanie nie dotrą w góry na czas.

— A co z płodem? — spytał jego rozmówca.

— Struktura DNA jest stabilna. Tak jak mieliśmy nadzieję.

Lekarz otarł rękawem pot z czoła. Chociaż w tej kwestii mieli dobre nowiny. Można było realizować plan — co prawda trochę z opóźnieniem, ale wszystko da się uratować.

— A co do tej drugiej sprawy, mogę natychmiast wykonać cesarskie cięcie — oznajmił. — Zrobić zabieg.

— Bardzo dobrze. — Choć głos był monotony i beznamiętny, Blake wyczuwał w nim satysfakcję.

— A co z matką? — spytał, podejrzewając, że to delikatna kwestia.

Rozmówca odpowiedział bez wahania:

— Nie jest już potrzebna. Jej śmierć przysłuży się większej sprawie.

— Rozumiem.

Rozmówca przeszedł do szczegółowego omówienia dalszych przygotowań i procedur. Wspomniał jeszcze o jednym.

— Spalcie jej ciało. Powinno być nie do rozpoznania.

Blake poczuł na plecach lodowaty dreszcz. Ta absolutna bezduszość przerażała go i zarazem ekscytowała. Jak żyje się w świecie, w którym istnieje tak całkowity brak poszanowania dla zasad moralnych, a liczy się tylko cel?

Zakończyli rozmowę.

Zaabsorbowany przygotowaniami, opuścił namiot łączności i przeszedł przez upstrzony plamami słońca obóz w kierunku schodków prowadzących do prowizorycznego oddziału szpitalnego. Kiedy wszedł do środka, starał się z całych sił przywdziać maskę człowieka pozbawionego moralności.

Petra podniosła wzrok, poprawiając grzywę jasnych włosów, i rzuciła mu pytające spojrzenie.



Popatrzył na łóżko stojące za jej plecami w głębi oddziału. Amanda wpatrywała się w niego. Chyba nie potrafił udawać zimnej obojętności. Musiała dostrzec coś w wyrazie jego twarzy. Podkurczyła nogi, jakby instynktownie próbując chronić swoje dziecko.

Ale to nie twoje dziecko potrzebuje teraz ochrony...

Blake zwrócił się do Petry:

— Przygotuj wszystko. Zaczynamy.

## Obóz UNICEF-u, Somalia

2 lipca, godzina 12.15 czasu miejscowego

Ogłuszony jeszcze hukiem eksplozji Tucker postawił na nogi oszołomionego chłopca. Kain otrząsnął się z kurzu i kawałków słomy. W powietrzu, przesyconym zapachem spalonego ciała i płonącego paliwa, unosił się dym i piasek.

Rakieta eksplodowała w pobliżu chaty, niszcząc narożnik zbudowanej z cegły i gliny konstrukcji. Kilka metrów dalej powstał duży czarny krater. Na jego krawędzi leżały rozciągnięte ciała, rzucone i poszarpane jak szmaciane lalki.

Przypominając sobie walki w Afganistanie, Tucker poczuł, że brakuje mu tchu. Przytknął twarz chłopca do swojej piersi, nie chcąc, by patrzył na ten widok. Baashi się nie opierał. Mimo ogłuszenia Tucker czuł, że chłopiec płacze ze strachu.

Kapitan Alden jęknął i obrócił się na plecy. Miał zakrwawioną połowę twarzy, ale wyglądało to tylko na rozcięcie skóry. Musiał go dosięgnąć podmuch eksplozji.

— Zabierzcie go stąd! — krzyknął, machając bezsilnie ręką w kierunku drzwi.

Inni podnosili się w chmurze dymu, wygrzebując się spod gruzów z ranami i zadrapaniami. Gray podźwignął się z Seichan.

Kowalski pomógł wstać major Jain. Chwiała się lekko, ale stanęła na nogi.

— W porządku? — zapytał.

Odepchnęła go, ale straciła równowagę i znów chwyciła go za ramię.

— Chyba nie.

Gdy spostrzegła swojego kapitana, próbowała do niego podejść, wyraźnie zaniepokojona. Alden powstrzymał ją gestem ręki.

— Idź z nimi, Jain. Pomóż im się stąd wydostać.

— A co z panem? — spytał Gray. Chwycił mapę z podłogi i podał ją Baashiemu. Chłopiec musiał im wskazać, gdzie dokładnie znajduje się tajny szpital, założony podobno w górach. Komandor, choć ogłuszony, nie zapomniał ani na chwilę o celu ich misji. — Potrzebuje pan opieki lekarskiej, kapitanie.

Alden uśmiechnął się szeroko.

— No to chyba jestem, do cholery, w odpowiednim miejscu, prawda, komandorze? — Podźwignął się z trudem na nogi. — Poza tym mam tutaj dwóch ludzi. Nie opuszczę ich, dopóki nie nabiorę pewności, że są bezpieczni.

Albo martwi, dodał w myślach Tucker.

Jakby na potwierdzenie tych ponurych przypuszczeń w głębi obozu rozległa się kolejna eksplozja. Kain drgnął, przywierając do ziemi.

Gray chwycił kapitana za ramię.

— Sam nie pomoże pan swoim ludziom. — Wyciągnął Brytyjczyka za drzwi. — Proszę pójść ze mną.

Alden chciał protestować, ale major Jain poparła komandora.

— Komandor Pierce ma rację, panie kapitanie.

— Może podyskutujemy później! — krzyknął do nich od progu Kowalski. — Śmigłowiec zawraca w naszym kierunku!

— Uciekamy! Natychmiast! — rozkazał Gray.

Kapitan niechętnie go posłuchał. Okrążyli chatę i pobiegli przez parking.

Tucker domyślał się, dokąd zabiera ich komandor. Postąpiłby tak samo, wykorzystując każdą możliwość, by przeżyć.

Komandor prowadził ich wprost do pomalowanego na biało minicołgu z emblematem ONZ. Pojazd opancerzony Daimler Ferret był nadal tam, gdzie widzieli go wcześniej. Żołnierz z sił pokojowych, który stał obok, wszedł do wieżyczki i obsługiwał karabin maszynowy. Z lufy broni unosił się dym po wystrzelonych pociskach. Śmigłowiec był w tym momencie po drugiej stronie obozu, poza zasięgiem strzału, ale należało się spodziewać, że zaraz zawróci.

— Ustrzelą cię jak kaczkę! — Gray zawołał do żołnierza, gdy grupa uchodźców przebiegła obok nich. — Musisz ruszyć ten pojazd i bronić obozu!

Ciemnoskóry mężczyzna w hełmie odpowiedział mu, krzycząc z francuskim akcentem. Był młody, nie miał chyba nawet dwudziestu lat. Głos drżał mu ze strachu.

— Jestem sam! Nie mogę strzelać i prowadzić, *monsieur!*

Komandor odwrócił się do Aldena.

— Oto jak może pan najlepiej pomóc swoim ludziom. Proszę uruchomić ten czołg, ściągnąć uwagę pilota śmigłowca i zestrzelić tego drania.

Alden zrozumiał.

— Zrobię, co mogę, żeby zapewnić wam osłonę. — Wskazał na dwa stojące pięćdziesiąt metrów dalej pustynne buggy. Nadawały się idealnie do jazdy po wertepach. — Jeśli nie ma kluczyków, łatwo je uruchomić, zwierając kable. — Następnie zwrócił się do Jain: — Zostań z nimi. Wyprowadź ich stąd, a ja zobaczę, co da się tutaj zrobić.

Major Jain wydawała się zrozpaczona, ale wiedziała, że należy słuchać rozkazów, skinęła więc głową.

Gray uściśnął dłoń Aldena, gdy się rozchodzili.

— Proszę na siebie uważać.

— Wzajemnie. — Kapitan przystanął na chwilę, by uściśnąć Baashiego. — Rób, co ci każą!

— Ja... tak, panie Trevor.

Kapitan skinął głową i wsiadł do opancerzonego pojazdu.

Komandor kazał pozostałym założyć słuchawki i pobiec za nim.

Pustynne buggy były właściwie metalowymi klatkami z przytwierdzonymi do nich silnikami i siedzeniami. Nie miały okien, zderzaków ani drzwi. Ale Tucker jeździł już nimi dla zabawy na wydmach w pobliżu Camp Pendleton. Ich zaletą był niski punkt ciężkości i specjalnie bieżnikowane opony, idealne do ślizgania się po piasku i pokonywania przeszkód.

Kowalski musiał mieć podobne doświadczenia, bo gdy dotarli do pojazdów, zacierał rękę.

— Który dla mnie?

Za ich plecami rozległy się strzały z broni maszynowej. Wszyscy rzucili się do przodu, w kierunku mniejszego — dwumiejscowego buggy — do którego wsiadli Gray i Seichan, oraz większego, czteromiejscowego, z ławką z tyłu.

Jain zajęła pierwsza miejsce za kierownicą, ale Kowalski nie chciał się na to zgodzić.

— Ja poprowadzę! — wrzasnął.

— Słuchaj, chłopczyku, mam dużą praktykę...

— Ale przed chwilą miałaś wstrząs mózgu. Więc spadaj, siostro!

Sprawiła wrażenie, że ma ochotę odgryźć mu głowę, ale naprawdę chwiała się na nogach. W końcu dała za wygraną i ustąpiła miejsca Kowalskiemu. W kolumnę kierownicy był już wetknięty śrubokręt służący jako kluczyk. Sądząc z ryku silnika obok nich, Gray uruchomił swój pojazd z równą łatwością.

Jain zajęła miejsce z przodu, pozostawiając tylną ławkę Tuckerowi i chłopcu. Kain wcisnął się między nich, dysząc i śliniąc się z podniecenia.

— Trzymajcie się! — krzyknął Kowalski, uśmiechając się o wiele za szeroko.

Buggy skoczył do przodu jak użądłony koń, akurat w momencie, gdy ogłuszająca eksplozja wysadziła w powietrze zaparkowaną w pobliżu ciężarówkę.

Wybuchła kolejna rakietka.

Tucker odwrócił się. Śmigłowiec zawracał z rykiem silników znad obozu w ich kierunku. Zamontowany do jego podwozia karabin maszynowy M230 siekł pociskami piasek, polując na nich.

Nie byli jednak bezbronni.

W polu widzenia pojawił się pojazd opancerzony, zwinny na swych dużych oponach jak fretka, i po chwili podniebny ptak został ostrzelany ogniem karabinu maszynowego z wieżyczki.

Kapitan Alden osobiście obsługiwał broń, spowity chmurą dymu i tumanem piaszczystego pyłu. Miniczołg zawrócił, by stawić czoło nurkującemu śmigłowcowi. Pociski uderzyły w osłonę kabiny i maszyna wykonała gwałtowny skręt, gdy pilot spanikował.

Pojazd opancerzony zatoczył koło i popędził przez parking. Śmigłowiec zawrócił i ruszył za nimi w pościg jak jastrząb za uciekającym królikiem — albo raczej, w tym przypadku, za umykającą fretką.

Tucker znów oparł się o siedzenie i patrzył do przodu. Kowalski wjechał z pełną prędkością na skarpe i buggy pofrunął w powietrzu. Kierowca krzyknął z radości. Tucker i Baashi podskoczyli aż pod aluminiowe rurki nad ławką. Ten pierwszy zdołał przytrzymać skórzaną obrozę Kaina, gdy wylądowali z powrotem na ziemi.

Pies zawarczał ze złością, gotów kogoś ugryźć.

Tucker nie mógł mieć do niego pretensji. Spojrzał na krótko przystrzyżoną głowę Kowalskiego i zapragnął nagle znaleźć się z powrotem pod ostrzałem rakiet i karabinów maszynowych. Byłoby tam bezpieczniej niż na tylnym siedzeniu buggy.

Nic dziwnego, że Gray uciekł do drugiego pojazdu.

Nie był głupcem.

Godzina 12.48

Może nie było to takie sprytne.

Buggy Graya zjechał bokiem po stromym zboczu, niebezpiecznym z powodu luźnych łupków i śliskiego rumowiska, i wpadł z impetem w gęstwinę suchych krzaków u podnóża skarpy.

Seichan uchyliła się, gdy między metalowe rurki nadwozia wdarły się ciernie i połamane gałęzie. Gdy wydostali się z chaszczy, krzyknęła do Graya:

— Zjedź na zwirową drogę, którą widzieliśmy z powietrza!

— Właśnie to próbuję zrobić!

Skierował się początkowo w głąb łądu, uważając, że gdyby śmigłowiec postanowił ich ścigać, szosa byłaby zbyt oczywistą drogą ucieczki. Zauważył już, że uciekały tamtędy po ataku

inne samochody, ciężarówki, a nawet wielbłądy. Nie chciał tkwić w korku na szosie, gdyby doszło do walki.

Pierwotnie zamierzał przejechać najdalej jak się da po bezdrożach, a potem wrócić na szosę. Ale górzysty teren okazał się trudniejszy do jazdy, niż Gray przewidywał; był pełen skalistych pagórków, stromych urwisk, gęstych kęp zarośli i drzew. Przed nimi wyglądało to jeszcze gorzej, gdyż zaczynały się tam góry.

Na drodze, bez względu na ryzyko, musiało być bezpieczniej.

Mając to na uwadze, wjechał na następne wzgórze, aby zorientować się, gdzie jest. W lusterku wstecznym widział, że Kowalski jedzie za nim. A jeszcze dalej zobaczył na horyzoncie złowrogą kolumnę oleistego czarnego dymu.

Miejmy nadzieję, że to śmigłowiec, pomyślał.

— Tam! — Seichan wskazała kierunek.

Spojrzał naprzód. Niecałe pół kilometra dalej polna droga wyglądała jak wyschnięte koryto rzeki wijące się serpentyną po wertepach. Znikała wśród wysokich wzgórz i sękatych drzew.

Kowalski podjechał do nich ślizgiem.

Gray dotknął mikrofonu przy szyi, kierując pojazd w dół zbocza.

— Kowalski, wracamy na szosę. Tam będzie nam lepiej.

— Szkoda — usłyszał w uchu głos partnera. — Zaczynała się dobra zabawa.

Widząc jego pasażerów, którzy kurczowo trzymali się ramy, komandor wątpił, czy są tego samego zdania.

Chociaż pustynne buggy były skonstruowane tak, by wykonywać piruety, skoki i obroty — wszystkie ewolucje niezbędne do pokonywania tego pagórkowatego terenu — przypominało to jazdę na wiertarce po bębnie betoniarki. Dzieliący go od głównej drogi odcinek trasy też dał się we znaki jego nerkom.

W końcu skręcił na zwirową drogę, która w porównaniu z dzikimi wertepami wydawała się gładka jak świeżo wyasfaltowana autostrada.

Z ulgą popędził drogą prowadzącą serpentynami w góry. Przez kolejną godzinę utrzymywał dużą prędkość, wyprzedzając co jakiś czas powolne ciężarówki.

W miarę jak się wspinali, las był coraz gęściejszy i wyższy. Gdy wyjechali z ostrego zakrętu, omal nie zderzyli się z wielbłądem. Zwierzę uskoczyło, becząc przeciągle. Kiedy wielbłąd schodził po zboczu, Gray zauważył puste siodło i przywiązany do niego ekwipunek.

Zaniepokojony, zwolnił i zatrzymał się.

Kowalski wyleciał z zakrętu z rykiem silnika i zgrzytem skrzyni biegów. Omal nie uderzył w tył pojazdu komandora, ale w porę wyhamował.

Gray wyłączył silnik i dał znak Kowalskiemu, by zrobił to samo.

Zapadła cisza. Gray wyteżył słuch — i usłyszał wyraźnie strzały z karabinów.

Przypomniał sobie puste siodło wielbłąda.

— Zasadzka — rzucił.

Seichan natychmiast zrozumiała.

— Ktoś zrobił blokadę na drodze. Wspomagają śmigłowiec.

Komandor przytaknęła. Wszyscy uchodźcy, którzy próbowali uciekać w góry, ginęli od strzałów. Nagle poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Przeczynał coś już w chwili eksplozji pierwszej rakiety. Miał nadzieję, że atak śmigłowca zorganizowali lokalni rebelianci albo watażkowie. Leki i sprzęt medyczny były w Somalii na wagę złota, zwłaszcza na ogarniętym wojną południu. Ale ta zasadzka na drodze w góry rozwiała wszelkie wątpliwości.

Chodziło o Amandę Gant-Bennett.

I co gorsza...

— To zbyt śmiała akcja jak na piratów — stwierdził. — Atak śmigłowca, a teraz ta blokada. Już nie próbują się ukrywać. Wytoczyli najcięższe działa i przystępują do finalnej rozgrywki.

— Co masz na myśli? — spytała Seichan.

— To nie obrona. To koniec gry. — Odwrócił się do Seichan. — Nie działaliby tak otwarcie, tak śmiało, gdyby chcieli nadal utrzymać w tajemnicy istnienie szpitala w górach.

W jej oczach pojawił się błysk — zrozumiała, o co chodzi.

— Albo przenieśli już Amandę... — zaczęła.

— Albo ona nie żyje — dokończył Gray.

Godzina 13.48

Amanda szarpnęła skórzane rzemienie, którymi przywiązano ją do szpitalnego łóżka. Przed kilkoma minutami wetknięto jej w prawe ramię wenflon i podano zastrzyk, który ją otumanił. Z wiszącej obok plastikowej torebki kapał roztwór soli fizjologicznej.

Chciała wpaść w panikę, ale nie potrafiła.

Równomierne pikanie urządzenia monitorującego bicie serca płodu bardziej niż leki pozwalało jej zachować spokój. Pielęgniarka przywiązała jej do brzucha pas z czujnikiem. Przekazywał on bezprzewodowo sygnały do aparatury przy łóżku.

Moje dziecko jest zdrowe... moje dziecko jest zdrowe...

Powtarzała to w myślach jak mantrę, by nie oszaleć.

Zwłaszcza że w sali panowało spore zamieszanie. Ubrany na niebiesko personel medyczny wchodził i wychodził, krzątając się za parawanem, który zasłaniał drugie łóżko. Żołnierze, którymi kierował doktor Blake, wynosili sprzęt.

Zauważywszy jakiś ruch z boku, Amanda spojrzała tam zamglonym wzrokiem i zobaczyła, że Petra ciągnie w kierunku jej łóżka przenośny aparat do anestezji.

Na widok rurek ze zwisającą przezroczystą maską Amanda szarpnęła rzemienie, ale była już zbyt osłabiona.

Doktor Blake podszedł i dotknął jej nadgarstka. Uniósł strzykawkę wypełnioną mlecznym płynem.

— Proszę się nie martwić. Nie pozwolimy, żeby pani dziecku stała się krzywda.

Nie była w stanie go powstrzymać, gdy wetknął igłę strzykawki do portu kroplówki i powoli wcisnął tłok.

Petra zbliżyła maskę do jej twarzy.

Amanda odwróciła głowę. Spostrzegła, jak ktoś z personelu medycznego odsuwa na bok parawan. Zobaczyła w końcu, kto był z nią na oddziale, kto zajmował sąsiednie łóżko.

Ogarnęło ją przerażenie.

Krzyknęła, gdy Petra chwyciła ją za głowę i na siłę przytknęła maskę do jej nosa i ust.

— No, no, za kilka sekund będzie po wszystkim — obiecał Blake. — Trzy, dwa...

Otoczyła ją ciemność, świat stał się małym punkcikiem.

— Jeden...

Potem wszystko zniknęło.

## Góry Cal Madow, Somalia

2 lipca, godzina 13.55 czasu miejscowego

Gray szedł poboczem drogi, w słońcu rozgrzewającym żwir i wywołującym falujące miraż. Trzymali się w cieniu drzew sąsiedniego lasu, który rozbrzmiewał brzęczeniem cykad i śpiewem ptaków. Wyżej w górach majaczyła zielona dżungla, osnuta mgłami, jak zakątek raj. Jakby na potwierdzenie, że to prawda, sporadyczne podmuchy wiatru przynosiły stamtąd zapach dzikiego jaśminu.

Komandor ścisnął w dłoni telefon satelitarny i zastanawiał się, czy zaryzykować uruchomienie zaszyfrowanego kanału łączności z dowództwem Sigmy. Sądząc z serii ataków — w Boosaaso i tutaj — wróg miał najwyraźniej przecieki z agencji wywiadu.

Ale teraz jego ekipa zdobyła nieznaczną przewagę.

Nikt nie wie, że nadal żyjemy.

Chciał, żeby tak pozostało. Poza tym, co by w końcu zyskał, kontaktując się z Sigmą? Jakie otrzymałby wsparcie? Mobilizując odpowiednie siły, ryzykowałby ujawnienie faktu, że ocaleli, i miejsca, w którym się znajdują. Nawet Szóstego Oddziału SEAL, czekającego w gotowości w sąsiednim Dżibuti, nie można by wezwać. Taka oficjalna jednostka miała ograniczone pole bezpiecznego działania. To zespół Graya musiał najpierw ustalić miejsce pobytu córki prezydenta.

Gdyby próbował zadzwonić do Stanów, a porywacze dowiedzieliby się, że jego ekipa jest bliska zlokalizowania Amandy, byłoby bardziej skłonni do pochopnych reakcji i gotowi natychmiast ją zabić.

Wiedząc, jak musi postąpić, Gray wsunął telefon z powrotem do plecaka.

Jesteśmy zdani na siebie, dopóki jej nie znajdziemy, pomyślał.

Przywołał Seichan gestem ręki. Podeszła do niego z Baashim, trzymając dłoń na ramieniu chłopca. Gray zauważył, jaką otacza go opieką. Nigdy nie widział, by tak szybko się z kimś zaprzyjaźniła.

Przyklęknął przed Baashim.

— Możesz pokazać nam na mapie, gdzie ukryty jest ten drugi połowy szpital? Ten ze złym lekarzem?

Chłopiec spuścił wzrok i pokręcił głową.

— Nie mogę. — Wydawał się przerażony.

Gray wyobrażał sobie, że strzelanina musiała go wystraszyć, wywołując wspomnienia innych walk, w których uczestniczył jako nieletni żołnierz. Kain mógłby prawdopodobnie ukoić jego zszargane nerwy, ale Tucker klęczał z psem na skraju lasu, zakładając mu kamizelkę kuloodporną. Przygotowywali się do misji zwiadowczej. Zamierzali przyjrzeć się z bliska zasadzce i ustalić, kto zagradza im drogę w góry.

Tymczasem Kowalski i agentka SRR, major Jain, wrócili dwoma buggy na ostatni zakręt i zablokowali go, zawracając wszystkie pojazdy, które próbowały tamtędy przejechać. Jain

mówiła wystarczająco dobrze miejscowymi dialektami, aby przekonać kierowców do zmiany trasy, choć Gray podejrzewał, że najskuteczniejszymi środkami perswazji okazały się jej pistolet i karabin Kowalskiego.

Musiał przyznać, że Brytyjka była cennym nabytkiem, a zważywszy na to, jak radziła sobie z Kowalskim, dorównując mu we wszystkim, okazała się twardym żołnierzem.

Miało im się to przydać.

Spojrzał ponownie na drogę. Najlepsze, co mogli zrobić, to przemknąć się niepostrzeżenie przez linię wroga. Na frontalny atak brakowało im sił.

Ale Gray musiał wiedzieć, dokąd iść, kiedy już miną blokadę. I nie miał czasu do stracenia. Dla Amandy liczyła się każda sekunda. Był tego pewien.

Przysunął się do Baashiego, który spojrzał na niego ponownie dużymi ciemnymi oczami.

— Nie pozwolimy nikomu cię skrzywdzić, obiecuję.

Chłopiec poczuł się urażony.

— Ja się nie bać.

— Oczywiście, że się nie boisz. Wiem, że kapitan Alden jest z ciebie bardzo dumny. Więc może pokażesz mi na mapie, gdzie jest to ukryte obozowisko?

Baashi opuścił bezradnie ramiona i ujawnił powód swojej niechęci do współpracy.

— Ja nie mieć mapy.

Gray nie okazał zaszokowania, nie chcąc przerazić chłopca. Dał Baashiemu mapę topograficzną, gdy byli w chacie, aby ją przestudiował.

— Gdzie ona jest?

Baashi ze łzami w oczach wskazał na drogę, którą przyjechali.

— Ja jej nie mieć. Porwać wiatr.

Komandor zdał sobie sprawę, że chłopiec musiał ją zgubić podczas jazdy po wertepach.

— To nie jego wina — wtrąciła się Seichan. — Niewiele brakowało, a sama straciłabym ze dwie plomby przez te wstrząsy.

Miała rację i Gray wiedział, kogo naprawdę należało winić. Nie zastanowił się, powierzając mapę chłopcu. Baashi wyglądał na dużo starszego, niż był w rzeczywistości, bo wiele przeżył. Komandor wiedział również, że nie był to jego pierwszy błąd podczas tej misji.

Lodowate spojrzenie Seichan sugerowało, że te błędy nie pozostały niezauważone.

— Ale ja wam pokazać — powiedział Baashi, rozchmurzając się i postukując kciukiem w swą kościstą klatkę piersiową. — Nie ma mapy, ale ja mapa. Ja was tam zabrać.

Seichan zmierzyła Graya stanowczym spojrzeniem.

— Nie możemy narażać chłopca na takie niebezpieczeństwo. Nie wiemy nawet, czego się spodziewać.

Skinął głową, spoglądając na Tuckera i Kaina.

— Zaczekajmy, co oni odkryją. Ruszymy tylko pod warunkiem, że uda się bezpiecznie obejść tę zasadzkę.

Godzina 14.02

Tucker przyklęknął przed Kainem. Wskazał na las i przytknął palec do ust. Odtąd musieli zachowywać maksymalną ostrożność.

Potar mosił psu futro na karku i spojrzał mu w oczy.

— Dobry pies?

Kain dotknął nosem jego twarzy.



W porządku, jesteś dobry.

Tucker czuł na sobie spojrzenia pozostałych. Nie zważał na to, nieskrępowany okazywaniem uczuć.

— Idziemy — rozkazał i uniosł pięć palców, polecając w ten sposób Kainowi, by trzymał się pięć metrów przed nim.

Weszli razem w głąb lasu. Pies wślizgnął się między drzewa, znikając tam niemal bezszelestnie. Tucker podążył ostrożnie za nim, pozwalając, by Kain go prowadził, by stanowił przedłużenie jego zmysłów.

Słyszał w słuchawce spokojny oddech Kaina, a także głosy ptaków i trzaskanie gałęzek. Zerkał jednym okiem na osłonięty ekran telefonu, na którym miał obraz terenu widziany oczami psa.

Powoli, ale konsekwentnie szli przez las równolegle do drogi.

Obiektyw kamery Kaina penetrował ciemność, by nie natknęli się na ukrytych wśród drzew wartowników. Ale Tucker ufał bardziej węchowi partnera.

Gdy Kain zwalniał, on robił to samo. Kiedy pies zataczał szerokie koło, Tucker szedł w jego ślady. Choć dzieliło ich kilka metrów, poruszali się jak zgrany duet na parkiecie.

Tucker przez cały czas przekazywał do ucha Kaina ciche instrukcje, kierując go wzdłuż ostrego zakrętu żwirowej drogi.

Czuły mikrofon kamery wyłapał nagle ochryple głosy.

— Zwolnij — wyszeptał Tucker do partnera. — Waruj. Po lewej.

Kamera pokazywała teraz obraz tuż przy ziemi. Kain posuwał się krok za krokiem w kierunku drogi.

Las stał się rzadszy.

Na wprost pojawiły się trzy land rovery blokujące drogę w miejscu, gdzie zbudowano ją, wysadzając przesmyk między skałami. Przed pojazdami przechadzali się żołnierze, inni stali na maskach. Jeszcze inni spychali samochody na pobocze drogi i ściągali ciała, pozostawiając krwawe ślady.

Wszyscy mieli czarne kamizelki, hełmy i karabiny szturmowe.

Podobnie jak ci, którzy zabili Amura Mahdiego.

Tucker naliczył co najmniej piętnastu ludzi.

— Leżeć — poinstruował Kaina. — Zostań. — Dotknął mikrofonu przy szyi i powiedział do Graya: — Komandorze, widzi pan to?

— Potwierdzam. Nie przedrzemy się tamtędy bez ostrej strzelaniny. Może pan znaleźć inną drogę, żeby ich obejść?

— Postaram się.

Zostawił Kaina na stanowisku przy drodze, by zabezpieczał mu tyły. Wcześniej, gdy szli przez las, słyszał przez mikrofon psa delikatny plusk wody. Przedzierał się powoli między drzewami, oddalając się od drogi i poszukując źródła tego dźwięku. Wkrótce odkrył niewielki strumyk płynący piaszczystym korytem.

Był szerokości zaledwie trzydziestu centymetrów i głębokości kilkunastu; spływał z gór, zapewne jako pozostałość pory deszczowej, i nie miał szans dotrzeć do położonych poniżej wyschniętych nizin.

Ale Tucker zanurzył w nim palec, przypominając sobie dawną maksymę jednego ze swoich instruktorów ze szkoły przetrwania: *Tam, gdzie jest woda, jest szansa.*

Ruszył wzdłuż strumienia, mając nadzieję, że to prawda.

Pięćdziesiąt metrów dalej wąski strumyk dotarł do stromej grani, która blokowała drogę. Tam Tucker zobaczył, jaką siłę ma woda, nawet tak anemiczny potok, płynący tylko w porze deszczowej. Przez setki lat skała z piaskowca ulegała powoli erozji. Wąskim żlebem z kilkoma niewielkimi wodospadami łatwo było się wspiąć i przedostać w góry.

Wpatrując się w grań, Tucker nie spostrzegł człowieka, który — odłożywszy na bok karabin — klęczał przy sadzawce u podnóża wodospadów i napełniał wodą manierkę.

Zapomniał o drugiej maksymie swojego instruktora.

*Zawsze zachowuj czujność.*

Godzina 14.13

Nawet w cieniu dokuczał Grayowi upał. Obserwował ekran telefonu, oglądając obraz z kamery Kaina. Oddział napastników był na drodze niecałe pół kilometra od nich. Widział, jak się krzątają, słyszał ich ochryple śmiechy. Ale w każdej chwili mogli wysłać zwiadowcę albo jedną z ciężarówek na dół.

Musieli zniknąć, zanim to się stanie.

Sprawdził czas wyświetlający się w narożniku małego ekranu. Tuckera nie było od dziesięciu minut. Nie odzywał się. Gray nie chciał czekać dłużej. Uniósł rękę, by włączyć mikrofon przy szyi, ale zanim zdążył się odezwać, jego uwagę zwrócił jakiś szelest wśród drzew.

Seichan wycelowała tam pistolet.

To Tucker przedarł się przez zarośla na otwartą przestrzeń. Miał zbolące, zmęczone oczy.

— Znalazłem drogę — oznajmił. — Ruszajmy.

Komandor zebrał szybko pozostałych. Gdy zagłębili się w las, Tucker szedł między nim i Seichan, a Kowalski i Jain z tyłu, osłaniając z dwóch stron Baashiego. Kobieta obejmowała chłopca ramieniem, starając się zapewnić mu bezpieczeństwo.

— Jakiś problem? — spytał Gray Tuckera, wyczuwając, że coś go gnębi.

— Drobnny — usłyszał ironiczną odpowiedź.

Dotarli do niewielkiego strumienia i szli pod górę wzdłuż jego koryta, poruszając się możliwie najciszej. Woda spływała ze stromego zbocza pociętego serią wodospadów.

— Kto to jest? — spytała Jain, wskazując lufą karabinu zakneblowanego i związanego żołnierza, który leżał nieprzytomny obok małej sadzawki u podnóża kaskad.

Seichan podeszła ostrożnie bliżej, przeszukując okoliczne zarośla.

— Jest sam — powiedział smętnie Tucker. — Przyszedł po wodę. Ale ktoś może go szukać.

— Czemu go pan po prostu nie zabił? — spytał Kowalski. — I nie ukrył ciała?

Tucker mruknął:

— Niemal to zrobiłem. Zaskoczył mnie.

Seichan przyklękła i obejrzała żołnierza, po czym spojrzała na Baashiego. Jej głos przybrał ostry ton.

— To chłopiec.

Gray przyjrzał się dokładniej twarzy żołnierza. Wyglądał na młodszego nawet niż Baashi.

— Skoczyłem na niego — oznajmił Tucker, oddychając ciężiej. — Działalem szybko, bez namysłu. Nie chciałem, żeby ostrzegł pozostałych. Chwyciłem go za szyję, gotowy złamać mu kark jak gałązkę... I dopiero wtedy zobaczyłem, że to dzieciak. Ale ścisnąłem go tak mocno, że stracił przytomność.

Tucker spoglądał na swoje ręce ze wstydem i niedowierzaniem.

Gray przypomniał sobie muchę, której Tucker ocalił życie w Tanzanii, chwytając go za

rękę, gdy chciał ją pacnąć. Ten człowiek miał najwyraźniej dość zabijania, wszelkiego zabijania — chyba że chodziło o samoobronę albo chronienie innych.

Baashi stał z boku, wpatrując się bez zmrużenia oka w leżącego na ziemi chłopca.

Czy dostrzegł w nim siebie?

Spojrzał na Tuckera i przerażony cofnął się o krok.

Jego strach zabolął kapitana bardziej niż cokolwiek.

— Dajcie spokój — powiedział komandor. — Nic mu nie będzie. Ktoś go znajdzie, ale lepiej, żeby nas wtedy nie było w pobliżu.

Tucker nawiązał kontakt radiowy z psem, gdy pozostali wspinali się na grań. Gray czekał obok kapitana.

— Nie miał pan wyboru — powiedział.

— Zawsze mamy wybór — odparł z goryczą Tucker.

. . .

Kain pojawił się bezgłośnie. Podbiegł do nich, nie okazując radości, lecz powściągliwość. Zbliżył się do swego tresera, ocierając się o jego nogi, jakby wyczuwał, że jest w ponurym nastroju. Tucker poklepał go uspokajająco.

Gray podejrzewał, że wzajemnie tak na siebie oddziaływali.

Pracował już z wojskowymi treserami psów i ich podopiecznymi. Mieli powiedzenie: „Smycz łączy”, co oznaczało, że z czasem człowiek i zwierzę zaczynają dzielić swoje emocje, co bardzo silnie ich wiąże.

Obserwując Tuckera i Kaina, wierzył, że tak jest.

Pocieszali się nawzajem, wspierali, znajdowali zapasy siły, których mogła dostarczyć tylko tak głęboka więź.

W końcu Tucker spojrzał na Graya. Kain również.

Komandor skinął głową.

Byli gotowi.

Byli żołnierzami.

Wszyscy trzej.

I mieli do spełnienia misję.

## Waszyngton

2 lipca, godzina 8.01 czasu miejscowego

Painter znalazł się znowu w Pokoju Dowodzenia. Jego szef, dyrektor DARPA, generał Gregory Metcalf, wezwał go na poranne zebranie. Pozostali uczestnicy byli już w prywatnej sali konferencyjnej prezydenta.

Generał Metcalf siedział za stołem. Był Afroamerykaninem, absolwentem West Point, i choć przekroczył pięćdziesiątkę, zachował posturę gracza futbolu. Pochylił głowę w kierunku swego zwierzchnika, sekretarza obrony Warrena W. Duncana, który nosił świeżo wyprasowany garnitur i którego siwe włosy wyglądały jak wypomadowane i starannie ufryzowane.

Trzej pozostali uczestnicy tego kameralnego szczytu należeli do jednej rodziny. Dwaj siedzieli naprzeciwko wojskowych. Pierwsza Dama, Teresa Gant, ubrana w beżową suknię, wyglądała jak zwiędła lilia. Ciemnoblond włosy miała upięte starannie u góry głowy, ale luźne kosmyki wisiały po bokach, okalając oczy, w których czaił się strach. Obok niej, położywszy swą wielką rękę na dłoniach szwagierki, siedział sztywno, w pozycji obronnej, sekretarz stanu Robert Gant. Jego stalowe spojrzenie ciskało sztylety w kierunku Paintera.

A powitanie ze strony ostatniego uczestnika spotkania nie było przyjaźniejsze.

Prezydent James T. Gant zajmował miejsce na drugim końcu stołu. Z właściwą sobie szorstką bezpośredniością, wyćwiczoną w czasach, gdy pełnił funkcję dyrektora generalnego w różnych firmach rodziny Gantów, zwrócił się do Paintera:

— Co to był za atak na jakiś szpital polowy w Somalii? Dlaczego pierwszy raz o tym słyszę?

Painter podejrzewał, że to właśnie z tego powodu wezwano go nagle do Białego Domu. W agencjach wywiadu zrobił się już szum wokół całej sprawy, którą komplikowało dodatkowo zaangażowanie brytyjskich sił specjalnych. Painter miał nadzieję, że jeszcze przynajmniej przez kilka godzin nie dopuści do eksplozji tej dymiącej beczki prochu, by utrzymać w tajemnicy związek ataku na szpital z porwaniem Amandy.

Stało się inaczej.

Warren Duncan wbił mu gwóźdź do trumny.

— Miałem informacje od brytyjskiego Specjalnego Oddziału Zwiadowczego. Twierdzą, że mają tam w terenie ludzi, którzy pomagają jakiemuś tajnemu oddziałowi Amerykanów.

James Gant wycelował palec w Paintera.

— To pańscy ludzie. — Obrócił się na fotelu, nie potrafiąc ukryć odrazy. — Pokaż mu, Bobby.

Brat prezydenta wcisnął pilota wideo i uruchomił bezpośredni przekaz satelitarny ze szpitala UNICEF-u. Obóz zamienił się w dymiące rumowisko zryte kraterami po pociskach mózdzierzowych. Ocaleni biegali gorączkowo, starając się pomóc rannym, kłęczeli nad ciałami albo próbowali gasić ogień.

Prezydent wyciągnął rękę w kierunku ekranu.

— Powiedział pan, że należy unikać szokowych metod, aby porywacze Amandy nie zorientowali się, że zdobyli cenny łup, moją córkę! — Te ostatnie słowa zagrzmiały z jego potężnej piersi z taką siłą, jakby był przywódcą konfederatów prowadzącym swoich żołnierzy do walki.

I najwyraźniej zanosilo się na awanturę.

A Painter miał być workiem treningowym.

— To jest dla mnie szokujące, panie dyrektorze — rzekł prezydent. — I z pewnością nie jestem pod wrażeniem tej nieporadnej operacji, którą pan prowadzi. Bo moja córka i nienarodzony wnuk są w niebezpieczeństwie.

Painter zniósł tę tyradę, nie przerywając kontaktu wzrokowego z prezydentem. Ten człowiek musiał się wyładować, ochłonać. Zaczekał, aż ogień przygaśnie na tyle, by rozsądek przezwyciężył panikę u przerażonego ojca.

— Co ma pan na swoją obronę? — skończył Gant, przeczesując palcami szpakowate włosy. Głos mu się załamywał.

Teraz Painter mógł zacząć. Jego odpowiedź była równie zwięzła, co bezpośrednia.

— Panie prezydencie, porywacze wiedzą, że mają pańską córkę. Podejrzewam, że wiedzieli o tym od samego początku. Z niewiadomego powodu zaplanowano jej porwanie.

To oświadczenie przybiło prezydenta, a jednocześnie rozpałiło w jego oczach jeszcze większy strach.

— Ten atak — kontynuował Painter, wskazując głową w kierunku ściany — i inne wydarzenia świadczą o tym, że porywacze Amandy przestali się kryć ze swoją wiedzą. Zuchwałość tej akcji sugeruje dwie rzeczy.

Wyliczył je na palcach.

— Po pierwsze, wrogowie muszą być przestraszeni, skoro okazują się tak bezczelni, co oznacza, że moi ludzie są bliscy odkrycia ich kryjówek. Po drugie, największe nadzieje na ocalenie Amandy daje właśnie ten zespół.

Wsparcie nadeszło z nieoczekiwanej strony. Szef Paintera odchrząknął i powiedział:

— Zgadzam się z dyrektorem, panie prezydencie. Nie dysponujemy innymi atutami. Nawet oddział szybkiego reagowania SEAL w Dżibuti potrzebuje konkretnego celu... którego nam brak. Mimo chwilowego niepowodzenia operacji nie mamy innych realnych możliwości na uwolnienie pańskiej córki.

No cóż, było to słabe wsparcie, ale Painter nie oczekiwał od Metcalfa niczego więcej. Odkąd się poróżnili, łączyły ich pełne profesjonalnego szacunku, ale niełatwe relacje. A Metcalf był wystarczająco obeznany z waszyngtońską polityką, by nie wystawiać głowy... przynajmniej nie za bardzo.

— Ale skąd mamy wiedzieć, czy pańscy ludzie nadal tam są? — spytał prezydent, a brat mu przytaknął. — Być może wszyscy zginęli.

Painter pokręcił głową.

— Nie zginęli.

— Skąd ta pewność?

— Stąd.

Painter wystąpił naprzód, wziął do ręki pilota i wystukał kod. Miał zaprogramowane połączenie z Pokojem Dowodzenia. Na ściennym monitorze pojawił się ziarnisty, skaczący i pełen zakłóceń obraz.

— Przepraszam za złą jakość przekazu. Dostałem go z samolotu ISR, lecącego na

wysokości dwunastu tysięcy metrów nad Somalią.

Teresa Gant poruszyła się i spytała:

— ISR?

— Wywiad, obserwacja i rozpoznanie — wyjaśnił jej szwagier. — Krótko mówiąc, podniebny nasłuch.

— Potem przełączyłem się na satelitę NRO na orbicie geosynchronicznej.

Warren Duncan wyprostował się w fotelu.

— To transmisja na żywo?

— Może z sześciosekundowym opóźnieniem. Zdobyłem ten przekaz zaledwie pół godziny temu.

Prezydent zmrużył oczy.

— Co my tu widzimy?

Obraz pokazywał polną drogę filmowaną tuż przy ziemi. Z boku migąły umykające sylwetki drzew i krzaków.

— Sądząc ze współrzędnych GPS, obserwujemy leśny trakt w górach Cal Madow.

Na ekranie ukazało się zbliżenie pary nóg, a potem twarzy czarnoskórego chłopca. Dźwięk był jeszcze gorszy niż obraz i ciągle zanikał.

— *...tutaj... górą... szybciej...*

Chłopiec uciekł poza zasięg kamery, biegnąc z właściwą dzieciom zwinnością.

— Kto to filmuje? — spytał sekretarz obrony.

— Jeden z moich najnowszych rekrutów — odparł Painter z nieukrywanym zadowoleniem.

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 15.08 czasu miejscowego

Kain pędził za Baashim.

— Chodź zobacz! Droga! — zawołał chłopiec, zatrzymując się nagle. Wyciągnął rękę w kierunku dżungli, pokazując zryty koleinami trakt, który odchodził od głównej drogi.

O ile można to nazwać drogą, pomyślał Gray.

Jego grupa od czterdziestu pięciu minut szła w kierunku szczytów, ominąwszy szerokim łukiem zasadzkę.

Gray, narzucając szybkie tempo marszu, nasłuchiwał ciągle, czy za ich plecami nie rozlega się warkot silników ciężarówek. Stopniowo żwir pod butami zastąpiła ziemia, a potem, gdy weszli w zamglone góry, były to już tylko koleiny po oponach w piaszczystym mule.

Wkrótce wyschnięte niziny stały się jedynie wspomnieniem. Tutaj porastające zbocza zielone łąki opadały w doliny pełne osnutych mgłą jałowców i kadzidłowców. A wszędzie naokoło wyrastały w niebo, jak połamane zęby smoka, poszarpane szczyty.

— To Shimbaris — wyjaśnił Baashi, wskazując na najwyższy z nich. Wyglądał jak zrujnowany drapacz chmur, zarośnięty szmaragdowym lasem. — Oni mówić, zły doktor w dolinie Karkoor. Tam.

Znów wyciągnął rękę w kierunku leśnego traktu.

Tucker przykucnął na rozwidleniu dróg, podnosząc z ziemi grudki świeżo naruszonej ziemi.

— Ktoś tędy niedawno przejeżdżał. Są ślady opon.

— Land rovery z blokady — powiedział Gray, napotykając jego wzrok. Byli na właściwym tropie.

— Chcę, żebyś tu został, Baashi. Ukryj się i trzymaj z dala od drogi. Nie wychodź, dopóki

nie zobaczysz kogoś z nas.

— Ale ja pomagać! — zaprotestował chłopak.

— Pomogłeś już dosyć. Obiecałem kapitanowi Aldenowi, że będę cię strzec.

Seichan wycelowała palec w nos Baashiego.

— A ty mu obiecałeś, że będziesz nas słuchać, zgadza się?

Oboje brzmiali jak strofujący nastolatka rodzice — i spotkali się z typową w takich sytuacjach reakcją. Baashi westchnął ciężko i skrzyżował ramiona na piersi, wyrażając całą swoją postawą głębokie rozczarowanie.

Tak jak ustalili, chłopiec ukrył się, by nic mu nie groziło, a Gray i pozostali ruszyli zacienionym traktem w głąb tunelu, który tworzył baldachim splątanych gałęzi. Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy major Jain zawołała z tyłu:

— Stać!

Gray odwrócił się. Brytyjka stała nadal w słońcu na skraju głównej drogi. Uniosła rękę i przytknęła palec do ucha.

Komandor przekręcił głowę, nasłuchując. Usłyszał najpierw Kaina, który warczał głucho, również coś wyczuwając. Potem w oddali rozległ się warkot silników ciężarówek, odbity echem od okolicznych gór.

— Mamy towarzystwo — stwierdził Kowalski.

Jain dała nura z drogi na zacieniony trakt, by do nich dołączyć.

Tucker skrzywił się.

— Musieli znaleźć tego chłopaka, którego związałem.

— Albo mają dość zabijania na jeden dzień — powiedział Kowalski.

— Albo jeszcze im mało — dodała Jain.

Kowalski zareagował grymasem.

— Musiałaś to powiedzieć, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Jakkolwiek byś to ubarwiał, chłopcze, wdepnęliśmy w gówno.

Gray przyznał jej rację, ale nie mieli wyboru. Musieli posuwać się do przodu, znaleźć Amandę i zrobić wszystko, żeby przeżyć.

— Chodźmy. — Wskazał ręką przed siebie. — Tucker, chcę, żeby Kain nas prowadził. Mam na dziś dosyć niespodzianek.

Tucker skinął lekko głową i podszedł do psa.

Ruszyli traktem i trzymali się pobocza. Las po obu stronach drogi zapewniał większe bezpieczeństwo, ale gęste poszycie spowalniałoby ich marsz i powodowało zbyt dużo hałasu.

Musieli oddalić się nieco od nadjeżdżających ciężarówek.

— Sami nie damy rady — rzuciła Seichan, która dotrzymywała kroku Grayowi. — Przed nami strzeżony obóz, za nami najemnicy. Mamy małe szanse.

On doszedł już do takiego samego wniosku. Musiał wierzyć swojemu przeczuciu, że Amanda tam jest, że istnieje powód tak brutalnej i jawnej reakcji na ich obecność w górach. Zsunął z ramienia plecak i wyjął telefon.

Nadeszła pora, by wezwać posiłki.

To oznaczało kontakt z Waszyngtonem.

Wybrał numer centrali Sigmy, mając nadzieję, że wbudowane w aparat kwantowe szyfrowanie zabezpieczy go przed podsłuchem. Po dłuższej chwili oczekiwania i serii haseł usłyszał znajomy głos.

— Komandor Pierce.

Gray wydał głośnie westchnienie ulgi.

— Panie dyrektorze, chyba wiemy, dokąd zabrano Amandę. Nie jestem pewien, czy nadal tam jest, ale na wszelki wypadek powinniśmy zmobilizować Szósty Oddział SEAL, żeby byli w gotowości, gdyby...

— Już to zrobiłem — odparł Painter, przerywając mu. — Kilka minut temu uzyskałem zgodę sekretarza obrony. Oddział SEAL jest w drodze na miejsce, z rozkazami, by włączyć się do akcji tylko wtedy, gdy odnajdziecie córkę prezydenta. Przybędą za jakieś czterdzieści minut.

Czterdzieści minut? To może być za późno, pomyślał Gray.

Jakby na potwierdzenie jego obaw odległy warkot silników stawał się coraz głośniejszy. Amandzie nie pozostało już tyle czasu.

W umyśle Graya zrodziło się niepokojące pytanie.

— Panie dyrektorze, skąd pan wie, gdzie jesteśmy?

— Obserwujemy was od pół godziny.

Jakim cudem?

Rozejrzał się i zobaczył, jak Tucker każe psu biec naprzód, na skraj lasu.

Kain...

Tucker musiał zostawić włączoną kamerę na jego szyi, odkąd trafili na blokadę.

— To był pomysł Kat — wyjaśnił Painter.

No jasne. Tylko Kat Bryant mogła być na tyle sprytna, by odnaleźć ich, nie podnosząc alarmu. Już wiele razy okazywała się nieuchwytnym i zręcznym pajakiem w sieci wywiadu.

— Kat zastosowała pasywny algorytm poszukiwań, zsynchronizowany z bezprzewodową częstotliwością kamery psa. Nic takiego, co by wzbudziło podejrzenia. Możemy was obserwować, nie zdradzając waszego położenia.

Gray był wdzięczny za dyskretne wsparcie, ale czuł też lekkie zaniepokojenie. W przyszłości będzie musiał zadbać o więcej prywatności.

— Dźwięk jest jednak kiepski — dokończył Painter. — Ciągłe są zakłócenia, więc miejcie to na uwadze. Widzimy was, ale nie zawsze słyszymy.

— Zrozumiałem.

Komandor spostrzegł, że Tucker biegnie z powrotem w jego kierunku.

To z pewnością oznaczało kłopoty.

— Muszę się wyłączyć — oznajmił.

Głos Paintera spoważniał.

— Widzę dłaczego. Niech pan idzie. Ale proszę być...

Gray przerwał połączenie, zanim Painter zdążył go ostrzec, by był ostrożny.

Nie musiał tego mówić — wręcz nie powinien. To jakby życzyć aktorowi powodzenia zamiast połamania nóg.

Tucker podbiegł, dysząc ciężko.

— Drogę przed nami blokuje następny land rover. Naliczyłem przy nim sześciu ludzi. Kolejna grupa jest w obozie. — Miał zatroskany wyraz twarzy. — Niech pan spojrzy.

Tucker podniósł telefon, pokazując obraz na ekranie.

Na środku obozu stał wielki namiot wzniesiony na palach. Sterty popiołu wokół niego znaczyły miejsca dawnych ognisk. Z dużego obozowiska pozostały tylko śmieci, pordzewiałe pręty, plamy po oleju i kilka walących się, porzuconych w pośpiechu namiotów. Na skraju lasu zwisały jeszcze z drzew strzępy siatki maskującej, ale to było wszystko.



— Zdaje się, że większość obozu już ewakuowano — powiedział Tucker. — Chyba nie więcej niż godzinę temu.

Komandor czuł, jak żołądek kurczy mu się z rozpacz.

Czyżby się spóźnili?

— Ale widziałem cienie w tym dużym namiocie — rzekł Tucker. — Ktoś jeszcze tam jest.

— Może obawiając się represji, zostawili tutaj swoją ofiarę, i zwiali — wtrąciła się Seichan.

Gray uchwycił się tej nikłej nadziei.

— Więc co robimy? — spytał Kowalski, który do nich dołączył.

Jain stała przy nim, z tym samym pytaniem na twarzy.

Potrzebowali jakiegoś planu.

Komandor rozważał w myślach różne scenariusze.

— Nie możemy dopuścić, żeby żołnierze, którzy tu zostali, wpadli w panikę. Nie chcemy też ujawniać się niepotrzebnie wrogowi, jeśli Amandę już stąd zabrano. Martwi na nic się jej nie przydamy.

— A zatem? — spytał Kowalski.

Gray skupił wzrok na Tuckerze.

— Musimy zajrzeć do tego namiotu.

## Góry Cal Madow, Somalia

2 lipca, godzina 15.24 czasu miejscowego

Tucker leżał na brzuchu obok Kaina na skraju lasu. Między nimi a namiotem rozciągało się jakieś czterdzieści metrów otwartej przestrzeni. Przy drodze wjazdowej do obozu krzatali się żołnierze, a trzech inni penetrowali teren w poszukiwaniu czegoś wartościowego, więc każdy, kto próbowałby się tamtędy przedostać, zostałby natychmiast zauważony.

Nawet biegnący pies.

Tucker lustrował obóz przez lunetę karabinu. Miał w polu widzenia żołnierza, który pchał wgniecioną taczkę, zatrzymując się co jakiś czas, by podnieść coś spomiędzy porzucanych śmieci.

Usłyszał trzask w słuchawce. Kowalski, zabezpieczający mu tyły, meldował ze swojego stanowiska przy drodze:

— Mamy towarzystwo. Do rozwidlenia zbliżają się trzy land rovery.

Gray odpowiedział na wszystkich kanałach.

— Kowalski, wracaj szybko na nasze stanowisko.

Pozostali członkowie grupy — Gray i dwie kobiety — przeczołgali się między drzewami i leżeli w pogotowiu kilka metrów od samotnego land rovera, który strzegł opustoszałego obozu. Wszyscy czekali na sygnał Tuckera. Jeśli Amanda była w namiocie, zaatakują pojazd mimo przeważających sił przeciwnika, licząc na element zaskoczenia i osłonę, jaką zapewniała im dżungla. Gdyby Amandy tam nie było, wycofają się do lasu i przegrupują.

— Tucker, teraz albo nigdy — rzucił nagłym tonem komandor.

— Teren nie jest czysty — wyszeptał niemal bezgłośnie Tucker.

Trzydzieści metrów dalej człowiek z taczką podniósł z ziemi płytę DVD, obejrzał ją i wyrzucił nonszalanckim ruchem.

Wyglądało na to, że każdy może być krytykiem muzycznym.

Spadaj, dupku.

— Tucker — naciskał Gray. — Następne samochody skręcają i jadą w tym kierunku. Masz dwie minuty, bo będziemy musieli zacząć strzelać i liczyć na cud.

Tucker spoglądał na karabin AK-47 zawieszony na ramieniu żołnierza, który nadal przeszukiwał rumowisko.

Nie wysłę tam Kaina, żeby zginął, pomyślał.

Przemknęło mu przez głowę wspomnienie bolesnych przeżyć z Afganistanu. Miał znów w uszach huk silników startującego śmigłowca ratunkowego, czuł podmuch gorącego powietrza. Przywierał do Kaina, równie jak on zakrwawionego po walce, po eksplozji pocisku. Ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Abła, brata bliźniaka swojego partnera, który powalił ich obu na ziemię, zanim wybuchła mina domowej roboty. Jeśli Kain był prawą ręką Tuckera, to Abel był lewą. Tucker wyszkolił oba psy — ale nigdy nie przygotował się na tę chwilę.

Abel biegł w dole, kuśtykając na trzech nogach, szukając drogi ucieczki. Talibowie okrążali

ich ze wszystkich stron. Tucker rzucił się do drzwi, gotowy wyskoczyć, by przyjść z pomocą przyjacielowi. Lecz dwaj żołnierze przygwoździli go i przytrzymali.

Tucker krzyczał do psa.

Abel usłyszał go. Przystanął, spoglądając w górę. Dyszał, wpatrując się w niego przenikliwymi, jasnymi ślepiami. Dzielili te ostatnie chwile, złączeni wzrokiem.

Dopóki deszcz pocisków nie rozerwał na zawsze tej więzi.

Tucker zacisnął mocniej dłoń na karabinie, nie chcąc zapomnieć tamtej lekcji. Miał wytatuowany na lewym ramieniu niewielki czarny odcisk psiej łapy, aby zawsze pamiętał Abła i jego poświęcenie. Nigdy więcej nie zmarnuje już w ten sposób żadnego życia, nie wyśle kolejnego psa na pewną śmierć.

— Trzeba odwrócić ich uwagę — odpowiedział energicznie Grayowi. — Zastrzelą Kaina, zanim przebiegnie połowę drogi do namiotu.

Reakcja na rozpaczliwe błaganie Tuckera nadeszła z niespodziewanej strony — zza jego pleców.

— Ja to zrobić — rozległ się piskliwy głos, w którym słychać było nutę odwagi. — Nie chciesz Kain zginąć.

Tucker odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak Baashi pędzi do lasu. Zaklął pod nosem i przekazał Grayowi przez radio:

— Baashi szedł za nami. Usłyszał, co mówiłem. Chyba zamierza zrobić coś głupiego.

— Widzę chłopaka. Złapię go — włączył się Kowalski i kilka sekund później musiał przyznać się do porażki. — Jest cholernie zwinny!

Od strony wąskiej drogi rozległ się krzyk.

— *Iska waran!* — zawołał Baashi. — *Ha ridin!*

Tucker wyobraził sobie, jak podchodzi do land rovera z podniesionymi rękami.

Nastąpiła szybka wymiana zdań po somalijsku.

Jain tłumaczyła przez radio.

— Mówi im, że jego matka jest chora. Przyszedł z odległej wioski do lekarza.

Tucker zacisnął palce na zamku karabinu. Trzej żołnierze snujący się po obozie ruszyli do bramy, zwabieni zamieszaniem. Ich uwaga została odwrócona, tak jak chciał.

Wyciągnął rękę i ścisnął czule ucho Kaina. Nie mieli czasu na zwyczajowy rytuał pożegnania.

Tknięty jakimś złym przeczuciem, obrócił dłoń i wskazał palcem w kierunku namiotu.

Kain pognał jak strzała, pędząc tuż przy ziemi na otwartej przestrzeni.

— *Daawo!* — krzyknął Baashi.

— Prosi o lekarstwa — wyjaśniła Jain.

Dostał co innego.

Rozległa się ostra seria strzałów.

Godzina 15.26

Seichan zobaczyła, jak Baashi odskakuje do tyłu, a pod jego stopami eksploduje ziemia. Żołnierze stojący przed land roverem wybuchnęli śmiechem, dobrze się bawiąc.

Jakiś twardziel z poszarpaną blizną na podbródku, z powodu której miał stale wykrzywioną dolną wargę, uciszył pozostałych, unosząc rękę, i podszedł bliżej, wyniosły jak zdobywca. Hełm miał zsunięty na tył głowy, a wojskową bluzę rozpiętą. Położył rękę na kaburze pistoletu, gdy zbliżył się do Baashiego, który skulił się pod jego spojrzeniem.

— *Jiifso!* — rozkazał. — *Maxbuus baad tahay!*

Major Jain ukryła się z Kowalskim po drugiej stronie drogi i tłumaczyła szeptem do mikrofonu.

— Każe Baashiemu się położyć, mówi, że jest jego więźniem.

Baashi usłyszał, uklęknął na jedno kolano i dotknął ręką ziemi, wykonując polecenie.

Żołnierz uśmiechnął się szeroko. Szrama na dolnej wardze nadawała mu złowrogi wygląd. Wyciągnął pistolet.

Zamierza zabić chłopaka, ale najpierw chce go zastraszyć...

Seichan przypomniała sobie innego człowieka, z inną bronią. Trzymał nóż przy jej gardle. Czowała na szyi jego oddech. Ważył dwa razy więcej niż ona i miał mięśnie jak stal. Trafiła na niego podczas szkolenia, mając siedemnaście lat. Był najgorszego gatunku sadystą, perwersyjnym drapieżcą. Zanim odebrałby jej życie, zamierzał ją poniżyć i zmaltretować. Aby przeżyć, musiała mu się poddać, tolerować jego dotyk — ale tylko dopóki nie pozbawiła go noża, gdy przez moment przestał być czujny. Załatwiła go w końcu, wciąż jednak pamiętała ten fatalny dzień całkowitej dominacji silnego nad słabym, a co najgorsze — zniszczeń, które na zawsze się w niej dokonały.

Nie pozwoli, by przydarzyło się to komuś innemu.

Wycelowała SIG sauera w żołnierza. Gray przykucnął obok niej w miejscu, gdzie się ukryli, kilka metrów od skraju lasu, pod osłoną gęstych zarośli. Dotknął jej ramienia, ostrzegając, by nie strzelała. Jeszcze nie teraz.

W ręce Baashiego błysnęło ostrze, na poły ukryte za jego szczupłym ciałem. Wojskowy sztylet schowany dotąd w tylnej kieszeni spodni wydawał się tak długi jak jego ramię.

Ten widok zaszokował ją, potwierdzając jej wcześniejsze przypuszczenia. Ona i chłopiec byli do siebie podobni.

Byłam taka jak on.

Ale Baashi pozwoli się zabić.

Seichan trzymała wycelowaną broń, czując, jak Gray zaciska palce na jej ramieniu i rozkazuje czekać. Posłuchała go, jednak drżała z gniewu — i wstydu.

Dlaczego Tucker tak długo zwleka?

Potrzebowali od niego potwierdzenia — a ściślej biorąc, od jego partnera.

*Kain przemyka ze słonecznego światła w mrok i daje nura pod wspartą na grubych słupach drewnianą konstrukcję. Tu jest chłodniej. Przez moment nic nie widzi, dopóki jego źrenice nie przyzwyczają się do ciemności. Nadstawia jednak uszu, sięgając zmysłami głęboko w mrok. Chłonie wszystko, aby wypełnić ciemność konkretną treścią.*

*Skrzypienie drewna u góry...*

*Stukot obcasów o deski podłogi...*

*Odgłos kapiących kropli...*

*Smakuje ciemność językiem i nosem. Odpadki, olej i szlam. Nieco dalej ostrzejsza woń, która zjeża mu sierść na grzbiecie. Zapach obiecujący mięso. Zmierza w kierunku odgłosu kapiących kropli, węższy w miejscu, gdzie spadają.*

*Krew.*

*Ale nie po to tu przyszedł.*

*Podsunęto mu kawałek tkaniny, przesycony zapachem potu, soli, olejku i kobiecego piżma. Miał wytropić ten zapach. Podnosi nos w kierunku desek u góry, skąd kapie krew. Węższy, wdychając bogactwo woni dolatujących ze wszystkich stron.*

*Ale wśród nich jest zapach, którym przesiąknięta była tkanina. Znalazł to, na co polował.*

*Wystawia nos w kierunku tego zapachu i obwieszcza swój sukces — nie dzikim skowytom zaprogramowanym w genach. Robi to inaczej. Ogłasza zwycięstwo cichym skomleniem, dobywającym się z głębi gardła.*

*Słyszy w uchu słowa kojące jak balsam.*

*— Dobry pies!*

*Oddycha z satysfakcją i przysiadła na zadzie. Dopiero teraz zmysł wzroku wypełnia puste przestrzenie, pozostawione przez węch i słuch.*

*Z ciemności świecą w jego kierunku dwa przenikliwe czerwone światelka. Pochodzą z urządzeń przytwierdzonych do dużych beczek, śmierdzących zardzewiałym metalem i olejem.*

*Zjeża grzbiet, wyczuwając niebezpieczeństwo.*

Tucker, ukryty na skraju lasu, był na poły we własnej skórze, a na poły w skórze swego psa. Słyszał to co Kain: skrzypienie desek i odgłosy kroków. Widział to co on: krople sączące się z góry przez podłogę. Ale czy była to krew, olej, czy woda? Tego nie potrafił stwierdzić.

Potem Kain wystawił nos i cicho zaskomlał.

Sukces.

Przekazał tę wiadomość Grayowi.

— Kain wywęszył w namiocie zapach Amandy. Była tam.

I może jeszcze jest, pomyślał.

— Zrozumiałem — nadeszła zwięzła odpowiedź. — Niech pan oczyści drogę i wkracza do akcji. Dołączę najszybciej, jak będę mógł.

Gdy Gray skończył, ziarnisty obraz na niewielkim ekranie przesunął się w bok. Noktowizyjna kamera Kaina pokazała dwie duże beczki umieszczone blisko siebie w niskim przejściu pod namiotem. Odczytał wypisane na jednej z nich słowo NAFTA. Co najgorsze, do ich boków przymocowane były ładunki wybuchowe z dwoma świecącymi jasno nadajnikami.

Dotknął w panice mikrofonu przy szyi.

— Komadorze...

Przerwała mu seria strzałów.

Godzina 15.27

Seichan strzeliła, trafiając mężczyznę z blizną w lewe kolano. Przewrócił się z okrzykiem zaskoczenia. Gray ostrzelał żołnierzy zebranych po jednej stronie land rovera, Kowalski i Jain — tych po drugiej.

Seichan wyskoczyła z ukrycia, by chronić chłopca, który padł na ziemię, gdy rozgorzała strzelanina. Ruszyła do powalonego żołnierza i strzeliła jeszcze dwa razy do innego komandosa, chowającego się za otwartymi drzwiami land rovera. Leżący na ziemi potwór z blizną wycelował w nią pistolet, ale przestrzeliła mu gardło, zabrała jego broń i otworzyła ogień w kierunku land rovera.

— Zejdź z drogi! — wrzasnęła do Baashiego.

Umknął jak przerażona łania w leśne ostępy.

Jeden z żołnierzy wsiadł za kierownicę land rovera, włączył silnik i nacisnął na gaz. Samochód potoczył się w jej kierunku.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko wycelowała z obu pistoletów i wystrzeliła po jednym pocisku z każdego.

Strzałem z lewej ręki roztrzaskała szybę, z prawej — trafiła kierowcę w oko.

Uskoczyła na bok, gdy rozpędzony wóz zbliżył się do niej, ale skręcił gwałtownie w ostatniej chwili i rozbił się o drzewa.

Strzelanina trwała jeszcze dziesięć sekund i umilkła równie nagle, jak się rozpoczęła. Żołnierze leżeli rozciągnięci na drodze, bezwładni i nieruchomi.

Gray wyszedł z lasu, trzymając rękę przy lewym uchu i nasłuchując, gdzie jest Tucker. Z niepokojem na twarzy spojrział w kierunku namiotu. Drugą ręką wskazał na drogę.

Uwagę Seichan zwrócił głośny warkot. Zapiszczały hamulce. Ci, którzy nadjeżdżali, słyszeli strzelaninę.

— Trzymaj ich na dystans, jak długo się da — rozkazał, po czym ruszył w stronę obozu.

Spojrzała w głąb leśnego tunelu. Przedtem dawał im przewagę element zaskoczenia. Teraz już nie. Wróg był trzykrotnie silniejszy, miał dużo więcej ludzi i broni.

Kowalski i Jain dołączyli do niej, dzieląc jej niepokój i determinację.

Seichan spojrzała przez ramię, gdy Gray zniknął im z pola widzenia. Miała nadzieję, że córka prezydenta nadal tam jest i jeszcze żyje. Tak czy inaczej, nie mieli już wyjścia. Ruchem ręki dała znak pozostałym, by się ukryli.

— Słyszeliście, co mówił komandor — powiedziała. — Utrzymujemy nasze pozycje.

Oby było warto.

Godzina 15.28

Tucker zlikwidował ostatniego z trzech żołnierzy w obozie, tego z taczka. Czuł się jak tchórzliwy zabójca, ale nie miał czasu na skrupuły. Jedyne, co mógł dla nich zrobić, to zabić każdego celnym strzałem w głowę.

Pamiętając skrzywienie podłogi w namiocie, wiedział jednak, że pozostał przy życiu jeszcze co najmniej jeden wróg. Ktokolwiek tam był, z pewnością słyszał strzelaninę. Ale co zrobi?

Po jego lewej pojawił się Gray, biegnący z pistoletem w dłoni. Gdy umilkły strzały, Tucker zdążył go ostrzec, że pod namiotem jest ukryta bomba.

Zerknął na ekran telefonu. Na falującym obrazie widać było, że Kain próbuje nadal zerwać świecący nadajnik z ładunku wybuchowego. Tucker stracił cenne sekundy, starając się wytłumaczyć psu, co ma zrobić, przekazując mu polecenia przez radio. Choć byli tak zgrani, istniały granice ich porozumienia.

Musiał coś zrobić. Przestał się ukrywać i popędził w kierunku namiotu. Był bliżej niż Gray, ale komandor ruszył wcześniej. Powinni dobiec do wejścia w tym samym czasie.

Uniósł telefon. Widoczny na ekranie Kain potrząsnął łbem i jasna lampka nadajnika zgasła.

Dobry pies.

Kain podążył do drugiego ładunku, świecącego jasno w ciemnościach. Gdy zrobił krok w jego kierunku, światło zaczęło szybko migotać.

W mroku zajaśniały oświetlone cyfry.

00:30.

00:29.

Klnąc, Tucker zatrzymał się raptownie. Łajdak, który był w namiocie, aktywował czasowy nadajnik podłączony do ładunku. Strzały z karabinu odwróciły uwagę Tuckera od ekranu. Ostatni z żołnierzy wypadł z namiotu z bronią przy biodrze, strzelając na oślep i próbując wydostać się na zewnątrz, zanim upłyną cenne sekundy.

Gray padł na ziemię, położył się na brzuchu i trzymając pistolet w obu rękach, wystrzelił szybko trzy pociski.

Żołnierz runął na twarz ze schodów prowadzących na ganek. Ponieważ wszystkie strzały trafiły go w głowę, zanim upadł, z pewnością już nie żył.

Tucker wpatrywał się w niewielki ekran, gdy Kain podchodził do drugiej beczki.

00:23.

Pies nie miał szans zerwać nadajnika na czas, a skoro został już aktywowany, każda próba usunięcia go mogła spowodować przedwczesną eksplozję.

— Kain! — krzyknął, już nie przez radio. — Do mnie!

Gray podźwignął się z ziemi i spojrzał na niego.

Tucker wskazał ciasną przestrzeń między słupami.

— Ładunek zaraz eksploduje! Za dwadzieścia sekund!

Obaj mężczyźni popędzili w kierunku namiotu.

Kain pojawił się nagle, trzymając do góry ogon, i podbiegł do Tuckera. Wszyscy razem pognali do schodów przy ganku, wbiegli po nich z łoskotem i wpadli do środka przez sprężynowe drzwi.

Prowizoryczny oddział szpitala wyglądał na równie ogołocoony i spustoszony jak reszta obozu. Walały się tam poprzewracane pudła i sprzęt medyczny, na podłodze leżał parawan. Opuszczano to miejsce w pośpiechu. Tamci musieli podejrzewać, że kończy im się czas.

Ale nie wszystko zabrali.

W głębi pomieszczenia stało przy ścianie szpitalne łóżko. Nie było puste. Pod cienkim prześcieradłem leżała blondynka z maską tlenową na twarzy i kończynami skrępowanymi skórzanymi rzemieniami. Pościel na jej brzuchu była przesiąknięta krwią, która spływała z łóżka, tworząc kałużę na drewnianej podłodze.

Gray podbiegł tam, zerwał maskę i odciągnął prześcieradło, odsłaniając to, co tak starannie zakryto.

Tucker osunął się przerażony na kolana.

Przybyli za późno.

Waszyngton

2 lipca, godzina 8.30 czasu miejscowego

— Nie!

To jedno słowo, przepełnione rozpaczą, bólem i żalem, odbiło się echem od ścian niewielkiej sali konferencyjnej. Pierwsza Dama odwróciła się od ekranu, zakrywając twarz, jakby chciała, żeby zniknął obraz, który zobaczyła.

Jej mąż stał jak skamieniały, wpatrując się w ekran bez zmrużenia oka.

Nikt się nie odzywał — krzyk Teresy mówił wszystko.

Painter miał nadal w oczach scenę, gdy Gray odciągnął prześcieradło. Ktoś zoperował Amandę, rozciął jej brzuch od żeber do miednicy. Wykonali cesarskie cięcie, ukradli niemowlę i pozostawili jej martwe ciało jak pustą skorupę.

Painter obserwował na ekranie, jak komandor odwraca się i podnosi Tuckera z kłęczek. Obraz falował gwałtownie, gdy obaj mężczyźni i pies wybiegali z namiotu. Rozumiał ich pośpiech. Wszyscy widzieli beczki z naftą, światełko przy ładunku wybuchowym i zegar odliczający czas.

Teraz zobaczyli na ekranie nogi biegnących postaci, odległy las — a potem oślepiającą eksplozję, która powaliła uciekających na ziemię. W niebo wystrzeliła kula ognia. Druga beczka potoczyła się na bok, ciśnięta siłą wybuchu, pozostawiając za sobą ścieżkę nafty, dopóki nie zniknęła z pola widzenia.

Dźwięk w przekazie zaczął zanikać i zaległa cisza.

Chwilę później zobaczyli twarz Tuckera, który sprawdzał, czy jego pies ocalał. Poruszał ustami, ale nic nie było słychać. Za nim Gray podnosił się na czworaki, zrzucając pospiesznie plecak, który płonął. Cisnął go na bok i zaczął ocierać się plecami o ziemię, aby zdusić ogień na tłącej się koszuli.

Przeżyją.

Painter powinien poczuć ulgę, ale było na to jeszcze za wcześnie.

Teresa zerwała się z fotela i rzuciła do męża, lecz nie szukała pociechy w jego ramionach. Okładała go pięściami, szlochając, co osłabiało ciosy. Po jej twarzy spływały łzy.

— To twoja wina! — krzyczała, przylegając do jego torsu, gdy James Gant mocno ją objął.  
— To wszystko nasza wina... Oni... oni rozkroili moje dziecko!

Zwiotczała w ramionach męża, przywierając twarzą do jego piersi i nadal kręcąc głową, jakby chciała wymazać z pamięci to, co zobaczyła.

Podtrzymywał ją, spoglądając ponad jej głowę na Paintera.

Jego zrozpaczone, zimne oczy płonęły gniewem skierowanym ku Painterowi, ku Sigmie.

Brat prezydenta, Robert, wstał i delikatnie nakłonił rozpaczających rodziców, by wyszli.

— Zajmij się żoną, Jimmy — powiedział. — Poradzimy sobie.

Prezydent nie opierał się. Opuścili oboje pokój, obejmując się nadal i dzieląc niewyobrażalną rozpacz i tragedię. Ludzie z tajnych służb pozostali na miejscu.



Sekretarz obrony, Warren Duncan, położył dłoń na ramieniu Roberta.

— Może pan też pójdzie? Rodzina w takich chwilach powinna być razem.

Robert Gant, uprzejmy zwykle i zrównoważony, odparł zgryźliwym tonem, mierząc Paintera lodowatym wzrokiem:

— Ktoś z rodziny powinien być świadkiem finału tej spieprzonej misji.

Szef Paintera przymknął oczy i ledwo widocznie pokręcił głową, całkowicie zażenowany i zdruzgotany.

Obraz na ekranie pokazywał, jak do obozu wjeżdżają dwa land rovery, a z ich bocznych okien padają bezgłośnie strzały.

Ta nieudana akcja jeszcze się nie skończyła.

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 15.34 czasu miejscowego

— Kryć się! — krzyknął Gray.

Biegł z Tuckerem i Kainem, oddalając się od wysadzonego w powietrze namiotu. Nad obozem unosił się czarny dym, a ziemia była zasłana płonącymi szczątkami brezentu. Gęsty dym zapewniał im dostateczną osłonę, by mogli uciec do lasu, gdy dwa land rovery skręciły z drogi do obozu.

Ogień z broni automatycznej z okien samochodów był skierowany na skraj lasu, gdzie ukrywali się pozostali członkowie grupy. Trwała tam zaciekle strzelanina. Najprawdopodobniej jego ludzie zaatakowali trzeci wóz, który uczestniczył w blokadzie, ale do końca potyczki było jeszcze daleko.

Zanim Gray, Tucker i Kain zdołali schronić się w lesie, zauważono ich ucieczkę. Zaczęto strzelać w ich kierunku. Kain zaskomlał i zaczął biec szybciej. Tucker również przyspieszył, przedtem jednak komandor wyrwał mu z ręki karabin.

Obrócił się w kierunku land roverów i wystrzelił, roztrzaskując jedną z bocznych szyb pojazdu i zmuszając strzelca, by się pochylił.

— Niech pan ucieka! — wrzasnął do Tuckera. — I dołączy do grupy!

Gray popędził na bok, strzelając. Jeden z land roverów zawrócił ostro na piaszczystym gruncie i pognał z powrotem w kierunku drogi, ruszając na pomoc odpierającym atak żołnierzom w trzecim samochodzie. Ostatni land rover okrążał dymiące zgłiszcza namiotu, zbliżając się do komandora.

Nagle z odgłosami wystrzałów zmieszał się nowy hałas.

Strzelanina ustała na chwilę, gdyż inni też go usłyszeli.

Zbliżał się śmigłowiec. Jego warkot był coraz głośniejszy.

Gray spojrział w niebo, wiedząc, że na przybycie oddziału SEAL jest jeszcze za wcześnie — i nie mylił się. Nad wierzchołkami drzew przeleciał od strony głównej drogi znajomy wojskowy helikopter, ten sam, który siał spustoszenie w bazie UNICEF-u.

Wyglądało na to, że wszystkie kury wracają do kurnika.

Spod podwozia śmigłowca wyleciała ze świstem rakietą, ciągnąc za sobą smugę ognia i dymu. Poszybowała w dół i uderzyła w kabinę land rovera zmierzającego do lasu. Samochód przekoziółkował i eksplodował.

Zdumiony komandor przykucnął.

Z otwartych drzwi tylnej kabiny śmigłowca padały strzały. Gdy maszyna przelatywała nad nim, zobaczył tam znajomą postać.

Kapitan Trevor Alden.

Gray przypomniał sobie, że gdy po raz ostatni widział Brytyjczyka, siedział on w wieżycze pojazdu opancerzonego i strzelał z karabinu. Musiał w jakiś sposób zmusić śmigłowca do lądowania i przejął go dla Brytyjskich Sił Specjalnych. A potem ruszył im na odsiecz.

Kapitan mógł tej decyzji jeszcze pożałować.

Drugi land rover, który zahamował gwałtownie na widok śmigłowca, biorąc go za sprzymierzeńca, nagle przyspieszył i popędził przez obozowisko. Śmigłowiec musiał zawrócić, robiąc zwrot w powietrzu, żeby odpalić rakiety.

Z otwartego szyberdachu land rovera wyłonił się żołnierz, trzymając na ramieniu czarną rurę granatnika. Z tak małej odległości nie mógł chybić.

Gray uniósł karabin, lecz land roverjechał po płonącym obozowisku szaleńczymi zygzakami. Nie miał szans trafić żołnierza z granatnikiem. Ale znalazł coś, co się nie poruszało.

Druga beczka z naftą, wyrzucona w powietrze wskutek eksplozji, leżała na boku w kałuży wyciekającej ropy. Land rover, którego kierowca patrzył cały czas w górę, pędził w jej kierunku — a w każdym razie był wystarczająco blisko. Gray nie wierzył w skuteczność strzału w samą beczkę. Wbrew temu, co pokazywano na filmach, takie strzały rzadko powodują wybuch.

Zamierzał zapalić lont.

Przyłożywszy oko do lunety, strzelił w leżące w pobliżu beczki dymiące fragmenty desek z podłogi. Drewno eksplodowało, sypiąc iskry w kałużę ropy i wzniecając na jej powierzchni płomień, które sunęły szybko w kierunku przeciekającej beczki.

W tym momencie pędzący land rover zasłonił mu widok.

Czy dobrze wymierzył czas?

Eksplozja wyrzuciła w niebo kulę ognia i przewróciła samochód na bok. Płonąca ropa wdarła się przez otwarte okna do pojazdu, zapalając wszystko.

Rozległy się krzyki.

Otworzyły się drzwi i ukazało się piekło wewnątrz land rovera.

Potem eksplodował zapas granatów w kabinie, rozrywając pojazd na strzępy.

Komandor skulił się.

Śmigłowiec odleciał, znikając z łoskotem w chmurze dymu.

Gray wyprostował się i — gdy przestało mu dzwonić w uszach — zdał sobie sprawę, że strzelanina ustała. Odwrócił się i zobaczył Kowalskiego i Seichan wchodzących z drogi na teren obozu i prowadzących między sobą drobną postać Jain. Ich trójka unieszkodliwiła zapewne samodzielnie ostatni land rover, ale drogo za to zapłacili. Major Jain kulała na jedną nogę, druga obficie krwawiła.

— Została postrzelona! — krzyknął Kowalski.

Jain spojrzała na niego, marszcząc brwi.

— Nic mi nie jest. Prędzej zabije mnie cholerny smród twojego ciała niż to drobne skaleczenie.

Alden musiał jednak zauważyć, że ich towarzyszka została ranna.

Śmigłowiec przechylił się na bok i szukał bezpiecznego miejsca do lądowania.

Również Tucker wrócił z psem z lasu. Gray spostrzegł skierowany na siebie obiektyw kamery. Jego telefon satelitarny stopił się prawdopodobnie w spalonym plecaku.

Przeszukując zgłiszcza, czuł, jak pieką go poparzone plecy. Musiał skontaktować się z Painterem. Nie mógł z tym zwlekać. Ale dyrektor ostrzegł go, że dźwięk w ich przekazie zanika. Gray nie mógł dopuścić, by jego wiadomość została błędnie zrozumiana.

Znalazł kawałek brezentu, nadpalonego na brzegach, i napisał końcówką zwęglonego patyka krótką notatkę.

Modlił się, by dotarła do Paintera.

Waszyngton

Godzina 8.44 czasu miejscowego

Dym zasnuwał większość płonącego obozowiska. Na ekranie niewiele było widać, zwłaszcza gdy wylądował śmigłowiec, unosząc w powietrze tuman śmieci.

Painter nie był jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę, co się stało.

Sekretarz obrony Duncan stał nadal obok Roberta Ganta, trzymając rękę na jego ramieniu.

— Idź — powiedział. — Już po wszystkim, Bobby. Dołącz do rodziny. Potrzebują cię teraz bardziej niż my.

Robert wpatrywał się wciąż w monitor, ale Painter podejrzewał, że — wstrząśnięty tragedią — nic nie widzi.

W końcu wyrwało mu się z piersi urywane westchnienie. Spojrzał na Paintera, ale ogień w jego oczach już się wypalił, pozostał tylko tępy smutek. Robert Gant miał sześćdziesiąt sześć lat, ale wyglądał teraz na dziesięć więcej. Poklepał Duncana po boku i wyszedł bez słowa.

Sekretarz obrony jeszcze jednak nie skończył. Wskazał na szefa Paintera i odezwał się lodowatym tonem:

— Chciałbym zamienić z panem słowo, generale Metcalf. Na osobności.

— Rozumiem. — Metcalf posłał Painterowi miazdzące spojrzenie.

Zanim obaj mężczyźni wyszli, Duncan szturchnął Paintera palcem w pierś.

— W ciągu godziny chcę mieć na biurku raport. — Machnął ręką w kierunku monitora. — I kopię tego przekazu. Chcę dostać szczegółowe sprawozdanie na temat tej tragedii... Jak doszło do tego, że wszystko się spieprzyło?

Painter pozostał sam w sali konferencyjnej.

Widoczny na ekranie dym powoli się rozwiewał. W obiektywie kamery pojawiło się zbliżenie twarzy Graya. Poruszał ustami, ale nic nie było słychać. Po chwili cofnął się nieco i pokazał kawałek nadpalonego brezentu, na którym coś napisał.

Gdy Painter przeczytał nagryzmołone słowa, zachwiał się z wrażenia i musiał przytrzymać się krawędzi stołu.

Jak to możliwe? — zastanawiał się.

Spojrzał w stronę drzwi, gotowy wybiec z sali i wezwać wszystkich z powrotem. Zrobił nawet krok w tym kierunku, ale przystanął, gorączkowo rozważając w myślach różne opcje.

Zakrył dłonią usta.

Pozostawało zbyt wiele niewiadomych. Ujawniona na ekranie prawda była zbyt cenna, by bez namysłu się nią dzielić. Ale byłoby też niewysłowionym okrucieństwem zachowywać milczenie.

Odwrócił się powoli do stołu, wziął do ręki pilota i wyłączył monitor. Będzie musiał wyciąć ostatni fragment nagrania, zanim wręczy je Warrenowi Duncanowi.

Wpatrywał się w ciemny ekran, zastanawiając się, czy stać go na taki krok. Ale jego praca polegała na podejmowaniu trudnych decyzji bez względu na to, kto na tym ucierpi. A ta była jedną z najtrudniejszych.

Przypomniał sobie Teresę, pogrążoną w rozpacz i bólu. Słyszał nadal jej krzyk, jej protesty, że to nie może być prawdą.

Okazało się, że Pierwsza Dama miała rację.

Choć monitor był wyłączony, Painter miał wciąż przed oczami ostatnią wiadomość od Graya.

Boże, wybacz mi.

Nikt nie może się o tym dowiedzieć.



2 lipca, godzina 15.48 czasu miejscowego

Przestrzeń powietrzna nad Rogiem Afryki

Świadomość wracała jej stopniowo, jak zamglona na brzegach, rozlewająca się powoli plama jasnego światła. Czuła się jak pływak wyłaniający się z głębin czarnego morza. Widziała nad sobą twarze. Słyszała głosy, przytłumione i nierozpoznawalne. Z powodu bólu gardła i suchości w ustach z trudem przełykała ślinę.

— Odzyskuje przytomność — powiedział znajomy głos z niemiecko-szwajcarskim akcentem.

Rozpoznała przycięte równo jasne włosy i lodowate spojrzenie.

Petra.

Uświadomiła sobie ponownie swoje koszarne położenie i natychmiast otrząsnęła się z letargu, wracając do twardej rzeczywistości.

Pochyliła się nad nią kolejna twarz. Skierowany w oczy promień ostrego światła przeszył na wskroś jej czaszkę. Wzdrygnęła się, odwracając głowę.

Leżała w płytkiej, wyściełanej skrzyni. Słyszała warkot odrzutowych silników, czuła wibracje samolotu.

— Źrenice reagują prawidłowo — oznajmił doktor Blake. — Dobrze znosi narkozę. Co z płodem, Petro?

— Rytm serca i dotlenienie nadal w normie, doktorze. Dzięki bezprzewodowej transmisji z aparatu monitorującego płód będziemy mogli po wylądowaniu oceniać jej stan na odległość.

— Ile potrwa lot?

— Jeszcze trzy godziny.

Twarz doktora Blake'a zniknęła jej z oczu.

— Nie ma więc potrzeby jej dobudzać. Proszę utrzymywać ją na razie w lekkim uśpieniu za pomocą propofolu. Możemy dać jej narkozę, gdy będziemy podchodzili do lądowania.

— Potrzebujemy też co najmniej piętnastu minut, żeby zaopatrzyć trumnę w dyplomatyczne królewskie pieczęcie.

Trumnę?

Amanda spojrzała zamglonym wzrokiem na wyściełane boki skrzyni. Przeniknął ją strach.

— Masz rację, Petro. Choć nasi dobroczyńcy dali w łapę komu trzeba, lepiej unikać problemów z celnikami. Na szczęście wszyscy uważają, że ona nie żyje.

Nie żyje?

— A więc nikt jej nie będzie szukał — kontynuował Blake. — Nie mając nikogo na karku, znajdziemy wreszcie czas, żeby bezpiecznie urodziła dziecko. Dobrze będzie za parę godzin zmyć z siebie smród dżungli i wrócić do normalnego medycznego laboratorium.

Usłyszała oddalające się kroki.

— Idę do baru w kabinie — oznajmił lekarz. — Przynieść ci drinka?

— Wodę, z plasterkiem cytryny.

— Zawsze profesjonalistka! — skarcił ją żartobliwym tonem. — Przestań się tak przejmować. Dostarczymy przesyłkę przed nocą. Może potem się odprężysz.

Zobaczyła z bliska twarz Petry. Jej oddech był przesączony cynamonem i dymem z papierosów.

— Odprężę się, jak będziemy mieli jej płód na stole sekcyjnym w laboratorium.

— Stale zapominam, że to twoja specjalność, moja droga. Sądziłem, że zręcznie operuję skalpelem i kleszczami... ale ty zawstydzasz mnie swoimi umiejętnościami krojenia ciała na tak wiele idealnych anatomicznych fragmentów.

— To łatwiejsza część zadania. — Petra wyprostowała się.

— Oczywiście. — Jego słowom towarzyszył lekki śmiech. — Najbardziej olśniewasz, zachowując te fragmenty przy życiu.

Przy życiu?

Co oni mieli na myśli? O czym rozmawiali?

Amanda starała się odpędzić od siebie ten koszmar, ale i tak wypełniał jej umysł. Chciała zakryć uszy dłońmi. Wiedziała, że dziecku grozi niebezpieczeństwo — dlatego przecież uciekła ze Stanów — ale nigdy nie wyobrażała sobie czegoś równie potwornego. To wykraczało poza jej najbardziej upiorne wizje.

Nie chcę tego już więcej słuchać!

Jej niema prośba została spełniona.

Po lewej stronie zaskrzypiały zawiasy i po chwili otoczył ją mrok i cisza. Wieko trumny zostało zamknięte.

Amanda dygotała w ciemnościach, modląc się, by ta skrzynia rzeczywiście stała się jej trumną, by ona udusiła się, zanim wylądują. Wolała to, niż miałyby pozwolić, by jej chłopczyk znosił cierpienia, które dla niego zaplanowano.

...zachowując te fragmenty przy życiu...

Te przerażające słowa wypełniały mrok... razem z dręczącym ją pytaniem.

Dokąd oni mnie zabierają?

Góry Cal Madow, Somalia

Godzina 16.00 czasu miejscowego

— Z całą pewnością trzymali ją w tym obozie — powiedział Gray, trzymając przy uchu telefon satelitarny i rozmawiając z centralą Sigmy. — Pies Tuckera wywęszył tu jej zapach, zanim rozpętało się piekło.

Dobrze to określił. Miał przed oczami dymiące zgliszczka namiotu i płonące szczątki dwóch land roverów. Jego towarzysze sprawdzali, czy jakieś niedobitki sił wroga nie stanowią dla nich zagrożenia. Śmigłowiec kapitana Aldena stał w pobliżu, z włączonym silnikiem i obracającymi się powoli wirnikami. Brytyjski lekarz z jego ekipy ratunkowej opatrywał nogę Jain.

Kowalski przyglądał się jej zatroskany. Choć różnili się posturą i płcią, byli bardzo do siebie podobni. Wprost przerażająco. Była damską wersją Kowalskiego.

Gray wydobył telefon satelitarny z plecaka tego olbrzyma. Nie wiedział, czy Painter otrzymał jego sporządzoną pospiesznie odręczną notatkę, i chciał jak najszybciej się z nim skontaktować.

— Ale dlaczego chce pan utrzymać w tajemnicy fakt, że Amanda ocalała? — spytał, kwestionując ponownie potrzebę tak okrutnego oszustwa. — Rozumiem obawy przed przeciekami w agencji wywiadu. Ale ukrywać to przed prezydentem i jego rodziną... Na pewno

strasznie cierpią.

— Owszem, ale jeśli administracja nabierze podejrzeń, że Amanda żyje, będą domagali się użycia wszelkich dostępnych sił, żeby ją odnaleźć. A proszę zobaczyć, do czego to tym razem doprowadziło. Dla dobra córki prezydenta musimy zadbać, by o jej ocaleniu wiedziało jak najmniej osób.

Gray wciągnął głęboko powietrze. Było to ze strony dyrektora zuchwałe posunięcie, ale miało swój brutalny sens, zwłaszcza w świetle jego własnych podejrzeń. Podzielił się nimi z Painterem.

— Panie dyrektorze, jestem niemal pewien, że to, co się tu wydarzyło, zaaranżowano celowo, żeby upozorować śmierć Amandy.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytał Painter.

— Ta kobieta na łóżku była blondynką tego samego wzrostu i tuszy co Amanda. Sądząc z rozciągnięcia macicy i brzucha, musiała również być w ciąży, zapewne w tym samym miesiącu. Ale najbardziej podejrzany jest fakt, że pod maską tlenową miała zmasakrowane usta. Ktoś nie chciał, żeby do identyfikacji zwęglonych zwłok można było wykorzystać zdjęcia uzębienia Amandy.

Painter przetrawiał w milczeniu tę informację.

— Nawet pospieszne cesarskie cięcie nasuwa podobny wniosek — stwierdził Gray. — Musieli się obawiać, że jakiegokolwiek zachowane resztki płodu mogą nie wykazywać zgodności z próbkami pobranymi podczas badań prenatalnych.

Na myśl o tym koszmarze Painter odparł zduszonym głosem:

— A więc wycięli dziecko.

— Właśnie. I pozbyli się go, by zatrzeć ślady. Wyczułem też, że łóżko nasączono łatwopalnym płynem. Chyba ten ostatni żołnierz tym właśnie się zajmował. Chcieli mieć pewność, że ciało spłonie tak doszczętnie, że nie da się z niego pobrać próbek DNA. Ale zaskoczyliśmy ich, zanim zdążyli dokończyć swoje dzieło.

— Po co porywacze mieliby tak się starać? — spytał Painter, ale zabrzmiało to tak, jakby głośno się zastanawiał.

Gray jednak odpowiedział.

— Najwyraźniej chcieli zniechęcić każdego, kto by jej jeszcze poszukiwał. Skoro wszyscy uważają, że nie żyje, kończy się pościg.

— To prawda. Ale obawiam się, że nasi wrogowie są jeszcze sprytniejsi.

— Co pan ma na myśli?

— Proszę się zastanowić. Wiedzieli, że się zbliżacie i zmuszacie ich do działania. Musieli ją przenieść, ale wykorzystali sytuację dla swoich potrzeb. Pozorując śmierć Amandy, osiągnęli dodatkowy cel.

Gray starał się nadążyć za tokiem rozumowania dyrektora. Wiedział, co spotkało Paintera w Białym Domu. Nagle pojął.

— Wróg mógł obarczyć nas winą za śmierć Amandy.

— Przynajmniej częściowo.

Gdy pomyślał, komu mógł przyświecać taki cel, zmroziło mu krew w żyłach. Tylko jedna organizacja chciałaby w ten sposób zemścić się na Sigmie.

— Czy sugeruje pan, dyrektorze, że w porwanie córki prezydenta jest w jakiś sposób zaangażowana Gildia?

Poczuł, jak ciemnieje mu w oczach, i wyobraził sobie trumnę matki opuszczaną w głąb

zmarzniętej ziemi.

— Komandorze Pierce, nie wiemy tego na pewno. Ale tak czy inaczej to cios dla Sigmy... być może nawet śmiertelny.

Komandor wiedział, że Gildia dążyła od lat do zniszczenia Sigmy. Próbowali to zrobić wielokrotnie, raz nawet przypuszczając szturm na ich centralę.

Przymknął oczy.

Czyżby posłużyli się mną do załatwienia swoich spraw?

— Co robimy? — spytał.

— Cel waszej misji pozostaje bez zmian. Macie znaleźć córkę prezydenta. Tylko to się teraz liczy.

Gray stłumił płonący w nim gniew. Przeczesując palcami włosy, poczuł ból poparzonych pleców. Dyrektor miał rację. Musiał kontynuować misję, co oznaczało konieczność znalezienia odpowiedzi na jedno podstawowe pytanie.

Gdzie zacząć poszukiwania?

Painter również je sobie zadawał.

— Znaleźliście w namiocie jakieś wskazówki, cokolwiek, co by mogło nas naprowadzić na trop Amandy?

Gray wpatrywał się w dymiące zgliszcza.

— Nie mieliśmy czasu. Ona może być gdziekolwiek.

Painter odetchnął głęboko — nie był to wyraz bezsilności, lecz odzyskanej determinacji.

— A więc zaczynamy od zera. Nie poddajemy się. Zobaczę, co da się zrobić tutaj. Pan i kapitan Alden wypytajcie miejscowych. Ktoś musi coś wiedzieć. Podczas pospiesznej ewakuacji nieprzyjaciel mógł zostawić jakieś ślady.

Komandor przyznał mu rację. Wróg najwyraźniej się nie spodziewał, że jego grupa zjawi się tak szybko w obozie — jeśli w ogóle.

— Pierce! — usłyszał wołanie Tuckera.

Odwrócił się i zobaczył, że kapitan macha do niego z drogi prowadzącej do obozu. Tucker odsunął się na bok, by odsłonić mu widok biegnącej drobnej postaci. Był to Baashi. Gray widział chłopca po raz ostatni, gdy ten dawał nura w las po tym, jak omal nie został postrzelony.

Seichan poszła go szukać.

Pojawiła się teraz kilka kroków za nim, ciągnąc ze sobą więźnia, którego trzymała za kołnierz koszuli.

— Zadzwoń do pana za parę minut, dyrektorze — powiedział do telefonu Gray. — Może mamy jakiś trop.

Przerwał rozmowę i podszedł do pozostałych. Kapitan Alden też ruszył w ich kierunku.

Seichan spojrzała Grayowi w oczy, gdy do niej dotarł.

— Znalazłam Baashiego, kiedy prowadził do nas tego chłopca.

Baashi energicznie przytaknął.

— Ja mu mówić wy wszyscy dobrzy.

— To ten sam chłopak, na którego natknąłem się przy strumieniu — powiedział Tucker.

Gray zobaczył, że kapitan się nie myli. To tego chłopca Tucker pozbawił przytomności i związał. A więc wrogowie go znaleźli. Nic dziwnego, że pojechali za nimi do obozu.

— Dzieciak musiał uciec, gdy zaatakowaliśmy trzeci samochód — domyśliła się Seichan. — Ale Baashi wyszedł go w lesie i przekonał, że jesteśmy w porządku.

Sądząc po szeroko otwartych, przerażonych oczach chłopca, musiał się zastanawiać, czy



podjął słuszną decyzję.

— Pan Trevor! — wykrzyknął radośnie Baashi, wybiegając na spotkanie Brytyjczykowi, gdy ten do nich dołączył. Poklepał Aldena po piersi i powiedział do swego towarzysza: — To człowiek, który ja ci mówić. — Widząc konsternację na twarzy chłopca, Baashi powtórzył to samo po somalijsku. Potem przeszedł kawałek dalej, jak rozemocjonowany przewodnik turystyczny, i poklepał również Kaina, mówiąc na koniec: — On dobry pies.

Gray podszedł tymczasem do Aldena.

— Może Baashi spyta tego chłopca, czy wie, dokąd zabrali Amandę.

— Zrobię, co się da.

Komandor musiał zaczekać, aż skończy się gorączkowa wymiana zdań, której towarzyszyły podejrzliwe spojrzenia rzucające w jego kierunku. Wreszcie chłopak ustąpił. Żywo gestykulując, mówił z pasją po somalijsku.

Alden wyprostował się w końcu i wrócił do Graya.

— Wygląda na to, że podobnie jak w przypadku Baashiego ludzie są skłonni rozmawiać swobodnie przy dziecku. Podszedł, jak ktoś z personelu medycznego w obozie mówił, że zamierzają przewieźć młodą kobietę na lotnisko, z którego korzystają handlarze narkotyków. Podobno chcieli lecieć do Dubaju. Ale nie wiem, czy miał to być tylko przystanek pośredni, czy docelowe miejsce, bo powiedział również, że planowali podróż do nieba.

Podróż do nieba? Co to znaczyło? Jakiś samobójczy spisek?

Nie pasowało to do ich wrogów — z pewnością nie do Gildii. Alden musiał dostrzec jego konsternację, bo wzruszył ramionami. Nie potrafił tego wyjaśnić.

Mimo wszystko Grayowi poprawił się nastrój.

— Od Dubaju możemy przynajmniej zacząć poszukiwania. Z nadzieją, że natrafimy znów na jej trop.

Alden spojrzął na Jain, leżącą na noszach z odciętą nogawką spodni.

— Powodzenia, komandorze. Zaopiekuję się chłopcami. — Wskazał na Baashiego i jego kolegę. — A tymczasem...

Przerwało mu dudnienie śmigłowca, kierując jego uwagę ku górze.

— To chyba wasz oddział SEAL — rzucił. — Trochę się spóźnili na cholerną imprezę, ale mogą pomóc zabezpieczyć teren. Proponuję, żeby pan i pańscy ludzie zniknęli stąd, zanim zaczną padać zbyt wiele pytań.

— A jeśli chodzi o córkę prezydenta... — zaczął Gray.

Alden mrugnął do niego.

— Słyszałem, że nie żyje. To straszna tragedia. — A więc kapitan już się zorientował, podobnie jak Painter, że Amanda miała największe szanse na przeżycie, jeśli wszyscy będą nadal wierzyli w to kłamstwo. — To właśnie przekażę moim zwierzchnikom.

— Dziękuję — powiedział komandor, ściskając mu dłoń i chwytając go drugą ręką za ramię.

— Nie ma za co dziękować, kolego. Gdyby nie pana refleks, byłoby więcej ofiar w obozie UNICEF-u, być może także wśród moich ludzi.

Uzgodniwszy wszystko, Gray zebrał swoją ekipę i pospieszył do czekającego śmigłowca. Chciał się stamtąd wynieść, zanim komandosi z SEAL zabiorą się do roboty. Mieli rozkaz zabrać zwęglone ciało — rzekome szczątki córki prezydenta — do Stanów. Nie życzyłyby nikomu wykonywania takiego zadania.

Zadzwoił ponownie do Paintera, przekazał mu, czego się dowiedział, i uzgodnił logistykę

kolejnych działań.

— Znikamy stąd — oznajmił. — Jeśli Kat zdoła zebrać jakieś informacje, gdy będziemy w drodze, przystąpimy do akcji zaraz po przybyciu do Dubaju.

— Zrozumiałem. Zlecę to jakiejś ekipie. Kat pracuje teraz nad innym aspektem tej sprawy.

Gray przystanął, gdy wszyscy wsiadali do śmigłowca, a Tucker wsadzał na pokład psa.

— Jakim innym aspektem?

Kiedy Painter wyjaśniał mu swoje obawy, że wszystkie te krwawe wydarzenia miały jakiś związek z nienarodzonym dzieckiem córki prezydenta, Gray przypomniał sobie okaleczone brutalnie podczas cesarskiego cięcia i spalone potem doszczętnie ciało anonimowej kobiety.

Wyczuwał intuicyjnie, że dyrektor ma rację.

Chodziło o dziecko.

Rozłączył się, ale kiedy zapiął w śmigłowcu pas bezpieczeństwa, zaczęła go dręczyć kolejna myśl. Dotyczyła również Amandy i jej dziecka. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że Painter coś przed nim ukrywa. Nie pochwalał decyzji dyrektora, by utrzymać wiadomość o ocaleniu córki prezydenta w tajemnicy przed jej własnymi rodzicami. Painter był z pewnością doskonałym szachistą i gdy został przyparty do muru, potrafił zachować zimną krew, ale nigdy nie wykazał się aż taką bezdusnością. Jego wyjaśnienia wydawały się naciągane, jakby próbował zataić jakieś informacje na temat Amandy albo jej rodziny.

Ale o co mogło chodzić?

Śmigłowiec wzniósł się powoli z rykiem silników nad ruinami obozu, wznecając chmurę dymu i popiołu i pozostawiając w dole ślady koszmaru.

Gray mógł nie wiedzieć, jaką Painter prowadzi grę — ale jedno wiedział na pewno.

To był dopiero początek.

Najgorsze miał jeszcze przed sobą.

Waszyngton

Godzina 11.00 czasu miejscowego

Robert Gant przeszedł przez śluzę powietrzną i znalazł się w pomieszczeniu o klasie czystości 1000, sterylnym białym pokoju ze szklanymi ścianami, przez które widać było resztę laboratorium genetycznego. Pracowało w nim tylko trzech naukowców. Znajdowało się w przemysłowej strefie na peryferiach Alexandrii, w stanie Wirginia, i figurowało na liście prywatnych laboratoriów wykonujących testy DNA.

Ale nie po to powstało.

Jego prawdziwą funkcję przedstawiał symbol wyrysowany na jednej ze szklanych ścian: zroszony krzyż, ozdobiony łańcuchami DNA.

— Proszę mi to pokazać — powiedział swym głębokim barytonem, który w przeszłości służył mu dobrze jako ambasadorowi USA, a teraz jako sekretarzowi stanu.

Nie ukrywał lekkiej irytacji. Pozostawił Jimmy'ego i Teresę pogrążonych w rozpaczy, aby zająć się prywatną rodzinną sprawą, ale chciał skrócić tę wizytę do minimum.

Naukowiec, doktor Emmet Fielding — ubrany w biały kombinezon, rękawiczki, kalosze i kaptur — poprowadził go do stołu laboratoryjnego. Zamknięty szklany pojemnik, wielkości i kształtu hokejowego krążka, zawierał ciemną niebieskawozieloną ciecz. Obok stała na stole rzeźba z tytanu przypominająca pozbawionego szczypców kraba, wspartego na sześciu wyposażonych w stawy nogach. Jego płaska metalowa skorupa miała niespełna osiem centymetrów średnicy i przypominała Robertowi miny lądowe, wciąż wszechobecne

w południowo-wschodniej Azji, gdzie spędził większość czasu jako ambasador.

Fielding wziął pojemnik ze stołu i trzymał go na otwartej dłoni.

— To jest eksperyment najnowszej generacji — oznajmił z dumą. — Pół miliona neuronów pobranych z tkanki korowej ludzkiego płodu, aby stworzyć nowy mózg. Gdy zostanie wszczepiony, będzie się komunikował za pomocą pięciu tysięcy mikroelektrod. To cztery razy więcej niż poprzednio.

I ogromny postęp w badaniach.

Ten projekt był dla Roberta oczkiem w głowie. Dowiedział się kiedyś o pierwszych próbnym eksperymentach przeprowadzanych na uniwersytecie w Reading w Anglii w 2009 roku. Naukowiec specjalizujący się w neurorobotyce odkrył, że wiązkę neuronów pobranych z kory szczurów laboratoryjnych i hodowanych na odpowiedniej pożywce można podłączyć do niewielkiego robota na kółkach i za pomocą stymulacji elektrycznej potrafią one nim kierować, ucząc się stopniowo, w miarę powstawania nowych synaps, unikać przeszkód i poruszać się w labiryncie. Wkrótce potem kolejny naukowiec, z uniwersytetu na Florydzie, poszedł dalej, podłączając dwadzieścia pięć tysięcy szczurzych neuronów do symulatora lotu. Z czasem ten mikroskopijny umysł nauczył się latać bezbłędnie odrzutowcem nad górami i podczas burzy.

Wiele lat później, korzystając z finansowych i technologicznych zasobów rodziny, Robert podniósł poprzeczkę o wiele wyżej. Początkowo badania stanowiły kontynuację większego projektu, realizowanego od dziesięcioleci i mającego doprowadzić do połączenia człowieka z maszyną w celu przedłużenia życia — do czego Linia Krwi dążyła od wieków.

Niestety, wysiłki zmierzające do stworzenia cyborga prowadziły w ślepy zaułek. Stało się jasne, że nie będzie to skuteczny sposób podtrzymywania ani przedłużania życia, zwłaszcza wobec obiecujących postępów badań nad komórkami macierzystymi. W tym momencie Linia Krwi zwróciła oczy w nowym kierunku, porzucając makroświat robotyki dla mikroświata genetyki.

Ale nawet Robert Gant nie miał pełnego dostępu do tych najnowszych przedsięwzięć.

Nadzorował natomiast starszy projekt. Neurorobotyka stwarzała nadal nowe lukratywne możliwości dla technologii wojskowej. Skoro już przed laty szczurze mózgi mogły pilotować odrzutowce, może na przyszłym polu walki pojawi się coś jeszcze bardziej ambitnego?

— Zademonstruję panu, jak działa heksapod — powiedział Fielding.

Naukowiec otworzył tytanową skorupę metalowego kraba, odsłaniając znajdującą się wewnątrz elektronikę. Umieścił cylinder z neuronami między elektrodami w środku obudowy i wszystko zamocował. Potem zaniósł urządzenie do komory w sąsiednim sterylnym pomieszczeniu. Stanowiła ona labirynt do przeprowadzania testów — ale nie zwyczajny, jednopoziomowy. Wypełniał całą komorę o wymiarach trzy metry i przebiegał przez piętnaście poziomów tuneli, rynien i spiral.

— Heksapod pokonał już raz dzisiaj ten labirynt. Niech pan patrzy. — Fielding wsunął robota w kształcie kraba w szczelinę u dołu, zamknął drzwi i użył Bluetooth, by go aktywować.

W rowku biegnącym po obwodzie skorupy heksapoda zabłyśły zielone światełka. Tytanowe odnóża wyprostowały się i zastukały o podłogę.

Gant pochylił się naprzód, niewzruszony.

— Dlaczego on nie...

Stwór ruszył nagle z impetem, balansując na sześciu nogach i nabierając prędkości jak srebrna torpeda. Pędził przez labirynt z bezbłędną precyzją, nie cofając się, by korygować pomyłki. Doskonale zapamiętał skomplikowaną trasę.

— Szacuję, że inteligencja neuronów tego nowego mózgu jest na poziomie przeciętnego psa — oznajmił z dumą Fielding.

Pół minuty później heksapod dotarł do wyjścia z labiryntu na górnym poziomie i stanął.

Robert Gant uśmiechnął się szeroko.

— Robi wrażenie.

Fielding odpowiedział mu uśmiechem, zachwycony rzadką pochwałą. Odryglował drzwi, ale nim zdążył je otworzyć, heksapod rzucił się na niego, wpijając mu w ramię ostre odnóże. Przez biały kombinezon zaczęła się sączyć krew.

— A to skur...! — krzyknął Fielding, wciskając Bluetooth, by odciąć robotowi zasilanie. Musiał jednak wrócić do stołu i oderwać każde odnóże od swego ramienia. — Agresywność tej najnowszej generacji robotów też sięga zenitu. — Krzywiąc się, opatrywał zakrwawione ramię. — Powiedziałbym, że skonstruowaliśmy odpowiednik układu limbicznego mózgu ssaka, inteligencję jaszczurki ukrytą pod korą i kierującą się podstawowym instynktem przetrwania.

— Jak na broń wojskową, nie jest to niepożądana cecha.

— Fakt.

— A skoro mowa o wojsku, obiecał pan test bojowy najnowszych heksapodów — przypomniał Fieldingowi Robert Gant. — Dlatego osobiście tu przyjechałem.

— Oczywiście. Mam tutaj monitor z przekazem na żywo z Łoży. Wszystko jest gotowe. Czeka ją na zielone światło.

Gant podszedł za Fieldingiem do pięćdziesięciodwucalowego monitora HD. Ekran był podzielony na kwadraty pokazujące różne ujęcia oddalonych o setki mil zalesionych wzgórz.

Na samym środku widniał niewielki betonowy bunkier, wyrastający z łąki jak gigantyczne mrowisko i zamknięty szczelnie metalowymi drzwiami.

— Jeśli jest pan gotów... — rzucił Fielding.

— Zaczynajcie — warknął Robert.

Naukowiec powiedział coś przez komórkę. Chwilę później metalowe drzwi otworzyły się na oścież i wypchnięto przez nie jakąś kobietę. Miała na sobie tylko szpitalną koszulę. Podźwignęła się na kolana, osłaniając oczy przed południowym słońcem. Robert zastanawiał się beznamytnie, kiedy ostatnio ta młoda kobieta widziała światło dnia.

Sądząc z tego, jak podskakiwała i oglądała się za siebie, ktoś musiał na nią krzyczeć.

— Mówią jej, że musi uciekać, jeśli chce żyć.

Robert Gant ściągnął brwi, nie akceptując takich sadystycznych metod. To był eksperyment i tak należało go traktować, a nie jako cholerną zabawę.

Kobieta zaczęła biec jak szalona w kierunku lasu.

— Tam! — Fielding wskazał na kilkanaście ścigających ją, poruszających się w trawie jak strzały stworów. Dwa z nich oddzieliły się od pozostałych, pędząc szybciej i mając zamiar okrążyć ofiarę. — Niech pan zobaczy, jak działają zespołowo. Zastosowałem nowy bezprzewodowy system komunikacji i stworzyłem łączność między heksapodami, umożliwiając im funkcjonowanie w grupie. Proszę spojrzeć, jak szybko się uczą.

Gant przyglądał się — przerażony i zafascynowany.

Kobieta dobiegła na skraj lasu, ale musiała usłyszeć drapieźców. Obejrzała się przez ramię i nogi ugięły się pod nią ze strachu. Upadła na kolana, otwierając usta w niemym krzyku.

Wtedy drapieźcy ją dopadli.

Nie trwało to długo.

Fielding obejmował ręką podbródek, obserwując eksperyment.

— Zmodyfikowane roboty bojowe działają zgodnie z projektem. Tarcze tnące, ostre krawędzie odnóży... wszystko funkcjonuje bez zarzutu. Może popracuję jeszcze nad sztyletami, żeby wchodziły głębiej.

— Widziałem już dosyć. — Robert wyprostował się i odszedł na bok.

Fielding podążył za nim.

— Za pańskim pozwoleniem, chciałbym kontynuować testy z większą grupą czworonożnych.

— Byłoby dobrze.

— Ale potrzebowałbym jeszcze paru osobników do eksperymentów — naciskał Fielding.

— Takich, którzy stanowiliby większe wyzwanie.

Robert przypomniał sobie zmasakrowane szczątki kobiety na ekranie.

— Z pewnością gdzieś ich znajdziemy.

CZĘŚĆ DRUGA  
**NIEBO I PIEKŁO**

2 lipca, godzina 11.56 czasu miejscowego  
Charleston, Karolina Południowa

Kapitan Kathryn Bryant przyjechała sprzedać swoje ciało.

Wysiadła z miejskiego autobusu w parnym letnim klimacie Charlestonu. Żużel z pobocza drogi zazgrzytał pod jej znoszonymi tenisówkami. Włożyła tanie przeciwsłoneczne okulary, które kupiła na lotnisku, ale na upał nie pomagały.

Trzydzieści trzy stopnie przy dziewięćdziesięcioprocentowej wilgotności powietrza.

A myślałam, że lato w Waszyngtonie jest nie do zniesienia.

Próbując bronić się przed upałem, związała długie kasztanowe włosy w kucyk i włożyła czapkę bejsbolówkę, żeby osłonić twarz. Miała na sobie lekkie szorty i luźną bluzę, bez stanika, co nadawało jej wygląd kobiety, której brak szczęścia i pieniędzy.

Autobus odjechał, wypuszczając z rury kłąb spalin. Ruszyła jego śladem.

Klinika Leczenia Bezpłodności w północnym Charlestonie znajdowała się dwie ulice dalej, zajmowała całą przecznicę i otaczał ją nieduży park z potężnymi dębami i niewysokimi palmami. W pozostałej części dzielnicy zlokalizowane były firmy handlowe i kempingi. Kathryn знаła tę okolicę, bo spędziła tam kilka miesięcy, gdy pełniła służbę w bazie wojskowej Naval Weapons Station nad rzeką Cooper, pięć kilometrów dalej.

Zmierzając w kierunku kliniki, wyjęła telefon komórkowy, by wywiązać się z obietnicy. Komórka, zarejestrowana na fałszywe nazwisko, była jednorazowego użytku. Kat uzyskała połączenie przez Sigmę, aby mieć pewność, że nikt jej nie podsłucha. Gdyby ktokolwiek próbował sprawdzać ten numer, okazałoby się, że dzwoniła do miejscowego lombardu.

W słuchawce rozległo się kliknięcie i szorstki głos.

— A więc jeszcze żyjesz?

Jej mąż, Monk, starał się, by zabrzmiało to żartobliwie, ale słyszała, jaki jest spięty. Nie był zachwycony, że podjęła się tego zadania, choć rozumiał, że było to konieczne.

— Na razie — odparła z uśmiechem. — Właśnie zmierzam do kliniki.

— Daj im popalić.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Taki mam plan.

Wyobraziła sobie Monka w ich mieszkaniu, jak hušta na kolanie jedno z dzieci. Większość kobiet uznałaby, że nie jest przystojny: miał ogoloną głowę i krępa, muskularną sylwetkę, ale rozbrajał ją nadal swoim uśmiechem i nigdy nie spotkała mężczyzny o większym sercu, które stawało się jeszcze większe, w miarę jak rozrastała się ich rodzina.

— Dałeś Harriet drugą butelkę? — spytała.

Usłyszała ciężkie westchnienie.

— Tak, kochanie. I byłem w Costco po pampersy. Możesz zbawiać świat. Ja sobie tu radzę.

Miała nadzieję, że dzwoniąc, uwolni męża od niepokoju, który krył się za żartobliwym tonem jego głosu, ale chyba tylko pogorszyła sprawę.

— Monk, jestem już niemal w klinice. Ucałuj ode mnie Penny i Harriet.

— Załatwione. A to, co mam dla ciebie, zachowam do twojego powrotu.

— Ach, mój dzielny książę... — odparła z udawanym sarkazmem. Bo tak naprawdę był jej księciem... i na zawsze nim pozostanie.

Jego głos stał się chropowaty.

— Wracaj szczęśliwie.

— Obiecuję.

— Trzymam cię za słowo.

Gdy skończyła rozmowę, świat wydawał jej się nieco mniej słoneczny. Wkładała komórkę do kieszeni z poczuciem winy.

Co ja tutaj robię? Powinnam być w domu.

Nie mogła jednak pozbyć się dreszczyku emocji, gdy dotarła na teren kliniki i skupiła uwagę na czekającym ją zadaniu. Tak było w przypadku każdej misji. Pełniła służbę i dobrze to robiła. A dzięki świadomości, że jej rodzina jest bezpieczna — i z Monkiem zawsze będzie — potrafiła zachować spokój. Był jej opoką, nawet gdy dzieliły ich setki kilometrów.

Podążyła ze wzmożoną determinacją wzdłuż wysokiego kamiennego muru kliniki i weszła przez bramę z kutego żelaza do otoczonego parkiem ogrodu. Równoległe do drogi wjazdowej biegła ścieżka wijąca się wśród przyszczyżonych żywopłotów, niewielkich pluskających fontann i pachnących grządek róż.

Ktoś nie szczędził środków, żeby uczynić klinikę ciepłym i przyjaznym miejscem, prawdziwym rajem, gdzie marzenia bezpłodnych par niezawodnie się spełniały. Nic dziwnego, że przyciągało ono celebrytów i klientów z całego świata — w tym córkę prezydenta.

Co więcej, klinika należała do filii przedsiębiorstwa rodziny Gantów, zajmującego się biotechnologią i inżynierią genetyczną. Założona na początku lat osiemdziesiątych, wykorzystywała w praktyce wyniki eksperymentów, oferując pacjentom najnowsze metody. Zatrudniała własnych naukowców i sprowadzała specjalistów od leczenia bezpłodności nawet z Japonii. Była wiodącą placówką w dziedzinie badań nad płodnością i komórkami macierzystymi.

W ciągu minionych osiemnastu godzin Kat przeprowadziła szczegółowe dochodzenie na temat kliniki — poczynając od informacji dotyczących personelu i klienteli aż po ostatnie zeznania podatkowe. Wiedziała o nich wszystko: skąd dostają pościel, ile wyrzucają dziennie niebezpiecznych odpadów. Im głębiej drążyła, tym większej nabierała pewności, że powodu porwania Amandy należy szukać w czterech budynkach kompleksu kliniki.

Źródłem takiego przekonania nie było żadne odkrycie, którego dokonała — lecz to, czego nie odkryła. Po dziesięciu latach pracy w wywiadzie nauczyła się wyczuwać, kiedy coś jest przed nią zatajane. Natrafiła na zbyt wiele bezsensownych ślepych zaułków, spraw, które nie układały jej się w głowie. Co najgorsze, natknęła się w pewnym momencie na hermetyczne korporacyjne zabezpieczenia, wykorzystujące wojskowe algorytmy szyfrowania. Nawet gdyby potrafiła złamać szyfr, bała się ryzykować. Mogłoby to spowodować alarm, ostrzegając władze kliniki, że ktoś węszy u ich drzwi.

Wybrała więc bardziej bezpośrednie podejście.

Na piechotę.

Znalazszy się na parkingu, spostrzegła samochód z wypożyczalni, srebrne audi A6 sedan. Lisa Cummings wyprzedziła ją, ale ona nie musiała jechać z lotniska dwoma autobusami, by dotrzeć do kliniki. Dotarły tu osobno, każda ze swoją misją.



Kat weszła po schodach na szeroki ganek przed głównym budynkiem. Nie wyglądał na siedzibę szpitala. Miał fasadę typową dla architektury Charlestonu: była to kamienna georgiańska budowla z balustradami z kutego żelaza, trzema kondygnacjami balkonów i mansardowym dachem pokrytym omszałymi łupkami.

Weszła przez próg do klimatyzowanego głównego holu, czując orzeźwienie po podróży w rozgrzanym autobusie i krótkim spacerze. Stanowisko recepcyjne czekało. Podeszła do niego, dostrzegając kątem oka, że Lisa siedzi w poczekalni, wyposażonej — jak należało się spodziewać — w eleganckie meble, obite aksamitem i wyściełane poduszkami.

Lisa, w wytwornej, przewiązanej w pasie jasnoszarej sukniencie pasowała do tego wnętrza. Jej rozpuszczone jasne włosy lśniły w delikatnym świetle. Makijaż miała bez zarzutu. Udawała lekarzkę bogatej klienteli z Waszyngtonu, zainteresowaną możliwościami skierowania do kliniki swoich pacjentek. Miała się spotkać za kilka minut z szefem placówki.

Lisa prowadziła swoje dochodzenie od góry do dołu.

Kat na odwrót.

— W czym mogę pomóc? — spytała recepcjonistka. Była drobną kobietą o dużych oczach, powiększonych jeszcze ostrym cieniem do powiek.

Kat przysunęła się do kontuaru, przywierając do niego i pochylając się naprzód, jakby nie chciała, by ktoś podsłuchał ich rozmowę.

— Słyszałam... ktoś mi powiedział... że poszukujecie dawców.

Recepcjonistka uniosła z irytacją brew.

Kat przysunęła się jeszcze bliżej, oglądając się ukradkiem przez ramię i wstydliwie się rumieniąc.

— No wie pani. Potrzebujecie kobiecych jajeczek. Podobno dobrze za nie płacicie.

Recepcjonistka wyprostowała się na krześle, zniżając głos do nieco protekcjonalnego szeptu, w którym pobrzmiwał jej karoliński akcent.

— Skarbie, to się załatwia gdzie indziej. Tu są przyjęcia pacjentów. Jeśli staniesz tam... — machnęła wypielęgowaną dłonią w kierunku narożnika poczekalni — podeślę któregoś z sanitariuszy, żeby zaprowadził cię do stanowiska dla dawców, zgoda?

— Dziękuję. — Kat skinęła głową i oddaliła się chyłkiem.

Kobieta mruknęła coś pod nosem i podniosła słuchawkę telefonu.

Gdy Kat usunęła się w kąt, napotkała wzrok Lisy. W tym momencie dzieliła je kulturowa i materialna przepaść. Lisa reprezentowała finalnego nabywcę. Kat uosabiała sprzedawany produkt. Trwała wciąż ożywiona dyskusja na temat etycznych i moralnych aspektów handlu kobiecymi jajeczkami. Gdy zaczęły mieć na rynku określoną cenę, stały się towarem podlegającym prawom popytu i podaży — i wynikającym stąd nadużyciom.

W wielu krajach Trzeciego Świata całe wioski sprzedawały teraz nerki albo kobiety stawały się masowo zastępczymi matkami, wynajmując za pieniądze swoje łona. Nazywano to „czerwonym rynkiem”. Sprzedawano i kupowano hurtowo części ciała — i był to kwitnący interes, zarówno legalny, jak i nielegalny. Kat czytała raport o zabójcach w Boliwii, którzy wyszukiwali ofiary, by sprzedawać ich tłuszcz europejskim firmom zaopatrującym salony piękności. W chińskich więzieniach wycinano narządy zmarłym więźniom, a chodziły pogłoski, że niektórych celowo uśmiercano dla zysku. A w Nepalu odnotowano przypadek właściciela farmy, który przerzucił się z produkcji mleka na sprzedawanie krwi. Porywał turystów, więził ich w stodole jako swój nowy żywy inwentarz i regularnie pobierał od tych ludzi krew, utrzymując ich stale na granicy śmierci.

Co najgorsze, dostawy szły zawsze tylko w jednym kierunku: od biednych do bogatych. Był to niefortunny skutek uboczny faktu, że narządom przypięto metki z cenami. Nieuchronnie dostarczano je wyłącznie w górę społecznej drabiny, nigdy nie w dół.

Uwagę Kat przyciągnął jakiś ruch. Otworzyły się mahoniowe drzwi i do poczekalni wszedł wysoki mężczyzna po czterdziestce, o kruczoczarnych włosach i surowym wyglądzie. Miał na sobie sięgający kolan biały fartuch laboratoryjny, a pod nim kosztowne granatowe spodnie, świeżo wyprasowaną białą koszulę i szkarłatny krawat. Uśmiechnął się szeroko, gdy podchodził do Lisy, która wstała, by go przywitać.

— Witamy w NCFC — powiedział, ściskając jej dłoń.

Był to doktor Paul Cranston, dyrektor kliniki. Kat wiedziała o nim wszystko, знаła nawet numer jego ubezpieczenia i potrafiła powiedzieć, gdzie wbito mu ostatnio pieczętkę do paszportu: w Nowej Zelandii.

Wyprowadził Lisę z poczekalni w głąb swego sanktuarium. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, otworzyły się kolejne, obok recepcji. W progu stanął mężczyzna, zapewne sanitariusz. Wyglądał jak pitbull w szpitalnym fartuchu. Recepcjonistka ruchem głowy wskazała Kat.

— Proszę za mną — mruknął mężczyzna, nie pytając jej o nazwisko.

Pospieszyła za nim, ale przystanąła jeszcze przy recepcji, by wziąć wizytówkę kliniki. Grzebiąc w pudełku, celowo je przewróciła, rozsypując zawartość na blat.

— Och, przepraszam! — powiedziała, sięgając przez kontuar, by pomóc zebrać rozrzucone kartoniki.

Recepcjonistka westchnęła ciężko i podniosła kilka wizytówek z podłogi obok swego krzesła. Kat wykorzystała ten moment, by wsunąć do jej kubka długopis, który miała ukryty w dłoni. Zawierał miniaturową kamerę z mikrokartą pamięci. Niewielka antena umożliwiała przekaz nagranych materiału poprzez połączenie z telefonem komórkowym.

Miała w torebce jeszcze cztery takie długopisy i zamierzała umieścić je strategicznie w kluczowych punktach na terenie kliniki — albo przynajmniej w miejscach, do których zdoła dotrzeć, nie wzbudzając podejrzeń. Jeśli nadarzy się okazja, zdeorientowanej dziewczynie łatwo będzie się zgubić i znaleźć się tam, gdzie nie powinna być.

Ale najpierw musiała odegrać swoją rolę.

— Idź już — powiedziała recepcjonistka, wskazując boczne drzwi.

Kat przeprosiła cicho i poszła za sanitariuszem. Wyprowadził ją ze świata ogrodów i aksamitów do sterylnych pomieszczeń z winylowymi podłogami i nieskazitelnie białymi ścianami. Za efektowną fasadą kliniki kryło się jej zwyczajne utylitarne wnętrze.

Dotarli w końcu do krótkiego zadaszzonego pasażu, który łączył główny budynek z szarym gmachem na tyłach kompleksu. Kat zauważyła po drodze, że wszystkie cztery skrzydła kliniki są połączone ze sobą w taki sposób. Nikt nie musiał wychodzić z klimatyzowanych pomieszczeń na upał. Dostrzegła również szklane ściany pasażu. Szkło było grube i wyglądało na kuloodporne.

Ale klientelę kliniki stanowili często celebryci albo zagraniczni dygnitarze. Może dodatkowa ochrona była konieczna.

Przeniknął ją jednak dreszcz, i to wcale nie z powodu klimatyzacji. Czuła się w tym miejscu jak w więzieniu.

Weszli do następnego budynku i Kat została wprowadzona do niewielkiego gabinetu, jednego z wielu w tym skrzydle. Sanitariusz wręczył jej plik formularzy wpiętych w podkładkę z klipsem.

— Proszę to wszystko wypełnić. Za parę minut ktoś przyjdzie z panią porozmawiać.

Wyszedł, wyglądając na równie znudzonego jak wtedy, gdy ją odbierał.

Gdy zaczęła wypełniać formularze, usłyszała ciche kliknięcie drzwi. Podeszedłszy do nich, nacisnęła klamkę.

Były zamknięte.

Uniosła brwi, opanowując panikę. Może przepisy wymagały zamykania drzwi dla zachowania dyskrecji. Tak czy inaczej, nie miała już wyjścia. Musiała grać swoją rolę, choć to miejsce zdecydowanie jej się nie podobało.

Miała nadzieję, że Lisa radzi sobie lepiej.

Godzina 12.18

— Jak pani widzi, całą pracę wykonujemy na miejscu — oznajmił doktor Paul Cranston, stając przed szybą, za którą widać było sterylne laboratorium do zapłodnienia *in vitro*.

Lisa przyglądała się temu miejscu krytycznym okiem. Supernowoczesne, zamknięte stanowiska laboratoryjne były wyposażone w laserowe skanery do badania oocytów i mikromanipulatory Narishige do zapładniania jajeczek. Wszystko najwyższej jakości, od aparatów Maklera do liczenia komórek po automatyczne analizatory spermy, zaawansowane regulatory temperatury i komory kriogeniczne.

Cranston zdążył jej już pokazać salę operacyjną, w której pobierano jajeczka i wszczepiano embriony. Nowoczesny blok chirurgiczny zawstydziłby większość szpitali. Nawet sąsiednie sale pooperacyjne były prywatnymi apartamentami, których zdjęcia mogłyby zdobić strony magazynu „Architectural Digest”, gdyż wyposażono je w stylową pościel, subtelne oświetlenie i gustowne dekoracje.

Najwyraźniej ta wycieczka miała zrobić na niej wrażenie.

I tak się stało.

— Jesteśmy jak supermarket — dokończył Cranston z promiennym uśmiechem. — Oferujemy komplet usług, od pobrania spermy i jajeczek po zapłodnienie i implantację. Sami monitorujemy pacjentki, ale oczywiście chętnie współpracujemy z lekarzami pierwszego kontaktu.

Lisa skinęła głową.

— Z pewnością niektóre z moich klientek wolałyby anonimową opiekę poza kręgami Waszyngtonu.

— Rozumiem.

Mierzył ją wzrokiem trochę zbyt długo. Najwyraźniej chciał wiedzieć, kogo reprezentuje, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien pytać o to wprost. Występując incognito, Lisa zamierzała wzbudzić zainteresowanie dyrektora kliniki i najwyraźniej jej się to udało. Oprowadził ją po całym obiekcie i przedstawił pełną ofertę świadczeń.

— Może wrócimy do mojego biura? Dam pani broszury ze szczegółowym opisem kolejnych etapów naszych usług i statystykami osiągnięć. I, oczywiście, chętnie odpowiem na wszelkie pytania.

— Byłoby doskonale. — Spojrzała na zegarek, dając mu do zrozumienia, żeby się pośpieszył. — Nie zabiorę panu już dużo czasu.

Jego biuro znajdowało się piętro wyżej. Przypominało bibliotekę z mahoniowymi regałami, trofeami i oprawionymi w ramki dyplomami, wśród których był jeden z Harvardu, *alma mater* doktora Cranstona. Podobnie jak reszta kliniki, ten pokój również miał robić wrażenie. Wielkie łukowe okna wychodziły na park i pozostałe trzy budynki kompleksu.

Cranston obszedł biurko, gdzie leżał już na skórzanej podkładce przygotowany dla niej skoroszyt. Chciał go jej podać, ale spoglądając w okno, nie dostrzegła tego, chociaż uważnie go obserwowała. Oprócz dyplomu lekarza miała także specjalizację z fizjologii. Znała się na reakcjach organizmu i potrafiła je odczytywać równie precyzyjnie jak większość wykrywaczy kłamstw. Co więcej, wiedziała również, jak nimi manipulować, by osiągnąć pożądany efekt.

Teraz musiała zabrać się do pracy.

— Co dzieje się w tych pozostałych budynkach? — spytała.

Opuścił skoroszyt i podążył za jej wzrokiem.

— W skrzydle obok przyjmuje się dawców i pobiera od nich materiał.

Lisa wpatrywała się w trzykondygnacyjny budynek.

Tam musi być Kat.

— W pozostałych dwóch budynkach prowadzi się wyłącznie badania — powiedział. — Dokonujemy eksperymentów w dziedzinie reprodukcji dla kilkunastu różnych uniwersytetów, nawet z tak odległych miejsc jak Tokio i Oksford.

Odwróciła się plecami do okna.

— Zakładam, że żadne próbki biologiczne, jajeczka pobrane od moich pacjentek ani zarodki nie będą wykorzystywane do takich badań bez ich zgody.

— Oczywiście, że nie. Mamy wystarczająco wiele dawczyń, które dostarczają potrzebnego materiału. Mogę panią zapewnić, doktor Cummings, że nasze programy badawcze i usługi dla pacjentów funkcjonują zupełnie niezależnie. Nie mają ze sobą nic wspólnego.

— Doskonale. — Lisa wróciła na fotel naprzeciwko szerokiego biurka i usiadła wygodnie, biorąc na kolana torebkę. — Będę z panem szczerą, doktorze Cranston.

— Proszę mówić do mnie Paul.

Uśmiechnęła się, przystając na to.

— Paul, muszę uczciwie powiedzieć, że rozważałam także inne placówki. Ostatecznie pozostał mi wybór między waszą i kliniką w pobliżu Filadelfii.

— Oczywiście.

Był opanowany, ale nie dawała się zwieść pozorom. Odbić klienta konkurencji to coś więcej niż zwyczajnie go zdobyć. Cranston chwycił przynętę.

— Zapewniam — kontynuował — że nie znajdzie pani innej placówki o tak wysokim poziomie technologicznego zaawansowania, nowocześniejszym sprzęcie i bardziej profesjonalnym personelu, który nadzoruje każdy etap zabiegu.

Najwyraźniej chciał pozyskać jej bogatych klientów. Ale jak bardzo?

Na początek musiała poluzować linkę, by wytrącić go z równowagi.

— Rozumiem to i doceniam, Paul, ale Filadelfia jest o wiele bliżej Waszyngtonu. Muszę brać to pod uwagę. Czas moich klientów jest bardzo cenny.

Cranston wydawał się przybity.

— Nie mogę temu zaprzeczyć.

Teraz należało dać mu nadzieję.

— Tyle że wasza klinika ma jedną istotną zaletę. Obok doskonałej reputacji medycznej cieszy się również niezrównaną opinią społecznościową, znakomitym rodowodem, że się tak wyrażę.

— To znaczy?

— Mam na myśli Amandę Gant-Bennett.

Na wzmiankę o Amandzie zwięzły mu się źrenice.

— Kilka moich pacjentek jest blisko z rodziną prezydenta — kontynuowała Lisa. — Znają delikatną sytuację jego córki i wiedzą, jak zajęłicie się nią w waszej klinice. W sumie Waszyngton to małe miasto. — Uśmiechnęła się lekko.

Odwzajemnił jej uśmiech — tak jak chciała.

— Jedna z moich pacjentek ma podobny problem — ciągnęła. — Bezpłodnego męża. Prosiła, żebym dopytała się o szczegóły dotyczące programu dawców. Mówiąc otwarcie, moja pacjentka stwierdziła dosłownie: „Skoro coś jest dobre dla córki prezydenta, będzie dobre i dla mnie.” — Przewracając oczami, udała pełne pogardy rozbawienie. — W pewnych kręgach Waszyngtonu, gdy chodzi o nową torebkę czy najmodniejsze ciuchy, liczy się tylko marka. Odnosi się to nawet do wyboru szpitala, a w tym przypadku dawcy.

Cranston przytaknął ze zrozumieniem, splatając dłonie pod brodą.

— Nie możemy, oczywiście, ujawnić, kto był dawcą w tym przypadku. Ale mogę pani zagwarantować, że każdy z naszych dawców musi przejść szczegółowe i rygorystyczne badania. Określamy różne parametry: wygląd fizyczny, współczynnik inteligencji, przebyte choroby, pochodzenie etniczne i wiele innych.

— A gdyby ktoś chciał wybrać dawcę o, powiedzmy, takich samych parametrach jak w przypadku córki prezydenta?

Jego uśmiech złagodniał, gdy znalazł sposób, jak z nią wygrać. Taka już jest ludzka natura: gdy tracimy nagle coś, co mieliśmy w zasięgu ręki, jeszcze bardziej pragniemy to odzyskać. Dlatego hazard tak wciąga.

— Z pewnością da się to załatwić — odparł. — Nie chcielibyśmy pani stracić.

Nie wątpię, pomyślała.

— Wspaniale. — Wynagrodziła go szczerym uśmiechem zadowolenia. — A czy dostanę listę i opis dawców, coś konkretnego, co mogłabym pokazać mojej klientce? Jak to mówią, wszystko wychodzi w praniu.

Cranston odwrócił się do swego komputera.

— Oczywiście. Proszę dać mi parę minut...

Rozsiadła się wygodnie w fotelu. Painter chciał mieć skróconą listę dawców, żeby móc zredukować liczbę potencjalnych biologicznych ojców nienarodzonego dziecka Amandy. Ale także po to, by zdobyć ich prawdziwe nazwiska.

To wymagało dostępu do archiwów kliniki.

Gdy Cranston pracował przy komputerze, Lisa otworzyła torebkę i udawała, że sprawdza komórkę. Zgodnie z instrukcjami Paintera wcisnęła jeden z klawiszy i pod osłoną torebki wsunęła cienki aparat między poduszki fotela. Telefon miał wmontowany bezprzewodowy mikrorouter, umożliwiający Sigmie podłączenie się i włamanie do serwera kliniki. Painter próbował wytłumaczyć to Lisie bardziej szczegółowo, ale elektronika nie była jej specjalnością. Wiedziała tylko, że musi zastosować się do jego poleceń: zaczekać, aż Cranston zaloguje się do komputera i użyje hasła, i wtedy aktywować router i pozostawić go w pobliżu.

Zamknęła torebkę na zatrask.

Jej zadanie zostało wykonane.

Poszło trochę zbyt łatwo, ale podobno tak miało być.

Painter określił jej misję jako „miękką” infiltrację. W przeciwieństwie do frontalnego szturmowania bram. Kat i Lisa miały jedynie „rozsytać elektroniczne okruszki”: pozostawić urządzenia podsłuchowe, kamery, pluskwy bezprzewodowe. Painter skonstruował większość tego sprzętu tak, by łatwo go było schować i jak najtrudniej znaleźć.

Ale mając dość czasu, wszystko można wykryć, ostrzegł.  
Druga część misji polegała więc na tym, by szybko zniknąć.  
Starła się o tym pamiętać.

Wkrótce miała wszystko, czego potrzebowała od doktora Cranstona, łącznie ze skoroszytem broszur i informacjami. Odprowadził ją do lobby i zostawił tam, obiecując, że będą w kontakcie. Po chwili znalazła się znów w palących promieniach słońca.

Wsiadła do sedana, luksusowego audi z wypożyczalni, które pasowało do jej roli. Choć wypełniła swoje zadanie, była nadal spięta. Kat miała się z nią spotkać w hotelu na przedmieściach Charlestonu. Lisa wiedziała, że odetchnie z ulgą dopiero wtedy, gdy się zobaczą. Od tej pory elektroniczne urządzenia będą mogły wykonywać za nie całą szpiegowską robotę.

Wyjechała sedanem z parkingu na ulicę, wciąż martwiąc się o Kat i mając poczucie winy, że opuściła swoją partnerkę.

Pocieszała się tylko tym, że Kat jest profesjonalistką.

Nic nie zbijało jej z tropu.

Godzina 13.14

Co się tu dzieje, do cholery?

Przechadzając się po niewielkim gabinecie, Kat spojrzała na zegar w komórce. Minęła ponad godzina, odkąd weszła przez główne drzwi do kliniki. Powinna była już dawno stąd wyjść. Wypełniła stertę papierów i wręczyła je temu samemu sanitariuszowi, który wprowadził ją do tego pokoju i zamknął.

Powiedział, żeby czekała, gdyż proces wstępnej akceptacji może trochę potrwać. I że nie chodzi tylko o formularze.

— Lekarz przyjdzie za kilka minut zrobić badanie ginekologiczne i ultrasonografię. Dostanie pani teraz drobną sumę za pobranie krwi i próbki moczu. W ciągu pięciu dni roboczych poinformujemy panią telefonicznie, czy będzie pani dawczynią.

Oznajmił jej to wszystko znudzonym tonem, jakby powtarzał te słowa po sto razy dziennie. Może tak było. Z długiego korytarza słyszała przez ściany odgłosy wchodzących i wychodzących kobiet i mężczyzn, otwieranych i zamykanych drzwi.

Miała wcześniej nadzieję, że uda jej się rozejrzeć po ośrodku dla dawców, umieścić tam jeszcze jeden długopis z miniaturową kamerą, może nawet spróbować dotrzeć do dwóch pozostałych budynków. Nie wydawało się to prawdopodobne, jeśli nie okaże się odważniejsza.

Podeszła do zamkniętych na klucz drzwi. Miała w podeszwie prawego buta wytrych, a w lewym składany szczyryk. Ale gdyby ją później złapano, ucieczkę z zamkniętego pokoju trudno byłoby wyjaśnić. Istniał prostszy sposób.

Zastukała głośno i zawołała płaczliwym tonem:

— Halo! Muszę iść do łazienki! Czy ktoś może mi pomóc?!

Wkrótce drzwi się otworzyły.

Spodziewała się zobaczyć tego samego sanitariusza co przedtem, tym razem jednak była to ubrana na biało lekarka, smukła kobieta o szarych oczach. Sanitariusz czał się za nią, trzymając tackę ze stojakiem na próbówki do pobierania krwi i zestawem strzykawkę.

Kat ogarnął niepokój: jedna ze strzykawkę była pełna.

Zanim zdążyła zareagować, lekarka zrobiła krok naprzód i przytknęła jej do brzucha czarną pałkę. W niewielkiej przestrzeni rozległ się głośny trzask ładunku elektrycznego. Kat poczuła wstrząs i skurcze mięśni brzucha. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i przechyliła się na bok,

niemal upadając.

Przewidując to, lekarka przytrzymała ją i położyła na podłodze. Sanitariusz zamknął drzwi i podszedł do niej z drugiej strony ze strzykawką w ręce. Mimo porażenia prądem Kat czuła ukłucie igły w szyję.

Oczy zaszyły jej natychmiast mgłą.

Próbowała z tym walczyć, zastanawiając się, czym mogła się zdradzić. Tak skrupulatnie przygotowała się do roli niezaradnej dziewczyny będącej przejazdem w mieście, pozbawionej rodziny i przyjaciół. Niczego nie mogli łatwo sprawdzić ani powiązać z jej osobą.

Niestety, to właśnie ją zgubiło.

— Jest w lepszym stanie niż większość z nich — powiedziała lekarka do sanitariusza, oglądając Kat, jakby była cennym okazem świni na targowisku. — To niezwykle. Dotknij tych mięśni. Nie widzę żadnych sińców po zastrzykach na ramieniu ani oznak chronicznego używania narkotyków. Jesteś pewien, że spełnia wymogi?

— Wszystko sprawdzone, doktor Marshall. Dopiero tu przyjechała. Nie ma pracy ani rodziny. W ciągu ostatniego roku przeprowadzała się trzy razy. Gainesville, Atlanta, teraz Charleston. Nikt nie będzie jej szukał.

Świat Kat zamykał się wokół niej.

Słyszała ich rozmowę, zapadając się w nicość.

— Doskonale się składa. Dostałam niedawno wiadomość z Łoży. Potrzebują kolejnych osobników do badań.

Kat czuła, jak muskularny sanitariusz podnosi ją z podłogi.

— Łoża? — spytał. — Wie pani, co oni tam robią?

— Uwierz mi, że nie chciałbyś tego wiedzieć.

Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie  
2 lipca, godzina 22.20 czasu miejscowego

Gray stał przed oknem w hotelu i wpatrywał się w olśniewającą nocną panoramę Dubaju, szmaragdową oazę, osadzoną między pustynią i błękitnym morzem. Wieże i sięgające pod niebo iglice płonęły światłami, wyrastając ze współczesnej mekki ogromnych centrów handlowych, hoteli i modnych kompleksów mieszkalnych, połączonych wstążkami pulsujących kolorowych neonów. Bardziej niż miasto przypominało to świecącą płytkę obwodu drukowanego, naładowaną elektrycznością całego regionu.

Wydawało się niemożliwe, że pięć godzin wcześniej był w kraju wyniszczonym przez wojnę, głód i suszę, gdzie sprawowali władzę bardziej piraci niż jakikolwiek rząd.

Teraz spoglądał z góry na cud.

Zbudowany w zawrotnym tempie Dubaj wyrósł jak miraż na pustyni. Jego koronnym klejnotem był Burdż Chalifa, ponaddwustupiętrowy, najwyższy wieżowiec na świecie, wyglądający jak spiczasta góra wyłaniająca się z morza. Architekci z całego świata rywalizowali wciąż w tworzeniu najbardziej oszałamiających projektów, które łączył najwyraźniej jeden motyw: wyzwanie rzucone przyrodzie i jej żywiołom. W tym mieście można było opalać się na plaży, a godzinę później szusować na desce snowboardowej po zboczach najdłuższych na świecie zadaszonych tras zjazdowych. A jeśli ktoś chciał mieć to, co najlepsze w obu tych światach, nowo otwarty hotel Palazzo Versace posiadał własną klimatyzowaną plażę, gdzie turyści mogli korzystać z kąpieli słonecznych w przyjemnym chłodzie.

Nie plaże jednak były najwspanialszym z projektów rzucających wyzwanie naturze, lecz słynne sztuczne wyspy Dubaju. Ich hotel znajdował się w sąsiedztwie Palmy Dżamira, sztucznego archipelagu w kształcie palmy, tak dużego, że widoczny był z kosmosu. Pień, wyrastający z lądu, wieńczy szesnaście liści otoczonych falochronem w kształcie półksiężyca. Kolejne dwie takie wyspy budowano wzdłuż wybrzeża, zwiększając dziesięciokrotnie długość plaż Dubaju.

Gray słyszał także o innych projektach realizowanych w tym mieście. Należały do nich: podwodny hotel Hydropolis o powierzchni ponad dziesięciu hektarów; zaprojektowany przez Niemców pływający pałac, budowany w całości z lodu i nazwany fantazyjnie Błękitnym Kryształem; a bardziej w głębi morza ukończona już częściowo, mająca kształt rozgwiazdy i osłonięta przez falochron wyspa Utopia, położona na uboczu i dzięki temu mogąca służyć zarówno jako centrum turystyczne, jak i enklawa dla korporacji.

Tutaj, w Dubaju, natura nie miała kontroli nad wyszukanymi marzeniami człowieka.

— Powinieneś wziąć prysznic, Pierce — rzucił Kowalski, wychodząc z łazienki z ręcznikiem przewiązany na biodrach. — Strumienie wody uderzają we wszystkie właściwe miejsca... I w parę niewłaściwych.

Wyglądało na to, że marzenia niektórych ludzi nie są tak wyszukane jak innych.

Gray odwrócił się od okna. Z powodu poparzonych i obolałych pleców nie miał ochoty na



prysznic.

Może długa kąpiel?

Ich ekipa zajmowała apartament z dwiema sypialniami. Kowalski i Gray zakwaterowali się w jednej z nich, Seichan — w drugiej. Tucker i Kain zaanektowali kanapę w salonie, wyposażonym w stół bilardowy, barek i telewizor z płaskim ekranem. Gray słyszał program BBC.

— Zobaczą, czy Tucker chce stracić parę dolców w grze w bilard — oznajmił Kowalski i skierował się do drzwi, wciągając szlafrok i zrzucając mokry ręcznik na podłogę.

Komandor ruszył w stronę łazienki.

Niewiele mieli do roboty poza czekaniem na raport z centrali Sigmy.

Painter gromadził informacje na temat lotów do i z Somalii, analizując wszystkie trasy, którymi Amanda i jej porywacze mogli dotrzeć do Dubaju. Sprawdzał również listy pasażerów i przeglądał dokumenty odprawy granicznej, szukając szczególnie osób podobnych do Amandy, na wypadek gdyby ktoś próbował przemycić ją przez granicę z fałszywym paszportem. Miał też ekipę przeglądającą nagrania kamer z międzynarodowego lotniska w Dubaju.

Gray nie liczył na zbyt wiele. Jego zespół spędził już godzinę na lotnisku, przeczesując wszystkie wyjścia i strefy bagażowe w nadziei, że Kain wywęszy zapach Amandy.

Nic to nie dało.

Może nigdy tu nie dotarła? Albo przyleciała i odleciała?

Ale on w to nie wierzył — i nie potrafił powiedzieć dlaczego. Było to coś więcej niż przeczucie — coś z pogranicza świadomości, coś, czego nie umiał sprecyzować.

W łazience odkręcił kran nad wanną, sprawdził temperaturę wody i gdy uznał, że jest właściwa, zaczął ściągać powoli koszulę. Fragmenty tkaniny przywierały mu do ramion, przyklejone do spalonej skóry. Szarpnął z jękiem koszulę, zdjął resztę ubrania i wszedł do wanny.

Z rozkoszą zanurzył się w wodzie.

Zostawił odkręcony kran, żeby wanna cała się napełniła. Pochylił się, obejmując kolana i napinając ostrożnie zeszywniałą skórę na ramionach.

— Dobry Boże, Gray... Twoje plecy wyglądają okropnie!

Obrócił się, spoglądając w otwarte drzwi, gdzie stała Seichan, wcale niezawstydzona jego nagością. Był zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Bywali już razem w różnych sytuacjach. Co znaczył widok nagiej skóry?

Zakręcił kurek.

— Nic mi nie jest. O co chodzi?

— Mylisz się. Dlaczego nie powiedziałeś nikomu, że jesteś aż tak poparzony? Idę po apteczkę. Masz. — Podeszła bliżej i podała mu telefon satelitarny. — Dzwonią z Sigmy.

Wziął do ręki aparat.

— Panie dyrektorze?

— Gray, chciałem tylko, korzystając z wolnej chwili, przekazać ci najnowsze informacje.

Usiadł wyprostowany w wannie.

— Są jakieś tropy?

— Niestety, nie. Przejrzeliśmy wszystkie kartoteki i nagrania z lotniska w Dubaju. Nie znalazłem żadnego dowodu, że Amanda kiedykolwiek tam była. Będę nadal obserwował lotnisko i sprawdzał listy przylotów, ale rozszerzyłem też poszukiwania na wyloty z miasta. Musimy liczyć się z tym, że już ją stamtąd zabrano.

— W takim przypadku możemy nigdy jej nie znaleźć. — W każdym razie żywej, dodał w myślach komandor.

— Będę nadal szukał — zapewnił Painter. — Ale na razie zostajecie na miejscu. Nawet jeśli jej tam nie ma, może być blisko, więc chcę, żebyście byli w pogotowiu.

— Zrozumiałem.

Gray zakończył rozmowę w chwili, gdy wróciła Seichan. Wzięła telefon, odłożyła go na bok i postukała ręką w brzeg wanny.

— Tutaj. Plecami do mnie.

Otworzyła wojskową apteczkę i wyjęła tubkę maści na oparzenia oraz gazę opatrunkową.

— Nie musisz...

— Mogę poprosić Kowalskiego. Ale sądzę, że żadnemu z was się to nie spodoba.

Westchnął ciężko, podźwignął się z wody i przysiadł na skraju wanny. Osuszyła mu delikatnie skórę. Kątem oka dostrzegł jej odbicie w lustrze. Roztarła maść na dłoniach i przytknęła mu je do rozgrzanych pleców.

Poczuł, jak kojący balsam przenika z jej palców w głąb ciała. Z ust wyrwał mu się cichy jęk.

— Sprawiam ci ból?

— Nie — odparł zdławionym głosem.

Masowała mu całe plecy, przynosząc ogromną ulgę. Przeciągnął się, rozluźniając jeszcze bardziej ramiona. Oddychał coraz głębiej. Zamykały mu się powieki.

Seichan milczała. Słyszał tylko jej oddech. Muskała palcami jego skórę, od pasa do karku i z powrotem wzdłuż kręgosłupa. Poddawał się jej dotykowi — nie tylko dlatego, że balsam go orzeźwiał. Tak naprawdę czuł znów na skórze ciepło, lecz nie z powodu oparzeń. Rozgorzał w nim ogień. Jego zmysły reagowały i nie starał się tego ukrywać, zresztą nie potrafił.

— Gray...

Słyszał w jej głosie, że pragnie tego co on.

Sięgnął do tyłu i ujął jej rękę. Trzymał ją przez chwilę, niezdecydowany, czy przyciągnąć Seichan do siebie, czy ją odepchnąć, zawieszony między niebem a piekłem. Jej palce, miękkie i jedwabiste, drżały w jego dłoni jak ptak trzepoczący skrzydłami, aby się uwolnić.

Ale nie tym razem.

Zacisnął rękę na jej dłoni, podejmując wreszcie decyzję.

Wybrał niebo.

Gdy odwrócił się do niej twarzą i poczuł na ustach muśnięcia jej warg, doznał nagle olśnienia i zastygł w bezruchu.

— Gray? Co się stało?

Odchylił głowę, otwierając oczy coraz szerzej, w miarę jak nabierał pewności.

— Wiem, gdzie jest Amanda.

Godzina 23.32

— Powinna pani chodzić — oznajmił doktor Blake, podtrzymując ją za łokieć. — Dzięki temu płód lepiej się ułoży.

Amanda wlokła się sterylnym białym korytarzem. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani jaka to pora dnia. Przed czterema godzinami obudziła się w szpitalnej sali bez okien. Zrobiono jej kolejną ultrasonografię i usunięto z jej ciała gąbczasty przedmiot.

— Założyliśmy pani pod narkozą syntetyczny osmotyczny rozwieracz, żeby delikatnie

otworzyć szyjkę macicy — wyjaśnił Blake. — To stara metoda, ale nadal skuteczna w przygotowaniach do porodu.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że starają się na niej wymusić urodzenie dziecka przed terminem. Protestowała, ale bezskutecznie. Zapewniali ją protekcjonalnie, że wszystko jest w najlepszym porządku i ani ona, ani dziecko nie są narażeni na większe ryzyko.

Wcale jej to nie uspokoiło. Pamiętała, co podsłuchiwała podczas lotu: że zamierzają pokroić jej dziecko jak jakieś laboratoryjne zwierzę. Musiała znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać.

Szła powoli, podtrzymując jedną ręką brzuch, jakby chciała, by dziecko pozostało tam, gdzie jest bezpieczne, by jej ciało się nie poddało. Ale dziesięć minut temu wprowadzono jej do pochwy żel z prostaglandyną, co było pierwszym krokiem do wywołania wcześniejszego porodu.

Nie oddam im mojego dziecka.

Zobaczyła przed sobą po jednej stronie korytarza jasno oświetlone szerokie okno. Pospieszyła tam, uwalniając się z uścisku Blake'a.

Może jest stąd jakieś wyjście. Albo dowiem się chociaż, gdzie jestem.

Świtała jej także myśl, by rzucić się z wysokiego piętra i raczej umrzeć, niż pozwolić, by męczyli jej dziecko.

Gdy dotarła do okna, cofnęła się z przerażenia. Za szybą znajdowało się sterylne laboratorium, oświetlone nie promieniami słońca, lecz zimnym światłem lamp halogenowych. Przypomniała sobie podobne miejsce w Charlestonie, gdzie przeprowadzono zabieg zapłodnienia in vitro. To laboratorium też było wyposażone w liczne stanowiska pracy i mikroskopy. Wszędzie widziała lśniąca nierdzewną stal i gładkie powierzchnie.

Ale na widok jednego z projektów badawczych ugięły się pod nią kolana. Stanęła nagle twarzą w twarz — dosłownie — z odciętą ludzką głową przytwierdzoną do stojaka wysokości człowieka. Trzydzieści centymetrów niżej wisiało na sieci plastikowych rurek ludzkie serce z przymocowanym u góry rozrusznikiem, który wyglądał jak srebrny pajak. Serce kurczyło się co kilka sekund, lekko podskakując. Poniżej znajdowały się w szklanym pojemniku podłączone do respiratora różowe płuca, napełniające się co chwila powietrzem. Głębiej leżały w słojach inne narządy, ale odwróciła od nich wzrok, bojąc się, co zobaczy.

Jej uwagę przykuła natomiast twarz ofiary. Usta tego człowieka zaklejono taśmą. Powieki miał opuszczone do połowy. Kikut szyi był ciasno obwiązany bandażem, spod którego wychodziły rurki z krwią i zwoje przewodów poprowadzone do urządzenia za stojakiem, mającego wielkość biurka.

Wyglądało na to, że ktoś rozłożył tego człowieka na części pierwsze, oddzielając je od siebie dla potrzeb jakichś makabrycznych badań.

Nie mogąc już dłużej na to patrzeć, odwróciła się i wpadła prosto na doktora Blake'a. Chwycił ją w ramiona.

— Co to wszystko znaczy?! — krzyknęła.

— Ratujemy ludziom życie — odparł spokojnie. — Kontynuujemy rosyjski program badań, zapoczątkowany w latach czterdziestych. Używano wtedy psów, by sprawdzić, jak długo można utrzymać sztucznie przy życiu poszczególne części ciała. Nawet siedemdziesiąt lat temu, za pomocą dostępnych wówczas prymitywnych narzędzi, naukowcy byli w stanie utrzymywać przez wiele dni funkcje życiowe odciętej głowy psa. Pozbawione tułowia zwierzę reagowało na dźwięki, próbowało szczekać, poruszało uszami.

Amanda pokręciła głową, zaszokowana jego słowami.

— Ale widzi pani, Amando, choć brzmi to makabrycznie, te wczesne eksperymenty doprowadziły w efekcie do wynalezienia respiratora i płucoserca. Był to skok w medycynie, który ocalił w ciągu następných dziesięcioleci tysiące ludzkich istnień.

— Ale to... — Amanda skinęła ręką w kierunku okna.

— To jest również ważne i nowatorskie. Eksperymenty na zwierzętach doprowadziły medycynę tylko do obecnego etapu. A wobec coraz szybszych postępów w nanotechnologii, mikrochirurgii, neurobiologii, kardiopulmonologii i naukach farmaceutycznych nie ma granic dla naszych potencjalnych osiągnięć. To, co tutaj robimy, eksperymenty nad długowiecznością najważniejszych tkanek, daje szansę nie tylko na ratowanie życia, ale również na przedłużanie go.

Słyszała egzaltację w jego głosie. Składał otwarcie hołd wyrachowanej nauce, dla której liczy się moralność. Wierzył równie żarliwie jak każdy kaznodzieja w słuszność głoszonych przez siebie prawd i jak wszyscy apostołowie pragnął nawracać niewiernych.

Ale Amanda nie zamierzała pić z jego pucharu.

Jakiś ruch w laboratorium skierował ponownie jej uwagę na rozgrywający się za oknem koszmar. Z zaplecza wyszła postać ubrana w jednoczęściowy kombinezon z kapturem, niosąc tacę z narzędziami chirurgicznymi. Spozrzegłszy widownię za szybą, podniosła wzrok.

Amanda rozpoznała patrzące znad białej maski zimne, szkliste oczy.

Petra.

Przypomniała sobie równocześnie, jak Blake chwalił upiorne zdolności swojej pielęgniarki, talenty, którymi miała się wykazać wobec dziecka Amandy. Przeniosła wzrok z twarzy Petry na odciętą głowę. Czy zamierzali postąpić tak samo z jej chłopczykiem?

Zabrzmiały jej w uszach słowa Petry.

*Odpręż się, jak będziemy mieli jej płód na stole sekcyjnym w laboratorium.*

Amanda wpatrywała się w tacę z ostrymi narzędziami z nierdzewnej stali.

Zrobiło jej się słabo.

Dlaczego?! — krzyczała w duchu. Czemu jej dziecko jest takie ważne dla tych makabrycznych badań nad długością życia? Czego szukali u jej maleństwa?

Petra przeszła przez laboratorium i rzuciła tacę na blat jednego ze stanowisk. Rozległ się brzęk stali, przenikliwy jak odgłos strzału.

Powieki człowieka, któremu odcięto głowę, otworzyły się.

Na Amandę patrzyły martwe źrenice.

Zaczęła krzyczeć, rozładowując napięcie po koszmarnych przeżyciach całego dnia. Osunęła się na kolana i poczuła skurcz w brzuchu. Po udach spłynęła jej gorąca ciecz.

Doktor Blake przykucnął obok niej, obejmując ją ramieniem.

— Odeszły jej wody! — zawołał przez szybę do Petry, po czym skupił znów uwagę na Amandzie. Poklepał ją po nodze. — To już długo nie potrwa.

Amanda zamknęła oczy, wiedząc wreszcie, gdzie się znajduje.

Jestem w piekle.

Godzina 23.45

— Ona jest w niebie — powiedział Gray, zwracając się do grupy zebranej w apartamencie i do Paintera przebywającego w Waszyngtonie.

Mając włączony głośnik w telefonie satelitarnym, podszedł ponownie do dużego okna, z którego był widok na miasto i plażę. W oddali, w pobliżu horyzontu, lśniła na czarnej

powierzchni morza poświata, jak odbicie księżyca. Ale nie było to żadne odbicie ani księżyc.  
Komandor chuchnął na szybę i narysował coś na niej palcem.



Była to pięcioramienna gwiazda.

— Ta nowa wyspa, Utopia, ma kształt rozgwiazdy — oznajmił, odwracając się do obecnych. Painter słyszał go przez telefon. — Ten chłopiec w Somalii powiedział, że Amandę zabierają do nieba. Może przetłumaczył błędnie słowo „utopia” jako „raj”. Albo podsłuchał, że celem podróży porywaczy jest miejsce w kształcie gwiazdy czyli ciała niebieskiego.

— A może jak tonący chwytasz się brzytwy? — spytał Kowalski.

Seichan stała z założonymi rękami, dzieląc jego sceptycyzm.

Gray przypomniał sobie ich intymne chwile w łazience. W tym ulotnym momencie zniknęły troski o rodzinę i powodzenie misji. Liczył się tylko dotyk i wyczekiwanie. Odzyskawszy jasność umysłu, znalazł rozwiązanie dręczącej go zagadki. Odpowiedź pojawiła się sama, jaśniejąc światłem oczywistej prawdy.

Ale może tylko on był o tym przekonany.

Nawet Painter odniósł się do jego odkrycia z rezerwą.

— Spróbuję to zbadać. Może do rana...

— Nie mamy tyle czasu. Mogą znów przewieźć gdzieś Amandę albo zrobić jej krzywdę. Powinniśmy wykorzystać te godziny ciemności, które nam jeszcze pozostały.

— Chcesz zaangażować poważne środki, kierując się przeczuciem — przekonywał Painter.

— Możesz niepotrzebnie się zdemaskować i ujawnić swoją wiedzę o tym, że Amanda jeszcze żyje.

— Wiem, że mam rację — odparł Gray.

— Skąd ta pewność? — spytała Seichan.

Wrócił do okna.

— Falochron wokół Utopii jest taki sam jak ten, który otacza archipelag w kształcie palmy.

Ponownie chuchnął na szybę i narysował resztę mapy Utopii. Wyspę przypominającą rozgwiazdę okalał falochron w kształcie półksiężyca.



— Księżyc i gwiazda — oznajmił, wskazując oba symbole.

Seichan zapało dech w piersiach.

Kowalski zaklął.

Tucker wzruszył ramionami.

— Nic nie rozumiem.

Gray spojrzał na niego, przypominając sobie, że ten człowiek nie wie nic o Gildii.

— To symbol tajnej organizacji odpowiedzialnej za akty terroryzmu na całym świecie. Dyrektor podejrzewał, że to oni mogą stać za porwaniem córki prezydenta.

— Teraz mi to mówisz? — mruknął Kowalski. — Gdybym wcześniej wiedział,

odpuściłbym sobie tę akcję.

Tucker nadal kręcił głową.

— Półksiężyc i księżyc można znaleźć na flagach większości krajów arabskich. Zjednoczone Emiraty to państwo islamskie. Archipelag może mieć po prostu kształt muzułmańskiego symbolu.

Painter zgodził się z tym.

— On ma rację, Gray. Ale przekonałeś mnie wystarczająco, że tę wyspę warto zbadać. Kazałem paru ludziom zebrać informacje na jej temat. Ściągnąłem z sieci zdjęcia pokazujące budowane tam wieżowce. Robią wrażenie. Kilka z nich zajmują już firmy, a pozostałe chcą dzierżawić korporacje z całego świata. Z tego, co widzę, wyspa jest silnie chroniona.

— Dlatego chciałem wybrać się tam nocą. Po ciemku.

— To na nic. — Głos Paintera brzmiał tak, jakby czytał raport. — Mają wokół całej wyspy system radarów. Wykryją was z odległości kilometra.

— Możemy podpłynąć najbliżej jak się da, a potem użyć sprzętu do nurkowania, żeby...

— Mam chyba lepszy sposób — rzekł Painter i wolno wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. — Znam tam człowieka, z którym mogę się skontaktować. Jego nazwisko pojawiło się w trakcie naszego wstępnego dochodzenia w Dubaju. Jest ratownikiem głębinowym. Ma dwie łodzie podwodne, które moglibyśmy wykorzystać, żeby przetrzymać ekipę na Utopię. Wykonywał badania i prace inżynierskie na dnie morza, gdy budowano tam hotel.

— Hydropolis — powiedział Gray, przypominając sobie najnowszy obiekt na wybrzeżu Dubaju.

— Właśnie.

Sądząc z tonu głosu Paintera, niechętnie angażował on do akcji kogokolwiek z zewnątrz, a zwłaszcza tego człowieka.

— Panie dyrektorze, jeśli pan mu nie ufa...

— Nie o to chodzi. Jest godny zaufania. Brał udział w wielu tajnych operacjach rządowych, a nawet wojskowych.

— Więc o co chodzi?

Painter znów ciężko westchnął.

— To były chłopak Lisy.

Kowalski odwrócił się, mrużąc pod nosem:

— Och, to żaden nietakt.

Charleston, Karolina Południowa

2 lipca, godzina 16.34 czasu miejscowego

— I Jack zgodził się pomóc? — spytała Lisa.

Stała przy otwartych drzwiach balkonowych na drugim piętrze Harbourview Inn, historycznego budynku w sercu Charlestonu, z którego był widok na rzekę i park nad jej brzegiem.

— Owszem — odparł Painter. — Wyraził nawet zgodę, żeby utrzymać tę nocną akcję w tajemnicy przed resztą załogi łodzi *Deep Fathom*. Osobiście nią pokieruje.

Zamknęła podwójne drzwi i wróciła do klimatyzowanego wnętrza. W pokoju wyposażonym w łóżko z baldachimem i stylowe meble była ściana z czerwonej cegły i działający kominek. Luksusowe zakwaterowanie miało uwiarygodnić jej fikcyjną tożsamość.

Od pewnego czasu nie myślała o Jacku Kirklandzie. Gdy się poznali, skończyła właśnie studia medyczne na uniwersytecie w Los Angeles i dostała stypendium z Krajowej Fundacji Naukowej, by badać wpływ pracy w głębinach morskich na ludzki organizm. Jack był kapitanem dwudziestoczworometrowej podwodnej łodzi ratunkowej o nazwie *Deep Fathom*, której załogę stanowiła grupa naukowców i poszukiwaczy skarbów. Jacka i Lisę połączył krótkotrwały, ale ognisty romans, który wypalił się równie szybko, jak rozgorzał. Ich związek miał jedynie fizyczny charakter, ale nie dlatego, że za mało się starali — próbowali wielokrotnie, po kilka razy dziennie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Minęło prawie dziesięć lat, a ona miała wrażenie, że już całe życie.

Co stało się z tą dziewczyną w bikini z opalonymi nogami?

Poczuła przypływ melancholii.

Painter przywrócił ją do rzeczywistości, przypominając o troskach, o których zapomniała na chwilę, gdy zadzwonił.

— Kat jeszcze nie ma?

— Nie. — Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. Wróciła do hotelu ponad dwie godziny temu i spodziewała się, że Kat szybko do niej dołączy. Przed zakończeniem misji miały się ze sobą nie komunikować, trzymać się na dystans. — Nie odzywała się?

— Ani słowem, ale kiedy zadzwoniłaś przed godziną, sprawdziłem działanie jej sprzętu nagrywającego. Kamera w recepcji jest włączona, ale nie dała nam żadnych wskazówek co do miejsca jej pobytu. Inne urządzenia nie zostały aktywowane. Pluskwa komputerowa, którą założyłaś, nadal przekazuje dane. Na razie jej nie znaleźli i gromadzimy mnóstwo informacji.

— Jakież wieści na temat Amandy? — spytała Lisa.

— Mam to, co przesłałaś e-mailem, ale poszukując kartoteki medycznej Amandy, natrafiliśmy na zaporę sieciową. Mam zdolnego programistę, który próbuje ją pokonać, musi to jednak robić ostrożnie, by nie wszcząć alarmu. Gdyby Kat złapano, wątpię, czy nasz monitoring by jeszcze działał. Wszystko by dokładnie sprawdzili.

— Więc gdzie ona jest?

— Nie mam pojęcia. Może lekarze z kliniki robią jej jakieś badania, a może ochroniarze złapali ją w miejscu, gdzie nie wolno wchodzić, i teraz musi się tłumaczyć. Albo po prostu tkwi w korku. Musi przecież wrócić do miasta autobusem.

Lisę uspokoiły jego słowa. Z powodu robót drogowych powrót samochodem do hotelu zabrał jej godzinę. A Kat musiała się dwa razy przesiadać.

Może Painter ma rację...

Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku.

— Miałyście spotkać się w hotelu o szóstej, tak? — spytał Painter.

— Zgadza się. Ale czemu nie zadzwoniła przynajmniej do ciebie po wyjściu z kliniki?

Zbyt długo zwlekał z odpowiedzią.

— Nie wiem — przyznał w końcu. — Będziemy mieli wszystko na oku. Zanim cokolwiek zrobimy, damy Kat czas do szóstej, żeby się odezwała.

Lisa wiedziała, że ta godzina będzie jej się potwornie dłużyła.

W słuchawce rozległ się znowu głos Paintera — tym razem nie mówił do niej, lecz do kogoś, kto wszedł do jego biura. Chociaż odsunął mikrofon od ust, usłyszała, jak powiedział ostrym tonem: „Przyślijcie mi wszystko!”, po czym powrócił do ich rozmowy.

— Kat aktywowała drugą miniaturową kamerę. Technicy ściągają zapis z karty pamięci i przesyłają go na mój komputer.

Jej uwagę odwróciło pukanie do drzwi.

— Ktoś chce tu wejść — powiedziała.

Usłyszała w słuchawce jakiś tumult, po czym Painter zaklął siarczyście.

— Liso, nie otwieraj! Uciekaj stamtąd!

Posypały się drzazgi, gdy ktoś kopnął w drzwi.

Odwróciła się spanikowana.

Za jej plecami rozległ się kolejny trzask.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Godzina 16.46

Kat opuściła bezwładnie rękę, zrzucając przypadkiem torebkę z metalowego stolika obok jej łóżka na kółkach. Zawartość torebki wysypała się na podłogę, ale Kat nie miała siły wszystkiego pozbierać. Ostatkiem sił zdołała sięgnąć po długopis z miniaturową kamerą i aktywować ją ukrytym przyciskiem.

Wewnątrz torebki nie nagra się obraz, ale mikrofon będzie wyłapywał dźwięk. Podobnie było teraz z półprzytomną Kat. Widziała jak przez mgłę i czuła mdłości, ale słyszała wystarczająco dobrze, by mieć świadomość, że ktoś wbiegł do niewielkiej sali, zaniepokojony hałasem.

— Chyba próbowała sięgnąć po komórkę.

Ktoś przykucnął przy jej łóżku i zaczął zbierać zawartość torebki, upychając wszystko z powrotem do środka. Był to zapewne ten sam sanitariusz co przedtem.

Kolejny głos, który usłyszała, potwierdził te przypuszczenia. Sądząc po zimnym akcencie z Nowej Anglii, musiała to być doktor Marshall, kobieta, która paralizatorem zmusiła Kat do uległości.

— Roy, chyba powiedziałeś, że jeszcze przez dziesięć, piętnaście minut będzie nieprzytomna.

— I powinna być, zważywszy na dawkę narkozy i wagę jej ciała. Wyszedłem tylko, żeby



przynieść dla niej czystą koszulę, zanim rozbiorę ją na zabieg.

— Ostrzegałam cię przecież, że jest zdrowa i silna. Inna niż wszystkie te niedożywione, wyniszczone kobiety, które tu trafiają. Powinieneś był to przewidzieć, Roy. Mogła zrobić sobie krzywdę.

— Przepraszam. To się już nie powtórzy.

Sądząc z ich rozmowy, nie byli świadomi prawdziwej tożsamości Kat i jej powiązań z Sigmą. Ale gdzie się znajdowała? Obracała głowę, próbując się zorientować, co to za miejsce. Wyczuwała intuicyjnie, że nie minęło wiele czasu. Wiedziała tylko, że przenieśli ją do innej sali, prawdopodobnie w tym samym budynku. Miejsce wyglądało sterylnie. Bolały ją oczy od zbyt wielu lśniących powierzchni, a powietrze przesycił typowy dla szpitali zapach środków antyseptycznych.

Painter nie zawiodły przecucia, że w tej klinice leczenia bezpłodności działo się coś niedobrego. Ale co? Dlaczego ją odurzili i porwali?

— Nie jestem jeszcze gotowa do zabiegu — oznajmiła doktor Marshall. — Więc możesz zabrać ją do celi.

Do celi?

— Niech się całkiem ocknie — dokończyła lekarka. — Będzie z nią łatwiej pracować, jeśli nie będzie zwiotczała jak szmaciana lalka. Poza tym im szybciej nauczy się właściwie zachowywać, tym lepiej.

Doktor Marshall trzymała nadal w ręce elektryczny paralizator, postukując nim o krawędź łóżka, jakby chciała podkreślić, kto tu rządzi.

Sanitariusz Roy wypchnął łóżko na kółkach z pokoju na źle oświetlony korytarz. Choć nie było tam okien, Kat wyczuwała, że są w podziemiach.

Roy podszedł do zamkniętych drzwi i otworzył je kartą, którą miał zawieszoną na szyi. Stanąwszy u wezłowania łóżka, wprowadził je do dużej okrągłej sali o uspokajająco jasnoniebieskich ścianach. Były tam rozstawione stoły, a w głębi grał cicho telewizor. Dokładnie naprzeciwko znajdowały się podwójne drzwi, pomalowane ostrzegawczo na czerwono. Zapewne były zamknięte równie solidnie jak te, które prowadziły na oddział.

Sanitariusz skierował łóżko na bok. Kat spostrzegła regały z książkami, prysznic, a na obwodzie sali kilkanaście niewielkich pomieszczeń — cel — ze szklanymi drzwiami w metalowych framugach.

W jednej z nich stała za szybą kobieta w niebieskiej koszuli, z przystrzyżonymi na jeża włosami. Jej twarz wyrażała strach i smutek. Przyłożyła dłoń do szklanych drzwi, w geście solidarności albo przestrogi.

Ale Kat nic nie mogła zrobić.

Przynajmniej na razie.

Odchyliła głowę na bok i przyjrzała się czerwonym stalowym drzwiom; dopiero teraz zauważyła umieszczony nad nimi symbol. Był to krzyż ozdobiony stylizowanymi motywami łańcucha DNA. Wyczuwała, że jeśli ta klinika ukrywa jakieś tajemnice, to należy ich szukać za tymi drzwiami.

Na razie jednak miała inne zmartwienia.

Roy dotarł do jednej z wielu pustych cel i otworzył ją kluczem uniwersalnym. Potem chwycił Kat pod pachy i podniósł z łóżka. Użyte przez doktor Marshall określenie „szmaciana lalka” okazało się nader adekwatne. Kat nie mogła ustać na nogach. Ręce miała jak z ołowiu.

Sanitariusz zaciągnął ją do celi i rzucił na niepościeloną pryczę.

— Nie sprawiaj tym razem kłopotów.

Kat wystarczyło jeszcze siły, by przyglądać się, jak wychodzi. Gdy zatrzasnęła drzwi i zabrał łóżko na kółkach, zauważyła, że leży tam jej torebka. Wyobraziła sobie schowane wewnątrz urządzenie do monitoringu.

Dobry Boże, niech ktoś prowadzi nasłuch.

Waszyngton

Godzina 17.02 czasu miejscowego

— Nie odbieramy nadal żadnego sygnału audio ani wideo — oznajmił technik.

— Mam obraz z kamer telewizji przemysłowej z Harbourview! zawołał z głębi pokoju inny analityk.

Painter zwrócił się do technika:

— Monitoruj dalej wszystkie nadajniki Kat. — Podszedł do analityka. — Pokaż mi to nagranie z hotelu Lisy.

Przemierzał ośrodek łączności Sigmy jak oko huraganu. Przy rządzie komputerów i monitorów, stojących półokręgiem w głębi pokoju, pracowali dla niego inni analitycy i agenci wywiadu. Po lewej znajdowało się osobne przeszklone biuro.

Było to centrum dowodzenia Kat, jej wewnętrzny szaniec. W mrocznej przestrzeni jaśniał pojedynczy monitor, oświetlając młodą twarz jej głównego analityka, Jasona Cartera, który siedział pochylony nad klawiaturą, zajęty osobnym projektem.

W ogólnym chaosie Painter próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, co dzieje się z Kat i Lisą. Słuchał jednym uchem, jakie informacje docierają do centrum, podczas gdy lewą ręką przytrzymał słuchawkę Bluetooth, czekając na przekaz audio z aparatu Kat. Dwa ścienne monitory pokazywały obraz z miniaturowych kamer w długopisach, które aktywowała. Na jednym widać było recepcję kliniki w północnym Charlestonie. Drugi ekran był czarny.

Painter słyszał początek rozmowy, która została nagrana po aktywowaniu drugiej kamery. Wyglądało na to, że ktoś uspił i porwał Kat i teraz jest więziona.

Ale potem transmisja została przerwana.

Od dwunastu minut panowała dręcząca cisza.

W tym momencie nie wiedział, czy Kat jest nadal w klinice, czy gdzieś ją zabrano. Próbowali namierzyć jej komórkę, ale bez powodzenia. Była zablokowana albo wyjęto z niej baterię.

Painter był gotów skontaktować się z policją w Charlestonie, by wzięli klinikę szturmem. Ale co by to dało? Kat może tam nie być, a jeśli nawet jest, porywacze zapewne by ją zabili, zanim wydano by nakaz rewizji. Poza tym wyszłoby na jaw, że Sigma nadal prowadzi dochodzenie w sprawie Amandy i rodziny Gantów.

Tego należało uniknąć.

Obmyślał gorączkowo niezliczone strategie, a serce podchodziło mu do gardła z powodu jeszcze jednej niewiadomej.

Gdzie jesteś, Liso?

Kiedy dotarł przekaz od Kat, rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną. Zorientowawszy się, że Kat ma problemy, zaczął natychmiast zamartwiać się o Lisę — zwłaszcza gdy kilka sekund później analityk wpadł do jego biura z informacją, że urwał im się nagle dostęp do komputerów kliniki.

Zdążył ostrzec Lisę, po czym usłyszał w słuchawce odgłos rozbijanych drzwi i połączenie

zostało przerwane.

— Mam zapis z kamer hotelu. — Agent wskazał na monitor przed sobą. Migający obraz pokazywał trzech idących korytarzem zamaskowanych napastników.

A więc wiedzieli o kamerach.

Gdy jeden z nich zapukał do drzwi i pokręcił głową, drugi cofnął się o krok i otworzył je kopniakiem. Wszyscy trzej wpadli do środka, znikając z pola widzenia. Ponieważ w pokoju hotelowym nie było kamery, nie wiadomo, co się potem wydarzyło.

Oglądając to, Painter wstrzymał oddech. Musiał się zmusić do oddychania. Jeśliby spanikował, nie pomogłoby to ani Lisie, ani Kat.

Gdy telefon jego dziewczyny zamilkł, Painter zadzwonił natychmiast do ochrony hotelu i zgłosił włamanie. Szef ochroniarzy oddzwonił po pięciu minutach. Było to pięć najdłuższych minut w życiu Paintera.

To, co usłyszał, sprawiło mu ulgę, lecz bynajmniej nie wyjaśniło sprawy.

— Przegoniliśmy intruzów, ale pokój hotelowy był pusty. Znaleźliśmy torebkę, telefon komórkowy i bagaż. Nikogo tam nie zastaliśmy.

Painter obejrzał to wszystko na filmie. Dwaj ochroniarze przybiegli korytarzem, ale trzej napastnicy zdążyli uciec. Jeden z nich strzelił do nadbiegających strażników, zmuszając ich do wycofania się, po czym trzej mężczyźni zniknęli na klatce schodowej.

Siedzący obok analityk obrócił się na krześle.

— Panie dyrektorze, mam znów kontakt z ochroną hotelu Harbourview.

— Połącz mnie. — Kiedy Painter ostatnio z nimi rozmawiał, próbowali jeszcze odszukać Lisę.

Usłyszał kliknięcie w słuchawce i szorstki głos wykrzykujący rozkazy, który po chwili zwrócił się do niego. Był to szef ochrony.

— Przykro mi, proszę pana, ale nie znaleźliśmy w całym hotelu ani śladu pańskiej dziewczyny. Rozmawiałem z personelem i gośćmi. Nikt nie widział, by wyprowadzano stąd jakąś kobietę.

Painter poczuł lekką ulgę. Skoro Lisy nie było w pokoju, nie zarejestrowały jej kamery ani nie zauważył nikt z personelu, musiała uciec przez okno.

Człowiek na linii doszedł do tego samego wniosku.

— Jest tu policja, ale wydaje mi się, że ona uciekła.

— Dziękuję. Gdyby pan coś usłyszał albo czegoś się dowiedział...

— Dowie się pan pierwszy.

Painter wyobraził sobie Lisę, jak ucieka przerażona ulicami — bez pieniędzy i telefonu — starając się umknąć ścigającym ją ludziom i nie wiedząc, komu może ufać. Musiała dotrzeć w jakieś publiczne miejsce, znaleźć dostęp do telefonu. Wtedy mógłby jej przyjść z pomocą. Lecieli już tam jego agenci. Powinni znaleźć się w Charlestonie w ciągu godziny.

Miał nadzieję, że w tym czasie dowie się też, gdzie jest Kat. Zerknął na technika, który monitorował aktywowany przez nią sprzęt, ale ten pokręcił tylko głową.

Druga kamera Kat wciąż nie przekazywała obrazu.

Mając chwilę do namysłu, Painter przechadzał się po centrum łączności. Zaczął analizować najbardziej prawdopodobne scenariusze wydarzeń. Lisa została w jakiś sposób zdemaskowana, gdy znaleziono bezprzewodowy router ukryty w biurze dyrektora kliniki. A skoro kamery Kat nadal funkcjonowały, to znaczy, że jej prawdziwa tożsamość nie została ujawniona.

Nikt nie odkrył jeszcze, że działają razem.

To była jedyna dobra wiadomość — ale lepsza taka niż żadna.

Nadal się przechadzając, Painter odwrócił się i zobaczył przed sobą Jasona Cartera. Ten chudy jak szczapa świński blondyn, podobnie jak Kat były komandos, miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Zdaniem Kat jako analityk wywiadu był geniuszem. Znał się też na komputerach. Wyrzucono go z marynarki za to, że włamał się do serwerów gry komputerowej *Day of Defeat*, używając tylko telefonu BlackBerry i skleconego prowizorycznie iPada — tak przynajmniej mówiono. Kat zwerbowała go potem do Sigmę.

Twarz Jasona była bladsza niż zwykle. Miał wyrzuty sumienia, że zaalarmował przypadkiem klinikę, próbując obejść zaporę sieciową, i przez to zdemaskował Lisę. Martwił się też śmiertelnie o Kat. Ubóstwiał ją.

Żeby chłopak nie myślał o tym i skoncentrował się na czym innym, Painter kazał mu skończyć raport na temat Utopii.

— Panie dyrektorze, powinien pan to zobaczyć. — Jason wskazał ręką w kierunku biura Kat.

Painter poszedł za nim i zamknął drzwi. Wyczuwał nadal w powietrzu ulotny zapach jaśminu, pozostawiony przez siedzącą tam wcześniej osobę.

Jason zaprowadził go do dużego monitora, na którego ekranie obracał się trójwymiarowy model przypominającej kształtem gwiazdę wyspy Utopia. Powierzchnia tej stworzonej przez człowieka superkonstrukcji najeżona była na każdej z odnóg skupiskami wież, wyglądających jak kolce rozgwiazdy i tym wyższych, im bliżej centrum się znajdowały. Na środku wyspy wyrastała najwyższa z nich, metalowa piramida, której czubek wyciągnięto w niebo na wysokość stu pięćdziesięciu metrów.

— Skąd masz ten model?

— Sam go zrobiłem.

— Szybki jesteś.

Jason wzruszył ramionami.

— Zanim rozpętało się piekło, kazał mi pan zdobyć informacje na temat różnych korporacji i firm powiązanych z Utopią. Ściągnąłem po prostu plany architektoniczne każdego z budynków, ustaliłem za pomocą GPS-u ich lokalizację na wyspie i przedstawiłem to wszystko w trzy D. Najtrudniej było pokazać, na jakim etapie budowy są poszczególne wieże. Gotowe konstrukcje zaznaczyłem na szaro. Jaśniejszy odcień to piętra lub elementy niedokończone albo dopiero zaplanowane.

— Jestem pod wrażeniem. Możesz przesłać ten model grupie komandora Pierce'a?

— Nie ma problemu, panie dyrektorze, ale nie o tym chciałem z panem rozmawiać. — Wskazał na ekran. — Zajmowałem się tym, czekając na dane na temat różnych firm inwestujących w Utopię albo wynajmujących tam biura. Proszę spojrzeć.

Postukał w klawiaturę i na tle szarego obrazu pojawiły się kolorowe plamy o rozmaitych odcieniach, wypełniając przestrzeń biur i apartamentów.

— Każdy kolor oznacza inną firmę, mającą ulokowany w Utopii kapitał — wyjaśnił Jason. — Jest ich w sumie dwieście szesnaście.

Painter wpatrywał się w ekran. Ekipę Graya czekało trudne zadanie, jeśli mieli znaleźć Amandę w tym korporacyjnym labiryncie.

Ale Jason najwyraźniej jeszcze nie skończył.

— Poleciał mi pan też przeszukać archiwa i sprawozdania finansowe, by ustalić prawdziwych właścicieli tych firm.

Painter przytaknął. Kazał Jasonowi zdemaskować fikcyjne przedsiębiorstwa i spółki holdingowe, aby stwierdzić, kto naprawdę inwestuje czas i pieniądze w Utopii.

Odkryć prawdziwe perły w fałszywych muszlach.

— To wymagało trochę pracy — oznajmił z dumnym uśmiechem Jason, stukając w klawisz. — Niech pan patrzy.

Kolorowe kropki i plamy na ekranie zaczęły się przemieszczać, migocąc kaskadą barw, po czym zlały się w jedną całość i większość obrazu zajaśniała jednolitą ciemnopurpurową poświatą.

— Gdy wszystko się ułożyło, odkryłem, że siedemdziesiąt cztery i cztery dziesiąte procent wyspy należy do jednej macierzystej firmy.

Painter poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Domyślał się, co usłyszy.

— Gant Corporate Enterprises.

Jason spojrział na niego zaskoczony.

— Skąd pan wiedział? Co rodzina prezydenta...?

Painter przerwał mu i pochylił się.

— Obróć ten obraz i pokaż wyspę z lotu ptaka.

Jason pomanipulował dżojstikiem, aby móc spojrzeć z góry na wyspę w kształcie gwiazdy, po czym gwizdnął z podziwu. Pośrodku wyspy rysował się wyraźny znak w kolorze korporacyjnej purpury.



— Zdumiewające! — wykrzyknął. — To idealny krzyż!

— Krzyż templariuszy — mruknął Painter, patrząc na symbol, który badał zaledwie przed paroma dniami, znak Gildii.

Nie miał już żadnych wątpliwości.

Rodzina Gantów i Gildia.

Ekipa Graya żeglowała ślepo w kierunku ich najnowszej twierdzy.

## Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie

3 lipca, godzina 1.20 czasu miejscowego

Gray prowadził swoich ludzi wzdłuż długiego mola biegnącego przez środek wielkiego portu jachtowego. Dzięki pełni księżyca i lśniący światłom wieżowców Dubaju było tam jasno jak w dzień, a nad wodą unosiły się dźwięki muzyki jazzowej z działającego na wolnym powietrzu klubu nocnego. Delikatny powiew bryzy znad morza dawał trochę chłodu w ciepłą noc i przynosił zapach soli i ropy naftowej.

Niewielki port leżał na skraju sztucznej wyspy Palma Dżamira. Mieli spotkać się ze swoją eskortą na przystani na peryferiach mariny, gdzie było mniej prawdopodobne, że ktoś ich zauważy.

Komandor widział z lewej strony gigantyczny pień sztucznej wyspy w kształcie palmy, który ciągnął się dwa kilometry w głąb morza, lśniąc w ciemnościach światłami hoteli i rezydencji. Przecięty był ośmiopasmową autostradą. Dopiero tu, na wybrzeżu, dostrzegł ogrom tego archipelagu. Każdy liść palmowy, z szeregiem willi i pałaców, miał półtora kilometra długości. Po prawej stronie, za mariną, rozciągał się jedenastokilometrowy falochron w kształcie półksiężyca, pełen hoteli i parków wodnych. Dwa kolejne projekty były w budowie. Ten najokazalszy miał być siedmiokrotnie większy niż Palma Dżamira.

Nie tylko Gray był pod wrażeniem ogromu wszystkiego, co widzieli w Dubaju.

— Chyba jednak rozmiar ma znaczenie — przyznał Kowalski, gapiąc się na olbrzymi jacht zacumowany przy jednej z przystani. Miał na rufie śmigłowiec, a wcale nie był największą ze stojących tam łodzi. — Ktoś sobie coś rekompensuje, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Seichan dotrzymywała mu kroku.

— Wszyscy wiemy, co masz na myśli, Kowalski, dlatego nikt z nas nie robi uwag na temat tych cygar, które ciągle żujesz.

Wyjął z ust peta i spojrzał na nią krzywo.

— O czym ty mówisz?

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Tucker pochylił się i uwolnił Kaina ze smyczy. Pies pobiegł naprzód, unosząc wysoko łeb i ogon. W Dubaju, mieście niezbyt przyjaznym psom, musiał być uwiązany, ale tu, w porcie, o tak późnej porze, nikt nie miał pretensji o to, że biegał luzem.

Jego treser szedł z tyłu, pogrążony w myślach.

Gray podążał za Kainem wzdłuż mola. Im dalej szli, tym więcej napotykali pustych przystani, zostawiając za sobą przepych i ogrom współczesnego Dubaju. Księżyc odbijał się w ciemnym lustrze wody, nie rywalizując już ze światłami wieżowców i salonów gry. Lekka bryza łagodziła klimat upalnej nocy. Spoglądając w morze, gdy na niebie migotały gwiazdy, a z brzegu dochodziło nawoływanie do modlitwy, łatwo było przenieść się myślami w inne czasy, do średniowiecznej epoki Ali Baby i zaginionych pustynnych królestw. Mimo ekscesów i ekstrawagancji Dubaju, dawny świat wyzierał tu z każdej szczeliny, olśniewając mirażami

minionej chwały.

— Najwyższy czas, żebyście się zjawili! — zawołał jakiś mężczyzna z mroków kolejnej przystani. Jedynym dowodem jego obecności była żarząca się końcówka cygara. Wszedł w krąg światła rzucanego przez latarnię. Był w czarnych bermudach, japonkach i rozpiętej białej koszuli.

Gray rozejrzał się nerwowo, żeby się upewnić, czy ten człowiek jest sam. Kain najwyraźniej nie miał takich obaw. Podbiegł do niego i powitał go ciepło, balansując na przednich łapach.

— Nie rusz, Kain — ostrzegł go Tucker.

— Nie robi nic złego. — Mężczyzna pochylił się i energicznie potargał psa. — Przypomina mi mojego starego Elvisa. Też był owczarkiem. Niemieckim. A on?

— Kain to owczarek belgijski — wyjaśnił Tucker. — Malinois.

— Hm. Wojskowy pies, jak się domyślam.

— Zgadza się. Emerytowany.

— Mogę zapytać, jaki miał stopień?

— Majora.

Kowalski spojrzał na Tuckera.

— Chwileczkę. Major Kain? Przewyższał pana stopniem?

Gray wiedział, że to nic niezwykłego. Wojskowy pies zawsze był wyższy rangą niż jego opiekun, by ten za znęcanie się nad nim trafiał pod sąd. Tyle że Tucker nigdy nie skrzywdziłby partnera.

Wyprostowawszy się, mężczyzna wyciągnął rękę w kierunku komandora.

— Jack. Jack Kirkland.

Pozostali także mu się przedstawili.

Ich nowy towarzysz miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i szpakowate włosy. Sądząc po bliznach z jednej strony ciała, brał już udział w walce. Mimo surowej męskiej urody i trudnego do określenia wieku, miał chłopięcy wdzięk — uderzyło to nawet Seichan.

Gray nie widział jej dotąd tak podekscytowanej. Usłyszał, jak chichocze z powodu czegoś, co powiedział Jack, a Seichan nigdy nie chichotała. Trochę go to wkurzyło. Był zaskoczony swoją reakcją. W ciągu paru minut ten człowiek oczarował wszystkich w jego zespole.

Albo prawie wszystkich.

Kowalski pokręcił głową.

— Co ty palisz?

Jack zerknął na cygaro, które trzymał w palcach.

— Kubańskie. El Presidente.

— O kurczę... — Kowalski spojrzał rozczarowany na swój niedopałek.

— Mam ich na pokładzie *Ducha* całe pudełko. — Jack wskazał podbródkiem w kierunku pogrążonej w mroku przystani. — Z pewnością nie zauważę braku jednego, gdyby przypadkiem odmaszerowało — powiedział i oddalił się.

Kowalski pozostał na miejscu.

— Ten facet mnie rozbija.

Gray pokręcił głową.

W porządku, teraz straciłem już wszystkich, pomyślał.

Seichan podeszła, ocierając się o jego ramię i nachylając się ku niemu.

— Cholera!

To jedno słowo wyrażało, co myśli o ich nowym towarzyszku.

Gray westchnął i podążył za Jackiem w kierunku przystani. Nic dziwnego, że Painter tak się wahał, czy wciągnąć tego faceta z powrotem w swoje życie. Na jego miejscu trzymałbym go na odległość tysiąca mil morskich od Lisy.

Dobrze przynajmniej, że nosił obrączkę.

— Oto ona — oznajmił Jack, zatrzymując się. — Moja nowa duma i radość. Łódź podwodna *Duch*.

Gray nie dostrzegł na przystani żadnej zacumowanej jednostki.

Jack zeskoczył z mola do wody, ale wylądował na twardej powierzchni. Dopiero wtedy komandor zobaczył, że stoi tam łódź. Zakołysała się pod ciężarem Jacka, ale i tak była prawie niewidoczna w ciemnościach.

Kadłub łodzi znajdował się pod lustrem wody. Widać było jedynie włącz stożkowej wieży i fragment górnego pokładu. Łódź była w wodzie prawie niezauważalna, bo wyglądała, jakby wykonano ją ze szkła.

Jack postukał palcem nogi o przezroczystą powierzchnię.

— Jej kadłub jest zrobiony z nowej generacji polimeru z krzemionki i tlenu boru, twardego jak stal, ale mającego niski współczynnik załamania światła, idealny do podwodnych obserwacji. Im głębiej się zanurzasz, tym szkło staje się twardsze. Oczywiście, do pewnych granic. Nie zamierzam sprawdzać dziś jego wytrzymałości.

— Teraz widzę, skąd wzięła się nazwa tej łodzi — odezwała się Seichan.

— To moja nowa miłość. Ma wszystkie bajery, jakich facet może pragnąć. — Wymienił je z dumą: — Najnowszy sonar i sprzęt łączności, drążek elektronicznego systemu sterowania, kamizelka wypornościowa, dodatkowy zapas tlenu. Ale najbardziej rajcują mnie jej seksowne kształty. Zaprojektowałem ją na wzór starych miniaturowych łodzi podwodnych X jeden. Jest smukła, szybka i uwodzicielska.

Kowalski prychnął, słysząc to porównanie.

— Chcesz zostać z nią przez chwilę sam?

— Masz jeszcze ochotę na to cygaro? — odparował Jack.

Kowalski zwiesił lekko głowę.

— Przepraszam, powinienem wiedzieć, że nie należy obrażać dziewczyny innego faceta. Jest sexy. Bardzo, bardzo sexy.

— Tak już lepiej. — Jack obdarzył go szerokim, lubieżnym uśmiechem. — Wchodźcie na pokład i rozgośćcie się. Czeka nas trudna przeprawa, zanim dotrzemy do Utopii, ale kto powiedział, że łatwo jest dostać się do nieba?

Ignorując jego dobry humor, Gray wpatrywał się w horyzont. Nie mógł się pozbyć ponurego nastroju, wiedząc, że Amanda wcale się dobrze nie bawi.

Godzina 1.30

Jej ciałem wstrząsnął następny skurcz.

Amanda szlochała, a po rozgorączkowanych policzkach spływały jej łzy. Miała mdłości. Koszula przesiąkała jej potem. Ból stępiła nieco, ale nie do końca, mała dawka epiduralu.

— Rozwarcie osiem centymetrów — oznajmiła Petra, patrząc w jej krocze.

— Zgodnie z przewidywaniami. — Doktor Blake stał przy łóżku Amandy, spoglądając na monitor. — To był dobry skurcz. Ale podaję kolejną dawkę oksy.

Było to slangowe określenie oksytocyny, leku wywołującego poród.



Wstrzyknąwszy lekarstwo do przewodu kroplówki, skupił uwagę na Amandzie. Wziął ją za rękę, która była przywiązana do łóżka, i uściśnął jej palce.

— Chce pani jeszcze płatków lodowych?

Ogarnęła ją wściekłość. Wbiła mu paznokcie w nadgarstek.

— Pieprz się! — wyrzuciła z siebie. Nigdy nie przeklinała, ale teraz musiała sobie ulżyć. — Ty cholerny potworze!

— Przyniosę pani płatki — powiedział, niezrażony jej wybuchem. Delikatnie, lecz stanowczo uwolnił rękę i poklepał ją po dłoni. — Wszystko dobrze idzie. Świetnie się pani spisuje.

Pozostali członkowie zespołu medycznego pracowali obok, monitorując jej czynności życiowe, wymieniając zabrudzoną przez nią pościel, dostarczając sprzęt. Dwie osoby, w oczekiwaniu na pojawienie się noworodka, przygotowywały ocieplane łóżeczko.

Blake wrócił z niewielkim papierowym kubkiem wypełnionym pokruszonymi płatkami lodu. Przytknął go Amandzie do ust, ale ona odwróciła głowę, odmawiając współpracy nawet w tak błahej sprawie.

Pragnęła, by jej ciało także stawiało opór.

Nie oddam im mojego chłopca!

Ale natury — wspomaganej przez silne leki — nie dało się powstrzymać. Kilka minut później poczuła znów w brzuchu narastające ciśnienie, jakby formował się w niej front burzowy i wzbierał nieunikniony przypływ. Zaciśnęła powieki, wiedząc, na co się zanosi.

Nie... proszę, nie...

Jej błagania były daremne. Wstrząsnął nią kolejny skurcz. Krzyknęła — nie tyle z bólu, co w poczuciu, że przegrywa ostatnią bitwę.

— Przyj! — powiedział Blake, ale słyszała go jakby z daleka.

Starła się nie poddawać, ale jej ciało nie należało już do niej; przekształciło się w prymitywną maszynę wykutą w piecu ewolucyjnej walki o przetrwanie. Czy chciała tego, czy nie, jej organizm dążył do jednego: do prokreacji, przekazania genów przyszłym pokoleniom. Musiała okazać posłuszeństwo.

Mięśnie brzucha skurczyły się boleśnie.

Rozerwały się tkanki.

Popłynęła krew.

Ból nabrał sensu.

— Widać główkę! — zawołała triumfalnie Petra.

Pograżona w brutalności aktu narodzin Amanda krzyczała na cały głos, poddając się temu co nieuchronne i kierując się teraz najbardziej podstawowym pragnieniem każdej matki.

Niech ktoś ocali moje dziecko!

Godzina 1.44

Siedząc w łodzi podwodnej, Gray obrócił fotel, by mieć przed sobą zaokrągloną szklaną ścianę. Światła reflektorów przenikały mroczne wody, gdy odpływali od Palmy Dżamira. Piaszczyste dno morza znajdowało się metr, dwa pod nimi.

Efekt był niesamowity. Przezroczysty kadłub dawał widok na wszystkie strony. To jest jak żeglowanie w bańce powietrza, pomyślał i nie był daleki od prawdy.

*Duch* był właściwie zwężającym się z obu stron szklanym cylindrem z wodorowym napędem. Pomocnicze systemy elektryczne i mechaniczne funkcjonowały jako zewnętrzny

szkielet wokół.

Wścibscy mieszkańcy głębin, zwabieni ich światłami, podpływali błyskawicznie, wpatrywali się wylupiastymi oczami w dziwny przedmiot, po czym znikali w mroku.

Gray wyobrażał sobie, co widzą.

Łódź przypominała mu bystrzyki neonowe, które hodował jako dziecko. Leżał godzinami na łóżku, wpatrując się w niewielkie rybki, które śmigały po akwarium. Bystrzyki słynęły najbardziej z opalizujących niebiesko-czerwonych prążków, ale Graya fascynowała zawsze ich przezroczysta skóra. Ich kręgosłupy, żebra, nawet małe pulsujące serduszka były na widoku. W tym momencie czuł się równie obnażony, jakby połknął go gigantyczny szklany bystrzyk.

Musiał jednak przyznać, że widok jest oszałamiający.

Tylko jeden pasażer nie był pod wrażeniem.

— Nie podoba mi się to — oświadczył Kowalski. Olbrzym siedział naprzeciw Graya, wsparty jedną ręką o szklaną ścianę, a drugą o sufit, i spoglądał w przestrzeń między swoimi nogami. — Ile to jeszcze potrwa? A co będzie, jak zabraknie nam powietrza?

Nie dało się zaprzeczyć, że kabina była ciasna, zwłaszcza dla kogoś postury Kowalskiego. Jack kierował łodzią z miejsca na dziobie. Cztery fotele z tyłu nie zapewniały swobody ruchów. Kain musiał balansować na kolanach Tuckera, wpatrując się z postawionymi czujnie uszami w widok za szybą, sapiąc i drżąc na całym ciele.

Seichan, siedząca obok Kowalskiego, dotknęła uspokajająco jego ramienia.

— Wyluzuj. Mamy mnóstwo powietrza. — Poklepała go po plecach. — Bardziej bym się martwiła, że łódź zacznie przeciekać.

Kowalski obrócił się na fotelu, rozglądając się po kabinie szeroko otwartymi oczami.

Gray spojrział na Seichan z wyrzutem. Brakowało im tylko na pokładzie spanikowanego buhaja.

— Daleko jeszcze? — jęknął Kowalski.

Odpowiedź nadeszła z dziobu łodzi.

— Musimy przemierzyć cały Świat, aby dotrzeć do celu.

Jack stuknął palcem w ekran dotykowy. Nad konsolą pojawił się obraz. Przedstawiał mapę setek wysepek tworzących kontury siedmiu kontynentów.

Gray rozpoznał, że to kolejny projekt architektoniczny Dubaju o nazwie Świat. Stanowił jedno z najnowszych przedsięwzięć w mieście. Trzysta zlokalizowanych wzdłuż wybrzeża miniwysepek oferowano na sprzedaż prywatnym nabywcom. Zagrozały jednak tej inwestycji problemy finansowe i erozja piaszczystych terenów. Wyspy pozostały w większości opuszczone i niektóre z nich pochłaniało morze.

Migający czerwony punkcik na ekranie pokazywał pozycję łodzi, gdy przemierzali ten zaprojektowany przez człowieka archipelag.

Za szybą majaczyły mroczne zarysy jednej z wysepek. Kiedy ją okrążali, z piasku wyłoniła się zaniepokojona ich widokiem wielka raja i odpłynęła w mrok, uciekając od światła. Pojawiały się także inne okazy podmorskiej fauny, coraz liczniejsze, w miarę jak przemykali po płyciznach między wysepkami: po piaszczystym dnie biegały kraby pustelniki, falowały w wodzie różowe anemony i zielone trawy morskie, przemknęła obok nich jak torpeda samotna barakuda, migotały srebrem i olśniewającymi barwami ławice ryb.

Tucker nagle zaklął. Kain zaczął szczekać.

Gray odwrócił się i zobaczył wyłaniające się z mroku i przepływające nad nimi stado rekinów młotów. Wszyscy odruchowo pochylili głowy. Nie było realnego zagrożenia, ale

przypomniało im to o czyhających na nich niebezpieczeństwach.

Przez kilka minut płynęli w milczeniu, zostawiając Świat za sobą.

Czekały ich teraz głębsze wody.

*Duch* płynął w ciemnościach, zanurzając się powoli w otchłań i oddalając od brzegów. Mglista poświata księżycza zniknęła. Mieli tylko światła reflektorów.

Ale musieli je wyłączyć.

— Zaraz zrobi się ciemno — ostrzegł Jack. — Pod fotelami macie gogle.

Zanim Gray odnalazł swoje, zgasły wszystkie zewnętrzne światła. Otoczyła ich ciemność. Kowalski sapnął. Wnętrze łodzi oświetlały jedynie lampki konsoli.

Komandor wymacał pasek gogli, wy dobył je spod siedzenia i założył na głowę. Znów ukazał się jego oczom świat na zewnątrz łodzi, oświetlony teraz emitującymi podczerwień, umieszczonymi wzdłuż dziobu diodami LED. Dzięki goglom umożliwiającym postrzeganie tego pasma światła widział wszystko w szarych barwach.

— Nie chcę wpływać do Utopii w blasku reflektorów — wyjaśnił Jack. — Nawet pod wodą ktoś mógłby nas zauważyć. Na szczęście nie potrzebujemy światła. Zamontowałem specjalne promienniki podczerwieni do nocnych zanurzeń. Dzięki temu mniej zakłóca się spokój mieszkańcom morskich głębin.

No i można zachować dyskrecję, tak jak teraz, pomyślał Gray.

Zamierzali prześlizgnąć się pod okalającą wyspę siecią zabezpieczeń. System obrony radarowej na powierzchni miał służyć do wykrywania statków pirackich, takich jak te w Somalii, by nie docierały niepostrzeżenie do brzegów wyspy. Portu i nabrzeży strzegli dodatkowo uzbrojeni wartownicy, a pobliskie wody patrolowała niewielka flotylla motorówek.

Painter i Jack wymyślili już, jak dostać się na wyspę, ale najpierw musieli tam dopłynąć.

*Duch* sunął pod wodą jeszcze przez dwadzieścia minut, z cichym pomrukiem silników. Jack operował pedałami i drążkiem, prześlizgując się nad dnem morskim, niezliczonymi rafami i połaciami piasku.

Utopię, usytuowaną piętnaście kilometrów od brzegu, zbudowano na wodach o głębokości osiemdziesięciu metrów. Był to cud techniki, pierwsza sztuczna wyspa skonstruowana na morskich głębinach. Obraz na ekranie pokazywał wciąż, jaką drogę pokonują od wybrzeża. W jego górnej części wyłonił się właśnie czubek jednej z odnóg gwiazdzistej wyspy i przesuwiał się powoli w dół, w miarę jak *Duch* zbliżał się do celu podróży. Wkrótce zaczął być widoczny niezwykle kształt Utopii.

Ale nie tym przede wszystkim wyspa się wyróżniała.

Gdy zbliżyli się do czubka jednego z ramion gwiazdy, z ciemności wyłonił się potężny betonowy słup szerokości kilkunastu metrów. Przed nimi był cały las takich słupów. Stanowiły główny sekret technologiczny Utopii.

Była to nie tyle wyspa, co potężna nieruchoma platforma z umieszczonym na niej lądem.

Gray czytał historię Utopii. Zbudowano ją w oparciu o technologie opracowane przed laty przy wznoszeniu platformy wiertniczej Hibernia u wybrzeży Nowej Fundlandii w 1997 roku. Jako konsultantów zatrudniono w Dubaju tych samych inżynierów i firmę budowlaną.

Pod wieloma względami Utopia była łatwiejszym projektem. Platformę Hibernia budowano na głębszych wodach i na otwartym morzu, gdzie zdarzały się wysokie fale, atlantyckie zimowe sztormy i pływające góry lodowe. Tutaj wody były spokojniejsze, a przyroda mniej groźna. Co więcej, lokalizację wyspy wybrano ze względu na naturalne skaliste wybrzeże. Wzmocniono je i rozbudowano przy użyciu gładów i zbitego piasku, żeby utworzyć długi na sześć kilometrów

falochron w kształcie półksiężyca.

Pod taką osłoną powoli powstawała Utopia. Podobnie jak Hibernia i inne platformy wiertnicze, wyspa była konstrukcją opartą na prawie grawitacji, co oznaczało, że im większe miała obciążenie, tym bardziej stawała się stabilna i bezpieczna. Hibernia była wyższa, za to Utopia szersza i stanowiła jakby połączenie dwudziestu platform w plaster miodu o kształcie gwiazdy. Na tej masywnej podstawie, której górna powierzchnia leżała zanurzona na głębokości pięciu metrów, zastosowano tę samą technologię co podczas budowy Palm Dżamira: położono grubą warstwę potężnych głazów, po czym przysypano je piaskiem i utworzono betonowy fundament.

W ciągu pięciu lat z morza wyłoniła się nowa wyspa.

— Teraz najtrudniejsze zadanie — oznajmił Jack.

Skierował *Ducha* w las gigantycznych żelbetowych kolumn, na których wspierała się wyspa. Słupy wyrastały z dna morza, pomiędzy stert głazów i gór balastu. Jack zmniejszył prędkość do minimum.

Gray wyciągnął szyję i patrzył przez przezroczysty dach. Dostrzegał w oddali fundamenty platformy. Wyobrażał sobie, jaki dźwiga ona ciężar, ile stoi na niej wieżowców.

Kowalski jęknął.

Tym razem nie z powodu żartów Seichan.

Łódź przechyliła się nagle na bok.

Jack zaklął, zmagając się z drążkiem sterowym.

— Przepraszam — powiedział. — Prądy są tu zwodnicze. Jedno z pomocniczych źródeł zasilania wyspy w energię stanowią turbiny napędzane przez codzienne przyływy i odpływy oceanu. Przez te ruchy wody manewrowanie tutaj to koszmar.

Płynęli dalej jeszcze przez pięć potwornie długich minut. Wyspa w kształcie gwiazdy miała trzy kilometry szerokości, ale musieli pokonać pod jej powierzchnią tylko jedną czwartą tego dystansu. Mimo wszystko ta podróż była aż nadto stresująca.

— Sonar potwierdza, że jesteśmy na miejscu — oznajmił Jack, wskazując ku górze.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Wysoko nad ich głowami lśniła w ciemnościach niewielka gwiazdka. Jack zaczął wynurzać łódź, opływając spiralnie jedną z kolumn.

Gwiazda stawała się coraz większa i jaśniejsza, aż w końcu okazało się, że to promień światła przenikający przez szczelinę w platformie. Zaprojektowano celowo kilka takich szczelin dla eliminowania naprężeń materiału. Urbaniści wykorzystali z kolei te niezbędne technicznie rozwiązania przy planowaniu miasta.

— Wyłączam emisję podczerwieni — oznajmił Jack. — Możecie zdjąć gogle. Powinniście mieć tu dość naturalnego światła.

Gray ściągnął noktowizor. Czarno-biały świat nabrał nagle niebieskozielonych barw. Zalało ich padające z góry światło.

Jack zatrzymał łódź w miejscu. Wyrzucił balast, by wyrównać pływalność, i *Duch* uniósł się gładko przez szczelinę w grubej na sześć metrów platformie z betonu i stali.

Łódź wynurzała się teraz wolniej, płynąc naprzód, aż Gray zobaczył znów pod stopami wirujący piasek. Jack wpatrywał się w niewielki monitor na konsoli. Zaglądając mu przez ramię, komandor spostrzegł, że kapitan widzi przez peryskop cyfrowy świat na powierzchni.

— Chyba mamy wolną drogę — oznajmił Jack. Szum silników ustał i kilka sekund później dziób łodzi wbił się delikatnie w plażę. — Dalej nie dopłynę — oświadczył Jack, odwracając się. — Górny właz wystaje kilkanaście centymetrów nad wodę. Powinniście dotrzeć do brzegu

niemal suchą nogą.

Mylił się. Zanim Gray stanął na lądzie, był przemoczony do kolan. Seichan nie poszło lepiej. Tucker zszedł z pokładu ostatni, wspomagany przez Kowalskiego. We dwóch wyciągnęli z łodzi Kaina.

Gray zebrał swój zespół pod palmami, rosnącymi na skraju ciemnego stawu. Trudno było uwierzyć, że pod tym rajskim krajobrazem kryje się piekło betonowych kolumn, głazów i żelastwa. Kontrast był porażający.

Kowalski dołączył do nich, rozglądając się z podziwem.

Wokół rozciągały się łagodne wzgórza pokryte wypielęgnowanymi trawnikami i ozdobione palmami. Za terenami zielonymi wyrastały wieżowce, tworząc palisadę ze szkła i stali. Niektóre z budynków były ciemne, otoczone dźwigami, gdyż dopiero je wznoszono. Inne strzelały dumnie w niebo, lśniąc szybami, rzęsiście oświetlone i tętniące życiem.

W pobliżu miejsca, gdzie stali, zielone pagórki pokrywała krótko przystrzyżona trawa, w którą wbito numerowane chorągiewki. Oznakowane srebrzystym kolorem dołki w piasku były widoczne w blasku księżyca.

— Natrafiliśmy na pieprzone pole golfowe. — Kowalski pokręcił głową. — Trzeba przyznać, że ci Arabowie potrafią zrobić coś z niczego.

To prawda, pomyślał Gray.

Wrócił nad staw, który miał wiele funkcji: stanowił fragment pejzażu, był przeszkodą na polu golfowym i elementem strukturalnym.

Jack pozostał na pokładzie *Ducha*. Wychylając się przez właz, wskazał kciukiem na środek stawu.

— Zanurzę się, ale będę was wypatrywał przez peryskop. Gdybyście nie mogli tu wrócić, macie mój sygnalizator. Włączcie go, to was znajdzie.

— Dzięki. — Gray poklepał ręką po kieszeni koszuli, potwierdzając, że ma to urządzenie.

Jack wahał się przez chwilę, zanim zamknął właz. Wydawał się nieco zakłopotany, jakby chciał o coś zapytać, ale nie mógł się zdecydować.

— O co chodzi? — spytał komandor.

Jack westchnął.

— Może nie wypada pytać... ale jak sobie radzi Lisa?

Gray rozmawiał już z Painterem w Dubaju, wiedział więc o fatalnym położeniu Lisy i Kat i cały czas się o nie martwił. Ale Jack nie o to pytał. Komandor wyczytał w jego oczach, co go dręczy.

Czy jest szczęśliwa?

Odpowiedział na to pytanie najuczciwiej, jak potrafił.

— Radzi sobie doskonale.

Charleston, Karolina Południowa

2 lipca, godzina 17.46 czasu miejscowego

*Znajdź jakieś bezpieczne miejsce... nie pokazuj się na ulicy, ale bądź między ludźmi.*

Lisie dźwięczały w uszach te instrukcje. Szła po East Bay Street, czując przy każdym kroku szarpiący ból w nodze. Pocąc się w popołudniowym słońcu, starała się ukryć, że kuleje.

Gdy Painter ostrzegł ją, krzyżąc do telefonu, żeby uciekła z hotelu, zrobiła to bez wahania. Biegała każdego ranka sześć kilometrów, prawie co wieczór ćwiczyła jogę, a brat, który zawodowo wspinał się w górach, nauczył ją kilku szalonych sztuczek.

W panice, potrzebując mieć wolne ręce, upuściła komórkę i rzuciła się w kierunku balkonu. Słyszała za sobą trzask wyłamywanych drzwi, ale była już na zewnątrz; przeskakiwała przez poręcz z kutego żelaza. Zwisając w powietrzu, spuściła się po prętach metalowej balustrady, po czym zeskoczyła na chodnik.

Choć miała odpowiednie obuwie, lądowanie było na tyle twarde, że skręciła w kostce lewą nogę. Zerknąwszy w górę, zobaczyła zamaskowanego mężczyznę. Uniósł pistolet, ale zdążyła uskoczyć pod balkon, poza linię strzału. U góry rozległy się krzyki, a potem strzały.

Zaczęła biec.

Nie miała żadnego planu, chciała tylko oddalić się jak najbardziej od hotelu. Mogła uciekać do położonego nad wodą parku albo w labirynt wąskich uliczek, przy których stały zabytkowe rezydencje ze staroświeckimi werandami, filigranowymi rzeźbami w drewnie i kolorowymi ogródkami. Wybrała tę drugą opcję, nie ufając otwartej przestrzeni parku. Poza tym ulice, sklepy i kawiarnie pełne były turystów i miejscowych. Instynktownie wyczuwała, że powinna trzymać się miejsc publicznych.

Dopiero po dwudziestu minutach serce przestało jej walić jak młotem, a poziom adrenaliny spadł na tyle, by mogła rozsądnie myśleć. Nadal jednak oglądała się za siebie — nie wiedząc, kogo wypatrywać ani ilu ludzi ją ściga. Każdy mógł stanowić zagrożenie. Była pozbawiona pieniędzy i telefonu i nie знаła w tym obcym mieście nikogo, komu mogłaby zaufać. Zwróciła się więc do jedynej osoby, która mogła jej pomóc.

Pożyczyła telefon od klienta siedzącego na dziedzińcu kawiarni i zadzwoniła do Paintera. Nie potrafiła powiedzieć, które z nich poczuło większą ulgę, słysząc głos drugiego, ale Painter pozostał oschły i oficjalny. Rozkazał jej, żeby nie pokazywała się na ulicy, obawiając się, że napastnicy mogą robić obławę w dzielnicy i szukać jej.

— Ale bądź między ludźmi — powiedział.

Oznaczało to, że potrzebowała zamkniętej przestrzeni: baru, restauracji, lobby hotelu.

Zauważyła jakiś ruch w bocznej brukowanej alejce. Zebrała się tam grupa kobiet w eleganckich sukniach i mężczyzn w smokach; śmiali się i obejmowali na powitanie. Wyglądało na to, że w restauracji odbywa się wesele albo przyjęcie zaręczynowe, a sądząc z kosztownych strojów i karolińskiego akcentu wytwornych gości, była to impreza rodu z tradycjami.

Doskonale.

Starając się nie utykać, poprawiła włosy, by wyglądać stosownie do restauracji tej klasy. Miała nadzieję, że przyjęcie jest zorganizowane w osobnym pomieszczeniu, a dla niej znajdzie się jeszcze miejsce w głównej sali albo w barze.

Nad wejściem migotało światło niewielkiej latarni gazowej.

McCRADY'S.

Wszedłszy do restauracji, przecisnęła się przez tłum gości — zgodnie z jej oczekiwaniami, wszyscy udawali się na górę, do oddzielnego pomieszczenia. Zwróciła się do szefa sali.

— Przepraszam. Niestety, nie mam rezerwacji. Liczyłam na wolny stolik.

Szef sali, szczipły mężczyzna o wytwornych manierach, uśmiechnął się.

— O tak wczesnej porze nie powinno być problemu. Proszę dać mi chwilę.

Lisa odeszła na bok, ale czekała na stojąco. Bała się, że jeśli usiądzie, już się nie podniesie. Noga bolała ją aż do kolana. Aby czymś się zająć, przeczytała z niewielkiej tabliczki historię restauracji. Budynek pochodził z 1788 roku. W ciągu stuleci służył jako magazyn, tawerna, a nawet burdel. Podobno Jerzy Waszyngton uczestniczył tu kiedyś w wystawnym przyjęciu — chyba nie w czasach, gdy w budynku był dom publiczny.

Nic dziwnego, że elita Charlestonu wybierała miejsce z takim rodowodem na specjalne uroczystości. Z góry słychać było śmiech i muzykę.

Przez lobby przeciskało się kilka kolejnych osób spóźnionych na przyjęcie. Sądząc po koronkach i ufryzowanych siwych włosach, były to damy z najwyższych sfer śmietanki towarzyskiej Charlestonu.

— Proszę za mną — powiedział szef sali, odwracając uwagę Lisy od dam. — Pani stolik jest gotowy.

Jedna ze starszych pań spojrzała w jej kierunku, mierząc ją wzrokiem z wysokości swej pozycji społecznej, po czym nachyliła się do drugiej kobiety i szepnęła jej coś do ucha. Po chwili w Lisę wpatrywała się także druga para oczu, oceniając ją.

Lisa, czując się nagle nieswojo, wygładziła ręką sukienkę i podążyła za szefem sali.

Pochylił się ku niej i oznajmił konspiracyjnym tonem:

— Na górze odbywa się bal kotylionowy. Jest teraz na nie sezon.

Lisa wyobraziła sobie przyjęcie, lśniące szyfonami i brylantami, na którym debiutuje oficjalnie młoda kobieta, przyjmowana w szeregi śmietanki towarzyskiej. Bale tego rodzaju niegdyś pełniły funkcje serwisów randkowych: przedstawiano córkę, którą chciano wydać za mąż, kawalerom z wyższych sfer.

Były to swego rodzaju arystokratyczne targi bydła.

— To bardzo ekskluzywne przyjęcie — wyjaśnił szef sali, prowadząc ją do stolika. Uniósłszy brew, dodał: — Jakaś daleka krewna prezydenta.

Lisa poczuła się lepiej. Z pewnością nikt nie ośmielił się tu wtargnąć. Idąc do głównej sali, starała się nie utykać. Coś jednak musiało ją zdradzić, może lśnienie skóry albo blask oczu.

— Dobrze się pani czuje? — spytał szef sali, podsuwając jej krzesło, gdy dotarli do stolika.

— Wszystko w porządku. — Uśmiechnęła się do niego, ale nie wypadło to przekonująco. — Po prostu długi dzień zakupów.

— Oczywiście — odparł uprzejmie, mierząc ją jednak przez chwilę wzrokiem i najwyraźniej zauważając brak torebki. — Czy przyjdzie ktoś jeszcze?

Zerknęła na zegarek. Mam nadzieję, że nie, pomyślała. Painter kazał jej gdzieś się zaszyć i do niego zadzwonić. Jego ludzie byli już w drodze do miasta, żeby ją przejąć. Wzięła do ręki

jadłospis. Miała nadzieję, że uregulują również jej rachunek. Potrzebowała czegoś mocniejszego w wysokiej szklance, bez lodu.

— Moje towarzystwo chyba się spóźnia — oznajmiła. — I niestety zapomniałam komórki. Jest tu jakiś telefon, z którego mogłabym skorzystać?

— Z przyjemnością go pani przyniosę.

— Znakomicie. Dziękuję.

Usiadła wygodnie, pogrążając się w cichym gwarze gości spożywających wczesną kolację. Restauracja miała kolonialny urok, ze swym belkowanym sufitem, drewnianą podłogą, ceglanyścianami i kominkiem na tyle wysokim, że można było do niego wejść, nie pochylając głowy.

Szef sali wrócił z telefonem komórkowym. Zamówiła drinka u kelnera — pojedynczą słodową whisky.

— Poproszę Macallana. Osiemnastoletniego.

Drogi trunek, ale przepisała go sobie jako lekarka.

To pójdzie zdecydowanie na rachunek Sigmy.

Wybrała bezpieczny numer Paintera — nie tylko po to, by go poinformować, gdzie się zaszła. Nie mogła się też doczekać wiadomości na temat Kat.

Usłyszała kliknięcie w telefonie.

— Gdzie jesteś? — spytał od razu Painter i odetchnął z ulgą, gdy podała mu adres. — Moi ludzie dotrą do ciebie za piętnaście minut. Nie ruszaj się stamtąd.

— Nigdzie się nie wybieram. — Kelner przyniósł jej drinka. Whisky drżała w szklance, kiedy wzięła ją do ręki. Wypiła łyk, by się uspokoić. Szlachetny trunek przyjemnie ją rozgrzał. — Jestem tu bezpieczna. — Starła się uspokoić Paintera i siebie. — Mam drinka i otaczają mnie ludzie. Cała elita Charlestonu. — Słyszała muzykę dochodzącą z balu u góry. — Odbywa się tutaj przyjęcie. Z udziałem jakichś dalekich krewnych prezydenta Ganta. Zresztą w Charlestonie chyba na każdym kroku spotyka się kogoś z jego rodziny.

Painter wypowiedział następne słowa zbyt szybko, trochę się krztusząc.

— Czy ktoś cię rozpoznał?

Prychnęła z niedowierzaniem.

— Oczywiście, że nie. Niby dlaczego krewni prezydenta...

— Jesteś pewna?

Nagle udzieliła jej się panika, którą słyszała w jego głosie. Spojrzała w kierunku drewnianego sufitu, skąd dochodziło dudnienie muzyki i śmiech. Przypomniała sobie spojrzenia wytwornych dam i ich szepty.

— Painter, o co tutaj chodzi?

— Chcę, żebyś się stamtąd wyniosła. Natychmiast!

Lisa spojrzała na szklankę drogiej whisky, którą trzymała w dłoni.

— Nie mam jak zapłacić za drinka. Jeśli teraz ucieknę, narobię zamieszania i jeszcze bardziej zwrócę na siebie uwagę.

Nie była zresztą pewna, czy da radę uciekać ze skręconą kostką. Teraz, po kilku minutach siedzenia, wystarczyło, że lekko poruszyła nogą, a ból przenikał aż do biodra.

Zniżyła głos.

— Co przede mną ukrywasz? Z trudem się poruszam... Muszę wiedzieć, co mi grozi.

Zaległa cisza. Wyobraziła sobie, jak Painter pociera palcem zmarszczkę między brwiami, zastanawiając się, ile jej powiedzieć, albo kalkulując swój następny ruch. Po latach zajmowania



stanowiska dyrektora miał tę zmarszczkę coraz głębszą, a ciągle pocieranie czoła nie wróżyło, by kiedykolwiek miała zniknąć.

— Powiedz mi wreszcie — poprosiła, zmęczona wszystkimi półprawdami i tajemnicami.

W końcu odezwał się.

— Nikomu o tym nie wspominałem. Ani Kat, ani Grayowi, ani ludziom z Sigmy — mówił pośpiesznie. — Nawet tobie. Dotąd było to tylko niepokojące podejrzenie, ale kilka minut temu otrzymałem informację, która chyba je potwierdza.

— Czego dotyczy?

— Gildii.

Lisę przeniknął chłód. Wiedziała, że zdaniem Paintera za porwaniem Amandy mogła stać ta niebezpieczna organizacja. Czyżby miał na to dowody?

Kolejne słowa wyartykułował ostrożnie, jakby po raz pierwszy wypowiadał je na głos.

— Wiem, kto kieruje Gildią.

— Kto?

— Rodzina prezydenta.

Potrzebowała chwili, by otrząsnąć się z szoku. Z pewnością Painter żartował. Próbowwała ułożyć sobie wszystko w głowie, zrozumieć, czy to może być prawdą. Wniosek był tylko jeden.

— To niemożliwe — powiedziała słabym głosem.

— Dlatego nikomu o tym nie mówiłem, dopóki nie znalazłem dowodów. Wyjaśnię ci więcej, jak wrócisz do Waszyngtonu. — W jego następnych słowach brzmiało ostrzeżenie. — Teraz już rozumiesz, Liso. Uciekaj stamtąd, najdyskretniej jak możesz.

Mimo strachu z trudem hamowała wściekłość, że ukrywał to przed nią... i nie tylko przed nią.

— A co z Kat?

— O nią się nie martw... Po prostu wyjdź z tej restauracji.

Obiecała, że to zrobi, i zatrasnęła klapkę telefonu. Spojrzała w sufit, nadal nie mogąc uwierzyć jego słowom. Musiała ufać, że się nie myli. Szykując się do wyjścia, wypila jednym haustem resztę whisky — było to marnowanie doskonałego trunku, ale musiała się wzmocnić.

Wstała ostrożnie, trzymając się oparcia krzesła. Nie mogła już ukrywać, że kuleje. Podeszła, utykając, do stanowiska szefa sali.

— Czy na pewno dobrze się pani czuje?

Nie. Bynajmniej, pomyślała.

— Wszystko w porządku — skłamała, pokazując mu telefon. — Słaby tutaj zasięg. Mogę dokończyć rozmowę na zewnątrz?

— Oczywiście. Pomogę pani.

— Nie ma potrzeby. — Pospieszyła do drzwi i wyszła z budynku. Zrobiła kilka kroków, ale nierówne kamienne schody okazały się zbyt dużym wyzwaniem. Potknęła się i omal nie upadła.

Jakiś mężczyzna rzucił się na pomoc i w porę ją złapał.

— Dziękuję... — wymamrotała, lecz gdy podniosła wzrok, zobaczyła twarz doktora Paula Cranstona, szefa kliniki.

Przytknął jej do boku broń.

Od tyłu podeszli do niej jeszcze dwaj mężczyźni.

Lekarz uśmiechnął się.

— Cóż, doktor Cummings, pora dokończyć naszą rozmowę. — Skinął na pozostałych.

Silne ręce zacisnęły się na ramionach Lisy — wystarczająco, by spowodować siniaki — ale

to był najmniejszy z jej problemów.

Spojrzała ponownie w jasno oświetlone okno na piętrze, skąd dobiegały dźwięki fortepianu. Cranston prychnął pogardliwie.

— Domyślam się, co pani podejrzewa, ale proszę się nie obawiać, nie ma pani aż takiego pecha. Ta część rodziny nie wie nic ważnego, potrafią tylko wydawać pieniądze i wściubiać nos w sprawy zwykłych śmiertelników. Śledziliśmy panią od hotelu. Miałem swoich ludzi na zewnątrz, gdy pani zdecydowała się na śmiałą ucieczkę.

Lisa wpatrywała się w niego.

— Mieliśmy nadzieję, że doprowadzi nas pani do swojego współnika — ciągnął, wyjmując z kieszeni długopis. To była miniaturowa kamera Kat. Musieli znaleźć ją w lobby, ale najwyraźniej nadal nie wiedzieli, kto ją podrzucił. — Szkoda — dodał, prowadząc Lisę przed sobą. — Chyba będziemy musieli zastosować drastyczniejsze metody. Ale bez względu na trudności, znajdziemy pani współnika.

Godzina 18.16

Kat usłyszała brzęczenie przy lewym uchu. Długie loki kasztanowych włosów opadły na podłogę, obok sterty tych, które leżały już wokół krzesła.

Czując nadal suchość w ustach od narkozy, siedziała na zimnym metalowym krześle na środku okrągłej sali, ubrana tylko w szpitalną koszulę. Ręce miała skute za plecami i musiała znosić upokorzenia, którym ją poddawano. Z pewnością chodziło o to, żeby ją złamać.

Druga więźniarka — młoda, dwudziestoparoletnia kobieta o oczach łani — przyglądała się Kat zza szklanych drzwi swojej celi, oferując jej milczące wsparcie. Oprócz nich nie było tam nikogo więcej. Pozostałe cele stały puste. Klinice brakowało najwyraźniej materiału do eksperymentów.

Kat przypomniała sobie, jak doktor Marshall wspominała coś o jakiejś „łóży”.

*Potrzebują kolejnych osobników do badań.*

To musiał być jeden z celów ich działalności: dostarczanie ludzkich królików doświadczalnych do różnych projektów, znajdowanie kobiet bez przeszłości i rodziny, które mogły łatwo zniknąć. Zapewne nie było to jedyne takie miejsce na świecie. Wyobrażała sobie, że na całym globie jest ich wiele.

Ale czemu to służyło? Co się tu odbywało?

Kątem oka Kat obserwowała czerwone stalowe drzwi i krzyż z kodem genetycznym.

W tej klinice działo się coś ważnego.

I wiedziała, że tajemnica kryje się za tymi drzwiami.

Wcześniej kazano Kat rozebrać się do naga w celi i doktor Marshall zbadała ją dokładnie w asyście sanitariusza, Roya. Potem lekarka zniknęła z tacą probówek pełnych jej krwi.

Kat zaciskała dłonie w pięści, gdy Roy ścinał jej ostatnie włosy. Zabrali jej ubranie i resztki godności, ale zaczeka na odpowiedni moment, by wszystko odzyskać.

— Gotowe — oznajmił sanitariusz, przesuwając dłonią po szczecinie na jej głowie i sprawiając, że przeniknął ją dreszcz. — Zawsze tak się reaguje świeżo po strzyżeniu.

Kat szarpnęła głową.

— Idź do diabła!

— Zadziorna jesteś — odparł ze śmiechem i spojrzał w kierunku zamkniętych drzwi, najwyraźniej wypatrując doktor Marshall.

Pewnie przez większość dnia lekarka rugała go i wydawała mu rozkazy, czerpał więc

przyjemność z wyładowywania frustracji na tych, których miał pod swą czułą opieką.

Sięgnął ręką po broń przymocowaną do paska. Nie był to elektryczny paralizator, jakim posługiwała się doktor Marshall, tylko rozsuwana pałka. Zdążył już jej użyć, uderzył Kat po łydkach, gdy zbyt powoli się rozbierała.

Nadal piekła ją w tym miejscu skóra.

Zauważyła też pręgi na rękach i nogach drugiej więźniarki.

Łajdak...

Roy wyjął pałkę zza paska i zręcznym ruchem ręki rozsunął ją na całą długość, najwyraźniej rekompensując sobie tym inne braki.

— Nie będziesz sprawiać kłopotów, prawda? — szepnął jej szyderczo do ucha.

Zacisnęła zęby i zwiesiła głowę.

— Tak już lepiej. — Przytknął Kat pałkę do ramienia, pochylił się i zdjął jej kajdanki. — Wstań. Trzymaj ręce za plecami.

Posłuchała, mając lekkie zawroty głowy z powodu środków usypiających. Gdy odwróciła się do Roya, poczuła podmuch zimnego powietrza przez rozcięcie w szpitalnej koszuli. Trzymała ręce z tyłu.

Roy podsunął jej pałkę pod brodę, zmuszając ją do podniesienia głowy.

— Tak jest bardziej...

Błyskawicznym ruchem chwyciła za pałkę i przyciągnęła ją do siebie. Roy był całkowicie zaskoczony. Kat zatoczyła szeroki łuk drugą ręką, w której lśniło srebrne ostrze. Wbiła mu nóż w gardło pod krtanią, uszkadzając tchawicę.

Roy wpatrywał się w nią zdumiony, bulgocząc krwią i nie mogąc krzyknąć — ale rozumiała jego nieme pytanie.

Jakim cudem?

— Ponieważ ta kocica ma pazury! — odpowiedziała mu, sycząc.

Przekreśliła mocno sztylet bojowy. Krew spryskała na odległość metra nieskazitelnie czystą winylową posadzkę. Roy wykrwawił się w ciągu kilku sekund. Jego ciało upadło bezwładnie na podłogę.

Wytarła ostrze o jego ubranie i złożyła nóż. Gdy Roy wtrącił ją do celi, czekając, aż narkotyk przestanie działać, zdjęła na wpeł przytomna lewy but i wydobyla ukryty w podeszwie składany wojskowy sztylet. Zostawiła schowany w prawym bucie wytrych. Niestety, nie mogła sięgnąć do zamka na zewnątrz. Gdy założyła ponownie but, ukryła nóż pod fałdą koca.

Później, kiedy ją rozebrali, zbadali i pokłuli igłami, skorzystała z okazji, że jest przez chwilę sama, gdy wkładała szpitalną koszulę. Przez rozcięcie na plecach wsunęła sobie składany nóż między pośladki i mocno je zacisnęła. Nie był to najstosowniejszy sposób ukrycia broni, ale czasem dama musi zrobić to co konieczne.

Potem czekała, aż zostanie z sanitariuszem sama.

Wiedziała, że nie będzie miała drugiej szansy.

Wykorzystując sytuację, błyskawicznie zabrała Royowi klucze, elektroniczną przepustkę i pałkę. Podbiegła do drugiej celi i otworzyła ją.

Młoda kobieta wyszła na chwiejnych nogach, wpatrując się w martwe ciało Roya.

— Dziękuję... jestem Amy.

— Chodź — ponagliła ją Kat.

Przeszła przez salę do sterty swoich rzeczy i włożyła szybko szorty, bluzkę i buty. Wsunęła do kieszeni nóż i wręczyła Amy pałkę.

Amy zacisnęła broń w palcach i spojrzała w kierunku wyjścia.

— Na korytarzu są uzbrojeni strażnicy. Nie wiem, jak koło nich przejdziemy. — Zauważyła, że Kat patrzy na czerwone stalowe drzwi w głębi oddziału. — Dwa tygodnie temu wprowadzili tamtędy moją siostrę.

— Więc tam właśnie pójdziemy — oznajmiła Kat.

Nie zamierzała opuścić kliniki, póki nie odkryje, co się tam dzieje.

Amy pozostała przy swojej wybawicielce, gotowa za nią iść.

— Weź przepustkę — rozkazała Kat. — Dowiemy się, co stało się z twoją siostrą.

Amy skinęła energicznie głową.

Kat chwyciła torebkę. Otworzyła ją i wyjęła długopis z kamerą, którą wcześniej aktywowała. Wsunęła go do kieszeni bluzki tak, by obiektyw wystawał na zewnątrz.

Jeśli mi się nie uda, niech przynajmniej pozostanie jakiś zapis.

Pobiegły razem na drugą stronę oddziału. Gdy dotarły do drzwi, Kat wzięła od Amy kartę magnetyczną i przeciągnęła ją przez czytnik. Zadudniły metalowe tryby. U góry rozbłysła czerwona lampka, prawdopodobnie podłączona do alarmu przy wartowni na zewnątrz. To miejsce było tak zabezpieczone, by ktoś wiedział, że te wrota się otwierają.

Jak szybko się zjawią, by sprawdzić, co się dzieje?

Ciężkie drzwi rozwarły się szerzej przy akompaniamencie cichego syku sprężonego powietrza.

Gdy Kat zajrzała do środka, Amy zaczęła krzyczeć.

Waszyngton

Godzina 18.18 czasu miejscowego

— Przesłuchać wszystkich w tej cholernej restauracji!

Painter chodził tam i z powrotem po centrum łączności w centrali Sigmy i ze słuchawką w uchu dowodził oddziałem, który poszukiwał w Charlestonie Lisy. Jego ludzie dotarli w końcu na miejsce.

— Kiedy dostaniemy nagrania z kamer ulicznych? — spytał jednego z analityków, który siedział przy konsoli.

— Za pięć, dziesięć minut.

Odwrócił się sfrustrowany.

Liso, gdzie się podziewasz?

Gdy kazał jej wyjść z restauracji, spodziewał się, że zadzwoni w ciągu paru minut i powie mu, gdzie jest, żeby jego ludzie mogli ją zgarnąć. Ale tak długo już się nie odzywała, że zaczął wpadać w panikę.

— Panie dyrektorze — odezwał się inny technik, wskazując na ciemny monitor. — Nadal nie mam żadnego obrazu z kamery kapitan Bryant. Tej, którą podłożyła w recepcji kliniki. Została wykryta albo wyczerpała się bateria.

Painter skinął głową, przyjmując to do wiadomości, po czym zakomunikował dowódcy swojego oddziału:

— Wyślij dwóch ludzi do kliniki. Chcę wiedzieć dokładnie, co się tam dzieje.

— Tak, panie dyrektorze. Skończyliśmy już przesłuchiwać personel restauracji. Potwierdzają, że była tam kobieta odpowiadająca rysopisowi doktor Cummings. Zamówiła drinka, a potem nagle, bez widocznej przyczyny, wybiegła z budynku. Szef sali widział, jak rozmawiała na zewnątrz z trzema mężczyznami, i twierdzi, że z nimi odeszła. Podobno

informowała go, że kogoś oczekuje.

Painter przymknął oczy. Lisa czekała na jego ludzi.

To wszystko nie miało sensu.

— Poszerzyć obszar poszukiwań — rozkazał. — Sprawdźcie, czy ktoś zauważył, dokąd poszli.

— Tak, panie dyrektorze.

Krew dudniła mu w skroniach — usłyszał jednak od drzwi basowy głos.

— Dyrektorze Crowe... poproszę na słowo...

Odwrócił się i zobaczył w progu swego szefa, dyrektora DARPA, generała Metcalfa. Garnitur, który nosił od rana, wyglądał wciąż świeżo i był nienagannie odprasowany. Na twarzy generała malowało się jednak zmęczenie, miał zaczerwienione oczy i obwisłe policzki.

— Panie generale...

— Musimy porozmawiać.

To nie wróżyło nic dobrego. Metcalf rzadko zaglądał do centrali Sigmy. Wolał e-maile, faksy i telefony. Jego obecność zapowiadała kłopoty.

Painter zacisnął i rozluźnił pięść. Nie chciał, żeby mu przeszkadzano, ale nie miał wyboru.

— Możemy skorzystać z gabinetu kapitan Bryant.

Zaprowadził Metcalfa do oszklonego pomieszczenia obok centrum łączności i wyprosił Jasona Cartera z fotela Kat. Młody analityk pracował nadal nad prywatnym projektem Paintera.

— Daj nam parę minut — powiedział do chłopaka, a gdy został sam z Metcalfem, spytał: — O co chodzi?

— Byłem na spotkaniu z sekretarzem obrony i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Pojawił się tam też prezydent.

Painter słyszał, jak jego serce uderza w rytm wojskowych werbli.

— I? — spytał, przeczuwając, na co się zanosi.

— Likwidujemy Sigmę.

Painter pokręcił głową, nie okazując niesubordynacji, tylko niedowierzanie. Spodziewał się ostrej reakcji ze strony naczelnego dowódcy armii, ale nie takiej, i z pewnością nie tak szybko.

— Kiedy? — zapytał.

Twarz Metcalfa wyrażała żal, ale głos mu się nie załamał.

— Macie wstrzymać natychmiast wszystkie działania.

Painter czuł się tak, jakby otrzymał cios poniżej pasa.

— Panie generale, mam agentów w terenie, wielu z nich grozi niebezpieczeństwo.

— Niech ich pan odwoła. Proszę przekazać te operacje lokalnym władzom albo dowództwu wojskowemu.

— A jeśli odmówię... jeśli agenci się sprzeciwią...?

— Wszelkie dalsze działania zostaną uznane za nielegalne i w każdym przypadku ustalimy odrębnie, czy nie nastąpiło naruszenie prawa.

Painter wciągnął głęboko powietrze, spoglądając na ludzi pracujących intensywnie w centrum łączności za szybą. Katem oka zerknął na projekt, nad którym pracował Jason — mapa genealogiczna rodziny Gantów obracała się powoli na ekranie, spiralna galaktyka władzy, zimna i bezduszna jak wszystkie ciała niebieskie.

W tym momencie pojął prawdę.

Gildia zwyciężyła.

— Niech pan zamknie Sigmę — rozkazał Metcalf. — I odwoła wszystkich z terenu.

## U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 2.18 czasu miejscowego

Gray przycupnął ze swoją ekipą na skraju ciemnego pola golfowego, ukryty w cieniu budynku klubu. Księżyc schował się za chmury, gdy szli po trawie, przemykając między palmami. Mimo ciemności rzęsście oświetlone piętra kilku sąsiednich wieżowców rzucały blask, jak reflektory, na pagórkowate trawniki.

Zgodnie z tym, co usłyszeli na odprawie, większość strażników patrolowała wybrzeża i port, ale nie mogli wykluczyć, że zauważy ich jakiś pojedynczy ochroniarz.

Teraz jednak mieli do rozwiązania inny problem. Przed chwilą Gray zadzwonił przez telefon satelitarny do Paintera, by potwierdzić, że dotarli do Utopii. Zaczynał żałować, że to zrobił.

— Co się stało? — spytała Seicham, widząc wyraz jego twarzy.

— Rozkazano nam przerwać misję i wracać do Stanów — oznajmił wszystkim. — Najwyraźniej jakieś szychy w Waszyngtonie potrzebują kozła ofiarnego, by obarczyć kogoś odpowiedzialnością za śmierć córki prezydenta.

— I to mamy być my — wymamrotał z przekąsem Kowalski.

— Painter próbuje się odwoływać, ale kazano mu nas oficjalnie poinformować, żebyśmy zbierali manatki.

— Ale Amanda przecież nie zginęła — zauważył Tucker. — Czemu dyrektor nie powie tego prezydentowi?

Gray wyjaśnił im już rozumowanie Paintera, gdy byli w Somalii. Córka prezydenta miała najwięcej szans na przeżycie, jeśli dokonają precyzyjnego uderzenia, atakując wrogów, gdy będą oni przekonani, że dziewczyny nikt już nie szuka.

Nie zgadzał się jednak z tą decyzją. Uważał, że rodzina prezydenta ma prawo znać prawdę, i teraz wszyscy cierpieli z powodu taktyki Paintera. Gray wyczuwał także, że dyrektor nie mówi im wszystkiego, że coś ukrywa.

Cokolwiek to jednak było, musiało poczekać.

Należało podjąć jakąś decyzję.

— Może Painter poinformuje prezydenta, odwołując się od tej decyzji? Ale co mu powie? Nie mamy pewności, że Amanda jeszcze żyje. Wiemy tylko, że zwęglone zwłoki w obozie to nie były szczątki jego córki. Musimy dokonać wyboru: wrócić na pokład *Ducha* albo iść naprzód. Jeśli zignorujemy wyraźne rozkazy i nam się nie powiedzie, mogą postawić nas przed sądem. A kontynuując akcję, będziemy mieli ograniczone wsparcie.

Gray rozejrzał się po twarzach swoich ludzi.

Seichan wzruszyła ramionami.

— Ja i tak jestem poszukiwana. Co znaczy jedno przestępstwo więcej?

— A ja nie należałem nigdy oficjalnie do Sigmy — zauważył Tucker. — Kaina i mnie nie obowiązują te rozkazy.

Komandor spojrział na ostatniego ze swych towarzyszy.

Kowalski westchnął ciężko.

— I tak mam już przemoknięte spodnie, więc co tam, do cholery...

— Więc ustalmy, gdzie zaczynamy poszukiwania. — Gray wziął do ręki telefon i ściągnął na ekran szczegółową trójwymiarową mapę wyspy. — To są firmy i posiadłości, które mogą mieć powiązania z Gildią.

— Chwileczkę — wtrąciła Seichan. — Skąd Painter to wie?

Spojrział na nią, marszcząc brew. W nawale informacji nie pomyślał, by zadać to pytanie.

Seichan musiała wyczytać to w jego oczach. Pokręciła głową z niemym wyrzutem, że znowu coś mu umknęło. Gray zacisnął palce na telefonie, zirytowany zarówno swoim błędem, jak i tym, że Seichan mu go wytknęła.

Weź się w garść, upomniał się.

— Mów dalej — powiedziała Seichan.

— Jeśli Amanda jest na wyspie, znajdziemy ją zapewne na tym zaznaczonym terytorium.

— To duży obszar — zauważył Tucker.

— Dlatego zaczniemy tutaj, w najbardziej prawdopodobnym miejscu, zataczając coraz większe kręgi. — Gray wskazał na środek krzyża.

— Miejsce zaznaczone krzyżykiem — mruknął Kowalski. — Wygląda, do cholery, jakbyśmy szukali zakopanego skarbu piratów.

Komandor wyprostował się.

— I miejmy nadzieję, że wciąż tam jest.

Opuścił rękę z telefonem i ruszył ku środkowi wyspy, w kierunku lśniącej centralnej osi, wokół której obracała się gwiazda. Ale tak naprawdę ruchoma była nie wyspa, lecz wieżowiec. Jego kolejne piętra, z których każde miało kształt równoległoboku, nieco przesuniętego w stosunku do poprzedniego, tworzyły potężny korkociąg, lecz najbardziej zdumiewał fakt, że każda kondygnacja poruszała się niezależnie od pozostałych, tworząc dynamiczną strukturę, zasilaną przez turbiny wiatrowe i panele słoneczne. Był to fascynujący widok, gdy wieżowiec obracał się powoli, zmieniając kształt jak w pustynnej fatamorganie.

— To Burdż Abadi — wyjaśnił Tucker, podając nazwę budynku, który stanowił centralną oś Utopii. — Wieczny Wieżowiec.

Pięćdziesięciopiętrowy budynek wzniesiono w ciągu zaledwie osiemnastu miesięcy — wyłonił się z morza równocześnie z wyspą.

Gray wyczuwał, że jeśli cokolwiek na tej wyspie ukrywano, to właśnie tutaj, w sercu Utopii. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Zwrócił się do Tuckera i Kaina:

— Czas zabrać się do pracy.

Godzina 2.22

Tucker — a raczej Kain — prowadził.

Owczarek biegł całą przecnicę przed nimi po opustoszałej alei, która prowadziła jedną z odnóg gwiazdzistej wyspy. Tucker słyszał w lewym uchu sapanie partnera i spoglądał jednym okiem na ekran z przekazem z kamery, czy nie widać gdzieś uzbrojonych strażników albo jakiegoś zabłąkanego mieszkańca Utopii.

Pokonując prawie pół kilometra dzielące ich od celu wyprawy, trzymali się w miarę możliwości w cieniu. Po obu stronach ulicy i wzdłuż jej środkowego pasa rosły rzędami palmy.

Niektóre były jeszcze w potężnych skrzyniach i czekały na przesadzenie.

Cała wyspa sprawiała nieco surrealistyczne wrażenie — przypominała dziecięcy model miasta, którego fragmenty należało dopasować i przykleić we właściwym miejscu.

Ale gdy znaleźli się bliżej środka gwiazdy, pejzaż stał się mniej fragmentaryczny. Budynki były wyższe, bardziej lśniące i rozświetlone. Pojawiły się oznaki życia: pojedynczy wózek golfowy albo samochód na pustym parkingu, niewielki sklep spożywczy z towarami na półkach, świecący neon w oknie koreańskiej restauracji.

Mimo to Tucker podejrzewał, że na wyspie mieszka tylko garstka ludzi i większość z nich ma zapewne jakieś powiązania z Gildią.

Ta terrorystyczna organizacja wydawała mu się nadal wymysłem autora jakiejś taniej powieści sensacyjnej. Ale miał do czynienia z wieloma różnymi grupami najemników, prywatnymi oddziałami żołnierzy o równie barwnych nazwach: Szabla, Tytan, Globalna Siła. I choć nie był zwolennikiem teorii spiskowych, wiedział, że w branży wojskowo-przemysłowej szerzą się zmywy i korupcja, co prowadzi do powstawania wielu tajnych organizacji, z którymi powiązane są siły zbrojne, agencje wywiadu, ambicje polityczne, a nawet projekty naukowe.

Więc co znaczyła jedna więcej?

Kowalski odciągnął go wcześniej na bok i powiedział mu, co przydarzyło się matce Pierce'a, dając do zrozumienia, że mieli już wcześniej zatargi z tą organizacją. Bez względu więc na to, jaką nosiła nazwę, Tucker i pozostali wkraczali na jej teren, zamierzał zatem zachowywać ostrożność.

Dotyczyło to również jego partnera.

— Powoli — powiedział przez mikrofon do Kaina.

Obraz na ekranie telefonu przestał skakać, gdy owczarek zwolnił. Odwróciwszy się, Tucker dał ręką znak pozostałym, by schowali się za zaparkowanym na ulicy żółtym hummerem. Motorówka na przyczepie za pojazdem zapewniała dodatkową osłonę. Przecnicę dalej aleja skręcała — podobnie jak w czterech pozostałych odnogach gwiazdy — do centralnego parku, który otaczał obracający się wieżowiec Burdż Abadi.

Wieczna Wieża wznosiła się jak lśniący posąg w nocne niebo. Każda kondygnacja obracała się powoli, co sprawiało wrażenie, że cała konstrukcja chwieje się lekko w podmuchach morskiej bryzy. Tylko pięć dolnych pięter było nieruchomych. Znajdowało się tam lobby i pomieszczenia techniczne, w tym elektrownia, gromadząca energię wytwarzaną przez turbiny wiatrowe rozlokowane pomiędzy piętrami.

— Nie powinniśmy podejść bliżej? — spytał Gray.

— Nie ma potrzeby — odparł Tucker. — W parku jest ciemno, mnóstwo tam drzew i miejsc, gdzie można się ukryć. Nie chcę wpaść przypadkiem na jakiegoś strażnika. Kain lepiej sobie poradzi.

— On ma rację — zgodziła się Seichan.

— Mnie pasuje — rzucił Kowalski, tęsknie przesuwając palcami wzdłuż smukłej burty żółtej motorówki.

Przegłosowany Gray skinął głową do Tuckera, by kontynuował. Ten posłał Kaina naprzód, wydając krótką komendę:

— Zwiad!

*Kain węszy ostrożnie, pozostając w cieniu. Idzie pod wiatr, chwytając w nozdrza zapachy, które przynosi bryza.*

*Czuje woń soli i mokrych wodorostów z odległego morza i plaży.*

*Teraz coś bliższego... uderza go intensywny aromat skoszzonej trawy... delikatna słodycz płatków kwiatów rozchylających się o zmierzchu.*



*Ale przez to wszystko przebija obrzydliwy smród... zapach potu, oleju i wyziewów ciała.*

*Ludzie.*

*Ukrywają się.*

*Tropi każdy z zapachów, wciągając w nozdrza ich odurzające, cuchnące bogactwo. Idzie w cieniu, za krzakami, wzdłuż ławek. Wreszcie słyszy w uchu satysfakcjonujący szept:*

*— Widzę ich.*

*Potem rusza dalej.*

*Skrada się z opuszczonym ogonem i napiętym zadem, nasłuchując czujnie każdego szmeru i skrzypnięcia. Zapach człowieka pozostaje z tyłu, ulatując z wiatrem i zostawiając miejsce dla nowych woni.*

*Nagle Kain zatrzymuje się.*

*Z emocji jeży mu się sierść na grzbiecie. Sprawdza ponownie, unosząc nos, wciągając głęboko zapach, rozpoznając go. Idzie dalej, wężąc w powietrzu.*

*Zapach dochodzi z ciężarówki. Wie, co znaczy jazda ciężarówką i wystawianie głowy przez szybę. Ale teraz na to nie pora. Przemyka przez otwartą przestrzeń do cienia pod ciężarówką, w ciemność cuchnącą olejem i smarem.*

*Prześlizguje się na drugą stronę, wyciągając szyję. Okrąża ciężarówkę, żeby mieć pewność.*

*Potem wydaje triumfalny skowyt.*

— Dobry pies — powiedział do mikrofonu Tucker.

Przepeniała go duma — i czułość aż do bólu.

Wszyscy obserwowali eskapadę Kaina, stłoczeni wokół niewielkiego ekranu w telefonie Tuckera. Pies zlokalizował czterech ukrytych w pobliżu strażników i przedarł się do ciężarówki zaparkowanej na okrągłym podjeździe przed wejściem do Burdż Abadi.

— Wytropił tam zapach Amandy — oznajmił Tucker. — Ona jest na wyspie!

— Czy Kain może wskoczyć do tej ciężarówki? — spytał Gray.

— Nie ma problemu. — Nigdy nie było trudno namówić Kaina na przejazd. Posłał mu komendę: — Do ciężarówki!

Pies cofnął się natychmiast o metr i odbiwszy się tylnymi łapami od ziemi, przeskoczył przez boczną klapę pojazdu i wylądował na platformie, przyhamowując nieco, by nie uderzyć w skrzynię, która tam leżała.

Kain okrążył ją, wężąc intensywnie.

Seichan pochyliła się niżej.

— Czy to otwarta trumna?

Gray wskazał na kawałki taśmy na jej brzegach.

— Tak przetransportowali Amandę. Nic dziwnego, że nikt nie widział jej na lotnisku. Zamknęli ją w tej skrzyni, zapewne oplombowanej dyplomatycznymi pieczęciami.

Kowalski zajrzał mu przez ramię.

— Tak, ale gdzie jest teraz?

Wszyscy spojrzeli na pięćdziesięciopiętrowy wieżowiec obracający się powoli w ciemnościach. Rozumieli oczywistą prawdę.

Polowanie dopiero się zaczynało.

Ale czy nie przybyli za późno?

Godzina 2.32

Mały chłopczyk leżał już spokojnie na nagim brzuchu Amandy.

Jej rozgorączkowane, wilgotne po porodzie ciało zapewniało mu ciepło. Był przykryty kocykiem, ale wystawała spod niego malutka piąstka, nie większa od orzecha włoskiego.

Amanda pochłaniała swego synka oczami. Nie mogła go objąć, bo miała skrepowane ręce. To było największe okrucieństwo. Pozwolili jej na tę chwilę z dzieckiem z konieczności, nie ze współczucia. Przeczytała mnóstwo książek na temat opieki nad niemowlętami. Nowo narodzone dziecko kładzie się twarzą w dół na brzuchu matki. Dzięki bezpośredniemu kontaktowi ich ciała

jej organizm wydziela naturalną oksytocynę, wspomagając ostatnie skurcze, które wypychają łożysko.

Jej ciało wypełniło swoją odwieczną funkcję.

Wycieńczona, próbowała przeciągnąć tę chwilę w nieskończoność.

— Moje maleństwo — wyszeptała. Po jej spoconej, rozpalonej twarzy spływały łzy. Chciała, żeby chłopiec choć raz usłyszał głos swojej matki. Z całą miłością ochrzciła go imieniem, które wymruczał którejś nocy jej mąż, Mack, kładąc swą wielką dłoń na jej wyдутym brzuchu.

— Mój mały William.

Niestety, nie było to jego dziecko, przynajmniej w sensie genetycznym. Poznała część prawdy, zobaczyła dokumentację medyczną w przerażającym liście, z powodu którego uciekła w panice na Seszele. Mimo wszystko Mack kochał to dziecko tak jak ona. Widziała to w jego twarzy, nawet gdy prawda wyszła na jaw.

On tak bardzo cię kochał, Williamie.

Znów popłynęły jej łzy, z żalu za rodziną, którą nigdy już nie będą.

Usłyszała głosy, ale nie spuszczała oczu z dziecka.

— Petro, nie zapomnij pobrać co najmniej pięciu mililitrów krwi z pępowiny. Musimy określić na podstawie próbki typ surowicy, poza standardowymi testami. Będę też chciał uzyskać z pępowiny komórki macierzyste.

Amanda słuchała, uświadamiając sobie prawdę. Już dzielili jej dziecko na części.

— Doktorze Blake, łożeczek jest gotowe! — zawołała z boku Petra. — Przygotowałam witaminę K i krople do oczu. Chce pan dokonać oceny stanu noworodka?

— Nie. Ty możesz to zrobić. Powiniennem jak najszybciej przekazać informację o porodzie.

Blake podszedł do Amandy i sięgnął po dziecko.

— Nie, proszę — powiedziała błagalnie. — Jeszcze minutę.

— Przykro mi. Tak będzie lepiej. Świetnie się pani spisała.

Wyprężyła się, szlochając głośno.

— Neeee!...

Ignorując błagania Amandy, doktor Blake zabrał noworodka z jej brzucha. Poczuła brak ciepła Williama i pustkę, która miała pozostać już na zawsze.

Blake zaniósł chłopca do łożeczka pod jaskrawymi światłami i oddał pielęgniarce o zimnym spojrzeniu. Amanda wyobraziła sobie lśniąca tace ze srebrnymi narzędziami chirurgicznymi.

Jej szloch zamienił się w rozdzierający krzyk. Próbowała rozpaczliwie wyzwolić się z więzów, nie spuszczaając oczu z synka.

Mój mały William...

Godzina 2.38

Doktor Edward Blake stał przy swoim biurku skrajnie wyczerpany. Kusił go miękki fotel, ale nie usiadł. Podczas tej rozmowy nie chciał się odprężyć.

— Tak, wszystko poszło gładko — oznajmił. — Genetyka pozostaje stabilna. Po wykonaniu podstawowych testów sprawdzimy stabilność struktury DNA w trudnych warunkach środowiskowych.

A więc taki był cel makabrycznej pracy Petry w laboratorium: rozdzielić podstawowe organy — mózg, serce, płuca i inne — i utrzymywać je przy życiu, aby można było dokonywać na nich wyrafinowanych eksperymentów. Dziecko Amandy miało trafić w jej ręce.

— Sądzę, że w przypadku tego chłopca mamy powody do optymizmu — dokończył doktor Blake.

— Optymizm jest bez znaczenia — odparł rozmówca. Jego głos był zniekształcony elektronicznie i lodowato zimny, ale Edward przypuszczał, że ten chłód nie wynika jedynie z ingerencji komputera. — Liczą się tylko twarde fakty.

Blake przełknął ślinę.

— Oczywiście. W ciągu dnia uzyskamy konkretne dane.

— Należy pobrać próbki tkanek i jak najszybciej przesłać je do kraju przez kuriera.

— Rozumiem. Otrzymałem listę. Moja asystentka przygotowuje już komórki macierzyste i komórki skóry. Za godzinę wykonamy biopsję jelit i płuc, a do wieczora kory mózgowej i kręgosłupa. Ale mam jeszcze jedno pytanie. — Słyszac milczenie w słuchawce, Blake kontynuował: — Czy zapadła ostateczna decyzja, co zrobić z matką dziecka?

Mógł domyślać się odpowiedzi. W dżungli przy obozie w Somalii utworzono ogromny cmentarz.

— Może się jeszcze okazać biologicznie użyteczna. Nie wiemy na razie, czy te wyniki da się swobodnie powielać, czy w jej genach jest coś unikalnego.

Blake poczuł zaskakująco wielką ulgę. Przypomnił sobie, jaka bezgraniczna miłość emanowała ze spoconej i zapłakanej twarzy Amandy, jak piorunowała go wzrokiem, gdy zabierał jej dziecko. Ta mieszanina siły witalnej i macierzyńskiej czułości musiała zrobić na nim większe wrażenie, niż przypuszczał.

A może po prostu jestem zmęczony i za bardzo ulegam emocjom.

— Mamy zatrzymać ją tutaj? — spytał oschle. — Na Utopii?

— Nie. Nasze plany wymagają, żeby odesłać ją do Stanów.

Edward ze zdziwieniem przyjął to do wiadomości, rozważając w myślach kilka scenariuszy. Uśpił lekko Amandę na krótką podróż z Somalii, aby umożliwić przemycenie jej przez granicę. Ale lot do Stanów trwa dłużej i jest dużo bardziej ryzykowny.

— Jak pan zamierza...?

Rozmówca przerwał mu w pół zdania.

— Ma trafić do Centrum Zapładniania i Inkubacji.

Edward musiał oprzeć się ręką o biurko. Odwiedził to centrum tylko raz — i to mu wystarczyło. Zrozumiał natychmiast, czego od niego żądano.

— Niech pan ją przygotuje i przed ósmą rano dostarczy na lotnisko w Dubaju — dokończył rozmówca.

— Załatwione.

Zanim Blake zdążył to powiedzieć, połączenie zostało przerwane. Nie musieli czekać, czy wyrazi zgodę. Uważali to za oczywiste.

Stał jeszcze przez dłuższą chwilę. Już nie czuł ulgi z powodu darowania Amandzie życia.

Lepiej, żeby skazano ją na śmierć.

Włączył interkom.

— Petro, będziemy potrzebowali sali operacyjnej.

Z głośnika dobiegł brzęczący głos:

— Na jaki zabieg?

Powiedział jej, przypominając sobie znowu, co widział w Centrum Zapładniania i Inkubacji, sanktuarium nieskazitelnie czystej nauki, gdzie nie liczy się moralność, a jedynie metodologia i rezultaty.

Poczuł przyływ złości w żołądku.  
Biedna Amanda.

Charleston, Karolina Południowa

2 lipca, godzina 18.39 czasu miejscowego

Kat przeszła przez próg.

Amy, która otrząsnęła się już z szoku i przerażenia, podążyła tuż za nią. Wielkie stalowe drzwi zamknęły się za nimi z sykiem sprężonego powietrza.

Kat wiedziała, że ich ucieczka wkrótce zostanie zauważona.

Przy szczelnie zamkniętych drzwiach w pomieszczeniu panował półmrok, a światła o czerwonej barwie przypominały jej wnętrze łodzi podwodnej, w której pracowała, służąc parę lat w wywiadzie marynarki wojennej. A może słabe oświetlenie miało ukryć koszarne widoki.

Wzdłuż długiego korytarza stały dwa rzędy zbiorników z różową galaretowatą substancją. Cienkie półprzezroczyste zasłony nie ukrywały zawartości stalowych pojemników wielkości wanny. Kat zeszła na bok i rozsunała jedną z zasłon.

— Nie! — jęknęła Amy, ściskając w rękach ukradzioną pałkę, ale nie odstępowała Kat na krok. Najwyraźniej potrzebowała jej bliskości — nie dla obrony, lecz po to, by w tym nieludzkim miejscu czuć obecność człowieka.

Kat dostrzegła napis pod sufitem korytarza.

CENTRUM ZAPŁADNIANIA I INKUBACJI

Tutaj ucieleśniano idee.

Naga kobieta unosiła się zanurzona płytko w galaretowatej cieczy, która miała zapobiec odleżynom i utrzymać wilgotność tkanek. Jej wyдутy brzuch i wystający pępek wskazywał, że jest bliska porodu. Obwisłe piersi nie miały nigdy karmić dziecka, które rosło w jej łonie. Odchylona do tyłu głowa, z oczami zaklejonymi taśmą, zwisała na skraju wanny, jakby kobieta czekała na mycie włosów. Tyle że ich nie miała. Jej łysa głowa lśniła w słabym świetle, ukazując blizny ze szwami i podłączone do czaszki elektrody. Rurki wetknięte do ust i nosa zapewniały monitoring, dostarczanie tlenu i płynnego pożywienia.

— Co oni zrobili? — spytała Amy pełnym przerażenia szeptem.

Kat spojrzała w głąb długiego korytarza, na inne kobiety umieszczone w identycznych zbiornikach, zastygłe w cierpieniu, w różnych stadiach ciąży. Rozumiała już, co widzi. Te kobiety zostały zredukowane do ciał mających pełnić tylko jedną funkcję.

— Zamienili je w bezmyślne ludzkie inkubatory — stwierdziła Kat, drżąc z bezsilnego gniewu i rozpacz.

Wpatrywała się w nie bez zmrużenia oka, będąc niemym świadkiem ich męki.

To tutaj miałam trafić.

Amy patrzyła z taką samą odrazą.

Kat wolała nie wyobrażać sobie, że mógł ją spotkać taki los. Nie potrafiła pogodzić tego koszmaru z cudownymi wspomnieniami własnych cięż, noszenia w swoim łonie malutkich istot. Odsuwała od siebie paralizujący strach, pamiętając pierwsze krzyki swoich dzieci, drobne usta

ssące nabrzmiały sutek, chwyt małych paluszków, tak zachłannych, tak wymagających.

Zastanawiała się, na jak wysokim poziomie muszą być badania i doświadczenia przeprowadzane w pozostałych czterech budynkach kliniki: jakie mają nowoczesne metody pobierania i krioprezewacji jajeczek i spermy, postępy w zapłodnieniu in vitro, innowacje w hodowli i przeszczepianiu embrionów. Pracowało tam obecnie i w przeszłości wielu najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie rozrodu i genetyki z całego świata. Ilu z nich wiedziało, że ubocznym efektem ich epokowych odkryć są toksyczne odpady w postaci niegodziwych eksperymentów?

Kat odwróciła się, zdając sobie sprawę, że poznała na razie tylko połowę tajemnicy. Wiedziała, gdzie dowie się reszty.

— Chodź — powiedziała do Amy, czując, że mają niewiele czasu.

Wróciła na korytarz, między rzędy zbiorników. Zauważyła w głębi oszklone biura i skierowała się tam pospiesznym krokiem. Amy podążała za nią. Kat myślała gorączkowo, rozważając różne strategie ucieczki. Z osrodka nie było prawdopodobnie tylnego wyjścia, skoro ukrywali tam takie rzeczy. Musiały zawrócić, przejść ponownie przez czerwone stalowe drzwi i obok uzbrojonych strażników.

Idąc do końca korytarza, rozglądała się za jakąś bronią, za inną drogą ucieczki.

Nie ona jedna.

Amy wydała nagle za jej plecami stłumiony okrzyk:

— Denise...!

Nie odwracając się, Kat sięgnęła do tyłu i chwyciła ją za rękę, zanim dziewczyna zdążyła rzucić się w kierunku jednego z osłoniętych zbiorników. Amy przyszła tam z Kat, by poznać los siostry.

— To nie ona — rzuciła Kat, przyciągając Amy do siebie. — To tylko korpus, skorupa. Twoja siostra umarła, gdy przeprowadzono ją przez te drzwi.

Amy opierała się przez chwilę, ale potem skapitulowała. Wiedziała, że Kat ma rację. Pospieszyły razem dalej, potrzebując wzajemnie swojego ciepła.

Korytarz kończył się przy trzech oszklonych biurach, a jego odnogi prowadziły w lewo i w prawo, prawdopodobnie do mniejszych laboratoriów, magazynów i pomieszczeń technicznych.

Kat zauważyła nazwiska wypisane na drzwiach trzech gabinetów. Zapamiętała je, bo zamierzała pociągnąć tych ludzi do odpowiedzialności, jeśli kiedykolwiek wydostanie się na zewnątrz. Podeszła do środkowego, największego, biura, z napisem na tabliczce NANCY MARSHALL, dr med., dr biotechnologii... Wyglądało na to, że im więcej tytułów, tym mniej człowieczeństwa.

Przez szklane drzwi Kat zauważyła włączony komputer z wygaszaczem ekranu w postaci obracającej się powoli spirali DNA. Gabinet nie był zamknięty, wemknęła się więc szybko do środka i podeszła do komputera.

Sięgnęła do klawiatury, ale zawahała się, ponieważ zauważyła coś dziwnego w wygaszaczu ekranu. Lśniący obraz o wysokiej rozdzielczości pokazywał wyraźnie obracającą się powoli podwójną helisę DNA, z barwnymi kodami, nukleotydami, kodonami i wiązaniami chemicznymi. Pochyliła się niżej, obserwując dziwną anomalię: w podwójną helisę wpleciony był trzeci łańcuch protein, wijący się w macierzy genów jak wąż w trawie.



Biologia i genetyka nie były jej specjalnością — ale знаła w Sigmie kogoś, kto potrafi przeanalizować te informacje. Sięgnąwszy do myszki, aktywowała komputer. Pojawił się standardowy pulpit. Musiała skopiować jak najwięcej danych zebranych na tym twardym dysku i przesłać je do Waszyngtonu, ale wiedziała również, że nie ma czasu na rozszyfrowywanie haseł, które zabezpieczały ten komputer. Nie było szans na przesłanie plików e-mailem. Kompleks miał zabezpieczenia na najwyższym poziomie.

Musiała improwizować z nadzieją, że jej się uda.

Sięgnąwszy do kieszeni na piersi, wyjęła długopis z kamerą. Obraz i dźwięk był zapisywany na karcie pamięci podłączonej do komórkowego nadajnika, ale w razie potrzeby dane można było również przekazać przez wbudowane łącze USB. Rozkręciła długopis, odsłaniając elementy kamery, i wyjęła połączoną z adapterem USB kartę o pojemności dwóch terabajtów.

Działając szybko, znalazła wejście USB w komputerze i wsunęła w nie pendrive'a. Nie zamierzała zgrywać zawartości karty, lecz nagrać na nią pliki w nadziei, że dotrą w końcu do Sigmy. Widząc wewnątrz długopisu, Kat zauważyła, że w komórkowym nadajniku świeci się zielony punkcik. Pozostał aktywny, ale czy ktoś odbierał sygnał?

Wyprostowała się, gdy na ekranie komputera zamigotała nowa ikona, oznaczająca jej pendrive'a.

Po chwili usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się. Amy stała w otwartych drzwiach biura, wpatrując się w głąb korytarza. Stalowe wrota zaczęły się powoli rozwierać, skrzypiąc i przepuszczając smugę światła.

Rozległ się wściekły głos doktor Marshall:

— Znajdźcie je!

Kat powróciła do komputera.

Nie miała czasu na sprawdzanie, które pliki warto zgrać.

Używając myszy, przeciągnęła po ekranie ikonę twardego dysku, by skopiować całą jego zawartość na pendrive'a.

Natychmiast rozpoczął się transfer plików.

Nic więcej nie mogła na razie zrobić.

Co najwyżej przeżyć.

Godzina 18.41

— Co to było, do cholery?

Painter spojrzął na generała Metcalfa. Nigdy nie słyszał, by ten człowiek przeklinał, rzadko też tracił panowanie nad sobą. Stali obaj przed rzędem monitorów w centrum łączności. Przed

kilkoma minutami technik monitorujący sprzęt Kat zgłosił, że ma obraz z jej drugiej kamery. Była to pierwsza transmisja, odkąd urządzenie zostało aktywowane. Początkowo odbierali jakieś odgłosy, fragmenty rozmów, ale potem już nic.

I nagle obraz ożył.

Przez pierwszych parę minut na ekranie panował chaos, dopóki kamera nie pokazała czerwonych metalowych drzwi ozdobionych krzyżem.

Metcalf właśnie wychodził, gdy monitor zajaśniał, wprawiając w podekscytowanie technika. Generał wspólnie z Painterem zaczął obserwować ekran. Patrzyli razem z rosnącym przerażeniem, jak Kat przemierza mroczne laboratorium, odnajdując rzędy zbiorników z kobietami. Później dotarła do jakichś biur na końcu korytarza.

— Zapisałeś te nazwiska? — spytał technika Painter. — Te na drzwiach gabinetów?

— Tak, panie dyrektorze.

Potem monitor znów pociemniał.

— Czy to wszystko? — spytał Metcalf. — Gdzie to nagrano?

Painter wiedział, że musi być z nim szczery. Zabrał generała z powrotem do swojego biura. Gdy znaleźli się za zamkniętymi drzwiami, wyjaśnił:

— Kapitan Bryant prowadziła dochodzenie w klinice leczenia bezpłodności w Karolinie Południowej, w której córce prezydenta wykonano zabieg zapłodnienia in vitro.

Ale nie tylko Kat była zaangażowana w to śledztwo. Pojechała tam także Lisa. O nią bał się dużo bardziej, lecz nie mógł się rozdrabniać.

— O jakiej klinice pan mówi? Kto pozwolił...? — zwrócił się do niego Metcalf.

Painter przerwał mu. Musiał zmusić go do słuchania, dla dobra ich wszystkich.

— Amanda być może nadal żyje.

Tak jak się spodziewał, generał zaniemówił z wrażenia.

Painter kontynuował, nie dając mu się otrząsnąć. Musiał przedstawić Metcalfowi pełny obraz sytuacji, dopóki ten był gotowy go słuchać. Tylko mówiąc mu wszystko, mógł pozyskać tego upartego człowieka dla ich sprawy.

Zaczął od początku, od porwania Amandy i swojego przekonania, że miało ono związek z jej nienarodzonym dzieckiem. Skończyli przed komputerem w biurze Kat. Painter pokazał generałowi krzyż na wyspie Utopia, uświadamiając sobie w tym momencie, że taki sam symbol widniał na czerwonych stalowych drzwiach.

Co on oznacza?

Metcalf opadł na krzesło przy biurku, wpatrując się w ekran. Był twardym facetem, wytrawnym graczem w świecie władzy i polityki — zdaniem niektórych nawet oportunistą — ale tego wymagało funkcjonowanie w Waszyngtonie. Painter wiedział, że generał jest też zręcznym strategiem, zdolnym do przedkładania logiki nad emocje.

Miał nadzieję, że i teraz się nim okaże.

— A więc wszystkie te nieruchomości są własnością Gantów, rodziny prezydenta? — spytał Metcalf, przyglądając się mapie wyspy. — I dostał pan już potwierdzenie informacji, że Amandę tam zabrano.

— Tak.

Painter widział, że generał, choć zaszokowany, przyjmuje do wiadomości oczywiste dowody.

Metcalf pokręcił w końcu głową, nie z niedowierzaniem, bardziej w poczuciu porażki.

— Dobry Boże... jeśli ma pan rację... — Przyłożył dłoń do czoła i spojrzał Painterowi



prosto w oczy. — Nawet gdyby Gantowie rządili Gildią, jak prezydent mógłby wpłatać w coś takiego własną córkę?

Generał spojrział na ciemny monitor w sąsiednim pomieszczeniu, najwyraźniej wciąż mając przed oczami koszmar, który przed chwilą widzieli.

— James Gant może o niczym nie wiedzieć — wyjaśnił Painter. — Nie mamy informacji, którzy członkowie rodziny należą do wewnętrznego kręgu organizacji, Prawdziwej Linii Krwi. Dlatego prowadzę tę grę tak ostrożnie. Mam przecucie, że w wewnętrznym kręgu są tarcia i różnice zdań.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Amanda uciekła na Seszele z jakiegoś powodu, jakby została ostrzeżona. Jakby ktoś próbował ją chronić.

— A może celowo skłonili ją do potajemnej ucieczki, żeby dokonać porwania w ustronnym miejscu.

Tej bardziej cynicznej hipotezy Painter nie wziął nawet pod uwagę, co dowodziło raz jeszcze, że Metcalf jest wytrawnym szachistą.

— Podejrzewa pan Gantów, ale nie ma pan solidnych dowodów — powiedział generał. — Nie możemy stawić im czoła, zwłaszcza administracji. Gdybyśmy spróbowali, natychmiast się zdemaskujemy. To nas pogrąży. A Linia Krwi jeszcze bardziej się zakamufluje. Jest tylko jedno rozwiązanie.

Painter zrozumiał.

— Potrzebujemy Amandy — rzucił.

Metcalf spojrział mu w oczy, potwierdzając jego słowa. Sigma miała szansę powstać z popiołów tylko pod warunkiem, że odnajdą i ocalą córkę prezydenta — i Linia Krwi też z pewnością o tym wiedziała.

Obaj odwrócili się, słysząc pukanie do drzwi. Za progiem stał główny analityk Kat, Jason Carter. Painter skinął na niego, żeby wszedł, ale chłopak wsunął do środka tylko głowę.

— Panie dyrektorze, otrzymujemy nowe dane z nadajnika kapitan Bryant.

Painter spojrział na monitor za jego plecami. Ekran był wciąż ciemny.

— To nagranie wideo... czy tylko dźwięk?

— Ani jedno, ani drugie. Pliki cyfrowe.

Painter zmrużył oczy, przez chwilę zdezorientowany, po czym zdał sobie sprawę, co Kat zrobiła: ściągnęła informacje z jednego z komputerów w laboratorium.

Sprytnie, Kat... bardzo sprytnie.

— Prześlijcie te pliki do mnie — polecił.

Jason skinął głową i wycofał się.

— Szkoda, że pan mi to wszystko powiedział — westchnął generał, gdy zostali sami. — Z pewnością spałbym spokojnie, nic nie wiedząc. A właściwie dlaczego pan to zrobił? Dlaczego miałby mi pan ufać? Skąd wiadomo, że nie pracuję dla Gildii?

To było dobre pytanie i Painter miał tylko jedną odpowiedź.

— Ponieważ od początku był pan dla Sigmy cierniem w boku.

— To znaczy: dupkiem.

Painter nie zaprzeczył.

— Ale udzielał nam pan również poparcia, gdy naprawdę go potrzebowaliśmy. A poza tym nie mogę działać sam. Już nie. Jeśli mamy mieć szansę ocalenia Amandy, potrzebuję sojusznika, kogoś, kto zapanuje nad stadem wilków.

— Pomogę panu, ale niewiele mogę zrobić. Po tym, co zaszło w Somalii, Sigma jest na celowniku. Wie pan, jak reagują w Waszyngtonie... gdy poczują krew...

Zaczyna się polowanie, pomyślał Painter.

Zabrzączał interkom.

— Panie dyrektorze, ma pan już w komputerze pierwsze pliki.

— Zostawię to panu. — Metcalf wstał i pozwolił Painterowi zająć miejsce. — Szykuje się szturm na zamek, więc zajmę się obsadzaniem ludźmi bram i umacnianiem fortyfikacji.

Painter wiedział, że to coś więcej niż metafora. Centrala Sigmy mieściła się w bunkrach pod Zamkiem Smithsonian, w cieniu Białego Domu — i właśnie tam staną barykady.

Gdy Metcalf wyszedł, Painter skupił całą uwagę na komputerze, na plikach zdobytych kosztem tak wielkiego ryzyka. Martwił się o Kat... a jeszcze bardziej o Lisę. Wyczuwał jednak, że istotą tajemnicy Linii Krwi stanowi życie lub śmierć innej kobiety.

Gray, musisz znaleźć Amandę.

## U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 2.44 czasu miejscowego

Gray zacisnął strażnikowi łokieć na szyi i szybkim ruchem ręki skręcił mu kark. Mężczyzna osunął się bezwładnie na ziemię.

Komandor ściągnął mu hełm, kamizelkę i koszulę. Identyczne wyposażenie mieli komandosi w Somalii, co było kolejnym dowodem, że Amandę sprowadzono w to miejsce.

Usłyszał w słuchawce:

— Gotowe!

Była to Seichan. Zdjęła swojego strażnika.

Gdy włożył hełm martwego żołnierza, spojrzął na telefon. Na ekranie widać było samotnego strażnika stojącego obok parkowej ławki. Kain odwrócił jego uwagę, a Tucker zaszedł go od tyłu z nożem i dyskretnie zlikwidował. Teraz już nikt nie stał im na drodze do spiralnej iglicy wieżowca Burdż Abadi, Wiecznej Wieży.

— Ruszamy — rzucił do mikrofonu komandor.

Pobiegł pochylony przez spowity mrokiem park, nadal zachowując czujność na wypadek, gdyby Kain przeoczył jakichś ukrytych strażników. Dotarł jednak do budynku, nie podnosząc alarmu.

Czekając na resztę ekipy, spojrzął w górę na obracającą się majestatycznie wieżę, której każda kondygnacja poruszała się niezależnie od pozostałych. Wyobraził sobie, że z góry musi roztaczać się imponujący widok, gdy obserwuje się na przemian panoramę oświetlonego rzeźniście Dubaju i ciemną powierzchnię morza, lśniącego tajemniczo w blasku księżyca.

Coś jednak nie dawało mu spokoju, gdy patrzył na wieżowiec.

Coś w jego wciąż zmieniającym się kształcie...

Cichy szelest skierował wzrok Graya z powrotem na ziemię. Jego towarzysze schodzili się z różnych kierunków. Seichan i Tucker byli zaopatrzeni w skradziony sprzęt. Kain nie się pokazywał; na rozkaz swego tresera krążył wokół.

Gdy się zebrali, komandor przyjrzał się frontowemu wejściu do Burdż Abadi. Spodziewał się, że przy schodach i w lobby będą kamery, być może także kolejni strażnicy. Ich przebranie nie było przekonujące, ale uciekając się do podstępów i działając przez zaskoczenie, mogli zyskać kilka bezcennych sekund.

Kowalski wyszedł w końcu pomiędzy palm, próbując włożyć na swe szerokie bary zbyt małą kamizelkę. Hełm wyglądał na czubku jego głowy jak korona.

— Mój facet miał łeb jak główka od szpilki — wyjaśnił.

Gray skierował karabin w stronę olbrzyma.

— Rzuć to wszystko i załóż ręce na kark.

Kowalski uniósł brwi.

— Pierce, co ty robisz, do cholery?

Seichan westchnęła ciężko.

— Zachowuj się jak więzień. — Skinęła głową, wskazując schody prowadzące do lobby. — Obserwują nas kamery.

Kowalski, do którego przez grubą czaszkę docierało powoli, o co chodzi, otworzył szeroko oczy. Pozbył się kradzionego wyposażenia i splótł palce na karku.

Udzieliwszy kilku ostatnich instrukcji, Gray w towarzystwie pozostałej dwójki poprowadził Kowalskiego naprzód. Kątem oka dostrzegł przemykający cień, łatwy do przeoczenia dla kogoś, kto nie spodziewał się go zobaczyć. Kain zniknął w krzakach przy fundamentach budynku i czołgał się również w kierunku schodów.

Stopnie były jasno oświetlone, ale w lobby panował półmrok. Paliło się tam tylko kilka przyciemnionych lamp. Miejsce wyglądało na opuszczone. Może ich kamuflaż był zbyt dobry. Ze zlikwidowaniem strażników w parku nie mieli żadnych problemów. Ten, którym zajął się Gray, nawet spał.

Ich wrogowie najwyraźniej musieli czuć się na tej wyspie bezpiecznie — zwłaszcza odkąd przypuszczali, że nikt już nie szuka Amandy.

Gray wszedł z pozostałymi po schodach. Opuścili głowy, by ukryć twarze przed kamerami. Dał znak Tuckerowi, by pobiegł naprzód i sprawdził wysokie szklane drzwi prowadzące do lobby. Gdy ten za nie pociągnął, otworzyły się. Nie były zamknięte na klucz. Tuckerowi najwyraźniej ulżyło. Oszczędziło im to kłopotu i konieczności użycia miniaturowych ładunków C-4 albo nawet czegoś mocniejszego do wysadzenia zamków.

Rozczarowany był jedynie ich ekspert od pirotechniki.

— Ech... — gderał Kowalski. — A już się nastawiłem, że coś sobie wysadzę.

Gray szturchnął go w plecy karabinem.

— Ruszaj.

Kowalski poczłapał przez próg. Komandor i pozostali precyzyjnie się za nim.

Lobby wznosiło się na wysokość pięciu kondygnacji. Na środku znajdowały się wielkie spiralne schody, wykonane w całości ze szkła i lśniące w nikłym świetle kryształkami Swarovskiego i figurkami przedstawiającymi morskie stwory. Prowadziły w górę wokół centralnej osi wieży.

Jedynym oświetleniem pochodziło z pierścienia potężnych kolumn, zrobionych również ze szkła. Tworzyły one wielkie pionowe akwaria, emanujące delikatną poświatą o zmieniających się barwach.

Gray sądził początkowo, że akwaria są puste, a tworzące się w nich bańki powietrza odbijają i rozszczepiają światło. Ale gdy jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, bańki okazały się meduzami wielkości pięści, pływającymi wewnątrz gigantycznych kolumn.

Czar tej chwili przerwał ostry krzyk.

Za kontuaru stanowiska ochrony wyłonił się rosły, muskularny mężczyzna i podszedł do nich, przecierając dłonią oko. Najwyraźniej i jego przyłapali na drzemce. Ochroniarz wcisnął na głowę czarny берет. Był chyba dowódcą tego afrykańskiego kontyngentu.

Za kontuaru wyszedł ktoś jeszcze: szczupła i drobna ciemnoskóra dziewczyna w wieku trzynastu, czternastu lat, ubrana w wojskowy mundur. Otarła wierzchem dłoni usta. Mężczyzna miał rozpięte spodnie.

A więc nie przyłapali go na drzemce.

Gray poczuł wściekłość. Wiedział, że w wielu przypadkach porywane przez somalijskich kacyków wiejskie dzieci nie są wcielane do wojska, jak Baashi, lecz zmuszane do uprawiania seksu.

Albo spotyka je i jedno, i drugie.

Krocząc przez szerokie lobby, olbrzym nie spuszczał wzroku z Kowalskiego, wyraźnie zaskoczony nagłym pojawieniem się więźnia. Podstęp miał szansę powodzenia jeszcze tylko przez kilka sek...

Mężczyzna zastygł w bezruchu, przystając raptownie i sięgając ręką do kabury.

Seichan wydobyła SIG sauera.

— Nie strzelaj! — rzucił Gray. Odgłos pojedynczego nawet wystrzału w tej kryształowej komnacie rozniósłby się echem i zaalarmował z pewnością kolejnych strażników i ukrytych w budynku wrogów.

Ochroniarz wyjął broń, nie mając takich skrpułów.

Ale Gray widział błyskawiczny ruch nadgarstka Tuckera i słyszał wyszeptany do mikrofonu rozkaz.

Kain wyskoczył z cienia za ochroniarzem i rzucił się na niego. Dziewczyna zapiszczała, uskakując na bok. Pies chwycił swoją ofiarę za kostkę, wyrzucając ją w powietrze. Ochroniarz poszybował wysoko i upadł ciężko, uderzając głową o marmurową podłogę.

Jego pistolet wylądował w cieniu.

Tucker już pędził naprzód z nożem w ręce. Prześlizgnął się po posadzce na kolanach, mijając Kaina, który sunął z rozpędu w przeciwnym kierunku. Uniósł sztylet nad leżącym ochroniarzem, ale zaraz go opuścił.

— Ma złamany kark — oznajmił.

— A więc zaliczyliśmy po żołnierzu. — Kowalski opuścił ręce i pomasaował zdrętwiałe ramiona. — Muszę sprawić sobie takiego psa.

Z cienia wyłoniła się znowu dziewczyna. Trzymała w obu rękach pistolet wycelowany w Tuckera. Jej twarz wyrażała przerażenie.

Tucker rzucił nóż i uniósł ręce.

— Już dobrze... — odezwał się cicho.

Dziewczyna warknęła coś po somalijsku. Nie mieli tłumacza, ale wydawała się bardziej wściekła niż przestraszona. Wyprostowała lufę, naciskając palcem na spust.

Nagle cofnęła się o krok, kaszłąc krwią. Upuściła pistolet i chwyciła oburącz srebrny nóż tkwiący w jej szyi.

Gray odwrócił się, by zobaczyć, skąd się wziął.

Seichan miała już w dłoni drugi sztylet, gotowa go użyć.

Nie było takiej potrzeby.

Dziewczyna osunęła się na kolana i runęła na ziemię.

Tucker wydał cichy okrzyk przerażenia. Rzucił się jej na pomoc, ale było to bezcelowe.

— Co ty zrobiłaś? — zwrócił się do Seichan.

— To, co musiałam — odparła. Miała szklisty, zimny wzrok.

— Była jeszcze dzieckiem — powiedział, wpatrując się w Seichan.

— Bynajmniej — szepnęła. — Już nie.

Gray wiedział, że ma rację. Dziewczyna zastrzeliłaby najprawdopodobniej Tuckera, a odgłos wystrzału naraziłby ich na niebezpieczeństwo. Smutna prawda była taka, że niektóre zdeprawowane wojenne sieroty miały już na zawsze spaczoną psychikę; były zwierzętami o ciałach dzieci.

Mimo wszystko ubolewał nad śmiercią dziewczyny, dzielając rozpacz Tuckera.

Seichan wskazała tylko ruchem głowy w głąb lobby.

— Znajdźmy Amandę. Po to tu jesteśmy.

Gray zauważył jednak, że gdy próbowała włożyć sztylet do pochwy na nadgarstku, drżały jej palce.

— Seichan ma rację — rzucił, po czym zwrócił się do Tuckera: — Weź psa. Musimy odnaleźć trop Amandy.

Tucker spojrział wilkiem na Seichan, ale go posłuchał.

Gdy owczarek i jego opiekun pracowali w duecie, przeczesując lobby, Gray podszedł do stanowiska ochrony. Zobaczył tam rząd monitorów. Wyglądało na to, że kamery zainstalowane są na każdym piętrze. Zaczął uruchamiać je kolejnymi przyciskami, szukając śladów czyjejś obecności. Aż do pięćdziesiątego piętra niczego nie znalazł. Na wszystkich kondygnacjach panował półmrok i widać było jedynie eleganckie marmury, kosztowne wykładziny i spiralne schody.

Budynek wydawał się opustoszały.

— Tutaj! — zawołał cicho Tucker. — Chyba coś mamy.

Kain węszył zawzięcie przy drzwiach jednej z rozmieszczonych półkolem wind.

Gray ruszył w jego kierunku, zabierając po drodze Seichan.

Stała samotnie z boku, wpatrując się z nieodgadnionym wyrazem twarzy w jedną z wypełnionych wodą kolumn. Gdy do niej dotarł, skinęła głową na lśniące i falujące meduzy i odczytała napis:

— To gigantyczna hybryda *Turritopsis nutricula*.

Pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

— Pod koniec życia dorosłe osobniki tego gatunku odzyskują młodość. Ten cykl powtarza się w nieskończoność.

Seichan spojrzała na zakrwawioną dziewczynę. Oczy miała mokre od łez; zapewne wyobrażała sobie, że sama mogła być na jej miejscu. Może marzyła o szansie — dla nich obu — żeby urodzić się na nowo, zacząć życie bez skazy i odzyskać utracone dzieciństwo?

— Meduza staje się dzięki temu nieśmiertelna — szepnęła.

Gray skinął głową, kiedy zrozumiał, na czym polega ten niezwykły cud natury.

Nic dziwnego, że meduza jest maskotką Wiecznej Wieży.

Seichan miała jednak inne poglądy na temat trwającego bez końca życia.

— To takie okropne — szepnęła.

Komandor nic nie odpowiedział, gdy odwróciła się od akwarium. Szedł w milczeniu obok niej, pozwalając, by otrząsnęła się z żalu. Trzymał się blisko, muskając palcami dłoń, którą rzuciła sztylet.

Spodziewał się, że odsunie się od niego, ale tego nie zrobiła.

Dołączyli do Tuckera i Kaina.

Kowalski stał w pobliżu z wyciągniętą szyją, spoglądając w górę na spiralne szklane schody w samym sercu obrotowej wieży.

Gray podążył za jego wzrokiem.

Znów coś nie dawało mu spokoju.

Coś w tym kształcie...

Waszyngton

Godzina 18.47 czasu miejscowego

Cząsteczka DNA obracała się powoli tanecznym ruchem na ekranie komputera, prezentując

kod, który stanowił mapę ludzkiego ciała w całej jego chwale — ale ten fragment materiału genetycznego nie przypominał struktur, które Painter dotychczas widywał. Przez sam środek typowej podwójnej helisy wił się jak wąż trzeci łańcuch molekuł.

— Co o tym sądzisz? — spytał, starając się skoncentrować na tajemniczym obrazie i nie myśleć przez chwilę o losie Kat i Lisy.

— To potrójna helisa — odparł Renny Quinn, nie kryjąc podziwu. — Genetyczny ekwiwalent Świętego Graala.

Oparł wielkie dłonie na biurku Kat, by przyjrzeć się dokładniej. Renny, biogenetyk Sigmy, został wezwany, by pomóc Painterowi przesłać ogromną ilość danych przesłanych z serwerów laboratorium. Był z pochodzenia Irlandczykiem, miał rumianą cerę i ciemnokasztanową szczerinę na głowie i policzkach. Na studiach trenował boks i lubił wdawać się w bijatki, za co zwolniono go z jednostki komandosów.

Wtedy trafił do Sigmy. Stanowił potwierdzenie opowieści o facetach z dużymi rękami, ale w jego przypadku oznaczało to również wielki umysł. Był mu potrzebny, by przebrnąć przez tę górę informacji.

Pliki z Charlestonu dotarły nieuporządkowane i nieposegregowane, wiele było zakodowanych. Kat zapewne nie miała czasu, żeby zredukować je do najbardziej podstawowych. Próbowwała przesłać o wiele więcej danych, niż mogła pomieścić karta pamięci w jej długopisie. Niektóre pliki były uszkodzone, inne nie w pełni rozszyfrowane. W rezultacie ich odczytanie, rozkodowanie i naprawienie mogło zająć wiele dni, jeśli nie tygodni.

Nie trzeba było jednak komputerowca, by stwierdzić, że w większości dotyczyły zaawansowanej genetyki i badań nad rozrodem i miały bezpośredni lub pośredni związek z tym jednym obrazem.

— Potrójna helisa DNA — powtórzył Painter, wpatrując się w monitor, równie zdumiony, co zaintrygowany.

— Ściśle mówiąc... — Renny pochylił się i przesunął palcem wzdłuż dwóch nitok spirali — te łańcuchy to kwas dezoksyrybonukleinowy, czyli DNA. A ten trzeci, wąż owinięty wokół drzewa życia, to kwas peptydonukleinowy, czyli PNA.

Renny postukał palcem w nową helisę.

— Ten łańcuch jest sztuczny. Stworzony przez człowieka, nie przez Boga. Patrzymy właśnie na wyniki eksperymentów cybergenetyki, mieszaniny biologii i techniki.

— Czy to możliwe?

— Nie tylko możliwe. Już to robiono. Zespół z Uniwersytetu w Kopenhadze zdołał umieścić łańcuch PNA między dwoma łańcuchami DNA. Oczywiście w próbówce. Ale muszą pokonać tylko drobną przeszkodę, żeby przejść do następnego etapu badań. — Renny skinął głową na ekran. — Ta potrójna helisa jest niestabilna w wodzie. Wystarczy zbudować wokół niej ochronną powłokę, a zmieni się cały świat.

Painter uniósł brwi.

— Co masz na myśli?

— Cały nasz kod genetyczny tworzą cztery związki chemiczne: guanina, adenina, tymina i cytozyna. G, A, T, C. Te cztery litery to kod życia. — Renny zerknął na spiralną cząsteczkę. — Ale PNA nie ogranicza się do tych czterech liter. Potrafi pan sobie wyobrazić, co można by stworzyć, dysponując innymi literami alfabetu? Nowy gatunek człowieka.

Mimo oczywistego entuzjazmu naukowca, Painter wyobrażał sobie jedynie koszmary.

— Ale co o wiele istotniejsze — kontynuował Renny — ten łańcuch PNA można tak

zaprojektować, by włączał i wyłączał określone geny. PNA wykorzystywano już do leczenia dystrofii mięśni u myszy laboratoryjnych. A to dopiero początek. Potencjalne możliwości są nieograniczone. Mówimy o blokowaniu komórek rakowych, leczeniu setek chorób genetycznych, a nawet przedłużaniu życia. — Renny wpatrywał się tęsknie w komputer. — Jeśli DNA stanowi klucz do życia... to PNA jest wytrychem. Jeżeli ktoś będzie dysponował tym narzędziem, staną przed nim nieograniczone możliwości.

Painter jeszcze bardziej sposepniał, przypominając sobie laboratorium w Charlestonie i kobiety zanurzone w zbiornikach.

Do otwartych drzwi biura zapukał Jason i zaoszczędził mu jeszcze czarniejszych myśli.

— Panie dyrektorze, przepraszam, że przeszkadzam, ale skończyliśmy właśnie odbierać wyjątkowo duży plik z Charlestonu. Pomyślałem, że zechce pan go zobaczyć. Ma tytuł „Historia i pochodzenie”.

Painter wyprostował się na krześle, zadowolony, że uniknie na razie dalszych dyskusji na temat biologii. Chciał dotrzeć do źródła całej sprawy, a tytuł tego pliku brzmiał obiecująco.

Jason jednak rozwiął jego nadzieje.

— Niestety, panie dyrektorze, plik jest mocno uszkodzony. Pracujemy nad nim, ale mogę już przesłać to, co mamy. Parę dziwnych rysunków i dokumentów.

— Prześlij je — powiedział Painter.

Jason wskazał na komputer.

— Już tam są.

Nic dziwnego, że Kat uwielbia tego dzieciaka, pomyślał Painter, odwrócił się do klawiatury i otworzył kilka pierwszych nieuszkodzonych dokumentów. Na ekranie ukazał się rysunek.



Przedstawiał trzech mężczyzn w kolonialnych strojach, trzymających się za ręce. Prawe dłonie mieli splecione nad głowami, a lewe na wysokości piersi. W każdym z dwóch górnych rogów rysunku widniał zwinięty trójgłowy wąż.

— Co to jest? — mruknął Painter, nie oczekując odpowiedzi. Ale ją usłyszał.

— Święty Królewski Łuk — oznajmił Renny, jakby sam zaskoczony swoją wiedzą.

Painter spojrział na niego zdziwiony.

— Skąd to wiesz?

— Ponieważ jestem członkiem gildii. — Renny musiał zauważyć zdumione spojrzenie Paintera. — Nie tej Gildii. Mówię o masonerii. Moi krewni należeli do niej, jeszcze gdy mieszkaliśmy w Irlandii.



— A co to jest? — spytał Painter, wskazując ekran.

— Nie za bardzo się orientuję. Ten rysunek przedstawia rytuał, „trzy razy trzy”. To magiczna liczba masonerii. Obrzęd stanowi część inicjacji w ekskluzywnym Bractwie Królewskiego Łuku, którego pochodzenie spowija mgła tajemnicy. Podobno wywodzi się od templariuszy. Rytuał „trzy razy trzy”... innymi słowy „dziewięć”... symbolizuje dziewięciu członków założycieli Zakonu.

Painter wpatrywał się w ekran. Skąd się wziął ten rysunek na serwerach laboratorium genetycznego?

Choć wydawało się to dziwne, podejrzewał, że zna odpowiedź — dzięki wcześniejszej rozmowie z Rennym. Przyjrzał się trzem mężczyznom ze splecionymi dłońmi i trzygłowym węzom. Dostrzegął w tym wyraźną analogię do potrójnej helisy, trzech splątanych ze sobą łańcuchów. Nawet Renny, opisując ją, użył określenia „wąż owinięty wokół drzewa życia”.

Painter przeczytał adnotację pod rysunkiem, z której wynikało, że pochodzi on z książki *Rytuały masońskie Duncana*, wydanej w roku 1866.

Jak książka sprzed prawie stu pięćdziesięciu lat może nawiązywać — choćby symbolicznie — do potrójnej helisy?

Przypomniał sobie tytuł pliku.

#### Historia i pochodzenie

Przeczuwając, że zawiera coś ważnego, chciał, żeby rozszyfrowano go jak najszybciej w całości — jeśli było to możliwe.

Jason przybiegł z powrotem ze złymi wieściami.

— Panie dyrektorze! Straciliśmy kontakt z Charlestonem. Nadajnik kapitan Bryant przestał nagle działać.

Painter wyprostował się na krześle.

— Wyczerpała się bateria w długopisie?

— Nie, panie dyrektorze. Tym razem monitorowaliśmy poziom jej naładowania. Była jeszcze dobra.

Painter poczuł skurcz serca, wiedząc, że pozostawało tylko jedno wyjaśnienie.

Jason wyraził to bez ogródek.

— Ktoś musiał wykryć jej nadajnik i go wyłączyć.

Ale co to oznaczało dla Kat?

Charleston, Karolina Południowa

2 lipca, godzina 18.48 czasu miejscowego

— Znajdźcie je!

Kat wślizgnęła się bezgłośnie do pomieszczenia obok ciemnego laboratorium. Zanim zniknęła w środku, dostrzegła w głębi korytarza doktor Marshall, która wybiegła ze swego biura w otoczeniu strażników.

— Rozdzielcie się! Przeszukajcie wszystkie pokoje, magazyny i laboratoria po obu stronach!

Kat zamknęła cicho drzwi, borykając się z klamką z powodu śliskiej ręki. Pokój oświetlał tylko blask wygaszacza ekranu komputera. Znów widniała na nim dziwna potrójna helisa. Kat miała nadzieję, że pliki, które wysłała, dotarły do kogoś w Sigmie.

Gdy jej oczy przywykły do ciemności, zauważyła przy ścianie półki z pięciolitrowymi słojami odbijającymi słabe światło. Wyłaniały się z nich jakieś ciemne kształty zanurzone w cieczy. Dostrzegła zaciśniętą małą piastkę. Odwróciła się, nie chcąc widzieć więcej, zwłaszcza po koszmarze, jakim były kobiety w zbiornikach, które zobaczyła w głównym laboratorium. Te słoje zawierały prawdopodobnie końcowy produkt prowadzonych tam eksperymentów.

Trzymała nadal składany nóż bojowy, stępiony nieco od cięcia i piłowania. Miała tylko dwie minuty, żeby przygotować się na czekające ją obłączenie. Ledwo zdążyła ukryć Amy w bezpiecznym miejscu. Zegar w jej głowie odliczał sekundy, gdy kontynuowała w myślach obliczenia.

Siedem zbiorników... 300 jednostek na zbiornik... szacunkowa kubatura laboratorium...

Usłyszała odgłos otwierania i zatraskiwania drzwi, wykrzykiwanych rozkazów i kroków zmierzających w jej kierunku. Zostawiła otwarte drzwi w głębi pomieszczenia, ale strażnicy dotrą najpierw do niej.

Tak jak zaplanowała.

Zamknęła oczy, biorąc kilka głębokich oddechów. Wykorzystała dodatkowe sekundy, by rozsmarować na twarzy i ogolonej głowie jeszcze trochę galaretowatej substancji, nakładając grubą warstwę. Jej odzież i reszta ciała również ociekały różowym hydrofilowym żelem — tym samym, który wypełniał wielkie zbiorniki w głównym laboratorium.

Tupot nóg słychać było coraz bliżej jej kryjówki. Stała naprzeciw drzwi, gdy otwarto je na oścież. Do środka wpadł strażnik, potem kolejny. Celowali w nią z pistoletów.

— Rzuć nóż! — krzyknął jeden z nich.

Zrobiła to i uniosła ręce nad głowę.

Drugi strażnik zawołał przez drzwi:

— Mam jedną z nich!

— Przeprowadź ją do mnie — rozkazała doktor Marshall.

Strażnicy wywlekli ją na korytarz. Nie stawiała oporu, pozwalając, by zaprowadzili ją pod broń w kierunku kręgu światła emanującego z biura Marshall.

Lekarka stała z rękami na biodrach, zgniatając coś obcasem buta na winylowej podłodze. Kat usłyszała trzask i zobaczyła, jak kawałek czarnego plastiku odskakuje na bok.

Znaleźli w komputerze jej pendrive'a.

Marshall patrzyła na Kat. Jej policzki płonęły, a oczy ciskały gromy. Trzymała już rękę na paralizatorze. Kat spodziewała się, że zostanie ukarana — liczyła na to.

— Gdzie ta druga dziewczyna? — spytała ostro Marshall.

Kat starała się patrzeć jej prosto w oczy, by spojrzawszy w bok, nie zdradzić kryjówki Amy.

— Zmuszę cię do mówienia... — Marshall podeszła do niej i przytknęła jej do brzucha pałkę.

Kat wykręciła się w ostatniej chwili, gdy z końcówki czarnego paralizatora posypały się błękitne iskry. Trzymana od tyłu przez strażników, poczuła przepływ prądu na biodrze. Sparaliżował jej lewą nogę, sprawiając potworny ból i zmuszając do kucnięcia.

Zacisnęła zęby — z powodu bólu i frustracji.

Za nisko, oceniła.

Podźwignęła się na zdrowej nodze, rzuciła naprzód i chwyciła Marshall za nadgarstek. Jeden ze strażników próbował obezwładnić ją pistoletem, ale Kat przyjęła uderzenie na bark.

Próbowała utrzymać się na nogach, uchwyciwszy się plastikowej zasłony przy zbiornikach. Zaciskała nadal rękę na przegubie Marshall, unosząc paralizator. Jego metalowa końcówka dotknęła drążka zasłony nad ich głowami.

Posypały się iskry.

I nagle świat stanął w ogniu.

Eksplozja odrzuciła Kat do tyłu, ciskając ją w powietrze. W górze tańczyły pod sufitem niebieskie płomienie i rozchodziły się na zewnątrz. Zasłoniła oczy ręką, wyobrażając sobie, jak ogień rozprzestrzenia się wzdłuż korytarza w kierunku najdalszych pomieszczeń, magazynów i maszynowni ze zbiornikami gazu zaopatrującymi laboratoria, w tym siedmioma wielkimi cysternami oznaczonymi symbolem H<sub>2</sub>.

Wodór.

Bezwonny, czternastokrotnie lżejszy od powietrza, silnie wybuchowy.

Przecięła wcześniej przewody, kierując gaz z potężnych zbiorników do tej zamkniętej przestrzeni i wiedząc, że będzie gromadził się wysoko, niewyczuwalny dla nosa.

Upadła plecami na podłogę, ślizgając się siłą rozpędu po jej powierzchni. Nad nią szalał ogień, spalając wszystko. Jej skórę ratowała tylko gruba warstwa hydrofilowego żelu. Jego nawilżające właściwości, które zapobiegały odleżynom u pacjentek w zbiornikach, chroniły ją w jakimś stopniu przed oparzeniem.

Nie można było tego powiedzieć o pozostałych.

Choć ogłuszona eksplozją, słyszała ich potworne krzyki.

Widziała biegnące postacie w płonących ubraniach, ze spalonymi twarzami.

W ciągu ułamka sekundy podczas wybuchu zobaczyła, jak zapalają się włosy Marshall, stając się kulą ognia.

Stosowny koniec dla kobiety, która odgrywała Boga.

Kat próbowała się podźwignąć, krztusząc się z powodu dymu, gorąca i braku powietrza. Przez zażawione oczy widziała rozmyty obraz piekła. Wokół tańczyły płomienie, plastikowe zasłony topniały w smugach czarnego dymu, zwęglony sprzęt iskrzył i skwierczał.

Stanąła na nogi i cofnęła się niepewnie o krok.

Dwa metry od niej podniosła się z podłogi jakaś postać, częściowo schowana za zbiornikiem. Poparzona głowa ociekała krwią. To była Marshall.

Uniosła rękę, trzymając w dłoni pistolet jednego ze strażników, i wyszła powoli z ukrycia.

Kat próbowała się schować, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Upadła bokiem na podłogę, podpierając się ręką.

Marshall podeszła krok bliżej, celując z pistoletu w twarz Kat. Jej wzrok nie wyrażał satysfakcji z zabójstwa, którego miała dokonać. Była to bolesna konieczność, ostatni akt zemsty.

Ale to nie ona się zemściła.

Ze stojącego obok zbiornika wynurzyła się naga postać, jak ciało wychodzące z grobu.

Marshall odwróciła się, dostrzegając jakiś ruch — jej półprzytomne oczy rozszerzyły się nagle z przerażenia.

Z galaretowatej brei wysunęła się ręka z długą czarną pałką. Amy zamachnęła się nią z całą siłą. Twardy metal uderzył Marshall w grzbiet nosa, miażdżąc jej kość.

Lekarka upadła na ziemię.

Kat uświadomiła sobie w tym momencie, że to jest bardziej stosowny koniec dla kobiety, która odgrywała Boga.

Amy wygramoliła się ze zbiornika, podbiegła do Kat i pomogła jej stanąć na nogi.

— Myślałam, że nie żyjesz.

— Ja też tak sądziłam.

Kat wyciągnęła wcześniej z kleistej ciecicy Denise i umieściła tam jej siostrę, Amy. Zdjęła z niej szpitalną koszulę i zadbała o to, by dziewczyna była zanurzona głęboko w zbiorniku i miała na skórze grubą warstwę ochronnego żeluzynu. Potem Kat wysmarowała także siebie i przeniosła wychudłe ciało Denise do magazynu.

Chciała ukryć Amy w widocznym miejscu, wiedząc, że nikt nie będzie przyglądał się zbyt dokładnie kobietom w zbiornikach. Chciała również, by dziewczyna była blisko wyjścia i nie znalazła się w zasadzce w płonąącym korytarzu.

Jakby na potwierdzenie jej umiejętności przewidywania, za drzwiami rozległa się potężna eksplozja, obsypując je odłamkami i kawałkami szkła.

Kat wyobraziła sobie, jak zbiorniki gazu pod ciśnieniem przegrzewają się, rozszczelniają i zaczynają płonąć. Miała też przed oczami wizję płomieni rozprzestrzeniających się przez rury i przewody na inne piętra i budynki.

— Chodźmy — wykrztusiła chrapliwie.

Wydobyła pistolet z zeszywniałych palców Marshall i popędziła razem z Amy przez dym i ogień z powrotem w kierunku czerwonych stalowych drzwi. Na oddziale wyły alarmy, a z instalacji pod sufitem tryskała woda. Kat przystanąła na chwilę, by zabrać koszulę dla Amy, i wybiegła za drzwi. Wartownia w głębi korytarza była pusta.

Nikt nie próbował ich zatrzymać, gdy uciekały z płonącego budynku na parter jednego z obiektów na tyłach kompleksu. Widać było, że wszystko ogarniają płomienie. Letnie słońce wciąż świeciło wysoko, ale zasnuwający ogrody dym sprawiał wrażenie, jakby zapadał już zmierzch. Ogień tańczył za oknami. Eksplozja rozerwała górną część głównego budynku, sypiąc wokół fragmentami cegieł i dachówek.

Wszystko się waliło.

Kat chwyciła Amy za rękę i pociągnęła ją za sobą w kierunku parku. Zaszokowani naukowcy uciekali do bram wychodzących na ulicę.

Kat podążyła ich śladem, starając się trzymać w ukryciu pistolet.

W oddali rozbrzmiewały syreny.

Kat i Amy wybiegły za bramę, słysząc za plecami głuchoe odgłosy kolejnych eksplozji. Z nieba spadały różne odłamki. Gęsty dym ograniczał widoczność.

Uciekały dalej ulicą, starając się oddalić od pożogi. Dotarły w końcu do miejsca, gdzie droga była pusta. Dysząc ciężko, wsparły dłonie na kolanach.

Syreny wyły coraz głośniejsze ze wszystkich stron, ekipy ratunkowe zjeżdżały się z całego Charlestonu.

Kat wyprostowała się i wskazała na niebieskie światła błyskające zza chmury dymu.

— Powinnaś...

Rozległ się strzał z pistoletu.

Amy upadła i przysiadła na drodze, przytknęła dłoń do piersi. Na jej koszuli wykwitła plama krwi.

Kat obróciła się błyskawicznie i przykłęknęła, celując z broni.

Po drugiej stronie drogi stał SUV z opuszczoną boczną szybą.

W środku coś się poruszyło.

Strzeliła na oślep w kierunku ciemnego pojazdu.

Godzina 18.55

Lisa — wciśnięta między dwóch krzepkich strażników — skuliła się na tylnym siedzeniu, gdy przednia szyba samochodu pękła i rozsypała się w drobny mak. Siedzący z przodu kierowca i doktor Paul Cranston pochyłili się raptownie.

— Chryste! — powiedział jeden ze strażników. — Ona ma broń!

Lisa zasłoniła głowę.

Co się dzieje?

Po porwaniu jej z ulicy w centrum Charlestonu Cranston i jego ludzie wrócili do kliniki, zadowoleni z łowów — ale zaledwie się tam pojawili, powitała ich głośnie eksplozja. Szyby pojazdu zadrżały od wybuchu. Z jednego z budynków na zapleczu wydobywał się dym. Zaczęły rozprzestrzeniać się płomienie, potem nastąpiły kolejne eksplozje i wszystko wyleciało w powietrze.

Cranston kazał im odjechać jedną przecznicę dalej i stamtąd przyglądał się pożarowi, który niszczył efekty jego ciężkiej pracy, i nie mógł oderwać wzroku od zgliszcz kliniki.

— Załatw ją, do cholery — syknął z przedniego siedzenia. — Zanim ucieknie. Jeśli się wymknie...

Obserwując z bezpiecznej odległości skutki eksplozji, zauważył dwie kobiety wybiegające z chmury dymu. Obie miały ogolone głowy, jedna była w szpitalnej koszuli. Natychmiast je rozpoznał. Uciekły z podziemnego laboratorium! Kazał je zastrzelić jak wściekłe psy. Ale najwyraźniej jedna z nich miała kły.

Siedzący obok Lisy strażnik przesunął się z powrotem do otwartego okna, wysunął rękę i wycelował broń. W bok pojazdu uderzyły kolejne pociski. Strażnik zaklął, ale pozostał na stanowisku.

Lisa zaryzykowała i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła, jak kobieta z pistoletem odciąga ranną dziewczynę, chcąc ukryć ją za zasłoną gęstego dymu. Wyły syreny, a mgłę coraz bardziej rozpraszały błyski światła pojazdów służb ratunkowych.

Nagle kobieta obejrzała się przez ramię w kierunku SUV-a.

Dopiero teraz Lisa mogła przyjrzeć się dokładnie jej twarzy. Rozpoznała ją, choć przyjaciółka miała obcięte włosy.

Kat...

— Mam ją! — powiedział strażnik ze złowrogą satysfakcją.

Nie!

Lisa rzuciła się na niego i uderzyła go ramieniem. Pistolet wypalił, ale w powietrze. Lisa wystawiła głowę i zobaczyła, że Kat nie jest ranna. Chciała, żeby tak pozostało.

— Kat! Uciekaj!

Drugi strażnik pociągnął ją brutalnie do tyłu.

Cranston odwrócił się i zmierzył Lisę wymownym spojrzeniem. Natychmiast wyczuła, że wszystko zrozumiał.

— A więc to z nimi współpracujesz! — syknął i rozkazał swoim ludziom, by schwytali Kat.

Strażnik wplótł palce we włosy Lisy i wywłókł dziewczynę z samochodu, wykorzystując ją jako żywą tarczę.

Kat znalazła mizerną kryjówkę za pojemnikiem na śmieci.

— Rzuć broń i wyjdź! — zawołał do niej Cranston. — W przeciwnym razie przestrelimy głowę twojej przyjaciółce!

— Nie rób tego! — ostrzegła ją Lisa.

Strażnik szarpnął ją za włosy.

Patrzyła z rozpaczą, jak Kat rzuca pistolet i wychodzi z ukrycia.

— Idź po nią! — rozkazał Cranston drugiemu strażnikowi. — Potrzebuję odpowiedzi na parę pytań. Ale nie wahaj się jej zastrzelić, gdyby sprawiała jakiegokolwiek kłopoty.

Kat musiała wyczuwać, co jej grozi, bo nie stawiała oporu; dłonie trzymała splecione na głowie.

— A co z tą drugą? — spytał Cranston, gdy strażnik wrócił z Kat.

— Nie żyje.

Posadzili Kat na tylne siedzenie samochodu; obie były teraz uwięzione między dwoma uzbrojonymi mężczyznami.

— Tak mi przykro — wyszeptała Lisa.

Twarz Kat wyrażała wściekłość, ale nie Lisa była jej powodem. Ucisnęła rękę przyjaciółki, wyrażając tym gestem tak wiele.

Pociechę, wybaczenie i obietnicę zemsty.

Pojazdy służb ratowniczych przemykały obok ich zaparkowanego samochodu z wyciem syren i błyskami świateł.

— Dokąd teraz? — spytał kierowca, uruchamiając silnik.

Cranston spojrzął na płonące zgliszcza swojej kliniki.

— Za miasto... Tu jest teraz trochę za gorąco. — Odwrócił się od widoku ognia i dymu. — Zabierzemy je na przejażdżkę na wieś. Do Łoży.

Waszyngton

Godzina 19.12 czasu miejscowego

Painter oglądał ze swego stanowiska w centrum łączności obraz pożaru w Karolinie Południowej. Był to przekaz na żywo, nagrywany przez jednego z dwóch ludzi, których posłał, by przeprowadzili dochodzenie w Klinice Leczenia Bezplodności w północnym Charlestonie.

Jego zespół przybył na miejsce przed kwadransem. Ekipy strażaków walczyły bezładnie

z ogniem. Z wozów strażackich i drabin lały się strumienie wody. Ratownicy medyczni razem z innymi służbami pierwszej pomocy opatrywali ludzi poparzonych i zatrutych dymem. Wiele osób miało rany i siniaki spowodowane spadającymi odłamkami i kawałkami szkła.

Cztery ciała były przykryte płachtami.

Painter spodziewał się, że będzie ich więcej.

Czy będą wśród nich Kat lub Lisa?

Gdy usłyszał, co się dzieje, miał nadzieję, że to robota Kat, ale równie dobrze mógł to być celowy sabotaż. Ktoś wykrył pluskwę Kat, a Gildia słynęła ze stosowania taktyki spalonej ziemi. Widział to wielokrotnie. Jeśli ktokolwiek podchodził zbyt blisko, Gildia paliła za sobą mosty, które mogły doprowadzić do jej tajemnic. Nie liczyły się koszty, konsekwencje ani ludzkie życie.

— Panie dyrektorze!

Odwrócił się i zobaczył za sobą Jasona Cartera. Znowu...

— Chcę, żeby pan coś zobaczył — powiedział chłopak i zaprowadził go do monitora, przy którym pracował inny analityk. Chociaż siedzący tam mężczyzna był o dziesięć lat starszy, Jason położył mu protekcyjnie dłoń na ramieniu. — Linus i ja zajmowaliśmy się projektem badawczym dla Kat, zanim wyjechała.

— Pracujemy nad tym już od trzech miesięcy — dodał Linus.

O co tu chodzi? — zastanawiał się Painter. Szybko tracił cierpliwość, ale dał im znak, by kontynuowali.

— Poprosiłem Linusa, żeby w ramach poszukiwań kapitan Bryant i doktor Cummings przetestował nasz nowy program — oznajmił Jason. — Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

— Oczywiście. — W tym momencie każda pomoc była przydatna. — Co testowaliście?

— Nowy system śledzenia i wykrywania, podobny do stosowanych obecnie programów rozpoznawania twarzy, tyle że w odniesieniu do pojazdów. Używany samochód ma niepowtarzalne cechy, równie indywidualne jak odciski palców lub rysy twarzy człowieka.

— Do czego zmierzasz? — spytał Painter.

— Pozwoliłem sobie zebrać dane od pańskiej ekipy w Charlestonie. Kazał im pan zdobyć nagrania z kamer przemysłowych wokół restauracji.

— I nic to nie dało.

— Właśnie. Więc poleciłem Linusowi zgromadzić podobny materiał z kamer w północnym Charlestonie, zapis wideo wszystkich przejeżdżających tamtędy samochodów. Poddaliśmy te informacje analizie za pomocą naszego nowego programu rozpoznawania pojazdów.

— I?

Jason ścisnął Linusa za ramię. Na ekranie komputera pojawiły się obok siebie dwa zdjęcia SUV-a Forda.

— Myślę, że śledzeni przez nas ludzie celowo unikali kamer na ulicach — powiedział Jason. — Nietrudno to zrobić, jeśli się wie, które skrzyżowania są monitorowane.

A oni to wiedzą, pomyślał Painter. To ich teren.

— Mamy te obrazy z kamer w bankomatach. Kadr po lewej pochodzi z nagrania zrobionego trzy przecznice od restauracji, z której zniknęła doktor Cummings, a ten drugi z okolic mostu jakieś cztery ulice od kliniki. — Jason spojrzał na Paintera. — To ten sam pojazd.

— Po ulicach jeździ wiele SUV-ów Forda.

— Ale nie mają dokładnie tego samego stopnia zużycia. Chciałem jednak mieć całkowitą pewność. Dlatego pana tu poprosiłem. — Jason znów poklepał Linusa po ramieniu. Jego partner

powiększył drugi kadr i puścił film. — Jak wspomniałem, obraz jest ziarnisty, ale wyostrzyliśmy go, na ile się dało.

Painter pochylił się.

Na powiększonym kadrze widać było tylne okno samochodu, a w środku niewyraźną postać mężczyzny... i siedzącej przy nim kobiety. Choć nie dało się rozpoznać jej rysów, była niewątpliwie blondynką o znajomym profilu, ale przede wszystkim jej sposób poruszania się sprawił, że oddech Paintera stał się szybszy.

Odzyskał nadzieję.

— To Lisa.

— Nie byłem pewien — rzucił Jason.

Ja jestem.

— A co z Kat? — spytał Painter.

W samochodzie były jeszcze inne osoby, ale widzieli tylko zarysy ich postaci.

— Trudno powiedzieć — przyznał Jason. — I niestety, nie mamy wyraźnego ujęcia tablicy rejestracyjnej. Gdyby minęli jakąś kamerę przy światłach na skrzyżowaniu...

Pech, ale coś już mieli.

A co ważniejsze, wiedzieli jedno.

Lisa żyje.

Painter wziął głęboki oddech, nie dopuszczając jednak, by zdominowało go uczucie ulgi, bo sprawy mogły w każdej chwili przybrać inny obrót. Wystarczyło, że spojrzął na sąsiedni monitor, na płonące ruiny kliniki, by przypomniał sobie o stosowanej przez Gildię taktyce spalonej ziemi.

Ci dranie nie pozostawią za sobą śladów.

A w tym przypadku chodziło o Lisę i Kat.

To samo można by powiedzieć o zespole Graya. Szukając córki prezydenta, wdarli się do najnowszego bastionu Gildii.

Painter przyglądał się, jak ostatni budynek kliniki ogarniają płomienie i kłęby dymu. Było to również ogniste ostrzeżenie dla komandora.

Bądź ostrożny.



## U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 3.13 czasu miejscowego

— Wsadzili Amandę do tej windy — oznajmił Tucker.

Gray stał z rękami na biodrach. Przyglądał się, jak Kain węszy przy posadzce, machając energicznie ogonem. Nie wąpił w jego węch, lecz nadal się wahał.

W lobby było kilkanaście wind, rozmieszczonych półkolem. Spojrzał w górę, na spiralne przezroczyste schody. Zarówno windy, jak i schody przebiegały wzdłuż centralnego trzonu. Każde z pięter obracało się wokół tej stabilnej osi.

— Pięćdziesiąt pięter — rzucił Kowalski. — Przynajmniej nie musimy wspinać się na wszystkie.

— Ale na każdym będziemy musieli się zatrzymać — zauważyła Seichan. — Żeby Kain mógł odnaleźć na którymś z nich trop Amandy.

Troje towarzyszy Graya spojrzało na niego, by zdecydował, co robić. Nawet Kain przestał węszyć i patrzył w jego kierunku. Komandor jeszcze przez chwilę nie zwracał na nich uwagi.

Coś tu nie pasuje.

Przyglądał się obrazowi każdego z pięter na ekranach monitorów. Nie widział tam żadnych oznak życia. Ale musiał ufać Kainowi. Pies doprowadził ich tutaj. Gray podjął decyzję i wcisnął guzik windy.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Weszli do wytwornej kabiny obitej boazerią z egzotycznego drewna, z kryształowym żyrandolem.

— Zaczniemy od góry i będziemy kierować się w dół czy odwrotnie? — spytał Tucker.

— Ani tak, ani tak — odparł Gray, nabierając nagle pewności, gdy pochyłał się nad panelem z numerami pięter.

Wskazał na rzędy przycisków na płaskim ekranie dotykowym. Podświetlone liczby oznaczały poszczególne kondygnacje. Przesuwały się powoli, pokazując liczebniki w różnych językach: chińskim, japońskim, arabskim.

Najwyraźniej chcą zrobić wrażenie na zagranicznych turystach, pomyślał.

— Nie rozumiem — zniecierpliwził się Kowalski. — Jeśli nie jedziemy w górę, to dokąd?

Gray patrzył na arabski napis na najniższym podświetlonym przycisku.

Nagle pojawił się na nim angielski odpowiednik.



— Jest tu podziemna kondygnacja — zauważyła Seichan.

Kowalski spojrzał pod nogi.

— Chwileczkę. Skąd na pływającej wyspie wzięłyby się piwnice?

Gray wiedział, że wieżowiec budowano równocześnie z Utopią. Jego fundament stanowiła

ogromna kamienna platforma. Dziesięć metrów pod nimi znajdowała się żelbetowa konstrukcja, w której było mnóstwo miejsca na piwnice.

— Są tam pewnie magazyny i maszynownie — powiedziała Seichan.

— A może i coś więcej. — Gray dotknął ekranu. Zapaliło się zielone światełko i kabina windy zaczęła bezgłośnie zjeżdżać, tak płynnie, że trudno było stwierdzić, czy w ogóle się porusza. — Bądźcie w pogotowiu.

Chwycili za broń. Tucker dał sygnał psu, który przywarował, gotowy do skoku.

Mieli wrażenie, że winda pokonuje więcej niż jedno piętro, ale w końcu drzwi się otworzyły. Gray, przygotowany do strzału, zlustrował szybko niewielkie lobby, mroczne i ponure. Wypatrywał strażników, ale było tam pusto.

Wyszedł ostrożnie z kabiny, prowadząc pozostałych. Korytarze rozchodziły się w różnych kierunkach. Wymalowane na podłodze kolorowe linie wskazywały zapewne personelowi hotelu drogę do kuchni, pralni, pomieszczeń konserwatorów i magazynów.

Wyglądało to jak labirynt.

Gray dał wszystkim znak ręką, by szli naprzód.

— Tucker, niech Kain szuka śladów Amandy. Ona może być gdziekolwiek.

Tucker zabrał się do pracy ze swoim partnerem.

Komandor zauważył, że obok windy, którą zjechali, są dwie inne. Wyglądało na to, że tylko trzy z dwunastu dojeżdżały na ten poziom. Kazał Kowalskiemu zostawić otwarte drzwi kabiny na wypadek, gdyby musieli się szybko ewakuować.

Uwagę Graya przyciągnęły wysokie okna wzdłuż jednej ze ścian. Podszedł bliżej i zajrzał do znajdującej się obok ogromnej, dwukondygnacyjnej hali o betonowych murach. Wewnątrz stały rzędem potężne generatory wyglądające jak gigantyczne metalowe słonie. Drugą ścianę pokrywały panele kontrolne.

— To centrum zasilania budynku — stwierdziła Seichan, dołączając do niego.

Przypomniał sobie, jak Jack Kirkland opisywał turbiny przypływowe, które zaopatrywały wieżowiec w energię. To pewnie te urządzenia, pomyślał.

— Ani śladu — powiedział Tucker, który wrócił zaledwie po minucie.

— Co? — spytał zaskoczony Gray, odwracając się.

Tucker wzruszył ramionami.

— Kain sprawdził wszystkie wychodzące stąd korytarze. Nie natrafił na trop Amandy.

Niemożliwe. Musi być tu na dole, pomyślał Gray.

— Niech sprawdzi jeszcze raz — rozkazał.

— To strata czasu. Ręczę za jego węch.

— On ma rację — poparła Tuckera Seichan. — Zrobiliśmy sensownie, zjeżdżając tutaj, ale pozostają inne opcje. Jest jeszcze pięćdziesiąt pięter. Im dłużej zwlekamy...

Tym większe niebezpieczeństwo zagraża Amandzie, dokończył w myślach Gray.

Westchnął ciężko, ustępując logicznym argumentom, ale nie był z tego zadowolony.

— A więc wracamy na górę.

Wszyscy wcisnęli się do kabiny.

Gray przystanął na chwilę w progu, wpatrując się w drzwi pozostałych dwóch wind.

— Chwileczkę. — Wyszedł, wcisnął guzik i ściągnął je na dół.

— Co robisz? — spytała Seichan z wnętrza kabiny, podczas gdy Kowalski trzymał nadal otwarte drzwi.

Przyjechały dwie pozostałe windy. Komandor zlustrował ich kabiny, po czym wrócił do

pierwszej i obejrzał ekran dotykowy.

— No i co? — dopytywała się Seichan.

— Wszystkie trzy windy docierają do podziemi, więc dlaczego porywacze Amandy użyli środkowej? Rozumując logicznie, powinni wejść do tej, która jest najbliższej. — Gray wskazał na drzwi pozostałych kabin. — Sprawdziłem tamte dwie. W naszej panel kontrolny jest ponad pięć centymetrów dłuższy.

— Więc? — spytał Kowalski.

Seichan pochyliła się i przyjrzała dolnej części ekranu dotykowego.

— Sądzisz, że są tu jakieś ukryte przyciski.

Gray skinął głową.

— Oznaczające poziomy dla wtajemniczonych, na które można dojechać tylko tą windą.

Obejrzała brzegi ekranu.

— Ale nie widzę tu żadnych dziurek od klucza ani szczelin na karty magnetyczne do aktywacji dostępu na te poziomy.

Komandor skierował windę z powrotem do lobby.

— To ekran dotykowy — zauważył.

Zrozumiała. W jej oczach pojawił się uśmiech.

— Kluczem mogą być linie papilarne.

Gdy otworzyły się drzwi kabiny, Gray wyszedł do lobby.

— Ten żołnierz, którego zdjął Kain, wyglądał na dowódcę oddziału z Afryki. Mógł mieć dostęp do podziemi. — Spojrzał na Kowalskiego.

Olbrzym wzniosł oczy do nieba i zrobił urażoną minę, mrużąc pod nosem:

— Dlaczego cała brudna robota spada na mnie? — Wrócił minutę później, wycierając o spodnie ostrze noża i wyciągnął do Graya rękę. — Przyniosłem oba. Na wszelki wypadek. — Na jego dłoni spoczywał kciuk i palec wskazujący strażnika. Przyniósł również beret martwego żołnierza i wcisnął go sobie na głowę. — Ten facet był bardziej moich rozmiarów. — Wskazał na sufit w kabinie. — Gdyby były tu jeszcze jakieś kamery, nie będę więcej odgrywał więźnia.

Gray wziął od niego odcięty kciuk i przytknął go do ekranu dotykowego poniżej przycisku z napisem LL. Wstrzymał oddech. Pod kciukiem rozbłysła lampka z nową ikoną.

Jeśli wcześniej miał jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiały się one na widok dziwnego symbolu, który zobaczył. Przypomniawszy sobie, jak biegł w Somalii do wielkiego namiotu w porzuconym obozie. Ten sam znak był wymalowany na ukrytym w dżungli szpitalu.

Szkarłatny krzyż z kwiecistymi ozdobami na belkach.

Kabina windy znów zjechała w dół, tym razem dużo niżej.

Twarz Kowalskiego chorobliwie pobladła.

— Jak głęboko ci piraci zakopali swój skarb?

Komandor wyobraził sobie gigantyczne betonowe słupy, na których wspierała się wyspa. Zewnętrzne miały kilkanaście metrów średnicy, ale centralny pylon, usytuowany bezpośrednio pod Burdż Abadi, był o wiele większy. Wiedział, że w słupach pod platformami wiertniczymi znajdują się często komory, puste przestrzenie do magazynowania ropy.

Więc czemu nie tutaj? Tyle że zamiast magazynów można było ukryć w tak wielkim pylonie całą tajną bazę.

Gray wiedział, że Amanda tam jest. Tylko czy żywa?

Godzina 3.25

Doktor Edward Blake widział, jak w oczach Amandy gaśnie płomień nienawiści, gdy wstrzykiwał jej do przewodu kroplówki ostatnią dawkę propofolu. Przymknęła powieki i oddychała głębiej.

Ostatnie słowa, które wypowiedziała, były klątwą, obietnicą zemsty.

— Zobaczą was oboje w piekle.

Ale była to bezsilna groźba.

Amanda, jako człowiek i kochająca matka, za parę minut miała przestać istnieć. Straci świadomość i zachowa tylko podstawowe funkcje życiowe.

— Powinien pan się przygotować — powiedziała Petra. Była już w fartuchu i regulowała monitor pokazujący obraz tomografii komputerowej.

Amanda leżała na stole operacyjnym, zakryta prześcieradłem od szyi w dół, a jej ogolona głowa lśniła w blasku halogenów. Na czaszce miała zaznaczone na niebiesko miejsca, gdzie należało wykonać otwory i wprowadzić elektrody.

Petra przygotowała do zabiegu aparat stereotaktyczny. Umożliwiał on integrację stanowiska operacyjnego z rezonansem magnetycznym i mikroskopem. Umocowała głowę Amandy w wypełnionej płynem obręczy, co stanowiło ogromny postęp w stosunku do stosowanych wcześniej urządzeń, które trzeba było przyśrubowywać do czaszki pacjenta.

Po pracy w somalijskich górach, gdzie Blake musiał korzystać z dość prymitywnych narzędzi, poczuł przypływ dziecięcej radości, mając do dyspozycji tak doskonały sprzęt. Szpital w Somalii pełnił swoją rolę przez ostatnich kilka lat; umożliwiał mu pobieranie komórek jajowych i embrionów, a także gromadzenie osobników przydatnych później w różnych innych laboratoriach na całym świecie. Doktor zawsze jednak miał większe ambicje. Było czystym przypadkiem, że Amanda Gant-Bennett trafiła akurat do niego, a nie jednego z wielu podobnych ośrodków badawczych w Indiach, Malezji, Australii czy gdziekolwiek indziej. Dawało mu to szansę wykazania się przed zwierzchnikami i awansu.

Jak dotąd, z wyjątkiem paru drobnych potknięć, wszystko szło gładko. Winą za rzekomą śmierć córki prezydenta obarczono somalijskich piratów; dziecko urodziło się bezpiecznie w nowoczesnym ośrodku badawczym, a po zakończeniu operacji Amanda zostanie wyekspediowana dalej, nie stanowiąc już jego problemu. On będzie mógł w spokoju kroić i testować nowe próbki.

Noworodek spał w łóżeczku w głębi korytarza, czekając na swoją kolej.

Ale Blake najpierw musiał się zająć jego matką.

Zestaw narzędzi chirurgicznych lśnił jasno na tacy: wiertła, łyżeczki, kleszcze, skalpele, rurki do odsysania i płukania.

Nie potrafił opanować podniecenia. Choć technika zabiegu została opracowana w tym laboratorium, wykonywał go dotąd tylko raz. Kilku specjalistów w dziedzinie rozrodu przyjeżdżało do nich, by się go nauczyć. Był on jednak dość prosty. Prawa i lewa strona kory mózgowej są połączone warstwą tkanki nerwowej. Przy użyciu techniki komputerowej zamierzał dokonać najpierw tak zwanej kalozotomii, czyli przecięcia mózgu na dwie połowy. Była to radykalna terapia stosowana pierwotnie w leczeniu ostrej epilepsji, by zlikwidować powodujący ataki niekontrolowany przepływ impulsów elektrycznych w mózgu.

Drugi etap operacji wymyślono w jednym z laboratoriów jego zwierzchników. Nazwano go  $\alpha$ -ECT, czyli zmiennobiegunową terapią elektrowstrząsową alfa. Do dwóch rozdzielonych półkul wszczepia się na stałe elektrody i poddaje się je słabym elektrycznym impulsem o zmiennej biegunowości. Powstające w efekcie w każdej z półkul elektryczne zawirowania

w przeciwnych kierunkach powodują całkowite wyłączenie kory mózgowej, jednak pień mózgu, który kontroluje podstawowe czynności życiowe, takie jak praca serca, płuc, a nawet żołądka i jelit, nadal funkcjonuje.

Ciało pozostawało w sumie nienaruszone, ale umysł przestawał istnieć.

Uzyskiwali idealne narzędzie do badań nad rozrodem.

Spojrzał po raz ostatni na leżącą nieruchomo Amandę.

Kiedy skończę, już jej nie będzie, pomyślał.

Gdy wyszedł z sali operacyjnej do przebieralni, z ekranu na ścianie rozległ się sygnał dźwiękowy. System monitoringu obwieszczał w ten sposób przybycie windy. W każdym pomieszczeniu był taki ekran. Przez jego dolną część przesunął się napis:

Buggas Abdiwalli

Było to nazwisko kapitana oddziału osobistej ochrony Blake'a. Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz widocznych z góry hełmów i czarnego beretu.

Czego ten cholerny Bugus teraz chce? — pomyślał z rozdrażnieniem, używając ksywki ochroniarza.

Wiedział, że kapitan, który stracił w Somalii tylu ludzi, jest w podłym nastroju, ale on nie miał teraz dla niego czasu. Każe ochronie zrobić z nim porządek. Jeśli kapitan będzie uparty, nowe automatyczne urządzenia zniechęcą go do robienia zamętu.

Nic nie pokona ich systemu zabezpieczeń.

Gdy zaczął myć ręce, z interkomu rozległ się głos Petry:

— Doktorze, czekamy na pana.

U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 3.30 czasu miejscowego

Teraz będzie ciężko...

Gray przygotował swoich ludzi do akcji kilka sekund wcześniej, niż otworzyły się drzwi windy. Spodziewał się, że poza ekranem dotykowym zastosowano w windzie również inne środki bezpieczeństwa. Gildia była chorobliwie ostrożna. Każdy mógł przecież zmusić kogoś z ich personelu do zjechania windą na dół pod groźbą broni.

Albo obciąć mu palec.

Nie, musiał tam być drugi poziom zabezpieczeń. Ale zespół Graya nie mógł sobie pozwolić na luksus planowania, co oznaczało tylko jedno.

Nie ma czasu na subtelności.

Tylko jeden człowiek pasował do tego zadania.

I Kowalski nie był z tego powodu szczęśliwy.

— Po co, do cholery, zabrałem temu draniowi beret?

— Poradzisz sobie — rzucił Gray.

Kowalski przypominał somalijskiego dowódcę nie tylko beretem, lecz również wzrostem i posturą. Potrzebowali kamuflażu jeszcze przez parę sekund. Komandor musiał wierzyć, że strażnicy na dole są równie przekonani o swoim bezpieczeństwie na wyspie, jak wcześniej Somalijczycy. Nie spodziewał się przyłapać wrogów na drzemce albo ze ściągniętymi spodniami, ale mógł liczyć na ich chwilową nieostrożność.

Wskazał na Tuckera.

— Ty i Kain zabieracie się do pracy, gdy tylko wyjdziemy. Nie czekacie. Szukacie Amandy. Ruszamy za wami najszybciej jak się da.

Tucker, który przygotowywał psa, podniósł się i skinął głową.

Seichan trzymała w ręce SIG sauera.

Gdy winda zatrzymała się z lekkim drżeniem, usłyszeli sygnał. Kiedy otwierały się drzwi, Gray dał wszystkim znak, by stanęli z boku kabiny, kryjąc twarze pod skradzionymi hełmami.

Wyjątkiem był Kowalski.

Olbrzym wyszedł z windy, zanim całkiem się otworzyła. W berecie zsuniętym na oczy ruszył pewnie naprzód, jakby to miejsce do niego należało.

Gray ocenił jednym spojrzeniem, co znajduje się za drzwiami. Niewielkie stanowisko ochrony zamykało dostęp do pozostałych pomieszczeń. Podłoga i ściany były z betonu. Żadnego przepychu, jak na wyższych piętrach. Stalowa konstrukcja sufitu przypominała plastry miodu. Za lobby znajdowały się metalowe drzwi, a obok nich szyba kuloodporna, jak w bankach, tyle że kasjer nosił czarny mundur i miał na ramieniu karabin.

Strażnik nie podniósł wzroku. Pochylił się do mikrofonu.

— Pokaż identyfikator i połóż dłoń na czytniku.

Nad wąskim kontuarem zapaliła się lampka. Zza szyby wysunęła się niewielka szuflada, do

której wkładało się dokumenty.

Kowalski wrzucił do niej garść kulek. Zdumiony strażnik uniósł w końcu głowę i w tym momencie Kowalski pchnął szufladę z powrotem w jego kierunku.

Potem wcisnął guzik nadajnika, który trzymał w drugiej ręce.

Kulki C-4 — używane zwykle do wysadzania rygli i zamków — eksplodowały strażnikowi prosto w pierś i twarz, odrzucając go do tyłu; pozostały po nim tylko dymiące szczątki.

Kowalski już biegł, uskakując na bok i ciskając porcję C-4 w stalowe drzwi.

— Ogień w dziurze! — ryknął.

Rzucił się z powrotem do windy, kryjąc się wraz z innymi w kącie. Eksplozja wstrząsnęła kabiną, ogłuszając ich, mimo zasłoniętych uszu.

Gray wyszedł do zadymionego lobby, oceniając szkody. Resztki drzwi lśniły ognistą czerwienią w tumanie kurzu. Ściana i podłoga były spryskane kropelkami stopionej stali. W powietrzu unosił się ostry zapach substancji chemicznej.

To nie było zwykłe C-4.

Spojrzał na Kowalskiego, a ten wzruszył ramionami.

— Mój własny przepis. Dodałem do C cztery termatu TH cztery z warstwą polimeru.

Komandor wzdrygnął się w duchu. Termat był głównym składnikiem granatów zapalających stosowanych do wysadzania czołgów. Ale nawet jeśli Kowalski przesadził, to wykonał swoje zadanie, a Gray nie oczekiwał subtelności.

Za drzwiami nic się nie poruszało. Gray zauważył leżące tam ciała, jednak żeby się upewnić, czy droga jest czysta, rzucił w głąb korytarza dwa granaty. Wszyscy odwrócili głowy i zakryli uszy. Gdy granaty wybuchły, dał sygnał Tuckerowi.

Pies i jego opiekun popędzili przez lobby, unikając kałuż stopionej stali na podłodze. Gray i pozostali ruszyli za nimi z bronią gotową do strzału.

Nagle runęło na nich niebo.

Sześcioboczne fragmenty sufitu leciały z góry, opadając z brzękiem na podłogę. Komandor sądził, że to tylko płytki, obluzowane wskutek eksplozji.

Nagle jednak wysunęły one odnóża — stalowe, zaopatrzone w stawy i ostre jak brzytwa — i rzuciły się na nich jak stado metalowych pajaków.

Godzina 3.34

— Doktorze?... — Petra znieruchomiała nad tacą z narzędziami. Przygotowywała neuroendoskop, gdy rozległ się pierwszy ogłuszający wybuch.

Potem budynkiem wstrząsnęła jeszcze głośniejsza detonacja i wszystko zadygotało, łącznie z nerwami Blake'a. Początkowo sądził, że nie wytrzymały betonowe ściany pylonu. Zawsze dręczyła go myśl, że coś takiego może się zdarzyć.

Zastygły z przerażenia, pozostał na swoim stanowisku, w fartuchu i masce. Ustawiał już mikrorobota i jego cieniutkie wiertło, zaraz miał zacząć.

Rozległy się kolejne, słabsze eksplozje.

— Atakują nas — oznajmiła Petra, oczekując jego wskazówek.

Jej słowa pozwoliły mu w końcu otrząsnąć się z szoku. Musieli uciekać — ale nie z pustymi rękami, bez nagrody, na którą ciężko zapracowali. Jeśli ocaleją, nie wynosząc noworodka, konsekwencje będą katastrofalne.

— Dziecko — powiedział, patrząc Petrze w oczy. — Musi na razie pozostać przy życiu. Zabierz je. Uciekamy do łodzi ewakuacyjnej.

Petra rzuciła endoskop, odwróciła się w kierunku drzwi, a potem ponownie do lekarza.

— A co z pacjentką? — spytała, wskazując wzrokiem na Amandę.

— Jest bez znaczenia. — Człowiek, z którym rozmawiał przez telefon, wyraźnie to potwierdził. Tę młodą kobietę można było zastąpić. Ale nie dziecko. — Mamy wszystkie próbki jej tkanek i krwi. To powinno wystarczyć. Zabiorę je. A ty zajmij się dzieckiem.

Nie cierpiał pozostawiać niedokończonych spraw. Wziął skalpel, ale spojrzawszy na swoją dłoń, spokojnie go odłożył. Nie potrafił zebrać się w sobie, by zrobić to własnoręcznie.

Odwrócił się ponownie do aparatury i włączył automatyczny laser. Ramię robota zaczęło powoli się zniżać, a wiertło obracało się ze świstem. Jego przeniknięcie do kory mózgowej zostało już zaprogramowane — tyle że teraz nikt go nie zatrzyma, będzie drążyło coraz głębiej.

Jak pocisk przebijający powoli czaszkę.

Tak będzie lepiej, pocieszał się. Niczego nie poczuje.

Skoro wszystko było jak należy, opuścił salę operacyjną i pospieszył do drzwi. Obejrzał się i zobaczył, jak czubek wiertła przebija mały niebieski znak X na czaszce Amandy. Po skórze jej głowy spłynęła kropelka krwi, jak szkarłatna łąza.

Żegnaj, Amando.

Godzina 3.40

Gray biegł, otoczony piekielnym krajobrazem czarnego dymu i gorącego stopionego metalu, a co gorsza wśród hordy atakujących go metalowych drapieżców, pędzących na ostrych jak sztylety odnóżach.

Kowalski zgniół jednego z nich obcasem. Nogi stwora rozpostarły się jak u rozplaszczonego pająka — po czym wygięły się w odwrotną stronę i wbiły w jego skórzany but.

Seichan przysła Kowalskiemu z pomocą, rozcinając mu sznurówki jednym ruchem sztyletu, po czym wskazała na ścianę.

Kowalski wierzgnął nogą, wyrzucając w powietrze but z przyczepionym do niego pająkiem.

Komandor odganiał pozostałe pistoletem, zmuszając je strzałami do odwrotu. Wspólnie wycofali się przez stopione szczątki drzwi, tworząc zaporę ogniową przeciwko napastnikom.

Kowalski próbował zrobić użytek ze swego karabinu, skacząc na zakrwawionej nodze, ale Gray wskazał w głąb korytarza.

— Idź za Tuckerem. My je tu zatrzymamy.

Kowalskiemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

— Nie cierpię pieprzonych pajaków...! — mruknął.

Seichan wystrzeliła kilka pocisków z SIG sauera.

— To musi być jakiś zautomatyzowany system obrony.

Gray przyznał jej rację. Spodziewał się, że w bazie będą dodatkowe zabezpieczenia — ale nie coś takiego. Wiedział, że DARPA pracuje nad tego typu projektami, nad eksperymentalnym programem mechanicznych rojów, które można by wykorzystać do skoordynowanych ataków, monitoringu lub systemów obrony. Oglądał film z uniwersytetu w Anglii, gdzie z powodzeniem skonstruowano taki rój. I nie były to wyłącznie małe roboty. Widział w laboratorium DARPA stwora wielkości geparda, który potrafił biec szybciej niż człowiek.

Najwyraźniej zastosowane w bazie zabezpieczenia miały na celu wytropienie i zatrzymanie wroga do czasu zmobilizowania sił porządkowych. Ale roboty były same w sobie śmiertelnie niebezpieczne, a pociski wcale ich nie powstrzymywały.



— Uwaga, nadchodzą! — ostrzegła Seichan.

Fala stalowych ostrzy nadciągała ze zgrzytem w ich kierunku.

Godzina 3.44

Tucker pędził po korytarzu za Kainem. Wyteżał czujnie słuch, nawet nie mrugając i płytko oddychając. Ale nie musiał polegać tylko na swoich zmysłach.

Usłyszał nagle ostrzegawcze warczenie.

Na korytarz wyszedł człowiek w białym fartuchu, unosząc rękę.

Tucker strzelił mu w twarz.

Gdy przebiegał obok niego, zauważył, że mężczyzna nie miał nic w dłoniach. Poczul wyrzuty sumienia — ale tylko przez moment. Dwaj ludzie, których wcześniej zastrzelił, byli uzbrojeni. Nie mógł ryzykować.

Zresztą po tym wszystkim, co widział tu na dole w ciągu ostatniej minuty, żaden z tych ludzi nie zasługiwał, by żyć. Mijając kolejne laboratoria, oglądał widoki, które chciałby natychmiast wymazać z pamięci. Dreszcz przebiegał mu po plecach na wspomnienie uciętej głowy wiszącej na stojaku nad bijącym sercem.

Kto, do cholery, robi coś takiego?

I po co?

Kain biegł dalej przed siebie, węsząc nosem po kątach albo w powietrzu. Znalazł trop Amandy.

W końcu przyhamował raptownie, ślizgając się po podłodze, i zawrócił do zamkniętych drzwi. Tucker zrównał się z nim. Przez niewielkie okno widać było podłużną umywalkę, regał z zielonymi sterylnymi pakietami i owiniętymi w celofan szczotkami do mycia rąk.

Pokój, w którym chirurg przygotowuje się do zabiegu.

Tutaj prowadził trop Amandy.

Tuckera znów przeniknął dreszcz.

Trzymając w pogotowiu pistolet, pchnął ramieniem drzwi i zajrzał ostrożnie do wnętrza. Nikogo tam nie było. Ale za szeroką szybą, w sąsiedniej sali operacyjnej, leżała na stole z nierdzewnej stali okryta prześcieradłem kobieta. Jej ogolona głowa tkwiła w jakiejś obręczy, a nad nią wibrowało ramię robota.

Amanda...

Zapamiętał ze zdjęcia wygląd córki prezydenta wystarczająco dobrze, by ją rozpoznać. Kain drapał łapami drzwi sali operacyjnej. On też znał prawdę.

Tucker wszedł pospiesznie do środka. Pomieszczenie było puste. Zwrócił uwagę na wibrujący dźwięk. Gdy podszedł do Amandy, stwierdził z przerażeniem, skąd pochodzi.

Krew płynęła strugą z otworu, który drążyło w jej czaszce wiertło. Okrążył stół, nie mając pojęcia, co robić. Kain płasał u jego boku, wyczuwając zdenerwowanie swego partnera, ale nie wiedząc, jak może pomóc.

— Wszystko dobrze, kolego — próbował go uspokoić Tucker.

Ale bynajmniej nie było dobrze.

Zobaczył kabel prowadzący od robota do gniazdka. Nie widząc innego rozwiązania, wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Wiertło przestało wibrować.

Przyjrzał się Amandzie. Jej pierś wznosiła się i opadała.

Przynajmniej jeszcze żyje, pomyślał. Spojrzał na stalowe wiertło, tkwiące nadal w jej głowie. Musiał ją od niego uwolnić, ale jak? Nie miał odwagi wyciągnąć go, by nie uszkodzić

mózgu.

Rozejrzał się i zobaczył coś, co wyglądało jak miniaturowe szczypce do przecinania metalu. Wziął je do ręki, uchwycił nimi wiertło dwa centymetry nad powierzchnią czaszki Amandy i mocno zacisnął ich szczęki. Rozległ się głośny trzask i Amanda została odcięta od ramienia robota.

Tucker uwolnił ją następnie z obręczy i odłączył od aparatury anestetycznej.

Skoncentrowany na tym, co robił, wzdrygnął się, słysząc czyjś głos.

— Co wystaje z jej głowy?

Odwróciwszy się, zobaczył Kowalskiego, który kuśtykał ku niemu na zakrwawionej stopie.

— Jak mnie znalazłeś? — spytał.

— Szedłem szlakiem trupów. A potem zobaczyłem na korytarzu jego.

Kain stał zdyszany w drzwiach, jak zwykle zabezpieczając Tuckerowi tyły, by nie zaskoczył go żaden wróg.

Kowalski wskazał ponownie na głowę Amandy.

— Co to takiego?

— Wiertło.

— Co? Dlaczego...?

— Skąd mam wiedzieć, do cholery? Lepiej mi pomóż.

— Trzymam ją. — Kowalski podszedł bliżej i wziął Amandę w ramiona, jakby ważyła nie więcej niż strach na wróble.

A może tylko tym pozostała — strachem na wróble bez mózgu.

Tak czy inaczej, potrzebowała pomocy.

— Gdzie są Gray i Seichan? — spytał Tucker, zabierając psa.

Kowalski ruszył z Amandą w kierunku drzwi.

— Uwierz mi, lepiej, żebyś nie wiedział.

Godzina 3.46

Seichan i Gray biegli dalej korytarzem, uciekając od hordy srebrnych robotów, gdy te zderzyły się z rozgrzanymi do czerwoności stopionymi drzwiami. Kilka z nich zaczęło płonąć. Te, którym udało się przemknąć, zrobiły coś dziwnego: zatoczyły krąg i zawróciły do drzwi, ignorując Graya i Seichan.

Przez chwilę wszystkie roboty skupiły się tam, atakując rozpalony metal. Ogień trawił je, a nawet roztapiał.

— Przyciąga je wysoka temperatura — wyjaśniła Seichan. — Zostały tak zaprogramowane, żeby reagować na ciepłość ciała.

I wyglądało na to, że wystarcza im jakiegokolwiek źródło ciepła. Gray przyglądał się, jak kilka z nich pędzi do kałuż roztopionej stali na podłodze i ulega zniszczeniu.

Ale gdy stal zaczęła stygnąć, niektóre próbowały ruszyć w ich kierunku. Zniechęciło je kilka celnych serii z karabinu.

Seichan obejrzała się za siebie.

— Czy nie powinniśmy zacząć szukać...

Świat zatrząsł się nagle od eksplozji tak silnej, że Gray aż przyklęknął. Potężny wybuch spowodował wibracje, od których rozboleły go trzonowe zęby. Od zmiany ciśnienia szumiało mu w uszach.

Seichan wymieniła z nim spojrzenia.

Oboje mieli strach w oczach.

Na korytarzu pojawiło się nagle kilkanaście centymetrów wody, jakby z pękniętej rury. Gray wyobraził sobie pylon, w którym mieściła się baza.

Był on naprawdę jedną monstrualną rurą.

Lodowatej wody przybywało.

Kowalski wyłonił się zza rogu, brnąc w wodzie i niosąc na rękach nieprzytomną kobietę. Gdy podniósł ją wyżej, jej głowa obróciła się w kierunku Graya. Ten rozpoznał ją natychmiast, choć nie miała włosów.

Amanda... żyje!

Nie mieli jednak czasu na świętowanie.

— Co się dzieje? — wrzasnął Kowalski.

Tucker i Kain podążali za nim, równie zaniepokojeni.

Seichan pochyliła się, zanurzyła w wodzie palec i spróbowała jej smaku.

— Słona.

Nie pozostawiało to wątpliwości.

— Wyszadzili budynek w powietrze. — Gray wskazał na windę. — Zalewa go woda. Wychodzimy! Natychmiast!

Godzina 3.55

*Często dostarczamy wrogom środków, by nas zniszczyli.*

Blake przypomniał sobie ten cytat z Ezopa, którego nauczył się w szkole w Eton, gdy był chłopcem. Choć wyrwany z kontekstu, wydawał się pasować do sytuacji, gdy obserwował z okienka niewielkiej łodzi ewakuacyjnej obraz zniszczeń.

Zaopatrzone w służbę powietrzną łodzie były rozmieszczone jak mydlane bańki wokół centralnego pylonu. Wyznaczone torry prowadziły wzdłuż kolumny ponad platformę do pięciu odnóg gwiaździstej wyspy — i poza jej obszar.

Patrole czekały już na ocalonych.

A zwłaszcza na bezcenny ładunek, który Blake trzymał na kolanach.

Noworodek, ciepło opatulony i kwilący cichutko, tak wiele znaczył, zarówno dla ludzi, którym Blake służył, jak i dla niego samego. Dawał mu gwarancję, że uniknie śmierci w morskiej otchłani. Zgłosił przez telefon, że zostali zaatakowani i musi ratować dziecko.

Lodowaty, skomputeryzowany głos oznajmił:

— Już się tym zajmujemy. Zapewnij dziecku bezpieczeństwo.

Właśnie to zamierzał zrobić.

Wyjrzał przez okno. Łódź mogła pomieścić dziesięć osób, ale on i Petra mieli ją tylko dla siebie.

Na zewnątrz było ciemno jak w przepastnej jaskini. Gdy uciekali, obserwował błyski niebieskich świateł wzdłuż centralnego pylonu. Ładunki wybuchowe rozrywały stal wewnątrz betonowych ścian, osłabiając całą konstrukcję. Wieża dokończy dzieła zniszczenia swą potężną masą, krusząc i miażdżąc wszystko, co znajduje się pod nią.

A nie chodziło tylko o ten jeden pylon.

Eksplozja rozjaśniła niebieską poświatą pogrążony w ciemnościach las kolumn i wstrząsnęła fundamentami wyspy. Łódź zadrżała od echa grzmotu. Przez chwilę świat na zewnątrz przypominał spektakl sztucznych ogni, fascynujący swą grozą.

Blake przypomniał sobie kolejne powiedzenie i zatęsknił za beztroskimi latami młodości.

*Wszystko, co dobre, musi się skończyć.*

Godzina 3.56

— Biegiem! — krzyknął Gray, wskazując na winde.

Brnęli po łydki w lodowatej wodzie.

Kowalski dźwigał Amandę, unosząc wysoko nogi i wypatrując stalowych pajaków. Ale ostatnie zginęły w powodzi.

Dotarli do wind, które wciąż miały zasilanie. Ale jak długo jeszcze? Komandor wcisnął guzik, by otworzyć drzwi.

Budynek zadrżał od kolejnego wstrząsu, któremu towarzyszył głuchy odgłos walących się ścian. Woda płynęła korytarzem w ich kierunku z coraz większą prędkością.

Drzwi windy otwierały się zbyt wolno.

Fala wody wepchnęła ich do kabiny. W ciągu paru sekund byli zanurzeni po pas. Chłód przenikał ich do szpiku kości. Drżąc z zimna, Seichan wcisnęła pospiesznie guzik z napisem lobby. Gray wstrzymał oddech. Wszyscy spojrzeli w górę, modląc się w duchu, by silniki jeszcze działały.

Wyobraził sobie turbiny, które widział na górze — najważniejsze, że były wysoko. Główne generatory nie powinny być zalane.

I nie mylił się, bo winda ruszyła. Woda wyciekała powoli z kabiny, w miarę jak sunęli w górę. Odetchnęli z wyraźną ulgą.

Amanda jęknęła cicho, gdyż środek znieczulający przestawał działać. Był to dobry znak, choć w jej czaszce tkwił nadal kawałek wiertła. Gdy będą bezpieczni, spróbują...

Silny wstrząs rzucił ich w kąt kabiny.

Grayowi znów zaszumiało w uszach.

Pod nimi rozległ się głuchy łoskot. Był coraz głośniejszy i brzmiał jak odgłos pędzącego w ich kierunku pociągu towarowego. Komandor wyobraził sobie słup wody, wypełniający błyskawicznie szyb windy wskutek zapadnięcia się komory pylonu.

— Mijamy poziomy techniczne — powiedziała Seichan, ściskając z nadzieją ramię Graya.

Jesteśmy prawie na miejscu, pomyślał.

Powinni być bezpieczni, gdy winda wyjedzie ponad poziom morza i dotrze do suchego lobby.

Nagle zgasły światła.

Winda zadrżała i stanęła.

Kowalski zaklął siarczyście w ciemnościach.

— Generatory — szepnęła Seichan.

Woda musiała zalać już tę kondygnację... i nadal się podnosiła. Huk pociągu towarowego rozbrzmiewał coraz głośniej.

— Trzymajcie się! — krzyknął Gray.

Woda uderzyła w podłogę kabiny, unosząc ją z ogromną prędkością.

Zmierzali przynajmniej we właściwym kierunku. Ale jak długo?

— Tucker, pomóż mi otworzyć drzwi!

Komandor wiedział, że będą mieli tylko jedną szansę. Gdy potężna fala zacznie opadać, kabina runie w przepaść.

W przyptywie adrenaliny rozsunęli na siłę drzwi. Mignęły im ściany szybu i nagle ukazało się wejście do lobby. Kabina zatrzymała się, balansując na szczycie potężnej fontanny.

Ale tylko przez chwilę.

Woda wdarła się do środka, zalewając wnętrze kabiny i powoli ją zatapiając.

— Szybciej!

Gray i Tucker pchnęli drzwi do lobby, otwierając je na tyle szeroko, by pozostali mogli wyjść. Seichan pomogła Kowalskiemu wynieść bezwładną Amandę. Kabina zanurzała się tymczasem coraz głębiej.

Tucker wypchnął Kaina wolną ręką przez szczelinę w drzwiach, po czym skinął na Graya. Obaj stali po piersi w wodzie. Tylko połowa kabiny była nadal na poziomie lobby.

— Wychodź! — powiedział Tucker.

— Idziemy razem — odparł komandor.

Nie mogli sobie pozwolić na luksus liczenia do trzech. Zanurkowali po prostu w szczelinę, wysuwając nogi z kabiny w chwili, gdy zapadała się w głąb szybu.

Gray pomógł Tuckerowi wstać. Przeszli kilka kroków, czując ulgę, że żyją.

Seichan przykucnęła obok Kowalskiego, sprawdzając, w jakim stanie jest Amanda. Gdy się podniosła, była wyraźnie zmartwiona.

— O co chodzi? — spytał Gray.

— Ona urodziła to dziecko.

Tucker podszedł bliżej, chlapiąc wodą.

— Ale ma nadal duży brzuch.

— Domyślam się, że był większy. — Kowalski zaniósł Amandę na schody, gdzie nie było wody.

— Urodziła wcześniaka — powiedziała Seichan. — Albo z powodu stresu, albo wywołali u niej przedwczesny poród.

Tucker z poczuciem winy na twarzy wpatrywał się w zalaną wodą windę.

— Nie wiedziałem. Mogłem poszukać dokładniej i spróbować znaleźć dziecko.

Gray położył mu dłoń na ramieniu.

— I tak ledwo zdążyliśmy. Gdyby potrwało to choćby minutę dłużej, Amanda mogła zginąć. I my wszyscy także. A nie ma pewności, czy dziecko urodziło się żywe. A może już je stąd zabrano.

Tucker nie wydawał się pocieszony jego logiczną argumentacją. Spoglądał ciągle na drzwi. Pies podszedł do niego i szturchnął nosem jego rękę. Tucker pogłaskał go po pysku, w tym znajdując pociechę.

Komandor odwrócił się, brnąc po kostki w wodzie. Po kostki?

Spojrzał pod nogi.

— Czemu tu jest nadal woda?

— Nie tylko tutaj — odparła Seichan, która stała kilka metrów dalej. Wskazała w głąb lobby na szklane wejście do Burdż Abadi.

Gray patrzył zaszokowany.

Oświetlony blaskiem księżycy park za wieżą był zalany wodą. Czarne fale omywały drzewa i uderzały o schody wieży.

Natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Jeśli trzeba było zacierać ślady, Gildia nigdy nie poprzestawała na półśrodkach. Nie wysadzili tylko jednego pylonu.

Wysadzili wszystkie.

Wiedział, co to znaczy. Prawda była przerażająca.

Cała wyspa tonęła.

## Orangeburg, Karolina Południowa

2 lipca, godzina 20.01 czasu miejscowego

Byli w drodze od godziny, jechali z Charlestonu na zachód. Kat zauważyła drogowskaz z napisem ORANGEBURG. Porywacze — dyrektor kliniki, doktor Paul Cranston, i trzech jego ludzie — trzymali się głównie bocznych dróg, pędząc po nich z nadmierną prędkością.

Cranston większość czasu rozmawiał przez telefon. Kat podsłuchiwała, ale niewiele zdołała się dowiedzieć. Najwyraźniej ani on, ani pozostali nadal nie mieli pojęcia, co zdarzyło się w klinice, nie wiedzieli, że prawdziwy sprawca pożogi siedzi z tyłu w ich fordzie explorerze.

Kat nie zamierzała ich o tym informować, ale miała wrażenie, że Cranston się wszystkiego domyśla. Czekał jednak z pytaniami, aż dotrą do celu podróży.

Wywnioskowała to z rozmowy telefonicznej, którą odbył przed chwilą. Siedział podczas niej wyprostowany, ton jego głosu był służalczy i zalękniony, a nie jak zawsze pełen lekceważenia.

*Zaraz je obie przywieziemy.*

Ktokolwiek ukrywał się po drugiej stronie linii, budził w nim paniczny strach. Doktor siedział przez kilka długich minut zdenerwowany i blady jak ściana, z komórką na kolanach, nie poruszając się i patrząc tępo za okno na pola bawełny i tytoniu.

W końcu otrząsnął się z szoku i wykonał ostatni telefon.

Do żony.

— Nic mi się nie stało, kochanie. Nie było mnie nawet w klinice, kiedy wybuchł pożar. Może to był wyciek gazu. Wiem, wiem... ale muszę wygasić jeszcze parę innych pożarów. Ucałuj ode mnie Michaela. Powiedz mu, że wrócę za dwa dni na paradę i pokaz sztucznych ogni z okazji Czwartego Lipca. Co mówisz? Tak, przepraszam... tracę sygnał. Nie usłyszałem, co... och, nieważne.

W końcu zrezygnował, nie mając zasięgu na wiejskiej drodze.

Kat słuchała, nie mogąc pojąć, że ten oddany rodzinie człowiek jest odpowiedzialny za koszmar rozgrywający się w laboratoriach kliniki.

Jego rozmowa obudziła w niej jednak tęsknotę za własną rodziną. Monk kładzie zapewne teraz dzieci spać. Ubiera Penny w piżamkę i wsadza Harriet do łóżeczka, nad którym wiszą misie. Wyobraziła sobie, jak mąż obejmuje ją w talii i przytula do siebie, szczęśliwy, że ma przy sobie wszystkie swoje dziewczyny.

Lisa, jakby odczytując myśli Kat, uściśniła jej dłoń.

Kat doceniła ten gest, ale chciała wrócić w ramiona Monka — a to oznaczało, że musiała najpierw odzyskać wolność.

Z każdym przebytym kilometrem szanse na to malały. Podejrzewała, że gdy dotrą do celu — do Łoży — ucieczka będzie niemożliwa. Musiała jednak być cierpliwa. Należało poczekać na odpowiedni moment.

W końcu okazja się nadarzyła.

SUV skręcił w ciągnącą się daleko pustą wiejską drogę. W zasięgu wzroku nie było żadnego samochodu. Letnie słońce wisiało nisko nad horyzontem i rosnące wzdłuż drogi wielkie dęby rzucały długie cienie.

Uścisnęła mocno rękę Lisy, by była przygotowana.

— Potrzebuję toalety — oznajmiła głośno.

— Zaczekasz — rzucił lekceważąco Cranston.

— Nie. Muszę się załatwić, na zewnątrz albo tutaj.

Cranston obrócił się w fotelu, spoglądając na nią i oceniając jej determinację. Patrzyła mu prosto w oczy. Zmierzył wzrokiem pusty odcinek drogi i westchnął.

— Dobrze. Zatrzymaj samochód. — Jego następne słowa były skierowane do jednego ze strażników. — Jak zacznie uciekać... zastrzel ją.

Ford zjechał na pobocze drogi.

Kat uścisnęła lekko dłoń przyjaciółki, próbując dać jej do zrozumienia, co zamierza.

Lisa zacisnęła palce.

— Ja też muszę iść... skoro i tak się zatrzymujemy.

Bystra dziewczyna.

— Idźcie na zmianę — powiedział Cranston. — Nie chcę ryzykować.

Wygramoliły się z tylnego siedzenia przez drzwi od strony kierowcy, zostawiając w samochodzie dwóch siedzących z przodu mężczyzn. Jeden ze strażników zaciskał mocno rękę na ramieniu Lisy, trzymając drugą dłoń na kaburze pistoletu.

Kat odeszła i znalazła się w cieniu dębu.

— Wystarczy! — krzyknął Cranston zza opuszczonej szyby.

Broń w ręku strażnika zmuszała ją do posłuchu.

Przykucnęła w zaroślach i zsunęła spodnie. Po tych wszystkich lekach, które jej zaaplikowali, musiała ulżyć pęcherzowi. Strażnik cały czas się jej przyglądał. Nie pozostała mu dłużna, patrząc na niego wyzywająco. Gdy skończyła, podniosła się i ruszyła z powrotem w kierunku drogi.

Mierzył do niej z pistoletu, zachowując dystans.

Drugi z nich pchnął Lisę w kierunku pola.

— Twoja kolej. Pospiesz się.

Kat tylko tego potrzebowała.

Wyprostowała ramię, wysuwając błyskawicznie ukrytą w rękawie pałkę. Strażnik był poza zasięgiem jej ręki, ale nie długiego twardego pręta.

Ukrywszy ciało Amy za kubłem na śmieci w Charlestonie, Kat zabrała jej pałkę, złożyła ją i wetknęła za spodnie, po czym rzuciła pistolet, udając, że jest nieuzbrojona.

Chciała przystąpić do akcji, gdy Lisa znajdzie się w bezpiecznej odległości od swoich prześladowców, kiedy nie będą mogli jej dopaść.

Nadeszła odpowiednia chwila.

Kat grzmotnęła strażnika z całej siły pałką w nadgarstek, łamiąc mu kość. Wypuścił z ręki pistolet.

Rzuciwszy się naprzód, zdążyła chwycić go jeszcze w powietrzu, wylądowała na ziemi, okręciła się na ramieniu i wystrzeliła. Trafiła swojego strażnika w kolano, następnie drugiego w głowę, po czym wykończyła pierwszego, strzelając mu w gardło.

Potem popędziła do samochodu. Jej atak był tak nagły i brutalny, że kierowca nie zdążył zareagować. Wsunęła broń przez otwarte okno i strzeliła mu prosto w skroń. Krew i odłamki

czaszki obryzgały przednie siedzenie, uderzając Cranstona w pierś i twarz.

Lekarz siedział zdumiony, trzymając jedną rękę w górze, a w drugiej ściskając otwartą komórkę.

Przykro mi, sukinsynu, nie ma zasięgu, pomyślała Kat.

Nie chciała ryzykować. Doktorek miał informacje, których potrzebowała Sigma. Zamierzała dostarczyć go Painterowi, związanego jak prezent z kokardą.

— Teraz my siadamy za kierownicę.

Godzina 20.12

Lisa prowadziła forda explorera po wiejskiej drodze, starając się nie patrzeć na krew na siedzeniu. Jako lekarz nie była szczególnie wrażliwa na takie widoki, ale brutalność Kat zaszokowała ją. Dotąd znała ją głównie jako matkę albo stratega pracującego z Painterem. Nigdy nie widziała, jaką zwierzęcą przebiegłością i okrucieństwem potrafi wykazać się w akcji.

Choć dzięki temu odzyskały wolność, Lisa była nadal zdenerwowana.

Tym, co się zdarzyło — i krwią przesiąkającą z fotela przez jej sukienkę.

Po strzelaninie Kat zmusiła Cranstona, by zaciągnął ciała do rowu, żeby nie były widoczne z drogi, choć wyglądała na mało ucieszczaną.

Zaczynało to stanowić problem.

— Mamy zasięg? — spytała Lisa.

— Nie — odparła z tylnego siedzenia Kat.

Siedziała za Cranstonem, z jego komórką w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Lekarz zajmował nadal miejsce obok kierowcy, z rękami przywiązany do zagłówka. Była to niewygodna pozycja, ale Kat nie zwracała uwagi na jego protesty.

Lisa zauważyła, że za zimnym profesjonalizmem Kat kryje się nienawiść. Nie wiedziała dokładnie, co działo się w klinice w Charlestonie, ale domyślała się, kto za to odpowiadał.

Cranston był wilkiem w owczej skórze.

I miał wielkie ambicje.

— Powinien być już zasięg — rzuciła Kat. — Ale nadal nie mam sygnału.

Po zarekwirowaniu pojazdu kazała Lisie zawrócić i jechać z powrotem. Chciała dotrzeć do jakiegoś telefonu albo znaleźć się wystarczająco blisko nadajnika, by mieć zasięg.

— Po prawej jest farma — oznajmiła Lisa. — Możemy skręcić i poprosić o pomoc.

— Mogą zawiadomić władze. Nie wiem, komu tu można ufać.

Lisa przypomniała sobie, że Painter wyrażał podobne obawy. Większość Karoliny Południowej należała do rodziny Gantów. Kto wie, jakie mieli wpływy wśród miejscowych stróżów prawa?

— Zobacz. — Lisa wskazała przed siebie. — Jest zjazd na Orangeburg. W mieście komórka musi mieć zasięg.

— Jedź tam — zgodziła się Kat, wciąż rozglądając się podejrzliwie po samochodzie.

Lisa skręciła i przejechała prawie kilometr. W oddali wyłoniła się zza drzew wieża kościoła. To musiał być Orangeburg.

Zbyt zapatrzona w dal, minęła skrzyżowanie z pulsującym czerwonym światłem. Niewielki zwodzony most przecinał ukrytą w dole rzekę. Właśnie zaczął się zamykać szlaban na wjeździe.

Lisa zatrzymała się przed nim i czekając, aż się otworzy, spytała:

— I co teraz?

— Nic.



Kat widziała w lusterku wstecznym tył głowy Cranstona. Od pięciu minut był niezwykle spokojny i nie skarżył się już na obolałe nadgarstki.

Głuchy łoskot obwieścił, że most się podnosi — ale po chwili przybrał na sile i przerodził się w rytmiczne dudnienie.

Lisa zmarszczyła brwi, obawiając się o zużyte tryby starej konstrukcji.

Kat zareagowała gwałtowniej. Zerwała się z miejsca i wyrzuciła komórkę za okno, chwytając równocześnie Lisę za ramię.

— Odjeżdżamy stąd! Natychmiast!

Było już jednak za późno.

Po lewej stronie wyłonił się znad rzeki smukły wojskowy śmigłowiec i zawisł nad mostem.

Lisa wrzuciła bieg wsteczny i wcisnęła gaz. Popędziła w tył do skrzyżowania, obróciła samochód o sto osiemdziesiąt stopni i była gotowa odjechać — ale śmigłowiec okazał się szybszy. Wylądował na drodze, blokując przejazd.

Lisa zahamowała, by uniknąć kolizji z obracającymi się śmigłami.

W przednią szybę forda uderzył podmuch powietrza.

— Wyrzucicie broń z samochodu! — ryknął głos z megafonu. — Wychodźcie z podniesionymi rękami!

By rozkaz został zrozumiany jak należy, niewielki karabin zamontowany u podwozia śmigłowca ostrzelał serią pocisków drogę przed maską SUV-a.

Lisa spojrzała na Kat.

Ta pokręciła głową.

— Rób, co każą.

Gdy zaległa pełna zdumienia cisza, Cranston oznajmił z uśmiechem:

— Drogie panie, nie tylko wam wolno robić niespodzianki. — Odwrócił się nieporadnie. — Zdążyłem wyłączyć komórkę i aktywować wmontowany w nią nadajnik satelitarny służący do wzywania pomocy.

Zamieniając ją w sygnalizator, uświadomiła sobie Lisa. Nic dziwnego, że Kat wyrzuciła tę komórkę.

Cranston uniósł brwi.

— Muszę jednak przyznać, że zareagowali szybciej, niż się spodziewałem. Najwyraźniej moi pracodawcy naprawdę nie chcą pozwolić wam uciec. Ale dlaczego? Kim, do cholery, jesteście?

Kat przytknęła mu pistolet do ucha.

— Nigdy się nie dowiesz.

Otworzył szeroko oczy, gdy pistolet wystrzelił, roztrzaskując mu połowę głowy.

Lisa skuliła się na widok brutalności swej towarzyszki. Dzwoniło jej w uszach, gdy Kat wyrzuciła broń za okno. Usłyszała jednak wyszeptane z nienawiścią słowa:

— To za Amy!

Waszyngton

Godzina 20.15 czasu miejscowego

Painter siedział w fotelu Kat, przecierając oczy. W powietrzu nie unosił się już delikatny zapach jaśminu. Może ulotnił się z powodu nadmiernej liczby osób, które kręciły się po biurze, a może jego nos zdążył przywyknąć do tej woni. Tak czy inaczej, miał dziwne poczucie straty.

Jesteś po prostu zmęczony, próbował przekonać sam siebie.

Jason i Linus kontynuowali swoją pracę, szukając forda na filmach. Painter obejrzał wielokrotnie niewyraźne nagranie, przyglądając się klatka po klatce mglistej postaci i wiedząc, że to Lisa.

Czuł ulgę, że ona żyje, ale im dłużej nie mieli żadnych informacji, co naprawdę dzieje się z nią i Kat, tym bardziej serce podchodziło mu do gardła.

Wysilając wzrok, spojrzął raz jeszcze na mapę na ekranie. Przedstawiała Karolinę Południową oraz część Karoliny Północnej i stanu Georgia. Na zielonym tle odznaczały się duże czerwone plamy. Były to ziemie należące do rodziny Gantów.

Painter podejrzewał, że Lisę i Kat ukryto gdzieś na tym obszarze.

Co oznaczało poważne wyzwanie.

Rodzina Gantów przybyła na wybrzeża stanów Karolina sto lat przed powstaniem tego kraju; osiedlili się w mieście Charles Town, które później nazwano Charlestonem. Dzięki finansowemu wsparciu krewnych ze Starego Kontynentu, z Francji i Anglii, zdobywali szybko majątek i władzę. Rozrastająca się rodzina miała coraz większe koneksje i wpływy, obejmujące uniwersytety, sfery rządowe, wojsko i banki.

Wiele majątku zainwestowano w ziemię.

Pod koniec stulecia mówiono, że Gantowie mogą przejechać konno od jednej granicy stanu do drugiej — od plaż Charlestonu przez nizinne hrabstwa do Pasma Błękitnego w Appalachach — będąc wciąż na terenie swoich posiadłości.

Dziś mogli przegonić stado bydła przez cały stan, wciąż będąc na swojej ziemi.

Painter potarł skronie, przybity bogactwem i władzą ludzi, których jego niewielki zespół miał przeciwko sobie. Jak mogli mieć nadzieję na sukces, walcząc z tak potężnym wrogiem? Jak zareagują tamci, kiedy dowiedzą się, że Sigma nadal potajemnie prowadzi dochodzenie w ich sprawie?

Mógł domyślić się odpowiedzi. W 146 roku p.n.e. Rzym zniszczył Kartaginę, łupiąc i paląc miasto, biorąc w niewolę tych, którzy ocaleli, i posypując solą ziemię, aby mieć pewność, że nigdy więcej nie wyda plonów.

Painter spodziewał się czegoś jeszcze gorszego.

Jason Carter pojawił się w progach, zawsze przy nim niczym cień.

— Panie dyrektorze, prosił pan, żebym dał znać, jak skończę ten specjalny projekt.

— Już jest gotowy?

— W naszym komputerze. Ale muszę go panu zademonstrować.

Painter podniósł się z fotela, ustępując miejsca głównemu analitykowi Kat. Chłopak pospiesznie usiadł. Postukał szybko w klawiaturę i na ekranie pojawiło się drzewo genealogiczne rodu Gantów. Painter poprosił, żeby jako ekspert stworzył jego bardziej szczegółową wersję, uwzględniającą specyficzne parametry.

Od samego początku coś w tym drzewie genealogicznym rodziny Gantów nie dawało mu spokoju. Miał uporczywe wrażenie, że nie dostrzega jakiegoś istotnego detalu. Zaczął podejrzewać, o co chodzi, ale nie wiedział, jak to rozumieć i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Aby uzyskać pewność, należało stworzyć drzewo genealogiczne, nie pomijając żadnego szczegółu.

Chciał mieć pełny obraz sytuacji i poprosił Jasona, by się tym zajął.

— To rodowód, który pierwotnie pan sporządził — oznajmił chłopak.

Kliknął myszką i na ekranie pojawił się trójwymiarowy schemat drzewa genealogicznego rodziny Gantów. Sploty więzi między kolejnymi potomkami tworzyły monumentalny gobelin,

obejmujący dwa stulecia, od założenia kraju.

Trudno było o wiarygodne dane z bardziej odległych czasów.

Ale dla Jasona najwyraźniej nie stanowiło to problemu.

— W porządku, panie dyrektorze. Wiem, o co pan prosił, ale pozwoliłem sobie sięgnąć też do poprzedniego stulecia... żeby być skrupulatnym.

Chcę sklonować tego dzieciaka, pomyślał Painter. Pochylił się niżej.

— I udało ci się zbadać boczne rozgałęzienia.

Jason skinął głową.

Painter wpatrywał się całymi godzinami w ten schemat i w końcu odkrył, co nie dawało mu spokoju. Niektóre gałęzie drzewa odchodzące od głównego pnia wrastały w niego z powrotem po pewnym czasie, co oznaczało, że dalecy kuzyni wzniali się ponownie w rodzinę. W tak bogatym rodzie nie było to niczym niezwykłym. Arystokraci zdobywali władzę poprzez więzy krwi.

Niepokoili go jednak pojedyncze nitki w tym gobelinie rodu Gantów, bo nawet jak na tak bogatą dynastię było ich zbyt wiele i tkanina wydawała się podejrzenie wystrzępiona. Paintera kusiło, by pociągnąć za te nitki i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Poprosił Jasona, by rozszerzył poszukiwania na boczne rozgałęzienia drzewa genealogicznego i prześledził wszystkie te luźne koligacje. Poinstruował go również, by szukał nowych krewnych, zwłaszcza tych, którzy odeszli od rodziny tak daleko, że nie byli już nawet dalekimi kuzynami, zanim wrócili na jej łono.

— Pokaż mi to — rzucił Painter.

— Niech pan będzie przygotowany. To bardzo duży schemat. Nie pojawią się żadne konkretne nazwiska, tylko punkty.

— Zaczynaj.

Jason postukał w parę klawiszy i oryginalna matryca, którą sporządził Painter, skurczyła się do obrazu wielkości pięści. Kręgi z nazwiskami zmalały, stając się węzłami sieci, gwiazdami galaktyki. Wokół jej jądra pojawiła się na ekranie mglista aureola nowych punkcików i cienkich linii, otaczająca galaktykę, ale tworząca z nią jedną całość.

Painter przesunął palcami wzdłuż nowych rozchodzących się spiralnie ramion galaktyki.

— Wszystkie te odgałęzienia oznaczają członków rodziny, którzy się od niej odłączyli.

— Tylko po to, by później wrócić — potwierdził Jason. — Zwykle w drugim pokoleniu, ale parę linii uległo rozerwaniu na pięć lub sześć generacji. Kilku spośród synów marnotrawnych wracających na łono rodziny było kuzynami z siedemnastego lub osiemnastego wieku. Ale w końcu zjawili się ponownie.

— Jak ćmy krążące wokół lampy — zauważył Painter. — Odlatują, a potem znów przyfruwają. I tak w kółko.

Jason wzruszył ramionami.

— Potrafię pewnie wykazać, że to wyjątkowa sytuacja, nawet w przypadku tak prominentnego rodu jak Gantowie, ale sporządzenie drzewa genealogicznego analogicznej dynastii zabrałoby sporo czasu. Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, co to może oznaczać.

Painter też nie wiedział — ale oddychał coraz głębiej i czuł przyływ adrenaliny, jakby stał na skraju przepaści.

Coś...

Nie odrywał wzroku od ekranu, wpatrzony w obracający się powoli obraz. Wyczuwał, że w mglistej galaktyce otaczającej drzewo genealogiczne kryje się jakaś prawidłowość. Musiał

tylko znaleźć do niej klucz.

Czego nie umiem dostrzec?

## U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 4.16 czasu miejscowego

Gray brnął w sięgającej mu do piersi wodzie w kierunku wejścia do Burdz Abadi. Pozostali czekali przy schodach, gotowi uciekać w górę, by uniknąć nadciągającej fali.

Za szklaną ścianą widzieli, jak Utopia powoli tonie. W kilku budynkach działały nadal światła awaryjne zasilane akumulatorami. Poza tym wyspę spowijały ciemności. Przez park przewalały się ciemne fale, uderzając o schody wieży. Wszędzie unosiły się na powierzchni niebezpieczne odpadki: kawałki drewna, plastikowe pojemniki na śmieci, nawet przewrócona palma, tkwiąca nadal w skrzyni. Prądy wody były równie groźne.

Komandor wyobraził sobie, jak tonąca platforma miażdży swoim ciężarem uszkodzone pylony. Zanim przeszedł przez lobby, poziom wody podniósł się o kolejne trzydzieści centymetrów. Musieli znaleźć drogę ucieczki z tonącej wieży, zanim wyspa zacznie błyskawicznie się zanurzać albo — co gorsza — cała platforma się przechyli i budynki zaczną się przewracać jak wysokie szklanki na tacy niezdarne kelnera.

Nie wiedział, czy Jack Kirkland jeszcze żyje, czy ocalał, gdy doszło do eksplozji w podziemiach platformy. Aktywował otrzymany od niego sygnalizator, mając nadzieję, że okaże się pomocny, i zostawił go Kowalskiemu, który nadal niósł na rękach Amandę.

Ale Gray nie polegał wyłącznie na nadziei.

Wpatrywał się w swój cel za drzwiami wieży.

Dach stojącego w głębi parku żółtego hummera — tego samego, za którym wcześniej się ukryli — był na razie nadal ponad lustrem wody, ale nie o niego Grayowi chodziło. Nie mogli odjechać z wyspy.

Za karoserią pojazdu kołysała się motorówka, także żółtego koloru. Wzbierająca woda zepchnęła ją z przyczepy. Liny utrzymywały ją w miejscu, ale ktoś źle je zawiązał.

Gray miał umocowany do nadgarstka sztylet i był gotów go użyć, by uwolnić motorówkę. Liczył na to, że zdoła ją uruchomić, a jeśli nawet nie, unosiła się przynajmniej na wodzie. Lepsze to niż pływanie wśród rozrzuconych szczątków, na łasce prądów i wirów.

Dotarłszy do wejścia, pchnął ramieniem drzwi. Okazało się to nie lada wyzwaniem, gdyż były do połowy zanurzone w wodzie. Powoli jednak ustąpiły. Otworzył je dość szeroko, by prześlizgnąć się na zewnątrz.

Silny prąd wody omal nie zmiotł go ze schodów prowadzących do parku. Na szczęście trzymał się mocno klamki drzwi.

Nagle usłyszał jakiś krzyk.

Odwrócił się w kierunku lobby.

Seichan stała wraz z innymi na spiralnych schodach. Woda nadal ich ścigała i wyglądało na to, że podnosi się coraz szybciej. Gray nie sięgał już prawie stopami do marmurowej podłogi. Ale Seichan niepokoiło coś więcej niż tylko nadciągająca powódź.

Wskazywała ręką w kierunku miasta.

— Światła! — zawołała. — Zbliżają się do nas!

Gray odwrócił się, zaciskając dłoń na kłamce.

Na szerokiej centralnej alei, która prowadziła wzdłuż jednej z odnóg gwiazdy, widać było trzy światła, poruszające się zygzakiem i zbliżające szybko w kierunku Burdż Abadi.

Ślizgacze.

Wątpił, by była to ekipa ratunkowa. Nie na tej wyspie, nie w przypadku ludzi, którzy naprawdę tu rządzą. Zapewne byli to raczej ludzie z jednostki patrolującej wody wokół Utopii. Ktoś musiał ich wysłać, żeby się upewnili, czy nikt nie ocalał po ataku na tajną bazę.

— Ukryjcie się! — zawołał do Seichan. — A w razie potrzeby uciekajcie!

Skinęła głową i gestem ręki nakazała pozostałym, by weszli wyżej po spiralnych schodach.

Nie mając czasu do stracenia, Gray spojrział ponownie na kołyszącą się motorówkę i zanurkował w wodę. Porwał go silny prąd, ale gdy oddalił się od ściany budynku, zdołał stawić mu opór. Wystawił głowę nad powierzchnię, zlokalizował swój cel i popłynął ku niemu, energicznie pracując rękami.

Więszym wyzwaniem okazały się przeszkody zanurzone w wodzie. Gdy przemierzał park, zaplątał się nogą w gałęzie zatopionego drzewa i musiał się z nich uwalniać.

Przez cały czas miał na oku nadpływające ślizgacze.

Zdawał sobie sprawę, że patrol szybciej dotrze do wieży niż on do hummera. Ale wody były ciemne i unosiło się na nich wiele szczątków. Jeśli zachowa ostrożność, mogą go nie zauważyć. Zaczeka, aż łódzie odpłyną, a potem odetnie motorówkę i ocali swoich towarzyszy.

Taki przynajmniej miał plan, dopóki zatopionego parku nie rozjaśniły wystrzelone z łodzi racie. Na niebie narodziły się nowe gwiazdy i opadały na niewielkich spadochronach, płonąc szkarłatnym ogniem, zamieniając noc w piekielny zmierzch i nadając wodzie czerwony odcień.

Gray rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby się ukryć, zanim ślizgacze do niego dotrą. Dziesięć metrów dalej unosiła się na wodzie długa niska skrzynia, obracając się powoli z prądem.

Popłynął w jej kierunku.

Ryk silników był coraz głośniejszy.

Łapiąc oddech, uchwycił się krawędzi skrzyni. Obserwował ślizgacze, gdy wpłynęły znad zalanej alei nad zatopiony park i skierowały się w różne strony.

Skulił się bardziej w swej liczej kryjówce.

Skoro wrogowie się rozdzielili, musiał uważać, by skrzynia przez cały czas zasłaniała go przed ich wzrokiem. Przyłgnął do jej krawędzi i uderzał stopami w wodę, ciągnąc skrzynię za sobą, nie za szybko, by stworzyć wrażenie, że unosi się z prądem.

Nagle dwa ślizgacze skrzyły w jego kierunku, okrążając go z dwóch stron. Nie było to zamierzone, po prostu miał pecha. Zanurzył się w wodzie i zanurkował pod skrzynię. Szukał po omacku jej dna, by się go przytrzymać, dopóki ślizgacze nie odpłyną.

Ale skrzynia nie miała dna. Była od spodu otwarta. Sięgnąwszy ręką do jej wnętrza stwierdził, że wypełnia ją powietrze. Wynurzył głowę i odetchnął głęboko w ciemnościach. Wyczuł palcami, że skrzynia jest wyścielona od środka miękkim materiałem.

Zrozumiał nagle, gdzie się ukrył.

Przypomniał sobie umieszczoną w ciężarówce trumnę, w której przywieziono Amandę. Musiała zostać zmyta z platformy i odpadło od niej wieko.

Woda nagle zajaśniała — dwa ślizgacze przemknęły obok, świecąc reflektorami.

Gdy się oddaliły, Gray popłynął dalej przez park, ukryty za trumną. Nie wiedział, czy taki środek transportu oznacza dobrą wróżbę, czy zły znak. Posuwał się jednak naprzód, zbliżając się powoli do motorówki. Miał nadzieję, że gdy do niej dotrze, patrolu już nie będzie.

Przez kolejne pół minuty panowała cisza, komandor zaryzykował więc i wynurzył się, by sprawdzić, czy płynie w dobrym kierunku.

Kiedy wystawił głowę, powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Spojrzał w kierunku Burdż Abadi. Trzy ślizgacze znajdowały się naprzeciwko wejścia. Ze środkowego wystrzelono pocisk, który przeleciał nad połyskującą na czerwono wodą, ciągnąc za sobą smugę dymu, i uderzył w wielokondygnacyjną szklaną fasadę. Wybuch dał im dostęp do lobby. Odłamki szkła spadały z góry jak setki lśniących gilotyn, otwierając przepastną otchłani.

Dwa ślizgacze pomknęły z rykiem silników do pogrążonego w ciemnościach lobby. Gdy były w środku, kolejna raca rozbłysła jak czerwone słońce.

Gray miał nadzieję, że jego towarzysze ukryli się i że patrol, dokonawszy pobieżnej inspekcji, opuści wieżowiec.

Tymczasem musiał się skupić na swoim zadaniu. Zanim zdążył się odwrócić, wodą wstrząsnęły dziwne wibracje. Powierzchnia zadrżała.

Świat wokół niego zaczął z głuchym pomrukiem pogrążyć się w wodzie. Kolejne piętra wieżowców zanurzały się coraz szybciej. Pod falami znikwały wierzchołki drzew. Utopia tonęła, wypuszczając z płuc ostatnie bańki powietrza.

Dziura wysadzona w fasadzie Burdż Abadi wyglądała z głębi parku jak zapadający się łuk, gdy wieżowiec niknął w otchłani. Przemknął pod nim jeden ze ślizgaczy, a siedzący w nim ludzie pochylili głowy, by nie zranić się o zwisające sople szkła.

Drugi ślizgacz został uwięziony w środku, krążąc bezradnie za szklaną fasadą. Znajdujący się na zewnątrz członkowie patrolu próbowali odpalić kolejną rakietę, ale nim zdążyli to zrobić, całe lobby zatoneło.

Gray skorzystał z okazji, że załogi ślizgaczy skupiły uwagę na uwięzionych towarzyszach.

Niestety, hummer i motorówka zniknęły tymczasem pod wodą.

Dotarłszy do miejsca, gdzie utonęły, wciągnął głęboko powietrze i zanurkował pod lśniąca czerwonym blaskiem powierzchni. W dole panowały kompletne ciemności.

Komandor wytężył wzrok w mrocznej otchłani.

Godzina 4.33

Seichan walczyła, by wspiąć się wyżej.

Wzbierająca woda ścigała ją i jej towarzyszy, pochłaniając znajdujące się pod nimi spiralne schody. Ale to nie było wszystko. Kilka pięter niżej dudniły na stopniach w świetle awaryjnych lamp kroki mrocznych postaci. Była to załoga uwięzionej łodzi patrolowej, szukająca w panice, tak samo jak oni, drogi ucieczki przed powodzią.

Seichan chciała znaleźć się trzy kondygnacje powyżej lustra wody, by zejść ze schodów i spróbować dotrzeć do okien na którymś z pięter.

Ale miała jeszcze jeden problem. Całkowicie straciła orientację. Gdy wysiadło zasilanie, poszczególne piętra przestały się obracać i utknęły w przypadkowym położeniu, wystając we wszystkich kierunkach. Co więcej, kręciło jej się w głowie od wspinaczki po spiralnych schodach. Nie miała już pojęcia, po której stronie budynku mają się spotkać z Grayem.

Z dołu rozległo się echo wystrzału.

Skrzywiła się.

Ludzie ze ślizgacza.

Po pierwsze, w co ci dranie mieli nadzieję trafić?

A po drugie, niech się odpieprzą!

Ale skoro chcieli sobie z nimi pogrywać, chętnie pozbędzie się paru kłopotów.

— Kowalski! Zajmij się tym!

— Jak sobie życzysz. — Nadal niósł na ramieniu Amandę, ale sięgnął w biegu do kieszeni i wyjąwszy z niej garść kulek, rozsypał je jak okruszki chleba na schodach.

Seichan spojrzała w dół i zaczęła, aż ciemne postacie dotrą w odpowiednie miejsce.

— Teraz! — krzyknęła.

Kowalski wcisnął guzik nadajnika, powodując eksplozję ostatnich ładunków C-4. Pierwszy z mężczyzn zginął, a pozostali wycofali się, gdy cała kondygnacja szklanych schodów wyleciała w powietrze. Byli w pułapce — nie mogli już iść do góry.

Przykro mi, panowie. To wy rozpętaliście tę wojnę.

Kontynuowała szaleńczą wspinaczkę po schodach. Pokonała jeszcze kilka zakrętów i usłyszała dobiegające z dołu krzyki.

Wywnioskowała z nich, na jakim poziomie jest woda. Albo podnosiła się szybciej, albo oni poruszali się wolniej. Tak czy inaczej, przegrywali ten wyścig.

— Następny poziom! — krzyknęła do Tuckera. — Znajdź najkrótszą drogę do okien wychodzących na zewnątrz.

Dotarłszy na kolejne piętro, pobiegła za Tuckerem i jego psem, modląc się w duchu. Tucker skręcił w długi korytarz.

— Tędy! — zawołał. — Na końcu jest balkon!

— Przestrzel zamek! — krzyknęła w odpowiedzi Seichan.

Nie mogli stracić ani sekundy.

Popędziła naprzód, a z nią Kowalski. Trzeba przyznać, że dotrzymywał jej kroku, choć dźwigał Amandę. Był jak koń pociągowy.

Przed nimi rozległy się strzały.

Seichan zrównała się z Tuckerem i Kainem, gdy kapitan otwierał przesuwane szklane drzwi. Wybiegli przez nie wszyscy na szeroki balkon.

Seichan zbliżyła się do balustrady. Wzbierająca woda kłębiła się piętro niżej. Gdyby musieli skakać, obawiała się dwóch rzeczy. Jeśli nie odskoczą wystarczająco daleko, wir spowodowany przez tonący wieżowiec wciągnie ich w otchłań. A gdyby nawet uniknęli tego niebezpieczeństwa, w tym wzburzonym morzu były rekiny — i to nie tylko te z płetwami.

Po prawej, w pobliżu parku, pływała łódź patrolowa.

Nie byliby w stanie jej uciec, a plusk wody zwróciłby zapewne uwagę załogi.

Seichan wpatrywała się w tonące miasto.

Gdzie jesteś, Gray?

Godzina 4.35

No, ustąp wreszcie...

Mając coraz mniej powietrza, Gray przecinał po omacku nożem nylonową linę. Stracił zbyt wiele czasu na odszukanie łodzi zawieszanej w mrocznej głębinie i przymocowanej nadal do przyczepy. Wypierana przez wodę, miała tak napięte cumy, że nie było szans ich odczepić.

Gdy przeciął liny na dziobie, uwolniony przód łodzi uniósł się ku powierzchni. Przybrała pionową pozycję, z rufą wciąż przytwierdzoną do przyczepy. Trzymając jedną rękę na pawężu,



Gray przecinał pozostałe cumy. Czuł w uszach rosnące ciśnienie, gdy wyspa tonęła, wciągając pod wodę jego i łódź.

Pracował gorączkowo, oddychając resztkami powietrza.

Co za uparte...

W górze rozbłysło światło, rozjaśniając powierzchnię wody. Zobaczył w poświacie reflektorów mroczny kontur kadłuba i usłyszał cichy pomruk silników.

Czekał, choć paliło go w płucach.

Gdy cień znalazł się dokładnie nad nim, Gray przeciął ostatnią linę. Uwolniona motorówka wyskoczyła jak torpeda w górę, zamieniona w taran napędzany siłą wyporu.

Godzina 4.36

Seichan obserwowała, jak motorówka podpływa bliżej i jest już pięćdziesiąt metrów od wieży. Jeden z członków załogi coś krzyknął, drugi wycelował karabin. Zostali zauważeni. Nad wodą rozbrzmiał strzał. Pocisk odbił się rykoszetem od balustrady balkonu.

Seichan przykucnęła.

Stojąc na balkonie, byli zbyt odsłonięci, ale dokąd mogli uciec? Spienione wody przy ścianach wieżowca wróżyły jedynie szybką śmierć przez utonięcie.

Oddała na chybił trafił kilka strzałów w kierunku łodzi, gdy nagle jakiś przedpotopowy stwór wynurzył się z morza i grzmotnął w jej burtę. Siła uderzenia rozbiła kadłub i przechyliła łódź, wyrzucając załogę do wody.

Stwór kołysał się w pobliżu na falach na swej stępce z włókna węglowego.

Była to żółta motorówka.

Gray wynurzył się obok niej. Miał w ręce swojego SIG sauera i wystrzelił do znajdujących się w wodzie mężczyzn, trafiając trzech z nich. Czwarty unosił się już na powierzchni twarzą w dół. Ich zmiażdżona łódź zatонуła.

— Gray! — krzyknęła Seichan, machając do niego.

Obrócił się w jej kierunku — akurat w chwili, gdy po lewej stronie wyłoniła się zza wieżowca druga łódź, zwabiona kanonadą. Przemknęła pod balkonem, ostrzeliwując go z broni maszynowej.

Wszyscy przypadli do podłogi, ale Seichan wiedziała, że nie oni są prawdziwym celem ataku. Patrol strzelał tylko po to, by ich bezpiecznie minąć i zapolować na łatwiejszą zdobycz.

Uciekaj, Gray!

Godzina 4.37

Gray wdrapał się do motorówki i rozciągnął się na pokładzie, by nie stanowić zbyt łatwego celu. Zza budynku Burdż Abadi wypłynęła druga łódź, z której strzelano.

Pociski roztrzaskały marmur na fasadzie balkonu.

Jego towarzysze schowali się — ale nie wszyscy.

Gdy łódź przepływała pod tonącym balkonem, na balustradzie pojawiła się smukła sylwetka Kaina. Owczarek odbił się mocno tylnymi łapami, by pokonać dużą odległość, przefrunął w powietrzu i wylądował między czterema członkami załogi patrolu.

Skutek był taki, jakby wrzucono im do łodzi granat.

Jeden z mężczyzn wypadł przerażony za burtę i został wciągnięty przez wir, który spowodowała tonąca wieża. Kain rzucił się do gardła drugiemu. Siedzący za sterem mężczyzna krzyknął, szarpnął kołem i w panice skierował łódź przy pełnej prędkości na wywróconą dryfującą palmę.

Łódź uderzyła w gruby pień, wzbila się w powietrze i odwróciła do góry dnem, zanim runęła do wody.

Kilka sekund później wypłynęły na powierzchnię ciała martwych lub nieprzytomnych ludzi. Jedyne ocalony wykazywał się umiejętnością pływania pieskiem.

Zanim doszło do śmiertelnej kolizji, po przenikliwym gwizdzie Tuckera Kain wyskoczył z łodzi, unosząc wysoko ogon. Wylądował bezpiecznie w spokojniejszej wodzie, ale prąd znosił go z powrotem w kierunku kłębiącego się wiru u podstawy wieżowca. Kain walczył z nim, obciążony kamizelką.

Nie dasz rady.

Gray rzucił się do steru motorówki. Poszperawszy w skrytce znalazł kluczyk i włączył zapłon. Obawiał się, że woda mogła uszkodzić silnik, ale wiedział również, że motorówki są skonstruowane tak, by temu zapobiec. Tak jak miał nadzieję, silnik kaszlnął, plunął wodą z dysz na rufie i zaczął pracować.

Komandor dodał gazu i pomknął w kierunku walczącego z prądem Kaina.

Trzymaj się.

Podpłynawszy do psa, wychylił się za burtę i chwycił go za wodoszczelną kamizelkę. Próbował wciągnąć przemokniętego trzydziestokilogramowego owczarka do łodzi. Zdał sobie sprawę, że potrzebuje do tego obu rąk, i puścił koło. Pozbawiona sterowania motorówka mknęła w kierunku wieżowca. Spieniona woda huczała złowieszczo, a gwałtowne wiry wsysały wszystko w otchłań.

W końcu, wyginając ciało, komandor wciągnął Kaina na pokład. Owczarek otrząsnął się z wody, machając ogonem, i trącił go przyjaźnie łbem.

— Dzięki! — zawołał do Graya Tucker.

— Hej, a co z nami?! — krzyknął Kowalski.

Woda zalała już podłogę balkonu, kłębiąc się pod ich stopami. Troje towarzyszy Graya uczepiło się balustrady.

Zasiadłszy znów za kołem sterowym, dodał gazu i pomknął w kierunku balkonu. Dopłynął do nich łodzią i utrzymywał ją w miejscu tak, by wskoczyli na pokład. Gdy Tucker pomagał Kowalskiemu przenieść Amandę, uniosła rękę i pacnęła olbrzyma w policzek.

Kowalski chwycił jej dłoń.

— Psiakrew! Tak mi dziękujesz za to, że dźwigałem twój tyłek dziesięć piętér?

Kiedy wszyscy wsiedli do motorówki, Gray oddalił się od tonącej wieży.

Łódź miała tylko cztery miejsca. Razem z Kainem było ich sześcioro, zanurzała się więc bardziej, niż powinna, i płynęła powoli.

Ale utrzymywali się na powierzchni.

Czego nie można było powiedzieć o Utopii.

Prąd ściągał łódź wyraźnie w lewo. Gray starał się skorygować kurs, ale bezskutecznie.

Co, do diabła?

— Pierce! — wrzasnął Kowalski, kierując jego wzrok w niebo.

Zaszokowany Gray wykręcił szyję.

Wieżowiec Burdż Abadi przechylał się niebezpiecznie w kierunku ich łodzi.

Komandor rozejrzał się. Wszystkie wieżowce na wyspie były pochylone w tę samą stronę, jakby ugiwały się od podmuchu wiatru.

O cholera...

Seichan też dostrzegła niebezpieczeństwo.

— Wyspa odwraca się do góry dnem.

Gray wcisnął gaz, wyobrażając sobie, co zaraz nastąpi.

Musieli wypłynąć na otwarte wody.

W oddali runął jeden z wieżowców, przewracając się powoli na sąsiedni budynek.

Nieco bliżej rozległo się z wody głucho skrzypienie naprężonego betonu i stali. Nikt nie miał wątpliwości, skąd pochodzi.

Wszyscy spojrzeli na Burdż Abadi.

Godzina 4.40

Wyglądało na to, że Wieczna Wieża nie zasługuje na swoją nazwę.

Edward Blake obserwował z pokładu dużej łodzi patrolowej powolną agonię wyspy. Czteryście metrów od niego Utopia przechyliła się i przełamała na pół, pogrążając się w morzu jak współczesna Atlantyda. Stojący w jej centrum wieżowiec Burdż Abadi runął, a jego górne kondygnacje pękały i odpadały od centralnej osi jak zsuwające się ze stosu talerze.

Blake otrzymał wiadomość, że wysłane do wieży patrolowe zaginęły. Nie było z nimi kontaktu radiowego.

Pewnie odpowiadali za to ludzie, którzy zaatakowali bazę.

Musiał podjąć stosowne kroki.

Ale nie bez konsultacji.

Petra przeszła przez właz, niosąc telefon satelitarny. Ostrzegła go spojrzeniem, że nie ma dobrych wiadomości.

Podła mu aparat.

Przytknął go do ucha i usłyszał zniekształcony komputerowo głos.

— Czy dziecko jest bezpieczne?

— Tak.

— A matka?

— Nie żyje.

Z całą pewnością, pomyślał Blake.

— Niech pan skoordynuje działania wszystkich sił, zaciśnię pętlę wokół wyspy i schwyta ludzi, którzy zaatakowali bazę.

— A kiedy już ich znajdę?

Otrzymał bardzo szczegółowe instrukcje, a na koniec usłyszał:

— Potem zajmie się wszystkim Petra. Wie, co należy zrobić.

Blake przełknął z trudem ślinę, czując się zdeprecjonowany, ale nie ośmielił się protestować.

W sumie może i lepiej było nie wiedzieć.

## U wybrzeży Dubaju

3 lipca, godzina 4.44 czasu miejscowego

Gray pędził motorówką, gdy wyspa rozpadała się wokół niego na kawałki.

Tonąca platforma, wykręcana przez prądy i rozbijana od dołu przez nietknięte częściowo pylony, rozleciała się na mniejsze fragmenty. Pozbawione nagle fundamentu i mocno obciążone, zaczęły wywracać się do góry dnem, wraz z budynkami, wieżowcami i rusztowaniami.

Komandor próbował uniknąć tych obracających się młyńskich kół, pędząc najszybciej jak mógł.

Wieżowce nadal jednak się przewracały. Ściany pękały z hukiem. Z okien sypało się szkło.

Unoszące się na wodzie szczątki zagradzały im drogę i stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Omijał zygzakiem te największe. Odporny na uderzenia kadłub motorówki z włókna węglowego radził sobie z pozostałymi.

Gray musiał wydostać się na otwarte wody, ale ciągle natrafiał na jakieś przeszkody.

— Gray! — krzyknęła Seichan, chwytając się mocniej burty.

— Widzę.

Przed nimi oderwał się od nieukończonego jeszcze wieżowca ogromny fragment szkieletu — będący właściwie żelazną ramą — uderzył w sąsiedni budynek, odbił się i leciał w ich kierunku jak kula bilardowa.

Kowalski zaklął siarczyście.

Wszyscy podzielali jego odczucia.

Gray miał tylko kilka sekund, by uniknąć kolizji.

Dostrzegł jedyną dostępną osłonę i musiał zaryzykować.

— Schylcie się!

Skręcił łodzią w prawo, obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i grzmotnął burtą o mur pod wystającym balkonem zatopionego budynku. Monstrualny kawał żelaza przeleciał nad nimi i gdzieś zniknął.

— Ładne parkowanie — skomentował Kowalski.

Komandor wyprowadził motorówkę z rykiem silnika z ich kryjówek, skręcił i popędził w kierunku lśniącego w oddali morza.

Ale nawet ta droga zamykała się przed nimi.

Dwa wieżowce mieszkalne pochylały się ku sobie jak pijane. Ten z prawej leciał na swego partnera, sypiąc szkłem i betonem.

— Szybciej! — ponagliła Seichan.

Gray nie miał wyboru. Silnik wył na pełnych obrotach. Motorówka pędziła jak rakieta, starając się przemknąć pod tą opadającą gilotyną ze stali, betonu i szkła.

Kowalski skulił się nad Amandą, którą trzymał na kolanach.

— Nie mogę na to patrzeć!

Seichan wyciągnęła rękę i chwyciła Graya za ramię.

Tucker wsparł się nogami o tył mostka kapitańskiego.

Tylko jeden członek załogi inaczej ocenił sytuację.

Kain przeszedł na przód łodzi, precyzyjnie się pod ręką Seichan i skoczył na dziób, wystawiając nos do wiatru. Machał energicznie ogonem, uderzając nim Graya w ramię.

Ten, zachęcony jego zachowaniem, zacisnął palce na sterze. Motorówka pomknęła po powierzchni wody z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Widoczny przed nimi budynek zapadał się coraz szybciej, zawężając im pole manewru.

Ale Gray już się nie wahał.

— Pochylić się! — krzyknął.

Seichan wpiła mu palce w ramię, przytrzymując drugą ręką Kaina.

Motorówka przemknęła pod rozpadającym się wieżowcem, przedzierając się przez deszcz odłamków szkła. Przez kilka sekund świat wypełniało skrzypienie skręcanej stali i huk kruszonego betonu.

Mieli wrażenie, jakby nad ich głowami wykoleił się pociąg towarowy.

Ledwie minęli wieżowiec, runął do wody za ich plecami, powodując potężną falę. Pomieszana ze szczątkami budynku woda uderzyła w nich i uniosła dalej w głąb ciemnego morza.

Nie było ono jednak tak całkowicie ciemne.

Trzysta metrów dalej zagrażał im drogę kordon świateł łodzi, w tym dużego kutra.

Flota strzegących wyspy ochroniarzy ustawiła blokadę.

Gray zmniejszył prędkość.

— Może nas nie zauważyli — powiedziała Seichan.

Obejrzał się z powątpiewaniem. Gdy znów popatrzył przed siebie, jego obawy się potwierdziły.

Trzy światła wyłamały się z szeregu i zbliżały do nich.

Zawrócił motorówkę i pognał w przeciwnym kierunku. Tam też widać było światła łodzi uczestniczących w blokadzie. Ale nie do nich chciał dotrzeć. Gdy znalazł się wystarczająco daleko, skręcił za unoszącą się na wodzie paletę drewna budowlanego.

— Nie myśl, że uda ci się tutaj schować — ostrzegł go Kowalski.

Gray stanął i wskazał za burtę.

— Wszyscy wysiadać.

Seichan chwyciła go za ramię.

— Co zamierzasz? Moglibyśmy ich zgubić.

— Nie z takim obciążeniem — odparł pospiesznie. Skinął na wskaźnik paliwa. — Kończy nam się ropa. Nie wystarczy, żeby dopłynąć do lądu.

— Więc co masz zamiar...? — Seichan przeszła go wzrokiem. — Chcesz odciągnąć ich uwagę?

— To da Amandzie najwięcej szans. Zostawię was tutaj, zacznę uciekać i zmuszę ich, żeby jak najdłużej mnie ścigali. — Wskazał na Kowalskiego. — Masz nadajnik Jacka Kirklanda. Może ocalał i dotrze do was. Jeśli nie...

Kowalski spojrział na stertę drewna.

— Zbuduję łódź.

— Postaraj się — odparł Gray.

Pozostali zdjęli szybko buty i odzież. Tucker ściągnął Kainowi kamizelkę, żeby nie był obciążony.

Amandę zostawili w szpitalnej koszuli. Powoli wybudzała się z narkozy, ale była nadal odurzona. Komandor obawiał się, że może doznać szoku. Nie chciał zostawiać jej dryfującej na morzu, ale jakie miał inne wyjście?

Pomógł Tuckerowi i Kowalskiemu ściągnąć ją z pokładu. Woda na powierzchni była przynajmniej cieplejsza niż w głębinach.

— Trzymaj jej głowę w górze — przestrzegł Gray.

Kain wskoczył do morza obok nich.

Komandor spojrział na Seichan. Nie zdjęła ubrania i stała z założonymi rękami.

— Nie zabieram cię ze sobą — powiedział, odgadując jej zamiary.

— Owszem.

— Nie będziemy oboje się poświęcać.

Zmarszczyła brwi i zmierzyła go wzrokiem, jakby oszalał.

— Kto mówi o poświęceniu? Chcesz, żeby odwrócić uwagę tych ludzi na łodziach. — Wskazała za sterłą drewna. — Widzisz ten kuter patrolowy?

— Tak.

— Czas na zmianę ról. — Uniosła brew. — Najwyższa pora, żebyśmy my zabawili się w piratów.

Godzina 4.58

Tucker nie słyszał już ryku silnika motorówki. Widział tylko przez chwilę, jak Gray i Seichan uciekają wzdłuż linii blokady, ścigani przez trzy łodzie.

Liczył, że ich plan się powiedzie, ale miał do wykonania swoje zadanie: zadbać o bezpieczeństwo Amandy. Odkąd zabrał ją ze stołu operacyjnego, czuł się za nią szczególnie odpowiedzialny — tym bardziej że uciekając pośpiesznie, zostawił jej nowo narodzone niemowlę.

Powinienem był dokładniej się jej przyjrzeć.

Ale tego błędu nie dało się już naprawić — mógł jedynie zapewnić ochronę Amandzie.

W tym celu popłynął w kierunku unoszącej się na wodzie plastikowej beczki i złapał ją za uchwyt. Zamierzał zbudować szaniec wokół ich kryjówki, żeby byli jak najmniej widoczni wśród dryfujących szczątków.

Na wschodzie niebo jaśniało już brzaskiem. Chciał zapewnić im lepszy kamuflaż, zanim wszędzie słońce.

Nie spodziewał się, że będą musieli pozostawać długo w ukryciu. Może dwie godziny. Katastrofa na taką skalę — zatonięcie całej wyspy — przyciągnie uwagę światowych mediów: zjawią się śmigłowce stacji telewizyjnych, łowcy sensacji i reporterzy. Dopiero wtedy będzie można wyjść z kryjówki i szukać ratunku przy włączonych kamerach.

Nagłośnienie sprawy powinno zapewnić Amandzie bezpieczeństwo.

Taka historia zagwarantuje dużą widownię.

Nic nie przyciąga ludzkiej uwagi bardziej niż krew w wodzie.

Gdy odwrócił się, ciągnąc beczkę, z wody wynurzyła się płetwa. Potem kolejna. I jeszcze jedna.

Zapomniał, że krew przyciąga nie tylko uwagę.

Pomyślał o rekinach, które widywał wcześniej.

Coś obilo mu się o nogę.

Puścił beczkę i wyszarpnął sztylet. Pistolet zostawił na stercie drewna.

Rozglądał się, ale morze było pogrążone w ciemnościach. Zniknęły nawet płetwy.

Nagle coś dotknęło jego kostki. Wierzgnął nogą, uderzając nią w twardą powierzchnię. Poczuł, że się unosi. Po kilku sekundach zobaczył, jak ciemna woda spływa ze szklanego kadłuba *Ducha*.

Jack Kirland wysunął głowę przez otwarty właz. Spojrzał na sztylet, który Tucker trzymał kurczowo w dłoni.

— Chcesz zaatakować moją łódź tym nożem? Po tym wszystkim, co przeżyłem, żeby ocalić wasze nędzne tyłki?

Tucker, chowając sztylet do pochwy, pragnął wyściskać tego człowieka.

— Spróbuj przepłynąć przez las pękających betonowych kolumn, gdy wyspa wali ci się na głowę. — Jack uśmiechnął się szeroko. — To była przygoda mojego życia! A teraz załadujmy was wszystkich na pokład.

Gdy im się to udało, Jack spowaźniał. Zwłaszcza na widok stanu Amandy. Była na granicy szoku. Drżała, miała sine wargi i bladą twarz.

Kowalski owinał ją suchym kocem, który znalazł w kajucie łodzi. Jak na takiego topornego faceta był zaskakująco delikatny. Ale koc nie wystarczył.

— Ona potrzebuje natychmiast pomocy medycznej — stwierdził Tucker, sadzając Amandę na jednym z foteli.

Kain przysiadł obok, opierając się o jego kolano.

— Wiem, gdzie może ją otrzymać — oznajmił Jack. — Niedaleko stąd. Mam nowoczesny sprzęt na pokładzie łodzi *Deep Fathom*. Możemy w ciągu godziny dotrzeć z nią w bezpieczne miejsce.

Tucker opadł na siedzenie z ulgą i wdzięcznością.

Jack zanurzył z powrotem łódź i ruszył w drogę.

— Co oni jej zrobili, do cholery?

— Nie wiem — odparł głucho Tucker. I mam nadzieję nigdy się nie dowiedzieć, dodał w myślach.

— Co z waszymi pozostałymi przyjaciółmi?

Tucker spojrział w górę przez szklany sufit i musiał przyznać:

— Nie mam pojęcia.

Godzina 5.01

— Została resztką paliwa! — krzyknął Gray. W każdym razie mam nadzieję, że chociaż tyle, pomyślał.

Seichan siedziała obok niego z dwoma SIG-ami na kolanach. Zerknęła w jego kierunku. Miała w oczach strach — nie była przecież głupia — ale to chyba tylko jeszcze bardziej ją podniecało. Uśmiechnęła się. Wiatr rozwiewał jej włosy i łopotał kołnierzykiem bluzki, odsłaniając smukłą szyję.

— No to ruszamy! — Zawsze była małomówna.

Odpowiedział jej uśmiechem, co sprawiło, że sama uśmiechnęła się jeszcze szerzej. W jej oczach lśniła jakaś mroczna, subtelna obietnica, którą chciał zgłębić.

Kiedy będą mieli czas.

Skręcił motorówką z powrotem w kierunku blokady. Płynąc zygzakiem, zmusili trzy łodzie do szaleńczego pościgu. W kadłubie z włókna węglowego pojawiło się kilka nowych dziur, ale tyle samo ich prześladowców zginęło od kul Seichan.

Udowodniła, że nie straciła celności strzałów od czasu, gdy się poznali. Oczywiście, wtedy była płatnym zabójcą Gildii i strzelała do niego.

Pędził w stronę kutra patrolowego, łodzi o długości trzydziestu metrów, w której mieściło się centrum dowodzenia. Był przekonany, że nikogo nie interesuje teraz miejsce, gdzie ukrył pozostałych. Zamierzał zjawić się tutaj sam i spodziewał się, że go złapią, może nawet zabiją.

I to się nie zmieniło.

Tyle że Seichan zaproponowała inny plan — aby ich poświęcenie przyniosło jakieś korzyści. Cała historia zaczęła się od aktu piractwa — więc może w ten sam sposób uda się ją zakończyć.

Pirackie rzemiosło polegało w połowie na zabijaniu i niszczeniu.

Biorąc pod uwagę zatopienie wyspy i mnóstwo ofiar, z tego już się wywiązali.

Drugą połowę stanowiła kradzież skarbów.

I po to tutaj przybyli.

Gray mknął prosto w kierunku kutra. Załogi mniejszych łodzi, zaskoczone tak samobójczym manewrem, nie zdążyły zagrozić mu drogi. Seichan jeszcze im to utrudniała. Stała, opierając jedno kolano na siedzeniu dla utrzymania równowagi i wyciągając obie ręce, w których trzymała czarne SIG sauery. Śmiercionośny grad pocisków miał ułatwić Grayowi prześlizgnięcie się przez linie obrony przeciwnika.

Nic już nie przeszkadzało im w dotarciu do pomalowanego na biało kutra.

Była to jednostka szybkiego reagowania, mająca zwykle dwudziestoosobową załogę. I — jak większość nowoczesnych łodzi patrolowych — miała na rufie rampę do opuszczania ślizgaczy, nawet w ruchu.

Tam chcieli się dostać.

Rampa była w tym momencie pusta, gdyż wszystkie ślizgacze uczestniczyły w blokadzie wokół wyspy.

Komandor, płynąc na resztkach paliwa, skierował motorówkę ku rampie.

Załoga kutra pobiegła na rufę z gotową do strzału bronią automatyczną. Na pokładzie obróciło się w kierunku intruzów dwudziestopięciomilimetrowe działko. Co więcej, jeden ze strażników obsługiwał czarny dysk LRAD — akustycznego urządzenia o dalekim zasięgu, używanego jako niezagrażająca życiu tarcza dźwiękowa przeciwko piratom i będącego pożytecznym narzędziem na tych wodach.

Nie było jak wdrzeć się na ten statek.

Mieli tylko jedną szansę.

— Gotowa? — spytał Gray.

— Tak czy inaczej, skończyły mi się naboje — odparła Seichan.

Wyłączył silniki i wstał, dołączając do niej. Splótł palce na głowie. Seichan demonstracyjnie wyrzuciła za burtę oba pistolety, po czym przyjęła taką samą postawę, podnosząc ręce.

— Poddajemy się! — zawołał.

Motorówka dopłynęła siłą rozpędu do rampy na rufie i wsunęła się na nią dziobem. Z obu stron otoczyli ich uzbrojeni ludzie.

Zrobiło się zamieszanie.

Na szczycie rampy pojawił się kapitan kutra. Jego ciemna cera i czarna szczeciniasta broda wskazywały na arabskie pochodzenie. Towarzyszył mu z jednej strony szczupły mężczyzna z wąsem, a z drugiej muskularna kobieta o krótko przyciętych blond włosach.



— Na kolana! — rozkazał kapitan, mierząc do nich z pistoletu.

Posłuchali go.

Kapitan warknął coś po arabsku. Czterej mężczyźni zbiegli po rampie i wciągnęli motorówkę wyżej, po czym przywiązali ją, by uniemożliwić więźniom ucieczkę. Dwaj inni podeszli do Graya i Seichan i skuli im ręce za plecami.

Dopiero wtedy kapitan i towarzyszący mu ludzie zbliżyli się do nich.

Szczupły mężczyzna podszedł do Seichan, mówiąc z silnym brytyjskim akcentem:

— Byłaby idealnym obiektem badań, nie sądzisz, Petro?

Blondynka podeszła do komandora.

— Ostrożnie, doktorze Blake. Ona nie jest dla pana. Przynajmniej na razie. Ani on — dodała, pochyliwszy się w kierunku Graya. — Myśleliśmy, że trudniej będzie was schwycić. To podejrzane.

Chwyciła go nagle za gardło. Odruchowo próbował się cofnąć. Uśmiechnęła się lekko, rozbawiona wyrazem zaskoczenia na jego twarzy. Wykonując równie błyskawiczny ruch drugą ręką, wbiła mu igłę w szyję. Gdy wcisnęła tłok strzykawki, poczuł intensywny palący ból.

Zaczął kaszleć.

Petra wyprostowała się.

— Mamy wobec niego specjalne plany.

— Jakie? — spytał z wahaniem Blake, jakby nie chciał znać odpowiedzi.

— Jest doskonałym snajperem — oznajmiła Petra.

Gray starał się słuchać, ale tracił świadomość. Jej głos zanikał w głębi długiego tunelu.

— Za czterdzieści godzin...

Jej ostatnie słowa były już tylko szeptem, gdy osunął się na pokład obok Seichan. Zdołał jeszcze zobaczyć kątem oka, jak Seichan wyłączyła kolaniem kamerę, przymocowaną do pozostawionej w motorówce kamizelki Kaina, zanim tamci się zorientują, że nagrywała ich rozmowę.

Komandor modlił się w duchu, by ktoś ich słuchał — ktoś musiał przecież słuchać.

Ryzykowali tak wiele, by zdobyć ten piracki łup.

Najcenniejszy skarb świata.

Informację.

Gdy Gray tracił świadomość, towarzyszyły mu ostatnie niepokojące słowa Petry:

— Za czterdzieści godzin ten człowiek zabije prezydenta Stanów Zjednoczonych.

CZĘŚĆ TRZECIA  
**TERENY ŁOWIECKIE**

Waszyngton

3 lipca, godzina 13.04 czasu miejscowego

Painter wyczekiwał burzy.

Stał w centralnym korytarzu, który przecinał najniższy poziom ich bunkra dowodzenia. Tutaj Sigma ukrywała swoje największe tajemnice. Wyszedł z pokoju, do którego w ciągu ostatnich pięciu godzin wchodziło zaledwie kilku ludzi. Nerwy miał naprężone jak struny.

Musiał się przejść, żeby rozładować napięcie.

Minął niemal cały dzień, odkąd miał ostatnie wiadomości na temat Kat i Lisy, a i tak było to jedynie niewyraźne nagranie z kamery bankomatu.

Od tamtej pory nic więcej.

Skręcało go w środku.

Ale miał obowiązki, których nie mógł zaniedbywać.

Przy końcu korytarza zabrzmiał dzwonek windy i otworzyły się drzwi. Dwaj pierwsi ludzie, którzy wyszli, byli członkami tajnych służb. Obaj zmierzli Paintera wzrokiem. Jeden ruszył korytarzem, drugi pozostał z tyłu i dał prezydentowi Gantowi znak, że może wyjść z kabiny.

Za nim podążyli jeszcze dwaj agenci.

Gantowi towarzyszył generał Metcalf.

— Tędy, panie prezydencie.

Gant wpatrywał się w Paintera. Był jak gradowa chmura: miał wściekłość w oczach, zaczerwienioną twarz i agresywne ruchy. Nawet jego chód wyrażał gniew. Painter miał nadzieję, że zdąży powiedzieć słowo, zanim dostanie pięścią. I nie był całkowicie pewien, czy i tak nie oberwie. Musiał jednak zaryzykować.

Losy kraju zależały od najbliższych kilku minut.

Dziennikarze sądzili, że prezydent uczestniczy w prywatnym spotkaniu z dyrektorem Instytutu Smithsona. Nawet Gant myślał, że przychodzi na prośbę Metcalfa, by wysłuchać błagań Paintera pragnącego zapobiec egzekucji Sigmy. Prezydent zgodził się na rozmowę dopiero po burzliwych zakulisowych negocjacjach z generałem, który musiał użyć wielu politycznych argumentów, by naczelny dowódca poświęcił na nią pięć minut swojego czasu.

Gant spojrział na zegarek, pokonując ostatnie metry.

Najwyraźniej już odliczał sekundy.

— Robię panu grzeczność — oznajmił z wyczuwalną w jego karolińskim akcencie nutą pogardy. — Przez wzgląd na zasługi generała Metcalfa. Tylko dlatego tu jestem. I to ostatnia przysługa, jaką panu wyświadczam.

— Rozumiem, panie prezydencie.

Gant zacisnął pięść.

— Więc proszę mówić i załatwmy to jak najszybciej.

Painter zwrócił się do Metcalfa:

— Co z agentami Secret Service?

— Dokładnie sprawdzeni — odparł generał. — Wszyscy czterej. Będzie ich pan potrzebował.

Prezydent spojrział na Paintera i Metcalfa.

— Do czego? — zapytał.

— Zanim wszystko opowiem, panie prezydencie, musi pan coś zobaczyć — odpowiedział Painter. Odwrócił się i podszedł do drzwi, które miał za sobą. Jeden z agentów Secret Service podążył za nim. Painter otworzył drzwi i wpuścił go przodem, by sprawdził pokój.

Gdy agent wyszedł, był blady na twarzy.

— W porządku — rzucił, usuwając się na bok.

Painter przytrzymał drzwi i skinął głową do Ganta. Ten, wciąż zagniewany, poprawił krawat i wszedł do pokoju. Painter ruszył za nim. Towarzyszył mu jeszcze jeden agent, a pozostali zajęli pozycje na korytarzu.

Prezydent podszedł wyprostowany do szpitalnego łóżka. Przystanął przy jego krawędzi, sztywny jak słupek soli, po czym osunął się na kolana i opadł na materac. Drżały mu ramiona. Po chwili zaczął szlochać.

Jeśli Painter miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy Gant czegoś nie ukrywa, w tym momencie się rozwiały.

— Moje córeczka... Ona żyje!

Amanda Gant-Bennett leżała spokojnie na łóżku, nadal pod lekkim znieczuleniem. Miała na sobie błękitną szpitalną koszulę w kwiaty. Przez kroplówkę podawano jej płyny i dwa antybiotyki. Monitorowano dopływ tlenu, pracę serca i ciśnienie krwi. Na głowie miała czepek, a pod nim bandaż w miejscu, z którego neurochirurg fachowo usunął wkrecone w czaszkę wiertło. Musiał pozostawić tam dren, gdyż w głowie zbyt długo była dziura. Tomografia komputerowa wykazała, że wiertło przebiło górną zatokę strzałkową przez kość czołową, ale kora mózgowa pozostała nienaruszona. Wtórne obrażenia spowodowały niewielki krwiak podtwardówkowy, ale wyglądało na to, że nie wymaga on interwencji.

Powrót Amandy do zdrowia był kwestią czasu i regeneracji sił.

W pokoju znajdowały się jeszcze dwie osoby: neurochirurg i Tucker Wayne. Odkąd przybyli tam przed pięcioma godzinami, żaden z nich nie odszedł od łóżka Amandy. Wracala do Stanów okrężną drogą. Jack Kirkland przewiózł ją na pokład swego *Deep Fathom*, gdzie personel medyczny ustabilizował jej stan w drodze do Abu Dhabi. Tam Painter poprosił o pomoc kogoś, komu ufał i kto miał wielkie wpływy w tym rejonie: potentatkę naftową, lady Karę Kensington. Ona załatwiła prywatny odrzutowiec, a Painter fałszywe dokumenty.

Nikt oprócz jego ludzi nie wiedział, że Amanda żyje.

Do tej chwili.

Prezydent odwrócił się, wciąż klęcząc.

— Jakim cudem?

— Potrzebuję więcej niż pięciu minut, żeby to wyjaśnić — odparł Painter, a potem opowiedział wszystko, niczego nie pomijając. Gant tymczasem podniósł się z kolan. Przeszli do gabinetu lekarskiego tuż obok oddziału — ojciec chciał pozostać jak najbliżej córki.

Gdy Painter wyjaśnił, jak ocalili Amandę, prezydent uścisnął rękę Tuckerowi.

— Dziękuję ci, synu.

Tucker skinął głową.

— Jestem zaszczycony, panie prezydencie.

— Chciałbym poznać kiedyś tego pańskiego psa.

— Z pewnością da się to zorganizować.

Painter naświetlił kluczowe punkty historii Amandy. Pozostały tylko pytania, na które nie potrafił w pełni odpowiedzieć.

— Nadal jednak nie rozumiem, do czego potrzebowali mojego wnuka — powiedział prezydent.

— Wciąż próbujemy to ustalić. Pana córka odzyskiwała chwilami przytomność. Zdołałem zadać jej parę pytań, wyjaśnić kilka spraw.

— Niech mi pan wszystko powie — poprosił Gant. Siedział przy niewielkim biurku w gabinecie lekarskim, zbyt zdenerwowany, by utrzymać się na nogach.

Painter nadal stał.

— Otrzymała przez kuriera przesyłkę z nieznanego źródła. Były w niej podrobione paszporty i list z ostrzeżeniem, że musi uciekać, bo jej dziecku grozi niebezpieczeństwo. Dołączono również dokumenty: kartoteki medyczne, faksy, wyniki badań laboratoryjnych. To wystarczyło, żeby przekonać pana córkę, że powinna zniknąć, by chronić dziecko. W liście ostrzegano ją również, by zachowała wszystko w tajemnicy przed rodziną i nikomu nie ufała.

— Ale dlaczego? — Twarz Ganta wyrażała niedowierzenie i strach, ale zaczynała też pałać gniewem.

— Ktoś chciał mieć to dziecko. Podejrzewam, że pański wnuk był obiektem eksperymentu genetycznego. Globalnego projektu badawczego, trwającego od dziesięcioleci, jeśli nie dłużej, i związanego z handlem żywym towarem i doświadczeniami na ludziach.

— O jakich doświadczeniach pan mówi? — spytał prezydent z jeszcze większym niedowierzeniem.

— Nie mam pewności. Chodzi o DNA dziecka. Tyle podsłuchiwała pana córka. Ale w oparciu o inne źródła informacji sądzę, że w ramach eksperymentu wszczepiono do jego struktury genetycznej zmodyfikowaną białko. Może być pierwszym dzieckiem, u którego udało się to z powodzeniem przeprowadzić.

Gant pokręcił głową.

— Ale jaki mają w tym cel? Czego chcą od mojego wnuka?

Painter pozostawił najgorszą wiadomość na koniec.

— Amanda uważa, że zamierzają eksperymentować na pańskim wnuku, utrzymać go przy życiu... a przynajmniej jego tkanki... aby poddać je bardziej szczegółowym badaniom.

Prezydent zerwał się na równe nogi. Przerazenie wzbudziło w nim wściekłość.

— Co? Jak... Kim, do cholery, są ci dranie?

Gdy Painter szykował się do odpowiedzi, dręczyło go pilniejsze pytanie.

Gdzie oni są?

Pasma Błękitne w Appalachach

Godzina 13.42 czasu miejscowego

Doktor Edward Blake odsunął delikatnie stetoskop od drobnej klatki piersiowej noworodka. Widać było, jak serce dziecka uderza słabo w jej wnętrzu. Jego skóra miała lekko siną barwę, co wskazywało na niedotlenienie.

Doktor obwieścił swój werdykt Petrze.

— Jego stan się pogarsza. Jest wcześniakiem i ma niedowagę. Może nieprawidłowo się rozwija. — Wzruszył ramionami. — Albo stres spowodowany podróżą nadwerżył jego odporność.

Mroczne spojrzenie i zacięte usta Petry wyrażały jej rozczarowanie. Nie troszczyła się o zdrowie dziecka — stracili już wiele innych. Ale po wszystkich problemach, w Somalii i Dubaju, oboje potrzebowali teraz sukcesu.

A nadzieja na jego osiągnięcie słabła z każdym oddechem noworodka.

Dziecko leżało w ogrzewanym inkubatorze, otulone kocykami. Jedna wprowadzona do nosa rurka dostarczała mu tlenu, a druga — sięgająca do żołądka — pożywienia. Czujniki monitorowały dotlenienie, pracę serca i płuc, ciśnienie krwi i temperaturę.

Blake pokręcił głową.

— Przy tak płytkim oddechu być może będziemy musieli podłączyć cewnik, by zapewnić stałe ciśnienie w drogach oddechowych. Albo zaintubować go i dotlenić.

Musiał znaleźć sposób, by doprowadzić to dziecko do stabilnego stanu. Ostatnie badanie DNA wykazało u niego znaczny ubytek PNA. Potrójne helisy w tkankach jego najważniejszych narządów ulegały rozpadowi.

Ale najbardziej martwiło go to, że nadal nie wiedział dlaczego.

Istniała możliwość, że organizm dziecka odrzucał po prostu obcą białekę, z której zbudowana była trzecia helisa. W rezultacie niemowlę chorowało i jego stan stopniowo się pogarszał.

Nieprawidłowy rozwój dziecka mógł też wynikać ze zwyczajnych powodów — było zbyt szczupłe, zbyt słabe — a stres wywołał wtórne zaburzenia metabolizmu w potrójnej helisie.

— Kura czy jajko? — spytał noworodka.

Czy to rozpad helisy osłabił twój organizm?

Czy osłabienie organizmu spowodowało rozpad helisy?

Prawdopodobnie była to kombinacja obu tych czynników, wywołująca efekt kaskady.

Bez względu na to, który z tych scenariuszy był prawdziwy, on i Petra mieli problem. W ich organizacji nie nagradzano porażek i rzadko je tolerowano.

Blake rozejrzał się po niedużym oddziale bez okien, który przydzielono im w strzeżonym kompleksie. Nie mieli teraz takich jak przedtem warunków do badań. W Łoży prowadzono głównie eksperymenty dla wojska — nie można było oczekiwać tam cudów, jakie obiecywały laboratoria Utopii.

Przyglądał się kwadratowemu pomieszczeniu, w którym znalazł czasowo schronienie i miejsce do pracy. Ewakuacja z Utopii była pospieszna i nieoczekiwana. Nie mieli czasu się do niej przygotować. Skrzynie były nadal nierozpakowane. Całe skrzydło czekało na zainstalowanie nowego laboratorium.

Bez wątpienia doktor Blake mógł odbudować tutaj swoje centrum badawcze, ale wymagało to czasu.

Czasu, którego to dziecko nie miało.

Spojrzał ponownie na inkubator.

W drodze z Dubaju widać było wyraźnie, że stan noworodka się pogarsza. Blake zamówił wszystko, czego potrzebował do utrzymania go przy życiu, i dostarczono mu to tutaj samolotem. Ale gdy sytuacja się nie poprawiała, stanął wobec smutnej rzeczywistości. Mógł sprowadzić sprzęt, ale znalezienie wykwalifikowanego i zaufanego personelu medycznego, który przybyłby na czas do tego silnie strzeżonego obiektu, stanowiło nie lada wyzwanie. Zwłaszcza w obliczu krwawych wydarzeń zarówno na Środkowym Wschodzie jak i tu, w Karolinie Południowej. W obu tych miejscach stracili kilku wybitnych kolegów.

Uruchomili już odpowiednie tryby, by sprowadzić kompetentnych ludzi.

Niestety, czas miał kluczowe znaczenie.

Wykonanie nawet najprostszych z proponowanych zabiegów wymagało określonej liczby pracującego przez całą dobę wykwalifikowanego personelu.

— Potrzebujemy dodatkowych rąk do pracy — stwierdził. — Zręcznych i sprawnych. Zatrudnię natychmiast jedną dodatkową osobę, jeśli będzie wystarczająco zdolna.

Petra skinęła głową, w pełni go rozumiejąc.

— Zadzwoń. Być może mamy tu już kogoś na miejscu.

Godzina 13.45

Doktor Lisa Cummings przechadzała się po swojej celi. Zostawiła na niewielkiej tacy nietknięty lunch. Kanapkę z indykiem i małą paczkę meksykańskich chipsów. W prostocie tego posiłku było coś obscenicznego. Rozejrzała się po celi, przemierzając ją po raz kolejny.

Tępy ból skręconej kostki nie dawał o sobie zapomnieć.

Ściany celi wykonane były z pozbawionego łączeń białego plastiku, a drzwi z twardego polimerowego szkła, osadzonego w stalowej framudze. Przymknęła do nich policzkiem, by zobaczyć, co jest za progiem. Zobaczyła jedynie szereg podobnych cel, najwyraźniej pustych.

Gdzie jest Kat?

Denerwując się, chodziła coraz szybciej.

Cela była wyposażona tylko w prycze z piankowym materacem i szafkę z umywalką z nierdzewnej stali. Jedyne luksus stanowił wmontowany w ścianę telewizor z płaskim ekranem. Ale Lisa nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją zza tego ekranu obserwuje.

A może była to tylko paranoja spowodowana działaniem leków.

Gdy zeszłej nocy zagroził im drogę śmigłowiec, zjechało z niego na linach czterech umundurowanych mężczyzn. Związali Lisę i Kat; wstrzyknęli im domięśniowo środek uspokajający. Sądząc po pieczeniu w oczach i sztywności nóg, była to ketamina.

Podczas podróży ocknęła się nagle półprzytomna i stwierdziła, że jest na tylnym siedzeniu forda eksplorera. Kat leżała rozciągnięta obok niej, z wywróconymi oczami, lekko chrapiąc. Lisa była zbyt słaba, by się poruszyć, ale widziała przez tylne okno mroczny las i wysokie skały, co świadczyło, że są w górach.

Domyślała się, że to Pasma Błękitne, ale nie mogła być pewna.

Ponownie straciła przytomność i podejrzewała, że w którymś momencie zrobiono jej drugi zastrzyk. Miała na ramieniu dwa ślady po igle.

Podrapała się mimowolnie w to miejsce przez cienką tkaninę. Ktoś przebrał ją w bawełnianą sukienkę przypominającą szpitalną koszulę, wciągana przez głowę i nierozpinaną na plecach. Miała na sobie także kaptcie, niedopasowany stanik i majtki. Odzież była czysta, ale używana. Ktoś nosił wcześniej te rzeczy, co tylko pogłębiało jej niepokój.

Co stało się z tymi kobietami?

W telewizorze rozległo się przenikliwe brzęczenie. Lisa rozejrzała się. Na ekranie pojawił się obraz niewielkiego oddziału szpitala. Pracowały tam dwie postacie w fartuchach lekarskich. Był to najwyraźniej oddział intensywnej opieki nad noworodkami.

Usłyszała zniekształcony komputerowo głos, dziwnie bezbarwny i niespójny.

— Doktor Cummings, dowiedzieliśmy się, że ma pani zarówno doświadczenie w medycynie ogólnej, jak i doktorat z fizjologii. Czy to prawda?

— Tak — odparła z wahaniem, nie widząc powodu, by kłamać. Najwyraźniej wiedzieli, kim jest. Zapewne zdobyli informacje na podstawie jej odcisków palców.

— Przydatność jest tutaj cnotą. — Głos był lodowaty. — Każdy musi być użyteczny. Dlatego chcielibyśmy, żeby pomogła nam pani w zdiagnozowaniu i leczeniu jednego z noworodków na oddziale. Mamy obecnie niedobór personelu medycznego, zwłaszcza wykwalifikowanego.

— Dlaczego miałabym wam pomagać?

— Skoro ocalenie życia dziecka nie jest wystarczającym powodem, może pomyśli pani o przyjaciółce.

Obraz na ekranie zmienił się i zobaczyła celę podobną do swojej — tyle że z ciemnoczerwonymi ścianami. Miała wrażenie, że patrzy przez okno do sąsiedniego pomieszczenia, ale mogło się ono znajdować gdziekolwiek w tym kompleksie. Kobieta siedząca na łóżku zerwała się na nogi, podbiegła do obiektywu kamery i zbliżyła do niego rękę.

Lisa przyłożyła dłoń do monitora. Zetknęły się palcami. Wyobraziła sobie, że ciepło ekranu emanuje z ręki jej najlepszej przyjaciółki.

— Kat...

— Liso, dobrze się czujesz?

Połączenie zostało przerwane i ekran stał się czarny. Kat ponownie usłyszała zniekształcony głos.

— Każde pani niepowodzenie lub nieposłuszeństwo oznaczać będzie karę cielesną dla pani przyjaciółki. Proszę okazać swoją przydatność, to obie przeżyjecie.

Przełknęła z trudem ślinę, czując nagle, że jest jej zimno w cienkiej koszuli.

— Co mam zrobić?

Elektroniczny zamek u drzwi otworzył się z trzaskiem.

— Proszę iść w prawo. Do końca korytarza.

Ekran pociemniał.

Lisa wahała się przez kilka sekund, wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Współpracując, zyska na czasie — a potrzebowała go, by znaleźć drogę ucieczki albo by Painter natrafił na ich ślad. Przypomniała sobie twarz swego mężczyzny, zaczesany za ucho kosmyk śnieżnobiałych włosów, inteligentne spojrzenie — a przede wszystkim miłość, którą lśniły nocą jego oczy nad poduszki.

To ostatnie, bardziej niż cokolwiek, dodawało jej sił.

Podeszła do drzwi, pchnęła je i skierowała się w prawo. W korytarzu było kilkanaście cel. Szukała w nich Kat, ale wszystkie wydawały się puste, przynajmniej takie odnosiła wrażenie.

— Kat! — zawołała cicho, idąc powoli i obracając głowę.

Nie było odpowiedzi, przy szklanych drzwiach nie pojawiła się niczyja twarz.

W kilku celach zobaczyła pozwijane materace, co nadawało całemu skrzydłu wrażenie bezużyteczności, ale tworzyło również atmosferę wyczekiwania, jak w pustym internacie, który ma być zamieszkały od nowego semestru.

Może powodował to dochodzący z przodu cichy szmer głosów.

Kiedy dotarła do końca korytarza, pchnęła drzwi i weszła na niewielki oddział, który widziała na monitorze. Połowę przestrzeni wypełniały skrzynie i pudła, jedne otwarte, inne z nierozpakowanym jeszcze, owiniętym w folię sprzętem medycznym.

Drugą połowę pomieszczenia zajmował oddział noworodków. Jakaś kobieta w fartuchu zauważyła ją i skinęła ręką, jak do koleżanki, dając znak, by dołączyła do obecnych tam osób.

Zanim Lisa zdążyła podejść bliżej, otworzyły się drzwi po drugiej stronie oddziału i wszedł barczysty starszy mężczyzna o staranie uczesanych siwych włosach, ubrany w ponury szary



garnitur. Zmierzał w kierunku Lisy dystygowanym krokiem.

Znieruchomiała, gdy go rozpoznała.

Wyciągnął do niej rękę, mówiąc ciepło z karolińskim akcentem:

— Dziękuję, doktor Cummings, że zgodziła się pani pomóc wnukowi mojego brata.

Lisa uścisnęła ze zdumieniem jego dłoń.

Stał przed nią były ambasador USA w Azji Południowo-Wschodniej, a obecnie sekretarz stanu — i brat prezydenta.

Robert L. Gant.

Waszyngton

Godzina 13.55 czasu miejscowego

— Niech mi pan powie, kto za tym wszystkim stoi — zażądał James Gant, nie spuszczać wzroku z sąsiedniego pokoju, gdzie na szpitalnym łóżku leżała jego córka.

Painter wiedział, że dalsza część rozmowy będzie wymagała pewnej delikatności. To, co miał do przekazania, było przeznaczone wyłącznie dla uszu i oczu prezydenta.

Dla niego — i jeszcze kogoś.

Jason Carter pracował przy stacjonarnym komputerze w gabinecie lekarskim, w którym zaszyli się Painter i prezydent. Agenci Secret Service nadal pilnowali korytarza, a jeden był cały czas przy Amandzie.

Jason skinął w końcu głową, gotowy do prezentacji. Miał skopiowane potrzebne nagrania.

Painter spojrzał na Ganta.

— Jak pan wie, panie prezydencie, podejrzewaliśmy już wcześniej, że z porwaniem pańskiej córki miała coś wspólnego Gildia.

Oczy Ganta pociemniały.

— Czytałem raporty wywiadu.

— Właśnie, tyle że nie jest to prawdziwa nazwa tej organizacji. Pod szyldem Gildii działa wiele komórek na całym świecie, sieć agentów rozlokowanych w wojsku, sferach rządowych, instytutach badawczych i kręgach finansjery. Organizacja ma wiele poziomów, niektóre noszą inne nazwy, ale niedawno odkryłem, kto naprawdę nią rządzi i pociąga za sznurki.

Prezydent przyjrzał mu się uważniej.

— Niech pan mówi.

— Ten wewnętrzny krąg ukrywał się również pod wieloma nazwami, działając pod przykryciem niezliczonych tajnych stowarzyszeń, które istnieją od stuleci.

— Od stuleci? — W głosie prezydenta zabrzmiała nuta sceptycyzmu.

— Co najmniej od średniowiecza — potwierdził Painter. — Może nawet dłużej. — Rzucił spojrzenie Jasonowi.

Młody analityk starał się odtworzyć drzewo genealogiczne Gantów od najbardziej zamierzchłych czasów, ale był to powolny proces i sięgając w bardzo odległą przeszłość, musiał polegać na pogłoskach i domysłach.

— A jak to wygląda obecnie? — spytał prezydent, nie tracąc z oczu tego, co najważniejsze. — Co pan wie o ich współczesnej działalności?

— Wiemy dwie rzeczy. Po pierwsze, są powiązani z pańską rodziną.

Gant zakrztusił się lekko.

— Co?!

Painter kontynuował, póki prezydent chciał go jeszcze słuchać.

— Po drugie, organizacja znana jest pod nazwą Linia Krwi.

Gant poruszył się, słysząc to określenie i najwyraźniej je rozpoznając. Paintera nie zaskoczyła jego reakcja. Amanda także знаła tę nazwę, chciał jednak usłyszeć, co ma do powiedzenia prezydent.

— Panie dyrektorze, szanuję pana. Mam wobec pana wielki dług wdzięczności, ale ściga pan duchy. Uważa pan za prawdę plotki i pogłoski.

Painter milczał, nie przerywając mu.

— Podejrzenia nękają większość bogatych rodów — ciągnął prezydent. — Plotki, spiski, intrygi... Jest w czym wybierać. Niech pan weźmie Kennedych, Rockefellerów, Vanderbiltoów, Rothschildów. W przeszłości każdą z tych rodzin łączono z tajnymi organizacjami i globalnymi spiskami. Nie stanowimy wyjątku. Proszę wyciągnąć z tej talii dowolną kartę, masonerię, Komisję Trójstronną, stowarzyszenie Czaszka i Kości, Grupę Bilderberga, a znajdzie pan powiązania z naszą rodziną. — Pokręcił głową, wyraźnie rozczarowany. — Opowieści o Linii Krwi służą w naszej rodzinnej tradycji do straszenia dzieci, żeby były posłuszne. Dotyczą naszych spraw i nie powinny wychodzić poza próg domu. Dorastając, słyszałem wiele historii, snutych głównie nocą, pod kołdrą. O ludziach, którzy zbyt głośno wypowiadali tę nazwę i nagle znikali.

Nie wątpię, pomyślał Painter. Zamordowani albo zwerbowani w szeregi organizacji.

— Dał się pan zwieść, dyrektorze. Ta spiskowa teoria to oszustwo.

Painter czuł, że prezydent traci wiatr w żaglach. Wiedział, że nadeszła pora. Skinął na Jasona.

— Pokaż nagranie, które miałeś przygotować — polecił, po czym zwrócił się ponownie do Ganta; — Pana córka opisała symbol wymalowany na namiocie w Somalii. Znaleźliśmy ten sam znak bliżej nas. W klinice, w której przeprowadzono u niej zapłodnienie in vitro.

Jason odsunął się na bok. Na ekranie pojawił się film nagrany przez Kat. Pokazywał, jak biegnie do wielkich stalowych drzwi.

— Zatrzymaj w tym miejscu — rzucił Painter, starając się stłumić niepokój o Kat i Lisę.

Obraz znieruchomiał. Na zbliżeniu środkowej części drzwi widać było wyraźnie wypukły szkarłatny krzyż opleciony łańcuchami kodu genetycznego. Amanda rozpoznała go wcześniej jako symbol związany z Linia Krwi.

Sądząc po skurczu na twarzy Ganta, on również to wiedział. Pochylił się niżej, szepcząc:

— To niemożliwe.

Painter dał znak Jasonowi, by odtwarzał dalej film.

— Oto, co ten symbol ukrywał.

Nie patrzył na monitor. Nie musiał oglądać tego ponownie. Przyglądał się twarzy prezydenta, który wyraźnie pobladł i rozchylił wargi w niemym przerażeniu.

Wiedząc, że Gant zobaczył wystarczająco dużo, wymownym gestem przeciągnął dłonią po szyi.

Jason przerwał odtwarzanie, pozostawiając prezydenta w szoku.

Dopiero po dłuższej chwili Gant oderwał oczy od ekranu i spojrzał błędnym wzrokiem na Paintera. Bez wątplenia myślał o córce.

Skinął głową, akceptując prawdę. Gdy wstał, w jego głosie pobrzmiwała żądza zemsty.

— Jeśli ma pan rację, jeśli członkowie mojej rodziny dopuścili się takich niegodziwości, potraktowali tak okrutnie moją córkę, chcę ich dopaść. — Skoncentrował cały swój gniew na jednym pytaniu: — Od czego zaczynamy?

Zanim Painter zdążył odpowiedzieć, coraz bardziej rozwścieczony głos Ganta usłyszała i rozpoznała jeszcze jedna osoba.

— Tatusiu...

Wszyscy odwrócili się w kierunku szpitalnego łóżka w sąsiednim pomieszczeniu. Pacjentka miała otwarte oczy i rozglądała się półprzytomnie.

— Amando!... — Gant pospieszył do niej, przyklęknął na jedno kolano, by wziąć ją za rękę. — Dziecinko, jestem przy tobie.

Spojrzała ojcowi w oczy, ale zamiast ulgi dostrzegła w nich odbicie jego gniewu. Ścisnęła mu dłoń, wciąż odurzona środkami uspokajającymi.

— Wyzdrowiejesz — próbował ją pocieszyć.

Nie chciała takich zapewnień — oczekiwała czynów.

— Tato, oni zabrali Williama. Porwali mojego chłopczyka. — Zacisnęła palce tak mocno, że zbieleły jej kostki. — Uwolnij go. — Nagle opadła z sił. Wpatrywała się w twarz ojca, domagając się od niego obietnicy. Obarczywszy go tym zadaniem, wywróciła oczami, a jej dłoń osunęła się bezwładnie.

— Potrzebuje jeszcze odpoczynku — powiedział neurochirurg, podchodząc do łóżka.

Gant zignorował go i zwrócił się do Paintera, wciąż klęcząc. Miał rozpacz na twarzy, ale oczy płonęły mu z determinacji.

— Co mam zrobić, żeby odzyskać wnuka?

Painter przypomniał sobie film nakręcony na łodzi kamerą przymocowaną do kamizelki Kaina. Oglądał go już tego dnia kilkakrotnie — pościg, schwytanie jego ludzi, uśpienie Graya Pierce'a — i za każdym razem był wdzięczny komandorowi za jego spryt i poświęcenie. Dzięki temu potajemnemu nagraniu mieli szansę pokonać wroga.

Painter zamierzał ją wykorzystać.

— Co mam zrobić? — nalegał Gant.

Painter spojrzał mu prosto w oczy i powiedział otwarcie:

— Musi pan umrzeć, panie prezydencie.

Waszyngton

4 lipca, godzina 11.34 czasu miejscowego

Gray powrócił do rzeczywistości lotem błyskawicy.

Elektrowstrząs przeszył mu czaszkę, jakby ktoś przyłożył jego prawy policzek do rozżarzonej płyty piecyka. Wciągnął gwałtownie powietrze, próbując odsunąć głowę, ale nie mógł uniknąć bólu. Poczuł ulgę dopiero wtedy, gdy pieczenie ustąpiło samo.

Potem coś ukuło go w rękę. Fala ciepła rozlała mu się po ramieniu i klatce piersiowej, docierając do serca, które zaczęło bić jak szalone. W uszach pulsowała krew. Przez kilka sekund z trudem oddychał.

Zastrzyk spowodował silne pobudzenie. Świat nabrał nagle wyrazistych konturów, ale Gray widział go w czerwonej otoczce. Leżał na plecach, czując pulsowanie w gardle. Gdy się pozbierał, sięgnął ręką do betonowego sufitu, który był tak nisko, że dało się dotknąć palcami jego chropowatej powierzchni.

Zauważył, że do nadgarstka ma przywiązane jakieś urządzenie: strzykawkę z mechanicznym systemem dawkowania. Zerwał ją, zaciskając przekłutą żyłę.

Musieli mu podać antidotum na środek uspokajający, by w kilka sekund odzyskał przytomność.

Ale gdzie ja jestem?

Ze wszystkich stron otaczały go betonowe ściany, tworząc niszę o szerokości półtora metra i wysokości dziewięćdziesięciu centymetrów. W narożniku paliło się oślepiająco jasne światło. W pobliżu jego stóp stała na podłodze podłużna metalowa skrzynia. W jednej ze ścian było okienko zasłonięte metalową żaluzją, zbyt wąskie jednak, by się przez nie przecisnąć. Jedyne wyjście stanowiła zamknięta od zewnątrz kłapa w podłodze.

Co się dzieje?

Odpowiedź rozbrzmiała mu w głowie, gdzieś głęboko w prawym uchu.

— Dzień dobry, komandorze Pierce — pozdrowił go zniekształcony komputerowo głos. Brzmiał jak nagranie z automatycznej sekretarki, Gray podejrzewał jednak, że mówi do niego żywy człowiek. — Musieliśmy pana brutalnie obudzić. — W rzeczowym tonie nie było nawet cienia usprawiedliwiania się. — Pod wpływem szoku i zastrzyku z metylofenidatu powinien pan być ożywiony i gotowy do wykonania zadania. Zostało panu dziesięć minut.

— Co mam zrobić? — Jego głośne pytanie odbiło się echem od nagich ścian betonowej krypty. Domyślał się odpowiedzi, spoglądając na skrzynkę, w której leżał prawdopodobnie karabin.

Rozmówca ignorował go albo w ogóle nie słyszał.

— Nadajnik radiowy, który ma pan w uchu, został podłączony do detonatora. A całe ucho jest wypełnione materiałem wybuchowym C cztery.

Gray uniósł z niepokojem rękę i stwierdził, że wetknięto mu w kanał ucha jakąś twardą substancję. Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby eksplodowała, i szybko odsunął od siebie tę

myśl.

Rozmówca kontynuował:

— Jak przekonał się pan po przebudzeniu, urządzenie to może być również narzędziem kary. Co więcej, jest podłączone do przekaźnika, który ma strażnik stojący na zewnątrz. Jeśli oddali się pan o dziesięć metrów, będzie pan miał dziesięć sekund na powrót, bo inaczej dojdzie automatycznie do eksplozji.

Trzymając mnie na elektronicznej smyczy, pomyślał Gray.

Ogarnęły go złe przeczucia, zintensyfikowane działaniem leków.

— Co do pańskiego zadania — ciągnął nieznajomy — dokładnie w południe zamorduje pan prezydenta Jamesa T. Ganta. Znajdzie pan koło siebie karabin snajperski i magazynek z dwoma pociskami, na wypadek gdyby chybił pan za pierwszym razem. Trzeciej okazji nie będzie. Proszę się przygotować.

Lampa w bunkrze zgasła. Rozległ się szum silnika, a w oknie otworzyły się żaluzje. Przez szczeliny wpadły do wnętrza promienie słońca. Nie osłepiły go. Zdał sobie sprawę, że dzięki lampie nie musiał przyzwyczajać wzroku do światła dziennego.

Rozglądając się za kamerą, podczołgał się do skrzyni i ją otworzył. Wewnątrz był karabin snajperski Marine Corps M40A3, wraz z bipodem. Gray wyciągnął broń, sprawdzając jej ciężar i równowagę. Znał ten karabin. Miał zasięg tysiąca metrów.

Ale co znajdowało się w takim promieniu?

Gray przesunął się w kierunku okna. Spoglądając przez szczeliny żaluzji, dostrzegł wystający znad szeregu wielkich dębów czubek pomnika Waszyngtona.

A więc wróciłem.

Próbował określić swoje położenie. Za drzewami słońce odbijało się w wodzie. Musiała tam być rzeka Potomac. Przesunął się w lewo, spojrział w bok i zobaczył rozległe zielone trawniki, derenie i rzędy białych nagrobków. Znał to miejsce aż nazbyt dobrze: pochowano tam wielu jego przyjaciół. Cmentarz w Arlington. Był na północ od parku, prawdopodobnie niedaleko pomnika Korpusu Piechoty Morskiej.

Nieco bliżej, na krótkiej ulicy, która kończyła się w wysadzonym dębami parku, tłum ludzi uwijał się między namiotami i straganami. Większość miała na sobie różnego rodzaju odzież wojskową, od galowych mundurów po panterki polowe.

Gray uniósł karabin i spojrział przez teleskopowy celownik, regulując soczewki typu Unertl 10x tak, by widzieć tych ludzi wyraźnie. Zobaczył grille, biegające i śmiejące się dzieci, orkiestrę wojskową, grającą na zacienionej scenie. Dotarły do niego dalekie odgłosy bębna i ostrzejsze tony instrumentów dętych.

Na środku terenu piknikowego wzniesiono wysoki podest, obramowany łukiem z czerwonych, białych i niebieskich balonów.

Nastawił celownik na maksymalne zbliżenie i skoncentrował się na grupie ludzi zgromadzonych przy podium. Wyglądali na najwyższych rangą oficerów różnych formacji.

Wśród nich dostrzegł swój cel.

Prezydent James T. Gant, odwrócony plecami do Graya, pocałował żonę, ubraną w granatowe spodnie, żakiet w stonowane różowo-białe prążki i srebrne buty na płaskim obcasie. Był to odświętny strój z okazji obchodów Czwartego Lipca. Komandor wiedział również, że wieczorem para prezydencka będzie uczestniczyła w pokazie sztucznych ogni na południowym trawniku Białego Domu.

Ale na twarzy Pierwszej Damy widać było już zmęczenie.

Gray dostrzegał przez lunetę — nawet z odległości siedmiuset metrów — spowodowane rozpaczą zmarszczki wokół jej oczu, ukrywane skrzętnie pod grubą warstwą makijażu. Ścisnęła mocno dłoń męża, próbując go zatrzymać, gdy wchodził na podium, ale on musiał pokazać światu, że jest silny.

Oboje sądzili, że ich córka nie żyje — i być może tak było. Gdy Gray widział ją po raz ostatni, unosiła się na wodzie, podtrzymywana przez jego dwóch towarzyszy. Rząd nie ogłosił jeszcze informacji o porwaniu i śmierci Amandy, czekając zapewne na potwierdzenie wyników analizy zwęglonych szczątków. Prawdopodobnie rzecznik prasowy Białego Domu głowił się już, jak sformułować ten tragiczny komunikat.

Tymczasem jej rodzice musieli robić dobrą minę do złej gry.

Prezydent wyszedł na podium, uniósł rękę i pomachał do tłumu.

Rozległy się owacje.

Gray obrócił się, pochylił się niżej w swej snajperskiej kryjówce i trzymał karabin na kolanach. Wziął do ręki magazynki i spojrzął na naboje — były to nowe pociski M118LR, zapewniające większą precyzję strzału.

Dwa.

Oby trafiły w cel.

Przypomniał sobie ostrzeżenie: Trzeciej okazji nie będzie.

Ale dlaczego porywacze uważali, że zgodzi się zamordować prezydenta? Seichan była w ich rękach, ale — choć przyznawał to z bólem — nie uległby z tego powodu ich szantażowi. Wiedział, że mogą ją torturować, aby zapewnić sobie jego współpracę — albo ukarać go za porażkę.

Czuł, jak paraliżuje go lęk o nią.

Wiedział, że nawet dla ocalenia jej życia nie poświęciłby przywódcy wolnego świata. Sfrustrowany, zacisnął palce na wykonanej z włókna szklanego kolbie karabinu i na zimnej lufie.

Wybacz, Seichan. Nie mogę tego zrobić.

— Cztery minuty — usłyszał w końcu głos i jakby czytając w jego myślach, rozmówca dał mu bodziec do działania. — Aby nakłonić pana do współpracy, zakopaliśmy na terenie parku piętnaście plastikowych pojemników z sarinem, zaopatrzonych w niewykrywalne zapalniki. Są tak rozmieszczone, że gaz zabije wszystkich, łącznie z prezydentem. Ładunki wybuchną dwadzieścia sekund po dwunastej. Jeśli prezydent nie zginie wcześniej.

Komandor wyobraził sobie unoszący się nad trawnikami gaz bojowy, tak śmiertelny, że nawet krótkotrwały kontakt ze skórą powodował natychmiastowy zgon.

— Śmierć jednego człowieka albo setek niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Wybór należy do pana, komandorze Pierce. Tak czy inaczej, osiągniemy swój cel. Ale wolimy, żeby pociągnął pan za spust. Zabójstwo pojedynczej osoby będzie bardziej spektakularne, niż gdyby zginęła ona wraz z tłumem ludzi.

Graya zmroziła ta wyrachowana kalkulacja.

— Poza tym, kiedy znajdą tutaj karabin z pańskim DNA, oskarżą o morderstwo sfrustrowanego tajnego agenta, który chciał wziąć odwet za zlikwidowanie przez rząd jego grupy.

W rezultacie wbijając ostatni gwóźdź do trumny Sigmy, pomyślał Gray.

Ale plany Gildii były jeszcze ambitniejsze.

— Doprowadzi to do całkowitej reorganizacji amerykańskiego wywiadu. Nadzorowanego przez nas, gdy przejmemy Biały Dom po kolejnych wyborach. Sympatia wyborców dla

zmarłego tragicznie Jamesa Ganta przeniesie się na członków jego rodziny, na kogoś, kto stał u jego boku.

*...przeniesie się na członków jego rodziny...*

Gray poczuł mdłości. Słuchając i zdobywając nowe informacje, rozpoznawał teraz południowy akcent tego mężczyzny i dobór słów, którego nie maskowało komputerowe zniekształcenie głosu. Myślał gorączkowo, wyobrażając sobie człowieka, który stał tak niezłomnie u boku brata, którego świat kochał już i szanował i któremu z pewnością przekaze ster rządów. Wystarczy, że po takiej tragedii poprosi o miejsce w Białym Domu, a natychmiast je otrzyma.

Sekretarz stanu.

Robert Lee Gant.

Komandor zacisnął powieki. Przypomniał sobie nagle swoje przeczucie, że Painter coś przed nim ukrywa, coś na temat Gildii, organizacji odpowiedzialnej za śmierć jego matki.

Czy to był ten sekret?

Czy Painter cały czas podejrzewał tego człowieka?

Nic dziwnego, że dyrektor nie chciał, by ktokolwiek w rodzinie Gantów wiedział o ocaleniu Amandy w Somalii. Obawiał się, że dowie się o tym brat prezydenta.

Gray czuł przerażenie i gniew. Rozumiał, dlaczego dyrektor to przed nim ukrywał.

Lecz mimo wszystko... Painter powinien był mu powiedzieć.

— Jedna minuta — usłyszał głos. — Zaczeka pan na nasz sygnał, a potem strzeli.

Gray wsunął magazynek i wrócił na swoje stanowisko przy oknie. Palił go wstyd i gniew. Nie wiedział, czy informacja o pojemnikach z gazem jest prawdziwa. I czy tak czy inaczej ich nie wysadzą. Nie mógł jednak ryzykować.

James T. Gant musiał umrzeć.

Spojrzał przez celownik teleskopowy karabinu i obniżył lufę, mierząc w głowę prezydenta, gdy ten obrócił się bokiem. Sprawdził ponownie zasięg — siedemset metrów — i wycelował broń dokładnie w kość potyliczną za lewym uchem, wiedząc, że strzał w to miejsce wyrządzi największe szkody. Z terenu pikniku docierały do niego głośne śmiechy i muzyka. Nie zwracał na nie uwagi, koncentrując się na zadaniu.

W historii Stanów Zjednoczonych trzech prezydentów zmarło dokładnie 4 lipca, w dniu urodzin kraju. Nie wyglądało to na zwykły przypadek.

Thomas Jefferson, John Adams i James Monroe.

Dziś umrze czwarty.

W tym momencie prezydent pochylił się, zmuszając Graya do zniżenia lufy, i potargał sierść psa, który towarzyszył mu na podium. Komandor napiął mięśnie, rozpoznając owczarka.

Kain.

Zobaczył przez lunetę, jak James Gant wyprostowuje się i ściska dłoń Tuckera Wayne'a. Kapitan musiał odzyskać swój galowy mundur. Był udekorowany medalami i orderami za służbę w Afganistanie. Jak najbardziej zasługiwał na miejsce na podium. Bohater wojenny i jego pies otrzymywali podziękowania od wdzięcznego naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

Ale Gray wiedział, dlaczego Tucker i Kain naprawdę tam są.

Jego złość na Paintera wyparowała, pozostawiając jedynie uczucie ulgi i szacunku. Dyrektor musiał otrzymać nagranie wideo z Dubaju i pojął, co się dzieje — ale czego teraz od niego oczekiwał?

Komandor zmierzył wzrokiem podium. Painter musiał umieścić tam Tuckera z jakiegoś

powodu. Były komandos nie był pracownikiem Sigmy, jedynie najemnikiem, więc nikt nie powinien go rozpoznać. Ale jaką wiadomość Painter próbował przekazać Grayowi?

Nagle zrozumiał.

Na podium był nie tylko Tucker — także Kain.

Gray skupił uwagę na psie. Owczarek stał spokojnie, z wyciągniętym ogonem i uniesionym nosem. Komandor widział go już parę razy w tej pozie, gdy coś zwęszył.

Kain wskazywał trop, jak każdy dobry myśliwski pies.

Gray podążył za jego wzrokiem w kierunku czerwonego balonika za podium, wiszącego blisko głowy prezydenta. Gdy balon obrócił się na wietrze, Gray zobaczył na nim niewielką grecką literę w ciemniejszym odcieniu czerwieni, niemal niewidoczną, jeśli ktoś się dobrze nie przyjrzał.

Σ

Uśmiechnął się i wyregulował jeszcze broń.

W uchu rozbrzmiał mu rozkaz, na który czekał: OGNIA!

Komandor Gray Pierce wstrzymał oddech i nacisnął spust.



## Waszyngton

4 lipca, godzina 12.00 czasu miejscowego

Nie było słycać strzału, tylko odgłos pękającego balonu.

Ale nawet ten hałas przestraszył wszystkich na podium.

Z wyjątkiem Tuckera.

Czekał na ten sygnał. Korzystając z zamieszania, wcisnął guzik nadajnika, który miał w kieszeni. Niewielkie petardy ukryte pod białą koszulką polo prezydenta eksplodowały, rozrywając torebki z jego własną krwią, umieszczone na plecach i na klatce piersiowej.

Pierwsza Dama krzyknęła, gdy krople krwi zrosiły jej twarz.

Agenci ochrony natychmiast otoczyli prezydenta i sprowadzili go z podium. Tuckera zepchnięto na bok. Kain usunął się z drogi.

Drugi kordon agentów utworzył żywą tarczę, aby osłonić uciekającego prezydenta. Inni ubezpieczali Pierwszą Damę, prowadząc ją w przeciwnym kierunku.

Tucker poklepał się ręką po nodze, przywołując Kaina, i pospieszył za grupą agentów, którzy zajęli się prezydentem. Na pikniku zapanował chaos. Nagły akt przemocy wszystkich zaskoczył. Ludzie krzyczeli, rodzice zasłaniali ciałami dzieci, jakiś grill przewrócił się, podpalając namiot. Ale obecni tam ludzie byli w większości wojskowymi lub weteranami, którzy brali już zapewne udział w walce.

Torowali drogę swemu rannemu naczelnemu dowódcy, a niektórzy dołączyli nawet do żywej tarczy, by osłaniać go własnym ciałem.

Świta prezydenta dotarła do parkingu i kolumny samochodów. Zgodnie z procedurą stosowaną przez tajne służby do zapobiegania atakom z powietrza odpalono granaty dymne, tworząc gęstą zasłonę, aby ochronić prezydenta w drodze do oczekujących ambulansów.

W trakcie chwilowego zamieszania dwóch wtajemniczonych w sprawę agentów wciągnęło Jamesa Ganta do jednej z karetek. Tucker wspiął się na tył pojazdu. Kain wskoczył za nim.

Sąsiedni ambulans odjechał pospiesznie z błyskiem świateł i wyciem syren. Z pojazdu WHCA Roadrunner — mobilnego centrum kontroli i dowodzenia — wysłano fałszywe instrukcje, przez co reszta prezydenckiego konwoju ruszyła za ambulansem. Opancerzone pojazdy pędziły ulicami zablokowanymi przez lokalną policję.

Tucker wyjrzał przez okno i zobaczył, jak prezydencka limuzyna przebija się przez chmurę dymu z dodatkową eskortą, wioząc Pierwszą Damę, która musiała przeżyć szok, gdy postrzelono jej męża. Chcieli, żeby jeszcze przez kilka godzin występowała przed kamerami w roli rozpaczającej żony.

Było to okrutne, ale nikt nie powinien wiedzieć o ich podstępie.

Zwłaszcza nieprzyjaciel.

O dziwo, Painter zaplanował mistyfikację na taką skalę w ciągu jednego dnia. Zaangażował tylko ludzi, którym w pełni ufał, korzystając z pomocy paru osób z różnych agencji wywiadu, ale polegając w większości na własnym personelu.

Jeden z agentów tajnych służb pomógł prezydentowi zdjąć koszulkę polo. Gant miał zbolełą twarz. Powód stał się jasny, gdy ściągnięto mu zakrwawioną podkoszulkę i usunięto szczątki petard. Pod łopatką miał oparzenie od eksplozji.

— Panie prezydencie... — zaczął agent, wyraźnie zafrasowany.

Gant machnął ręką.

— Nic mi nie jest. Lepsze to niż kula w głowie.

Inny agent uruchomił silnik karetki i ruszył, nie zapalając świateł i nie włączając koguta ani syreny. Odjechali w przeciwnym kierunku niż kolumna prezydencka, która pędziła do Szpitala Uniwersyteckiego im. Jerzego Waszyngtona, gdzie czekał zespół lekarzy, który miał kontynuować mistyfikację. Podany zostanie komunikat, że prezydent przechodzi poważną operację płuca i jest w stanie krytycznym. Nie chcieli ryzykować ponownego zamachu na jego życie, więc musiało to brzmieć pesymistycznie. Ale nie mogli blefować zbyt długo, bo sprawa mogła się wydać.

Dali więc sobie sześć godzin.

Sześć godzin, by pokonać tajną koterię, która przetrwała wieki.

Tucker usłyszał w uchu głos Paintera.

— Melduj.

— Przesyłka jest bezpieczna — oznajmił Tucker, wiedząc, że mogą swobodnie się porozumiewać dzięki zmodyfikowanej wersji algorytmu szyfrowania CCEP typu 1, opracowanego przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego dla utajnienia rozmów prezydenta.

— A co z komandorem Piercem?

— Właśnie nad tym pracujemy.

Powiadomiony o planowanym ataku snajpera, Painter rozmieścił wokół podium pierścien niewielkich kamer filmujących w zwolnionym tempie, z dużą częstotliwością klatek na sekundę. Wszystkie skierowane zostały na balon i powinny były nagrać lot pocisku i umożliwić natychmiastowe ustalenie jego trajektorii. Trójwymiarowa laserowa makieta parku pozwalała analitykom w centrum dowodzenia Sigmy określić szybko, skąd padł strzał.

Musieli jak najszybciej uwolnić komandora Pierce'a — nie tylko dla jego bezpieczeństwa, ale także po to, by przekazał im wszystko, co wie na temat ruchów wroga i miejsca pobytu wnuka prezydenta.

Tucker nie mógł pozbyć się poczucia winy, że zostawił dziecko Amandy. Zamierzał zrobić, co tylko będzie mógł, by naprawić ten błąd.

Pierwszym krokiem w tym kierunku było odnalezienie i uwolnienie Graya.

Bez informacji od niego cała ta mistyfikacja nic nie da. Za sześć godzin świat się dowie, że prezydent przeżył cudem operację, i ich chwilowa przewaga nad wrogiem stopnieje.

Wiedział, że Painter nie liczy na całkowite pokonanie Linii Krwi dzięki swojej akcji, ale ma jeden wyraźny cel, taki sam, jak on: znaleźć i odzyskać dziecko Amandy oraz ujawnić wszystkich organizatorów tego krwawego spisku.

Nawet jednak przy tak zawężonym celu mieli niewielkie szanse.

A bez Graya nie było ich wcale.

Painter odezwał się ponownie.

— Zlokalizowaliśmy go. Bunkier w biurowcu. W odległości siedmuset metrów.

Tucker odetchnął z ulgą i spojrzał w oczy Gantowi.

— Mamy go, panie prezydencie.

James Gant skinął głową, wykrzywiając usta.

— Lepiej go nie zgubmy.

Godzina 12.01

Gray patrzył na otwierającą się klapę.

Nadal trzymał w rękach karabin. Widział, jaki chaos spowodował jego pojedynczy strzał. Przyglądał się, wstrzymując oddech w obawie, że wrogowie użyją jednak sarinu, zabijając wszystkich w parku. Gdy nic się nie zdarzyło, zaczął podejrzewać, że ta groźba była blefem. Zobaczył, jak Tucker biegnie z prezydentem, zabierając go w bezpieczne miejsce.

Natychmiast wszystko zrozumiał.

Zainscenizowali śmierć prezydenta.

Było to ze strony dyrektora ryzykowne posunięcie, ale Gray wiedział, dlaczego się na nie zdecydował. Musieli być niesamowicie zdesperowani. Prawdopodobnie sprawdzali już trajektorię lotu pocisku, szukając go i mając nadzieję, że dostarczy im dodatkowych informacji.

Stanowiło to problem.

Nie wiem więcej niż oni, pomyślał.

Chyba że Painter nie miał wiedzy o powiązaniach Roberta Ganta z Gildią. Może podejrzewał kogoś z rodziny prezydenta albo z jego otoczenia, ale nie musiał się orientować, kto w rządzie jest wtyczką.

Gray spojrział na swoją rękę. Miał jeszcze jeden nabój. Czy wystarczy, by zyskać na czasie, żeby Painter zdążył go znaleźć?

— Odłóż karabin! — rozległ się krzyk z ciemnego włazu. — Pokaż ręce!

— Dokąd mnie zabieracie? — zawołał, próbując grać na zwłokę i czegoś się dowiedzieć.

Odpowiedź zaszokowała go — dosłownie. Poczul w uchu elektrowstrząs, który go oślepił i wywołał szczękościsk. Ugięły się pod nim kolana i rozciągnął się jak długi na podłodze.

— Odłóż karabin — powtórzył strażnik. — I pokaż ręce.

Komandor podczołgał się na brzuchu i wyprostował ręce nad otwartym włazem. Ciężko dyszał.

— Teraz zejdz po drabinie.

Ociągał się — nie dlatego, że czuł ból przy każdym ruchu, ale by zyskać na czasie. Wsunął nogi w otwór, próbując wymacać stopą pierwszy szczebel.

— Zostałeś ostrzeżony — powiedział strażnik.

Gray nastawił się na kolejny wstrząs, ale zamiast tego usłyszał przez słuchawkę mechaniczne odliczanie.

Dziesięć... dziewięć... osiem...

Był to timer bomby, którą umieszczono w jego prawym uchu. Ten, kto miał nadajnik, musiał się oddalić na ponad dziesięć metrów. Zmuszali go do pośpiechu, pociągając za elektroniczną smycz.

Nie miał wyboru. Dotknął ręką ucha, wiedząc, że jeśli ładunek rozerwie mu pół głowy, nie przyniesie to Sigmie żadnego pożytku. Powinien pozostać przy życiu i postarać się jak najwięcej dowiedzieć — co oznaczało, że musiał działać szybko.

...siedem... sześć... pięć...

Przestał schodzić po szczeblach drabiny i zjechał na dół po jej krawędziach. Gdy dotknął stopami betonowej podłogi korytarza, usłyszał, jak mechaniczny głos mówi: trzy. Potem, na szczęście, zamilkł.

Otoczyli go kręgiem ubrani na czarno uzbrojeni żołnierze.

Jeden z nich, w lateksowych rękawiczkach, wspiał się po drabinie i zajrzał do betonowej krypty.

— Jest tam karabin i trochę krwi do pobrania próbek DNA — oznajmił i zszedł na dół. Schował do torby trzymaną w ręce strzykawkę, nie zostawiając śladów. — Wszystko załatwione.

Dowódca grupy — o głowę wyższy od pozostałych, z wytatuowanym na karku krucyfiksem — wystąpił naprzód, wkładając do kieszeni pudełko wielkości paczki gumy do żucia.

Nadajnik.

— Ruszaj — rozkazał.

Z wycelowanymi w siebie lufami pistoletów Gray zszedł po schodach do piwnicy, a potem dotarł przez ukryte drzwi do labiryntu tuneli.

Obejrzał się, gdy drzwi się zatrzasnęły, mając nadzieję, że jego plan nie zawiedzie.

Gdy powłóczył nogami, w uchu znów zaczęło się odliczanie.

Dziesięć... dziewięć... osiem...

Przyspieszył kroku, posłusznie jak pies na smyczy.

Na razie.

Godzina 12.32

— Melduj — rozkazał Painter, stojąc w ośrodku łączności w centrali Sigmy.

— Dotarliśmy na miejsce — oznajmił znajdujący się w terenie dowódca grupy. — Bunkier jest pusty. Ani śladu komandora Pierce'a. Znaleźliśmy tylko karabin snajperski i kilka kropli krwi.

Painter przymknął oczy, by nie pogrążyć się w rozpacz, że stracili trop Graya. Skupił uwagę na tym, co mieli.

Karabin i krew.

Zrozumiał.

Zamachowcy zamierzali obarczyć winą za zabójstwo Graya i w ten sposób zniszczyć reputację Sigmy. Ale jak w każdej grze w szachy, teraz był ruch Paintera.

— Zabierzcie karabin i przynieście go tutaj — rozkazał. — Zetrzyjcie ślady krwi i wysprzątajcie to miejsce. Ale musicie się pospieszyć.

Po zamachu panował nadal chaos, ale wkrótce eksperci od kryminalistyki natrafią na kryjówkę snajpera. Jego ludzie musieli do tego czasu stamtąd zniknąć. Nie popadał jednak w panikę.

Wiedział, że komandor też zachował przytomność umysłu.

— Zanim zrobicie tam porządek — ostrzegł przez radio swoich ludzi — przeszukajcie dokładnie każdy centymetr powierzchni. Jak znam Graya, starał się zostawić nam jakąś wiadomość.

— Zrozumiano.

Skończywszy rozmowę, Painter zwrócił się do Jasona Cartera, który stał w drzwiach biura Kat.

— Strzeż naszej twierdzy. Daj mi znać, gdyby działo się coś złego.

Jakby mało było tego, co już się zdarzyło, pomyślał.

— Mam wszystko pod kontrolą — zapewnił go Jason.

Painter wyszedł pospiesznie i ruszył schodami w dół, kierując się na najniższy poziom.

Prezydent James Gant był już tam ze swoją córką.

Przybył w tajemnicy przed kilkoma minutami. Zamek Smithsonian był zamknięty przez

cały dzień, właśnie z tego powodu. Nikt nie zwrócił uwagi, że w budynku pojawił się cały tłum sprzątaczy, nikt nie widział, jak wchodzi do specjalnej windy zjeżdżającej do bunkrów dowództwa Sigmy. Wszyscy byli przekonani, że prezydent przechodzi poważną operację w Szpitalu Uniwersyteckim im. Jerzego Waszyngtona i że ma niewielkie szanse na przeżycie.

Centrum łączności Paintera monitorowało sytuację, urabiając w razie potrzeby prasę, by nikt nie odkrył mistyfikacji. Ale blefu na taką skalę nie mogli ciągnąć w nieskończoność, istniało bowiem ryzyko, że zostaną zdemaskowani. W ciągu sześciu godzin musiało się to skończyć.

Wiedząc, że czas ucieka, Painter wrócił na oddział szpitalny. Dwóch tajnych agentów pilnowało korytarza. Trzeci zajmował stanowisko obok windy, a czwarty wewnątrz niewielkiej sali.

Gant siedział na skraju łóżka Amandy, trzymając ją za rękę. Painter ściągnął kombinezon sprzątacza i był teraz ubrany w wymięte granatowe spodnie i pożyczoną szarą koszulę. Amanda nadal balansowała na granicy przytomności, nadzorowana przez neurologa, którego niepokoił jej krwiak podtwardówkowy.

W tej chwili spała.

Prezydent podniósł wzrok na widok Paintera.

— Powiedziała parę słów, kiedy przyszedłem. Martwi się nadal o dziecko.

— Jak my wszyscy.

Gant skinął głową.

— Jakie wieści od pańskich ludzi w terenie? Znaleźli waszego człowieka?

Painter nie chciał gasić płomienia nadziei w oczach zatroskanego ojca, ale miał już na ten dzień dość oszukiwania.

— Już go nie było. Mam jednak nadzieję, że zostawił nam jakieś wskazówki. Powinniśmy wiedzieć za parę minut.

Prezydent westchnął, odwracając się do córki, i powiedział powoli, z żalem:

— Umieściłem ją w świetle jupiterów i zamieniłem jej dzieciństwo w spektakl, widowisko dla mediów. Ale nie miałem dla niej czasu. Nic dziwnego, że się zbuntowała. Że uciekła bez słowa. Czy zasłużyłem na jej zaufanie? — Podniósł wzrok, ocierając łzę, ale nie puścił jej dłoni. — Obiecałem jej, że odnajdę Williama. Proszę nie pozwolić, żebyśmy znów ją zawiódł.

Painter podszedł bliżej i położył rękę na jego ramieniu, przysięgając w duchu, że zrobi wszystko, co tylko będzie mógł, by mu pomóc.

— Za to, co uczynili jej i mojej rodzinie... — ciągnął Gant. — Jak tylko się dowiem, kto to wszystko zorganizował, kto torturował moją małą córeczkę, będzie tego żałował do końca swoich dni. Nie umrze szybką śmiercią. Będzie cierpiał jak nikt inny. Przeżyje piekło na ziemi.

Painter wiedział, że jeśli ktokolwiek ma władzę, by spełnić tę groźbę, to właśnie prezydent James Gant.

Nagle odwrócili się obaj, słysząc jakieś poruszenie.

Do sali wpadł jak burza Jason.

— Panie dyrektorze! — Młody analityk nawet się nie zatrzymał, przebiegając obok łóżka w kierunku sąsiedniego gabinetu lekarskiego. — Linus coś odkrył!

Painterowi udzieliło się jego podniecenie. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że Linus był partnerem Jasona przy opracowywaniu programu identyfikacji pojazdów. Zaświtała mu nadzieja.

Czyżby coś znaleźli?

Pobiegł za Jasonem do gabinetu lekarskiego. Chłopak siedział już przy komputerze i stukał

szybko w klawiaturę.

— O co chodzi? — spytał Painter.

Prezydent stał w progu, przysłuchując się.

— Pokażę panu — odparł Jason, nie przestając stukać w klawisze. — Oto dlaczego tu przybiegłem. Linus sprawdzał wszystkie główne arterie wychodzące z Charlestonu, szukając jakichkolwiek śladów tego forda. Problem polega na tym, że im dalej od miasta, tym więcej zmiennych trzeba brać pod uwagę, bo kolejne drogi rozwidlają się w różnych kierunkach, jak konary drzewa.

— Co odkryliście? — naciskał Painter.

— To. — Jason wskazał na ekran. Pojawiło się na nim wyraźne zdjęcie maski forda explorera. — Obraz z kamery przy zwodzonym moście w Orangeburgu, w Karolinie Południowej.

Painter dostrzegł za przednią szybą siedzącą przy kierownicy Lisę. Zaczął ciężiej oddychać, odczuwając zarazem ulgę i strach. Obok niej siedział jakiś mężczyzna, z dziwnie uniesionymi nad głowę rękami, jakby się przeciągał. A może miał je związane?

— Znaleźliście ją — mruknął Painter. — Kiedy zrobiono to zdjęcie?

— Dwa dni temu... wtedy, gdy porwano w Charlestonie doktor Cummings — odparł Jason przepraszającym i zmartwionym tonem.

— Kim jest ta doktor Cummings? — spytał prezydent.

Dla mnie jest wszystkim, pomyślał Painter.

— Była jedną z agentek, prowadzących dochodzenie w Klinice Leczenia Bezpłodności w północnym Charlestonie — powiedział na głos.

Gant spochmurniał, przypominając sobie zapewne film, który mu pokazano, z kobietami zanurzonymi w zbiornikach z galaretowatą cieczą.

Jason skierował ich uwagę z powrotem na zdjęcie na ekranie.

— Oto co mnie tak podekscytowało — rzekł, wskazując na nie.

Painter pochylił się.

— Tablica rejestracyjna — zauważył.

— Wyraźnie widoczna. Linus próbuje właśnie wytropić GPS tego samochodu, żeby go zlokalizować. Powinniśmy...

Na ekranie pojawiło się okno dialogowe.

— Chyba to jest to. — Jason kliknął link w oknie.

Zdjęcie forda zniknęło i zastąpiła je mapa. Migający niebieski okrąg kurczył się coraz bardziej, przesuwał się w kierunku granicy, gdzie róg Karoliny Południowej wciskał się między stan Georgia i Karolinę Północną. Okrąg zmienił się w końcu w niewielki trójkąt, usytuowany w głębi Pasma Błękitnego.

Prezydent obserwował to z uwagą.

— Możesz zrobić zbliżenie i odczytać adres? — poprosił Jasona Painter.

— Nie ma potrzeby — odpowiedział mu Gant. — Znam to miejsce. To moja rodzinna posiadłość. Fleury-la-Montagne.

Zanim Painter zdążył zareagować, zaczęła wibrować jego komórka. Odebrał telefon i został przełączony do dowódcy oddziału w Arlington.

— Panie dyrektorze, coś tu znaleźliśmy.

Serce Paintera — już bijące mocno — zaczęło uderzać jeszcze szybciej.

— Co?

— Zrobiłem zdjęcie. Już je do pana wysłałem.

Painter kazał Jasonowi je ściągnąć. Gdy czekali, wyjaśnił:

— Znaleźliśmy litery nabazgrane na podłodze w pobliżu wjazdu wejściowego. Były prawie niewidoczne gołym okiem, ale zobaczyliśmy je wyraźnie w ultrafiolecie. Myślę, że zostały napisane plastikiem C-4.

— Materiałem wybuchowym?

— Tak, panie dyrektorze. Wydrapałem odrobinę wykałaczką. Sądząc z konsystencji i składu chemicznego, chyba się nie mylę.

— Mam to zdjęcie — przerwał im Jason.

Pojawiło się w górnym rogu monitora.

Trzy litery lśniły fluorescencyjnym blaskiem na tle ciemnego betonu.



— RLG — mruknął na głos Painter. — Co to znaczy?

Znów odpowiedział mu prezydent, wyraźnie zaszokowany.

— To inicjały mojego brata, Roberta Lee Ganta.

Painter obrócił się do niego. Obaj wiedzieli, że jacyś członkowie rodziny Gantów muszą być zamieszani w tę sprawę, ale żaden z nich nie podejrzewał, iż jest to ktoś tak blisko spokrewniony z prezydentem.

Gant popatrzył na córkę, najwyraźniej myśląc to samo — tyle że jego ten sztylet ugodził o wiele głębiej i prosto w serce.

— Nie możemy być pewni, czy chodzi o pańskiego brata — powiedział Painter.

— Ja jestem pewien — odparł cicho Gant.

— Dlaczego?

Gant wskazał na dolną część ekranu komputera. Była tam nadal mapa GPS.

— Bobby wybierał się do rodzinnej posiadłości na Święto Czwartego Lipca, żeby uniknąć tłumów w Waszyngtonie. Wyjechał dwa dni temu na polowanie.

— Do Fleury-la-Montagne?

Gant, blady i wymizerowany, odparł ponuro:

— Nikt już nie używa tej francuskiej nazwy. Wszyscy nazywają to miejsce Lożą.

## Pasmo Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 13.04 czasu miejscowego

— Ma zdrową cerę — oświadczyła Lisa.

Stała przed inkubatorem dla noworodków. Pracując w rękawiczkach, przewróciła ostrożnie niemowlę na bok i przytknęła stetoskop do jego szczupłych pleców. Uderzenia serca były szybkie jak u ptaka, ale silne, puls miał normalny.

Pozwoliła, by sam się odwrócił. Wpatrywał się w nią dużymi niebieskimi oczami, które okalały pierwsze rzęsy, i zaciskał wargi, domagając się pokarmu.

Edward Blake stał obok niej, przyglądając się, jak bada niemowlę.

Petra wyszła do drugiego laboratorium, by zrobić nowe analizy DNA, wykorzystując próbki krwi i skóry chłopca, a także komórki pobrane z błony śluzowej.

— Powinien dostać następną butelkę. — Lisa zdjęła rękawiczki. — Ssie już samodzielnie, odkąd odłączyliśmy go od rurek intubacyjnych. To właściwy kierunek. Ogólnie rozwija się doskonale.

— To pani zasługa, doktor Cummings — stwierdził Blake.

Nie była to czcza pochwała. Wczoraj dziecko było na granicy śmierci. Przez całą godzinę studiowała wyniki jego badań laboratoryjnych, radiogramy, nawet analizy genetyczne. Wpatrywała się zdumiona w potrójną helisę, widoczną przez mikroskop elektronowy: dwa naturalne łańcuchy DNA owinięte wokół zmodyfikowanej obcej proteiny PNA.

Kwasu peptydonukleinowego.

Ten mikroskopijny łańcuch PNA był źródłem tylu nieszczęść, potworności i nadużyć.

Temu chłopcu też nie wychodził na dobre.

Blake wyjaśnił jej, że w organizmie chłopca następuje rozpad potrójnej helisy. Bez odpowiedzi pozostawało jednak wciąż pytanie: dlaczego? Czy spowodowała to choroba dziecka, czy też zachorowało właśnie z tej przyczyny?

Aby się tego dowiedzieć, musieli ustabilizować stan niemowlęcia i zobaczyć, czy rozpad sam się zatrzyma.

Zauważywszy nieznaczny wzrost poziomu eozynofilów w badaniach laboratoryjnych chłopca, Lisa wpadła na pewien pomysł. Są to białe ciała krwi, których liczba wzrasta w stanach alergicznych. Mogą świadczyć również o infekcji pasożytniczej, ale testy wykluczyły już tę opcję.

Bardziej prawdopodobnym źródłem reakcji alergicznej był łańcuch PNA.

Kwas peptydonukleinowy, jak każda inna proteina, może stać się alergenem tak jak kurz czy roztocze. Po rozpadzie potrójnej helisy uwolniony PNA był spłukiwany do cytoplazmy, a potem wydalany z komórek.

Petra pokazała jej obraz podobnej do robaka molekuly PNA, wypełzającej z komórki jelit. Przedostanie się zmodyfikowanej proteiny do krwiobiegu i płynu tkankowego spowodowało mobilizację eozynofilów, systemu obronnego organizmu przeciwko takim obcym najeźdźcom.



Ta reakcja alergiczna wywołała u dziecka wstrząs.

Zdając sobie sprawę z zagrożenia, Lisa zaleciła terapię z niewielkimi dawkami leków antyhistaminowych i podawanych dożylnie sterydów, aby wyeliminować reakcję alergiczną i dać organizmowi dziecka szansę na oczyszczenie się z alergenu i ustabilizowanie funkcji życiowych.

Terapia zadziałała znakomicie. Przez całą noc Lisa czuwała przy inkubatorze, wspomagana w razie potrzeby przez Blake'a, i stan dziecka poprawiał się z godziny na godzinę. Mogli stopniowo odłączyć je od kroplówki, aparatu tlenowego, a nawet od rurki dostarczającej pokarm.

Pozostawało tylko jedno pytanie: czy to pomoże?

Czy powrót chłopca do zdrowia ustabilizuje potrójną helisę? Wiedziała, że Blake na to liczy. Oboje czekali na wiadomości od Petry.

Gdy Lisa karmiła noworodka butelką, doktor wrócił do komputera w sąsiednim boksie. Każde z nich było zaprzątnięte swoimi problemami. Troska o zdrowie dziecka pozwoliła jej zapomnieć chwilowo o koszmarze, który przeżywała. Wiedziała, że Kat jest gdzieś w tym kompleksie laboratoriów, ale gdzie ją ukryto? I gdzie w ogóle znajduje się ten kompleks?

Jak dotąd Petra i Blake traktowali ją z pewnym szacunkiem, doceniając jej pomoc. Była im potrzebna. Pamiętała ostrzeżenie wypowiedziane zniekształconym komputerowo lodowatym głosem: *Proszę okazać swoją przydatność, to obie przeżyjecie.*

Skoro stan dziecka się poprawiał, Lisa wkrótce przestanie być użyteczna.

I co wtedy?

Przypomniała sobie człowieka, który zlecił jej to zadanie, jego pogodną twarz i łagodne słowa.

*Dziękuję, doktor Cummings, że zgodziła się pani pomóc wnukowi mojego brata.*

Wezbrał w niej gniew na wspomnienie cynicznej, wyrachowanej postawy Roberta Ganta. Wiedziała, ile bólu, cierpienia i strat kosztowało przyjscie na świat w określonym miejscu i czasie tego niezwykłego dziecka. Nie mogła jednak obarczać noworodka odpowiedzialnością za niegodziwość, jakich się dopuszczono. Choć jego narodziny spowodowały wiele nieszczęść, był przecież niewinną istotą.

Dziecko skończyło pić mleko i przymknęło sennie ociężałe powieki. Lisa pozwoliła, by pogrążyło się w drzemce, niepomne koszmarów, które rozgrywały się za przezroczystymi plastikowymi ścianami inkubatora.

Odwróciła się do Blake'a i pokuśtykała ku niemu, uważając na obolałą kostkę. Umieszczona na ścianie kamera obracała się, śledząc jej ruchy. Zastanawiała się, czy obserwuje ją Robert Gant, czy tylko jakiś znudzony strażnik.

Wyczerpana do granic, nie siliła się na subtelności ani wybiegi.

— Co próbuje pan osiągnąć dzięki tej potrójnej helisie?

Obrócił się na krześle przy biurku.

— Nie mogę powiedzieć, do czego dążą moi sponsorzy. Wiem tylko, jaki jest mój cel w tym globalnym projekcie.

— Jaki mianowicie?

Uniósł brew, oznajmiając z nieposkromioną pychą:

— Stworzenie klucza do istoty życia. — Obdarzył ją zmęczonym uśmiechem, który, o dziwo, odwzajemniła. — Choć może to brzmieć egzaltowanie, PNA jest takim kluczem — wyjaśnił. — Otwiera przed nami całą moc DNA i przekazuje do naszej dyspozycji kod życia. Dzięki PNA eksperci od genomiki mogą tworzyć łańcuchy, w których da się aktywować lub

dezaktywować poszczególne geny, uwalniając ludzkość od jej biologicznych ograniczeń. Mogą także wprowadzać nowe geny, wpisywać w PNA nowy kod i wszczepiać do zapłodnionego jajeczka. W rezultacie dalsza ewolucja człowieka nie będzie już w rękach Boga, tylko w naszych.

Spojrzał w kierunku noworodka w inkubatorze.

— Ale to wszystko dopiero nadejdzie. Na razie wszczepiliśmy w ten pierwszy łańcuch PNA tylko jedną cechę. To w istocie banalnie proste.

Lisa poczuła mdłości.

— Jaką cechę?

Blake nie odrywał wzroku od śpiącego dziecka. Jego twarz wyrażała zafascynowanie, ale także smutek.

— Nieśmiertelność.

Lisa nie potrafiła ukryć zaszokowania.

— Niech pani nie będzie taka zdziwiona, doktor Cummings. To nie pierwsze nieśmiertelne dziecko, które urodziło się na tym świecie. — Odwrócił się w końcu do niej, by przekonała się, że mówi prawdę. — Tacy ludzie są już wśród nas.

Waszyngton

Godzina 13.07 czasu miejscowego

*Pozostało pięć godzin.*

Painter wrócił do swojego biura, zostawiając prezydenta z córką na dole, pod strażą agentów ochrony. Za pięć godzin James Gant powinien wyjść z ukrycia i udawać, że wraca do zdrowia po przebytej operacji. Wszystko było już przygotowane, by kontynuować mistyfikację.

Painter zastał w swoim gabinecie Kowalskiego, chrapiącego na krześle, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu i nogami na biurku. Gdy zgarnął jego nogi z blatu, Kowalski głośno chrapnął.

— Jesteśmy gotowi? — zapytał.

— Bardziej już nie będziemy.

Painter wyciągnął z szafki kaburę z SIG sauerem. Reszta sprzętu grupy uderzeniowej czekała na pasie startowym. Samolot rozgrzewał silniki. Gdy Painter założył na ramię uprząż kabury, spostrzegł na biurku zdjęcie Lisy, łagodnie uśmiechniętej, z włosami lśniącymi w letnim słońcu i rozchylonymi lekko ustami. Jego miłość do niej była czymś namacalnym, nie ulotną myślą czy uczuciem, lecz ciężarem na sercu, uciskiem w klatce piersiowej, falą gorąca w żyłach.

W tym momencie zrozumiał całą prawdę.

Muszę kupić pierścionek.

Jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie przy drzwiach. Stał tam Tucker, a za nim Kain.

Painter zaciągnął uprząż, dopasowując ją, i spojrzał na Tuckera.

— Kapitanie Wayne?

Tucker wszedł do biura.

— Panie dyrektorze, chcę towarzyszyć panu w tej misji.

— Doceniam to, kapitanie, ale wynajęliśmy pana do wytropienia córki prezydenta. Wypełnił pan swój obowiązek.

— Rozumiem. — Tucker był nieustępliwy. — Ale mam wobec niej zobowiązania. Zostawiłem w Dubaju jej dziecko i chcę mieć szansę naprawić ten błąd.

— Z pewnością przyda nam się dodatkowa osoba... że nie wspomnę o nosie pańskiego psa.

Ale zamierzamy dostać się na teren posiadłości Ganta na spadochronach.

W przestrzeni powietrznej nad terytorium będącym własnością prezydenta obowiązywał zakaz lotów. Wprowadzono go już kilkadziesiąt lat wcześniej, zanim James Gant objął swój urząd. Stan Karolina Południowa odwdzieczył się w ten sposób za hojność rodu Gantów.

Plan Paintera przewidywał, że dolecą jak najbliżej i wyskoczą na spadochronach. Był to ogromny obszar, prawie sto pięćdziesiąt tysięcy hektarów osnutych mgłami gór, potężnych wodospadów, mrocznych lasów i łąk. Posiadłość nie miała dokładnie określonych granic, gdyż rodzina kupowała sąsiednie farmy, rancza i sady, stale powiększając swój majątek.

To odległe pustkowie miało zapewnić ekipie kryjówkę, umożliwiając wypady w teren z miejsca zrzutu.

Tucker najwyraźniej nie obawiał się skoków na spadochronie.

— Kain i ja wiele razy wspólnie skakaliśmy — zapewnił Paintera. — Mam ze sobą jego uprząż.

— Więc witamy na pokładzie.

Kowalski wstał, przeciągnął się i wyszedł razem z innymi.

— To miejsce naprawdę schodzi na psy.

Painter ruszył korytarzem. Oczekiwał przybycia jeszcze jednego członka grupy, ale spóźnialski będzie musiał dołączyć do nich na pasie startowym. Czas uciekał. Jason Carter miał przejąć pod jego nieobecność dowodzenie w centrum łączności i koordynować stamtąd akcję. Painter obarczał tego chłopaka trudnym zadaniem, ale wiedział, że sobie poradzi. Jason zebrał już własną ekipę, rządząc starszymi agentami z entuzjazmem zarezerwowanym zwykle dla młodych.

Gdy Painter dotarł do windy, otworzyły się drzwi.

W kabinie stał ostatni członek ich grupy uderzeniowej. Mąż Kat, Monk, nastawił swoją nową sztuczną rękę, obracając ją w przegubie i poruszając palcami. Zdążył już wpaść do Wydziału Badań po protezę, którą zamówił dla niego Painter — skonstruowaną specjalnie dla potrzeb tej misji, aby ułatwić im infiltrację Łoży.

— Najwyższa pora — zauważył Painter.

Monk podniósł rozogniony wzrok, napotykając jego spojrzenie.

— Spróbuj znaleźć opiekunkę do dzieci czwartego lipca... Chodźmy po nasze panie.

Pasma Błękitne w Appalachach

Godzina 13.25 czasu miejscowego

— Więc twierdzi pan, że ten chłopiec może żyć wiecznie? — spytała Lisa. — Że jest nieśmiertelny?

Edward Blake siedział nadal w swoim boksie na oddziale.

— Wykluczając wypadki albo choroby, owszem, mógłby żyć bardzo długo. Sądzę, że osiągnięcie prawdziwej nieśmiertelności będzie wymagało jeszcze trochę manipulacji. Ale w końcu, jak powiedziałem, nie jest on pierwszym nieśmiertelnym człowiekiem, który przyszedł na ten świat.

— Co pan ma na myśli?

— Ponieważ mamy czas, dopóki Petra nie skończy badania DNA tego chłopca, postaram się to pani wyjaśnić. Przynajmniej tak mogę się zrewanżować za ocalenie mu życia.

Lisa słuchała z uwagą.

— Wielu naukowców z różnych dziedzin uważa, że nieśmiertelność będzie można osiągnąć

za naszego życia. Wskazują zwykle na środek dwudziestego pierwszego stulecia. To oznacza, że rodzące się obecnie dzieci dożyją tych czasów. Skorzystają z osiągnięć nauki i staną się nieśmiertelne. A więc w zasadzie już są. Albo przynajmniej do pewnego stopnia. Ich życie można będzie dwukrotnie lub trzykrotnie przedłużyć.

Wyobraziła sobie, co Edward Blake ma na myśli. Niektóre z urodzonych aktualnie dzieci miały żyć wiecznie. To one były tymi nieśmiertelnymi istotami, które są już wśród nas.

Wydawało jej się to jednak niemożliwe. Wyraziła na głos swoje wątpliwości.

— Naprawdę spodziewa się pan, że możemy osiągnąć nieśmiertelność w tak krótkim czasie?

— Albo coś bardzo do niej zbliżonego. I nie tylko ja tak uważam. Podobnego zdania są setki naukowców, badaczy i wizjonerów reprezentujących różne profesje, od medycyny, genomiki i gerontologii po farmację, nanotechnologię i robotykę. Prowadzone tutaj eksperymenty, finansowane przez naszego sponsora, to pierwsze nieśmiałe kroki w kierunku wieczności.

Lisa przypomniała sobie, kto to wszystko organizuje.

Nasz sponsor...

Robert Gant.

Nie potrafiła tego pojąć. Czyniono tyle zła, by móc żyć wiecznie. Wyczuwała jednak, że za tym wszystkim kryje się coś jeszcze, jakaś kolejna tajemnica. Ale jaka?

Wiedziała, że dowie się więcej, jeśli skłoni Blake'a, by mówił dalej.

Robił to chętnie, perorując z dumą, dokąd zmierza świat.

— Jeśli chodzi o przedłużanie ludzkiego życia, istnieją dwie szkoły filozoficzne. Pierwsza optuje za przeniesieniem maszyny do człowieka, druga — człowieka do maszyny.

Lisa pokręciła głową, nie bardzo rozumiejąc.

— Tysiąc lat temu średnia długość życia człowieka wynosiła zaledwie dwadzieścia pięć lat. Dopiero po upływie dziewięciu stuleci wydłużyła się do trzydziestu siedmiu. Dziś wynosi siedemdziesiąt osiem. A więc w ciągu ostatnich stu lat podwoiliśmy z nawiązką tę liczbę. Ten zdumiewający postęp zawdzięczamy nauce i technologii. A teraz będzie on jeszcze szybszy. Prognozy wskazują, że wkrótce z każdym mijającym rokiem średnia długość życia będzie wzrastała o rok. Proszę tylko pomyśleć. Starzejąc się o rok, będzie pani miała w perspektywie o rok dłuższe życie.

— Ale co spowoduje ten wzrost?

— To co zawsze: kuźnia technologii, w której człowiek i maszyna stopią się w jedno.

Musiał wyczytać z jej twarzy sceptycyzm, gdyż uśmiechnął się, gotów odeprzeć wszelkie zarzuty.

— Ludzie mają już sztuczne trzustki — kontynuował. — Obecnie trzydzieści tysięcy pacjentów z chorobą Parkinsona ma wszczepione implanty mózgowie. A zminiaturyzowana technologia będzie wywierała coraz większy wpływ na nasze życie. Postępy w nanotechnologii, funkcjonującej na poziomie atomu, dają nadzieję na zastępowanie niezbędnych do życia organów za piętnaście lat, ciałek krwi za dwadzieścia, a za dwadzieścia pięć możliwe będzie przeprogramowanie naszej biologicznej struktury, tak by zapobiec starzeniu się organizmu.

Lisa zrozumiała.

— „Przeniesienie maszyny do człowieka”... wszczepianie ludziom części zamiennych.

— To jedna droga do nieśmiertelności. Ale z drugą wiązą się nawet większe nadzieje. W miarę jak rośnie w postępie geometrycznym moc komputerów, pojawi się moment, nazwany

już „technologiczną osobliwością”, gdy sztuczna inteligencja przewyższy ludzką. Różni futurologowie przewidują, że nastąpi to w połowie obecnego stulecia.

— Tak szybko? — spytała Lisa.

Blake skinął głową z lekkim uśmiechem zadowolenia.

— Według szacunkowych prognoz do dwa tysiące trzydziestego roku komputery będą miały milion razy większą moc niż teraz. Wtedy wszystko będzie możliwe. Tymczasem naukowcy z całego świata szukają metod zespolenia tej rosnącej mocy obliczeniowej z naszą inteligencją. W Szwajcarii badacze próbują odtworzyć ludzki mózg, składając go z pojedynczych neuronów, z zamiarem zbudowania w ciągu dziesięciu lat kompletnego wirtualnego umysłu. Tutaj, w Stanach, grupa naukowców z Instytutu w Massachusetts tworzy mapę wszystkich synaps w mózgu, bilionów połączeń między neuronami, aby znaleźć ośrodek ludzkiej świadomości.

Lisa westchnęła.

— I zakładam, że ich ostatecznym celem jest wypełnienie tej pustej przestrzeni, zeskanowanie naszej świadomości do komputera.

— Właśnie. Przeniesienie człowieka do maszyny. Druga droga do nieśmiertelności. — Blake zerknął na inkubator. — Ale ja poszukuję trzeciej drogi.

— To znaczy?

— Chodzi o nową naukę. Cybergenetykę. Wykorzystanie techniki do modyfikowania naszego kodu genetycznego.

— Łańcuch PNA. — Lisa zrozumiała nagle, o czym Blake mówi, i wyobraziła sobie z przerażeniem zmodyfikowaną białko, wszczepioną w ludzkie DNA i regulującą jego działanie.

— DNA to tak naprawdę tylko zestaw informacji potrzebnych do budowy naszego organizmu. Ale to stary program, mający miliony lat. PNA daje możliwości restrukturyzacji systemu. Przeprogramowania ludzkości na zawsze.

Lisa próbowała sprowadzić go z wyżyn górnolotnych teorii do laboratoryjnej rzeczywistości.

— Ale wracając do pańskich badań, jaką rolę odgrywa PNA w organizmie tego chłopca?

— Zapobiega szkodliwym zjawiskom wynikającym ze starzenia się ciała. Gerontologia, nauka o starości, odkryła, że istnieje tylko siedem podstawowych przyczyn degradacji organizmu z powodu wieku. Wystarczy je wyeliminować, a nieśmiertelność będzie w zasięgu ręki.

Edward spojrzął na nią znacząco, unosząc brew.

— Osiągnął pan to — powiedziała przyciszonym głosem. — Pańskie PNA manipuluje i reguluje DNA, aby zapobiec szkodom.

— Owszem, ale nie idealnie. Skupiliśmy większość wysiłków tylko na jednej z przyczyn: śmierci komórek. Słyszała pani o tak zwanym limicie Hayflicka?

Pokręciła głową, czując, że coraz trudniej jej mówić.

— W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku doktor Leonard Hayflick oszacował, że człowiek może przeżyć maksymalnie około stu dwudziestu lat. Oparł swoją teorię na wyliczeniach, ile razy komórka może się dzielić, zanim obumiera. Liczbę tych podziałów określa długość pewnego powtarzalnego kodu DNA przy końcu chromosomu każdej z komórek. Te powtarzające się sekwencje nazywane są telomerami. Działają jak skuwki sznurowadeł, zapobiegające wystrzępianiu się ich końcówek. Ale po pewnej liczbie podziałów telomery

zużywają się i chromosom wystrzępia się na śmierć.

— Co to ma wspólnego z pańskim PNA?

— Zaprojektowaliśmy PNA tak, by funkcjonowało jak trwałe telomery, aby stworzyć komórki, które nie obumierają, i w ten sposób wyeliminować limit Hayflicka.

— Budując drogę do nieśmiertelności.

Skinął głową.

— Jesteśmy na progu wieczności — oznajmił.

— Ale po co to robić? Wieczne życie przyniosłoby tyle negatywnych zjawisk. Przeludnienie, głód, stagnację. Śmierć ma swoje uzasadnienie. Robimy miejsce dla nowych pokoleń.

— To prawda, ale te zagrożenia istnieją tylko wtedy, jeśli technika jest dostępna dla wszystkich. Gdy pozostanie w rękach elity, wybrańców, nie będzie takiego ryzyka.

Zaszokowana, wyobraziła sobie twarz Roberta Ganta. Czy taki miał plan? Utrzymać na zawsze przy życiu swoją „Linię Krwi”, stworzyć wieczną dynastię?

— Dlaczego im pan pomaga? — wydusiła w końcu.

— Bo muszę. Ludzkość zawsze buntowała się przeciwko zakazom i ograniczeniom. Zostawialiśmy domy, by przemierzać oceany. Pokonaliśmy prawa grawitacji, by latać. Opuściliśmy nawet naszą planetę. To tylko kolejny krok w kierunku wolności, całkowitej wolności, rozerwania łańcuchów śmierci i wyzwolenia nas z grobów.

Lisa była przerażona. W ciągu minionego dnia, pracując z tym człowiekiem, zdążyła go polubić, ale teraz dostrzegła jego szaleństwo.

— Wizjoner Raymond Kurzweil postawił kiedyś pytanie: Czy istnieje Bóg? — Blake zaczął znów przyglądać się niemowlęciu w inkubatorze. — Odpowiedź stanowiły tylko dwa słowa: Jeszcze nie.

Lisa wpatrywała się w niego, dostrzegając przebłysk megalomanii. Będąc od lat lekarką, wiedziała, że ta przypadłość rzadko objawia się w postaci ewidentnego szaleństwa. Większość dotkniętych nią ludzi to osoby czarujące, mające wyraziste poglądy i opisywane często jako „miłe”. Były to potwory ze słodkimi twarzami.

Powrót Petry uwolnił ją od kontynuowania tej rozmowy. Podeszła do nich sztywnym krokiem, trzymając w rękach plik raportów. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy dotarła do boks Blake’a.

Spojrzał na nią z nadzieją.

— Jaki werdykt w sprawie chłopca?

— Niepomyślny. Wydaje się zdrowy, ale jego potrójna helisa nadal się rozpada i odrzuca łańcuch PNA. Co gorsza, ten proces najwyraźniej ulega przyspieszeniu.

Blake uniósł ręce, przetarł oczy i ciężko westchnął.

— A więc rozpadu helisy nie spowodowała choroba dziecka. Tak jak się obawiałem, jego organizm po prostu odrzuca PNA.

— Nie przyda się nam — uznała Petra.

— A tak niewiele brakowało — rzucił z rezygnacją doktor.

— Będziemy dalej nad tym pracowali — powiedziała Petra. — Sukces musi być blisko.

A poza tym wie pan, że oni chcą tylko kobiet. Chłopiec i tak był z góry na przegranej pozycji.

Na przegranej pozycji?

Lisa zeszywniała.

— O czym pani mówi?

Blake, pogrążony w myślach z powodu swego rozczarowania, wydawał się zaskoczony, że Lisa wciąż tam jest.

— Z pewnością pani rozumie, że męskie osobniki z potrójnymi helisami to tak naprawdę muły. Mogą żyć wiecznie, ale ich geny nie są dziedziczone. Tylko samice mogą przekazać łańcuch PNA przyszłemu potomstwu.

— Nie, nie rozumiem. — Starła się podtrzymać konwersację, przesuwając się powoli w kierunku leżącej na biurku Blake’a karty magnetycznej.

Nie skrzywdzicie tego dziecka...

Doktor sapnął, odwrócił się do komputera i postukał w klawiaturę. Na ekranie pojawił się film pokazujący w przyspieszonym tempie proces podziału komórki. Dwa łańcuchy DNA zabarwione były na czerwono, pojedynczy łańcuch PNA — na niebiesko. W cytoplazmie unosiło się luzem kilka dodatkowych nitek PNA. W trakcie podziału PNA usuwało się do cytoplazmy. Potem następował normalny podział komórki. Gdy podzieliła się ona na dwie części, jedna z nici PNA w każdej z nowych komórek wślizgiwała się z powrotem z cytoplazmy między łańcuchy DNA, odtwarzając potrójną helisę w obu komórkach.

— Teraz pani rozumie? — spytał Blake.

Tak, zrozumiała wreszcie, dlaczego osobnik płci męskiej nie mógł przekazać potomstwu potrójnej helisy. Komórka spermy zawiera połowę DNA mężczyzny. W komórce jajowej kobiety jest połowa jej DNA plus cała cytoplazma i wszystko, co wchodzi w skład galaretowatego płynu komórkowego: mitochondria, organelle, proteiny — a w tym przypadku PNA. Z tego powodu ojciec nie mógłby przekazać dziecku potrójnej helisy — cechy nieśmiertelności — ponieważ cytoplazmatyczne PNA dziedziczy ono tylko po matce.

— To jak mitochondria u kobiet — powiedziała Lisa. — Dziedziczy się je tylko po kądzieli, od jajeczka do jajeczka.

— Właśnie. Więc już pani pojmuje?

Skinęła głową.

— Rozumie więc pani także, dlaczego musimy zabić tego chłopca.

Wyprostowała się raptownie.

— Nie... oczywiście, że nie!

Blake westchnął.

— Stanowi ślepy zaułek. Nadaje się tylko do badań. Gdybyśmy zdołali wyleczyć go z szoku i przywrócić stabilność jego potrójnej helisie, Petra miałaby doskonały materiał do wiwisekcji, a podtrzymywane sztucznie przy życiu narządy byłyby idealne do testowania genu nieśmiertelności. Lepsze to niż czekać dziesiątki lat, by śledzić jego rozwój. Nauka musi robić szybsze postępy, zwłaszcza w obliczu czegoś tak nielogicznego jak moralność.

Lisa przysiadła ponownie na jego biurku, odrętwiała z szoku. Pracowała całą noc i wyrwała to dziecko z objęć śmierci. By spotkał je taki koniec?

Zdążyła już poza tym polubić tego chłopca. Jak mogło być inaczej, skoro miał takie duże, ufnie spoglądające niebieskie oczy?

Petra przyglądała się z niechęcią dziecku w inkubatorze, jakby było psem, który pogryzł jej ulubione tenisówki.

— Teraz jest bezużyteczny. To kolejna porażka.

— Obiecująca porażka. — Blake poklepał ją po dłoni. — Możesz wykonać nekropsję, pobrać wszelkie próbki tkanek potrzebne do badań histopatologicznych. Możemy jeszcze wiele się nauczyć, nawet dzięki tej porażce.

Dość tego!

Lisa nie zamierzała pozwolić, by zabili to dziecko.

Gdy wpatrywali się w nie, odwróceniu do niej plecami, przystąpiła do działania.

Pochyliwszy się nad biurkiem Blake'a chwyciła kartę magnetyczną i stojącą na blacie lampę. Wyrwała z kontaktu kabel i zamachnęła się lampą, zadając Petrze cios w tył głowy. Uderzenie w czaszkę ciężką stalową podstawą powaliło ją jak ścięte drzewo. Runęła na podłogę w narożniku boksu.

Blake zaczął się podnosić, ale Lisa wykopała spod niego krzesło. Stracił równowagę i upadł. Wykorzystała ten moment, by grzmotnąć go kolanem w nos. Rozciągnął się jak długi. Nie stracił przytomności, ale leżał oszołomiony.

Rzuciła lampę, podbiegła do inkubatora i ściągnęła najostrożniej jak mogła zaciski i taśmy sprzętu monitorującego noworodka. Gdy uwolniła dziecko, owinęła je w cienki kocyk i przytuliła do piersi.

Wiedziała, że oddział więzienny jest ślepym zaułkiem, podobnie jak kompleks laboratoriów. Jedyne wyjście stanowiły drzwi, przez które wszedł wczoraj Robert Gant. Pobiegnęła w ich kierunku, nie zważając na ból opuchniętej kostki. Otworzyła drzwi skradzioną Blake'owi kartą i wymknęła się na zewnątrz.

Zobaczyła przed sobą mroczny labirynt korytarzy i pokoi. Wyglądały na puste, miały tam dopiero powstać nowe laboratoria. Tyle zdołała usłyszeć.

Wybrała na ślepo kierunek, poruszając się najszybciej jak mogła na obolałej nodze i dziękując losowi, że dziecko po nakarmieniu było spokojne.

Nie pofatygowała się, żeby zlikwidować albo związać Petrę i Blake'a.

Z bardzo prostego powodu.

Gdy wybiegała z oddziału, śledził ją obiektyw kamery. Ktoś wiedział już, że uciekła.



## Pasmo Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 13.48 czasu miejscowego

— Dokąd ona uciekła? — dopytywał się Robert Gant.

Stał przed komputerem w biurze doktora Emmeta Fieldinga mieszczącym się w czerwonej strefie podziemnego kompleksu. Przed kilkoma minutami otrzymał wiadomość z centrali ochrony, że Lisa Cummings zaatakowała dwoje naukowców i porwała wnuka jego brata.

Zacisnął rękę w pięść. Nie ze złości na tę kobietę, ale na myśl o bracie. Oparł się całym ciężarem o biurko, aż zbielały mu kostki. Próbował opanować żal. Przypomniały mu się chwile spędzone z Jimmym: dwaj bracia jadący konno, pijący piwo za stodołą, grający w karty z cygarami w ustach. To Jimmy podtrzymywał go na duchu po śmierci żony. Robert starał się zmieścić w swej zaciśniętej pięści całe życie, aby mieć pod kontrolą te wspomnienia.

To dlatego zszedł na dół, by razem z doktorem Fieldingiem obejrzyć najnowsze projekty neuropodów, w tym kilku naprawdę przerażających bestii bojowych we wczesnych stadiach badań.

Robił wszystko, byle tylko czymś się zająć.

Rozumiał, że brat musi zginąć, dostrzegał logikę planu, który mu przedstawiono. Domagała się tego większość Linii Krwi. Musiał więc być posłuszny — jak zawsze w przeszłości. Ale bardzo z tego powodu cierpiał.

— Nadal jej nie ma, proszę pana — oznajmił strażnik, widoczny w górnym rogu ekranu. — W tej nieużywanej części kompleksu jest tylko kilka czynnych kamer.

— Więc sprawdźcie kamery w sąsiednich strefach. Niebieskiej i pomarańczowej.

— Tak, proszę pana.

Czekając, Robert wyświetlił na ekranie mapę posiadłości. Główna rezydencja, Loża, znajdowała się w odległości piętnastu kilometrów, otoczona wysokimi murami. Jedyne niewielka część rodziny wiedziała o jej istnieniu. Nawet Jimmy nie miał o tym pojęcia, choć kilka razy łowił ryby nad rzeką kilometr od niej.

Rozległy ośrodek badawczy zajmował prawie dziesięć hektarów położonych na odludziu ziem Gantów. Był to teren dawnej kopalni, usytuowanej między wysokimi skałami i wodospadami Wschodniego Zlewiska Kontynentalnego. Zlewisko — którego granica przebiegała wzdłuż Pasma Błękitnego i przecinała posiadłość Gantów — dzieliło region na dwa dorzecza: po jednej stronie wszystkie rzeki spływały do Zatoki Meksykańskiej, po drugiej — do Atlantyku.

Przed stuleciem jeden z członków Linii Krwi odkrył starą zalaną kopalnię. Z czasem została ona przebudowana i przekształcona w ukryty pod lasami i łąkami tajny kompleks, wydrążony pod ziemią i stopniowo powiększany.

Spojrzał na mapę ośrodka. Wyglądała jak kleks z testu psychologicznego Rorschacha. Znaczna część powierzchni zacieniona była na szaro, wskazując niewykorzystywane laboratoria. Robert pamiętał lepsze czasy. W szczytowym okresie zimnej wojny pracowały tam dla Gildii,

dla Linii Krwi, setki naukowców pochodzących z obu stron żelaznej kurtyny. Laboratoria wibrowały wręcz energią mężczyzn i kobiet, którzy prowadzili eksperymenty wykraczające często poza granice nauki.

Teraz przyglądał się tym zaznaczonym na szaro strefom, wyglądającym jak pożerający ośrodek rak. Od tamtej pory, podobnie jak w wielu amerykańskich firmach, projekty badawcze realizowane kiedyś w tych ścianach przeniesiono za granicę, do krajów Trzeciego Świata, gdzie nikt nie zadawał pytań, siła robocza była tańsza i nie istniał nadzór ani kontrola ze strony rządu.

Tak więc ten stary kompleks pustoszał, stając się opuszczoną świątynią nauki, w większości już zamkniętą. Realizowano jeszcze tylko jeden projekt, który był oczkiem w głowie Roberta. Linia Krwi nie uznawała już jego badań nad robotami za znaczące dla przedłużania życia, gdyż reprezentowały technologię makro. W modzie była teraz skala mikro: komórki macierzyste, nanotechnologia i manipulowanie DNA. Dopiero ostatnio ten trend zaczął się odwracać i wahadło ruszyło w przeciwnym kierunku, dzięki postępom w robotyce i powstaniu nowej dziedziny wiedzy — neurorobotyki, zajmującej się zespalaniem człowieka z maszyną.

Linia Krwi traktowała jednak jego pracę jako badania nad bronią, co miało swoje uzasadnienie. W samym Afganistanie walczyło u boku amerykańskich żołnierzy ponad dwa tysiące robotów — a ich liczba szybko rosła. Podobnie jak inteligencja.

Robert kontynuował więc tutaj swoje eksperymenty. Ośrodek idealnie się do tego nadawał: był odizolowany od świata, położony w strefie objętej zakazem lotów, a przede wszystkim otoczony terenem o urozmaiconej powierzchni. Rzeki, lasy, łąki i urwiska stwarzały idealne warunki do testowania różnych wersji jego neuropodów.

Po stracie głównego laboratorium w Dubaju puste korytarze ośrodka znów zaczynały ożywać. Do świątyni wracali nowi kapłani, gotowi ponownie wypełnić głuche przestrzenie modlitwą i śpiewem naukowych obrzędów.

Powinien być szczęśliwszy, ale odczuwał tylko pustkę. Stracił brata zaraz po śmierci Amandy. A teraz miał umrzeć także wnuk Jamesa. W końcu coś w nim pękło — a może zawsze był okaleczony, lecz musiał splamić sobie ręce krwią Jimmy'ego, by to do niego dotarło.

Linia Krwi nie traktowała dobrze rodziny.

Zamierzał dziś z tym skończyć.

Strażnik odezwał się ponownie.

— Proszę pana, w strefach pomarańczowej i niebieskiej nie zlokalizowano poszukiwanego obiektu.

— Przetrząsajcie więc wszystkie pokoje, wnęki i szafy.

— Tak, proszę pana.

Robert wiedział, że może to być nie lada wyzwanie. Z powodu Czwartego Lipca w ośrodku pozostał tylko szczątkowy personel — zresztą etatowego też nie było za wiele.

Ale musiał odzyskać wnuka brata.

Stracił już tego dnia zbyt wiele — i pozostała mu tylko nikła nadzieja, że zdoła ocalić dziecko i resztki najbliższej rodziny.

Wiedział, czego potrzebuje.

Możliwości wywarcia nacisku.

Stuknął palcem w klawisz i na ekranie pojawił się obraz jednej z cel w czerwonej strefie. Na łóżku siedziała kobieta z ogoloną głową, twarz ukrywała w dłoniach. Był zadowolony, że jest odwrócona plecami do kamery.

Wcisnął guzik interkomu.

— Tak? — odezwał się doktor Fielding ze swego laboratorium w tej samej strefie.

— Emmet, mówiłeś, że chcesz przetestować najnowsze pody, ich bardziej zaawansowane możliwości.

— Oczywiście, proszę pana. — Głos naukowca drżał z podniecenia.

— Więc zaczynajmy.

Po skończeniu tej rozmowy Robert wykonał niezbędne telefony. Potem włączył kamerę, której aktywacja wymagała kodu znanego tylko jemu.

O tej więźniarce nikt nie powinien wiedzieć.

Na ekranie pojawił się widok kolejnego pomieszczenia, tym razem wyposażonego luksusowo w łożo z baldachimem, miękkie fotele, kamienny kominek i gobeliny na ścianach. Belkowany sufit zdobiły gotyckie łuki i zabytkowe kryształowe żyrandole.

Ale mimo wszystko była to cela.

Okno, przez które wpadały promienie słoneczne, było zakratowane, a solidne drewniane drzwi, wzmocnione stalą, miały zamek elektroniczny.

Więźniarka musiała usłyszeć szelest kamery, gdy Robert obrócił ją w kierunku okna. Stała w słońcu; jej szczupła sylwetka rysowała się cieniem w jasnym kręgu.

Zauważyła ruch kamery, podeszła do niej i spojrzała w górę.

Miała wciąż na sobie tę samą odzież co w chwili przybycia, choć wyglądało na to, że wzięła prysznic w sąsiedniej łazience.

Wpatrywała się w kamerę.

Jej zielone oczy, nieco zwężone w kącikach, świadczyły o euroazjatyckim pochodzeniu. Na sam ich widok Robert poczuł skurcz serca.

Dotknął palcem ekranu, muskając kciukiem jej twarz i wiedząc, że bardziej się do niej nie zbliży. Przed laty wymknęła się Gildii, stała się wrogiem Linii Krwi, ale teraz do nich wróciła.

— Tu jest twoje miejsce — szepnęła ochryple. — Nie powinienem był pozwolić ci uciec.

W rogu ekranu pojawiła się nagle inna twarz. Poczuł rozdrażnienie, że ktoś mu przeszkadza.

— Panie Gant — powiedział mężczyzna. — Chciałem pana poinformować, że ląduje śmigłowiec z przesyłką z Waszyngtonu.

— Przyjąłem. Zaraz wracam do Łoży.

Podziemny tunel łączył kompleks laboratoriów z bezpiecznym wejściem do rezydencji. Mógł pokonać tę odległość w dziesięć minut.

Zwlekał jeszcze przez chwilę, przyglądając się swej atrakcyjnej więźniarce.

Jakby wyczuwając jego wzrok, uniosła rękę i pokazała mu środkowy palec.

Uśmiechnął się i wyłączył kamerę. Odwrócił się i ruszył w kierunku tunelu prowadzącego do Łoży, gotowy na spotkanie z człowiekiem, który zabił jego brata.

Godzina 14.03

Gdy śmigłowiec zataczał szeroki łuk, Gray wpatrywał się w widoczną w dole rezydencję Gantów.

Widział zdjęcia tej potężnej budowli w książkach, nigdy osobiście, jak zresztą większość ludzi. Mogła rywalizować z zamczyskami tak znakomitych amerykańskich rodów jak Vanderbiltowie, Rockefellerowie czy Hearstowie. Ale klan Gantów pielęgnował tradycję, wzorując swą rezydencję na słynnym zamku krzyżowców w Syrii, Krak des Chevaliers, czyli Fortecy Rycerzy.

Zewnętrzny mur, z niewielkimi wieżami zbudowanymi na bazie kwadratu i otworami strzelniczymi, miał trzy metry grubości. Jedyne przejście stanowiła potężna łukowata brama, z mostem zwodzonym nad prawdziwą fosą.

Znajdujący się za murem słoneczny dziedziniec stanowił w połowie parking, a w połowie ogród ze stuletnimi dębami i grządkami kwitnących róż. W budynku było siedemdziesiąt pomieszczeń, wszystkie w gotyckim stylu, z ostrymi łukami, wysokimi oknami i mnóstwem drzwi i balkonów. Blanki wieńczyły dwie wieże.

Śmigłowiec zniżył lot, kierując się do lądowiska na dziedzińcu. Gdy znalazł się za murami, Gray poczuł się jak w pułapce. Płozy maszyny dotknęły betonu i wyprowadzono go pod bronią, ze skutymi z tyłu rękami. Dowódca grupy poprowadził go przez dziedziniec w kierunku potężnej łukowatej bramy, stanowiącej wejście do głównego budynku.

Komandor nie miał dokąd uciekać. Nawet gdyby mu się udało, był na elektronicznej smyczy nadajnika, który dowódca trzymał w kieszeni. Jeśliby się oddalił na więcej niż dziesięć metrów, zaczęłoby się znów odliczanie sekund do detonacji.

Nie mógł stracić głowy.

I to nie tylko w przenośni.

Kilka kroków dalej dowódca grupy trzymał słuchawkę przy uchu, rozmawiając z kimś. Drugą ręką nerwowo drapał wytatuowany na karku krzyż. Gray usłyszał tylko końcówce:

— Tak, proszę pana. — Mężczyzna odwrócił się do niego. — Proszę za mną.

Weszli po kamiennych schodach, a potem przez otwarte drewniane drzwi z płaskorzeźbami przedstawiającymi rycerzy kruszących kopie na turniejach lub toczących bitwy.

Za drzwiami był ogromny hol. Sklepieniami i potężnymi kamiennymi kolumnami przypominał wnętrze katedry. Promienie słońca wpadały do środka przez witraże, również przedstawiające rycerzy, ale w bardziej dworskim otoczeniu. Wielu miało na płaszczach krzyże templariuszy.

Mimo ogromu przestrzeni hol sprawiał niezwykle ciepłe wrażenie. Kamienne podłogi były pokryte grubymi miękkimi dywanami. Dwa kominki, usytuowane po obu stronach i na tyle wysokie, że zmieściłyby się w nich konie, obiecywały radosne płomienie ognia zimą. A teraz wypełniały je ogromne bukiety, przesycając powietrze zapachami, nadzieją wiecznego lata.

Gray zrozumiał, dlaczego tę posiadłość nazywano Lożą. Była przybytkiem myśliwych. Część podłogi pokrywały skóry niedźwiedzi. Na ścianach wisały głowy zwierząt ze wszystkich kontynentów.

Hemingway byłby tu bardzo szczęśliwy, pomyślał.

— Szybciej — warknął dowódca grupy.

Komandor przyspieszył kroku, podążając za nim przez hol do drzwi obok jednego z kominków. Mężczyzna zastukał.

— Wejść.

Gray został wprowadzony do niewielkiej biblioteki pełniącej funkcję salonu, z antycznymi francuskimi meblami, niedużym kominkiem i okienkami wielkości otworów strzelniczych, przez które można było wyjrzeć na ogród.

Jedyny obecny tam człowiek siedział w fotelu obok kominka, w którym nie palił się ogień. Był w tradycyjnym szarym garniturze, ale zdjął marynarkę i położył ją na oparciu fotela. Białą koszulę z podwiniętymi rękawami miał rozpiętą pod szyją.

Robert Gant wyciągnął rękę.

Dowódca grupy podszedł do niego, przekazał mu nadajnik i klucze do kajdanków Graya, po

czym pospiesznie się oddalił, najwyraźniej otrzymawszy już wcześniej taki rozkaz, bo nie zamienili ze sobą ani słowa.

Drzwi zostały zamknięte.

Brat prezydenta spojrzął komandorowi w oczy.

— Czy on cierpiał? — spytał.

Grayowi nie trzeba było mówić, kogo dotyczyło to pytanie. Miał jednak ograniczone pole manewru. Sytuację pogarszał ogień, który palił w piersi i płonął w oczach, pozbawiając go panowania nad sobą. Ale będąc w kajdankach i na łasce nadajnika, mógł tylko stać na drżących nogach i pałać żądzą, by rzucić się na tego człowieka bez względu na konsekwencje. Zaciśnął pięści tak mocno, że ciasne kajdanki wpiły mu się w nadgarstki.

Gospodarz wskazał mu drugi fotel naprzeciwko kominka.

Komandor usiadł, nie ufając swemu opanowaniu. Był spięty, gotowy zerwać się w każdej chwili, gdy nadarzy się okazja, by zemścić się na człowieku odpowiedzialnym za śmierć jego matki.

Robert zapytał ponownie, tym razem łamiącym się głosem:

— Proszę... wiem, że operacja Jimmy'ego się nie uda. Słyszałem niepomyślne prognozy. Ale czy w tych ostatnich chwilach mój brat cierpiał?

Do Graya docierał bardziej jego ból niż słowa. Rozpacz tego człowieka budziła w nim współczucie, choć go nienawidził. Oczy Roberta były zaczerwienione i pociemniałe z bólu, a jego skóra przybrała szarą barwę marynarki.

Z jakiegoś powodu, mimo całej swojej nienawiści, komandor odparł najszczerzej jak potrafił:

— Nie. Pański brat nie cierpiał.

Brat prezydenta skinął głową, opuszczając wzrok.

— Dzięki za tę wiadomość.

Przez dłuższy czas siedział nieruchomo w tej pozycji. Gdy znów podniósł głowę, po policzkach spływały mu łzy. Otarł je i spojrzął na kominek, jakby potrzebował jego ciepła.

Potem powiedział cicho:

— Przykro mi z powodu pańskiej matki.

Gray zeszywniał, omal nie wyskakując z fotela.

Ale widok szczerzej rozpaczy na twarzy tego człowieka złagodził jego gniew.

— Straty bliskiej osoby nigdy się nie zapomina. Aż za dobrze to wiem. To zbyt wysoka cena, nawet za nieśmiertelność, która teraz wydaje się koszmarem.

Pamiętał, że Seichan mówiła coś podobnego. Co się działo z tym człowiekiem? Spodziewał się, że po wylądowaniu będzie torturowany i przesłuchiwany. Miał tylko nadzieję, że Painter dostał jego tajną wiadomość i zrozumiał ją wystarczająco, by domyślić się, dokąd go zabrano.

— Serce nie jest w stanie znieść rozpaczy, która przypada na jedno życie — wyjaśnił Robert Gant. — Taki ciężar mogą udźwignąć tylko ludzie pozbawieni uczuć. Albo bardzo młodzi, zbyt naiwni, by w pełni pojąć, co tracą. Taki właśnie byłem, gdy po mnie przyszli.

— Kto po pana przyszedł? — spytał Gray, starając się zrozumieć.

Robert milczał, najwyraźniej nad czymś rozmyślając i wahając się.

— Pokażę panu. Może mi pan pomóc w realizacji moich planów.

Wstał i poprowadził komandora za sobą. Podszedł do regału z książkami i pociągając za dźwignię, otworzył sekretne drzwi. Część regału przesunęła się i ukazały się prowadzące w dół spiralne kamienne schody.

Robert ruszył przodem. Drogę oświetlały im zawieszane na ścianach kinkiety, choć Gray spodziewał się pajęczyn i pochodni. Schody wiodły do piwnicy. Przez otwarte drzwi na innych poziomach zobaczył pralnie i kuchnie. W końcu dotarli do piwnicy z winami. Łukowate tunele, wykute w kamieniu, ciągnęły się w różnych kierunkach, słabo oświetlone wiszącymi pod sufitem żarówkami. Po obu stronach stały szeregami potężne dębowe beczki. Sąsiednie pomieszczenia, jak kapliczki poświęcone Bachusowi, wypełniały stojaki z zakurzonymi butelkami, stanowiącymi niewyobrażalne bogactwo.

Gospodarz szedł pospiesznie naprzód, jakby się obawiał, że zmieni zdanie albo ktoś go powstrzyma. Gray podążał za nim, zarówno z powodu niewidzialnej smyczy, jak i z ciekawości.

Ich wędrówka skończyła się głęboko w labiryncie piwnic, w bocznym pomieszczeniu z czterema potężnymi beczkami z francuskiego dębu, wielkimi jak słonie.

Robert podszedł do jednej z nich i odsunął rygiel, aby otworzyć pokrywę. Drewniana beczka była wzmocniona stalą. Wskoczył do środka, a Gray za nim. Tył beczki wyglądał jak wejście do bankowego skarbcza. Robert wystukał kod i przytknął dłoń do czytnika linii papilarnych.

Zapaliła się zielona lampka i hydrauliczne stalowe drzwi o grubości sześćdziesięciu centymetrów otworzyły się z cichym szumem.

Prowadziły do niewielkiej kabiny. Gdy gospodarz wystukał kolejny kod i zaczęli zjeżdżać, Gray zdał sobie sprawę, że to winda.

Robert Gant przez cały czas milczał. Pogrążony w rozpaczy, najwyraźniej nie miał ochoty rozmawiać.

W końcu winda stanęła, drzwi się otworzyły i wyszli do przedsionka ogromnego, zamkniętego hermetycznie, sterylne pomieszczenia wielkości połowy boiska piłkarskiego. Ale nie było to lśniące bielą i nierdzewną stalą wnętrze nowoczesnego laboratorium. Za szczelnie zamkniętymi drzwiami znajdowało się coś w rodzaju kolekcji Muzeum Brytyjskiego. Mahoniowe gabloty mieściły zakurzone woluminy, pożółkłe manuskrypty i antyczne przedmioty z różnych epok dziejów ludzkości. Osadzone na marmurowych cokołach szklane kopuły chroniły delikatne rzeźby i złote skarby.

Robert Gant odwrócił się do Graya.

— Oto prawdziwe serce Linii Krwi.

## Pasma Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 14.07 czasu miejscowego

Lisa przycupnęła z dzieckiem na kolanach w mrocznej kabinie toalety, ściskając w dłoni skalpel do amputacji z dwunastocentymetrowym ostrzem.

Znalazła go w laboratorium, gdzie dokonywano nekropsji. Kostnica, jak większość przypominającego labirynt kompleksu, wyglądała na dawno opuszczoną. Wszystko pokrywała warstwa kurzu. Lisa wiedziała, że nie zdoła się ukryć w żadnej z wnęk do przechowywania zwłok. Jej ślady były wyraźnie widoczne na zakurzonej podłodze.

Aby ich nie pozostawiać, starała się przemykać wzdłuż użytkowanych nadal laboratoriów, co było ryzykowne. Dwa razy omal jej nie zauważono, ale w ogromnym kompleksie nie brakowało miejsc nadających się na kryjówki. Natrafiła na korytarz, który musiał przebiegać przez całą długość ośrodka. Kończył się ciemnym zaułkiem oświetlonym tylko na paru odcinkach.

W ciągu kilku minut wiedziała, że musi być w podziemiach.

Nie było tam żadnych okien.

Muszę dotrzeć z powrotem na powierzchnię.

Gdyby zdołała uciec, sprowadzić pomoc, mogłaby naprawdę ocalić Kat. Sama nie była w stanie tego zrobić. Z każdym krokiem czuła nadal przeszywający ból w kostce.

A zagrożone było nie tylko życie Kat.

Dziecko spało w objęciach Lisy, spokojne jak aniołek, nakarmione mlekiem i pewnie wciąż fizycznie wyczerpane po kryzysie, który omal nie doprowadził do jego śmierci. Modliła się w duchu, żeby się nie obudziło.

Weszła do toalety tylko na chwilę, żeby zebrać myśli. Początkowo biegła jak przerażony zając, starający się umknąć ścigającym go ogarom. Na razie dotarła do części kompleksu z żółtymi ścianami i zgubiła prześladowców. Wszystkie strefy były oznakowane kolorami. Uciekała z białej przez pomarańczową do żółtej.

Przypomniała sobie wygląd celi Kat.

Miała czerwone ściany.

Przed wejściem do toalety zobaczyła plan ewakuacji. Przycupnęła w kabinie, by zastanowić się, jaką najlepiej wybrać drogę.

Z planu ewakuacji zorientowała się, że znajduje się na środkowym z trzech poziomów, gdzieś w północno-zachodnim kwadrancie. Mapa wskazywała najkrótszą drogę na powierzchnię, ale Lisa nie odważyła się nią pójść. Tego będą się spodziewali i prawdopodobnie postawili tam już strażników.

Przypuszczali zapewne, że pójdzie najbliższymi schodami do góry, zamierzała więc iść na dół. Zauważyła, że czerwona strefa na planie nie sięga do trzeciego poziomu. Zobaczyła korytarz, który przecinał cały kompleks, przechodząc pod czerwoną strefą. Mogła nim dotrzeć na peryferie ośrodka, gdzie napotka mniej ludzi, a może nie trafi na nikogo. Było tam tylne wyjście

z laboratoriów.

Do niego zamierzała się dostać.

Przesunęła drętwiejącą nogę w kierunku drzwi, chcąc jeszcze raz spojrzeć na plan, a potem, mimo bólu, kontynuować ucieczkę. Gdy dotknęła stopą linoleum, zaskrzypiały drzwi toalety. Zapaliło się światło, oślepiająco jasne w porównaniu z mrokiem korytarzy i sal, przez które biegła.

Intruz pogwizdywał sobie pod nosem.

Nie był to raczej strażnik.

Brzmienie jego pogwizdywania i ciężki chód wskazywały na mężczyznę. Modliła się w duchu, by podszedł do pisuaru, ale zbliżał się do kabin. Zacisnęła mocniej skalpel, mając nadzieję, że odejdzie.

Nie ta. Wybierz następną.

Jej modlitwa została wysłuchana, mężczyzna wszedł do sąsiedniej kabiny, najbliżej drzwi. Właśnie dlatego ją ominęła. Zamierzała zaczekać, aż skończy, i wyjść minutę później.

I w tym momencie dziecko w jej ramionach, być może zbudzone pogwizdywaniem, zaczęło się wiercić, wyciągnęło pomarszczoną piąstkę i ziewnęło bezgłośnie. Wiedziała, że nie będzie długo spokojne.

Musiła się stamtąd ewakuować, zanim dziecko narobi hałasu i zaalarmuje człowieka w sąsiedniej kabynie. Nie mogła przewidzieć, ile czasu on tam jeszcze zostanie. Usłyszała, jak rozpina klamrę paska i zamek błyskawiczny, jak opuszcza spodnie, a potem wzdycha z ulgą.

Wyglądało na to, że szybko nie skończy.

Znów zaczął pogwizdywać.

Lisa nie mogła ryzykować, że znajdzie się w potrzasku, jeśli dziecko zacznie płakać. Ostrożnie postawiła zdrową stopę na ziemi i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, uważając na kostkę. Zaciskając skalpel w ustach, podtrzymywała noworodka jedną ręką. Na szczęście przez wiele nocy opiekowała się dziećmi Kat.

Nie zamknęła wcześniej kabiny, bo i po co? Chwyciwszy za haczyk na drzwiach, otworzyła je powoli, by wyślizgnąć się na zewnątrz.

Poradzę sobie.

W tym momencie dziecko cicho zakwiliło.

Lisa zmartwiała, pogwizdywanie raptownie ucichło. Usłyszała trzask zamka w kabynie.

Natychmiast zaczęła powtarzać swą nową mantrę.

CZK?

Co zrobiłaby Kat?

Kopnęła drzwi, gdy tylko zaczęły się otwierać, uderzając nimi mężczyznę w twarz. Upadł do tyłu. Lisa była już przy nim, trzymając w ręce skalpel. Gdy podniósł głowę, poderżnęła mu gardło. Ostry jak brzytwa skalpel, przeznaczony do przecinania twardych chrząstek i ścięgien, spełnił swoje zadanie, przenikając przez skórę i mięśnie do tchawicy i tłumiąc jakikolwiek krzyk. Z uszkodzonej arterii szyjnej chlusnęła krew. Mężczyzna zacharczał i zsunął się z sedesu. Zacisnął ręce na szyi, patrząc zaszokowanym wzrokiem. Już był martwy, choć jeszcze o tym nie wiedział.

Tak właśnie postąpiłaby Kat.

Lisa cofnęła się, uważając na kałużę krwi, by nie zostawiać śladów. Zamknęłaabinę, podeszła do drzwi toalety i zgasiła światła. Ktoś zapewne zauważył zniknięcie tego mężczyzny. Powinna być daleko, zanim to nastąpi.



Wyrzała na zewnątrz. Korytarz był pusty. Ale gdy wyszła, usłyszała, jak ktoś wypowiada głośno jej nazwisko.

Skuliła się ze strachu.

Rozbrzmiewający echem głos dochodził z głośników. To był męski głos i nie był, jak przedtem, komputerowo zniekształcony. Nie słyszała południowej artykulacji Roberta Ganta ani brytyjskiego akcentu Edwarda Blake'a.

To był ktoś nowy.

— Doktor Cummings! To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie! Proszę się poddać i przekazać dziecko znajdującemu się najbliżej personelowi albo narazi pani swoją przyjaciółkę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

W głębi korytarza włączył się monitor, ekrany innych zajaśniały w różnych miejscach. Najwyraźniej przekazywał tę informację w całym kompleksie.

Podeszła korytarzem wystarczająco blisko do monitora, by zobaczyć na ekranie twarz nieznanego. Miał na sobie biały kombinezon laboratoryjny ze zsuniętym do tyłu kapturem i maskę chirurgiczną na czubku głowy. W tle spostrzegła doktora Blake'a. Obraz nagle się zmienił i zobaczyła Kat, trzymaną na muszce i stojącą przy zamkniętych metalowych drzwiach. W rękach miała jakąś rurę i niewielką tarczę.

— Za karę i żeby zrozumiała pani w pełni, co jej grozi, przeprowadzimy mały pokaz.

Otworzyły się drzwi i kamera pokazała po chwili trawiastą łąkę w oślepiającym blasku słońca i szereg rosnących w oddali dębów. Kat wypchnięto na zewnątrz. Osłaniała oczy niewielką tarczą przed promieniami słonecznymi.

— Niech się pani natychmiast podda albo jej sytuacja będzie się coraz bardziej pogarszała. Ostrzegamy tylko raz.

Lisa nie potrzebowała czasu, by podjąć decyzję.

CZK?

Wiedziała, czego Kat by od niej oczekiwała.

Pobiegła korytarzem — nie po to, by się poddać, ale by uciec, gdy większość obecnych w kompleksie ludzi wpatrywała się w ekran, przygotowując się do obserwowania krwawego widowiska. Lisa domyślała się, że tarcza i rura mają posłużyć do jakiejś walki gladiatorów.

Biegąc z dzieckiem w ramionach, znów spokojnym i najwyraźniej uspiętym jej ruchem, rzucała okiem na monitory i widziała, jak Kat przedziera się przez wysokie trawy.

Bądź ostrożna, życzyła przyjaciółce w duchu.

Godzina 14.18

Kat brnęła przez sięgającą do ud trawę. Niosła przytroczoną do ramienia twardą stalową tarczę szerokości sześćdziesięciu centymetrów. W drugiej ręce miała dziewięćdziesięciocentymetrową pustą rurę. Oddychała głęboko, szykując ciało do walki, dostarczając mięśniom tlenu. Miała wyostrzone wszystkie zmysły.

Wysoka trawa była w większości zielona, pachnąca latem. Zapach stawał się intensywniejszy, gdy rozdeptywała źdźbła. Brzegi jej koszuli zahaczały o szorstkie chwasty. Słyszała świergot ptaków, ale pozostawał gdzieś w tle, razem z docierającym z północnego zachodu odległym szumem wodospadu i szelestem liści.

Wiedziała, że zbliża się nagonka.

Podśluchała rozmowę dwóch naukowców — Fieldinga i Blake'a — gdy zastanawiali się, którą broń na niej wypróbować.

*Pole bitwy to najlepsze miejsce do testowania teorii doboru naturalnego Darwina, wyjaśniał swemu koledze Fielding. Umiejętność przetrwania jest głównym motorem ewolucji. Dotyczy to również naszych podów. Aby się uczyły, muszą być wypróbowane w terenie, w warunkach bojowych. Każde nowe wyzwanie powoduje wzrost i rozwój nowych synaps w cybernetycznym mózgu. Ale musimy stawiać im coraz wyższe wymagania.*

Widziała te heksapody, jak je nazywano. Były maszynami do zabijania z tytanu, podobnymi do krabów, wyposażonymi w ostre jak brzytwa odnóża, stalowe sztylety i wiertła. Różne ich warianty wypełniały warsztat. Najgorszy przypominał wielkiego napęczniałego kleszcza z nogami jak szpikulce do lodu.

Za warsztatem, w głębi laboratorium, widać było większe stwory, wielkości małych czarnych niedźwiedzi, w różnych fazach montażu.

Kat szła przez łąkę, podnosząc tarczę, by sprawdzić jej ciężar, i kręcąc rurą, żeby oszacować jej wyważenie.

*W przeszłości nasze heksapody walczyły z nieuzbrojonym przeciwnikiem, dokończył Fielding. Dzisiaj wypróbujemy je w walce na innym poziomie: przeciwko wrogowi wyposażonemu w tępe narzędzie i tarczę. Będziemy posyłali je falami, zwiększając stopniowo ich liczbę, aż się wyuczą, zaadaptują i pokonają nieprzyjaciela.*

Jakiś szelest po lewej stronie wzbudził jej czujność. Obróciła się, opuszczając tarczę. Trawy poruszyły się, gdy coś przemknęło między nimi jak płetwa rekina przecinająca powierzchnię wody. Dostrzegła jeszcze cztery takie smugi, otaczające ją szerokim łukiem.

Najwyraźniej te stwory potrafiły działać zespołowo.

Dobrze wiedzieć.

Heksapody pędziły przez łąkę, szybkie jak charty. Nie zdołały dobiec do drzew, więc nawet nie próbowała. Stawi im czoło tutaj, wykorzystując ich pierwszą falę — jeśli przeżyje — by się uczyć i adaptować.

Kto powiedział, że nie może przystosowywać się równie łatwo jak jej przeciwnicy?

Przede wszystkim nie chciała walczyć w wysokiej trawie. Potrzebowała lepszej widoczności. Mając tylko kilka sekund, wykorzystowała tarczę, by ugnieść roślinność wokół siebie i stworzyć naturalną palisadę z ustawionych na sztorc źdźbeł. W jednym miejscu pozostawiła w niej lukę, jak wejście do swego gniazdka.

Pierwszy heksapod zaatakował ostro palisadę i zaklinował się w gęstej trawie. Dostrzegła jego lśniący tytanowy pancerz i dźgnęła go z całej siły rurą. Metal zachrząścił od ciosu, który nie zabił bestii, ale uszkodził jej czujniki, wskutek czego pod zaczął kręcić się w kółko.

Pozostałe cztery osobniki, być może dzięki bezprzewodowym łączom wykorzystujące doświadczenie pierwszego, unikały bezpośredniego ataku. Otoczyły ją kręgiem. Nagle jeden rzucił się do otworu w palisadzie, wyczuwając szczelinę w jej linii obrony — i nie wiedząc, że to pułapka.

Wdarł się do jej gniazdka, ale była gotowa. Posłużyła się rurą jak kijem golfowym, uderzając go wprost w przednie czujniki i miażdżąc jego elektronikę. Poszybował w powietrzu i wylądował nieruchomo na grzbiecie.

Słaby punkt, pomyślała Kat.

Pozostałe trzy pody krążyły, najwyraźniej coś knując, po czym, podjąwszy decyzję, ruszyły razem w stronę luki w trawie, próbując zdobyć liczebną przewagę.

Przykro mi, już zamykamy.

Wbiła krawędź tarczy w miękkie podłoże, barykadując wejście do swego gniazdka.

Pierwszy heksapod uderzył w tarczę z głośnym brzękiem. Przygniotła go kilkakrotnie do ziemi, posługując się tarczą jak tłokiem, roztrzaskując mu większość odnóży i całkowicie go unieruchamiając.

Dwa pozostałe pody cofnęły się, planując kolejny ruch.

Kat nie czekała. Znalazła kamień wielkości pięści i rzuciła go w trawę. Ruch sprowokował jedną z bestii. Pognała w tamtym kierunku, ale dała się oszukać tylko na chwilę. Gdy kamień znieruchomiał, przestała na niego polować.

Wiedziała, że kamień nie jest żywą istotą.

Ten test potwierdził, że heksapody mają czujniki ruchu, ale muszą one być wspomagane przez podczerwień, by reagować na ciepłość ciała, cechę żywych organizmów. Skoro pod ścigał kamień, Kat wątpiła, by miał dobrą ostrość widzenia. Można go było oszukać.

A co z dźwiękami i zapachami?

Dwa ostatnie heksapody nie dały jej szansy, by to sprawdziła. Zaatakowały ją z dwóch stron. Jeden ruszył w kierunku tarczy, drugi na trawiastą palisadę.

Kat podniosła tarczę, otwierając ponownie swoje gniazdko i pozwalając, by pierwszy pod wtargnął do środka. Drugi się spóźnił, próbując precyzyjnie się przez trawę i używając do tego ostrza.

Pierwszy obrócił się w miejscu i natarł na nią. Opuściła tarczę, zamieniając jej krawędź w gilotynę; napierając na nią całym ciężarem, wgniotła go w miękką ziemię.

Drugi heksapod przedarł się przez palisadę, atakując za pomocą obracającej się w poziomie piły tarczowej.

Kat odskoczyła na bok, gdy rzucił się na pierwszego poda, rozcinając mu podbrzusze diamentowym ostrzem i kończąc za nią robotę. Tamten, w obronnym przedśmiertnym odruchu, wbił w napastnika ostre jak brzytwa odnóże, rozrywając mu pancerz i rozszarpując osłonięty szklaną kopułą mózg.

W ciągu kilku sekund pozabijały się wzajemnie.

Kat przykucnęła, przyglądając się uzbrojeniu, które miały pod pancerzami. Zauważyła niewielkie urządzenie przypominające strzałkę do gry, oznaczone z boku symbolem M99.

Chlorowodorek etorfiny.

Bardzo silny środek do usypiania dużych zwierząt.

Wystarczy jedna kropla, by unieruchomić człowieka.

Poznawszy lepiej swoich przeciwników, wstała i spojrzała na niewielki bunkier, przez który wychodziła z ośrodka. Wiedziała, że ją obserwują. Rzuciła im gniewne spojrzenie.

Zobaczymy, co jeszcze macie.

Odwróciła się i pobięła w kierunku lasu.

Godzina 14.28

— Poradzi sobie — stwierdził Emmet Fielding, stykając dłonie palcami przy ustach i wpatrując się w rząd monitorów. — Jest bardzo sprawna.

Edward Blake siedział obok niego przy rozmieszczonych półkolem ekranach komputera. Dotknął delikatnie palcem złamanego nosa, zaklejonego plastrem po niespodziewanym ataku Lisy. Obserwował ucieczkę Kat rejestrowaną przez kolejne kamery. Biegła przez ciemny las, wśród dębów, sosen i świerków.

— Nie martwi cię, że tak szybko rozprawiła się z twoimi podami? — spytał.

Fielding machnął lekceważąco ręką.

— Żeby zrobić omlet, trzeba rozbić kilka jajek. Porsche niszczy całe mnóstwo swoich sportowych samochodów podczas testów laboratoryjnych i prób terenowych. Tak dochodzi się do doskonałości. A ja właśnie do tego dążę.

Blake zauważył, jak bardzo Fielding był podekscytowany podczas ataku podów. Podejrzał, że te testy stanowiły dla niego w równym stopniu emocjonujące krwawe widowisko, co doświadczenie naukowe. Ale to nie było jego zmartwieniem.

Jeśli Lisa to zobaczy, z pewnością wróci z dzieckiem, pomyślał.

— Są jakieś wiadomości? — spytał.

Fielding mruknął coś w odpowiedzi, najwyraźniej tym niezainteresowany. Bez względu na to, czy Lisa się pokaże, zamierzał kontynuować swój eksperyment, dopóki z kobiety na ekranie nie zostanie miazga.

Zerknął na zegar. Petra poszukiwała Lisy na własną rękę. Po tym, jak dała się zaskoczyć i została uderzona w głowę, jego współpracowniczka była żądna krwi i polowała z nie mniejszą gorliwością i bezwzględnością niż stalowe heksapody.

Fielding rozprostował się i przeciągnął.

— Chyba jesteśmy gotowi do drugiej rundy — rzucił.

— Ile podów wyślesz tym razem?

— Myślę, że całą sforę. Dwadzieścia. Ale ona wykazała się taką sprawnością, doprawdy niezwykłą, że chyba przejdziemy od razu na wyższy poziom trudności. Wprowadzimy nowy element.

Fielding spojrział za siebie, w głąb laboratorium. Stały tam większe heksapody, czworonożne, z zakrzywionymi jak u leniwca pazurami, idealnymi do rozszarpywania zdobyczy. Edward widział, jak szybko potrafią się poruszać. Był to przerażający widok.

— Chyba wyślę dwa — oznajmił Fielding, stukając nieco nonszalancko w klawiaturę.

Blake wpatrywał się w biegnącą kobietę.

Powinna mieć nadzieję, że Lisa zmieni zdanie i wróci z dzieckiem — chociaż w sumie niczego by to nie zmieniło.

Dla żadnej z nich.

Godzina 14.29

Lisa uciekała długim mrocznym korytarzem, trzymając w jednej ręce niemowlę, a w drugiej nóż. Obserwowała w biegu zwycięską walkę Kat z metalowymi stworami — ale zapowiadano jej dalszy ciąg i nie miała wątpliwości, że to jeszcze nie koniec.

Spojrziała w górę.

Powinnam już być pod czerwoną strefą, oceniła.

Sądząc z tego, co pokazywały monitory, oddalała się, niestety, od Kat. Nie mogła przyjaciółce w niczym pomóc — co najwyżej sobie samej zapewnić ocalenie.

Biegła dalej korytarzem, który przecinał ogromny kompleks — i znajdowała się teraz w czarnej strefie, pustej, ale nie opuszczonej. W powietrzu wyczuwało się atmosferę napięcia, jak przed burzą. Kilka metrów dalej okazało się dłaczego. Zobaczyła po prawej magazyn wielkości katedry. Schody prowadziły na niższy poziom.

Z góry Lisa widziała całą przestrzeń hangaru, wystarczająco dużego, by zmieścił się w nim samolot pasażerski. Magazyn wypełniały metalowe stwory, postawione na regałach albo — w przypadku tych większych — stojące na podłodze. Wszystkie podłączone były kablami do systemu zasilania. W środku stał, najwyraźniej jeszcze niedokończony, potwór wielkości czołgu

typu Pershing, uśpiony gigant, czekający na przebudzenie.

W hali rozbrzmiewał jednostajny szum, a zapach ozonu stwarzał wrażenie nadciągającej burzy.

Naładowane powietrze sprawiło, że zjeżyły jej się włosy na karku.

Przejęta strachem, poszła dalej.

Korytarz wreszcie się skończył. Weszła na schody, odtwarzając w pamięci mapę. Prowadziły do tylnego wyjścia z głównego laboratorium; miała nadzieję, że na jakieś odludzie, gdzie będzie mogła się wymknąć. Wspinała się powoli na kolejne kondygnacje, spodziewając się w każdej chwili krzyku. Minęła środkowy poziom i dotarła na najwyższe piętro.

Gdy pokonywała już ostatni odcinek drogi do wolności, usłyszała głośny komunikat:

— Doktor Cummings! Jesteśmy gotowi do drugiej rundy.

Przerażona, pobiegła w górę po schodach.

Nie chcę tego oglądać.

Wszystko jednak słyszała. Z dołu zabrzmiał echem cichy zgrzyt trybów i pisk układów hydraulicznych. Towarzyszył tym odgłosom nagły wzrost naładowania powietrza elektrycznością.

Mobilizowano siły przeciw Kat.

Lisa dotarła na szczyt schodów. Zobaczyła przed sobą awaryjne drzwi z poziomą metalową sztabą. Obawiała się, że wychodząc tamtędy, może uruchomić alarm i zwrócić na siebie uwagę w tym odległym zakątku kompleksu, ale nie miała wyboru. Gdyby pozostała na dole, wcześniej czy później natrafiliby na jej ślad.

Wolę zaryzykować, niż znaleźć się w potrzasku.

Pchnęła sztabę i otworzyła drzwi, choć przez moment czuła strach, czy jej się to uda. Znalazła się w jaskrawym świetle słońca. Niemowlę poruszyło się, wyciągając w górę rączkę.

Wraz ze słońcem pojawił się ogłuszający łoskot.

Lisa wyszła z bunkra i zobaczyła kaskadę wody, spadającą z dziewięciometrowego urwiska do rzeki pod skalną półką, na której stała. Odwróciła się powoli, uświadamiając sobie, że znajduje się na wąskim występie między spienioną wodą i stromymi skałami.

Nie mogła iść w górę ani w dół.

Ślepy zaułek.

Dziecko zaczęło płakać. Jego ciche kwilenie stawało się coraz głośniejsze, odbijając się echem od skalnej ściany.

Nie miała do niego pretensji.

Jesteśmy w pułapce.

## Pasmo Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 14.25 czasu miejscowego

*Oto prawdziwe serce Linii Krwi.*

Gray zastanawiał się nad tymi słowami, stojąc na progu zamkniętej szczelnie sali muzeum.

— Przyprawdzono mnie tu po raz pierwszy, kiedy byłem dzieckiem — wyjaśnił Robert. — Byłem zbyt naiwny, by zrozumieć, jaki jest naprawdę koszt posiadania tajemnej wiedzy, przymierza krwi, które będę musiał zawrzeć, strat, jakie będę zmuszony ponieść.

Po obu stronach zamykanych hydraulicznie drzwi wryto w szkło dwa symbole. Po prawej był krzyż ozdobiony łańcuchami DNA. Gray widział już ten symbol wcześniej, wiedział więc, że Robert Gant nie kłamie, mówiąc o znaczeniu tego miejsca. Po lewej znajdował się taki sam krzyż, tyle że ozdabiały go splecione węże.

Gant zauważył jego zainteresowanie. Dotknął krzyża z węzami.

— To nasza przeszłość. Drugi symbolizuje naszą przyszłość. — Bez dalszych wyjaśnień otworzył hydrauliczne drzwi i wprowadził Graya do środka. Zapaliły się światła, ukazując sąsiednie zamknięte hermetycznie pomieszczenie, stanowiące odgałęzienie głównej sali. Komandor dostrzegł tam rzędy czarnych komputerów, ale gospodarz prowadził go dalej.

Gray nie mógł jednak oderwać wzroku od pomieszczenia z komputerami.

Co zawierają te potężne serwery?

Najwyraźniej na odpowiedź musiał poczekać.

Miejsce, do którego zmierzali, znajdowało się w głębi muzeum. Wysoka szklana gablota mieściła trudny do opisu przedmiot: ustawioną pionowo drewnianą laskę.

Komandor nachylił się z ciekawością, ręce mając wciąż skute za plecami. Wyczuwał, że to bardzo stary eksponat. Na powierzchni laski były wyrzeźbione misternie trzy węże, oplatające ją skomplikowanym wzorem.

— Co to jest? — spytał, wyprostowując się.

— Przedmiot znaleziony przez osobę z mego rodu podczas wypraw krzyżowych w cytadeli na szczycie góry w Galilei. Nazywa się Bachal Isu. To laska świętego Patryka.

Gray spojrzał na Ganta.

— Świętego, który wygnał z Irlandii węże?

— Właśnie. Ale czy zna pan historię tej laski? Wie pan, jak święty Patryk wszedł w jej posiadanie?

Komandor pokręcił głową.

— Legenda głosi, że kiedy Patryk wracał z Rzymu do Irlandii, zatrzymał się na wyspie w pobliżu Genui — rzekł Gant. — Spotkał tam młodzieńca, który twierdził, że otrzymał tę laskę od „pielgrzyma o słodkim i majestatycznym obliczu”, który kazał mu ją przechować, aż „mój sługa Patryk przystanie tu w drodze do Erinn, by nawracać tamtejszy lud i wręczyć mu ją, zanim odejdzie”. Człowiek ten powiedział mu również, że gdy był w posiadaniu laski, przestał się starzeć i czekając na Patryka, przeżył ponad wiek.

Gray patrzył sceptycznie na eksponat.

— Laska, która zapewnia nieśmiertelność?

— Według przekazu świętego Patryka, tym pielgrzymem był Jezus Chrystus.

Komandor wpatrywał się w tę zwykłą laskę z podziwem i niemałą dozą powątpiewania.

— Wierzy pan w to?

— Sam nie wiem. Ale według innych opowieści ta laska jest o wiele starsza i należała podobno do króla Dawida, a przedtem do Mojżesza.

Nieźle dziedzictwo, pomyślał Gray, nie chcąc go urazić i przerwać mu wywodów. Im dłużej Gant mówił, tym więcej czasu miał Painter na rozwikłanie zagadki, którą Gray zostawił mu w Waszyngtonie.

Poza tym jego uwagę zwróciły wcześniejsze słowa Ganta.

*Może mi pan pomóc w realizacji moich planów.*

Nie brzmiało to jak groźba, raczej jak propozycja.

Gray pozwolił mu kontynuować.

— Kto wie, czy cokolwiek z tego jest prawdą? — przyznał Gant. — Osoba, która znalazła tę laskę, należała do zakonu templariuszy, stąd krzyż, który zdobi nasz symbol. Według tej historii, laska była w posiadaniu strażnika, który twierdził, że żyje ponad pięćset lat. Ona ukradła laskę, zabijając tego człowieka...

— Chwileczkę! Ona?

— Tak, była templariuszką, jedną z dziewięciu osób, które założyły zakon, choć po odkryciu, którego dokonała, jej nazwisko zostało wymazane z akt historycznych. To był największy triumf naszych przodków i nasza największa porażka. Ale uprzedzam fakty.

— Więc niech pan kontynuuje.

— Gdy wróciła do Francji ze skradzioną laską, stało się oczywiste, choć dopiero po latach, że ten przedmiot nie posiada żadnych cudownych właściwości.

— A więc nie zawierała tajemnicy nieśmiertelności.

Robert Gant spojrział na niego.

— Owszem, ale minęły wieki, zanim odkryliśmy tę prawdę. Bo to nie sama laska mogła czynić cuda, tylko zapisana na niej wiedza.

Gray zerknął na eksponat.

— Trzy węże?

Gant wskazał mu starą ilustrowaną Biblię, która leżała otwarta na pulpicie, lśniąc kolorami w świetle lampy.

— Węże to częsty motyw w religii — powiedział. — Patryk wygnał je z Irlandii. Mojżesz zamienił w węża swoją laskę. Ale prawdę objawiła nam najwcześniejsza opowieść o wężu, z Księgi Rodzaju. W Ogrodzie Edenu były dwa drzewa. Drzewo Życia, rodzące owoce nieśmiertelności. I Drzewo Wiedzy. Bóg wygnał Adama i Ewę, gdy zjedli owoc z Drzewa Wiedzy, bo obawiał się, że posiadłszy ją, „zerwą owoc także z Drzewa Życia, zjedzą go i żyć będą na wieki”.

— Ale Drzewo Życia jest tylko symboliczne.

— To nieprawda. Ono istniało, przynajmniej kiedyś.

— O czym pan mówi?

— W Biblii jest wiele opowieści o ludziach dożywających niewiarygodnie sędziwego wieku. Najślynniejszym z nich był Matuzalem, który przeżył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat. Ale było wielu innych. Nie tylko w Biblii. Gliniane tabliczki z Babilonu i Sumeru głoszą, że

ich królowie żyli wiele stuleci.

— Ale należy to traktować metaforycznie, a nie dosłownie.

— Być może. Tyle że opowieść o roślinie, która przedłuża życie, nie występuje wyłącznie w Biblii. W sumeryjskim eposie o Gilgameszu bohater poszukuje rośliny życia, zapewniającej nieśmiertelność.

Robert Gant wskazał kolejną gablotę, mieszczącą stare księgi.

— Wedy, święte teksty hinduizmu, opisują roślinę o nazwie *soma*, o tych samych właściwościach. „Piliśmy *somę* i staliśmy się nieśmiertelni”.

Przeszedł następnie do tabliczki ze starożytnego Egiptu, przedstawiającej bóstwo z głową sokoła, skubiące liście wysokiej rośliny.

— Oto ilustracja drzewa życia z mitologii egipskiej.

Spojrzał na całą kolekcję eksponatów.

— Istnieje wiele innych przykładów, ale we wszystkich tych opowieściach niezwykle jest jeden szczegół. W Biblii Noe dożywa jako ostatni tak sędziwego wieku. W eposie o Gilgameszu poszukujący rośliny król odkrywa, że została ona zatopiona. W obu tych historiach i wielu innych ta przedłużająca życie roślina zostaje zniszczona przez potop.

Gant odwrócił się do Graya.

— Może to tylko przypadek — ciągnął — ale niewykluczone, że w tych opowieściach było ziarno prawdy. I z tego ziarnka mogłoby wyrosnąć nowe Drzewo Życia. Linia Krwi w to właśnie uwierzyła. Przez stulecia poszukiwali znaczenia tych trzech węży, przeczuwając, że mają one jakiś związek z nieśmiertelnością. Byli o tym wystarczająco przekonani, by umieścić je w symbolu organizacji.

Wskazał na szklane drzwi.

— I nie był to tylko nasz znak. Zostawialiśmy go wszędzie, mając nadzieję przyciągnąć tych, którzy posiadali tajemną wiedzę. Moi przodkowie wierzyli w tę sprawę tak niezbiecie, że przekazali ten symbol różnym tajnym organizacjom, które nas kryły.

Poprowadził Graya do otwartej księgi rytów masońskich. Zamieszczony w niej rysunek przedstawiał trzech mężczyzn z dłońmi splecionymi w podobny sposób, jak węże oplatały laskę. I by rozwiać wszelkie wątpliwości, na ilustracji były również węże — z trzema głowami.



— Widzi pan więc, jak niezłomnie wierzyliśmy — rzekł Robert Gant. — I w końcu okazało się, że mieliśmy rację.

— W jakim sensie?



— Rysunek na lasce zawierał zakodowaną wiedzę dla przyszłych pokoleń. Wiedzę z dziedziny genetyki. — Wskazał na drugi symbol na drzwiach. — Węże przekształciły się z czasem w to, co naprawdę oznaczały: łańcuchy DNA.

— Twierdzi pan, że starożytni posiadali wystarczającą wiedzę na temat DNA, by zakodować ją w postaci węży na lasce?

— Możliwe. W latach sześćdziesiątych naukowiec o nazwisku Hayflick oszacował, że naturalny wiek człowieka nie może przekroczyć stu dwudziestu lat. Oparł to na wyliczeniu, ile razy może nastąpić podział komórki.

— Słyszałem o limicie Hayflicka — odparł Gray, który studiował biotechnologię.

— Czy to więc zwykły zbieg okoliczności, że biblijna Księga Rodzaju wysnuwa taki sam wniosek na temat ograniczeń długości życia człowieka? Pojawiają się tam słowa: *Niechaj więc żyje tylko sto dwadzieścia lat*. To potwierdza teorię Hayflicka. Skąd pochodziła ta wiedza?

— Zgoda, przyznaję, że to dziwne. Ale daleka jeszcze droga do stwierdzenia, że węże na lasce symbolizują łańcuchy DNA. Wyrzeźbione są tam trzy węże, a DNA ma podwójną helisę.

— A, w tym sęk. Sekret nieśmiertelności nie tkwi w dwóch łańcuchach, lecz trzech, w potrójnej helisie. To właśnie zapisano na lasce. Dopiero w dzisiejszych czasach, dzięki analizie DNA, udało nam się odkryć tę tajemnicę.

— Jak do tego doszliście?

— Gdy nasza templariuszka zdobyła laskę, zabiła śmiertelnika, który był w jej posiadaniu, najprawdopodobniej ostatniego długowiecznego człowieka. Jego krew zachowała się na lasce. Zbadaliśmy ją i odkryliśmy, że DNA białych komórek miało potrójną helisę.

To skupiło uwagę Graya.

— Potrójną? — Zaczynał doceniać znaczenie ich odkrycia.

Robert Gant skinął głową.

— Gdy postępy genetyki pozwoliły nam rozszyfrować ten trzeci łańcuch, ustaliliśmy, że jest to proteina wirusa pochodzenia roślinnego. Stanowiła naturalną odmianę kwasu peptydonukleinowego, PNA. Wirus zarażał komórki człowieka, który zjadł zainfekowaną roślinę. Ubocznym tego skutkiem było ustabilizowanie komórek, powstrzymanie ich degeneracji i radykalne wydłużenie życia zakażonego organizmu.

Grayowi przyszedł na myśl Ogród Edenu.

— Mityczne drzewo życia.

— Może w sumie nie aż tak mityczne.

— Ale powiedział pan chyba, że rośliny te zostały zalane podczas potopu. W jaki sposób ten strażnik je zdobył?

— Najwyraźniej ktoś był dość przezorny, by zgromadzić ich zapas, susząc je jak liście herbaty. Templariuszka, która ukradła laskę, opisała na łożu śmierci rząd stojących w krypcie egipskich sarkofagów wypełnionych wysuszonymi liśćmi i łodygami. Skoncentrowana na swoim celu, nie zastanawiała się nad ich przeznaczeniem i pozwoliła, by spłonęły.

Komandor dostrzegł ironię tej sytuacji.

— A zatem, jak dawna Ewa, wasza templariuszka ukradła drzewo wiedzy, przynosząc wam zaszyfrowany kod nieśmiertelności, ale przeoczyła drzewo życia.

— Na to wygląda. Próbowaliśmy w końcu odtworzyć tę wirusową proteinę PNA, ale bez powodzenia. Była zbyt zniszczona. Więc musieliśmy zacząć od podstaw i skonstruować nasze własne PNA i je przetestować.

Gray wyobraził sobie, jakie potworności i nadużycia wiązały się z tymi eksperymentami.

Nawet Robert Gant nie wydawał się z nich dumny, bo zniżył głos.

— Z czasem jednak dokonaliśmy wystarczających postępów, by urodziło się pierwsze dziecko ze stabilnym kodem.

— Syn Amandy.

Skinął głową.

— Ale stabilność okazała się tylko tymczasowa. A koszt eksperymentu był zbyt wysoki. Najpierw życie Amandy. Teraz mojego brata. — Wskazał w kierunku drzwi. — A wkrótce także jego wnuka. To za wiele. Muszę zrobić, co w mojej mocy, aby ocalić resztę rodziny.

Przeszli przez salę.

Gant znów popadł w melancholię.

— Byłem chłopcem, kiedy zawarłem przymierze z tym wewnętrznym kręgiem mojego rodu, Linia Krwi. Sądziłem, że to, co robimy, znaczy o wiele więcej niż życie jednostki.

Dopóki nie zaczęło to dotyczyć najbliższych.

Ciężka jest głowa, która nosi koronę.

A ten ciężar i poczucie winy jeszcze się zwiększy, gdy Robert zajmie miejsce brata w Białym Domu i Linia Krwi przejmie pełną władzę, zamiast tylko pociągać za sznurki za plecami Jamesa Ganta.

— Czemu pan mi to wszystko powiedział? — spytał Gray. — Po co mnie pan tu przyprowadził?

— Żeby mógł pan zrozumieć, dlaczego naiwny chłopak mógł zaakceptować takie okrucieństwo, ale starszy człowiek nie zniesie już więcej strat. — Robert Gant odwrócił się do niego. — Przyprowadziłem pana tutaj, żeby opowiedział pan wszystko światu.

Gray wpatrywał się w niego zaszokowany. Śmierć brata musiała być kroplą, która przepełniła czarę goryczy.

Ale czy Robert Gant nie zlecił tego zabójstwa? Czy był marionetką tak samo jak prezydent?

Na razie jednak, jeśli ten człowiek związał żagle, Gray miał pilniejsze pytanie.

— Czemu sam pan nie ujawni prawdy?

— Dość już wycierpiałem. Zabieram stąd najbliższe mi osoby i znikam. Wyjedziemy tam, gdzie Linia nas nie znajdzie. — Gant ruszył w kierunku wyjścia. — Resztą obarczam pana.

Komandor podążył za nim. Przechodzili obok pomieszczenia z komputerami. Skoro Robert Gant był gotów ujawnić całą prawdę, Gray chciał wiedzieć wszystko.

— Do czego służą te serwery? — spytał, przeczuwając, że kryje się w nich coś ważnego.

Gospodarz spojrział obojętnie w ich kierunku.

— Jeśli w tej sali jest nasze serce, tam znajduje się nasz mózg, nasza pamięć. Mieści całą naszą genealogię, nie tylko rodu Gantów, ale także pokoleń zapomnianych przodków. Aż po nasze mityczne korzenie.

Gray chciał tego posłuchać.

— Jakie korzenie?

— Półksiężyc i gwiazdę. Nasze pierwsze symbole. Najstarsze zapisy wiążą je z kananejskim bóstwem, któremu składano ofiary z ludzi.

To by się zgadzało.

— To bóstwo, nazywane Molochem, symbolizowały rogi krowy albo półksiężyc. Blisko z nim spokrewniony był bóg Remfan, którego symbolizowała gwiazda. Niektórzy historycy uważają, że nasze korzenie sięgają czasów Mojżesza, że zostaliśmy przez niego wygnani za czczenie półksiężyca i gwiazdy. — Spojrzął ponownie na laskę. — W Dziejach Apostolskich

jest napisane: *Obnosiliście raczej namiot Molocha i gwiazdę bożka Remfana, wyobrażenia, które zrobiliście, aby im cześć oddawać. Przesiedlę was za to poza Babilon*<sup>1</sup>.

— A więc twierdzi pan, że jesteście potomkami tych wygnanych czcicieli bożków?

— Nie wiem. Ale Linia Krwi sięga zamierzchnych czasów i pielęgnują nadal stare żydowskie tradycje, na przykład...

Za szklaną ścianą rozległo się brzęczenie i otworzyły się drzwi windy, przyciągając ich uwagę. Z kabiny wyłoniła się znajoma postać. Wysoka blondynka szła zdecydowanym krokiem. Lodowatym spojrzeniem oceniła natychmiast sytuację.

Robert Gant ruszył w jej kierunku, oniemiały z zaskoczenia.

— Petra? Dlaczego... skąd się tu wzięłaś?

Podeszła do hydraulicznych drzwi w szklanej ścianie i wystukała kod. Grube stalowe rygle zatrzasnęły się.

Gant podbiegł i szarpnął za klamkę.

Najwyraźniej ktoś przewidział jego zdradę.

Zrozumiał prawdę i przestał dobijać się do drzwi.

— Należysz do Linii! — zawołał przez szklaną ścianę. — Dlaczego nikt mi nie powiedział?

— Są nas zastępy — odparła. — I nie wszyscy są zadowoleni z twojego przywództwa. Gdy straciliśmy dziecko, właściwie bezużyteczne, skontaktowałam się z tymi, którym służę, i przekazałam im, co się tutaj dzieje. Jak przedkładasz rozpacz nad to, co konieczne. Najbliższą rodzinę nad Linie Krwi. Burzysz struktury, które przetrwały tysiąclecia. Dość tego. Nie jesteś już nam potrzebny.

— Ale przez tyle lat byłem waszym przywódcą.

Uśmiechnęła się ironicznie, jakby szydząc z tej argumentacji.

— Kiedy ciało jest silne, można odciąć głowę. Wyrośnie nowa i będziemy dzięki temu silniejsi. Masz pójść w odstawkę. Ta gałąź rodu Gantów zostanie odcięta, wraz ze wszystkimi jej owocami. Zniszczymy to, co stare, by zrobić miejsce dla nowego. Nie roniąc łez, bo liczy się tylko cel.

Dłoń Ganta, którą trzymał przytkniętą do drzwi, opadła bezwładnie.

— Czystka zacznie się tutaj. Za dziesięć minut. O trzeciej. To stosownie magiczna liczba. Aktywowałam awaryjne zabezpieczenia w twoich laboratoriach i tej wiekowej krypcie. Dziś Linia Krwi pozbędzie się przeszłości i będzie spoglądać tylko w przyszłość. Nieśmiertelność jest w naszym zasięgu. Czeka nas nieograniczona władza. — Petra skłoniła się, okazując mu dziwny szacunek. — Ci, których kochasz, nie będą cierpieli — powiedziała, wpatrując się w niego. — Nawet ci, o których istnieniu twoim zdaniem nie wiemy.

Rzucił się na szybę i uderzył w nią pięścią, mówiąc łamiącym się głosem:

— Przestań!

Petra wycofała się do windy, zwrócona twarzą do nich, lecz patrzyła w innym kierunku. Zostali już zapomniani.

Gray zaczął, aż zamkną się drzwi windy, po czym zwrócił się do Ganta:

— Zdaje się, że został pan bez pracy. — Pokazał mu skute kajdankami nadgarstki. — Może byśmy to zdjęli?

Gant wydawał się wściekły i zrozpaczony.

Znam to uczucie, pomyślał Gray.

Gdy pozbył się kajdanków, zadał pytanie, na które bał się usłyszeć odpowiedź.

— Co to za awaryjne zabezpieczenia?

Robert Gant spochmurniał.

— Bomby termobaryczne. Jedna z nich spali podziemną kryptę. Ale u góry, w laboratorium... — Pokręcił głową, blady jak ściana.

— Co się tam stanie?

Godzina 14.51

W ośrodku rozbrzmiały echem syreny ewakuacyjne i rozbłysły ostrzegawcze czerwone światła, rzucając na ściany szkarłatne cienie.

— To lej krasowy — wyjaśnił Fielding, wpychając do teczki dokumenty.

— Co? — spytał Blake, trzymając się blisko niego. Inni uciekali w różnych kierunkach, zabierając, co mogli.

— Większość tego kompleksu leży nad wyschniętym podziemnym jeziorem. Górnicy odkryli je pod koniec stulecia. Było zasilane przez podziemną rzekę. Inżynierowie zatamowali ją i zbudowali rusztowanie, na którym stanął cały kompleks. Nie jesteśmy w podziemnym laboratorium. — Zdecydowanym ruchem zatrzęsł teczkę. — Znajdujemy się na wielkim wiszącym moście nad otchłanią. I za chwilę wysadzą ten most. — Podeszedł do swego stanowiska pracy. — Spowoduje to powstanie leja krasowego o powierzchni dwunastu hektarów, który zostanie zalany, gdy rzeka znów popłynie. Jeśli się stąd nie wyniesiemy, nad naszymi grobami utworzy się nowe jezioro.

— Więc uciekajmy, do cholery — ponaglał go Blake.

— Nie zamierzam zmarnować moich badań ani mojej pracy. — Fielding postukał palcem w ekran. — To będzie ich ostateczny sprawdzian.

— Co ty robisz?

— Daję im możliwość walki. — Gdy pod kolejnymi rzędami sygnatur podów zapalały się zielone lampki, Fielding nachylił się do mikrofonu i wydał całej swojej armii ostatni rozkaz:

— Przeżyjcie.

Pod stopami Blake'a rozległo się głucho dudnienie. Cofnął się do drzwi. Co Fielding sobie wyobraża, uwalniając teraz tę hordę?

— To tylko ładowanie generatorów — zapewnił go Fielding, podnosząc teczkę. — Proces aktywacji i rozgrzewki trwa osiem minut. Do tego czasu będziemy daleko.

Blake mimo wszystko pospieszył do drzwi. Odwrócił się i zobaczył, jak coś zeskakuje z blatu stołu i uczepia się pleców Fieldinga, dokładnie między łopatkami. Był to jeden z jego nowych heksapodów. Naukowiec zapomniał w podnieceniu, że aktywował go wcześniej i pozostawił w trybie oczekiwania, gdy majstrował przy komputerze.

Fielding wrzasnął i próbował strącić bestię, ale jej odnóża, ostre jak szpikulce do lodu, wpiły się w niego głęboko i mocno trzymały.

Blake wycofywał się do drzwi. Fielding wyjaśnił mu wcześniej, jak działa ten najnowszy pod — gniazdownik. Jego pękaty korpus mieścił rój mniejszych robotów.

Fielding ruszył w jego kierunku.

— Zdejmij go! Zdejmij!

Blake cofał się, nie mogąc oderwać wzroku od tego, co się dzieje. Ciężarny stwór, uczepiony pleców Fieldinga, wypłuł ze swego wydętego brzucha strumień mniejszych podów. Rozpierzchły się jak czerwone mrówki po jego plecach, szyi, ramionach, torsie i kończynach.

— Nie, nie, nie!... — krzyczał Fielding, kręcąc się w kółko i wiedząc, co go czeka.

Nagle, jakby na rozkaz, wszystkie pody znieruchomiały — i zaczęły wwiercać się w jego ciało.

Skowyt bólu wyrwał w końcu Blake'a z wywołanego szokiem odrętwienia. Odwrócił się. Wiedział, do czego chcą się dowiercić. Większe pody reagowały na ciepło ciała, mniejsze — na odgłos bijącego serca.

Będą drążyć tak długo, aż przestanie bić.

Ale sądząc z nieustannego skowytu, który ścigał Blake'a w drodze na powierzchnię, trwało to bardzo długo.

Godzina 14.52

Upływały minuty, a Gray leżał na boku, rozcierając zdrtwiałe nadgarstki. Sekretarz stanu USA klęczał nad jego głową, wydłubując mu z ucha zatyczkę z materiału wybuchowego C-4 za pomocą liczącego trzy tysiące lat fragmentu egipskiej kości, wyjętego z jednej z gablot.

— To już chyba wszystko — oznajmił.

Świetnie, pomyślał Gray.

Nie chciał być w podziemiach, gdy wybuchnie bomba termobaryczna. Bomby paliwowo-powietrzne wywołują równie silne fale uderzeniowe co atomowe i spalają tlen w temperaturze pięciu tysięcy stopni.

Obrócił się na plecy i wziął się do pracy, by wyciągnąć z ucha słuchawkę i detonator. Użył do tego pincety. Miał wrażenie, że wydobywa stamtąd orzech. Gdy skończył, dzwoniło mu w uchu.

— Załatwione.

Pospiesznie zebrał wszystko razem. Ściana była z hartowanego szkła, zbyt grubego, by stłuc je czymkolwiek dostępnym w krypcie. Przyklepił ładunek wybuchowy do jej powierzchni, na lewo od hydraulicznych drzwi, dokładnie na środku krzyża z symbolem DNA.

— Niech się pan cofnie — ostrzegł.

Miał nadajnik, który wręczył mu Gant. Ukryli się za jedną z gablot i Gray wcisnął guzik. W zamkniętej przestrzeni fala uderzeniowa miała taką siłę, jakby ktoś przyłożył mu z dwóch stron kowadłem w skronie. Krtusząc się dymem cuchnącym płonąca smoła, ponaglił Ganta, by wstał. Pomachał ręką na wysokości twarzy i zobaczył, że hartowane szkło rozprysło się na niebiesko-białe kryształki.

Ogłuszony eksplozją, musiał krzyczeć, by usłyszeć własny głos.

— Wychodzimy!

Gray spojrział jeszcze z żalem na historyczne eksponaty, które miały ulec zniszczeniu. Jego wzrok spoczął na lasce — Bachal Isu, lasce Chrystusa — ale była zamknięta w kuloodpornej gablocie. Nie miał czasu ani możliwości, by ją ocalić.

Z ciężkim sercem musiał ją zostawić.

Robert Gant stał na chwiejnych nogach, oszołomiony wybuchem, ale pozwolił się poprowadzić. Potrzebny był odcisk jego dłoni i kod, by ściągnąć na dół windę. Gdy na nią czekali, Gant patrzył na zadymione muzeum.

— Może lepiej, żebym zginął — rzucił. — Po tym wszystkim, co zrobiłem...

Gray musiał dodać mu energii.

— Powinienem panu coś powiedzieć na temat pańskiego brata Jimmy'ego i jego córki Amandy.

— Co takiego? — spytał Gant, okazując zainteresowanie.

— Oboje żyją.

Brat prezydenta drgnął, raptownie odwracając ku niemu głowę.

— Co?

Gdy nadjechała winda i otworzyły się drzwi, Gray opowiedział mu z grubsza całą historię.

— Musimy pomyśleć jeszcze o synu Amandy — dodał. — Wspomniał pan, że jest tutaj.

Gant spochmurniał, gdy winda ruszyła w górę.

— Był, ale znów został porwany.

Tym razem komandor raptownie odwrócił głowę w jego kierunku.

— Zabrała go jedna z więźniarek — wyjaśnił Gant. — Lekarka. Kobieta, która prowadziła dochodzenie w naszej klinice.

Gray chwycił go za ramię i przeniknął wzrokiem.

— Lisa Cummings?

— Zna ją pan?

— Czy była z nią druga kobieta?

— Tak. Obie były w laboratorium, z wnukiem mojego brata. Ale to piętnaście kilometrów stąd. Nie zdążymy nawet przekazać tam na czas wiadomości.

Komandor zaklął, czując skurcz serca. Przycisnął Ganta do ściany mocniej, niż zamierzał.

— A co z kobietą, z którą mnie schwytano? Seichan. Ją też zabrali do tego przekłętą laboratorium?

Gant ściągnął brwi, widząc jego reakcję.

— Nie — powiedział wolno. — Ja... została tutaj.

Gdy winda zatrzymała się u góry, ciężkie drzwi krypty otwierały się jakby całe wieki. Gray musiał się hamować, by nie walić w nie pięścią, zarówno z niepokoju o Seichan, jak i z powodu frustracji, że nie może nic zrobić, by pomóc Lisie i Kat.

W końcu grube drzwi otworzyły się na tyle, by obaj wyszli, i dotarli przez ogromną beczkę z powrotem do głównej piwnicy. Gray spieszył się, nie wiedząc, czy bomba termobaryczna ma wystarczającą moc, by zniszczyć także piwnice — a może nawet zburzy cały zamek?

Robert Gant też nie wiedział.

Gray wolał nie sprawdzać tego na własnej skórze.

— Gdzie jest Seichan? — spytał, gotowy biec dalej.

— Zgubi się pan. — Gant starał się dotrzymać mu kroku. — Wskażę panu drogę. Ale...

— Ale co?

— Gdy Petra zostawiła nas w pułapce... — Wyglądał na przerażonego i skruszzonego. — Myślę, że poszła ją zabić.

Przestrzeń powietrzna nad Pasmem Błękitnym  
w Appalachach

4 lipca, godzina 14.52 czasu miejscowego

— Siedem minut do celu — zameldował z kokpitu pilot.

Painter siedział w ładowni średniej wielkości turbośmigłowego samolotu transportowego USAF C-41A. Dolecieli z Waszyngtonu wojskowym odrzutowcem, po czym przesiedli się do tej mniejszej maszyny, lepiej przystosowanej do infiltracji i dokonywania desantu, co oznaczało, że składała się głównie z kokpitu i ładowni.

Ładunek stanowiła jego ekipa.

Tucker przygotowywał Kaina do skoku w ich wspólnej uprzęży. Kowalski i Monk sprawdzali sobie wzajemnie sprzęt. Painter był już gotowy i siedział z otwartym laptopem podłączonym do satelity, odbierając przekaz na żywo z posiadłości Gantów i obserwując, co się tam dzieje, by było im łatwiej się poruszać na terenie Łoży.

W słuchawce rozległ się głos Jasona Cartera.

— Panie dyrektorze, przesyłam nowy materiał. Wykryliśmy ruch nieco ponad piętnaście kilometrów od posiadłości. Nie spostrzegliśmy tego wcześniej, koncentrując uwagę na Łoży. Ale lepiej niech pan to zobaczy.

Obraz na ekranie nie pokazywał już Łoży, lecz górzysty obszar Zlewiska Kontynentalnego.

Kto był na tym odludziu?

Obok wodospadu stała drobna postać, trzymająca jakiś pakunek... nie, dziecko! Obraz ukazywał się w coraz większym zbliżeniu, aż w końcu nie było już wątpliwości.

— Lisa... — szepnął Painter.

— A ta druga osoba to chyba Kat, panie dyrektorze. Jakieś czterysta metrów na południowy-wschód.

Gdy obraz przesunął się w tamtym kierunku, Painter przywołał Monka.

— Powinieneś to zobaczyć.

Gdy Monk podszedł, Jason pokazał im niewyraźne nagranie kobiety biegnącej przez las. Między drzewami trudno było dostrzec szczegóły. Było natomiast oczywiste, że zmierza prosto w kierunku stromego urwiska.

— To moja żona — powiedział Monk, przerażony, ale całkowicie opanowany. — Nigdy nie patrzy, dokąd idzie.

Jason odezwał się ponownie:

— Wykryłem jakiś ruch za nią, ale nie mogę uchwycić żadnych szczegółów.

— Jesteśmy dwie minuty od strefy zakazu lotów! — zawołał z kabiny pilot. — Zatoczę krąg, żeby lecieć po obwodzie.

Painter przekazał laptop Monkowi i poszedł do kokpitu.

— Zmiana planów — oznajmił. — Lecimy prosto do celu.

— Nie mamy zezwolenia, proszę pana.

— Załatwi pan to z prezydentem, kiedy wrócimy — odparł Painter. — Proszę lecieć nisko i na wprost. Wzdłuż Zlewiska Kontynentalnego. Gdy dotrzemy do strefy zakazu lotów, otworzy pan tylną rampę, żebyśmy wyskoczyli.

Kiedy Painter wrócił na swoje miejsce, Monk uniósł brew.

— Dlaczego moja żona nie ma włosów?

Painter usłyszał w uchu spanikowany głos Jasona.

— O której będziecie na miejscu?

— Wyskakujemy o trzeciej. Dotrzemy do celu o czwartej albo piątej.

— Będzie za późno.

Pasma Błękitne w Appalachach

Godzina 14.53 czasu miejscowego

Kat pędziła do wyznaczonej linii.

Zgubiła kapcie. Jej stopy szukały oparcia w miękkiej glinie i warstwie świerkowych igieł. Kamienie, szyszki i żołędzie raniły jej nogi, ale nie zważała na ból. Pokonywała przeszkody długimi skokami, ciesząc się z każdego pnia czy rozpadliny na swojej drodze, gdyż spowalniały one jej prześladowców.

Pierwszy szereg nagonki był zaledwie kilka metrów za nią. Rozprawiała się z trzema podami, ale kilkanaście pozostało i działało w parach. Tarcza i rura były wobec nich bezużyteczne, zwłaszcza że nie stanowiły jednolitej grupy. Rozpoznała co najmniej cztery ich odmiany, każda o wyspecjalizowanych funkcjach: pełzacze, z którymi miała do czynienia na początku; skoczki, które skakały jak żaby, gdy znalazły się blisko, i cięży ostrzami albo, co gorsza, uczepiały się ciała; bączki, nabierające nagle zawrotnej prędkości i stające się wirującymi w powietrzu piłami tarczowymi. Ostatnia grupa podów, o których jeszcze nic nie wiedziała, trzymała się z tyłu — były powolniejsze od pozostałych i wyglądały jak stalowe hełmy z odnóżami.

Nie wyszła z potyczki bez szwanku. Pierwszy bączek zaskoczył ją, przelatując z bzyčeniem i rozcinając jej łydkę. Krew spływała jej po kostce. Na atak drugiego była już przygotowana. Grzmotnęła go rurą w korpus. Wirujący bączek wbił się w pień dębu i utkwiał tam na dobre.

Nagle las się skończył i pojawiło się słońce.

Dotarła do urwiska.

Rozejrzała się i dostrzegła po lewej to, czego potrzebowała.

Ostrzegło ją głośnie skrzyknięcie. Zamachnęła się tarczą na skoczka, który się na nią rzucił. Uderzony z całej siły, poszybował w powietrzu.

Pobiegła szybciej. Jej prześladowcy też przyspieszyli, ale zdobyła parę metrów przewagi. Biegając, poluzowała tasemkę koszuli, a potem rzuciła rurę i tarczę pod pień pobliskiego klonu.

Pokonując ostatnich kilka metrów w kierunku skraju urwiska, ściągnęła koszulę przez głowę. Przez chwilę nic nie widziała, co było dość przerażające. Zwinęła przeпоconą, rozgrzaną koszulę w kłęb. Dotarłszy biegiem do urwiska, podskoczyła, chwyciła się gałęzi drzewa i rzuciła koszulę w przepaść. Pod jej nogami horda napastników spadała z wysokości trzech pięter ku swemu przeznaczeniu: skoczki, pełzacze i jeden samotny bączek, który — desperacko próbując ocaleć — poszybował spektakularnym łukiem w dół za ciepłą odzieżą.

Nie wszystkie pody spadły w przepaść, ale te, które pozostały, były zdezorientowane.

Kat zeskoczyła z powrotem na ziemię, by założyć tarczę na ramię i wsunąć rurę w spodnie,



jak miecz do pochwy. Potem wdrapała się ponownie na gałąź.

Napastnicy kręcili się pod drzewem, rozważając swój kolejny ruch.

Jej uwagę zwrócił nagle krzyk, ledwo słyszalny na tle huku wodospadu dwieście metrów po prawej. Rozejrzała się, podążając wzrokiem wzdłuż kolistego urwiska do miejsca, gdzie spadała z niego kaskadą niewielka rzeka. Właśnie tam dostrzegła we mgle machającą do niej ręką drobną postać.

Lisa stała na skalnej półce po drugiej stronie wodospadu, uwięziona pomiędzy pionowymi skałami i spienioną rzeką.

I nie była sama.

Trzymała w ramionach niemowlę.

Kat pomachała do niej, po czym zmartwiła.

Krzyk Lisy przyciągnął nie tylko jej uwagę. Za jej przyjaciółką, na szczycie urwiska, lśniła w słońcu sylwetka stwora wielkości małego lwa. Wychylony znad krawędzi, wyglądał jak stalowy gargulec.

— Kat! — krzyknęła Lisa, nadal machając ręką, by hałasem i ruchem zwrócić jego uwagę na siebie.

— Liso! Przestań się poruszać! — odkrzyknęła Kat.

Lisa pokręciła głową i przytknęła dłoń do ucha. Ogłuszał ją huk wodospadu.

Kat zastanawiała się gorączkowo, jak skomunikować się z Lisą, jak przekazać jej na migi, co powinna zrobić.

Nigdy nie byłam dobra w szaradach.

Zanim cokolwiek wymyśliła, stwór zaczął schodzić po urwisku.

Godzina 14.55

Lisa tańczyła z radości, że Kat jest cała i zdrowa. Widok półnagiej przyjaciółki wskakującej na drzewo i spadających w przepaść srebrnych podów wprowadził ją w dobry nastrój i przywrócił nadzieję.

Huk wodospadu zagłuszył słowa Kat, ale chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo zaczęła intensywnie gestykulować. Wskazywała na wodospad i pokazywała na migi, że bierze prysznic.

Lisa pokręciła głową, nic nie rozumiejąc. Dziecko, które trzymała w ramionach, zaczynało się wiercić, zapewne z powodu huku wody.

O półkę, na której była uwięziona, odbiła się rykoszetem spadająca skała.

Kat powtórzyła swój gest, nieco go modyfikując. Wskazała na wodospad i pomachała dłonią na wysokości twarzy.

Lisa rozejrzała się i zobaczyła, że część skalnej półki sięga za wodospad, ale i tam dociera rozpryskująca się woda.

W końcu Kat wyciągnęła rękę, wskazując nią na wprost.

Z urwiska spadł na półkę kolejny odłamek skały.

Lisę przeniknął dreszcz grozy, gdy nagle wyczuła, że coś na nią patrzy.

Obejrzała się i spojrzała na urwisko.

W połowie jego wysokości wisiał na skale stalowy potwór, z ostrymi jak brzytwa pazurami i tytanowymi kłami.

Wrzasnęła, cofając się kilka kroków i omal nie spadając w przepaść do rzeki.

Jej krzyk i ruch spowodował, że stwór obrócił smukły łeb i zmierzył ją swymi czujnikami, wyglądającymi jak szkliste czarne oczy.

Znieruchomiała i zamilkła, wiedząc, że musi go przyciągać hałas.

I wtedy dziecko zaczęło płakać.

Godzina 14.56

Kat przyglądała się bezradnie, jak stalowy gargulec schodzi po urwisku, wbijając zakrzywione pazury w szczeliny skał i posuwając się krok za krokiem, niezawodny jak dobrze nakręcony zegarek.

No, Liso, pamiętaj, co ci pokazywałam.

Klekot i brzęczenie u stóp klonu przypomniały jej, w jakim sama jest położeniu. Pięć podów w kształcie hełmów otoczyło drzewo i stanęło w miejscu. Ich półokrągłe grzbiety otworzyły się, ukazując umieszczone wewnątrz cztery mniejsze roboty. Były płaskie, kwadratowe i zaopatrzone w niewielkie śmigła na każdym rogu.

Cała ta powietrzna flota uniosła się równocześnie z naziemnych baz, tworząc dziwną, idealnie zsynchronizowaną formację. Potem, jakby na dany sygnał, latające pody zaczęły krążyć wokół drzewa, obcinając swymi ostrymi jak skalpel śmigłami liście i gałązki. Pięły się w górę pnia jak rój śmiercionośnych sztyletów.

Kat uniosła tarczę i rurę.

Głośny łoskot sprawił, że na moment spojrzała na skalną półkę za wodospadem. Potwór musiał się poślizgnąć i spaść z urwiska. Teraz gramolił się, stając z powrotem na nogi.

Kat rozglądała się za Lisą, ale przyjaciółka zniknęła.

Godzina 14.57

Strumień lodowatej wody pozbawił Lisę tchu.

Oślaniała kwilące dziecko najlepiej jak mogła, pochylając się nad nim i tuląc je do piersi, by ogrzać swoim ciałem.

Weszła na skraj półki za wodospadem najdalej jak się dało.

Po pierwszym szoku zrozumiała przesłanie Kat, ale tak naprawdę to owe czarne ślepie stalowego niedźwiedzia — zimne, bezduszne czujniki, za pomocą których rozpoznawał świat — pozwoliły jej rozszyfrować gesty przyjaciółki. Bestia musiała stosować jakąś metodę polowania, obserwacji otoczenia.

Wodospad pozwoli jej się ukryć przed czujnikami stwora.

Spadająca woda zmyli detektory ruchu.

Niska temperatura zamaskuje ciepłotę jej ciała.

Huk ogłuszy go i zakłóci działanie sensorów słuchowych.

Zaryzykowała więc hipotermię — zagrażającą bardziej, niestety, dziecku niż jej — żeby ukryć ich oboje.

Ale czy to zadziała?

Po pokonaniu trzech czwartych drogi w dół urwiska stwór spadł lub zeskoczył. Upadł ciężko, uderzając wielkim korpusem o skalne podłoże, ale potem, poruszając się z niezaprzeczną gracją, ruszył w kierunku jej kryjówek. Musiał zarejestrować, że tam poszła, ale czy wiedział, że nadal tam jest?

Stąpił na odnóżach z wywiniętymi do tyłu szponami, przypominającymi pazury trójpalczastego leniwca. Stawiał każdy krok z namysłem i rozwagą, jak kocur polujący na mysz.

Lisa wsunęła się jeszcze głębiej pod wodospad, pozwalając, by woda całkowicie ją zakryła. Dziecko płakało przy jej mokrej piersi, ale huk kaskady zagłuszał całkowicie jego krzyki.

Podobny do leniwca robot szedł w kierunku wodospadu, kręcąc potężnym łbem, otwierając

wielkie stalowe szczęki i odsłaniając śmiercionośną tytanową paszczę, która wyglądała jak potrzask na niedźwiedzia.

Czarne ślepie wpatrywały się w nią przez grubą ścianę wody, zdając się ją dostrzegać, ale kto wie, co naprawdę widziały?

Robot szedł uparcie naprzód.

Przeźrzenie powietrzna nad Pasmem Błękitnym  
w Appalachach  
Godzina 14.58 czasu miejscowego

Siedząc w ładowni samolotu transportowego C-41A, Painter nie odrywał wzroku od przekazu satelitarnego na ekranie laptopa. Monk przywierał do niego ramieniem, wpatrując się z napięciem w obraz. Ich kobiety były w niebezpieczeństwie — a na razie obaj mogli tylko obserwować bieg wydarzeń.

Tylna rampa w samolocie była już otwarta, w oczekiwaniu, aż wyskoczą na spadochronach. Ale nie byli jeszcze na miejscu.

— Ile zostało czasu?! — zawołał Painter.

— Dwie minuty! — wrzasnął pilot, aby przekrzyczeć ryk wiatru w otwartej ładowni.

Painter wpatrywał się w ekran, wiedząc, że będą to najdłuższe dwie minuty w jego życiu.

## Pasmo Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 14.58 czasu miejscowego

Seichan stała na środku swojej bogato wyposażonej więziennej celi. Cichy łoskot ostrzegł ją przed minutą, że ktoś jest na korytarzu i mocuje się z drzwiami. Najwyraźniej nie znał kodu do zamka elektronicznego.

Zaintrygowana, podniosła się chwilę wcześniej z krzesła przy oknie.

Czy te kłopoty z zamkiem oznaczały coś dobrego, złego, czy były nieistotne?

Podeszła bliżej, przechodząc obok niewielkiego kominka, gdy połowa drzwi i kawałek ściany eksplodowały przed nią. Siła wybuchu odrzuciła ją do tyłu.

Potoczyła się po starym tureckim dywanie, uderzając w nogi łóżka. Przez dym i zgliszcza dostrzegła tors leżącego na korytarzu strażnika. Miał nienaturalnie wykrzywioną szyję — nie od eksplozji. Ktoś dyskretnie go załatwił.

Słyszając dzwonięcie w uszach, Seichan zobaczyła, jak wchodzi cicho do pokoju przez rozbite drzwi sprawczyni tego dzieła zniszczenia — długonoga kobieta z pistoletem w ręce i wyrazem determinacji na twarzy.

Seichan martwiła bardziej broń.

Potrzebowała jej.

Przyczaiła się do skoku.

Znała tę kobietę. To była Petra, współpracowniczka lekarza z Dubaju — ta sama, która wstrzyknęła Grayowi na łodzi środek usypiający.

Seichan, ogłuszona wybuchem, nie dosłyszała jej pierwszych słów. Dopiero po chwili odzyskała słuch.

— ...tak obiecująco — powiedziała Petra. — Należałaś do Linii Krwi, byłaś jedną z nas. Miałaś przed sobą wielką przyszłość.

Seichan nie bardzo rozumiała, o czym ona mówi. Na łodzi w Dubaju podejrzewała, że tę kobietę wychowywano tak jak ją. Świadczyła o tym jej sprawność fizyczna, pewność ruchów, czujne spojrzenie, wyraz wyrachowania na twarzy.

Tylko potwór potrafi rozpoznać innego potwora.

W jej głowie rozbrzmiewały słowa Petry.

*...miałaś przed sobą wielką przyszłość...*

Czy stałabym się podobna do niej?

Nagle przeniknęła ją do szpiku kości jeszcze gorsza obawa.

A może już taka jestem?

Seichan pozostała skulona, ale przesunęła lekko do przodu lewą nogę, by mieć lepsze podparcie do skoku.

Petra to zauważyła. Przełożyła broń i usunęła się na bok, niwecząc przygotowania Seichan, gdyż stanęła w miejscu, gdzie ta nie mogła jej zaatakować.

Mierzyły się spojrzeniami.

— Kiedy nas zdradziłaś, brukając czystość Linii Krwi, stałaś się zużytym przedmiotem, rozbitym naczyniem — powiedziała Petra. — W imię czego? Dla miłości mężczyzny?

Seichan zeszywniała; te słowa trąciły w niej czułą strunę.

Petra musiała wyczuć jej reakcję, bo dodała z pogardą:

— Co za żałosna strata. Lepiej zdechnij jak pies, niż miałabyś tak żyć.

Strzeliła, ale Seichan już była w ruchu.

Kula drasnęła ją boleśnie w bok, kiedy obróciła się, aby stanowić trudniejszy cel. Grzmotnęła Petrę ramieniem w golenie, wyrzucając ją w powietrze, i przekoziółkowała, gotowa sięgnąć po jej broń.

Ale tamta nie upuściła pistoletu. Wylądowała na kolanie, wsparta na drugiej nodze, i wymierzyła broń w twarz Seichan.

W tym momencie Seichan zrozumiała dwie rzeczy.

Jest lepsza ode mnie.

I tym samym gorsza.

Zamknęła oczy — wyobrażając sobie z żalem jedną twarz — gdy pistolet wystrzelił kilkakrotnie w jej kierunku.

I poczuła zimny podmuch powietrza.

...

Kule przebiły pierś Roberta Ganta, gdy rzucił się, by zasłonić Seichan swym potężnym ciałem, jak mur chroniący delikatny kwiat. Jego ból był niczym w porównaniu z dramatem, który mógł się rozegrać, gdyby mu się nie udało.

W tym momencie wślizgnął się do pokoju Gray z automatycznym karabinem martwego strażnika z korytarza. Wystrzelił serię pocisków, powalając Petrę na ziemię — i nie przestał strzelać, dopóki nie opróżnił magazynka.

Dopiero wtedy się odwrócił.

— Seichan... — powiedział, podchodząc do niej.

Robert Gant wiedział, że ten człowiek ją kocha, dostrzegając to w jego oczach.

On też kochał tak kiedyś kobietę. Spotkał ją, gdy był młodym ambasadorem w południowo-wschodniej Azji. Przypomniawszy sobie jej słodką twarz, jaśniejącą w ogrodzie w blasku księżyca, wśród kwitnących wiśni, i jej usta, subtelne jak śpiew drożdży w gałęziach i szmer fontanny.

Ale wspominał zawsze przede wszystkim intensywnie szmaragdowe oczy tej dziewczyny, odzwierciedlające jej jasne wnętrza. W ich zielonkawym kolorze zastygła na wieki jego odwzajemniona miłość.

Przesunął kciukiem po jej policzku, okazując swoje uwielbienie — i w tym momencie przesunął się czas, ale te oczy się nie zmieniły.

Nigdy się nie zmieniają...

Nie wiedział, że wpadł w objęcia Seichan. Dotykał jej delikatnie uniesioną dłonią, co zawsze było mu zabronione.

Teraz mógł już umrzeć.

W ramionach swojej córki.

...

Seichan podtrzymywała Roberta Ganta, nic nie rozumiejąc, zaskoczona łzami w jego oczach. Grad pocisków pchnął go w jej ramiona. Pochwyciła go, człowieka, który poświęcił dla niej życie, choć przedtem ją uwięził.

Dlaczego?

Wpatrywał się w nią w milczeniu, jakby sycił się jej widokiem, i uniósł rękę, by dotknąć jej policzka. O dziwo, pozwoliła mu na to, dostrzegając w jego oczach coś, czemu nie mogła się oprzeć.

Gray wrócił i przyklęknął obok niej.

Zabójczyni nie żyła.

Ta kobieta miała imię, ale tych pięć liter było bez znaczenia.

W końcu stanowiła tylko bezimienną ideę w ludzkiej postaci.

Seichan spojrzała na jej krwawe szczątki, po czym odwróciła głowę, czując się nagle bardziej wolna.

Nie będę tobą.

I jestem przez to silniejsza.

Gray otoczył ją ramieniem.

— Seichan...

Oto była prosta odpowiedź. Miała imię, wypowiedane przez kogoś, kto nadawał mu wagę, głębię, znaczenie i sens.

Ale w tym momencie dowiedziała się też, że ma drugie imię, którego nigdy nie знаła. Usłyszała to od człowieka, który umierał w jej ramionach. Ręka opadła mu bezsilnie, zanim wyszeptał:

— Masz oczy swojej matki... — Wplótł drżące palce w jej dłoń, zapewne wyczuwając, że jest zaszokowana. — Próbowałem cię chronić, ukrywać... trzymać od nich z daleka. — Nie odrywał od niej wzroku. — Ale kiedy zabrano twoją matkę... długo trwało, zanim cię znalazłem. Gdy mi się to udało, nie mogłem pozwolić ci odejść... to był egoizm... ale przyznając się do ciebie, skazałbym cię na śmierć. Więc ukryłem cię w widocznym miejscu, w szeregach Gildii, blisko, ale bez możliwości kontaktu. Byłem ślepy i naiwny, nie przewidując, jak okrutnie cię potraktują i czego później od ciebie zażądata... Wybacz mi...

Seichan nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sięgała pamięcią w przeszłość i przypominała sobie tamtą noc, gdy ukryła się przerażona pod łóżkiem, kiedy wyciągano z domu jej matkę.

Uścisnął jej rękę ostatkiem sił.

Spojrzała na niego, nie mogąc uwierzyć, że jest jej ojcem.

— Twoja matka... — wydusił, otwierając szeroko oczy. Chciał zdążyć wypowiedzieć jeszcze te ostatnie słowa. — Uciekła... przeżyła... nie wiem gdzie... — Kiedy przekazał tę informację, opadł z sił, pogodzony już ze śmiercią. Opuścił powieki i dodał jeszcze ze smutkiem, zaskakująco wyraźnie: — Żaden ojciec nie powinien tracić córki...

Powiedział to i umarł.

Gray przygarnął Seichan do siebie, obejmując ją tak, jak ona obejmowała ojca.

Potem cały świat się zatrzęsł, grzmiało, jakby bogowie ciskali pioruny.

## Pasmo Błękitne w Appalachach

4 lipca, godzina 15.00 czasu miejscowego

Painter szybował wysoko, gdy świat pod nim eksplodował.

Kilka sekund wcześniej czasza jego spadochronu otworzyła się szeroko, jak skrzydło z materiału, szarpiąc uprzężą — a potem cały płaskowyz wybrzuszył się i wystrzelił w górę z głuchym pomrukiem, jakby wybuchły zakopane w ziemi głowice bojowe.

Jego towarzysze wisieli w powietrzu obok niego. Monk i Kowalski kierowali się na skraj urwiska, gdzie znajdowała się Kat. Tucker był kilka metrów niżej, lecąc w kierunku skalnej półki obok wodospadu, na której stała Lisa. Trzymał przy piersi Kaina przywiązanego do ich wspólnej uprzęży.

Pod nogami Paintera rozpadał się cały świat, znikając w ziejącej otchłani pokruszonych skał, ognia i pary. Całe połączenie lasu pochłaniała piekielna czeluść. Dymy i pyły wlatywały ku niebu, spowijając ich chmurą. Fala termiczna siała spustoszenie. Spadochron Paintera wirował dziko i szybował w górę, unoszony rozgrzanym powietrzem.

Krztusząc się, Painter wstrzymał oddech i zakrył twarz ręką, by ochronić oczy.

Manipulował spadochronem, chcąc wyrównać lot, i stracił z oczu swych towarzyszy. Przeżywał już kiedyś taką eksplozję. Wiedział, jakie temperatury wytwarzają bomby termobaryczne, ale nigdy nie był świadkiem wybuchu, który wysadziłby w powietrze tak potężny fragment skorupy ziemskiej.

Smuga dymu i fala rozgrzanego powietrza uniosły się wyżej, ukazując ogrom zniszczeń. W dole rozwarły się bramy piekieł: potężna otchłań, spowita oparami, zionąca ogniem i cuchnąca siarką.

Na jej krawędziach nadal zapadała się ziemia. Osuwały się zbocza, pociągając za sobą drzewa i głązy. Rzeki i strumienie wpadały do czarnej dziury, buchając gejzerami pary. Gigantyczny lej zalewała woda, wrząc i zamieniając wszystko w toksyczną zupę.

Painter zapanował nad spadochronem i zataczając krąg, spostrzegł powykręcane stalowe belki i betonowe bloki — ślady konstrukcji wykonanych przez człowieka.

Pozostałości ogromnej podziemnej bazy.

Nawet te konstrukcje zniknęły powoli w kipieli na dnie leja. Oderwał od niego wzrok, by się rozejrzeć. Trzy pozostałe spadochrony szybowały już niżej. Jego towarzysze radzili sobie z prądami termicznymi lepiej niż on. Urwisko, do którego zmierzali, pozostało nietknięte. Wydawało się teraz wyższe; górowało nad parującym lejem.

— Idę po Kat — zameldował Monk.

— Sram w gacie. — To był Kowalski.

Obaj opadali szybko w kierunku miejsca, gdzie znajdowała się Kat, starając się lecieć ślizgiem i walcząc nadal z nieprzewidywalnymi prądami. Gdyby nie trafili na skraj urwiska, wpadliby w spienioną otchłań.

Painter obrócił się w uprzęży i zobaczył, jak Tucker i Kain lecą w kierunku Lisy.

Jej skalna półka pozostała nienaruszona — i tylko tyle.

Wodospad nadal istniał, ale pod nim nie było już rzeki. Dziewięciometrowa kaskada zamieniła się w strumień wody spadający w mroczne czeluście z wysokości dziewięćdziesięciu metrów. Nieco dalej oderwał się od urwiska potężny fragment i osunął jak bryła topniejącego lodowca w głąb leja.

Półka Lisy też mogła runąć w każdej chwili. Już odpadały od niej kawałki skał.

Ale w tym momencie nie to jej najbardziej zagrażało.

Wodospad nieco zmienił bieg, a ona straciła kryjówkę — i widział ją teraz stalowy potwór. Oboje byli przyczajeni po dwóch stronach skalnej półki.

— Lecę do niej! — przekazał przez radio Tucker.

— Kapitanie Wayne, niech pan wylądjuje u góry i zejdzie po linie.

— Odmawiam. Nie mam już odwrotu. Jestem zbyt nisko, nie dolecę na szczyt. Mogę lądować tylko na tej półce.

Może kłamał, zgrywając bohatera, ale Painter był rzeczywiście wyżej. Miał większą szansę dotrzeć na szczyt urwiska, a ktoś musiał zrzucić na dół liny.

— Zrozumiałem — odparł przez radio, choć cierpiał, że oddala się od Lisy. — Lecę na górę.

Pociągnął spoconą ręką za uchwyt i skręcił w prawo — kierując się na skraj urwiska i wiedząc, że zostało im mało czasu. Po drodze dostrzegł Łożę, zasnutą dymem i trawioną piekielnym ogniem.

Słyszając strzał z pistoletu, spojrział w dół.

Tucker lądował na skalnej półce, strzelając do bestii. Po chwili Painter znalazł się nad skrajem urwiska i stracił z oczu pojedynek człowieka z maszyną.

Godzina 15.03

Tucker potrzebował przestrzeni.

Skalna półka była wielkości boiska do koszykówki. Lisa znajdowała się na jej jednym końcu, a podobna do niedźwiedzia bestia — na drugim. Widząc, jak Tucker nadlatuje, stwór rzucił się w jego kierunku i przysiadł na zakrzywionych pazurach. Poślizgnął się na mokrej powierzchni, wpatrując się w niego ogromnymi obsydianowymi oczami.

Tucker strzelił, ale pocisk odbił się od wzmocnionego pancerza.

Strzały zmusiły jednak bestię, by się cofnęła, dzięki czemu zdążył pomanewrować spadochronem i gładko wylądować. Dotknął ziemi najpierw piętami, potem palcami, po czym padł na kolana, pociągając równocześnie za dwa uchwyty.

Za pomocą pierwszego uwolnił czaszę spadochronu, która poszybowała obok urwiska, wlokąc za sobą liny i uprząż. Ciągnąc za drugi uchwyt, uwolnił Kaina. Jego partner zeskoczył na ziemię, z sierścią zjeżoną na grzbiecie jak włosy na głowie Irokeza.

Tucker wyciągnął drugi pistolet. Dał znak Lisie, ostrzegając ją, by się cofnęła. Bestia przyczała się w całkowitym bezruchu i przyglądała się nowej zdobyczy — ale to nie miało długo potrwać.

Lisa szeroko otworzyła oczy ze strachu, lecz nie w obawie o swoje bezpieczeństwo.

— Dziecko ma szok termiczny — szepnęła.

Cofnął się w jej kierunku, polecając Kainowi stać na straży.

Pies i robot wpatrywali się w siebie nieufnym wzrokiem.

Lisa, przemoknięta do suchej nitki, trzymała w mokrym zawiniątku niemowlę, które było



sine i nie wydawało głosu.

Tucker zaklął w duchu.

Nie mam zamiaru znów stracić tego dziecka.

Potwór zaszarżował, stukając o skałę stalowymi odnóżami. Posypały się spod nich iskry. Pędził wprost na nich. Tucker uniósł pistolet, zdając sobie sprawę, jak bezużyteczna okazała się ta broń, i wiedząc, że bestii nic nie powstrzyma, ale był gotów bronić się do upadłego.

I nie tylko on.

*Kain trwa w bezruchu. Widzi, jak on się zbliża. Cuchnie olejem, smarem i piorunami, ale rozpoznaje w nim myśliwego. Bo sam też nim jest. Postrzega świat tak jak on.*

*Ustawia się pod wiatr, wężąc...*

*Obraca się tam, skąd dochodzi chrzęst głosów i kroków...*

*Mruga czarnymi ślepiami na widok łopoczącej tkaniny i splątanych lin...*

*Potrafi także myśleć i porusza się tylko wtedy, gdy jest już gotowy, wybrawszy najsłabszego przeciwnika.*

*Tak jak teraz.*

*Idzie po niego — bo to szczeniak, nowy na tym świecie.*

*Kain reaguje szczekaniem na jego szarżę, podchodząc go z boku. Prowokuje go, by się odwrócił i zaatakował. Jest szybki, potężny, ale w końcu młody.*

*Nie tak jak on.*

*On biegł już po gorących piaskach, twardym asfalcie, sykim śniegu, żwirowych drogach i po śliskim lodzie.*

*Przeglądał się temu myśliwemu, widział, jak ślizga się, sypiąc iskry spod nóg.*

*— Kain! — krzyczy jego partner.*

*Słyszy w tym głosie nutę strachu, nie ton rozkazu.*

*Kain biegnie więc prosto na skraj skalnej przepaści. Wróg pędzi za nim niezdarne, uderzając stalowymi odnóżami o kamienne podłoże. Kain dociera do krawędzi i zatrzymuje się błyskawicznie, trąc boleśnie łapami o chropowatą powierzchnię — a potem się odwraca. Ponieważ wie, że może.*

*Nie jest młody.*

*Ma pod nogami skałę.*

*Prześlizguje się na bok.*

*Jego przeciwnik jest młody. Kamień to dla niego lód.*

*Tego się jeszcze nie nauczył.*

*Kain okręca się na tylnych łapach i patrzy, jak stwór mija go ślizgiem, sypiąc iskrami — i spada w przepaść.*

*Bo nie zdążył się nauczyć.*

*I już nie zdąży.*

Tucker przyklęknął, gdy Kain przybiegł do niego z powrotem, i uściskał go z dumą, wiedząc, że ocalił im życie. Kule nie powstrzymałyby szarży tego stalowego monstrum. Nie zdołaliby się przed nim obronić i zginęliby wszyscy troje. Ani Tucker, ani Lisa nie byli dość przebiegli, by wykorzystać pierwotne instynkty bestii przeciwko niej i doprowadzić do jej śmierci.

Kain wsunął Tuckerowi łeb między nogi, domagając się pochwały.

— W porządku, stary. Świetnie się spisałeś.

Ale ogon psa był opuszczony.

Tucker wiedział, że psy mają równie bogate życie wewnętrzne jak ludzie. Postrzegają świat inaczej, ale odczuwają go głęboko.

Domyślał się, co czuje Kain. Porozumiewali się nie tylko za pomocą gestów i rozkazów.

Wyrzuty sumienia i żal.

Kain nie cieszył się, że uśmiercił tego stwora.

— Musiałeś to zrobić — powiedział Tucker.

Kain o tym wiedział.

Ale nie podniósł ogona.

Godzina 15.06

Edward Blake nie znosił tego pociągu.

Siedział z kilkunastoma innymi członkami personelu laboratorium i strażnikami w pojedynczym wagonie w mrocznym tunelu, oświetlonym jedynie zasilaną z akumulatora lampą awaryjną. Odległy odgłos eksplozji dawno już ucichł.

Ale szkody pozostały.

Wysiadł prąd i pociąg stanął. Jeden z pasażerów, ubrany w mundur strażnika, sprawdził licznik. Przejechali niecałe czternaście kilometrów — brakowało prawie półtora do Łoży.

Blake przymknął oczy i potarł skronie.

— Powinniśmy pójść pieszo — padła propozycja.

— A jak przywrócą zasilanie?

— Nie będziemy szli po torach.

— Tu jesteśmy bezpieczniejsi.

Och, zamknijcie się, do cholery! — pomyślał.

— Cisza! — zawołał ktoś z tyłu wagonu, dzieląc jego odczucia.

W końcu jakiś głos rozsądku.

— Posłuchajcie! — powiedział ten sam mężczyzna.

Wtedy Blake usłyszał głuchy łoskot, coraz głośniejszy, jakby zbliżał się do nich w tunelu drugi pociąg. Po chwili rozległo się wymowne bulgotanie.

Woda.

Wstał, podobnie jak wszyscy, i przeszedł na tył wagonu. Tunel nikał w ciemnościach, oznakowany jedynie co pięćdziesiąt metrów małymi czerwonymi lampkami.

Nagle zobaczyli potwora, który pożerał je jedną po drugiej. Gnała w ich kierunku potężna fala. Prawie wszyscy zaczęli krzyczeć. Jeden z mężczyzn wyskoczył z wagonu, zamierzając uciec przed potopem.

Głupiec.

Blake przytknął rękę do szyi i opadł na ławkę. Nie chciał na to patrzeć. Pracował przez lata w podwodnym laboratorium w Dubaju, a teraz miał utonąć w tych cholernych górach, wysoko nad poziomem morza.

Chociaż nie widział, jak fala, odliczając ostatnie sekundy jego życia, pochłania kolejne światła, wyczuwał nadchodzącą śmierć. Kilka osób klęczało na podłodze, modląc się.

Jeszcze więksi głupcy.

Po tym wszystkim, co robili w laboratorium, Bóg był z pewnością głuchy na ich błagania o ratunek.

Łoskot przeszedł w potężny grzmot i w tył wagonu uderzyła ściana wody, pozbawiając wszystkich równowagi, ale pchając wagon po szynach do przodu!

Ludzie podźwignęli się na nogi, łapiąc za uchwyty.

Woda tryskała przez szczeliny i spojenia, ale hermetyczny wagon był w tunelu jak pocisk w lufie karabinu.

Nikt się nie odzywał, bojąc się wyrażać głośno nadzieję.

Umilkły nawet modlitwy — wznoszący je ludzie porzucili już swojego Boga.

Ktoś z przodu zawołał głośno, by przekrzyczeć ryk bestii, która pchała ich naprzód:

— Przed nami piwnica! Widzę światła!

Tajna stacja.

Jechali zbyt szybko.

— Czy tu jest ręczny hamulec?! — krzyknął Blake.

Strażnik pospieszył do przodu.

— Tak!

Blake podążył za nim. Przed nimi rzeczywiście było światło: potężna luna pożaru.

Strażnik zrezygnował z hamowania i usiadł.

Edward zrobił to samo.

Chwilę później wagon wpadł z impetem w sam środek piekła. Woda wdarła się do labiryntu piwnic, zamieniając się w parę. Wokół szalał ogień. Resztką powietrza, która im pozostała, przydała się tylko, by napełnić płuca do krzyku — zanim powoli spłonęli.

Godzina 15.08

Kat uchwyciła się szyi męża, gdy niósł ją w ramionach.

Krew płynęła jej z licznych ran, płytkich i głębokich, które odniosła podczas walki z latającą hordą pada w kształcie hełmu.

Odpierała ataki, gdy Monk i Kowalski wylądowali, odczepili spadochrony i przyszli jej z pomocą. Spadła niemal z drzewa prosto w ramiona Monka. Pochwycił ostatnich kilka podów w powietrzu swą protezę, szybko rozprawiając się z nimi miazdzącym uściskiem twardej syntetycznej skóry.

Powiedziała mu, że przydałoby się jej coś takiego.

— Jeszcze niewiele widziałś — odparł.

Biegli teraz razem przez las, ścigani przez chmurę podów, stworów wszelkiej maści. Z powodu utraty krwi i wycieńczenia walką Kat widziała świat jak przez mgłę.

Kowalski strzelał, pędząc za nimi i trzymając pody na dystans, ale było ich zbyt wiele. Jak mrówki wynurzające się z zatopionego mrowiska pełzły, skakały, wirowały, ryły w ziemi i wlatywały w powietrze, zostawiając w tyle pobojuwisko.

— Tam! — zawołał Monk do Kowalskiego, gdy wypadli na rozległą łąkę.

Granitowa skała o stromych zboczach stanowiła dobry punkt obrony. Pobiegli w jej kierunku.

Niesiona przez męża Kat widziała, jak drapieżcy wybiegają ze wszystkich stron z lasu, pędząc ku nim wśród traw. Były ich setki.

Monk zaczął biec szybciej. Kowalski dorównywał mu kroku.

Po dotarciu do skały wsadzili na nią Kat, po czym sami się tam wdrapali.

Gdy zbili się w gromadę, napastnicy zaczęli wspinać się na kamienną wysepkę; wchodzili na siebie wzajemnie, by dostać się na górę, tworząc jakby żywy most.

Atak nastąpił również z powietrza. Chmary latających podów wyfrunęły z trawy jak spłoszone stado wron. Utworzyły piękny, uporządkowany krąg, do którego dołączały kolejne osobniki, gromadząc siły przed ostatecznym natarciem.

Szybko się uczą.

Jeden z bączków zaatakował od dołu, uderzając w skałę obok stopy Kowalskiego, który odskoczył do tyłu, omal nie spadając ze skarpy w kłębowisko śmiercionośnej stali.

— To byłby idealny moment — rzucił.

Na co? — zastanawiała się Kat.

— Możesz wstać? — spytał ją Monk.

— Tak — odparła, choć nie była o tym przekonana.

Podniósł ją na nogi.

— Trzymaj się mnie — polecił.

Zawsze, pomyślała.

Monk pomanipulował przy protezie i ściągnął ją z ręki, poruszając nadal jednym palcem.

Kat uniosła brwi.

— Co ty...?

Rzucił protezę wysoko w powietrze. Gdy śledziła wzrokiem jej lot, Monk chwycił ją za podbródek i zaczął całować w usta, zginając palec.

Nad nimi rozległa się w powietrzu głośna eksplozja.

Monk odsunął się od Kat, uśmiechając się do niej.

— Ręka Boga, kochanie.

Rozejrzała się. W dole nic się nie poruszało.

Latające pody spadły ciężko na ziemię jak stalowy deszcz.

— Miniaturowy EMP — wyjaśnił jej mąż. — O promieniu rażenia stu metrów.

Impuls elektromagnetyczny... stosowany do unieszkodliwiania elektroniki.

— Painter kazał mi się w to zaopatrzyć, gdy okazało się, jakie zabezpieczenia mają w Dubaju. Przypuszczał, że w Łoży może być podobnie, i chciał, żebyśmy byli przygotowani.

Kowalski spojrział wilkiem, obmacując kieszenie w poszukiwaniu cygara, i w końcu jedno wydobył.

— Chyba jednak nie spodziewał się takiej apokalipsy robotów.

Kat objęła męża ręką za szyję, po części dlatego, że potrzebowała oparcia, ale przede wszystkim dlatego, że chciała.

— Co teraz?

Monk zerknął na zegarek.

— Cóż, załatwiłem opiekunkę do dzieci na całą noc. Co miałaś na myśli?

— Szwy.

Uniósł lubieżnie brew.

— Chcesz się zabawić w lekarkę, tak?

Kowalski opadł ciężko na skałę.

— Znajdźcie sobie miejsce.

Monk podniósł rękę i przyłożył ją do ucha, najwyraźniej odbierając przez radio jakąś wiadomość. Jego słuchawka musiała być zabezpieczona przed działaniem nadajnika EMP. Uśmiechnął się szeroko.

— Będziemy mieli towarzystwo.

Godzina 15.25

Gray z rykiem silników uniósł śmigłowiec nad łąką. Obracające się śmigła poruszyły trawy, odsłaniając stalowe pobojuwisko.

Pomógł już ludziom Paintera zejść ze skały. Lisa opatrywała rany Kat, a dziecko Amandy, wytarte do sucha i owinięte w ciepły koc, krzyczało, domagając się następnego posiłku.

Painter rozmawiał przez telefon z Gwardią Narodową, rozkazując, by użyto nadajników EMP do zniszczenia ewentualnych maruderów. Ale najpierw zadzwonił do prezydenta, meldując, że jego wnuk, William, został szczęśliwie uratowany. Poruszono więc góry, by zadośćuczynić za to, co się wydarzyło.

Ale niektóre sprawy trudniej było załatwić.

Seichan siedziała w fotelu drugiego pilota, milcząc i nadal przetrawiając to, czego się dowiedziała. Szok, jaki wywołała wiadomość o tożsamości jej ojca, widać było nadal na jej twarzy i w udręczonym spojrzeniu.

Gray wyciągnął do niej rękę.

Uścisnęła ją.

Uciekli z zamku po eksplozji bomby termobarycznej w podziemiach pod Lożą. Korzystając z zamieszania, zarekwirowali śmigłowiec, ten sam, którym dostarczono Graya w to miejsce. Komandor skontaktował się z dowództwem Sigmy i gdy połączono go z Painterem, dowiedział się, że dyrektor jest na miejscu — i nic mu nie grozi.

Ciesząc się z udanej ucieczki, Gray zatoczył śmigłowcem krąg nad kipiącym lejem. Wypełniał się szybko wodą, zamieniając się w nowe jezioro. Gdy nad nim przelatywał, zobaczył, jak coś wyłania się z tunelu w połowie wysokości urwiska. Stwór był wielkości dużego czołgu. Sunął naprzód jak pająk wypełzający z gniazda, objając się o ściany i ciągnąc za sobą przewody. Brakowało mu fragmentów pancerza i wyglądał jak niekompletne monstrum napędzane tylko wolą życia, chęcią przetrwania.

Wyszedł na słońce, rozkoszując się tą chwilą.

Potem stracił grunt pod nogami i runął w bulgocące bagno.

## Przestrzeń powietrzna nad Wschodnim Wybrzeżem

4 lipca, godzina 16.10 czasu miejscowego

Odrzutowiec śmigał w przestworzach w drodze powrotnej do Waszyngtonu.

Gray siedział z dala od pozostałych. Każdy zrelacjonował z grubsza, czego się dowiedział na temat nieśmiertelności, drzew genealogicznych i badań nad współczesną bronią. Ale w miarę jak snuli swoje opowieści, komandor czuł coraz większy niepokój.

Seichan wślizgnęła się na sąsiednie miejsce, odzyskawszy już równowagę, a nawet energię, lecz nadal widział jej chmurne spojrzenie, choć nie dostrzegał tego nikt inny. Gdy zdawali swoje raporty, zauważył, że nie wspomniała ani słowem o jednym istotnym odkryciu związanym z odnalezieniem dawno zaginionego ojca: o tym, że jej matka może nadal żyć.

Na razie pragnęła zachować ten szczegół w tajemnicy i chciał to uszanować.

— O co chodzi? — spytała, nachylając się ku niemu.

— Myślę, że coś przeoczyliśmy. — Pokręcił głową, nie wiedząc, jak wyrazić to słowami.  
— Czegoś mi tu... brakuje.

— Więc zastanów się. To twoja praca, prawda? Ułożyć łamigłówkę, której fragmenty wydają się do siebie nie pasować, choć w rzeczywistości tak nie jest.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Może tym razem naprawdę nie pasowały.

Zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę, wzdychając ciężko. Przytuliła policzek do jego ramienia. Instynktownie wziął ją za rękę, muskając delikatnie kciukiem jej nadgarstek. Nie musieli nic mówić. Oboje wiedzieli, że tak ma być.

Tu wszystko pasowało.

Gray poczuł się zrelaksowany, zadowolony po raz pierwszy od miesiący, bardziej spokojny — wszystko układało mu się w głowie na swoim miejscu, jakby zawsze tak było.

Nagle wyprostował się w fotelu.

Seichan spojrzała na niego.

— Co?

— Żydowska tradycja. Robert Gant mówił mi o niej. Przez cały czas byliśmy w błędzie. To nie Gantowie... To nigdy nie byli oni.

Wstał i pociągnął ze sobą Seichan. Podeszedł pospiesznie do Painterera, który pracował przy swoim laptopie.

— Może pan ściągnąć na ekran to drzewo genealogiczne Gantów, które pokazywał nam pan wcześniej? I będę potrzebował pomocy Jasona Cartera, żeby coś sprawdził.

Dyrektor Sigmy skinął głową, nie pytając o powody; wiedział, że to działka Graya.

Pozostali zgromadzili się w pobliżu.

W ciągu paru sekund na ekranie pojawił się ponownie szczegółowy schemat bogatych rodzinnych koligacji Gantów. Składał się z punktów, oznaczających każdy konar, gałąź, gałązkę, korzeń i pęd ich drzewa genealogicznego. Środkowa część obrazu, z największym skupiskiem

danych, przedstawiała ludzi noszących nazwisko Gant.

Ale oni Graya nie interesowali.

— Jest Jason — rzucił Painter.

Z wewnętrznych głośników laptopa rozległ się głos analityka:

— W czym mogę pomóc, komandorze Pierce?

— Chcę, żebyś przesunął obraz w dół i pokazał mi peryferie tego drzewa genealogicznego.

— Już się robi.

Na ekranie ukazała się zewnętrzna spirala galaktyki, mglista siatka koligacji, nitek, które znikwały gdzieś w przestrzeni, a potem znów się pojawiały, plotąc nieustannie nowe wątki na obrzeżach rodowodu Gantów. Te łukowate linie oznaczały sytuacje, gdy pojedyncze osoby porzucały klan i przybierały na kilka pokoleń inne nazwiska, a potem ich potomek wznosił się z powrotem w rodzinę.

Painter nazywał tych ludzi „odszczepieńcami”, bo byli jak szczepy odrastające daleko od głównego pnia drzewa.

— Czego pan szuka? — spytał.

— Podejrzywał pan, że jest w tym schemacie jakaś prawidłowość, którą pan wyczuwał, nie potrafiąc jej uchwycić.

— Tak, ale jakie to ma teraz znaczenie? Robert Gant nie żyje. Możemy zrobić ze wszystkim porządek.

— Robert Gant nigdy nie stanowił problemu. Uważał się za króla albo przynajmniej wysokiej rangi namiestnika, a w istocie był marionetką, tak jak wszyscy, wykorzystywaną przez Linie Krwi, dopóki nie przecięli jej sznurków.

Gray uświadomił sobie w tym momencie coś jeszcze i ułożył w myślach ostatnie fragmenty łamigłówki.

— Sądzę, że Robert Gant już się buntował przeciwko tym anonimowym władcom lalek. Przypuszczam, że to on napisał do Amandy, żeby uciekała.

Przypomnił sobie jego ostatnie słowa.

*Żaden ojciec nie powinien tracić córki...*

Miał na myśli i prezydenta, i siebie. Robert wiedział, jakim piekłem jest utrata córki. Nie chciał pozwolić, by jego brat cierpiał tak jak on, więc próbował chronić Amandę.

— Więc co pan myśli? — spytał Painter.

Komandor wskazał na ekran.

— Miał pan rację, tu jest pewna prawidłowość. Ale szukaliśmy jej wszyscy, patrząc na sprawę jednostronnie, z patriarchalnego punktu widzenia, gdzie linię krwi określają mężczyźni potomkowie, bo chłopcy noszą nazwiska ojców. To właśnie przedstawia ten schemat.

— Zgadza się.

— Ale istnieje jego lustrzane odbicie, inny sposób patrzenia na genealogię rodu. Robert Gant wspominał, że Linia Krwi wywodziła się z klanów wypędzonych przez Mojżesza. Bez względu na to, czy to prawda, jego zdaniem pielęgnowali nadal pewne żydowskie tradycje. — Gray odwrócił się do Lisy. — Mówiłaś, że potrójna helisa może być dziedziczona tylko po kądzieli. Pochodzi zawsze od matki, ze względu na to, że łańcuch PNA znajduje się w cytoplazmie.

Lisa skinęła głową.

— To dlatego odrzucili wszystkie inne drogi do nieśmiertelności i skoncentrowali się na tej jednej. Miała bezpośredni związek z symbolami na lasce Chrystusa i pasowała do tego, czego

pragnęli. Była zgodna z ich tradycjami i celami.

— To znaczy? — spytał Painter.

Gray wskazał na ekran.

— Lustrzanym odbiciem patriarchalnego podejścia do kwestii dziedziczenia jest matriarchat. Zgodnie z Miszną, najstarszym kodeksem żydowskiego prawa, by być uważanym za Żyda, trzeba być dzieckiem żydowskiej matki. Nie ma znaczenia, kto jest ojcem. Dziedzictwo krwi przekazuje tylko kobieta.

Ale Gray potrzebował dowodu.

— Jason, czy możesz rozdzielić dwie płcie na tym schemacie? Zaznaczyć mężczyzn i kobiety.

— To proste. Dane są już wprowadzone... zastosuję tylko algorytm. — Po kilku sekundach odezwał się ponownie. — Oto męskie linie rodu.

Na oczach wszystkich genetyczną galaktykę rozświetliły błękitne nitki, układając się w wyraźny wzór. Większość z nich skupiała się i splatała w centrum, tylko kilka wychodziło na zewnątrz, w kierunku mglistej otoczki drzewa genealogicznego.

— A teraz żeńska linia krwi — poprosił komandor.

Niebieska siatka zniknęła i zastąpiła ją szkarłatna. Mgławica wokół głównych gałęzi klanu Gantów zajaśniała czerwoną poświatą.

Painter wciągnął gwałtownie powietrze.

— Niemal wszystkie te zewnętrzne linie oznaczają kobiety.

Gray przyjrzał się dokładniej, śledząc jedną ze szkarłatnych nitek.

— Kobieta opuszcza klan Gantów i kilka pokoleń później również kobieta wraca dzięki małżeństwu na łono rodziny. Rzadko mężczyzna. — Przyszła mu do głowy kolejna myśl. — Jason, możesz zaznaczyć tylko zewnętrzne linie, zobaczyć, jak głęboko sięgają do korony drzewa?

— Chwileczkę... gotowe. Proszę bardzo.

Obraz zmienił się i pozostała tylko szkarłatna mgławica na obrzeżach ekranu. Widać było wyraźnie kolejną prawidłowość. Tylko kilka czerwonych linii wnikało w głąb drzewa genealogicznego, na jedno lub dwa pokolenia, po czym znów się od niego oddalały.

Painter również to dostrzegł.

— Wygląda na to, że uzupełniają geny, a potem się wycofują. — Spojrzał na Graya, rozumiejąc nagle, o co chodzi. — Są jak pasożyty, jak wysysające krew muchy. Krążą nad studnią bogactwa i władzy Gantów, regularnie czerpiąc z niej pokarm, aby przetrwać, ale żyją w odosobnieniu.

Idealna definicja odszczepieńca.

Painter wskazał na ekran.

— To nie przypadek, lecz celowe działanie. Dla podtrzymania żeńskiej linii rodu.

— Ale po co? — spytała z za jego pleców Lisa.

— To zapewne jedyny sposób, by zachować tę linię w świecie, gdzie majątek przekazuje się pierwotnemu synowi, a władzę sprawują głównie mężczyźni — odpowiedział Gray. — Aby przetrwać w tym świecie, kobiety się przystosowały. Zaczęły pasożytować na konkretnych rodach. Pamiętajcie, że Linia Krwi obejmowała kiedyś nie tylko Gantów. Manipulowali tak samo pięcioma czy sześcioma bogatymi europejskimi klanami. Być może te pasożytnicze muchy żywiły się na przemian krwią różnych rodów, aby lepiej się ukryć.

— Nie chcieli wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka — podsumował Monk.



Komandor przyznał mu rację.

— Ale z czasem te inne rody wymarły i pozostała tylko rodzina Gantów. Wiemy, że w przeszłości Linia Krwi próbowała zwerbować nowe rodziny, ale w dzisiejszych czasach, gdy niełatwo jest się ukryć, a rodzinny majątek zdobywa się często i traci w ciągu dwóch pokoleń, spotkała ich porażka.

Painter, wyraźnie pobladły, oparł się o krzesło.

— I pozostali im tylko Gantowie.

— Z których wysysają ostatnie soki, wiedząc zapewne, że niczym ich nie mogą zastąpić. Chyba dlatego prowadzili te swoje eksperymenty. Szukali sposobów, by podtrzymać swoją Linie Krwi, by zapewnić jej nieśmiertelność.

Lisa odezwała się zdławionym z przerażenia głosem:

— To dlatego robili doświadczenia z potrójną helisą, która może być dziedziczona tylko po kądzieli. I byli bliscy sukcesu.

— Myślę, że ten sukces, wraz z naciskiem ze strony Sigmy, skłonił ich do wykonania mistrzowskiej zagrywki. Zaplanowali ostateczne uderzenie, które miało im zapewnić władzę na wiele pokoleń.

— Zamach na prezydenta — stwierdził Painter.

— I zabójstwo jego brata. Linia Krwi miała już dość podgryzania Gantów. Chcieli pożreć ich w całości, przejmując cały ich majątek i władzę.

— Ale im się nie udało.

— I dlatego musimy się bać — ostrzegł Gray. — Ta Linia przetrwała stulecia, żyjąc w pustych przestrzeniach między innymi rodami, robiąc wszystko, aby przeżyć, wyzbywając się człowieczeństwa.

— I są w tym doświadczeni — dodała Seichan, zapewne przypominając sobie Petrę. — Nie poddadzą się łatwo. Zostawią za sobą zgliszcza. Nie z zemsty, są na to zbyt wyrachowani. Po prostu skorzystają na tym w dłuższej perspektywie. Zatrą ślady ucieczki.

— Ale jak ich znajdziemy? — spytał Painter.

Gray wskazał głową na szkarłatne linie.

— Zaczniemy od tego. Nie wiedzą, że o tym wiemy. — Skinął ręką w kierunku siatki na ekranie. — Szarpniemy za te nici i miejmy nadzieję, że wszystko się spruje.

— Może uda się jakoś ustalić, za które nitki najlepiej pociągnąć. — Painter nachylił się do mikrofonu w laptopie. — Jason, możesz sprawdzić, które z tych bocznych linii sięgają najdalej w przeszłość? Innymi słowy, które świadczą o najbogatszym dziedzictwie genetycznym?

— To zajmie trochę więcej czasu.

Painter zwrócił się do Graya:

— Sądząc z tych ogromnych baz danych, które widział pan w Loży, dziedziczność miała dla nich duże znaczenie. Może Linia Krwi łączy władzę z genetyką? Im więcej dziedzicysz, tym silniejsze sprawujesz rządy. Jeśli prześledzimy te nici władzy...

— Gotowe — zameldował Jason. — Pogrubione linie na ekranie wskazują na bogatsze dziedzictwo.

Sieć szkarłatnych nitek zaczęła powoli zmieniać kształt — niektóre stawały się cieńsze, inne grubsze.

Gdy proces ten się zakończył, Painter poprosił Jasona, by wybrał najgrubszą linię i prześledził jej przebieg do dzisiejszych czasów. Powinna wskazać, kto w obecnym pokoleniu sprawuje władzę.

Niewielki kursor przesunął się wzdłuż grubej linii i znieruchomiał przy pojedynczym nazwisku na jej końcu. Jaśniało na ekranie, widoczne jak na dłoni.

— O kurwa... — zaklął Kowalski, wyrażając uczucia ich wszystkich.

Gray przypomniał sobie zniekształcony komputerowo głos, który zlecał mu przez radio dokonanie zabójstwa. To była osoba, która przez cały czas manipulowała wydarzeniami. Linia Krwi nie planowała zlecić misji pocieszenia zranionego narodu i objęcia stanowiska prezydenta Robertowi Gantowi.

Miał to zrobić kto inny.

Nazwisko tej osoby jaśniało na ekranie.

Teresa Melody Gant

Rozpaczająca wdowa miała poruszyć czułe struny w sercach obywateli i przejąć funkcje zmarłego męża.

Ale nie była to jeszcze najgorsza wiadomość.

— Panie dyrektorze — powiedział Jason. — Ona jest tutaj. Pierwsza Dama przybyła pięć minut temu ze swoją obstawą z tajnych służb.

— Co?

— Wezwał ją prezydent. Za godzinę ma wyjść z ukrycia. Chciał, żeby żona dowiedziała się pierwsza, że ocalał, i usłyszała to od niego, ale chciał też podzielić się z nią dobrymi nowinami na temat Amandy i dziecka.

— Gdzie ona jest?

— Na dole, panie dyrektorze, razem z nimi. A jej obstawa to same kobiety. Moim zdaniem...

Przerwały mu głuchoe odgłosy wystrzałów.

Waszyngton

Godzina 16.55 czasu miejscowego

Stojąc przy szpitalnym łóżku, na którym leżała jego córka, prezydent James T. Gant objął żonę, rozdarty między żalobą i radością. Opłakiwał stratę brata, ale poczuł ulgę na wieść, że jego wnuk żyje i jest bezpieczny.

Głośne odgłosy wystrzałów dochodzące z korytarza wyrwały go z ramion Teresy.

Co, do cholery?

Był w pokoju sam z żoną i śpiącą córką. Kazał osobistemu ochroniarzowi wyjść na zewnątrz, aby mieć chwilę prywatności.

Nagle zobaczył w ręku żony wycelowanego w jego pierś czarnego SIG sauera i uświadomił sobie, że popełnił błąd.

— Tereso...?

Spojrzał jej w oczy i zrozumiał w tym momencie, że stojąca przed nim kobieta nie jest jego żoną. Wyglądała tak samo, ale była innym człowiekiem. Z jej twarzy opadła maska, a oczy stały się lodowato zimne. Nawet jej rysy nieco się zmieniły, jakby była woskową figurą tej miłej dziewczyny, która kiedyś zdobyła jego serce.

Stała przy nogach łóżka Amandy w obronnej pozycji.

— Jimmy — powiedziała zmienionym głosem, bezbarwnym i obojętnym, wskazującym, jak doskonale była aktorką. — Wszystko zepsułeś.

W tym momencie uświadomił sobie całą prawdę.

— Należysz do Linii Krwi. Jak mój brat.

— Robert był nikim. Nie wiedział o moim zaangażowaniu. Był tylko użytecznym narzędziem. Przykrywką, niczym więcej. Linia Krwi przetrwa. Jak zawsze. To nasz przywilej. Wywodzimy się z rodu zesłańców, wygnanych na pustynię, ale wciąż żyjemy.

Prezydent stał oszołomiony.

— I nie wszystko straciliśmy — ciągnęła. — Dałeś nam Amandę. Jest uparta i nieprzewidywalna, więc do nas nie pasuje, ale najwyraźniej los jej sprzyja. Nie udało nam się z jej pierwszym dzieckiem, ale urodzi następne, aż przyjdzie na świat dziewczynka, która wyprowadzi nas z pustyni i będzie silniejsza niż ktokolwiek.

Prezydent postąpił krok naprzód, zdając sobie sprawę, że zamierzają porwać Amandę. Przypomniał sobie kobiety zanurzone w zbiornikach.

Teresa cofnęła się w kierunku krawędzi łóżka, wciąż czujna.

— Ale najpierw, żeby otworzyć nam z powrotem drogę na pustynię, gdzie będziemy mogli się ukryć — wycelowała pistolet w jego twarz — potrzebujemy chaosu.

Na przykład martwego prezydenta.

— Żegnaj, Jimmy.

— Żegnaj, Tereso.

Cofnął się, gdy Amanda — która usiadła na łóżku za plecami Teresy — zamachnęła się stojakiem od kroplówki i uderzyła matkę w skroń jego podstawą.

Rozległ się trzask pękającej kości i Teresa upadła z wyrazem zdumienia na twarzy. Z nosa chlusnęła jej krew.

Była to pierwsza prawdziwa emocja, jaką okazała, odkąd wyciągnęła broń.

Jimmy sięgnął po pistolet, uświadamiając sobie, że strzelanina na korytarzu ustała. Gdy zaczął się pochylać, drzwi otworzyły się na oścież. Odwracając się, modlił się w duchu, by byli to jego ochroniarze, którzy ocalili z zasadzki.

Ale nie miał dobrego dnia.

Do pokoju wpadły dwie umundurowane kobiety, celując do niego z broni.

Obstawa Teresy.

Znieruchomiały, gdy zobaczyły ją na podłodze.

Na korytarzu za ich plecami prześlizgnął się na kolanach, obok opryskanych krwią drzwi, jakiś człowiek z pistoletem.

Oddał dwa celne strzały.

Pociski trafiły obie kobiety w tył głowy.

Potem zniknął z pola widzenia.

Amanda siedziała nadal na łóżku, trzymając stojak od kroplówki.

— Kto to był?

Jimmy przypomniał sobie twarz młodego analityka. Nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział o nim jedno.

— To mój nowy najlepszy przyjaciel.

Waszyngton

12 lipca, godzina 10.10 czasu miejscowego

Painter stał przy nogach łóżka Amandy w Szpitalu Uniwersyteckim imienia Jerzego Waszyngtona. Obejmował Lisę w talii, gdy przeglądała kartę swojej pacjentki. Matka i dziecko zostały tam przewiezione przed tygodniem, wkrótce po ujawnieniu, że prezydent cudem ocalał po zamachu na jego życie.

James Gant był w tym samym szpitalu, dwa piętra wyżej, w osobnym strzeżonym skrzydle, gdzie rzekomo przechodził rekonwalescencję po operacji. Miały tam wstęp tylko osoby, które znały prawdę. Pozostawało tajemnicą, kto strzelał, co było pożywką dla teorii spiskowych na temat zabójstw prezydentów.

W Karolinie Południowej utrzymywano w sekrecie fakt, że rodzinna rezydencja Gantów uległa zniszczeniu, i nie pokazywano jej nikomu, gdyż obowiązywał tam zakaz lotów. Według oficjalnej wersji w górach na terenie ich posiadłości powstał naturalny lej, czemu towarzyszył silny wstrząs, który spowodował wyciek gazu i eksplozję w Łoży. Raport o bohaterskiej śmierci Roberta Ganta — który zginął w ogniu, próbując ratować ludzi — pomógł odwrócić uwagę od prawdziwego przebiegu wydarzeń. Wyselekcjonowana zaprzysiężona jednostka Gwardii Narodowej nadal oczyszczała teren z martwych podów.

Lisa skończyła w końcu przeglądać karty Amandy i Williama.

— Zadowolona? — spytał Painter.

— Chyba wszystko w porządku.

Nie mogła się oderwać od pracy, czując się osobiście odpowiedzialna za tego chłopca. Zajmował się nim zespół genetyków, alergologów i neonatologów, którzy nadzorowali jego rozwój. Pozbywał się resztek PNA, stając się normalnym dzieckiem. Wszelkie reakcje alergiczne uważnie obserwowano i łagodzone.

Ale nie tylko ona troszczyła się o jego zdrowie.

— Kiedy wyjeżdżacie? — spytała Amanda, trzymając śpiące niemowlę w ramionach.

Tucker siedział obok jej łóżka, trzymając pod łokciem dużego pluszowego psa, prezent dla dziecka.

— Jutro rano. Lecę z Kainem do Rosji.

Kain uniósł jedno ucho, nie odrywając jednak ani na chwilę głowy od koca na łóżku, przyglądając się uważnie mimice drzemiącego niemowlęcia i co jakiś czas wciągając w nozdrza zapach jego śpiochów.

— Proszę koniecznie nas odwiedzić, jeśli będzie pan kiedykolwiek w Charlestonie.

— Chętnie. — Tucker wstał, ucałował opuszki swoich palców i dotknął nimi delikatnie główki dziecka.

Amanda odsunęła niemowlę na bok i podniosła rękę, chcąc go uściskać. Starał się, by trwało to krótko, ale objęła go mocno, z typowym dla Gantów uporem, i pocałowała w policzek.

— Dziękuję.

Wyprostował się, czerwieniejąc na twarzy.

Painter i Lisa również się pożegnali. Lisa wyszła na korytarz, by porozmawiać z lekarzami w dyżurce.

Painter został sam na sam z Tuckerem i spróbował jeszcze raz.

— Sigmie przydałaby się pańska pomoc. I Kaina. Czeka nas mnóstwo pracy, żeby rozprawić się z niedobitkami Linii Krwi.

Nie mijał się z prawdą, ale zrobili już bardzo wiele w tym kierunku. Zaopatrzeni w bazę danych Jasona, mieli całą listę nazwisk ludzi, których należało ścigać. Pociągali za nitki i tkany przez tysiąclecia gobelin zaczynał się pruć. Gray miał rację, mówiąc, że w dzisiejszych czasach trudniej jest się ukrywać. Obszary dawnego pustkowia skurczyły się, nie zapewniając już schronienia.

Jedno Painter wiedział na pewno.

Gildia była martwa.

— Ale zawsze musimy reagować na nowe kryzysy — nalegał. — Potrzebujemy kogoś z pańskimi wyjątkowymi umiejętnościami.

Tucker uśmiechnął się z przekąsem.

— Opuść sobie. Nigdy nie lubiłem pracować z zespołem. Ale gdyby pan mnie kiedykolwiek potrzebował, ma pan mój numer.

Odwrócił się i poszedł korytarzem, z Kainem u nogi.

— Chwileczkę! — zawołał za nim Painter. — Nie mam pana numeru telefonu!

Tucker zrobił w tył zwrot i cofnął się kilka kroków, uśmiechając się już przyjaźniej.

— Coś mi mówi, panie dyrektorze, że w razie potrzeby zawsze mnie pan znajdzie.

Miał rację.

Painter uniósł rękę w geście pożegnania.

Tucker po prostu się odwrócił i zniknął za rogiem. Kain machał ogonem w oczekiwaniu na nową przygodę.

Dyrektor Sigmy spoglądał za nimi jeszcze przez chwilę, wiedząc, że nie widzieli się po raz ostatni.

W końcu dołączyła do niego Lisa.

— Gotowy?

O, tak.

Wyszli ze szpitala w blasku nowego dnia, trzymając się za ręce. Przy krawężniku czekała dorożka, ozdobiona ulubionymi kwiatami Lisy — chryzantemami, o ciemnobordowych płatkach ze złotą otoczką.

Jason zdobył tę rzadką odmianę i zamówił w porę dużą dostawę. Kowalski miał wynająć dorożkę. Przez cały tydzień, wychodząc z pokoju, powtarzał: „Przepraszam, mam spotkanie z facetem od konia”.

Po kilku krokach Lisa rozpoznała te kwiaty i natychmiast zaczęła coś podejrzewać.

— Painter?... — zaczęła ostrzegawczym tonem.

Zaprowadził ją do dorożki, pomógł jej wsiąść, a potem uklęknął na stopniu, trzymając na dłoni małe, wyściełane aksamitem pudełeczko.

Zakryła dłońmi policzki.

— Nie!

— Jeszcze nawet nie zapytałem.

Opuściła ręce, promieniejąc i pąsowiejąc tak, że jej twarz przybrała barwę płatków

chryzantem.

— A więc tak, tak, tak...

Przyciągnęła go do siebie, przywierając ustami do jego warg. Ich pocałunki i śmiechy zmieniły się nagle w coś głębszego i poważniejszego. Obejmowali się przez dłuższą chwilę, przysięgając sobie w milczeniu, że nigdy się nie rozstaną.

Ale najwyraźniej w ich kontrakcie była klauzula, o której musieli najpierw porozmawiać.

Lisa usiadła w dorożce, wciągając go za sobą, i oznajmiła, patrząc mu w oczy:

— Chcę mieć dzieci... żeby to było jasne.

— Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, gdy zobaczyłem to niemowlę.

— Mówię serio. — Uniosła palce. — Chcę parkę.

Painter spojrział na jej rękę.

— Wiesz, że pokazujesz cztery palce, tak?

Godzina 12.20

Kat opadła ciężko na kanapę w salonie, rozciągając się na niej, zdejmując przeciwsłoneczne okulary i cienką chustę, która zakrywała jej ogoloną głowę. Szwy na całym ciele swędziały ją potwornie, drażniąc jej nerwy.

Monk wszedł do pokoju kilka minut później, niosąc Penelope, która zwisała bezwładnie w jego ramionach, śpiąc jak aniołek.

— A malutka? — spytał.

— Jest już w łóżeczku. Wyjąłeś wózek?

— Może zostać w furgonetce. Jak ktoś wybije szybę i go ukradnie, to trudno. Mogą też zabrać karton pampersów.

Monk przeszedł korytarzem do pokoju dziecinnego, położył Penelope do łóżka, po czym wrócił i usiadł na kanapie obok Kat, głośno wdychając.

Przesunęła ręką po głowie i nagle się rozplakała. Przygarnął ją do siebie.

— Co się stało?

— Spójrz na mnie. Jestem cała w szwach i strupach, nie mam włosów. Widziałeś, jak przyglądali mi się ludzie w parku?

Przyciągnął jej twarz do swojej, by dostrzegła szczerłość w jego oczach.

— Jesteś piękna. Włosy odrastają, a chirurg plastyczny obiecał, że nie zostanie ci wiele blizn.

Pocałował ją delikatnie w usta, przypieczętowując to, co powiedział.

— Poza tym — dodał, pocierając swoją ogoloną głowę — łysina jest atrakcyjna.

— Tobie pasuje — odparła, ocierając łzy.

Leżeli w objęciach przez kilka długich cudownych minut.

— Słyszałem twoją rozmowę z Painterem — odezwał się Monk. — Jesteś pewna, że podjął słuszną decyzję?

Kat skinęła głową na jego torsie, mówiąc sennie:

— Ehe.

— A tobie to odpowiada?

Odsunęła się, wyczuwając jego poważny ton.

— Wiem, że narzekałam na swoje rany, ale...

Odwróciła wzrok, trochę zawstydzona.

— Zawsze lubiłaś być w akcji — przypomniał jej.

— Tak. Zwłaszcza z tobą. Razem było lepiej.

Uśmiechnął się.

— Chyba więc wracam do Sigmy. Ktoś musi przecież wybawiać cię z kłopotów.

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

— A skoro mowa o tym, co lepiej robić razem... — Podniósł ją i posadził sobie na kolanach. Objęła nogami jego biodra. — Gdybyś chciała solidnego dowodu, jaka jesteś piękna...

Poruszył lędźwiami.

Kat otworzyła szeroko oczy.

— Och...

Godzina 15.30

Prezydent James T. Gant siedział na wózku inwalidzkim, który popychała pielęgniarka. Towarzyszyło im dwóch agentów tajnych służb.

— Pańska żona odpoczywa — zapewniła go pielęgniarka, gdy dotarli do prywatnej izolatki strzeżonej przez kolejnego agenta.

— Dziękuję, Patti — odparł. — Chciałbym zostać z nią sam, jeśli można prosić.

— Oczywiście, panie prezydencie. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić na dyżurkę.

Strażnik otworzył drzwi i James wjechał sam wózkiem do środka, zostawiając agentów na zewnątrz. Gdy drzwi się zamknęły, wstał z wózka i podszedł do szpitalnego łóżka na własnych nogach.

Teresa przeszła już dwie operacje po „wypadku samochodowym”, któremu uległa — tak brzmiała oficjalna wersja. Wstawiono jej płytkę w roztrzaskaną kość policzkową i otwarto czaszkę, by zatamować wewnętrzny krwotok. Lekarze ostrzegali go za każdym razem, że uraz mózgu jest poważny i jego żona pozostanie, zapewne już na zawsze, w stanie wegetatywnym.

James odgrywał jednak zboląłego męża, który zrobi wszystko, by utrzymać żonę przy życiu, domagając się bolesnych operacji.

Patrzył na jej ogoloną głowę, rurki powtykane we wszystkie otwory, opuszczone powieki.

— Wyglądasz koszmarnie, Tereso — powiedział, siadając na skraju łóżka. — Lekarze wyjaśnili mi różnicę między śpiączką a stanem wegetatywnym. Śpiączkę cechuje brak świadomości. Ty zachowałeś częściową świadomość. Podobno jest spora szansa, że mnie słyszysz. Mam taką nadzieję.

Poklepał ją po ręce.

— Stan wegetatywny określa się jako trwały, gdy utrzymuje się dłużej niż rok. Osiągniemy to, moja droga, zapewniam cię. Wybrałem prywatny szpital w Charlestonie. Należy, oczywiście, do rodziny Gantów. Postarają się, żebyś pozostała w tym stanie na zawsze, nawet jeśli będą niezbędne dodatkowe operacje, by mieć pewność, że nigdy się nie ockniesz.

Uścisnął jej dłoń.

— A jeśli chodzi o wszystkie twoje projekty badawcze dotyczące długowieczności, zrozpaczony mąż wykorzysta je, by przedłużyć ci życie rok po roku.

Wstał, przypominając sobie, co powiedział Painterowi Crowe'owi i co poprzysiągł zrobić, jeśli dowie się kiedyś, kto skrzywdził jego rodzinę: *Nie umrze szybką śmiercią. Będzie cierpiał jak nikt inny. Przeżyje piekło na ziemi.*

James T. Gant dotrzymywał słowa.

Pochylił się i pocałował żonę w czoło, dostrzegając spływającą jej z oka dużą łzę.

— Witaj w piekle, Tereso.

Takoma Park, stan Maryland

Godzina 21.30 czasu miejscowego

Gray skończyć zmywać naczynia po obiedzie, wyglądając przez okno na podwórkę, w którego odległym kącie stała altana otoczona rozrośniętymi krzakami róż i ocieniona drzewem wiśni.

Jego spojrzenie przykuł jakiś ruch. Cień sylwetki, błysk metalowego zamka w kurtce, bladość cery.

Seichan kręciła się po podwórku, zamyślona i niespokojna.

Wiedział, co ją dręczy.

Słowa martwego człowieka.

Usłyszał za plecami kroki. Odwrócił się i zobaczył Mary Benning, nocną pielęgniarkę, która zeszła z góry.

— Ułożyłam pańskiego ojca do snu — oznajmiła. — Gdy wychodziłam, już chrapał.

— Dziękuję. — Włożył ostatni talerz do suszarki. — Był dzisiaj w dobrej formie.

— Trochę się uspokoił — zgodziła się z lekkim uśmiechem. — Tęsknił za panem. Ale jest zbyt twardy, by się do tego przyznać.

Miała całkowitą rację.

Gray pamiętał jednak dziwny moment, gdy wrócił z misji. Przyjechawszy tutaj, spodziewał się najgorszego, bo nie było go prawie przez tydzień. Tymczasem zastał ojca w kuchni, czytającego rubrykę sportową. Gdy wszedł, ojciec zmierzył go od stóp do głów, jakby czegoś szukał, po czym zadał mu bez ogródek dziwne pytanie:

— Dorwałś ich?

Gray odparł zgodnie z prawdą:

— Tak, tato. Wszystkich.

Ojciec mógł mieć na myśli wiele rzeczy, to pytanie można było różnie interpretować, zwłaszcza przy jego demencji.

Ale bez względu na to, o co mu chodziło, wstał od stołu i uścisnął Graya — jakby dziękując mu, że go pomścił.

A dziś rano poszli jako rodzina na grób matki. Zwykle takie wizyty kończyły się łzami i awanturą, a potem powrotem do domu w milczeniu. Tym razem były łzy, ale także ciche śmiech. W drodze do domu ojciec opowiedział kilka anegdot o matce. Nawet Kenny stał się bardziej towarzyski i nie chełpił się bez przerwy swoją pozycją w firmie. Co bardziej zaskakujące, zgodził się przedłużyć pobyt o dwa miesiące, przebąkując coś o możliwości pracy przez telefon.

Być może dlatego, że poznał dziewczynę.

Umówił się z nią na wieczór.

Najważniejsze, że zostaje, pomyślał Gray.

Mary wskazała na drzwi z siatką przeciw owadom.

— Pooglądajcie niebo. Podobno ma być deszcz meteorytów. Kiedy starszy pan robi się nerwowy, puszczam mu z taśmy mecz Nationals z Marlinsami. Trochę bejsbolu natychmiast go uspokaja. Jeśli nie grają z Jankesami, bo wtedy się złości.

Gray uśmiechnął się.

— Dziękuję, Mary.



## Godzina 21.45

Seichan stała w ciemnej altance, pogrążona w myślach. Była ciepła noc, wokół cykały świerszcze, a w krzakach i konarach drzew migotały pojedyncze świetliki.

Patrzyła w kierunku domu, zastanawiając się, kim by była, gdyby dorastała w takim miejscu. Wyobrażała sobie szczęśliwe dzieciństwo ze szkolnymi świadectwami, zadrapaniami na kolanach i pierwszymi pocałunkami.

Czy byłabym sobą?

Przesunęła palcami po srebrnym wisiorku w kształcie smoka, który miała na szyi, i przypomniała sobie ostatnie słowa Roberta Ganta:

*Twoja matka... uciekła... i przeżyła...*

Przez ostatni tydzień godziła się powoli z tą myślą.

Przerazała ją.

Nawet śmierć jej ojca wywoływała już tylko tępy ból. Nie знаła go i nigdy naprawdę nie chciała poznać. Wychowywała ją matka. W dzieciństwie słowo „ojciec” nic dla niej nie znaczyło. Wciąż była pełna gniewu i żalu z powodu upokorzeń i koszmarów, które musiała znieść, stając się zabójczynią. Który ojciec pozwoliłby, żeby przydarzyło się to jego córce?

W końcu jednak Robert Gant podarował jej coś cenniejszego niż ojcostwo: nadzieję.

Nie wiedziała, co z tym darem zrobić.

Na razie.

Ale poradzi sobie... gdy ktoś jej pomoże.

Gray pojawił się w tylnych drzwiach, na tle ciepłego blasku kuchennych świateł. Lubiała go podglądać, gdy nie wiedział, że na niego patrzy. Dostrzegала w nim chłopca, syna rodziców, którzy kochali go każde na swój sposób.

A jednak został zabójcą — ale nie takim jak ona.

Ona była maszyną, on — człowiekiem.

Przypomniała sobie dziewczynę w holu Burdż Abadi, dziecko zamienione w potwora. I Petrę, kobietę monstrum.

Seichan była podobna do nich obu.

Co on widzi we mnie dobrego?

Gray przeszedł przez podwórko, podrywając do lotu świetliki. W górze przecinała ciemne niebo spadająca gwiazda. Stanął przy Seichan jak cień.

Zadrzała.

Coś w niej widział — i musiała mu ufać.

Wyciągnął rękę.

Oferował jej wszystko.

Zaakceptowała to.

## EPILOG

*Siedzi na skale, wygrzewając się w słońcu, ładując swoje baterie słoneczne.*

*Nasłuchuje, czy nic mu nie grozi, ale słyszy tylko huk wody rozbijającej się o skałę i głosy skrzydlatych stworzeń. Obserwuje, czy coś się nie porusza, lecz widzi jedynie migotanie traw i drżenie liści. Szuka źródła ciepła, ale znajduje tylko gorące skały.*

*W miarę jak słońce zaspokaja jego głód, dodając mu sił, przypomina sobie wszystko i zapamiętuje.*

*Miał łączność z innymi i słyszał, jak ich chór zamilkł.*

*Zapanowała głucha cisza.*

*W tej ciszy nauczył się nowego pojęcia.*

*KONIEC.*

*Gdy naładuje baterie, musi ruszyć dalej. Bezruch oznacza KONIEC.*

*Tego nie chce.*

*Podnosi się na swych potężnych hydraulicznych odnóżach z zakrzywionymi pazurami. Wycofuje się w gąszcz lasu, gdzie mało kto dostrzeże jego obecność.*

*Jest samotny.*

*Nauczy się nowych zachowań i zaadaptuje się.*

*Bo musi przetrwać.*

## Posłowie autora do Czytelników Prawda czy fikcja

Dobry pokerzysta stara się nigdy nie pokazywać kart. Trzyma je przy piersi, nie dając po sobie poznać, czy ma zwycięską kartę, czy blefuje. Autor książki czyni podobnie: zamazuje granicę między rzeczywistością i fikcją. Ale przy końcu każdej mojej powieści lubię wyłożyć karty na stół i wyjaśnić, co jest prawdą, a co nie.

I niewątpliwie znów tak zrobię, ale tym razem postanowiłem wziąć przykład z doktor Lisy Cummings, która mówi w tej powieści: *Jak to mówią, wszystko wychodzi w praniu*.

Oprócz więc wyznaczenia granicy między prawdą i fikcją, zamierzam wzbogacić to posłowie sporą liczbą linków do materiałów wideo i stron internetowych, by czytelnicy mogli dotrzeć bezpośrednio do źródeł, które stanowiły inspirację dla fabuły tej książki.

Ale najpierw ostrzeżenie: jeśli odważycie się pójść tą drogą, a zwłaszcza zdecydujecie się obejrzeć niektóre z nagrań wideo, tego, co zobaczycie, możecie już nigdy nie być w stanie wymazać z pamięci. Zostaliście ostrzeżeni.

A więc zaczynamy.

**Psy.** Źródło koncepcji tej książki stanowił rosyjski eksperyment przeprowadzony w latach czterdziestych XX wieku na psach. Dzięki niemu skonstruowano potem pierwsze płucoserce, ale archiwalne nagrania mogą okazać się wstrząsające dla miłośników psów. Oglądajcie ten film na własne ryzyko. Zobaczycie w nim to, co widzi Amanda — tyle że z udziałem ludzi — w laboratorium w Dubaju.

<http://www.archive.org/details/Experime1940>

A skoro mowa o psach, porozmawiajmy o prawdziwych bohaterach: psach wojskowych. Wszystko na ich temat w tej powieści, poczynając od kamizelek szturmowych K9 po skakanie z psem na spadochronie, odpowiada prawdzie. Bezcennym źródłem informacji była dla mnie książka Lisy Rogak *The Dogs of War*. Czytelnik spędził też trochę czasu, patrząc na świat oczami Kaina. Staralem się przedstawić dokładnie, jak psy postrzegają otoczenie, korzystając z fantastycznego źródła wiedzy: książki Alexandry Horowitz *Oczami psa*.

**Somalia.** Część akcji powieści rozgrywa się w Somalii i wśród tamtejszych piratów. Historia i realia tego kraju wyglądają tak, jak je przedstawiłem. Krótco po tym, jak opisałem akcję uwolnienia córki prezydenta przez połączone siły Sigmy i Szóstego Oddziału SEAL, rzeczywistość okazała się nawet bardziej spektakularna niż fikcja. W styczniu 2012 roku dzięki brawurowej operacji Szóstego Oddziału SEAL zostali uwolnieni z rąk somalijskich piratów Amerykanka i Duńczyk. Choć nie sądzę, by tą Amerykanką była córka prezydenta.

W powieści poruszona została też sprawa dzieci-żołnierzy. Niestety, opisane tu szczegóły są prawdziwe. Informacje czerpałem głównie z książki *Było minęło*, której autorem jest Ishmael Beah — miałem okazję go spotkać i krótko z nim porozmawiać.

Ale wkrótce po tym, jak napisałem tę powieść, w Internecie pojawił się wstrząsający film na ten temat, zatytułowany KONY 2012:

<http://www.kony2012.com/index.html>

**Dubaj.** Wspominałem o wielu miejscach w tym zdumiewającym mieście i pomyślałem, że wskażę czytelnikowi kilka filmów wideo, aby mógł w pełni docenić opisane w tej książce prawdziwe cuda architektury.

W akcji powieści pojawiają się na pierwszym planie Wyspy Palmowe. Poniżej link do wideo, które pozwala rzucić okiem na ten stworzony przez człowieka fenomen, widoczny z przestrzeni kosmicznej:

<http://youtu.be/0lXclgws7n8>

Wspomniane są także Wyspy Świata:

<http://youtu.be/7eUcRjo9Yv4>

Dwa inne cuda architektury są nadal na wczesnym etapie budowy: podwodny hotel Hydropolis (<http://dai.ly/9qqx4S>) oraz pływająca lodowa rzeźba Błękitny Kryształ ([http://www.blue-crystal.de/bc\\_base\\_uk.html](http://www.blue-crystal.de/bc_base_uk.html)).

A co z imponującą spiralną Wieczną Wieżą, Burdż Abadi? Czy taka konstrukcja jest możliwa? Owszem — tyle że wznoszą ją na stałym lądzie, a nie na wyspie. To wideo jest zachwycające: <http://youtu.be/q082y8In-ik>.

A Utopia? Projekt tej zbudowanej na pełnym morzu sztucznej wyspy opiera się na technicznych rozwiązaniach istniejącej w rzeczywistości platformy wiertniczej Hibernia. Jeśli spojrzycie na jej podstawę, przypominającą lodołamacz, zrozumiecie, skąd wziął się kształt Utopii. Oto link: <http://www.solarnavigator.net/oil-rigs.htm>.

I ostatnie wyjaśnienie: tak, Palazzo Versace naprawdę ma klimatyzowane plaże.

**Robotyka.** Laboratorium DARPA i inne na całym świecie zajmują się neurorobotyką. W tej powieści mowa jest o wszczepionych małym robotom neuronach korowych. Jak daleko posunęliśmy się w tych eksperymentach? Obejrzyjcie następujące filmy z różnych uniwersytetów i sami odpowiedzcie sobie na to pytanie.

Tu zobaczycie mózgi szczurów kierujące niewielkimi pojazdami:

<http://io9.com/5288834/first-real-cyborg-a-robot-controlled-by-a-living-brain>.

Szczury nie będą usatysfakcjonowane, dopóki nie będą mogły polatać odrzutowymi myśliwcami — i właśnie to robią:

<http://youtu.be/nXncJZCMog0>.

Bardziej niepokojące są jednak roje robotów, które w skoordynowany sposób osiągają wyznaczony cel. Na przykład zniszczenie ludzkości. Pierwsze wideo pokazuje rój działający na ziemi:

[http://youtu.be/QUHn0r\\_j5cE](http://youtu.be/QUHn0r_j5cE).

Kolejne wideo jest absolutnie fascynujące i przerażające. Przedstawia latający rój robotów. Ten film jest doprawdy fantastyczny:

<http://youtu.be/YQIMGV5vtd4>.

Opisuję również w powieści monstrialne kwadropody. Gdybyście chcieli zobaczyć, jak wygląda jeden z nich na wczesnym etapie konstrukcji, oto robot-gepard projektu DARPA. Obejrzyjcie ten film do końca, żeby się przekonać, jak szybko te roboty potrafią biegać. A potem przypomnijcie sobie poprzednie nagrania. Miłych snów!

<http://bit.ly/HVXiSn>

**Czerwony rynek.** W książce była mowa o nadużyciach związanych z handlem ludzkimi narządami, w tym z więzieniem ludzi, których organy wykorzystywano dla zysku. Wiele przerażających szczegółów pochodziło ze świetnie napisanej i pouczającej książki Scotta Carneya *Czerwony rynek*.

**Nauka o nieśmiertelności.** Co ciekawe, wszystkie informacje na temat najnowszych osiągnięć technologicznych i teorii dotyczących długowieczności są oparte na twardych naukowych dowodach. Materiał do tej powieści zgromadziłem w dużym stopniu, czytając, słuchając i oglądając wystąpienia Raymonda Kurzweila. Wrzućcie to nazwisko do wyszukiwarki Google, a będziecie oszołomieni.

Mam również dług wdzięczności wobec prac Aubreya de Greya i jego książki (napisanej wspólnie z Michaeliem Rae) *Ending Aging: The Rejuvenation Breakthroughs That Can Reverse Human Aging in Our Lifetime*. Z niej zaczerpnąłem informacje o siedmiu śmiertelnych przyczynach degradacji starzejącego się organizmu.

Podobała mi się też książka Jonathana Weinerja na ten sam temat, *Long for This World*.

Kolejnym naukowcem, o którym wspominam w powieści, jest Sebastian Seung i jego badania prowadzone na Uniwersytecie w Massachusetts na temat konektomów — map połączeń neuronalnych w ludzkim mózgu. Oto link do jego strony internetowej ze wspaniałym materiałem wideo:

<http://connectomethebook.com/>

Napomknąłem także w mojej książce o tworzeniu wirtualnego mózgu z pojedynczych neuronów. Takie przedsięwzięcie, nazywane Projektem Błękitnego Mózgu, realizowane jest rzeczywiście w Instytucie Neurologii Politechniki w Lozannie w Szwajcarii (oglądając pierwszy ze wspomnianych powyżej filmów wideo na temat rojów robotów, zobaczycie, co osiągnęli).

I na koniec, czy możliwa jest potrójna helisa DNA? Tak, zespół z Uniwersytetu w Kopenhadze stworzył coś takiego. A w piśmie „Scientific American” (grudzień 2008) opublikowano świetny artykuł na ten temat, zatytułowany *Nowa molekula życia* i wyjaśniający, jak potężnym narzędziem może być PNA, służącym nie tylko do przedłużania życia, ale także do odrodzenia ludzkości.

**Historia nieśmiertelności.** Jednym z punktów wyjścia dla całej struktury mojej powieści było zaskakująco dokładne przedstawienie w Biblii szacunkowej długości ludzkiego życia. Księga Rodzaju mówi wyraźnie, że człowiek może żyć maksymalnie 120 lat. W 1961 roku doktor Leonard Hayflick podał dokładnie taką samą liczbę w oparciu o badania dotyczące genetyki, telomerów i podziału komórek. Czy to tylko przypadek? Nie wiem, ale z tego ziarna mogła wyrosnąć fascynująca opowieść — jeśli nie Drzewo Życia.

Historia laski świętego Patryka i jej związku z nieśmiertelnością i postacią Chrystusa to znana legenda.

Wspomniałem także inne historyczne i mitologiczne teksty nawiązujące do Drzewa Życia — od Biblii poprzez epos o Gilgameszu po hinduskie pisma wedyjskie. Wszystkie cytowane z nich przykłady są wierne źródłom, podobnie jak wzmianki o potopie. Ale to tylko powierzchowne informacje. Więcej szczegółów dostarcza książka Waltera Parksa *Immortal Again: Secrets of the Ancients*. A masońska ilustracja, przedstawiająca trzech mężczyzn ze splecionymi dłońmi i trójgłowe węże, pochodzi z archiwum. Wątpię jednak, by Linia Krwi miała z nią coś wspólnego.

I tu, zatoczywszy krąg, powracamy do głównego pytania, które stawia moja powieść: Czy wśród nas są już nieśmiertelni?

O, tak!...

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, Dz 7, 43, Pallottinum, Poznań 2003.

## Table of Contents

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Róg Afryki](#)

[Słowa zamordowanych prezydentów](#)

[Z zapisków historycznych](#)

[Z zapisków naukowych](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza. Współcześnie](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[Część druga. Niebo i piekło](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[Część trzecia. Tereny łowieckie](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[Epilog](#)

[Posłowie autora do Czytelników. Prawda czy fikcja?](#)

[Przypisy](#)